

**Janet Dailey**

# **RYWALE**

## 1

Ktoś ją obserwował. Czują na sobie ciężar spojrzenia. W pokoju pełnym ludzi nie było to takie dziwne, jednak czuła wyraźnie...

Dwadzieścia minut wcześniej weszła do mieszkania DeBorgów - do dwunastopokojowego przeszklonego apartamentu na ostatnim piętrze jednego z połyskujących wieżowców na Telegraph Hill w San Francisco. Wraz z Ellerym Domem, przyjacielem i bliskim współpracownikiem, zatrzymała się na chwilę w wyłożonym marmurem foyer. Pośpiesznie zdjęła z dłoni kosztowne rękawiczki od Fendiego, po czym zwróciła się do pokojówki w wykrochmalonym fartuszk:

- Czy panna Colton już przyjechała?

- Jakieś piętnaście minut temu, proszę pani.

Potwierdziły się jej obawy. Spóźnili się bardziej, niż wypadało.

Dzisiejsze przyjęcie było czymś więcej niż ekskluzywnym spotkaniem Towarzystwa Przyjaciół Opery w San Francisco - odbywało się oficjalne powitanie światowej sławy sopranistki koloraturowej, Lucianny Colton, zaproszonej na gościnny występ w *Trubadurze*, premierowym przedstawieniu jesiennego sezonu. Nieobecność przy jej powitaniu można przyrównać do późnienia na audiencję u królowej. Tego się po prostu nie robi.

- Jaka szkoda, że nie widzieliśmy jej wejścia - mruknął Ellery z zatroskaną miną, wręczając swój płaszcz i jedwabny szalik pokojówce. Odruchowo strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa czarnej marynarki. Flame omiotła go spojrzeniem. Na jego wargach igrał słaby, lekko kpiący uśmieszek. Cały Ellery - cyniczny, wielkowiejski i elegancki, z przewrotnym - niekiedy zjadliwym - poczuciem humoru. Jak zawsze, nieskazitelnie ubrany i nawet najmniejszy kosmyk ciemnoblonde włosów jest na swoim miejscu.

- Cały ty, Ellery - zażartowała, kiedy zdejmował z jej ramion kurtkę z czarnych lisów. - Twoje łyzy idealnie pasują do butów z krokodylej skóry.

- Masz całkowitą rację.

Podał futro pokojowce i wsunął pomocną dłoń pod łokieć Flame.

- Wchodzimy?

- Nie mamy wyjścia - mruknęła Flame z odcieniem żalu, którego Ellery zupełnie nie podzielał.

Opuścili foyer, minęli salon i weszli do niedużej salki z miejscami do siedzenia. Flame zatrzymała na chwilę spojrzenie na klasycznej sofie w jasnożółtym kolorze i czarnych krzesłach z okresu Regencji zestawionych z parą osiemnastowiecznych orientalnych sekretarzyków. Wystrój pokoju zapowiadał swym stylem dystyngowany charakter innych pomieszczeń obszernego apartamentu. Lecz uwagę Flame przyciągnęły dobiegające z głównego pokoju po prawej stronie dźwięki ożywionej rozmowy przerywanej salwami śmiechu.

Zatrzymała się na chwilę w łukowato sklepionym wejściu do pokoju w tonacji czerwonej i wyprostowała się odruchowo. Przywykła do tego, że ludzie jej się przyglądają. Dawno pogodziła się z tym, że jej wygląd przyciąga spojrzenia pełne zarówno podziwu, jak i zazdrości. Wyróżniał ją nie tylko wzrost modelki, zgrabna figura czy piękna twarz, lecz przede wszystkim zestawienie jasnej karnacji, szmaragdowej zieleni oczu i włosów o barwie miedzi z odrobiną złota tonującego czerwony odcień.

Tym razem jednak skierowane na nią spojrzenia zabarwione były lekkim wyrzutem z powodu spóźnienia. Znała wszystkich obecnych. Większość z nich pamiętała z czasów dzieciństwa; byli to przyjaciele domu. W tym gronie Flame wyróżniała się spośród nich swoim pochodzeniem - była w prostej linii potomkinią jednego z założycielskich rodów San Francisco. Właśnie

pochodzenie otworzyło przed nią drzwi do salonów elity towarzyskiej miasta, co niekoniecznie dawało się kupić za pieniądze nowobogackich. Jak to kiedyś zgryźliwie skomentował Ellery, w San Francisco właściwe pochodzenie jest bardziej istotne niż to, skąd pochodzą pieniądze, które się posiada. Kiedy ma się to pierwsze, nie zawsze konieczne jest to drugie.

Gospodyni, Pamela DeBorg, uroczy kociak z jasnymi lokami, dostrzegła ich w tłumie i ochoczo ruszyła w ich stronę, ciągnąc za sobą tren aksamitnej sukni od Blassa.

- Flame, już straciliśmy nadzieję, że się pojawisz.

- Nic nie mogłam zrobić. Przysięgam - usprawiedliwiała się Flame. - Kręciliśmy reklamę w Pałacu Sztuki. Niestety mieliśmy kłopoty.

- To prawda - wtrącił Ellery. - Naszą solistką był lampart... chyba powinienem powiedzieć lamparcica. Mam nadzieję, że wasza nie okaże się tak kapryśna i niechętna do współpracy.

- Lucianna jest wspaniała - oznajmiła Pamela, splatając z zadowoleniem palce. Na jednym z nich roziskrzył się oszłamiający diament. - Na pewno ją polubicie. Jest taka miła, ciepła... Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać! Musicie ocenić sami. Chodźmy. Jest teraz z Peterem w oranżerii. - Chwyła Flame za rękę wciągając ją do pokoju, po czym zatrzymała się na moment i rzuciła do Ellery'ego: - Ty też.

Szła pół kroku przed Flame. Odwracając się do niej, mówiła bezustannie.

- Czy już ci wspomniałam, że zmieniła cały plan podróży i przyleciała prywatnym odrzutowcem? Nie wyobrażasz sobie, jakie mieliśmy tu piekło, próbując zmienić wcześniejsze ustalenia.

Flame uśmiechnęła się ze zrozumieniem, bo tak wypadło.

- Poczekaj tylko, aż zobaczysz jej suknię. Wspaniała. A kolia! Bajeczne cacko z rubinów i diamentów. Umrzesz z zazdrości. Jacqui myślała, że to

kopia. - Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu, kiedy wspomniała o Jacqui Van Cleeve, kronikarce kolumn towarzyskich San Francisco, która przed swoim rozwodem także należała do *beau monde*.

- Ale te kamyki są z pewnością prawdziwe. Wiem, co mówię. Ta kolia nosi ślady ręki Bułgariego.

Flame nie miała wątpliwości. Mówiło się, że kolekcja biżuterii Pameli DeBorg mogłaby zarówno pod względem ilości, jak i jakości rywalizować z kolekcją księżnej Windsoru.

Do oranżerii prowadziły szeroko otwarte, przeszklone dwuskrzydłowe drzwi. Na ułamek sekundy Pamela zatrzymała się w wejściu. Za szklanymi ścianami przestronnego apartamentu otwierał się wspaniały widok na Golden Gate i zatokę. W gąszczu doniczkowych kwiatów, pomiędzy chińskimi wazami, rozstawione były wiklinowe meble obłożone pluszowymi poduszkami, zgrupowane w przytulne zakątki. Pośrodku tego wszystkiego, skupiając na sobie całą uwagę obecnych, stała ciemnowłosa diwa we własnej osobie. Wyglądała oszalamiająco w purpurowej sukni z głębokim dekoltem na plecach, podkreślającej jej bardzo kobiecą figurę. Odwróciła się Flame przez moment widziała rubinowo-diaamentową kolię oraz znaną z prasowych fotografii wyrazistą twarz, o rysach trochę zbyt ostrych, by mogła uchodzić za piękną, choć bez wątpienia przykuwających uwagę.

Teraz z pewnością jest w centrum zainteresowania, pomyślała Flame, spoglądając na członków Komitetu otaczających śpiewaczkę zwartym kręgiem; stał pośród nich gospodarz przyjęcia, jasnowłosy finansista, Peter DeBorg.

- A oto i ona - oznajmiła Pamela. - Lucianno, wybac, że ci przeszkodzę, ale chciałabym przedstawić członkinię naszego Komitetu, Flame Bennett.

- Miło mi - odparła przenosząc na Flame zdawkowe spojrzenie, uzupełnione równie zdawkowym uśmiechem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. I mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny za nieobecność podczas pani powitania.

- Flame nagrywała właśnie film reklamowy i mieli jakieś kłopoty z lwem czy też lampartem - pośpieszyła z wyjaśnieniem Pamela.

- To znaczy, że jest pani aktorką.

- Nie - wyjaśnił Peter DeBorg. - Flame pracuje dla Bolanda i Hayesa, ogólnokrajowej agencji reklamowej z siedzibą w San Francisco.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam. - Lucianna Colton przeniosła pytające spojrzenie z Petera na Flame. - Jest pani modelką?

- Nie, jestem zastępcą prezesa firmy - odparła Flame, uśmiechając się lekko.

- Zastępcą prezesa? - Całe zainteresowanie diwy skupiło się teraz na Flame.

- To ekscytujące, poznać kobietę, która ma władzę.

Flame podziękowała za komplement lekkim skinieniem głowy, po czym zwróciła się do Ellery'ego, kierując na niego uwagę Lucianny Colton.

- Chciałabym przedstawić pani jeszcze jednego pracownika naszej firmy, mojego najbliższego przyjaciela, Ellery'ego Dorna.

Ellery zwinnie wysunął się do przodu, ujął dłoń artystki z polakierowanymi na czerwono paznokciami i podniósł ją do ust.

- Oczekujemy z niecierpliwością pani występu w roli Leonory. I choć, jeśli wolno mi to tak ująć, San Francisco już leży u pani stóp - mówiąc to ręką wskazał światła miasta widoczne przez szklane ściany - jestem pewny, że w operze przywita panią na stojąco.

- Wspaniale, Ellery - wykrzyknęła Pamela klaszcząc w dłonie.

- Pan mi pochlebia - dodała Lucianna Colton z królewskim skinieniem głowy.

- Jestem tylko głosiicielem dobrej nowiny - upierał się Ellery, podczas gdy

coraz więcej gości przybywało do oranżerii. I to bynajmniej nie po to, by podziwiać widok legendarnego miasta, lecz by obejrzeć z bliska sławną śpiewaczkę w szkarłatnej sukni. Ellery delikatnie ujął ramię Flame.

- Bardzo byśmy chcieli mieć panią tylko dla siebie, ale obawiam się, że musimy odmówić sobie tej przyjemności. Inni też mają ochotę obsypać panią komplementami.

Wycofali się po wymianie zwyczajowych grzeczności, a ich miejsce natychmiast zajęli inni wielbicieli. Flame rozpoznała wylewny głos Andrei Crane.

- Rok temu byłam w La Scali, kiedy tak bosko śpiewała pani w Tosce.

Kiedy przechodzili do głównego pokoju, Ellery zerknął za siebie i uśmiechnął się krzywo.

- Zabawne.

- Co takiego? - Flame spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Poprowadził ją na bok i wskazał głową w kierunku siedzących i stojących w pokoju gości.

- Z listy gości dzisiejszego przyjęcia można by ułożyć *Who is Who* wyższych sfer San Francisco... A jednak wszyscy płaszcą się przed kobietą z jakiejś dziury na Środkowym Zachodzie, która potrafi czysto wyciągnąć wysokie F.

- Chyba jednak trochę więcej - odparła, przez chwilę zdekoncentrowana tym dziwnym uczuciem, że ktoś ją obserwuje. - Ona jest bardzo utalentowana.

- Uważasz, że talent artystyczny winduje cię w hierarchii społecznej?

Wrażenie wpatrujących się w nią pary oczu nasiliło się.

- Czy zmierzamy w kierunku filozoficznej dysputy? Bo jeśli tak, to ja pasuję, Ellery.

Odwróciła się próbując zlokalizować źródło tego niepokojącego wrażenia i stanęła oko w oko z kelnerem. Był to mężczyzna w średnim wieku, o dosyć drapieżnym wyglądzie. Przez chwilę zmartwiała pod ciężarem świdrującego spojrzenia głęboko osadzonych piwnych oczu, ocienionych krzaczastymi brwiami. Kelner spuścił wzrok i postąpił krok do przodu, podsuwając tacę z kieliszkami wina.

- Kieliszek Chardonnay? - Nawet jego uprzejmy, pełen szacunku ton nie zacierał ostrego brzmienia głosu.

- Dziękuję.

Wzięła jeden z oszronionych kieliszków, raz jeszcze zatrzymując wzrok na kelnerze. Czy to właśnie on ją obserwował? Choć nie była tego pewna, sądziła, że tak. Dlaczego jednak tak się tym przejmowała? Dlaczego tak bardzo ją to niepokoiło? Mężczyźni zwykle gapili się na nią - zawsze z tych samych powodów. Dlaczegoż kelner miałby być wyjątkiem? zaproponował kieliszek wina Ellery'emu i ruszył do innych gości.

- Brązowe buty do czarnych spodni. - Brew Ellery'ego powędrowała do góry w wyrazie dezaprobaty. - Powinni zwracać większą uwagę na ubiór służby.

Flame raz jeszcze spojrzała na odchodzącego kelnera, dostrzegając brązowy kolor jego butów. W tym momencie niespodziewanie odwrócił głowę i popatrzył prosto na nią. Kiedy się zorientował, że to zauważyła, szybko odwrócił wzrok.

Jakaś dłoń lekko dotknęła jej ramienia i ktoś przyjacielsko ujął ją pod rękę.

- Widzę, że w końcu udało ci się tu dotrzeć.

Rozpoznając głos, Flame zamarła na sekundę, potem posłała ciepły uśmiech człowiekowi, który z pewnością był jej najważniejszym i najbardziej wpływowym klientem. Malcolm Powell wyglądał na swoje pięćdziesiąt



sześć lat - zbudowany potężnie i choć przeciętnego wzrostu, prezentował się bardzo okazale. Ciemne, gęste jak lwia grzywa włosy, poprządkane gdzieniegdzie srebrzystymi pasmami, tylko dopełniały obrazu człowieka ze stali. Niektórzy twierdzili, że w taki właśnie sposób zarządzał olbrzymią siecią sklepów, które odziedziczył i na których zbudował swoją reputację, choć obecnie stanowiły jedynie niewielką część jego ogromnego majątku.

- Nie wiedziałam, że wróciłeś, Malcolmie.

- Przyleciałem wczoraj wieczorem. - Jego szare oczy świdrowały ją w oczekiwaniu jakiejś reakcji, a kiedy nie znalazły nic poza spokojem, zapaliły się irytacją. - Zostawiłem wiadomość u twojej sekretarki, ale nie oddzwoniłaś.

- Byłam uwiązana przez całe popołudnie. Kręciliśmy reklamówkę. Nie miałam nawet czasu sprawdzić w biurze, czy nie ma dla mnie jakichś wiadomości. Nie chciałeś chyba zasugerować, że świadomie zignorowałam twój telefon.

Uzupełniła tę odpowiedź promiennym uśmiechem. Już dawno temu stwierdziła, że najlepszym sposobem radzenia sobie z Malcolmem Powellem jest nie pozwolić mu, by wprowadził ją w zakłopotanie. Umiarkowana konfrontacja była znacznie lepszym sposobem.

- Nie, niezupełnie.

- Miałeś do mnie jakąś sprawę?

Malcolm przeniósł spojrzenie na Ellery'ego.

- Przynieś Flame jeszcze jeden kieliszek wina. - Wyjął z jej dłoni kryształowy puchar i postawił go na lakierowanym blacie bocznego stolika. - I postaraj się, żeby tym razem był odpowiednio schłodzony.

- Wedle pańskiego życzenia! - Ellery schylił głowę w przesadnym geście uszanowania. - Chyba nawet przyprę do muru kelnera, żeby zademonstrować pańskie niezadowolenie. - A zwracając się do Flame, dodał: - Nie zajmie mi

to dłużej niż pięć minut.

Kiedy Ellery się oddalił, Flame odwróciła się do mężczyzny, który był motorem jej dotychczasowej kariery. Zawdzięczała mu bardzo wiele i Malcolm Powell był tego świadomy. Osiem lat temu została zatrudniona w agencji bynajmniej nie ze względu na swoje kwalifikacje czy dyplom akademicki. Pracowała dla nich jako dekorator okien wystawowych - z odpowiednim pochodzeniem i koneksjami towarzyskimi była kimś, kim mogli się pochwalić przed klientem podczas pokazów. Jakies pięć lat temu zobaczył ją Malcolm. W niecały rok później - na jego wyraźne życzenie - powierzono jej wszystkie sprawy firmy Malcolma. Oprócz tego on sam podsyłał jej innych klientów, w szczególności tych, z którymi robił interesy. Po trzech latach podlegały jej sprawy kilkunastu najważniejszych klientów agencji. Naturalnie awansowała na stanowisko zastępcy prezesa.

Przebiegła spojrzeniem po jego twarzy, obejmując wzrokiem szeroką, mocno zarysowaną szczękę, wysuniętą brodę z dołkiem pośrodku, głęboko osadzone szare oczy i nade wszystko siłę, która tak wyraźnie wyzierała z każdego szczegółu. Wdzięczność, uwielbienie, szacunek - czuła to wszystko - ale także odrobinę niechęci.

- Zjedźmy w poniedziałek kolację.

Forma zaproszenia lokowała je gdzieś pomiędzy żądaniem a poleceniem.

- Obiad we wtorek.

- Masz już jakieś plany na poniedziałkowy wieczór?

- Tak - skłamała.

- Nie, nie masz. Twoja sekretarka sprawdziła to na moją prośbę, gdy dzwoniłem dziś po południu. Zjemy kolację w poniedziałek wieczorem.

- Zjemy obiad. We wtorek - sprzeciwiła się. Raz jeszcze wróciło uczucie, że jest obserwowana, ale teraz nie mogła sobie pozwolić na dekoncentrację.

- Dlaczego zawsze musimy sprzeczać się o takie głupstwa? - mruknął z irytacją Malcolm. - Dlaczego nie możesz po prostu przystać na kolację w...

- We wtorek w porze obiadowej. Zrobiliśmy kilka zmian w projektach świątecznych reklam. Chciałabym je z tobą przejrzeć.

Spojrzenie szarych oczu Malcolma nabrało pożądanego wyrazu.

- Czy zawsze musimy rozmawiać o interesach, Flame? - zapytał, wpatrując się w nią intensywnie.

- Wiesz, że tak, Malcolmie.

Rozmowa przypominała setki poprzednich.

- Tak mówisz teraz, ale porozmawiamy o tym jeszcze we wtorek - ustąpił, potwierdzając to skinieniem głowy. - Wyślę po ciebie Artura punktualnie o dwunastej trzydzieści.

- Będę gotowa.

- Ja również.

Flame zdawała sobie sprawę, że we wtorek znowu będzie zmuszona pokazać Malcolmowi, kto jest silniejszy. I musiała przyznać, choćby tylko przed sobą, że jakaś część jej osobowości lubi te ich pojedynki i same spotkania z Malcolmem, które zawsze są wyzwaniem.

Kiedy wrócił Ellery, znów poczuła, że jest obserwowana.

- Wino dla jaśnie pani. - Podał jej oszroniony kieliszek. - Oziębione dokładnie do temperatury trzydziestu sześciu stopni Celsjusza. Czy może Fahrenheita?

- To drobna różnica, mój drogi - odparła, ukradkiem badając wzrokiem cały pokój. Tak jak przypuszczała, kelner w brązowych butach o jastrzębiej twarzy roznosił przekąski w drugiej części sali.

Kiedy odwracała od niego wzrok, inny mężczyzna zatrzymał jej spojrzenie. Stał po drugiej stronie pokoju, niedbale oparty o ścianę wyłożoną czerwoną

glazurą. Włosy miał tak czarne jak smoking, który miał na sobie. Pomimo sennej pozy wyglądał jak szczupła i smukła czarna pantera, w każdej chwili gotowa do skoku, w której wnętrzu kłębi się skumulowana energia.

Przyglądał się jej. Przełknęła łyk wina, nawet nie czując jego smaku, i uświadomiła sobie nagle przyśpieszenie pulsu. Zdawało jej się, że zna wszystkich obecnych, więc kim, u licha, jest ten mężczyzna? Spojrzała raz jeszcze, bezskutecznie przekonując samą siebie, że jej zainteresowanie to zwykła ciekawość. Nie spuszczał z niej oczu, odruchowo potakując stojącej obok kobiecie i podnosząc do ust kryształową szklanę. Teraz dopiero Flame przeniosła wzrok na drobną blondynkę obok niego. Jacqui Van Cleeve, dziennikarka. Kim jest ten facet? Z pewnością kimś ważnym.

- Malcolmie, znasz tego mężczyznę, który stoi obok Jacqui?

Ellery pośpieszył z odpowiedzią:

- Zdaje mi się, że słyszałem, jak ktoś mówił, że przyjechał tutaj z panną Colton.

- W takim razie to musi być Chance Stuart - konkludował Malcolm, wciąż usiłując zlokalizować parę.

- Chyba słyszałam już to nazwisko.

Ale Flame nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ani w jakich okolicznościach.

- Powinnaś - oświadczył Malcolm. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat Chancellor Stuart stał się jednym z największych inwestorów w kraju. Ma niesłychany talent bycia w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. - Malcolm zamyślił się. - Buduje teraz ten nowy kompleks wypoczynkowy w Tahoe. Ciekawe, co robi w San Francisco.

- Prawdopodobnie tego właśnie usiłuje się dowiedzieć nasza droga Jacqui - podsumował Ellery.

Powód, dla którego tu jestem, nie jest żadną tajemnicą, panno Van Cleeve. - Chance Stuart przelotnie omiótł spojrzeniem upartą blondynkę, przypominając sobie ostrzeżenie Lucianny, że dziennikarka jest znana z trzech rzeczy: świdrującego spojrzenia, spiczastego nosa i ostrego języka. Trudno było się z tym nie zgodzić - wszystko w tej kobiecie było ostre, nie wyłączając pytań.

- Może mi pan mówić po imieniu - zaproponowała. - Tak jak wszyscy.

- Pozwól więc, Jacqui, że jeszcze raz ci wyjaśnię. Wybierałem się właśnie do Tahoe, żeby skontrolować moją tamtejszą inwestycję, kiedy Lucianna wspomniała, że jedzie do San Francisco. Zaproponowałem jej, żeby poleciała ze mną, bo to prawie po drodze.

- Więc nie szuka pan tu nowych terenów?

- Nie po to tu przyjechałem, ale szukam zawsze. - Odruchowo zakręcił szklanką z whisky, przysłuchując się melodyjnemu podzwanianiu kostek lodu o kryształ. - Jeśli byłaby pani na wakacjach i przypadkowo natrafiła na jakiś „gorący” materiał na reportaż, czy zignorowałaby to pani?

- Nie - przyznała.

- Czy muszę coś dodawać? - Podniósł szklankę do ust i przechylił, a zimny trunk sącył się, powoli rozgrzewając mu gardło.

- Pan i panna Colton znacie się już od jakiegoś czasu?

- Tak, od dawna. - Opuścił szklankę i jego wzrok automatycznie podążył w kierunku oszałamiającej piękności o rudych włosach, stojącej w drugim końcu pokoju. Zwróciła jego uwagę już w chwili, kiedy weszła do pokoju. Poruszała się lekko kołysząc biodrami, co w połączeniu z szybkim rytmem kroków dodawało gracji subtelnym ruchom ciała. Sposób noszenia szerokich, prostych ramion zdradzał spokojną pewność siebie. Była kobietą w każdym

calu - długie nogi i koronkowa bielizna.

- Czy wolno mi wnioskować, że pana związek z panną Colton, pełen rozstań i powrotów, jest znowu na etapie powrotu? - spytała podchwytliwie felietonistka.

- Muszę panią rozczarować, Jacqui, ale cała ta historia rozstań i powrotów jest wyłącznie produktem ludzi pani profesji. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło w naszych stosunkach.

- Coś mi się zdaje, że zaraz zaczniesz mnie pan przekonywać, że jesteście tylko dobrymi przyjaciółmi. - Jacqui otwarcie szydziła.

- A to nie jest niestety dobry materiał na felieton?

- Jeśli jest prawdziwy...

Ignorując tę ostatnią uwagę, Chance podniósł szklanekę i wskazał na drugą stronę pokoju:

- Czy to nie Malcolm Powell?

Na zdjęciach majestatyczny król handlu detalicznego wydawał się nieco przysadzisty i srogi. W rzeczywistości wyglądał władczo i sprawiał wrażenie człowieka energicznego. Był elegancko ubrany i nieźle się prezentował, mimo ciężkawej sylwetki.

- Tak, to Malcolm - potwierdziła Van Cleeve. - Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że go tu dziś zobaczę. Diedre powiedziała mi, że wczoraj w nocy wrócił z podróży służbowej.

- Diedre? - Przesłał jej pytające spojrzenie.

- Jego żona.

- Czy to ona? - Wbił wzrok w rozmawiającą parę, czując nagły przypływ gniewu.

- Nie, to jest Flame. Flame Bennett.

Podczas krótkiej pauzy, która teraz nastąpiła, Chance poczuł, jak dzien-

nikarka bacznie obserwuje jego reakcję.

- Prawda, że wspaniała?

- Rzeczywiście.

Wciąż nonszalancko oparty o ścianę, przez następną chwilę rozkoszował się widokiem kobiety, tak trafnie nazwanej Flame, świadomy namiętnego, gorącego uczucia, które go ogarniało.

- Nie zapyta mnie pan o nią?

Kiedy padło to prowokujące pytanie, Chance wiedział już, że otrzyma od Jacqui Van Cleeve komplet wyczerpujących informacji na temat Flame Bennett. To był jej fach: zbieranie wszelkich możliwych informacji, faktów czy plotek, o każdej, choć odrobinę ważnej osobie. A skoro ma się taką wiedzę, trudno oprzeć się pokusie, żeby się nią nie podzielić.

- Uczono mnie, że to nieuprzejme, kiedy dżentelmen wypytuje o damę - ripostował gładko.

Jej krótki śmiech zabrzmiał szorstko i drażniąco.

- Słyszałam, jak oskarżano pana o wiele rzeczy, panie Stuart, ale nigdy o to, że jest pan dżentelmenem. Rzeczywiście ma pan dobre maniery, ogładę, jest pan odpowiednio ubrany, ale to nie wystarcza. Pan jest nieobliczalny. Nikt nie jest pewny, jaki będzie pański następny ruch, i zbyt szybko się pan porusza. I dlatego jest pan tak wspaniałym mężczyzną.

- Potraktuję to jako komplement.

Raz jeszcze poczuł, jak mu się przygląda, równocześnie nad czymś się zastanawiając.

- Interesujące będzie popatrzeć, jak się panu powiedzie z Flame.

- Dlaczego pani tak sądzi? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Ponieważ... jest w niej tyle kontrastów. - Skoncentrowała całą swoją uwagę na kobiecie, o której mówili. - Potrafi rozgorzeć jak płomień, który

użyczył koloru jej włosom, ale jednocześnie ma w sobie tyle spokoju, co zieleń jej oczu, i szybko zmienia nastroje. Wydaje mi się, że to się w pewnym sensie składa na fatalny urok, jaki rzuca na mężczyzn. Krążą dokoła niej jak ćmy. A ona pozwala im zbliżyć się do siebie tylko trochę, zawsze zachowując dystans.

- Dlaczego?

- Nie wiem na pewno, ale żadnego mężczyzny nie widuje się z nią dłużej. I nie wynika to chyba ze znużenia starym związkiem i z potrzeby odmiany. Żaden jej związek nie ma szansy się „postarzyć”. Ale tutaj znowu następny kontrast. Niewiele było tych jej romantycznych porywów. Więc nie można powiedzieć, żeby prowadziła się niemoralnie, choć z pewnością zachowuje się niekonwencjonalnie. - Zawahała się, po czym dodała: - Bardzo krótko była mężatką, jakieś dziewięć lat temu. Prawdopodobnie było to jedno z tak zwanych nieudanych małżeństw. Przynajmniej taka była oficjalna wersja.

- A nieoficjalna?

- Szczerze? Nigdy nie słyszałam nic, co pozwoliłoby mi sądzić inaczej - przyznała Van Cleeve. - Nieudane małżeństwo wielu kobietom odebrało ochotę, żeby ponownie próbować. Tu może być pies pogrzebany. A może powodem jest jej kariera.

- Czym ona się zajmuje?

Ostatnimi czasy kariery zawodowe były bardzo modne wśród dam z towarzystwa. Jednak z własnego doświadczenia Chance wiedział, że w pracy kobiety rzadko przekraczały granice dyletantstwa. Bawiły się w fotografowanie albo były modelkami, prowadziły galerie sztuki, sklepy z antykami albo małe ekskluzywne butikie, zwykle zarządzane przez kogoś innego.

- Flame jest zastępcą prezesa agencji reklamowej Boland i Hayes - odparła, po czym dodała: - Oczywiście jest tajemnicą poliszynela, że musi zarabiać na



życie, mimo że pochodzi z jednej z najstarszych rodzin w tym mieście. Zostali bez grosza. Bez wątplenia jest to upokarzające, ale mogę pana zapewnić, że nigdy z tego powodu nie cierpiała ubóstwa. Jak wszędzie, popłaca znać właściwych ludzi.

- Jak Malcolm Powell? - zgadywał Chance.

- Osobiście prowadzi jego sprawy. A ostatnio dużo się spekuluje na temat, czy czasem „osobiście” nie robi dla niego czegoś więcej.

Jakaś nutka w jej głosie kazała mu zapytać:

- Pani w to nie wierzy?

- Nie - przyznała. - Tak samo jak nie wierzę Diedre, która upiera się, że Malcolm żywi w stosunku do Flame ojcowskie uczucia. Ale cóż więcej może powiedzieć żona z trzydziestopięcioletnim stażem? Niech mi pan wierzy, jeśli jakiś ojciec patrzyłby w taki sposób na swoją córkę, trzeba by go natychmiast aresztować. On jej pragnie, ale jeszcze jej nie miał.

- Skąd ta pewność?

- Gdyby miała z nim romans, nie ukrywała by tego. To nie w jej stylu. - Jacqui zmarszczyła brwi, zdając sobie sprawę, że nie wyraża się jasno. - Chciałam powiedzieć, że jeżeli Flame zdecydowałaby się w ogóle na romans z żonatym mężczyzną, to nie po to, żeby mieć poczucie winy czy wyrzuty sumienia.

- A ten drugi mężczyzna obok niej? Czy to jej ostatnia zdobycz?

- Ellery Dom? Raczej nie. - Roześmiała się i wyjaśniła: - Każda mężatka w mieście wybiera Ellery’ego na swego towarzysza, kiedy męża nie ma pod ręką. Jest przystojny, dowcipny, ujmujący... i interesuje się chłopcami. Zaskoczony? - Spojrzała na niego porozumiewawczo. - Niech się pan nie przejmuj. Niewiele osób na to wpadło. Właśnie dlatego Ellery tak wspaniale nadaje się do pewnych celów.

- W takim razie jest tylko bezpieczną eskortą na przyjęcia.

Chance odnotował sobie tę informację razem ze wszystkimi poprzednimi. Im więcej dowiadywał się o Flame Bennett, tym bardziej go intrygowała.

- Są również dobrymi przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, to chyba najbliższy jej człowiek. On także jest wiceprezesem tej samej agencji, więc chyba wspólna praca ma tu jakieś znaczenie.

- Prawdopodobnie.

Odepchnął się lekko ramieniem od ściany i wyprostował.

- Skoro mówimy o przyjęciowych partnerach, Lucianna z pewnością już się zastanawia, co się ze mną stało. Miło było z panią pogawędzić, Jacqui.

- Mnie również. I od tej chwili z dużym zainteresowaniem będę obserwować pańskie postępy.

- Mam nadzieję, że niezbyt wnikliwie.

Odchodząc, jeszcze do niej mrugnął.

## 2

Flame dyskretnie obserwowała, jak Chance Stuart przeciska się pomiędzy gośćmi. Był wysoki, wyższy niż jej się w pierwszej chwili wydawało. Podobał jej się sposób, w jaki się porusza - trochę jak atleta - płynna koordynacja ruchów i niedbały wdzięk. A już z pewnością ma sylwetkę atlety: szerokie ramiona, wąskie biodra, gładkie, twarde mięśnie.

Kiedy stanął bliżej, mogła lepiej przyjrzeć się jego twarzy i ciemnoniebieskim oczom. Zrozumiała, że to ten kolor sprawia, iż jego spojrzenie poraża jak elektryczny wstrząs. Jak wyrzeźbiony w marmurze - gładkie, lecz grubo ciosane policzki i mocno podkreślona broda, nadawały jego rysom pewną surowość. Ale miał w sobie coś jeszcze, coś trudnego do określenia, co czyniło go niebezpiecznym mężczyzną, który jednym uśmiechem mógłby wydobyć głębokie westchnienia ze wszystkich kobiecych piersi w tym

pokoju.

Drgnęła lekko widząc, jak się od niej oddala. Nie miał zamiaru podchodzić. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie go poznać, aż do tej chwili, kiedy nagle poczuła się głęboko zawiedziona. Starła się nad tym zapanować. Jednocześnie czuła się zupełnie idiotycznie, jak ktoś o zbyt bujnej wyobraźni, ktoś, kto przyjmował za pewnik, że Chance Stuart będzie szukał z nią kontaktu. Zbyt wiele wyczytała chyba z jego spojrzenia i padła ofiarą schematu „wymiany spojrzeń z nieznanym przez zatłoczony pokój”. Byłoby to może nawet zabawne, gdyby nie czuła się tak bardzo zawiedziona.

Ale nie miała czasu na dalsze przemyślenia, ponieważ właśnie napotkała zimne spojrzenie Diedre Powell. Takie spojrzenia nie były niczym nowym. Większość zamężnych kobiet widziało w niej zagrożenie dla swego małżeństwa, a już szczególnie te starsze, jak Diedre Powell, których mężowie mieli za sobą pasmo pozamałżeńskich romansów.

I jak większość z nich, Diedre ratowała swoje małżeństwo uśmiechem i udawaniem, że o niczym nie wie - aż do dnia, kiedy zobaczyła w lustrze swoje odbicie - i w jej sercu zagościł strach. Teraz naciągnięto jej skórę, wygładzono policzki, zlikwidowano drugi podbródek, podniesiono powieki, a suknia od Chanel z błękitnej jedwabnej krepy spowijała figurę, która odzyskała wiele z dawnego wyglądu. Włosy znowu załśniły brązem - poza małym, białym kosmykiem nad czołem.

Ta kobieta żyła w swoim piekle. Flame zastanawiała się, czy Malcolm wie o tym, a jeśli tak, to czy rozumie? Miała wątpliwości. Głodne, zaborcze spojrzenie jego oczu otwarcie oznajmiało, że jej pragnie. Jednocześnie wiedziała, że to wcale nie oznacza, że chce rozwodu. Dla niego jedno z drugim nie miało nic wspólnego.

- A więc tu jesteś, Malcolmie?

Diedre prześlizgnęła się do nich z promiennym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Na jej szyi i w uszach błyskały szafiry Powellów.

- Przed chwilą szukał cię Sid Rayburn. Chyba mówił coś o spotkaniu w klubie żeglarskim, w czwartek.

- Tak, muszę z nim porozmawiać. Gdzie on jest? - Uniósł głowę, żeby lepiej zlustrować część pokoju za plecami żony.

- Kiedy widziałam go ostatnio, był gdzieś w okolicach jadalni. - Machnęła upierścienioną dłonią w tamtym kierunku.

Malcolm oddalił się, przelotnie dotykając ramienia żony, gdy ją mijał. Odwróciła się do Flame z ledwie dostrzegalnym błyskiem triumfu w oczach.

- Miło cię widzieć, Flame. Jak się miewasz?

- Jak zwykle... bardzo zajęta - odparła obojętnie, zdając sobie sprawę, że pod uprzejmą pogawędką kryje się gra pozorów.

- Tak słyszałam. - Na ułamek sekundy Diedre pokazała pazury, ale zaraz wsunęła je z powrotem, miło się uśmiechając.

Jeszcze parę lat temu zmartwiłaby się postawą Diedre, ale to się skończyło. Uodporniła się. Wszystkie żony nieodmiennie ją winiły, gdy tylko ich mężowie zaczęli się nią interesować - bez względu na to, czy ich do tego zachęcała czy nie. Przypuszczała, że łatwiej było winić „tę drugą”, niż przyznać się, że mąż ma skłonności do romansów. Nie było to sprawiedliwe, ale z drugiej strony, co w życiu jest sprawiedliwe?

Z oranżerii dobiegł dźwięczny śmiech, wznosząc się ponad szum rozmów. Spojrzenie Diedre Powell podążyło w tym kierunku.

- Zdaje mi się, że to Margo z panną Colton. Jakoś nie możemy się spotkać tego wieczoru.

Ruszyła, lecz mijając Flame zatrzymała się, kładąc dłoń na jej ramieniu, delikatnie zacisnęła palce w geście, który miał uchodzić za serdeczny uścisk.

Uśmiechając się do Ellery'ego, powiedziała:

- Powinien pan dopilnować, żeby Flame tak ciężko nie pracowała.

I zniknęła, pozostawiając za sobą gęsty zapach Giorgio.

- Cóż za troska, jakie zainteresowanie. Zdziwiający, prawda? - zakpił Ellery. - Bardzo lubię takie małe intymne spotkania jak to. Ty też? Prawdę powiedziawszy, lubię je tak bardzo, że aż muszę się napić czegoś mocniejszego niż wino. A ty?

- Nie, dziękuję, naprawdę nie trzeba. - Uśmiechnęła się, podnosząc do ust kieliszek wytrawnego Chardonnay.

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami i poszedł szukać barku.

Odprowadziła wzrokiem jego szczupłą sylwetkę, potem jej wzrok powędrował w kierunku słabo oświetlonej oranżerii, do której prowadziły przeszklone dwuskrzydłowe drzwi. Właśnie wyszedł tamtędy Chance Stuart, leniwie lustrując pokój. Na ułamek sekundy zamarła. Jeszcze jej nie zauważył i Flame wykorzystała to, żeby przyjrzeć się pięknym, zmysłowym rysom jego twarzy i lśniącym, hebanowym włosom, przystrzyżonym krótko, jakby z chęci poskromienia ich niesforności. Miał w sobie coś, jakąś werwę, która mówiła Flame, że Powinno się przy nim postawić znak ostrzegawczy informujący wszystkie nieostrożne kobiety, że oto jest mężczyzna szczególnie niebezpieczny dla zmysłów. Wciąż lustrując badawczo innych gości, sięgnął do czarnej wieczorowej marynarki i z wewnętrznej kieszonki wyjął złotą papierośnicę. Otworzył ją zręcznym ruchem, zawahał się i lekko odwrócił głowę, spoglądając prosto na nią:

- Papierosa? - Podsunął jej papierośnicę.

- Dziękuję, nie palę - odparła lekko potrząsając głową.

W kąciakach jego ust pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Proszę bardzo. - Nieznacznym ruchem dłoni Flame wskazała popielniczkę stojącą obok niej, na stoliku.

Przyglądała się jego mocnym opalonym palcom, kiedy wyjmował papierosa i podnosił go do ust. Były tak samo męskie i dobrze zarysowane, jak reszta jego sylwetki. Rozbłysł płomień, po czym zniknął zasłonięty jego zwiniętą dłonią, kiedy pochylił głowę, dotykając ognia końcem papierosa. Cienka smużka dymu powędrowała zakolami do góry. Flame podążyła za nią wzrokiem i raz jeszcze napotkała to leniwe spojrzenie błękitnych oczu, ciepłe i rozświetlone męskim uznaniem.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli sobie przedstawieni. - Błądził spojrzeniem po jej twarzy. Teraz już wyraźny ślad uśmiechu pogłębił bruzdy na jego gładkich policzkach. - Nazywam się Chance Stuart.

- Wiem - przyznała Flame i odwzajemniła uśmiech, odnotowując nie spodziewane i już niemal zapomniane uczucie gorąca, rozlewającego się po całym ciele. Już bardzo dawno żaden mężczyzna nie wywołał u niej takiej reakcji.

Uniósł brew.

- W takim razie ma pani nade mną przewagę. - Miał niski głos i odrobinę przeciągał słowa.

- Z tego, co o panu słyszałam, panie Stuart, zdarza się to rzadko - odparła, łagodząc uśmiechem ostrą uwagę. - Nazywam się Flame Bennet.

- Flame... - Powiedział to tak, jakby smakował dźwięk jej imienia, patrzył na jej płomiennie rude włosy. - To znacznie bardziej oryginalne niż Ruda.

- Może jestem oryginalna, podobnie jak pan.

- Nie będę zaprzeczał. Prawdę mówiąc, to pierwsza rzecz, jaką w pani dostrzegłem. - Miał niejasne wrażenie, że każda jego uwaga, każde spojrzenie były przez nią oceniane. Bez względu na to, jak duże robił na niej wrażenie.

nie - a robił - cały czas miała się na baczności. I był to ten rodzaj czujności, który niewielu mężczyznom udaje się sforsować. Przypomniawszy sobie, co Jacqui Van Cleeve mówiła o niej i Malcolmie Powellu. Powell był człowiekiem, który zawsze dostaje to, czego chce, a ta kobieta zdołała mu się oprzeć.

- Czy to naprawdę była pierwsza rzecz, jaką pan we mnie zauważył?

Uśmiech, czający się w kącikach jej ust, przyciągnął jego spojrzenie do jej warg, miękkich i pełnych, a jednak zdecydowanych.

- A druga? - spytała prowokacyjnie.

- Druga? To było nie tyle spostrzeżenie, co świadomość, że chciałbym panią częściej widywać.

Spojrzała na niego odrobinę kpiąco, ale z pewną zachętą w oczach, i roześmiała się miękko.

- Mam wrażenie, że pan mnie uwodzi, panie Stuart.

- Nie. Ja tylko informuję panią o moich zamiarach. A na imię mam Chance.

Dostrzegł niewielką szczelinę w fortyfikacji - tłące się w jej oczach zadowolenie i zachętę dla jego zainteresowania - zanim nie przesłoniła wszystkiego zasłona długich rzęs.

- Widzę, że uczciwie pracuje pan na swoją reputację. Nie traci pan czasu, panie... Chance? - Świadomie zawahała się przed zwróceniem się do niego po imieniu, a kiedy je wymawiała, oddzieliła je od reszty zdania i jej ton stał się bardziej miękki.

- Czy to pani przeszkadza?

- To bardzo zasadnicze pytanie - odparła wymijająco.

- Dlatego właśnie je zadałem. - Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się przewrotne i kpiące ogniki.

- Czy długo zostanie pan w San Francisco?

- Nie tym razem. Muszę lecieć jutro z samego rana. - Żałował tego,

studiując złocistorude włosy, które okalały jej twarz kaskadą spływających fal. Już sam ich kolor robił oszałamiające wrażenie, które wzmagała jeszcze śnieżna biel karnacji. Zastanawiał się, czy jej skóra jest tak gładka w dotyku, na jaką wygląda. Powoli przeniósł wzrok na sukienkę, wykończoną lśniąca, haftowaną czarnymi perełkami koronką. Gdzieniedzie większe oczka pozwalały dojrzeć nagie ciało.

- Piękna sukienka. - Niemal odruchowo przesunął końcem palca wzdłuż rękawa, czując ciepło ciała Flame i jej nagłe napięcie. Podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy.

Odpowiedziała mu ożywionym spojrzeniem.

- Co takiego jest w czarnej koronce, że tak rozpala mężczyzn? - zastanawiał się głośno.

- Wydaje mi się, że łatwiej ci będzie odpowiedzieć na to pytanie niż mnie, bo z całą pewnością jesteś mężczyzną.

- Zauważyłaś!

- Jak wszystkie inne kobiety w tym pokoju. - Roześmiała się ciepło.

- Przepraszam pana - przeszkodził im kelner. - Czy pan Stuart?

- Tak. - Sięgnął do kryształowej popielniczki i zgasił w niej papierosa.

- Telefon do pana. Aparat telefoniczny znajduje się w holu. - Kelner odsunął się o krok, wciąż nie podnosząc wzroku. - Proszę pójść za mną.

Chance spojrział przelotnie na Flame.

- Muszę cię przeprosić.

- Ależ oczywiście - odparła i cień żalu przemknął w jej uśmiechu.

Skinieniem głowy dał znak kelnerowi, żeby pokazał mu drogę. Próbował odgadnąć, kto dzwoni - szczególnie tutaj. W hotelu nie zostawił informacji, gdzie go szukać. Ale Sam mógł go tu odnaleźć.

Sam Weber zajmował stanowisko pierwszego zastępcy prezesa w Kor-



poracji Stuarta, ale jego rola była znacznie większa. Weber był jego prawą ręką, człowiekiem do wszystkiego, jego podporą- tak jak wtedy, gdy służyli razem w Wietnamie, potem na studiach i w końcu w interesach. Chance zawierał kontrakty, a Sam dopinał wszystko na ostatni guzik.

To z pewnością Sam. Któż by inny? Lecz jeśli to Sam, coś musiało się stać.

Kelner zatrzymał się obok prostokątnego wejścia do holu i wskazał niewielki, nowoczesny stolik stojący na prawo przy ścianie.

- Tu jest telefon, proszę pana.

Chance natychmiast zauważył brązową słuchawkę leżącą na stoliku obok telefonu i skinął głową kelnerowi. Lawirując pomiędzy rozsiewającymi słodkawogorzki zapach gałęziami, zwieszającymi się z seledynowej wazy umieszczonej na środku holu, podszedł do stolika i podniósł słuchawkę.

- Halo... - Zanim zdążył się przedstawić, przerwał mu głos z drugiej strony.

- Sporo czasu zajęło ci podejście do telefonu, Stuart.

Chance zamarł, w jednej chwili rozpoznając ten charakterystyczny, chrapliwy głos, który niósł ze sobą ostry powiew whisky, ten ton, jak zawsze wrogi i krytyczny.

- Jak się miewasz, Hattie? - wydusił z siebie, czując że ogarnia go dobrze znana fala palącego gniewu i cierpkiej urazy. Trzydzieści lat temu przestał się zwracać do niej „ciociu Hattie”.

- Jak widzisz, ciągle żyję - padła wyzywająca odpowiedź.

Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić, stojącą tutaj przed nim; powykrzywiane palce ściskające złotą gałkę laski, ciemne, płonące nienawiścią oczy, białe włosy falujące wokół twarzy naznaczonej bruzdami rozgoryczenia. W jego pamięci nie zachowało się ani jedno wspomnienie Hattie uśmiechającej się do niego czy choćby spoglądającej z odrobiną czegoś, co mogłoby uchodzić za aprobatę.

- Jestem u ciebie w hotelu - oznajmiła. - I oczekuję cię tutaj dokładnie za dwadzieścia minut.

Po tym władczym żądaniu usłyszał szcęk odkładanej na widełki słuchawki. Przez chwilę stał nieruchomo, sparaliżowany zimną wściekłością, która się po nim rozlewała. Potem szybko uderzył w widełki telefonu, rozłączając rozmowę. Począł na sygnał i wykręcił numer prywatnego telefonu Sama. Słuchawkę podniesiono po pierwszym sygnale.

- Sam Weber. Słucham.

- Sam, tu Chance.

- Chance. - W jego głosie wyraźnie zabrzmiało zdumienie. - Miałem zamiar skontaktować się z tobą, po rozmowie z...

- Hattie właśnie do mnie zadzwoniła. Jest tutaj, w San Francisco.

- A więc tam pojechała - wymamrotał Sam. Dało się słyszeć głośne skrzypnięcie jego biurowego krzesła, kiedy wyciągał się na oparciu.

- Co się tam u was dzieje? - Chance zażądał wyjaśnień.

- Właśnie to próbuję ustalić - odparł Sam, ciężko wzdychając. - Wiem, że dziś rano spotkała się ze starym Benem Canonem. Konferowali zamknięci w jego biurze adwokackim około dwóch godzin. Kiedy jej kierowca przyjechał, żeby odwieźć ją do Morgan's Walk, powiedziano mu, że wzięła taksówkę i pojechała na lotnisko. Sprawdzamy listy pasażerów każdego samolotu, jaki dzisiaj wyleciał z Tulsy. - Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. - W tej sytuacji ten problem mamy już chyba z głowy.

- Skąd wiedziała, gdzie jestem? - Chance zmarszczył brwi, werbalizując jedno z pytań zaprzatających teraz jego myśli. - I dlaczego chce się ze mną zobaczyć?

- I co wspólnego z jej podróżą miała wizyta u Canona? - dodał Sam. - Chance, coś mi się tu nie podoba. Chciałbym wierzyć, że w końcu postano-

wiła zawrzeć pokój, ale jakoś nie mogę.

- Ani ja. - Nagle przejęła go groza. - Być może Canon dowiedział się, że towarzystwo akcyjne, które wykupiło ziemie Turnerów, należy do mnie.

- Na to potrzeba by geniusza od spraw korporacji, żeby dokopał się do tego aktu własności i powiązał go z tobą. Ben jest sprytny, ale jego wiedza na temat prawa korporacji jest równie staroświecka, jak on sam.

Chance nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Nie ma sensu zastanawiać się teraz, dlaczego tu przyjechała. Będę to wiedział z pierwszej ręki za dwadzieścia pięć minut - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

- Dobrze.

Słyszając dźwięk przerwane połączenia, Sam Weber powoli odłożył słuchawkę na widełki; ignorując ostrzegawcze skrzypnięcie, wyciągnął się na obrotowym fotelu i w zamyśleniu potarł dłonią usta.

- A więc... gdzie ona jest?

Zaskoczony tym niecierpliwym pytaniem, spojrział na rumianą kobietę siedzącą po drugiej stronie biurka. Przez chwilę zapomniał, że nie jest sam. Na myśl o tym, że może zawsze liczyć na Molly Malone, na jego twarzy zawitało coś w rodzaju uśmiechu. Molly była sekretarką Chance'a i jego najbardziej oddanym poplecznikiem, o czym zawsze powinien pamiętać.

Sam pochylił się do przodu i opuścił rękę na biurko:

- W San Francisco.

- Co? Dlaczego? - Molly rzuciła gniewne spojrzenie, które zmaćło jej naturalny, dobrotliwy wyraz twarzy. Sam nie dawał się zwieść pulchnej i radosnej powierzchowności Molly, wiedział, że za tymi brązowymi oczami spaniela skrywał się umysł ostry jak brzytwa. Trudno było przechytrzyć tę

kobietę. Jeśli miała jakiś słaby punkt, to był to Chance. Doglądała go jak własnego dziecka. Czasami nawet pokazywała z dumą siwe pasma w swoich orzechowych włosach oznajmiając, że Chance jest przyczyną każdego z nich.

- Co się tam dzieje? - zapytała.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Odgarnął z czoła niesforny kosmyk jasnych jak piasek włosów, zaczesując go palcami do tyłu. Lecz, jak cała reszta jego sterczących na wszystkie strony kędziorów, i ten nie poddał się i szybko opadł z powrotem.

- Zadzwoń do Chance'a i oświadczyła, że chce się z nim zobaczyć. Właśnie do niej jedzie.

- Taa... waham się, czy nazwać tę podłą, starą wiedźmę kobietą. To hańba dla mojej płci - oświadczyła z irytacją Molly. - Ale wspomnisz jeszcze moje słowa: ona coś knuje.

- Zgadzasz się z tobą. - Odruchowo spojrzął na oprawione fotografie żony i dzieci, którymi zastawione było jego biurko. - Ale co?

Krótko po odejściu Chance'a powrócił Ellery.

- Nie będę pytał, czy ci mnie brakowało. Zauważyłem, że miałaś towarzystwo. Czy to możliwe, że niezrównany Chance Stuart jest przyczyną tych rumieńców? - mruknął półgłosem, unosząc brew. - Nie mogliście od siebie oderwać oczu.

- Jak zwykle przesadzasz, Ellery. - Tak właśnie się czuła, ale nie puszczała, że to widać.

- Czyżby? Chcesz przez to powiedzieć, że nie zrobił na tobie żadnego wrażenia?

- Może przestałbyś wkładać mi w usta różne rzeczy, jesteś nieznośny. - powiedziała z przekonaniem. - Zafascynował mnie i to na razie wszystko.

- Jeśli tak twierdzisz.

- Właśnie tak. - Uśmiechając się, Flame starała się nie tracić z oczu wejścia do gościnnego pokoju, pewna, że Chance lada chwila się tam pojawi.

Lecz niespodziewanie widok przesłoniła jej Lucianna Colton, która wyłoniła się z oranżerii, otoczona tłumem wielbicieli. Zatrzymała się na chwilę, rozglądając się po pokoju, jakby kogoś szukała.

- Wiem, że Chance był tutaj jeszcze przed chwilą- rzuciła bezosobowo, po czym zwróciła do Flame uśmiechniętą twarz, świdrując ją swoimi ciemnymi oczami. - Czy to nie z panią rozmawiał?

Zanim Flame zdążyła wyjaśnić, że poszedł do telefonu, Chance stanął w drzwiach.

- Jest tam, Lucianno. - Pamela DeBorg odwróciła od Flame uwagę primadonny.

Odszukał ją spojrzeniem, przez chwilę zatrzymał wzrok na jej twarzy, po czym przeniósł oczy na zmierzającą w jego kierunku Lucianę. Flame obserwowała z niechęcią, jak odciągnął ją od reszty towarzystwa i rozprawiał z nią o czymś na boku. Przyglądała się dwóm czarnym głowom pochylonym ku sobie. Lucianna uśmiechnęła się i skinieniem odpowiedziała na pytanie Chance'a. Uniosła dłoń i delikatnie pogładziła go po policzku, zupełnie jakby miała do tego prawo.

Kiedy przyłączyli się do innych gości, dłoń Chance'a powędrowała po plecach Lucianny przez głęboki dekolt z tyłu sukni i ze swobodą wskazującą na długotrwałą poufałość objęła jej talię. Widząc to, Flame zaczęła się zastanawiać, czy mówił poważnie to wszystko, co od niego usłyszała. Może była to tylko zabawa, sposób na zabicie czasu. Nie, to niemożliwe, a jednak... A może sobie na to zasłużyła. Jedno było pewne - upojenie, jakie przed chwilą odczuwała, zniknęło bez śladu.

Usłyszała niewyraźnie, jak żegnali się z gospodarzami. Na czyjeś protesty, że jest stanowczo zbyt wcześnie, by wychodzić, Chance odpowiedział:

- Dla was może tak, ale musicie pamiętać, że Lucianna wciąż jeszcze funkcjonuje według nowojorskiego czasu, a jutro ma próby. Znam ją, jeśli zostanie tu dłużej, zachrypnie od mówienia. Nie możemy do tego dopuścić.

Zanim wyszli, przez jedną krótką chwilę ich oczy spotkały się, lecz tym razem Flame nie była już tak naiwna, żeby przywiązywać do tego jakąś wagę.

Dokończyła wino i odstawiła kieliszek na tacę przechodzącego kelnera. Gdy odwracała się do Ellery'ego, zauważyła, że Diedre Powell spogląda w jej stronę. Pomyślała, że pewnie Malcolm jest gdzieś w pobliżu i westchnęła cicho.

- Chodźmy już, dobrze? Miałam dziś pracowity dzień i jestem zmęczona.

O dziwo, była to prawda. Poczowała się fizycznie i emocjonalnie wyprana. Ellery sprawiał wrażenie, jakby miał właśnie zamiar wygłosić jeden ze swoich zjadliwych komentarzy, ale widać zmienił zdanie, bo nic nie powiedział.

- Tak, to był męczący dzień - zgodził się. - Idź przeprosić i pożegnać gospodarzy, a ja tymczasem przyprowadzę samochód.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się ze zmęczeniem.

- Przyjadę po ciebie przed wejście powiedzmy o... - Odsunął mankiet marynarki, żeby popatrzeć na zegarek, po czym zawahał się, spoglądając na coś leżącego na podłodze u stóp Flame. - Czy ta karteczka należy do ciebie?

- Jaka karteczka? - Flame cofnęła się o krok, podczas gdy Ellery schylił się i podniósł papier, starannie złożony na pół. Rozłożył.

- Naprawdę tajemnicze - wymamrotał, unosząc do góry brew.

- Co takiego?

Zawahał się, w końcu wręczył jej karteczkę.

- Jak dobrze pomyśleć, to może być do ciebie.

- I kto tu jest tajemniczy? - zbesztła go i zamarła czytając pośpiesznie nabazgrane słowa: *Trzymaj się od niego z daleka!*

- Krótkie i ujmujące, nieprawdaż? - mruknął Ellery.

- Bardzo - przyznała z napięciem Flame i rzuciła ostre spojrzenie w kierunku Diedre Powell. Jednak, nawet jak na nią, wydawało się to zbyt dziecinne. Lecz jeśli nie ona, to kto?

- Przepraszam. - Ellery popatrzył na nią zatroskanym wzrokiem. - Nie powinienem był ci tego pokazywać.

- Nic się nie stało. - Zacisnęła palce na skrawku papieru i zmiała go w dłoni. - To nic takiego, Ellery, to nieważne.

- Oczywiście.

Oboje wiedzieli, że jest to skarga dziecka. Dorosły byłby mądrzejszy.

### 3

Kiedy limuzyna ruszyła, Chance wpatrywał się we mgłę kłębiącą się za przyciemnionymi szybami, wciąż usiłując rozwiązać łamigłówkę niespodziewanego przyjazdu Hattie. Nie widział żadnego logicznego wytłumaczenia dla tej eskapady przez pół kontynentu. Powodem nie była na pewno chęć zobaczenia się z nim. Hattie Morgan - znał ją dobrze - prędzej wysłałaby go do wszystkich diabłów.

Usłyszał ciche westchnienie i nieznaczne poruszenie - to Lucianna sadowiła się wygodnie na pluszowym siedzeniu.

- Cieszę się, że udało się nam wymknąć wcześniej z przyjęcia. - Ujęła dłoń Chance'a i splótła jego palce ze swoimi. - Te uroczystości są nieraz takie męczące.

- Szczególnie te niekończące się komplementy. - Przesłał jej rozbawione

spojrzenie.

- Nie to. - Lekko trąciła go w ramię karcącym gestem. - To jest ta część, którą lubię.

- Tak mi się też wydawało, moja ty primadonno.

Uśmiechnęła się i nie odpowiedziała; zamyśliła się tylko i odchyliła głowę do tyłu, składając ją na oparciu i ukazując długi, mlecznobiały łuk szyi.

- To właśnie odgrywanie roli primadonny tak mnie czasem męczy. Nie tylko musisz się odpowiednio przebrać, ale jeszcze odegrać rolę. Zawsze miła, zawsze uśmiechnięta i przyjacielska, ale trochę na dystans, bo inaczej całe wrażenie tajemniczości rozplynie się jak mgła. A co najistotniejsze, primadonna musi zachować rezerwę wobec krytyki. Tylko się uśmiechać i nigdy nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją coś zabolalo.

- Dobrze sobie z tym radzisz. - Chance przyglądał się masce tupetu i pewności siebie, która stała się jej drugą skórą. Niewiele było podobieństw między siedzącą obok niego kobietą a dziewczyną z jakiejś górskiej wsi w Arkansas, którą spotkał po raz pierwszy piętnaście lat temu, kiedy śpiewała w zadymionym barze. Tę dziewczynę miał na myśli pastor mówiąc, że to anioł śpiewa w jego chórze. Wszystko to pozostawiła za sobą dawno temu, razem z silnym, wiejskim akcentem i imieniem i nazwiskiem - Lucy Kowalski. Dziś tylko nieliczni domyślają się jej pochodzenia - podobnie jak i jego.

- Jeśli mam być szczerą - z westchnieniem zrzuciła z nóg satynowe pantofelki, dobrane specjalnie pod kolor purpurowej sukni - jestem znużona tym ciągłym uśmiechaniem się. Nie wiem, co bardziej mnie boli, mięśnie twarzy czy stopy. - Odwróciła głowę z nieśmiałą prośbą w spojrzeniu: - Pomasujesz mi je?

- Policzki? - Chance uśmiechnął się, udając, że nie zrozumiał.

- Wspaniały pomysł, kochanie. - Wyswobodziła dłoń z uścisku i lekko



pogładziła go po policzku. - Dlaczego nie zaczniesz od stóp? Potem będziesz się posuwał do góry - zaproponowała, podwijając nogi i klękając na siedzeniu, zwrócona do niego twarzą. - Tak właśnie kiedyś robiłeś, pamiętasz?

- Nigdy nie pozwolił mi tego zapomnieć.

Lecz nie sprzeciwił się, kiedy ułożyła się w pozycji półleżącej i oparła nogę w pończosze na jego udzie. Odruchowo objął dłońmi stopę i zaczął ugniatać jej spód, przesuując kciukiem wzdłuż podbicia.

- Uhummm, cudownie, Chance.

Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Zaległa cisza. Dopiero po jakimś czasie Lucianna zagadnęła:

- Kiedy to było, dziewięć czy dziesięć lat temu, gdy udało ci się zawrzeć pierwszą naprawdę ważną transakcję, tę, która przyniosła ci ponad milion dolarów czystego zysku?

- Prawie dziesięć. - Uniósł do góry jej stopę i położył ją na siedzeniu. Ochoczo podsunęła drugą.

- Cieszyłam się razem z tobą. Na swój sposób. - Niezdecydowana, wzdusiła ramionami. - Ale też nienawidziłam cię. Tobie się udawało, a mnie nie.

- Wiem. - Właśnie po tym się rozstali. Przestali być kochankami, a zazdrość nadszarpnęła nawet ich przyjaźń.

- Teraz i mnie się udało. - W jej głosie zadźwięczała satysfakcja. - Limuzyny z szoferami, futra z soboli, suknie od wielkich projektantów, własny fryzjer, wszystko w najlepszym gatunku, wszystko, co ciągnie za sobą sukces. Mam trzydzieści pięć lat. To na szczęście niewiele jak na operową śpiewaczkę. Zachowam głos jeszcze przez jakieś piętnaście lat, nawet dłużej, jeśli będę uważała. Ale wiesz, Chance, co w tym wszystkim jest najzabawniejsze? Mam wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, a

jednak przy tobie zdałam sobie sprawę, jak samotna byłam... i jestem przez cały ten czas.

- Samotna? - Spojrzał na nią sceptycznie. - Z całą tą czeredą pokojówek, fryzjerów i akompaniatorów, których masz przy sobie w podróży? To niemożliwe.

- Ale to prawda. Nie są mi tak bliscy jak ty. Powinniśmy się pobrać, Chance.

Jego kciuk znieruchomiał nagle w pół drogi. Potem powędrował dalej swoim torem w kierunku pięty.

- I co dalej? Spotykać się na lotniskach? Wiesz, jak dużo podróżuję. A sama powiedziałaś, że masz ustalony harmonogram występów... do kiedy? Ponad sto występów tylko w przyszłym roku. Niewiele by wyszło z tego małżeństwa, nie sądzisz?

- Ale widzisz, Chance, ty rozumiesz, jak wiele znaczy dla mnie moja praca. Jeśli wyjdę za kogoś innego, będzie się sprzeciwiał moim podróżom. Może nie na początku, ale z czasem na pewno. Widziałam, jak to było z innymi, ze śpiewakami i śpiewaczkami. Ale tobie by to nie przeszkadzało. Musisz przyznać, Chance, że pasujemy do siebie.

- Tak naprawdę, wcale nie chciałabyś wyjść za mnie, Lucianno.

A jednak rozumiał, co chciała powiedzieć. Po latach znajomości dobrze się ze sobą czuli, jak dwoje starych przyjaciół. Odgrywali role kochanków, żeby za chwilę z nich zrezygnować, bo tak było najprościej. Wiedział, że w jej ramionach znajdzie komfort i uczucie - bez żadnych z jej strony wymagań, żadnych zobowiązań czy oczekiwań.

- Zbyt dobrze się znamy - dokończył.

- Czy to źle? Ty i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni.

- Pomówmy otwarcie, Lucianno. Chciałabyś mieć męża, który cię znał

jeszcze jako Lucille Kowalski, dumną i ambitną, ale nic nie znaczącą? Obydwoje zaczęliśmy od zera i pracowicie wdrapywaliśmy się na szczyty. Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi. To wszystko zostawiliśmy za sobą. Nie chcę, by te wspomnienia wracały do mnie każdego ranka. Ty chyba też nie.

- Nie zniosłabym tego - powiedziała z naciskiem, odwracając głowę i prezentując swój władczy profil. - Chociaż zdawało mi się, że to dobry pomysł - dodała trochę smutno.

Spoglądając na nią i delektując się komfortem tej przyjaźni, pomyślał o Flame, o intrygującej zieleni jej oczu, o pięknie rzeźbionych rysach twarzy, o jej powściągliwości, pod którą kryło się niewyczerpane źródło emocji. Była kobietą o silnej woli, może nawet silniejszej niż jego. Już choćby to stanowiło wyzwanie, ale nie było jedyną przyczyną jego zainteresowania - związało się między nimi jakieś porozumienie. W ciągu tych kilku minut, które spędził w jej towarzystwie, wzbudziła w nim coś więcej niż pożądanie.

A potem ten telefon od Hattie. Czego ona, u diabła, chce? Spochmurniał i zmarszczył czoło.

- Limuzyna szerokim łukiem wjechała na podjazd przed hotelowym wejściem; jej światła zmagaly się z lekką, mleczną mgiełką. Wyrwany z zamyślenia, Chance ostatni raz ucisnął obleczoną w jedwabną pończochę stopę Lucianny i zsunął ją ze swoich kolan.

- Lepiej włóż buty. Jesteśmy na miejscu.

- Muszę? - Raz jeszcze w jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie. Lecz gdy wyszła z limuzyny, stopy miała znowu wciśnięte w czerwone pantofelki.

Ich apartamenty znajdowały się na tym samym piętrze, w przeciwnych końcach korytarza. Kiedy wysiedli z windy, Lucianna zatrzymała się na moment i przysunęła do Chance'a, leniwie wodząc palcem wzdłuż klapy jego marynarki. Spojrzała mu zachęcająco w oczy.

- Twoje spotkanie w interesach nie będzie zapewne trwało dłużej niż godzinę? Mam butelkę Taittingera, właśnie chłodzi się w moim pokoju.

Chance zatrzymał wzrok na jej pełnych wargach. Była zmysłową kobietą wprawioną w dostarczaniu mu rozkoszy. Dwie godziny temu - może nawet później - uznałby to za naturalne zakończenie wieczoru. Spędziłby godzinę lub dwie w jej łóżku. Lecz teraz nie mógł odnaleźć w sobie cienia zainteresowania.

- Innym razem - wykręcił się.

W jej uśmiechu pojawił się odcień żalu; oczy miała zamysłone.

- Zawsze będzie ten następny raz, prawda?

- Tak - przyznał uzmysławiając sobie, że za każdym razem, kiedy się rozstawali, mieli spokojną pewność, że znowu się spotkają, umówieni czy też nie.

- Do zobaczenia. - Wspięła się na palce i podsunęła mu usta, by przywołać stare odruchy namiętym pocałunkiem. Chance odwzajemnił go odruchowo, zaprzątnięty nieuniknionym spotkaniem z Hattie.

Odwrócił się od Lucianny i, zanim ruszył korytarzem do swojego apartamentu, zapomniał o jej istnieniu. Wszystkie jego myśli skupione były na Hattie Morgan, która raz jeszcze je zdominowała, tak jak kiedyś dominowała nad nim. Ale to skończyło się dawno temu.

Czy aby na pewno? Wymuszony uśmiech ściągnął mu kąciki ust - zdał sobie sprawę, że znowu usłuchał jej rozkazu i właśnie podąży na jej wezwanie. Tym razem jednak robił to z własnej woli. Musiał się dowiedzieć, po co przyjechała do San Francisco. Zawsze sądził, że nic oprócz perspektywy rychłej śmierci nie zmusi jej do opuszczenia posiadłości Morgan's Walk. I bardzo się pomylił.

Włożył klucz do zamka i przekręcił. Kiedy otworzył drzwi, usłyszał cichą

muzykę dochodzącą gdzieś z głębi pokoju. Dźwięki skrzypcowej symfonii były kojące, tak samo jak światło w pokoju gościnnym, pozostawione prawdopodobnie z uprzejmości przez pokojówkę z nocnej zmiany. Wszedł do środka i właśnie zaczął wsuwać klucz do kieszeni, kiedy usłyszał jakieś poruszenie.

Hattie siedziała na krześle z oparciem, zwrócona twarzą do wejścia i do niego. Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, odnotowując podróźny kostium z innej epoki wykończony futerkiem z norek i praktyczne pantofle na niskim obcasie. Jej krótkie niebieskawobiałe włosy okalały twarz miękkimi falami. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak każda inna ukochana cioteczka, potem dopiero rzucała się w oczy sztywność sylwetki, nienaturalnie wyprostowane ramiona i dłonie w rękawiczkach, które dzierżyły laskę niczym królewskie berło.

- Spóźniłeś się. - W jej zachrypniętym głosie więcej było oskarżenia niż żalu.

- Owszem. - Jakiś mięsień zadrgał w twarzy Chance'a, kiedy przypomniał sobie wykrzywioną bólem twarz ośmioletniego chłopca, zaszokowanego jadowitością jej języka i nienawiścią tłącą się w tych pociemniałych oczach. Popatrzył na drugie krzesło ustawione naprzeciw Hattie i ruszył do małego barku.

- Będę musiał porozmawiać z portierem na temat wpuszczania obcych kobiet do mojego pokoju. - Wziął karafkę i nalał sobie do koniakówki odrobinę brandy. - Jak ci się to udało, Hattie? Czy przekonałaś go, że jesteś moją ukochaną cioteczka? - Szydźił, kołyszając kieliszkiem, który ogrzewał w dłoni.

- To było znacznie łatwiejsze. Po prostu przekupiłam pokojówkę, żeby mnie tu wpuściła. Nigdy nie muszę odwoływać się do kłamstwa, żeby dostać

to, co chcę. Nie nazywam się Stuart.

Uśmiechnął się, chociaż ani trochę go to nie rozbawiło. Czuł jedynie zimny gniew, kiedy odchodził od barku.

- Musisz mi jeszcze wyjaśnić, Hattie, czemu zawdzięczam tę wątpliwą przyjemność spotkania z tobą?

Z satysfakcją przyglądał się, jak jej wargi zacisnęły się w jeszcze cieńszą linię.

- Jesteś, jak widzę, bardzo pewny siebie - zauważyła. - Wydaje ci się, że nie mam innego wyjścia, jak tylko zostawić ci Morgan's Walk?

- Męczy cię to, prawda? Myśl o tym, że Morgan's Walk przejdzie w ręce Stuarta. Ale jesteś ograniczona warunkami aktu dziedzictwa tej posiadłości. Wraz z twoją śmiercią musi przejść na własność kogoś z rodziny. Jeśli nikt taki się nie znajdzie, stanie się własnością stanu Oklahoma. Ale to nie wchodzi chyba w rachubę? - Przerwał na chwilę, pociągając mały łyk brandy, która łagodnie paliła mu powierzchnię języka. - Szkoda, że nie miałaś własnych dzieci, Hattie. Nie miałabyś wtedy przed sobą perspektywy pozostawienia posiadłości siostrzeńcowi, którego nienawidzisz.

Oboje wiedzieli dobrze, że Hattie w wyniku ran odniesionych w młodości po upadku z konia nigdy nie mogła mieć dzieci. Chance pamiętał mgliście jedną z nielicznych kłótni pomiędzy swoim ojcem i Hattie, w trakcie której ojciec wymyślał jej wulgarnie i wykrzykiwał, że nie jest w pełni kobietą, że jest przesiąknięta goryczą i zawiścią, bo nigdy nie będzie mogła urodzić własnego dziecka. Dopiero, gdy był dużo starszy, zrozumiał, co to oznacza. Dowiedział się także, że nienawiść Hattie miała znacznie głębsze podłoże.

- Morgan's Walk nic dla ciebie nie znaczy. - Było to bardziej stwierdzenie niż oskarżenie.

- Mylisz się, Hattie - powiedział łagodnie. - Wiele wspomnień łączy mnie z

tym miejscem, gdzie spędziłem jedenaście lat życia... z miejscem, gdzie umarła moja matka. Jej ciało jeszcze nie ostygło, kiedy nas stamtąd wyrzuciłaś.

- Wyrzuciłam wędrownego wilka i jego pomiot. Gdyby nie moja siostra, zrobiłabym to znacznie wcześniej. - W wyrazie jej twarzy nie pojawił się nawet cień skruchy.

- I ani na chwilę nie pozwalalaś nam o tym zapomnieć. Nawet mojej matce nie dałaś spokojnie umrzeć. - Powróciło wspomnienie całego żalu.

- Inni może dają się nabrać na twoje wytworne stroje, na twój wdzięk i czarujący uśmiech, ale nie ja. Zachwycają się twoją zdolnością wyszukiwania słabych punktów i uderzania w nie, lecz ja dobrze wiem, że ty się urodziłeś z instynktami i przebiegłością wilka. Myślisz, że nie wiem, co zamierzasz zrobić z Morgan's Walk? Stuartowie zawsze niszczą wszystko, co dostanie się w ich łapy.

Chance powoli poruszał dłonią z koniakówką i machinalnie przyglądał się wirującemu, bursztynowobrazowemu płynowi na dnie.

- Są rzeczy, które powinny być zniszczone, Hattie. - Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył oskarżeniu. - Jedną z nich jest miejsce, które znało tylko nienawiść. - Uniósł kieliszek i przełknął ostatni łyk brandy.

Dłonie Hattie zacisnęły się na rączce laski.

- Morgan's Walk nigdy nie będzie twoje - oświadczyła głosem ochrypłym z gniewu.

Chance uniósł brew, spoglądając na ciotkę z rozbawieniem.

- Poza zabójstwem, nie ma sposobu, żebyś mogła temu zapobiec. Czy ci się to podoba, czy nie, Hattie, jestem twoim jedynym krewnym, jedynym kandydatem na spadkobiercę.

- Tak sądzisz? - W wyrazie jej twarzy dostrzegł jakiś spokój, samoza-

dowolenie, którego wcześniej nie zauważył. - Nie byłabym tego taka pewna. Chance zaniepokoił się nagle, ale przykrył to uśmiechem.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że może się okazać, iż nie jesteś moim jedynym krewnym.

- I ja mam w to uwierzyć? - szydził.

- Tak się składa, że to prawda - oświadczyła, promieniejąc spokojem i pewnością.

Przyglądał się jej długo i uważnie.

- Niezły strzał, Hattie. Ale jeśli byłby ktoś taki, nie omieszkałabyś o nim Wspomnieć dawno temu.

- Być może dopiero teraz sama się o tym dowiedziałam.

Nie całkiem jej wierzył, ale nie podobał mu się blask, który bił z jej oczu. Miał właśnie zapytać, w jaki sposób odnalazła tego rzekomego krewnego, kiedy przypomniał sobie o jej dzisiejszym spotkaniu z przebiegłym starym prawnikiem, Benem Canonem, i zmienił zdanie.

- I z tego powodu przyleciałaś do San Francisco?

- Pomyślałam, że pierwszy powinieneś się o tym dowiedzieć. No i chciałam zobaczyć twoją minę, kiedy będę ci o tym mówiła. Widzisz więc - przerwała, by spotęgować wrażenie i podniosła się z fotela, przez chwilę mocno opierając się na lasce - że wiem, jak bardzo liczyłeś na to, że dostaniesz Morgan's Walk. Nie zdarzyło mi się jeszcze zapomnieć o chciwości Stuartów. A ty ze swej strony mógłbyś choć raz nie zapominać o determinacji Morganów, żeby cię powstrzymać.

- Będę o tym pamiętał.

Gdy skierowała się ku drzwiom, Chance podszedł i otworzył je przed nią. Rytmiczny stukot laski o podłogę ustał, kiedy zatrzymała się koło wyjścia. Jej oczy wypełniała prawdziwa satysfakcja.



- Tym razem było mi naprawdę miło cię widzieć, Stuart.

- W takim razie powinnaś rozkoszować się tym uczuciem, póki możesz, Hattie - odparował, a jego twarz wykrzywił zimny uśmiech.

- Otóż to. - Znowu laska skoczyła do przodu, wyprzedzając jej kroki.

Trzema krokami pokonała dzielącą ich odległość i wyszła z pokoju. Przez ponurą chwilę Chance gapił się na jej wyprężoną sylwetkę, potem zaniknął drzwi. Wrócił do pokoju, zawahał się przez sekundę, podszedł do telefonu i wykręcił numer prywatnego telefonu Sama.

Tak jak przedtem, Sam podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku:

- Halo.

- Chance - rzucił do słuchawki i zerknął na drzwi. - Wygląda na to, że mamy problem.

- Hattie - odgadł natychmiast Sam.

- Tak. Oświadczyła, że jest jakiś inny krewny i to on odziedziczy Morgan's Walk.

- Co?! Mój Boże, Chance, chyba w to nie uwierzyłeś?

- Nie wiem. Zamierzam to sprawdzić.

- Może ona blefuje?

- Nie mogę ryzykować. Mam zbyt wiele do stracenia - odparł ponuro. - Skontaktuj się z Mattem Sawyerem. Powiedz mu, żeby zostawił wszystko i natychmiast się za to zabrał. Jeśli jest jakiś inny legalny spadkobierca, to prawdopodobnie trafił na niego Canon. Powiedz Mattowi, żeby tam zaczął szukać.

- Już się robi.

- Czy jest tam Molly?

- Siedzi obok. - Sam potwierdził z uśmiechem.

Usta Chance'a też ułożyły się w uśmiech na wspomnienie pogodnej twarzy

kobiety, która natychmiast stanęła mu przed oczami. Kobiety, która dopiero teraz, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, zaczęła liczyć siwe pasemka w kasztanowych włosach. Owdowiała i bezdzietna Molly Malone rozpoczęła u niego pracę piętnaście lat temu, zaczynając jako sekretarka na pół etatu, goniec i sprzątaczką przez resztę czasu. W ciągu tych pierwszych kilku miesięcy niepostrzeżenie do swoich licznych obowiązków dołączyła jeszcze matkowanie. Teraz kierowała całym biurem. Żelazną ręką, jak twierdzili niektórzy, choć w dalszym ciągu topniała jak śnieg pod spojrzeniem Chance'a. Nie przywiązywała wagi do godzin urzędowania - pracowała o każdej porze. Jej ulubiony zwrot to: „Robota ma być zrobiona”. Korporacja Stuarta była całym jej życiem i nie tyle wchodziła tu w grę zawodowa lojalność, co fakt, że firma jest własnością Chance'a. Wiedział o tym. Tak samo jak o tym, że żadna kobieta nie byłaby bardziej oddana rodzonemu synowi niż Molly jemu, do tego stopnia, że jego wrogowie stawali się jej wrogami, a z nich wszystkich najbardziej, niemal obsesyjnie, nienawidziła Hattie.

Chance spojrzął na złotego Rolexa na przegubie dłoni.

- W Tulsie jest już po pomocy. Domyślam się, że została w biurze, żeby się dowiedzieć, czego chciała ode mnie Hattie.

- Zgadłeś.

- Skoro już tam jest, poproś ją, żeby dzwoniła do wszystkich hoteli w San Francisco tak długo, aż się dowie, w którym zatrzymała się Hattie. Jak tylko ją znajdzie, niech poinformuje o tym Matta. Na pewno ma jakąś firmę detektywistyczną, z którą współpracuje tu, na Zachodnim Wybrzeżu. Chcę znać każdy jej krok, każdy kontakt od kiedy przyjechała, do momentu, kiedy wyjedzie.

- Nie wierzysz, że Hattie przeleciała taki kawał drogi po to tylko, żeby się z

tobą zobaczyć, prawda? Sądzisz, że ten rzekomy odnaleziony krewny może tam mieszkać.

- Musimy to wziąć pod uwagę. - Chance mówił jednym tchem. - Jutro z samego rana lecę do Tahoe. Będę tam prawdopodobnie uwiązany cały dzień. Muszę omówić z architektem i inżynierem problemy, które się pojawiły przy projektach budowy hotelu i kasyna. Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba robić żadnych zmian, które wpłynęłyby na położenie klubu narciarskiego i domków wypoczynkowych. W razie czego wiecie, jak mnie łąpać. Wracam do Tulsy w niedzielę w nocy. Powiedz Mattowi, że oczekuję go w poniedziałek o dziewiątej w moim biurze, z pełnym raportem.

- Zrobi się.

Kiedy ucichło „Trzymaj się” Sama, Chance odłożył słuchawkę.

Przez chwilę stał beczynnym, wpatrując się pustą koniakówkę. Potem niszy! przez pokój, luzując węzeł czarnego krawata i rozpinając guzik kołnierzyka koszuli. W barku raz jeszcze sięgnął po karafkę i nalał sobie odrobinę brandy. Trzymając kieliszek w zagłębieniu dłoni, podniósł go do ust, tęcz nagle zatrzymał się. Obrócił się na pięcie i położył ręce na oparciu fotela, w którym siedziała Hattie.

- Chyba nie sądzisz, że na tym się skończy, Hattie? - mruknął. - Powinnaś była pamiętać obietnicę, jaką złożył ci kiedyś jedenastoletni chłopiec. Być może ciebie widziałem po raz ostatni, ale Morgan's Walk z pewnością jeszcze o mnie usłyszy.

#### 4

Satynowy chiński szlafroczek szeleścił leciutko, spowijając nogi Flame, wchodzącej do urządzonego w czerni i bieli gościnnego pokoju jej wiktoriańskiego apartamentu. W dłoniach trzymała pierwszą filiżankę porannej kawy. Sennym wzrokiem ogarnęła meble, które niedbale rozstawione wokół

węlnianego, pasiastego jak zebra dywanika tworzyły przytulną atmosferę wnętrza. Wzrok przyciągało wzorzyste obicie białej kanapy - białe motywy na białym tle - powtórzone na poduszkach wyściełających krzesła z mosiężnymi akcentami, pomalowane na czarno błyszczącym lakierem.

Zdawała sobie sprawę, że wykończenie pokoju jest subtelnym odbiciem jej osobowości. Biel dawała efekt otwartości i beztroski, ostro kontrastujący z dynamiczną i zmysłową czernią. Wiedziała również, że lśniące i nowoczesne wnętrze gryzie się z tandetnym, przeładowanym ozdobami zewnętrznym wystrojem budynku. Ten dom z przełomu wieków był prawdopodobnie prezentem ślubnym od zaślepionego miłością ojca dla ukochanej córki, jak wiele innych budowli wzniesionych na Rosyjskim Wzgórzu. Nazwa ta wywodzi się od cmentarza rosyjskich żeglarzy, który w początkach historii miasta usytuowany był na szczycie wzniesienia. Dwanaście lat temu obszerny dom został podzielony na kilka przestronnych apartamentów, które sprzedano różnym osobom.

Rozglądając się dokoła, Flame pomyślała, że to mieszkanie było jedyną wartościową rzeczą, jaką wyniosła ze swego nieudanego małżeństwa. Teraz należało do niej. Choć był okres, kiedy z wielką ochotą zrezygnowałaby z mieszkania - ze wszystkiego - byle tylko dostać rozwód. Na szczęście nie było to konieczne.

Brzęczenie dzwonka brutalnie rozdarło spokój poranka. Flame z dezaprobatą spojrzała na czarny zegar stojący na białym marmurowym kominku. Nie było jeszcze dziewiątej. Nikt nie składał wizyt w sobotę o tej porze. Wszyscy przyjaciele wiedzieli, jak wielką przyjemność sprawiały jej przedpołudnia w czasie weekendu - lubiła wstawać bez pośpiechu, ubierać się, kiedy ma na to ochotę, iść na spacer, jeśli zechce. W czasie tygodnia funkcjonowała zgodnie z ustalonym harmonogramem spotkań, wizyt i służbowych

obiadów, lecz podczas weekendów, gdy nie musiała prowadzić żadnej pospiesznej kampanii ani siedzieć ciągle przy telefonie, działała wyłącznie pod wpływem impulsu: robiła zakupy albo żeglowała z przyjaciółmi, czasami odwiedzała jakąś wystawę, albo po prostu snuła się po mieszkaniu, uzupełniając zaległości w czytaniu. Wieczory, to co innego - zwykle wypełnione przyjęciami lub innymi obowiązkami towarzyskimi, uroczystościami dobroczynnymi, które przeważnie były urozmaicone koncertami i spektaklami teatralnymi.

Kiedy dźwięk dzwonka odezwał się ponownie, tym razem jeszcze bardziej natarczywie, Flame odstawiła filiżankę na szklany blat małego, lakierowanego na czarno stolika z mosiężnymi okuciami i pobiegła do holu, prawie nie dotykając bosymi stopami miodowego parkietu. Spojrzała przez wizjer. Po drugiej stronie drzwi stała starsza pani w okrągłym, zielonym filcowym kapeluszu na czubku siwej fryzury. Chociaż grube szkło lekko zniekształcało widok, Flame była pewna, że jej nie zna.

Kobieta po raz trzeci nacisnęła dzwonek. Flame odgarnęła z twarzy burzę włosów, po czym zaczęła otwierać ciężkie, dębowe drzwi z rozlicznych zamków i zabezpieczających je łańcuchów. Przy dźwiękach czwartego dzwonka udało się jej uchylić.

- Tak? - pytająco popatrzyła na nieznajomą, pewna, że tamta pomyliła adres. Natrętne spojrzenie czarnych, błyszczących oczu starszej kobiety badało każdy szczegół jej wyglądu, prześlizgując się po wiśnioworóżowej podomce i skupiając się na włosach.

- Czy pani może kogoś szuka? - zapytała Flame, kiedy cisza zaczęła się przedłużać.

Przez chwilę nie była pewna, czy staruszka ją w ogóle słyszy, i nawet przeleciało jej przez myśl, że może jest głucha. Wtedy dopiero kobieta jakby

oprzytomniała.

- Proszę mi wybaczyć, że się zagapiłam - powiedziała mile zachrypniętym głosem. - Ale twoje włosy mają dokładnie ten sam rudawozłoty odcień, co włosy Kella Morgana. Jego portret wisi w bibliotece nad kominkiem.

- Kim pani jest? - rzuciła z wyzwaniem, czując, jak ogarnia ją nagle napięcie, kiedy niespodziewanie zdała sobie sprawę, dlaczego ciemne oczy kobiety wydały jej się znajome. Tym samym ciemnym blaskiem błyszcząły zawsze pełne życia oczy jej ojca. Ale to niemożliwe. Nie miała rodziny - żadnych wujów, ciotek ani kuzynów.

- Nazywam się Hattie Morgan - oznajmiła kobieta i uśmiechnęła się przyjaźnie. Dokoła jej ust pojawiły się niewielkie bruzdy, postarzające jej delikatną jak pergamin skórę. - A ty zapewne jesteś Margaret Rose Morgan.

- Bennett - poprawiła odruchowo.

- Jesteś mężatką? - Szpakowata brew uniosła się pytająco do góry.

- Rozwódką.

- Tak, tak, teraz pamiętam. Ben mówił mi o tym. - Jej twarz zasepiła się na moment z powodu tego chwilowego zaniku pamięci. Dopiero to potknięcie uświadomiło Flame, że - przy całej swojej żwawości - staruszka musi mieć osiemdziesiąt, może nawet więcej lat... zbyt dużo, by trzymać ją tak w drzwiach, zwłaszcza że było mnóstwo rzeczy, o które Flame chciała ją zapytać.

- Proszę wejść, pani Morgan. - Otworzyła na oścież drzwi, usuwając się na bok, żeby ją przepuścić.

- Dziękuję. - Niespiesznie i dostojnie weszła do holu. Archaiczny zakiet oblamowany futrem, na drobnych i wyprostowanych plecach przypominał krojem modę sprzed dwudziestu lat. Kiedy odwróciła się do Flame, laseczka wydawała się służyć wyłącznie jako rekwizyt.

- Będę nalegać, żebyś mówiła mi Hattie. Nigdy nie byłam mężatką, a nie wydaje mi się właściwe, by do osoby w moim wieku zwracano się per „panno”.

- Ależ oczywiście. - Flame poprowadziła ją do gościnnego pokoju. - Mam świeżo zaparzoną kawę, może się pani napije?

- Wolałabym gorącą herbatę, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Skądże znowu. Proszę się rozgościć. To zajmie tylko minutkę.

Ale minęło prawie pięć minut, zanim Flame wróciła balansując tacą z dzbankiem herbaty, mlekiem, cukrem, spodeczkiem z cytryną, filiżanką na spodeczku oraz filiżanką kawy dla siebie. W czasie jej nieobecności Hattie zasiadła na jednym z foteli w iście królewskiej pozie. Powstrzymując uśmiech, Flame dostrzegła pewną wyniosłość w manierach Hattie.

- Cytryna, mleko czy cukier?

- Poproszę cytrynę - odparła, biorąc od Flame delikatną sewrską filiżankę i taksując spojrzeniem pokój.

- Bardzo tu ładnie - zauważyła, kierując swoją uwagę z powrotem na Flame. - Oczywiście zupełnie inaczej, niż w Morgan's Walk.

- Morgan's Walk to pani dom?

- Nasz rodzinny dom, tak. Przetrwał ponad sto lat i, z wolą boską, przetrwa sto następnych.

- Gdzie jest ten dom?

- W Oklahomie, jakieś dwadzieścia minut jazdy od Tulsy.

Nie dodała nic więcej, i Flame odniosła wrażenie, że Hattie czeka na jej pytania.

- Wspomniała pani o jakimś Benie. Kto to jest? A właściwie, kto to jest Kell Morgan? - Flame wzięła swoją filiżankę i usadowiła się w rogu kanapy, w pobliżu fotela Hattie.

- Ben Canon jest od wielu lat prawnikiem rodziny. To dzięki jego staraniom odnalazłam ciebie. A Kell Morgan - raz jeszcze jej błyszczące oczy zatrzymały się na połyskujących czerwienią włosach Flame - był moim dziadkiem, bratem Christophera Morgana.

To drugie imię wypowiedziała z jakąś specjalną powagą, ale Flame nic ono nie mówiło.

- Czy powinnam znać to nazwisko?

- Był twoim pradziadkiem. - Pociągnęła łyżeczek herbaty, spoglądając na Flame sponad brzegu filiżanki. - Nie znasz historii rodziny swego ojca, prawda?

- Nie bardzo - przyznała ostrożnie i w zamyśleniu zmarszczyła brwi. - Wszystko, co ojciec mówił o swoim dziadku, a ja zapamiętałam, to historia o tym, jak na przełomie wieku przyjechał do San Francisco i beznadziejnie zakochał cię w Hellen Fleming, która pochodziła z jednej z rodzin założycieli miasta. Po trzech miesiącach się pobrali. Poza tym... - Flame wzruszyła ramionami, podkreślając swój brak wiedzy na ten temat, i oparła się o miękkie, białe poduszki kanapy, podwijając pod siebie jedną nogę. Mimo swobodnej pozy była spięta. - Kilku moich przyjaciół zajęło się badaniem swoich korzeni i wyszukiwaniem wszystkiego, co można znaleźć na temat przodków. Tak jakby dopiero ta wiedza pozwalała im określić, kim są i po co żyją. Nigdy się z tym nie zgadzałam. Moim zdaniem każdy z nas ma swoją własną, odrębną tożsamość. Kim byli moi przodkowie i co robili, nie ma nic wspólnego z tym, kim ja jestem dzisiaj. - Ale nawet w trakcie tego beznamiętnego zaparcia się przeszłości, zdawała sobie sprawę, że przeczy temu własnym postępowaniem. Pewien prestiż, który był jej udziałem, wiązał się nieodłącznie z jej pochodzeniem. Nie zapracowała na niego sama, zrobili to jej przodkowie. I pomimo lekkiej odrazy, jaką przy tym odczuwała,



posługiwała się nim, żeby otwierać przed sobą odpowiednie drzwi, spotykać się z właściwymi ludźmi i torować drogę swojej karierze. Przyglądała się filizance ze stygnącą kawą, wsłuchana w przeciągającą się ciszę, niezbyt zadowolona z własnych życiowych osiągnięć. - Przepraszam, Hattie, jeśli panią uraziłam. Na pewno podziela pani ich zainteresowanie rodzinną genealogią, w przeciwnym wypadku nie siedziałyby tu pani.

- Podzielam, tak, ale z innych powodów. I jestem pewna, że różnimy się także podejściem do całego zagadnienia. Widzisz, mnie zależało na tym, żeby odnaleźć żyjącego potomka Christophera. - Lecz nie kontynuowała tego wątku. - Wierz mi, że nie było to łatwe. Krótco potem, jak Christopher Morgan opuścił Morgan's Walk i pojechał na Zachód, rodzina straciła z nim kontakt. Według posiadanych przez nas informacji, możliwe było nawet, że zmienił nazwisko.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Któż to wie? - Błyszczące oczy Hattie nawet na moment nie odwróciły się od twarzy Flame, hipnotyzując ją swym żarem. - W tamtych czasach zdarzało się, że mężczyzna wyruszający na Zachód zmieniał nazwisko i próbował być kimś innym. Często, by ukryć swoją kryminalną przeszłość, ale czasami, żeby zaznaczyć w ten sposób rozpoczęcie nowego życia.

Ten argument przemawiał do Flame. Po rozwodzie zdecydowała się zachować nazwisko męża, tak jakby przestała być potomkiem Morganów. Ale i tak wszyscy wiedzieli, że jest.

- Opowiedz mi o sobie - poprosiła Hattie. - Pracujesz, z tego co wiem.

- Tak, jestem zastępcą prezesa i dyrektorem do spraw organizacji kampanii w tutejszym oddziale agencji reklamowej o ogólnokrajowym zasięgu.

- Zastępca prezesa? Musisz być bardzo inteligentna.

Inteligentna? Czy po prostu w końcu zmądrzała i przestała walczyć ze

swoim Pochodzeniem i zaczęła posługiwać się nim, żeby dostać to, czego chce? Choć zarabiała bardzo dobrze, nie mogłaby sobie pozwolić na połowę tego, co posiada. Praktycznie całe kosztowne umeblowanie mieszkania i niemal cała garderoba od wielkich krawców zostały kupione od klientów agencji i zawsze po niższych cenach. Tak, posługiwała się pozycją, jaką miała w firmie i w towarzystwie. Takie były reguły gry, a ona była mistrzem w tej dyscyplinie. To był sposób przetrwania w wielkiej aglomeracji.

- Oczywiście, znajomości z właściwymi ludźmi są także bardzo przydatne - odparła, wymownie wzruszając ramionami i czując się trochę nieswojo po tym komplementcie.

- Rozumiem, że jesteś jedynaczką?

- Tak.

- I rodzice nie żyją?

Flame skinęła głową.

- Zginęli w wypadku samochodowym jedenaście lat temu. Ojciec zginął na miejscu. Mama była jeszcze przez kilka dni nieprzytomna. Zmarła, nigdy nie odzyskując świadomości.

Mimo upływu lat, poczucie straty było wciąż dotkliwe. Nawet teraz za nimi tęskniła. Były takie chwile, gdy wydawało jej się, że słyszy śmiech matki i głos przekomarzającego się z nią ojca. Kochali ją. Nie z powodu jej pochodzenia, nie dlatego, że była piękna, lecz dla niej samej. Od czasu, kiedy ich straciła, zdążyła się nauczyć, jak rzadko zdarza się taka miłość.

- Wydaje mi się, że ty i ja jesteśmy bardzo do siebie podobne - zauważyła Hattie. - Obie bardzo wcześnie musiałyśmy się nauczyć samodzielności. Moja matka zmarła przy porodzie mojej młodszej siostry. Miałam wtedy piętnaście lat. Musiałam zająć się niemowlakiem i poprowadzić cały dom. Potem, kiedy miałam dziewiętnaście lat, straciłam ojca. Nagle Morgan's

Walk stało się moją własnością. Nie tylko musiałam wychowywać maleńką siostrzyczkę, ale zarządzać całym ranczem.

- Morgan's Walk to ranczo? - zdziwiła się Flame. - Wydawało mi się, że to rezydencja. - Chociaż nie mogła sobie wyobrazić rezydencji w Oklahomie, nie przyszło jej do głowy, że Morgan's Walk mogłoby być ranczem.

- To rezydencja i ranczo. Prawie dwanaście tysięcy akrów. Kiedyś było dwadzieścia razy więcej, ale czas i okoliczności zrobiły swoje. Większość ziemi to dolina rzeki: najbujniejsza, najbardziej zielona okolica, jaką kiedykolwiek zobaczysz. - Do tej chwili zachowanie Hattie charakteryzowała ostrożna rezerwa, teraz ożywiła się nagle, jej twarz rozświetliła się podnieceniem, które dodało jeszcze więcej blasku jej oczom. - To jest piękna ziemia, Margaret Rose, same wzgórza i drzewa, nieprawdopodobnie zielone na tle błękitu nieba. Dom został wzniesiony w samym sercu doliny. Ach, a jaki to dom - trzy piętra z cegły zwieńczone białymi arkadami. Twój przodek, Christopher Morgan, sam go zaprojektował, zanim wyjechał do Kalifornii. Cegły pochodzą z cegielni, która znajdowała się na terenie posiadłości, a glina, której użyto do ich wyrobu, pochodziła także z Morgan's Walk. Poczekaj tylko, aż zobaczysz to wszystko. Wiem, że będziesz oczarowana.

- Jestem pewna. - Flame uśmiechnęła się, ujęta widoczną miłością kobiety dla tego domu. - Chociaż pewnie go nie zobaczę.

Hattie zdawała się być zbulwersowana ostatnią uwagą.

- Ależ zobaczysz go. Musisz. Morgan's Walk będzie należało do ciebie, kiedy umrę.

Przez chwilę zaszokowana Flame nie odrywała od niej oczu.

- Co pani powiedziała? - wydusiła.

- Morgan's Walk będzie twoje, kiedy...

Nie musiała słuchać do końca.

- Pani chyba nie mówi serio. Przecież pani mnie nawet nie zna - zaprotestowała.

- Jesteś jedną z Morganów. Wiedziałam to w chwili, w której cię ujrzałam. Nie tylko z powodu twoich rudych włosów i kości policzkowych. Zauważyłam u ciebie niezłomną dumę i determinację w dochodzeniu do celu.

- To niczego nie wyjaśnia. - Zmarszczyła brwi. - I nie ma żadnego sensu.

- Właśnie, że ma. Widzisz, Morgan's Walk musi dziedziczyć ktoś z Morganów. Jeżeli nie będzie dziedzica, ziemia przejdzie na własność stanu. Właśnie dlatego tak mi zależało, żeby cię odnaleźć. Przez jakiś czas sądziłam... - Potrząsnęła głową, nie kończąc zdania. - Ale tym już nie muszę się dłużej martwić. Znalazłam ciebie.

Wszystko wydawało się logiczne. Aż nazbyt. Flame nie mogła się jednak pozbyć wątpliwości. Nie puka się po prostu do czyichś drzwi, żeby oznajmić mu, że odziedziczy ranczo w Oklahomie, czy gdziekolwiek by to było.

- Czy to jest jakiś przemyślny plan wyciągnięcia ode mnie pieniędzy? - zapytała szorstko. - Bo jeśli tak, to marnuje pani czas.

- Jesteś z natury podejrzliwa. To dobrze - oświadczyła Hattie, a w jej oczach błysnęło zadowolenie. - Morgan's Walk będzie z pewnością bezpieczne w twoich rękach. Nie pozwolisz, żeby ktokolwiek ci je odebrał.

Flame zauważyła to nieznaczne wahanie:

- Czy ktoś próbuje ci je zabrać?

Hattie pochyliła się do przodu i odstawiła filiżankę na szklaną tafłę stolika.

- Jak ci wcześniej wspomniałam, ta ziemia jest bogata. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał ją mieć. Ludzie walczyli o ziemię jeszcze przed Mojżeszem, prawda? - Uśmiechnęła się uprzejmie. - Co się tyczy pieniędzy, nie zamierzam udawać, że Morgan's Walk jest tak dochodowe, jak kiedyś, bo nie jest. Po zapłaceniu wszystkich wydatków związanych z utrzymaniem

Posiadłości, zostaje, przy odrobinie szczęścia, niewielki dochód. Oczywiście, możesz się natknąć na jakiś podatek spadkowy. Będziesz musiała to sprawdzić.

Ciągnęła dalej, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Czy nie dawała sobie sprawy, jak nieprawdopodobnie to wszystko wygląda? Flame starała się jej to wyjaśnić:

- Hattie, jestem dziewczyną wychowaną w mieście. Nie mam zielonego pojęcia o krowach ani prowadzeniu gospodarstwa.

- Mam osiemdziesiąt jeden lat. Z pewnością nie jesteś tak naiwna, by sądzić, że w moim wieku uganiam się za krowami. Owszem, dalej potrafię dośiąć konia i przejechać się, żeby czegoś dopilnować, ale mam zarządcę, który wszystkim się zajmuje, dyrektora posiadłości, jeśli wolisz. Charlie Rainwater jest dobrym człowiekiem, uczciwym i lojalnym, możesz na nim polegać. Powierzysz mu wszystko i o nic nie będziesz się musiała martwić. Z czasem nauczysz się od niego wszystkiego, co konieczne. A teraz powiedz mi - złożyła dłonie, w geście, który zdawał się mówić, że przyszedł czas na poważniejsze sprawy - kiedy najwcześniej możesz przyjechać do Morgan's Walk?

Było to ostatnie pytanie, jakie Flame spodziewała się usłyszeć.

- Nie wiem, czy w ogóle mogę. Poza wszystkim mam...

- Wybacz mi - przerwała Hattie. - Nie chciałam ci wcale sugerować, że powinnaś wszystko rzucić i natychmiast, dzisiaj, ze mną polecieć. Wiem, że masz pewne obowiązki i zobowiązania. Ale z pewnością możesz zorganizować sobie dłuższy weekend i przyjechać z wizytą. Wiem, że to egoizm, ale chciałabym osobiście pokazać ci Morgan's Walk.

Nie chcąc się do niczego zobowiązywać, Flame powiedziała:

- Będę musiała sprawdzić rozkład moich zajęć.

- Przyjedziesz - oświadczyła Hattie z pewnością w głosie. - Jesteś jedną z nas, Morganów. I bez względu na to, czy zechcesz to przyznać czy nie, twoje korzenie są wrośnięte głęboko w tę ziemię. To cię przywoła.

- Być może - zgodziła się Flame, choć wcale nie była pewna, czy wierzy w choć jedno słowo.

Zakończywszy swoją misję, kilka minut później Hattie pożegnała się i wyruszyła na lotnisko. Flame zaproponowała, że zadzwoni po taksówkę, ale starsza pani podziękowała, twierdząc, że przed domem czeka na nią samochód z kierowcą.

Po wyjściu Hattie Flame wróciła do gościnnego pokoju. Spokój poranka zniknął bez śladu. Jego miejsce zajęło poczucie nierzeczywistości - tak jakby to, co wydarzyło się podczas ostatniej godziny, nie zdarzyło się wcale, jakby działało się to tylko w jej wyobraźni. Czy tak właśnie było? Nie. Dzbanek do herbaty stał tutaj, na tacy, obok filizanki na spodeczku, z której Hattie piła. Ale to jeszcze nie był dowód, że cała reszta była prawdą. Wiedziała tylko, że Hattie jest jakąś zwariowaną staruszką. Prawdopodobnie ranczo nie jest nawet jej własnością. Nie, to wszystko było zbyt naciągane.

A jednak... Flame rozejrzała się i nagle poczuła się bardzo samotna. Wszystko przez te rozmowy o rodzinie. Zawahała się i podeszła do białej biblioteczki. Wyjęła rodzinny album ze zdjęciami. Nie oglądała go od wielu lat, od chwili, kiedy... Otrząsnęła się z przykrego wspomnienia i otworzyła album.

Uśmiechnęła się na widok czteroletniej dziewczynki z nową świąteczną kokardą spinającą marchewkowe loki, zbyt zafascynowaną blaskiem swych lakierków, żeby spojrzeć w obiektyw. To były mniej skomplikowane czasy... i szczęśliwsze. Przewracała kartki, zatrzymując się to tu, to tam, żeby popatrzeć na swoją fotografię z matką lub ojcem albo na te nieliczne, które przed-

stawiały całą trójkę. Byli tam wszyscy razem, minione święta Bożego Narodzenia, urodziny, wakacje na nartach w górach Rocky lub Sierra, wyprawy żaglówką wzdłuż wybrzeża, jej pierwsza potańcówka, pierwsza komunia, ukończenie szkoły podstawowej, zabawy, bale studenckie, pierwsze miłości. A na każdym zdjęciu była radość i uśmiechy.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy spojrzała na ostatnią fotografię. Stała obok ojca przy ognistoczerwonym krążowniku szos, który był prezentem maturalnym od rodziców. Zapakowała go pod sufit ubraniami i tysiącem innych rzeczy, które - tak jej się wtedy wydawało - mogły się przydać w czasie studiów. I nieważne, że wybierała się tylko przez Zatokę, do Berkeley. Musiała to wszystko ze sobą zabrać. Ojciec obejmował ją ramieniem, uśmiechając się i przytulając do siebie.

Łza spłynęła jej po policzku. Otarła ją wierzchem dłoni, pociągnęła nosem i roześmiała się cicho na wspomnienie zdarzenia, gdy jako siedmioletnia dziewczynka wywróciła się na nartach i stłukła sobie kolano. Rozplakała się, a ojciec dał jej swoją chusteczkę. Wydmuchała nos i natychmiast zadała jedno z tych dziecięcych pytań: „Tatusiu, dlaczego zawsze, kiedy płacę, cieknie mi z nosa?”.

On oczywiście miał na to odpowiedź. Jak zawsze. Niekoniecznie prawdziwą, ale zawsze była to odpowiedź:

- Może dlatego, że mu przykro, że się uderzyłaś.
- W takim razie, dlaczego nie leci mi z buzi? Czy buzi nie jest przykro?
- Bo twoja buzia jest cały czas zajęta. Kłap, kłap, kłap.

A ona śmiała się śmiała. Zawsze ją rozśmieszała.

Ciche, pełne tęsknoty westchnienie wyrwało się z jej piersi na wspomnienie tych czasów, gdy była kochana i szczęśliwa... i tak bardzo bezpieczna. Choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziała.

Kilku następnych stron brakowało. Wydarła je z albumu w przyplwywie bolesnej wściekłości. Bez żalu przesunęła palcami po wystrzępionych brzegach sztywnych kartek; nie potrzebowała zdjęć, żeby przypomnieć sobie Ricka.

Nagła utrata rodziców była dla niej straszliwym szokiem. Całe dni po ich pogrzebach - jeden zaraz po drugim - była zbyt otumaniona, żeby cokolwiek odczuwać. Potem przyszły rozpacz, ból i straszliwa samotność. Czowała się zagubiona i osamotniona, bez oparcia i bez żadnego celu w życiu. Pozbawiona tak nagle ich miłości, znalazła się w okropnej, nieprzyjemnej pustce. Desperacko pragnęła być znowu kochana. Zaczęła szukać miłości, czepiając się każdego jej przejawu. W akademiku mówiło się o niej, że nie ma zahamowań. Być może tak to wyglądało, ale to nie była prawda.

Wtedy na balu Stowarzyszenia poznała Ricka Bennetta. Tego wieczoru rozśmieszył ją, jak to kiedyś robił ojciec. Tak jak jej ojciec miał ciemne włosy i ciemne oczy. Był przystojnym, prostolinijnym amerykańskim chłopcem sprawiającym solidne i stateczne wrażenie. Po balu odwiózł ją do akademika. Potem zadzwonił, żeby powiedzieć jej dobranoc. Następnego ranka też zadzwonił, żeby powiedzieć dzień dobry.

Prawie od początku byli nierozłączni. Jediną rzeczą, jakiej nie robili wspólnie, było chodzenie na wykłady. On uczęszczał na podyplomowe studia prawnicze, ona była tylko skromną studentką drugiego roku, która „robiła dyplom” z Ricka, jak mówiła ze śmiechem, i co w tamtym czasie było absolutną prawdą,

Kiedy spoglądała wstecz, to fakt, że Rick oświadczył się jej w Prima Aprilis - dzień głupców i szaleńców - wydał się najzupełniej na miejscu. Oczywiście zadbał o to, żeby wszystko wyglądało bardzo romantycznie; twierdził, że wybrał ten właśnie dzień, bo oszalał z miłości do niej. Podczas ich krótkiego narzeczeństwa zdał egzamin adwokacki i namówił Flame, by go przedstawiła



współwłaścicielowi jednej z najpoważniejszych firm prawniczych w San Francisco, który był przyjacielem rodziny. I czy to z powodu starej przyjaźni czy też sympatii do Flame, czy może obiektywnej oceny kwalifikacji Ricka zatrudniono w firmie.

Potem był ślub. Rick upierał się przy hucznej uroczystości. Flame była przeciwna. Sądziła, że to głupie, kiedy nie ma się żadnej rodziny. Ale Rick przypominał jej, że nazywa się Morgan, i prosił, by podeszła do tego praktycznie i pomyślała o tych wszystkich prezentach, które dostaną i których nie będą musieli już kupować urządzając dom. Chciała mu powiedzieć, że srebrne drobiazgi i kryształy Baccarat nie są przedmiotami pierwszej potrzeby dla młodej pary, ale koniec końców skapitulowała i lista gości weselnych wyglądała jak *Who is Who* z wyższych sfer miasta.

W dniu ślubu Flame przejęła całkowitą kontrolę nad majątkiem rodziców, wartym nieco ponad pół miliona dolarów. Pierwszym zakupem młodego małżeństwa było to kosztowne mieszkanie - żadne tam pudełka w wieżowcach z betonu i szkła - drugim, porsche dla Ricka. Zawsze o takim marzył, a młody adwokat, który chce podbić świat, potrzebuje rekwizytów, żeby stworzyć właściwy image. Image wymagał także odpowiednich strojów. Garnitury od Braci Brooks Rickowi nie wystarczały; to musiał być Cardin, Lagerfeld albo Blass.

Flame - o dziwo - nigdy nie miała nic przeciwko takim wydatkom. Apartament był dobrą inwestycją i dobrze się w nim czuli. Samochód? Kochała Ricka i chciała, żeby go miał, zawsze o nim marzył. A z powodu ciuchów sama miała wyrzuty sumienia, bo też lubiła tylko najlepsze.

Nie, pieniądze nie były problemem. Gdy tylko wrócili z miodowego miesiąca w Grecji, Rick nalegał, żeby odnowiła rodzinne kontakty towarzyskie i przekonała kilku swych przyjaciół, żeby zarekomendowali go do klubu że-

glarskiego. Niebawem zaczęli bywać prawie każdego wieczoru: na przyjęciu lub kolacji, wernisażu, balecie, akcji dobroczynnej czy premierze. Jadali wyłącznie w najmodniejszych restauracjach i bawili się tam, gdzie wypadało.

Na początku jego wyjaśnienia, że dla kariery musi bywać w odpowiednim towarzystwie, trafiły jej do przekonania. W San Francisco roiło się od młodych, błyskotliwych prawników, ale bez kontaktów z wpływowymi ludźmi niewielu z nich mogło naprawdę rozwinąć skrzydła. A Rick nie miał zamiaru zostać podstarzałym, błyskotliwym prawnikiem, ciągle czekającym, żeby awansować na wspólnika w firmie. Flame zgadzała się z nim i pozwalała nawet, żeby to on planował jej zajęcia: uczestnictwo we „właściwych” akcjach charytatywnych i organizacjach społecznych, obiady, partyjki tenisa i zakupy z żonami tych ludzi, o których przyjaźń zabiegał.

Po siedmiu miesiącach tej towarzyskiej karuzeli Flame miała dosyć i zbuntowała się. Tego wieczoru mieli iść na jakiś bal dobroczynny, ale kiedy Rick wrócił wieczorem z pracy, nie była gotowa.

- Dlaczego się jeszcze nie przebrałaś? - Spytał z niejakim zdziwieniem, spoglądając na złotego Piageta, którego dostał od niej w prezencie na gwiazdkę. - Lepiej się pośpiesz, bo się spóźnimy.

- Nie spóźnimy się. - Ignorując jego zniecierpliwione spojrzenie, podeszła do męża i zarzucając mu ręce na szyję zdecydowanym ruchem położyła jego dłonie na swojej talii. - Zamiast iść na ten bal zostaniemy w domu i spędzimy romantyczny wieczór... tylko we dwoje. - Wspięła się na palce, delikatnie całując go w ucho. - Bardzo dawno już tego nie robiliśmy, a ja mam w lodówce butelkę Dom Perignon i trochę kawioru. Później zrobimy sobie *fettucini* albo stek. Tylko musimy zdjąć ten krawat, a ja...

Kiedy zaczęła luzować węzeł krawata, Rick powstrzymał ją:

- Bardzo mi się podoba ten pomysł, ale będziemy musieli przełożyć to na

kiedy indziej. Dziś wieczorem mamy ten bal charytatywny. Czeka ją tam na nas.

- Tak to zabrzmiało, jakby mieli go odwołać, jeśli się nie pojawimy. Zapewniam cię, że tego nie zrobią- przekomarzała się z przymilnym uśmiechem. - Więc darujmy go sobie po prostu.

- Nie. - Odsunął ją od siebie. Zabolała ją ten gest i stanowczość w jego głosie.

- Dlaczego nie? - Flame nie dawała za wygraną.

- Ponieważ powiedzieliśmy, że będziemy, i będziemy.

- Rick, na miłość boską, to jest bal dobroczynny. Przez ostatnie sześć miesięcy wzięliśmy udział w setkach takich imprez. Jestem tym zmęczona. Ty nie? - zirytowała się.

- To, czy jestem zmęczony czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia - oświadczył, mocując się z węzłem krawata. - Spotkania takie jak dzisiejsze są dla mnie bardzo ważne. Wydawało mi się, że to rozumiesz.

Zraniona tonem jego głosu, Flame miała ochotę zapytać, czy większe niż pędzanie czasu z nią. Lecz powstrzymała gniew. Odwróciła się tylko, wzruszeniem ramion udając obojętność.

- W takim razie idź sam. Ja zostanę w domu.

- Nie bądź śmieszna, Flame - powiedział oschle. - Nazywasz się Morgan. Musisz tam być.

„Nazywasz się Morgan?”. Ile to już razy słyszała od niego te słowa? Straciła rachubę. Lecz tym razem spłynęło to po niej jak woda. Zupełnie wyprawiona z równowagi, odwróciła się do niego gwałtownie:

- Nazywam się Bennett! Czy może zapomniałeś już o tym drobiazgu?

Zarumienił się zmieszany.

- Wiesz, co miałem na myśli.

- Nie. - Potrząsnęła głową, zaprzeczając. - Nie wydaje mi się, żebym wiedziała. Dlaczego po prostu mi nie wyjaśnisz, kim dla ciebie jestem? Żoną? Kobieta, którą kochasz? Partnerem w życiu? Czy może przepustką towarzyską? - rzuciła wyzywająco, nagle przypominając sobie setki sprzeczek w ciągu ostatnich miesięcy i to, że zawsze używał w nich jej pochodzenia jako argumentu. Zdała sobie sprawę, że o historii jej rodziny wiedział więcej niż ona.

Sprzecзка przerodziła się w jedną wielką awanturę; obelgi i oskarżenia padały z obu stron. W końcu Rick wypadł jak burza z mieszkania, a dni, które przysły potem, charakteryzował obustronny chłód. Koniec końców starali się coś naprawić, lecz nigdy potem nie było już między nimi tak samo.

W ciągu następnych ciągnących się bez końca tygodni Flame powoli uzmysłowiła sobie, że przypadkowo odkryła prawdę. Jeśli Rick w ogóle kiedykolwiek ją kochał, to tylko dlatego, że nazywała się Morgan i była jego paszportem do świata, który bez niej pozostałby dla niego zamknięty. Nie kochał jej. Nigdy jej nie kochał. Dwa miesiące później wystąpiła o rozwód.

Z małżeństwa wyszła rozgoryczona, ale mądrzejsza. To była cenna nauka, którą życie wielokrotnie potwierdzało. Z biegiem czasu odkryła, że niewielu ludzi szukało bezinteresownie jej towarzystwa. Niektórzy, tacy jak Rick, traktowali ją jak przepustkę do świata władzy i prestiżu. Innych przyciągała jej uroda i traktowali ją jak zdobycz, którą można się pochwalić. Byli i tacy, jak Malcolm Powell, dla których zdobycie jej było wyzwaniem. Wszystkich tych ludzi bardzo szybko usunęła ze swojego życia, odwracając się od nich, jak tylko odkrywała prawdziwą przyczynę ich zainteresowania - a było to łatwiejsze, niż się większości z nich wydawało. W rezultacie pozostało jej stosunkowo wąskie grono przyjaciół. A spośród nich jedynie Ellery'ego uważała za prawdziwego przyjaciela. Nigdy jej o nic nie poprosił i ani razu

nie wykorzystał w żaden sposób ich znajomości. Wręcz przeciwnie - Ellery zawsze dawał - swoją wiedzę, zrozumienie, czas i towarzystwo.

Flame powoli zamknęła album z fotografiami i mocno przycisnęła go do piersi. Dawna potrzeba kochania i bycia kochaną ciągle w niej była - z konieczności głęboko ukryta. Przyjaciele, piękny dom, wspaniałe ciuchy i bezsprzeczne sukcesy w karierze zawodowej nie wystarczały, żeby wypełnić tę pustkę. Bez kogoś, z kim mogłaby je dzielić, znaczyły niewiele. Ale z kim?

W jednej chwili stanął jej przed oczami Chance Stuart. Znowu zobaczyła ten leciutki, figlarny błysk w jego niebieskich oczach, łobuzerski urok lekko krzywego uśmiechu i aurę męskości, która go otaczała. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak wielkie zrobił na niej wrażenie. Zastanawiała się, czy go jeszcze zobaczy... a może to tylko przelotna znajomość? Prawdopodobnie tak.

Z westchnieniem odłożyła na miejsce album ze zdjęciami, palce zatrzymały się na chwilę na jego wytartym skórzanym grzbiecie. Odwróciła się i spojrzała na fotel. To ta zagadkowa wizyta Hattie Morgan, jej opowieści o rodzinie, zapoczątkowały przyływ wspomnień. Jakie to dziwne, że trzeba było kogoś nieznajomego, żeby je przywołać.

## 5

Czarna sylwetka Stuart Tower ze szkła i marmuru dostojnie majaczyła na tle nieba, zaznaczając odważnie swoją obecność w nowoczesnym krajobrazie kosmopolitycznej Tulsy. Jak wszystko, co posiadał Chance Stuart, wieżowiec nosił jego imię - wygrawerowane na złotym liściu, żeby błyszczało w słońcu i żeby każdy mógł je z łatwością zobaczyć. Niektórzy proponowali - i to zupełnie serio - żeby „S” przekreślić pionową linią, żeby wyglądało jak dolar, bo wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że nazwisko Stuart jest w

zasadzie synonimem bogactwa.

Kiedy srebrny jaguar podjechał pod wejście do podziemnego garażu, młody, zuchowaty strażnik wyprostował się w swojej budce i zasalutował kierowcy, podnosząc jeden palec do czoła, po czym odprowadził samochód wzrokiem pełnym tęsknoty i zazdrości. Jaguar zajeżdżał gładko na miejsce oznaczone napisem: „Zarezerwowane C. Stuart”. Chance wysiadł z wozu i przeszedł do prywatnej windy, która zatrzymywała się tylko na dwudziestym piętrze. Tam mieściło się biuro Korporacji Stuarta.

Winda uniosła go bezszelestnie na szczyt budynku, prosto do pokoju Molly - prywatnym wejściem, które umożliwiało ominięcie części otwartej dla klientów oraz wielu pokoi biurowych zajmowanych przez różne działy Korporacji. Jak zawsze, Molly urzędowała już za biurkiem, pilnując drzwi do jego gabinetu. Kiedy wysiadał z windy, jej puciołowate policzki zaokrągliły się jeszcze bardziej w powitalnym uśmiechu.

- Dzień dobry, Molly. Czy Matt Sawyer już przyjechał? - zapytał kierując się prosto do biura.

- Jeszcze nie.

- Wprowadź go do mnie, jak tylko przekroczy próg. - Chance otworzył drzwi i zatrzymał się na moment.

- I zawiadom Sama, że już jestem.

- W tej chwili. - Sięgnęła po telefon.

Nie zwlekając dłużej, Chance wszedł do gabinetu i odruchowo zamknął za sobą drzwi. Stąpając po jasnej drewnianej podłodze podszedł do stojącego w rogu biurka. Przejrzał pobieżnie wiadomości i listy pozostawione dla niego na granitowym blacie. Odłożył je na później, odwrócił się i podszedł do przyciemnionej szyby, która tworzyła dwie narożne ściany tego olbrzymiego pokoju.

Z jego biura roztaczał się widok na budynki, które były jednymi z najlepszych przykładów art deco - bardzo popularnego w latach trzydziestych stylu architektonicznego. Kiedyś mieli tam swoje biura tacy potentaci naftowi, jak Waite Phillips, Bill Sinclair i J. Paul Getty. Chance przyglądał się przez chwilę budowlom, potem przeniósł wzrok na miasto rozciągające się na falistych wzgórzach zielonej Oklahomy.

Wiele osób kwestionowało jego decyzję, żeby właśnie w Tulsie umieścić swoje główne biuro. Mógł wybrać Dallas lub Denver, jeśli chodziło mu o centralne położenie. Niewielu wiedziało o sentymencie, jakim darzył to miasto. Przebyło długą drogę od swych skromnych początków - rozległa osada na zakurzonym trakcie spędu bydła, a następnie dzikie i awanturnicze miasteczko naftowego zagłębia. Te burzliwe czasy minęły. Teraz było to miasto smukłych, nowoczesnych budynków rysujących się na tle błękitu nieba; stało się centrum rozwiniętej technologii w technokratycznym świecie. On i Tuba mieli ze sobą wiele wspólnego. Wraczał w rodzinne strony niczym chłopiec, który spisał się na medal. Jego powrót wiele znaczył.

Rozległo się stuknięcie do drzwi, a zaraz potem szcęk klamki. Chance odwrócił się szybko, spodziewając się ujrzeć wchodzącego Sama. Lecz to była Molly z dymiącą filiżanką kawy w dłoni.

- Wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Nikt nie robi takiej kawy jak ty, Molly.

- Mówisz to tylko dlatego, żebym czasem nie zastrajkowała i nie przestała ci jej robić. - Cała rozpromieniona komplementem, przeszła przez pokój i postawiła kawę na biurku. Przypomniało mu się, jak kiedyś przekomarzając się z nią, powiedział, że na okrągło musi oglądać jedną okrągłą kobietę - okrągłe policzki, okrągłe oczy, okrągła buzia i krągłe ciało.

Na twarzy Molly pojawił się lekki wyraz dezaprobaty i Chance wiedział, że za chwilę zostanie na jakiś temat pouczony.

- Jedno jest pewne. Ta cała pani Lucy...

- Lucianna - poprawił ją, skupiając uwagę na kartce z wiadomością telefoniczną, którą trzymał w ręku.

- Jakkolwiek się teraz nazywa, nie przyniosła ci rano kawy.

- Nie. Zrobiła to obsługa hotelu.

Molly zignorowała tę uwagę.

- Wiem, że znasz tę Luciannę od dawna, ale ona nie jest odpowiednią kobietą na żonę dla ciebie. A już czas, żebyś się ożenił.

- A cóż ja mogę zrobić? Za każdym razem, kiedy ci się oświadczam, dostaję kosza. - Podszedł z powrotem do biurka.

- Jesteś nieznośny. - Udawała, że się gniewa. - Kiedy wreszcie zdasz sobie sprawę z tego, że masz już trzydzieści osiem lat? I nie tylko nie masz żony, ale i dzieci.

Sam wkroczył do pokoju, wymizerowany i elegancki, z szopą niesfornych jasnokasztanowych włosów.

- Żadnych, o których byś wiedziała, Molly.

Odwróciła się do niego.

- Gdyby jakieś miał, to bym wiedziała. Wszyscy by wiedzieli, bo założę się, że matka natychmiast wytoczyła by proces o alimenty.

- Jeśli chodzi tylko o dziecko, Chance, to ja i Patty chętnie wypożyczymy ci jedno z naszych. Możesz sobie wybrać. Zdaje mi się, że w tej chwili Patty byłaby nawet gotowa oddać całą czwórkę. Miała z nimi koszmarny weekend. Cieszę się, że większość czasu spędziłem tutaj.

Chance wyprostował się za biurkiem.

- Znalazłeś już coś?

Sam potrząsnął głową:

- Przekazałem ci wszystko, co wiedziałem. Dopóki nie pojawi się Matt... -



Wzruszył ramionami.

- Molly, sprawdź, czy jest już Matt Sawyer.

- W tej chwili. - Z łatwością powróciła do roli sprawnej sekretarki i wyszła do swojego pokoju.

Sam odprowadził ją wzrokiem, potem odwrócił się do Chance'a, uśmiechał się i potrząsnął głową z rozbawieniem.

- Z nią nie wygrasz, prawda?

- Nie z Molly.

Sam powoli podszedł do biurka i usiadł w czarnym zamszowym fotelu naprzeciwko.

- Czy w Tahoe udało ci się załatwić wszystko po twojej myśli?

Chance uśmiechnął się krzywo.

- Powiedzmy, że udało mi się ustalić różne rzeczy. A czy będzie to po mojej myśli, to dopiero zobaczymy.

Przedsięwzięcie w Tahoe było najambitniejsze z dotychczasowych. Po ukończeniu miał to być całoroczny kompleks wypoczynkowy składający się z hotelu w pałacowym stylu, kasyna, klubu żeglarskiego i przystani dla jachtów, a także luksusowego domu noclegowego dla narciarzy wraz z kondominium domków wypoczynkowych. W planach były także rozliczne trasy zjazdowe dla narciarzy.

- Rozmawiałem dziś rano z Kileyem - powiedział Sam. Chodziło mu o kierownika robót na miejscu budowy. - Wspomniał coś na temat jakiejś i sprzeczki z Nickiem Borrello.

- Można to tak nazwać. Oskarżył mnie między innymi o kradzież swojego kasyna.

Rzeczywiście Chance kupił je od niego po niewygórowanej cenie, lecz z różnych przyczyn przez ostatnie trzy lata kasyno przynosiło straty. Jedną z

nich było złe zarządzanie, inną lokalizacja - na peryferiach głównej dzielnicy hazardu nad jeziorem Tahoe. Jako małe, niezależne kasyno nie miało szans w rywalizacji z kasynami w dużych hotelach, nie mogło odciągnąć od nich wystarczającej liczby klientów.

Samym kasynem Chance z pewnością nie byłby zainteresowany. Ale przyjrzał się jego położeniu - zwrócony frontem do jeziora budynek otaczały lasy, tuż za nim wznosiły się góry, a w niedalekim sąsiedztwie znajdowały się ośrodki hazardu. Chance natychmiast zorientował się, że ta okolica jest dla inwestorów przysłowiową ziemią obiecaną.

- Inaczej teraz śpiewa, prawda? - zauważył Sam. - Niecałe sześć miesięcy temu był tak szczęśliwy, że z twoją pomocą pozbywa się kłopotu, że jeszcze chwila, a zacząłby cię całować po rękach. - Uśmiech rozjaśnił jego twarz, przydając jej chłopięcego uroku. - Jeśli już o tym mowa, to większość twoich rywali była przekonana, że dałeś się nabić w butelkę.

- Wiem. - Chance też się uśmiechnął wspominając, jak potem nie śpieszył się specjalnie, żeby wyprowadzić ich z błędu. Dopiero w trzy dni po decyzji Stowarzyszenia Gier Hazardowych stanu Newada przyznającej mu prawo do prowadzenia kasyna, ogłosił swoje plany zabudowy terenu. Równocześnie podpisał umowę z Zarządem Lasów, oddającą mu w dzierżawę górę na tyłach kasyna. Mając to w garści, zwołał konferencję prasową i ogłosił swoje plany.

Nagle wszyscy przetarli oczy i inaczej spojrzeli na cały interes. Właśnie wtedy zorientowali się, że nie tylko kupił teren za śmieszna cenę, ale jeszcze nie włożył w to ani jednego dolara z własnej kieszeni. Sieć dużych hoteli, której zależało na wejściu w te okolice, wyłożyła pieniądze, a Krajowe Towarzystwo Ubezpieczeniowe czekało w odwodzie, żeby sfinansować resztę przedsięwzięcia. Przed upływem dwóch lat, kiedy budowa zostanie zakoń-

czona i ośrodek zacznie działać, zyski Chance'a wyniosą setki milionów dolarów. Większość konkurentów odeszła kręcąc głową i żałując, że sami na to nie wpadli. Musieli przyznać, jakkolwiek niechętnie, że Stuart jeszcze raz wyciągnął królika z kapelusza i to w błyskotliwym stylu.

Natomiast Nick Borrello, który na początku chełpił się udaną transakcją, teraz wykrzykiwał o swojej krzywdzie. Chance zdążył się już przyzwycząić do takich sytuacji.

Drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i wkroczyła Molly, krótko anonsując:

- Przyjechał pan Sawyer. - Usunęła się na bok, żeby go przepuścić.

Niewielu zwróciłoby uwagę na Matta Sawyera, a tym bardziej nie uwierzyliby, że jest byłym agentem FBI, który opuścił swoją instytucję, żeby stać na czele jednej z bardziej cenionych agencji detektywistycznych w kraju. Był szarym człowieczkiem, trudnym do opisania mężczyzną przeciętnego wzrostu i budowy, lecz jego umiejętności zawodowe szeroko poważano. Chance zatrudnił go po raz pierwszy pięć lat temu. Zlecił mu odnalezienie właściciela małej, ale bardzo znaczącej nieruchomości, który przepadł jak kamień w wodę. Ludzie Chance'a szukali go już od miesiąca. Matt Sawyer znalazł faceta w niecałe czterdzieści osiem godzin. Od tego czasu Chance wielokrotnie korzystał z jego usług i nieraz Matt okazał się niezastąpiony w pozyskiwaniu niezwykle przydatnych informacji.

- Cześć, Matt. - Chance wyszedł zza biurka, żeby się przywitać. Przelotnie uścisnął mu dłoń, po czym przeszli do części pokoju, w której prowadzono rozmowy mniej formalne. Stała tam kanapa, dwa fotele oraz stolik. - Czego się dowiedziałeś?

- Na razie niewiele, ale pracujemy nad tym. - Siadając na błękitnym krzeselku, podciągnął do góry nogawki spodni i położył teczkę na kolanach.

- Rozmawiałem z sekretarką Bena Canona. Dość chętnie odpowiadała na pytania, ale wielu rzeczy albo nie wiedziała, albo też nie chciała mi powiedzieć. - Otworzył teczkę i wyjął dwa pliki dokumentów. - Potwierdziła, że Canon miał spotkanie z Hattie w piątek o dziewiątej, ale twierdziła, że nie wie, o czym rozmawiali. Canon poprosił ją, by nikogo w tym czasie nie łączyła, i zamknął drzwi do swojego pokoju, więc nic nie słyszała. Według niej, rozmowa trwała półtorej godziny. Była pewna, że się nie myli co do godziny, ponieważ Canon miał następne spotkanie o jedenastej, a Hattie wyszła, zanim przyjechał ten umówiony klient. - Wręczył Chance'owi i Samowi po jednym egzemplarzu sprawozdania. - Gdzieś około dziewiątej trzydzieści, ale nie była pewna godziny, Canon połączył się z nią i poprosił, żeby zarezerwowała bilet lotniczy dla Hattie do San Francisco, jeszcze na ten dzień. Zamówiła jej także taksówkę na lotnisko. Twierdzi, że nie otrzymała żadnych wyjaśnień dotyczących podróży, ani pośpiechu, w jakim się odbywała.

- Musi wiedzieć więcej. - Chance rzucił na stół skoroszyt ze szczegółowym raportem, nawet go nie otwierając. Mógł zawierać jedynie fakty, a jego interesowały także wrażenia. - Jest jego sekretarką. Widzi wszystko, co przechodzi przez jego biurko. Musi wiedzieć, nad czym pracuje.

Matt potrząsnął głową.

- Nie w przypadku Bena Canona. Z jej opisu wynika, że wszelkich informacji o klientach pilnuje jak oka w głowie. Nigdy z nią na te tematy nie rozmawia. Sam otwiera całą pocztę, a w swoim pokoju zamyka na klucz wszystkie akta i korespondencję dotyczącą sprawy, nad którą aktualnie pracuje. - Przerwał na chwilę i twarz wykrzywił mu kwaśny uśmiech. - A teraz coś, w co nie uwierzysz: ma starą, ręczną maszynę do pisania, na której sam przepisuje ważniejszą korespondencję.

- Po co mu w takim razie sekretarka? - zirytował się Sam.

- Wygląda na to, że do odbierania telefonów. - Matt wzruszył ramionami.

Chance nie spuszczał z niego oczu.

- Wyciągnąłeś coś od niej, prawda?

Matt spojrział na swego zleceniodawcę i pozwolił sobie na rzadki u niego uśmiech.

- Poza odbieraniem telefonów opróżnia kosz na śmieci w jego pokoju. W piątek wieczorem znalazła w nim dużą kopertę od jakiegoś Whitneya, Whittiera czy kogoś o podobnym nazwisku. Zapamiętała to, bo adres zwrotny był w Salt Lake City, a ona ma tam ciotkę. Pomyślała, że nadawca jest lekarzem, może ginekologiem. Nie była pewna, ale zapamiętała jakiś nadruk na ten temat pod jego nazwiskiem. A ja domyślam się, że tam nie było napisane ginekolog, tylko genealog.

- Ktoś, kto zajmuje się historiami rodów, genealogią. - Sam aż podskoczył na fotelu. - Założę się, że masz rację, Matt. Założę się, że Canon wynajął go, żeby odszukał ewentualnych krewnych Hattie.

- To logiczne - zgodził się Matt. - W Salt Lake City zgromadzili całkiem sporą kolekcję rodzinnych rejestrów. Z tego, co wiem, większa jest tylko w archiwach w Waszyngtonie. Tak czy owak, jeśli jest tam genealog o nazwisku Whittier czy Whitney, nie będzie trudno go odnaleźć.

- A co z wizytą Hattie w San Francisco? - dopytywał się Chance.

- Tu nie mieliśmy takiego szczęścia. Jak wiesz, zatrzymała się w śródmieściu, w hotelu Cartwright. Zanim mój współpracownik z rejonu Zatoki zdołał znaleźć kogoś, kto by tam pojechał w sobotnie przedpołudnie, Hattie wymeldowała się z hotelu. Recepcjonista twierdzi, że było tuż po ósmej. Szwajcar przypomniał sobie, że przyjechał po nią jakiś mężczyzna ciemnozielonym wozem. Nie był pewny marki ani firmy, ale wydawało mu się, że miał

kalifornijską rejestrację. Mniej więcej dwie i pół godziny później samochód odpowiadający temu opisowi przywiózł ją na lotnisko. Mój człowiek nie zdołał podejść wystarczająco blisko, żeby odczytać numer tablicy rejestracyjnej. Niestety, nie wiemy, gdzie była, co robiła ani z kim się widziała przez te dwie i pół godziny od momentu, gdy opuściła hotel, do chwili przyjazdu na lotnisko.

- Macie rysopis kierowcy? - spytał Chance.

- Nie mamy. Ale najwidoczniej albo ona, albo Canon znają kogoś w San Francisco. Mam człowieka w przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym, który sprawdza, czy któreś z nich nie prowadziło jakichś zamiejscowych rozmów z rejonem Zatoki w przeciągu ostatniego tygodnia. - Zdecydowanym ruchem zamknął teczkę. - Jak już wspomniałem, na razie nie mamy dla ciebie żadnych rewelacji. Ale pracujemy nad wieloma rzeczami. - To sprawa najwyższej wagi, Matt. - Chance przypomniał mu o tym z twardym błyskiem w oczach, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości. - Zdobądź dla mnie te informacje, Matt, tym lub innym sposobem, byle ci się udało. I niech żadne zamknięte na klucz dokumenty nie będą dla ciebie przeszkodą.

- Rozumiem. - Matt spokojnie skinął głową, nie potrzebując dodatkowych wyjaśnień.

Po jego wyjściu Sam zwrócił się do Chance'a; z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie spodni sprawiał wrażenie zamyślnego i zmartwionego.

- Nie wygląda na to, żeby Hattie blefowała, prawda? Ty zresztą od początku sądziłeś, że mówi prawdę. Dlaczego?

- Nie widziałeś jej. Wyglądała jak kot, który łakomie oblizuje wąsiki z resztek śmietanki. - Wziął do ręki sprawozdanie Matta i zaniósł je na swoje biurko.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedział Sam, przeczesując palcami

włosy. - Jakiś zagubiony krewny, który ma coś wspólnego z Morgan's Walk... Chance, co zamierzasz z tym zrobić?

- Odkupię posiadłość, jeśli będę musiał.

- A co będzie, jeśli ten ktoś nie będzie chciał sprzedać?

- Każdy ma swoją cenę, Sam. Właśnie tutaj Hattie popełniła błąd. Kimkolwiek jest ten krewny, będzie miał w nosie Morgan's Walk. Będzie go interesowało wyłącznie, ile odziedziczy pieniędzy.

- Ale przecież Hattie już mogła go nastawić przeciw tobie. Jeśli jeszcze tego nie zrobiła, to założę się, że o tym nie zapomni.

- To nie ma znaczenia. Kupimy przez podstawionego człowieka. Nie będą mieli pojęcia, że sprzedają mnie.

- Chciałbym być taki pewny.

- Będziemy musieli to dobrze rozegrać, jak już się dowiemy, kim jest ten krewny i zbierzemy o nim trochę informacji. Może do piątku będziemy wiedzieć. Lecę na występ Lucianny otwierający sezon w San Francisco. A propos, coś mi się właśnie przypomniało... - Podniósł słuchawkę telefonu i nacisnął przycisk wewnętrznej linii do Molly.

- Tak? - padła lapidarna odpowiedź.

- Molly, chcę, żebyś wysłała w moim imieniu kwiaty.

## 6

*W* małym pokoju konferencyjnym przylegającym do dziani grafiki panowała atmosfera napięcia, kiedy Flame studiowała rozłożone przed nią na długim stole pobieżne szkice. Schematyczne propozycje nowych reklam prasowych leżały obok szkiców reklam telewizyjnych wraz z tekstem. Rozczochrany, rudy artysta w koszuli z długim rękawem wiercił się niecierpliwie na krześle; napięcie, z jakim oczekiwał na jej reakcję, dało w końcu o sobie znać. Poruszenie przyciągnęło przelotne, lecz życzliwe spojrzenie autorki

haseł reklamowych. Ellery zignorował oboje, a Flame w ogóle nic nie uważała, skupiona całkowicie na leżących przed nią propozycjach. Wolno i niechętnie pokręciła głową.

- Nie podoba ci się - podsumował Ellery, zagłuszając tą uwagą zduszone przekleństwo, które wyrwało się artyście.

Flame westchnęła z żalem:

- Jeśli mam być szczerą, nie. - Wzięła do ręki szkic reklamówki telewizyjnej. - To jest tylko zgrabna przeróbka poprzedniej.

- Odniosła duży sukces.

- Wiem. Ale już od roku eksploatujemy ten sam temat. Potrzeba nam nowego spojrzenia, czegoś, co przemówi do młodszych widzów. Rezultaty badań rynku w połączeniu z danymi demograficznymi, które przeprowadziliśmy w tym roku, pokazują, że bardzo niewielka liczba osób w przedziale wieku między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia robi zakupy w sklepach Powella. Moim zdaniem, na nich powinniśmy skupić nasze zainteresowanie. Zadaniem każdej kampanii jest podniesienie sprzedaży i zwiększenie bazy klientów. Jeśli jakaś część rynku jest poza naszym zasięgiem, musimy dążyć do tego, żeby ją opanować.

- Masz jakieś pomysły, jak to zrobić? - Ellery podszedł i stanął obok niej.

- Pomysły to twoja działka. - Uśmiech igrał w kącikach jej ust, kiedy podawała mu szkice. - Moim zadaniem jest pokazanie ci kierunku, w którym chciałby pójść nasz klient.

- Dzięki - mruknął sardonicznie.

Autorka haseł przerwała machinalne bazgrolenie i poprawiła okulary.

- Te badania, o których wspomniałaś, czy mówiły coś o tym, dlaczego ci młodzi nie kupują u Powella? - Przełożyła ramię przez oparcie krzesła, całą swoją uwagę skupiając na Flame, w myślach już koncentrując się na



problemie do rozwiązania.

- Ich reakcje można podzielić na dwie kategorie. Pierwsza: odbierają Powella jako zbyt poważnego, zbyt konserwatywnego. Druga, nie tak bardzo zaskakująca: uważają, że jest za drogi. - Przerwała na chwilę, żeby spojrzeć na Ellery'ego. - Dostarczę ci kopie tych badań.

- To mogłoby być pomocne.

- Na pewno. - Skinęła głową. - Głównym przesłaniem tej kampanii powinien być nowy image Powella, młodzieńczy i nowoczesny, ale bez odwracania się od starych klientów. Myślę, że powinniście pomyśleć o nowym logo, czymś odnoszącym się do lat dziewięćdziesiątych i do roku dwutysięcznego. To może podsunąć nowe pomysły tekstów i obrazów do filmów.

- Co to dla nas! - parsknął artysta, wzruszając ramionami z udawaną beztróską. - Możemy to zrobić z zamkniętymi oczami, prawda Andy? - zwrócił się do autorki tekstów. - Problem polega na tym, że pewnie nieprędko będziemy mieli okazję się zdrzemnąć.

Dyskusję przerwało pukanie. Flame odwróciła się do drzwi, w których ukazała się głowa jej asystentki, Debbie Connors, obramowana rozkołysaną masą falujących blond włosów. - Przepraszam, Flame, ale prosiłaś, żeby ci przypomnieć o obiedzie, na który jesteś umówiona z panem Powellem. Przyjechał po ciebie samochód i czeka przed wejściem.

Flame spojrzała na zegarek i westchnęła:

- Powiedz, że zaraz schodzę.

- Nie można pozwolić, żeby taka osobistość czekała - kwaśno skomentował Ellery.

Przesłała mu ironiczne spojrzenie.

- Możesz sobie żartować, ale tak się składa, że to prawda. - Ruszyła w

kierunku drzwi. - Poproszę Debbie, żeby podrzuciła ci wyniki tych badań. Jeśli chciałbyś jeszcze coś wyjaśnić, możemy porozmawiać po południu, kiedy wrócę z obiadu.

Ellery skinął głową, po czym dodał z szelmowskim uśmiechem:

- Baw się dobrze.

Kiedy Flame wyszła z budynku, smukła, szara limuzyna, lśniąca od polerowania, czekała przy krawężniku. Masywny szofer pośpiesznie zgasił papierosa i otworzył przed nią drzwi.

- Dzień dobry, pani Bennett. - Dotknął dłonią czapki, a jego szeroka twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jak się masz, Arturze? - Odwzajemniła uśmiech i odruchowo podała mu teczkę z dokumentami. - Jak tam wnuki?

- Świetnie, proszę pani. - Uśmiechnął się z dumą jeszcze szerzej. - Rosną jak na drożdżach.

Roześmiała się, trochę dlatego, że wypadło.

- Mają na to swoje sposoby. - Podniosła wzrok na skrawek błękitnego nieba, widoczny pomiędzy masywnymi ścianami kanionu utworzonego przez piętrzące się wieżowce. - Wspaniały mamy dzisiaj dzień, prawda?

- Tak jest, proszę pani. Rzeczywiście. - Pomocnym gestem ujął ją pod łokieć, gdy pochyliła się wsiadając na tylne siedzenie. Potem poczekał, aż się wygodnie usadowi, i dopiero wtedy zamknął drzwi. Uliczny zgiełk raz jeszcze wdarł się na moment do środka, kiedy otworzył przednie drzwi i usiadł za kierownicą. Niewielką aktówkę położył na siedzeniu obok. Samochód ruszył i zapadła cisza przerywana jedynie szumem klimatyzacji.

Flame oparła się o wyłożone aksamitem siedzenie, starając się odprężyć po tym niezwykle nerwowym poranku. Bezmyślnie gapiała się przez okno na

ludzi śpieszących gdzieś chodnikami zatłoczonymi teraz, podczas zwiększonego ruchu w przerwie obiadowej. Po obu stronach ulicy drapacze chmur strzelały wysoko w niebo, zamykając ulicę ścianami swoich frontonów. Biura agencji były dobrze usytuowane - po jednej stronie miały obrzeża dzielnicy finansjery, określanej przez wielu mianem „Wall Street Zachodniego Wybrzeża”, po drugiej, okolice placu Union z jego modnymi sklepami i luksusowymi hotelami, gdzie zaopatrywała się elita. Flame uśmiechnęła się, wspominając uwagę Ellery’ego na temat tego sąsiedztwa - wydało mu się wysoce właściwe, ponieważ po jednej stronie budynki sięgały nieba, po drugiej zaś niebotyczne były ceny.

- Powiedz mi, Arturze, gdzie jemy dzisiaj obiad?

Lekko uniósł głowę i popatrzył w tylne lusterko, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nie wiem, proszę pani. Polecono mi przywieźć panią do biura.

- Rozumiem. - Oparła się o siedzenie, przez chwilę zastanawiając się nad tym odstępstwem od zwykłego trybu. Zwykle jadali w klubie Malcolma. Ale było jej wszystko jedno. Chyba nawet jej to odpowiadało. Może zmiana scenerii uspokoi ten ciągły niepokój, który nie opuszczał jej od kilku dni.

Niecałe pięć minut później zatrzymali się przy frontowym wejściu do domu towarowego Powella i Artur otworzył przed nią drzwi limuzyny. Stąd rozchodziły się liczne krajowe gałęzie firmy. Z aktówką w ręku Flame wkroczyła do środka. Przemknęła obok stoiska z perfumami - kolejno owiały ją fale rozmaitych zapachów - i podążyła prosto do znajdujących się na półpiętrze biur dyrekcji.

Kiedy weszła do biura Malcolma, brunetka o surowym wyglądzie podniosła głowę znad biurka i po jej twarzy przemknął uśmiech.

- Proszę wejść, pani Bennett. Pan Powell czeka.

- Dziękuję. - Już w drzwiach do jego gabinetu Flame zawahała się na

ułamek sekundy, potem bez pukania weszła do środka.

Podłogę przykrywał tebryski dywan, a ściany wyłożone sosną- specjalnie dobieranym kalifornijskim drewnem, malowanym, a następnie woskowanym - upodabniały obszerne i przestronne biuro do kapitańskiej kabiny. Z tym nieco marynarskim nastrojem współgrała oprawna w ramy mapa mórz chińskich, zawieszona na ścianie w końcu pokoju, za masywnym antycznym biurkiem. Ale nawet ten mebel, pomimo swoich okazałych rozmiarów, nie był w stanie przytłoczyć siedzącego za nim mężczyzny. Na widok Flame Malcolm podniósł się z krzesła, a ona bezszelestnie przeszła przez pokój - odgłos jej obcasów zdusił perski dywan.

- Jak zawsze wyglądasz czarująco, Flame. - Z wyrazem uznania omiółł ją szybkim spojrzeniem szarych oczu. - Ładny kostium.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, unosząc rękę i na moment przybierając pozycję modelki, żeby zaprezentować turkusowoniebieski wełniany kostium od Adolfo. - Pochodzi z twojej kolekcji na czwartym piętrze.

Odpowiedział uśmiechem, który pogłębił dołek w jego podbródku:

- Zawsze wiedziałem, że jesteś kobietą o wyrafinowanym guście. - Jego spojrzenie nabrało pożądliwego wyrazu, zdradzając pragnienie przyłączenia jej do listy rzeczy, które posiada.

Widząc to, Flame, nie przestając się uśmiechać, mruknęła znacząco:

- O bardzo wyrafinowanym guście, Malcolmie... we wszystkim. - Położyła skórzaną aktówkę na siedzeniu krzesła z twardym oparciem, które stało naprzeciwko jego biurka. - Czy możemy przed obiadem przejrzeć te zmiany? - rzuciła pytająco i nie czekając na odpowiedź, zaczęła otwierać teczkę.

- Czy Harrison je zaaprobował? - zapytał. Harrison był jego dyrektorem od spraw marketingu.

Skinęła twierdząco głową:

- Przejrzeliśmy je razem w czwartek.

- W takim razie nie ma potrzeby, żebym je oglądał. Jeśli jego satysfakcjonują, to i mnie.

Zaskoczyła ją ta odpowiedź. Dotychczas zawsze omawiali wszystkie, choćby nie wiem jak mało istotne sprawy. Dzięki temu ich obiady zachowywały pozory służbowych, chociaż Flame przez cały czas miała świadomość, że interesy nie mają nic wspólnego z jego potrzebą przebywania w jej towarzystwie. Ta zmiana nadająca im bardziej towarzyski, bardziej osobisty charakter... cóż to miało oznaczać? Nie była pewna. Może to próba zwiększenia na nią nacisku, chęć wymuszenia bardziej intymnych stosunków.

Postanowiła mieć się na baczności, ale tego nie okazała. Uśmiechając się swobodnie, zamknęła aktówkę stanowczym gestem.

- Jeśli nie chcesz ich oglądać, nie ma sprawy. - Odwróciła się do niego z uśmiechem. - Nigdy nie dyskutuję z klientem.

- To bardzo rozsądne, Flame. - Przyglądał się jej uważnie swoimi szarymi oczyma. - Ponieważ klient ma zawsze rację. A jeśli sądzisz, że jest inaczej, to spróbuj sobie poradzić bez niego.

Czyżby to była groźba? Przynajmniej tak to zabrzmiało, choć jego ciepłe spojrzenie zdawało się temu przeczyć. Flame postanowiła potraktować tę uwagę jako ciętą replikę.

- Włącz to do waszego następnego firmowego biuletynu, jako przysłowie Powella. Taki dowcip szefa byłby z pewnością przebojem numeru.

- Może tak zrobię.

- Powinieneś. - Zatrzymała się, żeby wziąć skórzaną aktówkę. - Jeszcze nie powiedziałaś, dokąd idziemy na obiad.

- Nie idziemy. - Wyszedł zza biurka i stanął naprzeciw niej. - Zjemy tutaj. Doszedłem do wniosku, że już najwyższy czas zrobić jakiś użytek z mojej

prywatnej jadalni. Zawsze to coś innego niż te nudne, zimne obiady służbowe. Czy masz coś przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Nawet najmniejszym gestem Flame nie okazała zaniepokojenia, chociaż po raz pierwszy miała zjeść z nim obiad sam na sam. - Przy najmniej nie będziemy mieli powodów do narzekań na obsługę.

- Ani najedzenie, mam nadzieję - dodał z rzadkim u niego poczuciem humoru.

- Z taką reputacją, jaką ma twój kucharz, jestem pewna, że dostaniemy coś więcej niż chleb i wodę.

- Zobaczymy.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do przyległego pokoiku zamienionego na prywatną jadalnię. Na mieście mówiło się, że kosztowała pięćdziesiąt tysięcy dolarów, lecz w gustownie urządzonym wnętrzu nie rzucało się to w oczy. Powtórzono tu splendor wyłożonych drewnem ścian z głównego gabinetu. Tym razem żeglarski nastrój potęgował olbrzymi olejny obraz zawieszony nad bocznym stolikiem z epoki edwardiańskiej. Obraz przedstawiał chiński kliper uciekający przed nadciągającym sztormem.

Mały okrągły stół ustawiony pośrodku pokoju, przykryty lnianym irlandzkim obrusem ozdobiono bukietami róż i przygotowano dla dwóch osób. Nie było jednak świec, a w mosiężnym żyrandolu jasno świeciły wszystkie żarówki, eliminując wszelkie sugestie romantycznego czy intymnego nastroju. Flame odetchnęła z ulgą.

Kiedy usiedli, kelner otworzył butelkę wina. Malcolm zrezygnował z oględzin korka i próbowania wina, ręką pokazując kelnerowi, by napełnił oba kieliszki ciemnoczerwonym płynem. W niemym toaście uniósł kieliszek w jej stronę, potem zszedł obserwując, jak Flame próbuje wino.

- Ach, Cabernet - powiedziała z aprobatą.

- Smakuje ci? - Ton jego głosu sugerował, że jeśli wino nie spotka się z jej uznaniem, spróbują czegoś innego.

- Wyśmienity. - Choć wielu hołdowało modzie picia wyłącznie białych wytrawnych win, Flame wołała smak pełnego bukietu dobrego czerwonego wina.

- W porządku. - Malcolm skinął głową krzątającemu się kelnerowi i na koniec sam spróbował wina.

- Czy mam już zacząć podawać, proszę pana?

Znowu Malcolm potwierdził skinieniem głowy. Kelner wyszedł do salki obok i prawie natychmiast wrócił niosąc dwie porcje sałatki ze świeżego szpinaku i truskawek. Flame wygładziła lnianą serwetkę na turkusowobłękitnej Spódnicy kostiumu i sięgnęła po odpowiedni widelec.

- Jak ci minął weekend? - zapytał Malcolm.

- Spokojnie, dzięki Bogu. Tak jak lubię. - Umiejętnie posłużyła się sztucem, najpierw składając listek szpinaku, a następnie nadziewając go na widelec. - Ach, byłabym zapomniała, miałam dosyć dziwną wizytę.

W skrócie Flame opowiedziała mu o starszej pani, która odwiedziła ją w sobotnie przedpołudnie, twierdząc, że jest jej daleką krewną. Kiedy wspomniała o rzekomym spadku w postaci rancza w Oklahomie, Malcolm zgodził się z nią, że wszystko to jest zbyt naciągane i że staruszka ma prawdopodobnie halucynacje, a może nawet jest zupełnie pomyłona.

- A ty? - zapytała. - Jak zwykle mieliście w weekend komplet gości?

Żona Powella znana była z zamiłowania do przyjmowania gości, a zaproszenie do ich rezydencji rodzinnej położonej na wyspie Belwedere było dla miejscowej ekskluzywnej społeczności obiektem gorących pragnień. I to z dwóch powodów: po pierwsze stanowiło przepustkę do kręgów elity towarzyskiej, po drugie ze względu na wspaniały klimat wyspy i pocztówkowe

wręcz widoki San Francisco na tle nieba na południe od wyspy i słynnego mostu Golden Gate na zachodzie. Zabudowana przez starą gwardię zamożnych mieszkańców miasta pod koniec zeszłego stulecia jako miejsce ucieczki w letnie upały, Belwedere słynęła ze swoich zabytkowych domów, wąskich, krętych uliczek i pięknych ogrodów. Życie, jak w wielu wyspiarskich społecznościach, koncentrowało się na wodzie, toteż znalazł tu dla siebie miejsce elitarny Klub Żeglarski San Francisco.

- Nie tym razem - odparł Malcolm. - Tak jak ty, spędziłem go spokojnie. Prawdę mówiąc, ostami raz w tym sezonie wypłynąłem łódką w morze. - Łódź, tak lapidarnie przez niego określona, była wysmukłym, dziesięciometrowym jachtem, który kilka lat wcześniej startował w Pucharze Ameryki. - Mam tak napięty rozkład zajęć na następne miesiące, że prawdopodobnie przed zimą nie będę miał już okazji pożeglować.

Oboje interesowali się żeglarstwem i rozmowa obracała się wokół tego tematu. Potem znowu pojawił się kelner i zaserwował pierwsze danie.

- Cielęcina w sosie z zielonego pieprzu! To jedno z moich ulubionych dań - oświadczyła uśmiechając się do Malcolma.

- Nie sądzisz, że do tej pory powinienem już wiedzieć, co lubisz?

Dopiero teraz Flame zorientowała się, że całe menu zostało dobrane z uwzględnieniem jej upodobań kulinarnych - wszystko, poczynając od wina, poprzez sałatkę, na głównym daniu kończąc.

- W takim razie na deser będzie czekoladowy suflet - zgadywała, oczarowana tym, że zadał sobie tyle trudu, i zapamiętał, co lubi, że starał się zrobić jej przyjemność.

- A cóżby innego? - rozpromienił się zadowolony i pewny siebie.

Roześmiała się miękko, a jej nastrój bardzo się poprawił. Zniknęło gdzieś napięcie. Zapewne była to zasługa wyśmienitego posiłku i znakomitego



wina, a także ekskluzywnej, lecz przyjemnej atmosfery pomieszczenia. Przede wszystkim jednak sprawiła to subtelna dbałość Malcolma nawet o najmniejsze szczegóły.

Przez resztę posiłku - wspomniany czekoladowy suflet, a po nim kawa - gawędzili o interesach, czasami zapuszczając się w politykę czy ekonomię. Właśnie tę wymianę poglądów i opinii, która zawsze towarzyszyła ich poprzednim obiadom, Flame lubiła najbardziej. Spokojna i stymulująca, była odmianą od ciągłych plotek i rozmów o zakupach, które odbywały się w agencji.

- Jeszcze kawy? - Malcolm wyciągnął rękę po srebrny dzbanek, który kelner zostawił na stoliku.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Nie muszę ci mówić, że obiad był wspaniały.

- Cieszę się, że ci smakowało. - Obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty. - Bardzo ci dobrze w tym odcieniu turkus. Podkreśla zieleń oczu. Powinnaś częściej nosić ten kostium.

- Jeśli zawsze po posiłku raczysz jeszcze gości komplementami, będę nalegać, byśmy częściej tu jadali - oświadczyła z uśmiechem, składając serwetkę i odkładając ją na stół.

- Będę o tym pamiętał - powiedział i za chwilę dodał: - A propos pamiętania, chciałbym ci coś pokazać. - Odłożył serwetkę i wstał. Flame podążyła za nim do jego gabinetu. - Od jakiegoś czasu zastanawiam się, czy nie poszerzyć asortymentu futer, które sprzedajemy w naszych głównych sklepach. - Zatrzymał się, żeby zamknąć drzwi do jadalni. - Oczywiście chciałbym utrzymać standard Powella w ich jakości. Dlatego pragnę poznać twoją opinię na temat tego płaszcza.

Prośba nie była niczym niezwykłym. W przeszłości Malcolm wiele razy

konsultował z nią takie sprawy, argumentując to tym, że Flame reprezentuje oba bieguny jego klienteli: kobietę pracującą zawodowo i damę z towarzystwa.

Jej ciekawość wzrosła, kiedy podążając za Malcolmem podeszła do niewielkiego stołu konferencyjnego w drugim końcu pokoju. Przez jedno z krzeseł przewieszane było luksusowe futro. Malcolm zarzucił je sobie na ramiona i odwrócił się, żeby mogła się lepiej przyjrzeć. Kiedy spojrzenie Flame padło na ciemne, prawie czarne, długie do ziemi futro, zabrakło jej tchu.

- Jest wspaniałe - wymamrotała i wyciągnęła rękę, aby go dotknąć, po czym rzuciła Malcolmowi szybkie, rozświetlone spojrzenie. - To sobole, prawda?

- Rosyjskie sobole. Przymierz.

Nie trzeba było jej namawiać. Odwróciła się i Malcolm pomógł jej się ubrać. Kiedy przesunęła dłońmi po postawionym kołnierzu, a potem dalej, w dół po przednich połach, przeczesując delikatnie gęste włosy, zdała sobie sprawę, że nie ma drugiego takiego odczucia, jak zmysłowy dotyk futra - miękkie, jedwabiste... i tak całkowicie luksusowe. Nic innego nie dawało kobiecie tyle poczucia kobiecości i elegancji - świadomości tego, że jest atrakcyjna..

Gwałtownie odwróciła się do Malcolm:

- Jest oszalamiające.

- Na tobie.

Odpowiedź nie była przesadnie wylewna, lecz rekompensowało ją płonące spojrzenie. Flame obróciła się dokoła wiedząc, że powinna powstrzymać emocje, ale czuła się tak wspaniale. Było jej wszystko jedno. Otuliła się futrem, zanurzając w nie głęboko palce.

- Mam pewien pomysł. - Usłyszała i poczuła ciężar dłoni Malcolm na

swoich ramionach. - Może włożysz je w piątek do opery?

Przez krótką chwilę dała się zwieść pokusie, po czym westchnęła z zalem:

- Nie mogę. To nie wypada - odparła, stanowczo potrząsając głową.

Nie zauważyła, w którym momencie przyciągnął ją delikatnie do siebie. Zorientowała się dopiero, gdy poczuła koło ucha ciepły oddech. Nie odsunęła się, choć powinna.

- Ależ oczywiście, że wypada. - Jego głos brzmiał nisko i pieszczotliwie. - Jest dla ciebie stworzone. - Przesunął ustami po jej włosach i musnął ją delikatnie w szyję. Flame instynktownie odwróciła głowę.

- Nie.

Słabo zaprotestowała, kiedy jego usta odnalazły małżowinę jej ucha. Niespodziewany dotyk spowodował falę dreszczy.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest bezbronna - jak łatwo ulega. Nie powinna być tyle czasu sama, tyle wspominać i rozmyślać o tym, jak bardzo pragnie miłości. Dotyk dłoni Malcolma i muśnięcie jego warg raz jeszcze jej o tym przypomniały.

- Pragnę cię, Flame. - Jego oddech rozgrzewał jej szyję. - Od momentu, kiedy przekroczyłaś próg tego biura trzy lata temu. Przysiągłem sobie wtedy, że cię zdobędę. Należysz do mnie, Flame. Czas, żebyś to dostrzegła.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo dojrzała do takiej sytuacji. A Malcolm doskonale przygotował grunt: to wino, jedzenie, swobodna rozmowa, sobolowe futro, które przypomniało jej, że jest kobietą, że ma zwykłe ludzkie potrzeby. Ale czy może mu ufać? Czy rzeczywiście chodziło mu o zaspokojenie jej potrzeb? A może, jak Nick, myślał przede wszystkim o sobie?

Jego ręce ześlizgnęły się po futrzanych rękawach wzdłuż zgięcia jej ramion i objęły ją, podczas gdy usta muskały z czułością policzek i ucho. Ale to nie tyle pieszczoty robiły na niej wrażenie, co czułe słowa, które szeptał.

- Czy nie pokazałem ci, jak może być między nami? Ciche obiady we dwoje. Intymne wieczory. Będzie cudownie, Flame, jeśli tylko się zgodzisz.

Wahała się tylko przez chwilę.

- Nie - zaprotestowała i powtórzyła już bardziej zdecydowanie: - Nie.

Robiąc szybki krok do przodu uwolniła się z jego objęć, następne dwa kroki oddaliły ją na bezpieczny dystans. Pośpiesznie zdjęła futro, odwróciła się, trzymając je w wyciągniętych rękach. Próbowwała trzymać się w ryzach, żeby nie zauważył, jak bardzo jest roztrzęsiona.

- Futro jest piękne, Malcolmie, ale nie odpowiadają mi towarzyszące temu warunki.

- Jeszcze przed chwilą nie protestowałaś - przypomniał, patrząc na nią pewnie.

Nie mogąc zaprzeczyć, Flame zignorowała tę uwagę.

- Przerabialiśmy to już wcześniej. - Ponieważ nie odbierał od niej futra, rzuciła je pogardliwie na oparcie najbliższego krzesła. - Nie będę twoją kochanką. Nie pozwolę się tak wykorzystywać.

- Nie pozwolisz się wykorzystywać. Ty? - Zapłonął gniewem, a twarz mu stężała. - A kim ty jesteś do diabła? Beze mnie jesteś niczym, następną zubożałą, dumną panienką z towarzystwa. Twoja praca, pensja, twoje prezesowanie, cała ta tak zwana kariera, wszystko to zawdzięczasz mnie!

Zauważyła, że trochę się zagalopowała, ale nie było już odwrotu - nawet, gdyby chciała.

- Nigdy cię o nic nie prosiłam.

- Ale przyjmowałaś to wszystko bez żadnych obiekcji. Kupiłem cię i zapłaciłem za ciebie już z dziesięć razy.

- Kiedy zaproponowałeś mi prowadzenie swoich spraw, jasno dałam ci do zrozumienia, że mylisz się sądząc, że płacisz za coś więcej. Obiecałam ci, że

twoje sprawy będą dla mnie absolutnym priorytetem. I tak było. Skakałam na każde twoje zawołanie. Jedyne miejsce, do którego nie wskoczyłam, było twoje łóżko. I tak zostanie!

Malcolm uśmiechnął się bardzo nieprzyjemnie.

- Nawet, jeśli będzie to oznaczało utratę wpływów z firmy Powella... i wszystkich innych firm, które ci podesłałem? Otworzyłem przed tobą drzwi świata biznesu, Flame, i równie szybko mogę je zamknąć. I dopilnować, żeby pozostały zamknięte.

- Czy to jest ultimatum? - Flame straciła panowanie nad sobą. - Czy chcesz powiedzieć, że albo pójdę z tobą do łóżka, albo zrujnujesz moją karierę? Tak bardzo mnie pragniesz, że nie robi ci różnicy, czy będę cię nienawidzić? Chcesz mieć w łóżku wroga? Czy tego właśnie chcesz?

- Nie, do jasnej cholery, nie chcę. - Odwrócił się gwałtownie, przeczesując dłonią gęste, siwiejące włosy.

Drżąc z gniewu i urazy wpatrywała się w niego, czując przeszywający ból. Raptownie obróciła się na pięcie i szybko podeszła do krzesła z wysokim oparciem, stojącego przy biurku Malcolma. Chwyciła aktówkę i ruszyła do drzwi. Malcolm zastąpił jej drogę. Zatrzymała się tuż przed nim.

- Naprawdę nie wydaje mi się, Malcolmie, żebyś miał prawo być niezadowolony z mojej pracy dla ciebie czy dla agencji. Jeżeli sądzisz, że należy ci się coś więcej, to zabierz mi sprawy swojej firmy. Nie chcę, żeby mi to wisiało nad głową.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru - oświadczył z niecierpliwością.

- Nie? - Uśmiechnęła się ponuro. - A mnie to wyglądało na próbę sił.

Chwycił ją mocno za rękę.

- Do diabła, Flame, nie jestem ci przecież obojętny. Udowodniłaś to, kiedy trzymałem cię w ramionach.

- Nigdy nie ukrywałam, że dobrze się czuję w twoim towarzystwie. Zawsze cię podziwiałam i szanowałam, Malcolmie. I lubiłam. I właśnie z tego powodu nie zostanę twoją kochanką.

- To się nie trzyma kupy

- Czyżby? Nie mam żadnych złudzeń, że byłby to jedynie romans. Może i jestem interesowna, ale nie na tyle, by zostać czyjąś kochanką - nawet twoją. Nie chcę przelotnego romansu, w którym byłabym tylko kolejną posiadaną rzeczą. Chcę czegoś więcej, czegoś, co da mi przynajmniej nadzieję trwałego, spełnionego związku z człowiekiem, któremu będzie zależało tylko na mnie. - popatrzyła na niego, bardziej niż kiedykolwiek świadoma pustki, jaka wypełnia jej życie. - Możliwe, że przez jakiś czas byłabym z tobą szczęśliwa... Tego nie wiem. Ale prędzej czy później znudziłbyś się mną i wszystko by się skończyło. I co by się wtedy ze mną stało? Nie moglibyśmy już razem pracować. Byłoby to zbyt kłopotliwe dla nas obojga. W końcu przeniósłbyś swoje interesy do jakiejś innej agencji. A ja straciłabym ciebie... i pracę.

- Niekoniecznie.

- Nie oszukujmy się, Malcolmie. Właśnie tak by to wyglądało. - W jej głosie wciąż pobrzmiwała złość, lecz teraz pojawił się jeszcze chłód. - Cokolwiek by się stało, to ja bym przegrała. Zawsze o tym wiedziałam.

Rozluźnił uścisk na jej ramionach i po chwili puścił ją całkowicie.

- Nie straciłabyś, Flame. Potrafię być bardzo hojny. - Jego spojrzenie ciągle płonęło pożądaniem. Nic z tego, co powiedziała, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

- Nie jestem przedmiotem, który można kupić, Malcolmie. Wydawało mi się, że dostatecznie ci to wyjaśniłam - odparowała, po czym dała za wygraną. Dalszy spór był bezsensowny. - Przepraszam cię, ale muszę już wracać do

biura.

Nie oponował.

- Każę Arturowi przyprowadzić samochód.

- Dziękuję, wolę się przejść.

Kilkaset metrów dzielących biuro Powella od agencji pokonała szybkim krokiem, starając się stłumić wypełniający ją gniew. Bezskutecznie. Zanim doszła do biura, była jeszcze bardziej wściekła. Na Malcolma za to, że próbował ją szantażować, i na siebie, za to, że dała mu do tego okazję. Jak mogła być tak głupia, tak słaba?

Kiedy wpadła do pierwszego pokoju, w którym urzędowała jej asystentka, młoda blondynka podniosła głowę znad biurka z wyrazem ulgi na twarzy.

- Jak to dobrze, że już jesteś... - Flame minęła ją, nie zwalniając kroku, pchnęła drzwi do swojego gabinetu i stanęła kompletnie sparaliżowana. - Posłaniec przyniósł trochę kwiatów - flegmatycznie dokończyła Debbie.

Trochę? Były wszędzie! Nie było miejsca, gdzie nie stałby wazon, a w nim spływające kaskadami gałęzie orchidei. Z wahaniem Flame weszła do pokoju, oszołomiona pachnącym gąszczem białych kwiatów.

- Prawda, że niesamowite? - skomentowała stojąca w drzwiach Debbie.

W końcu Flame odzyskała głos:

- Kto to przysłał?

- Na biurku leży bilecik.

Dopiero teraz Debbie zauważyła kartkę w płataninie kwiatów.

Flame pomyślała, że zna tylko jedną osobę, która pozwala sobie na takie ekstrawagancje. Chwyciła kopertę i rozrywając ją mruzczała pod nosem:

- Jeżeli Malcolmowi się wydaje...

Przeczytała bilecik:

*Do następnego razu. Chance Stuart.*

Zaszokowana, musiała oprzeć się o brzeg biurka, próbując powstrzymać śmiech, który wyrwał jej się z gardła.

- Od kogo? - zapytała Debbie i w tym samym momencie za jej plecami pojawił się Ellery.

- Czy Flame już wróciła? - Zauważył przepych orchidei. - Cześć, co to jest? Zamieniasz biuro w przedsionek raj, czy król Midas został twoim klientem?

Zadzwonił telefon. Debbie pośpieszyła do swojego biurka.

- Czy to nie jest niesamowite, absolutnie nieprawdopodobne? - Ciągłe w szoku, gubiąc słowa, Flame pogładziła dłonią spód jednej z wygiętych gałęzi, na całej długości obsypanej białymi kwiatami.

- Kto je przysłał? Tarzan czy Merlin Olsen? - Ellery wszedł do pokoju, skupiając spojrzenie na wizytówce w dłoni Flame.

- Chance Stuart. - Wciąż nie mogła w to uwierzyć.

Głowa Debbie pojawiła się znowu w drzwiach:

- Flame, zamiejszcowa do ciebie, od jakiegoś Stuarta.

Na drugiej linii. Na krótką chwilę oczy Flame spotkały się z oczami Ellery'ego. Odwróciła się i próbowała odnaleźć aparat w gąszczu kwiatów. W końcu go wypatrzyła, podniosła słuchawkę i nacisnęła guzik z pulsującym światełkiem, cały czas czując z podniecenia ucisk w żołądku.

- Halo! - Starła się, żeby zabrzmiało to naturalnie, ale komu by się to udało, kiedy pokój tonie w kwiatach, a sprawca tego jest na linii.

- Flame? Tu Chance Stuart. Jak się miewasz? - Dobiegł ją głęboki głos, ciepły i leniwy.

Natychmiast pojawił się przed nią obraz jego niebezpiecznego uśmiechu i zmysłowej twarzy.

- Właśnie tonę w kaskadach orchidei. Są wszędzie i są bardzo piękne.

- Cieszę się, że ci się podobają.



- Bardzo.

- Dzwonię, bo tak się składa, że mam dodatkowy bilet do opery na piątek. To świetne miejsce na parterze... tuż obok mojego. Myślisz, że uda mi się, namówić cię, żebyś poszła do opery w moim towarzystwie?

Flame zawahała się spoglądając na Ellery'ego. Planowali, że pójdą tam razem, a poza tym pamiętała, jak zakończyło się jej pierwsze i jedyne spotkanie z Chance'em Stuartem. Wyszedł z przyjęcia u DeBorgów w objęciach operowej śpiewaczki.

- A co z panną Colton? - spytała z wymuszoną obojętnością.

- Lucianna będzie na scenie. Wydaje mi się, że śpiewa w tym przedstawieniu. Tak czy inaczej, zapraszam cię. Pójdiesz?

- Mam już inne plany. - Jeszcze raz spojrzała na Ellery'ego, który uśmiechnął się kwaśno i machnął przyzwalająco ręką. - Ale wydaje mi się, że będę mogła je zmienić bez wielkiego kłopotu.

- Świetnie.

Kiedy podała mu swój adres i ustalili godzinę spotkania, Flame powtórzyła jego słowa: „Do następnego razu” i rozłączyła się. Jeszcze przez chwilę trzymała rękę na słuchawce, w drugiej dłoni ściskając jego wizytówkę.

- Czy wiesz... - Ellery odchylił głowę i przyglądał się jej w zamyśleniu - że tak właśnie wygląda zakochana kobieta?

- To absurdalne. - Ale czuła, że policzki płoną jej nienaturalnie. - Przecież nawet go nie znam.

- Moja droga, miłość nie jest opinią. To reakcja chemiczna. Albo coś się dzieje między dwojgiem ludzi, albo nie.

- Mówisz o miłości czy o przypadkowym zapłonie? Nie, żeby miało to jakieś znaczenie. - Wzruszyła ramionami. - W obu przypadkach można się poparzyć. - Miała zbyt wiele doświadczeń na tym polu, żeby polegać na

własnych emocjach. - Odkryłam, że znacznie bezpieczniej jest najpierw sprawdzić. Można sobie zaoszczędzić wielu przykrości.

- Uważaj, moja droga. Twoje blizny wychodzą na wierzch.

- Przypudruję je - odparowała i rozejrzała się po pokoju, jeszcze raz oszołomiona ilością kwiatów. - I co ja mam z tym wszystkim zrobić? - zastanawiała się na głos.

- Ciesz się nimi, moja droga - zaproponował Ellery z udawaną powagą. - Po prostu ciesz się.

Flame przesłała mu pełne kpiącego rozbawienia spojrzenie:

- Wiesz co, Ellery? Jestem prawie pewna, że w głębi duszy jesteś romantykiem, który ukrywa się pod maską cynika.

Uśmiechnął się do niej chytrze, robiąc oko.

- Tak jak ty.

Chciała odruchowo zaprzeczyć, ale Ellery wyszedł, nie zwracając na nią uwagi. Flame pokręciła głową i odwróciła się do najbliższej stojącego wazonu orchidei. Wdychała ich zapach, ciągle trzymając w dłoni wizytówkę Chance'a, a na jej twarzy pojawił się mglisty wyraz zadumy nad straconymi złudzeniami.

## 7

Latarnie jarzyły się na ozdobnych słupach z kutego żelaza, które znaczyły wejście na plac przed imponującym gmachem opery, wzniesionej z okazji zakończenia wojny. Wysokie, łukowo sklepione okna jaśniały od światła, oznajmiając wszem i wobec otwarcie jesiennego sezonu. Na zewnątrz długie limuzyny - rolls royce'y i mercedesy - ustawiały się wzdłuż alei Van Ness, podczas gdy w środku zbierał się coraz większy tłum dostojnych gości.

To wydarzenie było również początkiem sezonu towarzyskiego San Fran-

cisco. Każdy, kto cokolwiek znaczył, i ci, którzy do tego aspirowali, byli obecni na premierze. Przybyli, żeby się pokazać i zobaczyć innych - ku wiecznej radości wszystkich wielkich krawców tej planety. Jedwabie de Ribesa ocierały się o taftę Ungaro, a aksamit Valentino o satynę St. Laurenta. A do tego lśniące diamenty, płonące rubiny i szafiry oraz skrzące się szmaragdy, które zdobiły palce, nadgarstki, dekolty i uszy wielbicieli opery.

Kiedy przybyła Flame, wsparta na ramieniu Chance'a Stuarta, odnotowano z uwagą jej wysoko zaczesane włosy, diamentowe klipsy, długą, obcisłą suknię bez ramiączek od Oskara de la Renty z cieniowanej jedwabnej krepy, bolerko z długimi rękawami i poszerzonymi ramionami. Ale to towarzyszący jej mężczyzna w czarnym wieczorowym stroju wzbudził zainteresowanie swoją smagłą twarzą, elektryzującymi, błękitnymi oczami i uśmiechem niegrzecznego chłopca. Flame widziała błyski zazdrości w wielu oczach. I sprawiało jej to przyjemność.

Oślepił ją błysk flesza. Podniosła dłoń, żeby osłonić oczy i zamrugała gwałtownie, starając się zniwelować skutki porażenia światłem.

- Ten szpaler fotografów, który musieliśmy pokonać... zdaje mi się, że przez resztę wieczoru będę miała czarne plamki przed oczami.

- Nie mogę mieć im za złe, że chcą dołączyć do swoich zbiorów twoje zdjęcie - powiedział półgłosem Chance, spoglądając na nią ciepło.

Uśmiechnęła się z powątpiewaniem:

- Odnoszę wrażenie, że bardziej byli zainteresowani moim demonicznie przystojnym towarzyszem.

- Demoniczny? Tak właśnie mnie odbierasz? - Bruzdy w jego gładko wygolonych policzkach pogłębiły się, sugerując rozbawienie, którego jednak nie podkreślił uśmiech.

- W kilku artykułach na twój temat, które ostatnio czytałam, sugerowano, że

tylko sam diabeł ma takie szczęście jak ty, a sposób, w jaki się uśmiechasz, może wzbudzić bardzo grzeszne myśli. Przyszło mi więc do głowy, że pewnie przehandlowałeś ogon i rogi za ten smoking na dzisiejszy wieczór.

Popatrzył jej głęboko w oczy, separując ją od reszty świata intymnością tego spojrzenia.

- W takim razie, może to wszystko wyjaśnia.

- Co? - Zabrakło jej tchu i zaskoczyła ją ta reakcja.

- Diabła zawsze ciągnie do ognia. Im cieplej, tym lepiej. - Uśmiechnął się. - To może być dla nas bardzo gorący wieczór.

- Flame, kochanie! - Jacqui Van Cleeve wychylnęła z tłumu. Słowa Chance'a poruszyły Flame bardziej niż chciałaby to przyznać, lecz teraz przeniosła uwagę na autorkę kolumn towarzyskich, ubraną w trochę wyzywającą suknię z jedwabnego adamaszku w czarno- amarantowe roślinne wzory, wykończoną z tyłu czarną tiurniurą. Strój wydał się Flame wysoce odpowiedni, zważywszy, jak bardzo Jacqui strzepiła sobie język.

- Nie widziałam cię na przyjęciu z okazji występów Guilda. Ellery zapewnił mnie, że będziesz tu dzisiaj. Oczywiście nie musisz mi już objaśniać powodu swojej nieobecności. Widzę, dlaczego nie przyszłaś - oświadczyła i zwróciła się do Chance'a: - Witamy.

- Jacqui. - Skinął do niej lekko głową i uzupełnił to jednym ze swoich wypróbowanych uśmiechów. - Przyciągasz dziś wszystkie oczy.

Dziennikarka roześmiała się, aż zakółsały się duże szerokie koła w jej uszach:

- Na pewno nie zlewam się z tapetą, chyba że z wiktoriańską. - Przerwała, spoglądając na niego znacząco. - Miałam duże wątpliwości, czy jeszcze będziemy mieli przyjemność gościć pana tutaj, w San Francisco.

- Cóż mam powiedzieć? Przyciągnęło mnie tu jak ćmę do płomienia -

odparł i bardzo naturalnie przeniósł spojrzenie na Flame. Ten gest i blask w jego oczach sugerowały jednoznacznie, że to ona jest przyczyną powrotu.

Starala się nie okazać, jak wielką sprawiło jej to przyjemność. Próbowala też nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Walczyła z tym przez cały zeszły tydzień. Ale stawało się to coraz trudniejsze, szczególnie teraz, gdy byli razem i odkrywała, że przebywanie w jego towarzystwie budzi w niej równie silne emocje, co poprzednim razem.

- Widzę, że pańska reputacja człowieka, który nie traci czasu, jest zasłużona - półgłosem rzuciła Jacqui.

- Nic nie można zdobyć samym pragnieniem - zripostował gładko Chance. - Nie sądzi pani?

- Owszem - przyznała i spojrzeniem otaksowała otaczający ich, obwieszony biżuterią tłum. - Przydźwigali tu dziś parę kamyków, prawda? To niesamowite, jak łatwo rozpoznać, kto z nich ma na sobie prawdziwe! Wystarczy, że w pobliżu kręci się dobrze zbudowany goryl z ledwo widoczną wypukłością marynarki na wysokości kieszeni. - Przerwała, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Przypomina mi się pewien bal dobroczynny w Dallas. Była tam kobieta dosłownie obwieszona brylantami. Pozwoliłam sobie na komentarz, że ma ich może na sobie trochę za dużo. I wiecie co ta słodka teksańska gaska powiedziała mi z rozwlekłym akcentem: „Jacqui, kochanie, kiedy chodzi o diamenty, mniej niekoniecznie oznacza lepiej”. Gdybym miała podsumować dzisiejszy wieczór, powiedziałabym, że ludzkie skłonności wydają się być wszędzie jednakowe. Spójrz tylko. - Położyła rękę na ramieniu Flame, kierując jej uwagę na szczupłą blondynkę stojącą w pobliżu, ubraną w kreację LaCroix, całą z leciutkich jak mgiełka szyfonów. - To Sandra Halsey. Czyż ta suknia nie jest boska?

- Jest - przyznała Flame.

- Kazała ją przysłać tutaj Concordem, specjalnie na tę okazję. I jak tu nie mówić o ostentacji w wydawaniu pieniędzy - zauważyła Jacqui i na chwilę zamilkła, zaciskając usta z dezaprobatą. - Chciałabym, żeby ktoś w końcu zwrócił jej uwagę, że szpikowanie każdego zdania francuskimi zwrotami jest tak bardzo *decfusse*.

- A *declassé* nie jest?

Lecz Jacqui Van Cleeve pozostała całkowicie głucha na tę małą złośliwość:

- Nie. Dawno temu pożyczylimy je od Francuzów. Teraz jest już tak amerykańskie jak *sabotage*. Muszę was na chwilę przeprosić. Założę się, że ma na sobie rubiny Halseyów, a Klaudia przysięgała mi, że nigdy nie powiesi ich na szyi. Czy nie uważacie, że byłoby wspaniale, gdyby po tych wszystkich latach obie panie zakończyły w końcu tę wendetę. - I już odchodziła, a turniura kołysała się za nią jak ogon ogara, który podąża za tropem.

Flame zwróciła się do Chance'a z lekkim uśmiechem:

- Na wypadek, gdybyś tego nie zauważył, to jedyną rzeczą, która odróżnia naszą Jacqui od zwykłej prasowej hieny, jest jej wysadzana diamentami obroża. Ludzkie sekrety są dla niej zwykłym towarem, zarówno te nadające się do druku, jak i te drugie.

- Nic dziwnego, że wielu z tych ludzi wolałoby, żeby nic nie wiedziała.

- Bardzo oględnie to ująłeś - mruknęła, zastanawiając się, co Jacqui wie, lub wydaje jej się, że wie, na jej temat.

Pytanie to nabrało aktualności, kiedy zauważyła Malcolma Powella nieśpiesznie krocącego w ich kierunku. Nie widzieli się ani nie rozmawiali ze sobą od pamiętnego wtorku, kiedy wzburzona opuściła jego biuro. Ich spojrzeń spotkały się i Flame jeszcze raz dostrzegła siłę i władczość, jakie z niego emanowały. Nie lubił, kiedy mu odmawiano czegoś, co chciał mieć. Widziała, jak przeniósł wzrok z niej na Chance'a i z powrotem na nią. W

wyrazie jego oczu zatliło się coś pomiędzy pretensją a oskarżeniem.

- Jak się masz Malcolmie. - Odezwała się pierwsza starając się, by jej głos był opanowany i przyjacielski.

- Dobry wieczór Flame. - Skinął lekko głową i światło kandelabrow wydobyciło siwe pasma w jego ciemnych włosach, nadając im srebrzysty odcień.

- Wydaje mi się, że w zeszłym tygodniu poznałeś pana Chance'a Stuarta - rozpoczęła.

- Tak, u DeBorgów - potwierdził i wyciągnął rękę na przywitanie. - Zastanawiałem się, czy wróci pan tu na przedstawienie pani Colton.

Kiedy ściskali sobie dłonie, Flame poczuła wiszące w powietrzu napięcie - jak przy pierwszym spotkaniu dwóch przeciwników, którzy oceniają własne siły.

- To jeden z powodów - odparł Chance.

- Tak? - W tym pojedynczym dźwięku, jaki wyrwał się z ust Malcolm, zabrzmiało wyzwanie, lecz Flame już tego nie spostrzegła, bo wrażenie, że jest obserwowana, odwróciło jej uwagę.

- Gdzie jest Diedre? Nie przyszła tu z tobą? - Na poczekaniu wymyśliła pretekst, żeby rozejrzeć się wśród zebranych i ustalić, kto się jej przygląda.

- Wiatr musnął jej włosy, więc poszła do toalety, żeby poprawić fryzurę.

Flame usłyszała tylko początek tego wyjaśnienia, ponieważ jej spojrzenie zatrzymało się na mężczyźnie w granatowym garniturze, po którym właśnie prześlizgnęła się wzrokiem. Jej uwagę ściągnęło skupione na niej, baczne spojrzenie. Ta twarz... znała te ostre, twarde rysy, ale nie mogła sobie przypomnieć ani kim jest, ani gdzie przedtem widziała tego człowieka. Odwrócił się gwałtownie, jakby zawstydzony, i szybko odszedł. W pierwszej chwili pomyślała, że to członek tutejszej ochrony. Ale ochrona zwykle ubierała się na czarno.

Cóż ją to obchodzi? Obcy mężczyźni gapili się na nią prawie przez całe jej dorosłe życie. Skupiła znów uwagę na słowach Malcolma:

- Oto i Diedre. Pozwolicie, że was przepraszę...

- Ależ naturalnie. - Flame uśmiechnęła się, ciągle troszkę rozkojarzona.

Odprowadziła Malcolma wzrokiem.

- Twoja agencja prowadzi reklamę jego sklepów, prawda? - zauważył Chance.

- Tak. - Zastanawiała się, czy słyszał jakieś plotki o ich domniemanym romansie. Ale nic w wyrazie twarzy Chance'a nie wskazywało na jakiś podtekst w jego pytaniu.

- Prawdę mówiąc, już od miesiąca pracujemy nad świąteczną reklamą jego sklepów. Dla nas Boże Narodzenie zaczyna się tuż po Wszystkich Świętych.

- To rzeczywiście wcześnie wprawiacie się w świąteczny nastrój.

- Och, ale my zajmujemy się skomercjalizowaną wersją Gwiazdki - poprawiła go żartem - taką, która głosi, że bardziej błogosławieni są ci, którzy dają, niż ci, którzy otrzymują, i chodzi nam bardziej o dzwonki sklepowych kas niż dźwięk srebrnych dzwoneczków. Nasi klienci mają skłonność do kojarzenia Bożego Narodzenia raczej z narodzinami nowego kapitału.

- Scrooge byłby z nich dumny - zażartował Chance.

Flame roześmiała się i dodała:

- Szkoda, że nie wpuszczają tutaj włóczęgów. Świetnie by pasował.

- A ty? Czy jesteś włóczęgą? - zapytał przyglądając się jej z ciekawością.

- Niezupełnie. - Spoważniała nieco. - Chociaż muszę przyznać, że od kiedy jestem sama, Boże Narodzenie nie znaczy już dla mnie tak wiele.

- Nie masz rodziny?

Potrząsnęła głową:

- Straciłam oboje rodziców kilkanaście lat temu. A ponieważ byłam



jedynaczką... - Nie dokończyła zdania, próbując otrząsnąć się z uczucia samotności, które nagle nią owładnęło. - Wydaje mi się, że ty pochodzisz z dużej rodziny.

W żadnym z artykułów na jego temat nie było wzmianki o rodzinie. Prawdę mówiąc, nie mogła sobie przypomnieć nic, co dotyczyłoby jego pochodzenia, poza notatką o udziale w wojnie w Wietnamie.

- Nie, tak jak ty jestem jedynakiem i oboje rodzice nie żyją. Więc święta także niewiele dla mnie znaczą. - Na jego ustach pojawił się ciepły uśmiech, ale poruszyło ją dopiero zrozumienie, jakie dostrzegła w jego oczach.

Sid Baker stał jak wmurowany naprzeciw aparatu telefonicznego i niecierpliwie zaciągał się papierosem. Jego prawe ramię podskakiwało w nerwowym tiku. Rozbiegane piwne oczy rzucały niespokojne spojrzenia w kierunku nadzianych gości, którzy go mijali.

Nie czując się dobrze w tym tłumie nadętych, spoglądających z wyższością bogaczy, odruchowo pocierał wierzch swego brązowego buta o tył nogawki granatowego garnituru, żeby wypolerować trochę jego wytarty nosek. Wypalił calusieńkiego papierosa, aż do samego filtra, zaciągnął się ostatni raz i wypuścił dym przez długi zakrzywiony nos.

Kiedy zaczął gasić niedopałek w stojącej obok popielnicy wypełnionej piaskiem, zadzwonił telefon. Chwycił słuchawkę, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- Taa, to ja - odezwał się z silnym akcentem człowieka wychowanego na ulicy. - Dlaczego tak późno?... Tak, widziałem ich razem, niecałe pięć minut temu. Sądzę, że się zorientowała... Jeśli tak uważasz - rzucił i pokręcił przecząco głową. - Ale nie sądzą, żeby to pomogło. Z tymi rudymi włosami nie wygląda na kogoś, kogo łatwo przestraszyć... Jeśli tego chcesz, to

oczywiście tak zrobię. Ty za to płacisz.

Odwiesił słuchawkę i szybko rozejrzał się sprawdzając, kto jest w pobliżu. Potem odwrócił się i poprawił ręką przerzedzone włosy. W ramieniu wróciły skurcze. Znow badawczym wzrokiem szukał rudej kobiety, zastanawiając się nerwowo, jak zostać z nią sam na sam.

Choć raz miał szczęście. Już zaczęło mu się wydawać, że będzie tu sterczał godzinami, zanim nadarzy się stosowna okazja, kiedy nagle... Stała wciąż w tym samym miejscu, przysłuchując się rozmowie, ale chyba nie biorąc w niej udziału.

Poruszając się tak szybko, jak można, bez wzbudzania zbędnego zainteresowania, Sid Baker zakreślił koło i podszedł do niej z boku. Był jakieś dwa kroki od niej, kiedy go w końcu zauważyła. Patrzyła na niego zaskoczona, potem jej spojrzenie stało się badawcze. Może go jednak nie rozpoznała? Zatrzymał się i ukradkiem podsunął jej wyjętą z kieszeni karteczkę.

Gładkie czoło Flame pokryło się bruzdami. Przeniosła badawcze spojrzenie zielonych oczu z mężczyzny na kartkę z wiadomością: *Lepiej, żebyś zmyślała, póki jeszcze nie jest za późno, i trzymała się od niego z daleka. Inaczej pożałujesz.*

Zaszokowana nagryzmołą groźbą, Flame patrzyła za odchodzącym mężczyzną. W głowie kołatało jej: *Trzymaj się od niego z daleka.* Te same słowa napisano na skrawku papieru, w zeszłym tygodniu, u DeBorgów. Kiedy rozpląnął się w tłumie i prawie straciła go z oczu, spostrzegła jego brązowe buty. Kelner o jastrzębiej twarzy, ten, którego przyłapała, jak się na nią bezczelnie gapił. To był ten sam człowiek!

Lecz wiadomość była równie niejasna, jak poprzednia. Od kogo ma się trzymać z daleka? Od Malcolma? Od Chance'a? Kto mógł to napisać? Jeżeli „on”, miało oznaczać Malcolma, wtedy zgodnie z zasadami logiki musiałaby

to napisać Diedre. Ale jeśli chodziło o Chance'a, to kto? Lucianna Colton? Czy traktowała Chance'a jak swoją własność?

A może był to... Malcolm. Nie tolerował przecież żadnej konkurencji. Im dłużej o tym myślała - i przypominała sobie jego zawołane groźby - tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to on. Z pewnością mógłby kogoś upokorzyć, byle tylko osiągnąć upragniony cel. Jasne też było, że nic z tego, co mu powiedziała we wtorek, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Chciał ją mieć. A jej uczucia, jej przyszłość w ogóle go nie interesowały.

- Myślę, że czas zająć miejsca.

Flame poczuła lekki dotyk dłoni na swoich plecach. Przestraszyła się. Szybko odwróciła głowę napotykać ciepłe spojrzenie Chance'a. Spoważniał natychmiast.

- Czy coś się stało?

- Nie. - Uśmiechnęła się szybko, może zbyt szybko. - Tylko pomyślałam sobie, że prawdopodobnie będziesz chciał pójść za kulisy, żeby życzyć panie Colton sukcesu.

Chance uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Na trzy godziny przed rozpoczęciem przedstawienia Lucianna kompletnie izoluje się od świata. Jej fryzjer i garderobiana są jedynymi osobami, które w tym czasie mają do niej dostęp.

- Bardzo długo się znacie, prawda? - Wywnioskowała to z łatwością, z jaką udzielił jej odpowiedzi.

- Dłużej, niż każde z nas chciałoby pamiętać. - Dłoń na jej plecach zwiększyła delikatnie nacisk, dostarczając jej przyjemnego odczucia. - Idziemy?

Niedługo potem, jak zajęli miejsca, światła przygasły, a orkiestra zagrała początkowe tony uwertury do *Trubadura*. Rozległy się ostatnie szepty i poruszenia spóźnionych gości, którzy zajmowali swoje miejsca. Potem kurtyna

podniosła się, ukazując piętnastowieczną scenerię z zamkiem i ogrodami Aragonu, nad którymi zaległa tajemnicza noc.

Dowódca straży dźwięcznym basem opowiadał zebranej dokoła niego czeladzi niesamowitą historię starej Cyganki spalonej na stosie za to, że rzuciła urok na jednego z małoletnich synów hrabiego, i jej córki, która żeby pomścić śmierć matki, wykrada drugiego chłopca i wrzuca go do ognia, w którym spłonęła matka, w ten sposób tworząc melodramatyczny wątek zemsty Cyganów.

W końcu opowieści dowódcy odezwało się złowróżbne bicie zegara oznajmiające północ. Wtedy wkroczyła Lucianna Colton w roli pani zamku, Leonory.

Powitał ją aplauz widowni i Flame ukradkiem spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. W ciemnym teatrze światła sceny wydobyły załamania i płaszczyzny jego twarzy, jak w płaskorzeźbie, oświetlając wydatne kości policzkowe i mocną szczękę, złościąc cieniami jego gładkie policzki. Dostrzegła siłę w tym pięknie rzeźbionym profilu i nie zauważyła, żeby zareagował specjalnie na widok Lucianny. Zastanawiała się, czy nie zaprosił jej tu dzisiaj, żeby zemścić się na tamtej, jeśli przypadkiem się z nią pokłócił. Ale nic takiego nie mogła wyczytać z wyrazu jego twarzy. Był chyba zadowolony z gorącego przyjęcia, jakie otrzymała Lucianna, ale nie bardziej niż ktokolwiek inny, kto znałby primadonnę.

Flame ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie będzie jej łatwo usunąć ze świadomości te dziwne ostrzeżenia i cieszyć się z wieczoru. Jakby wyczuwając jej spojrzenie, Chance lekko odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. W tym momencie Flame zorientowała się, że dzielą ich zaledwie centymetry i prawie stykają się ramionami. Przez chwilę żałowała, że to nie koniec a początek przedstawienia. Potem jednak skupiła całą uwagę na scenie, gdzie

Lucianna Colton czekała, aż umilkną oklaski, żeby rozpocząć swoją pierwszą arię, pieśń o budzącej się miłości.

W drugim akcie- kurtyna odsłoniła scenę poranku w górskim obozowisku Cyganów. Rozległy się słynne akordy chóru z Anvil. Kiedy ucichły, córka Cyganki - teraz już stara kobieta- zaczęła śpiewać swoją pełną namiętności wersję śmierci matki na stosie.

Chance słuchał nienawiści i zawziętości Cyganki i dźwięcznego okrzyku „Pomścij mnie”, ale nie mógł skupić się na mezzosopranowej arii. Zbyt wiele z tej postaci przypominało mu Hattie, przesiąkniętą nienawiścią, z której czerpała siły do życia.

Ale najbardziej przygnębiało go to, że tydzień usilnych poszukiwań nie przyniósł żadnego rezultatu. W dalszym ciągu nie znał nazwiska nowego spadkobiercy Hattie, tego, który miał go pozbawić Morgan's Walk. Matt Sawyer ustalił tożsamość genealoga z Salt Lake City, niejakiego pana Bartholomewa T. Whittiera. Pech chciał, że człowiek ten pojechał do Londynu w poszukiwaniu przodków jednego ze swoich klientów. W końcu Matt odnalazł go w jakiejś zabitej deskami dziurze na północy Anglii, ale nie mieli z niego wiele pożytku. Tak, przypomina sobie szukanie informacji na temat członków rodziny Morganów, którzy osiedlili się na Zachodnim Wybrzeżu, ale adwokat z Tulsy, który z nim współpracował, zażądał przesłania wszystkich jego notatek razem z informacją, którą uzyskał. A więc, nie, nie posiada żadnych dokumentów. Jednakże jest pewny, że jedynym żyjącym potomkiem tej gałęzi jest kobieta, która wyszła za mąż i nie nazywa się już Morgan. Nie, nie przypomina sobie jej obecnego nazwiska - nie bez notatek. Ale może raz jeszcze zebrać wszystkie informacje. Tym razem nie powinno mu to zająć wiele czasu, ponieważ

pamięta, z jakich źródeł korzystał. Wczoraj genealog przyleciał z powrotem do Salt Lake City na koszt Chance'a, żeby rozpocząć od nowa poszukiwania potomka Morganów.

Chance miał nadzieję, że kiedy tu przyleci na ten weekend, będzie już znał nazwisko tego dawno zaginionego przodka. Niestety nie udało się. Pocieszał się wprawdzie tym, że będzie miał do czynienia z kobietą. Były duże szanse, że kobieta, która mieszka w Kalifornii, nie będzie zainteresowana posiadaniem rancza w Oklahomie. Choćby nie wiem jak romantyczne wydawało się to na początku, prędzej czy później znudzi się tym pomysłem, a on już się postara, by odbyło się to raczej prędzej niż później.

Oznaczało to więcej podróży do San Francisco, ale - spojrzał z boku na Flame - miał przeczucie, że i tak będzie tu przylatywał. Dlaczego nie miałby połączyć interesów z przyjemnością?

## 8

Po przedstawieniu Flame udała się z Chance'em za kulisy i przyłączyła do cizby przyjaciół i wielbicieli Lucianny Colton tłoczących się przed garderobą, żeby obsypać ją komplementami. Flame zgadzała się ze wszystkim, co mówili. Błyskotliwe w odcieniach kadencje, wspaniałe cieniowanie tryli, zapierające dech w piersiach rubato i czysty, przejrzysty głos primadonny przekonały Flame, że zasłużyła na każdą z tych pochwał.

Obserwowała, jak Lucianna Colton jeszcze w scenicznym makijażu, ubrana w szmaragdowe kimono, podbiegła, żeby uścisnąć Chance'a.

- Byłam wspaniała, prawda? - rzuciła z orzeźwiającą i arogancką szczerością.

- Byłaś więcej niż wspaniała. Piętnaście razy wywoływano cię na scenę. To chyba wystarczający dowód. - Chance wysunął się z uścisku ze śladem

szminki na policzku.

- Czy to nie było wspaniałe? Klaskali i klaskali. Myślałam, że nigdy nie przestaną. - Zauważyła szminkę na jego policzku i wydeła wargi z zafascynowaniem. - Zobacz, co zrobiłam, kochanie. Zostawiłam na tobie mój ślad. - Wyciągnęła dłoń i próbowała wytrzeć plamę kciukiem, ale tylko ją rozmasowała.

- Nie przejmuj się. - Chusteczką z butonierki wytarł szminkę.

- Nie przejmuję się - mruknęła i uśmiech zadowolenia zagościł na jej czerwonych wargach.

- Wspaniały występ, panno Colton - wtrąciła Flame. - Pani imię powinno się wymieniać w jednym rzędzie z Callas, Sills i innymi wielkimi śpiewaczkami.

- Bardzo pani łaskawa - rzuciła, lecz jej lodowate spojrzenie wzbudziło we Flame podejrzenia, że primadonna chyba nie jest zachwycona jej obecnością u boku Chance'a. Zresztą Lucianna ponownie skupiła na nim całą swoją uwagę. - Będiesz na przyjęciu?

- Może później.

- Lucianna, kochanie! - Do pokoju wpadł mężczyzna, rozrzucając szeroko ramiona w przesadnym geście uwielbienia. - Byłaś boska, wspaniała, absolutnie niezrównana.

- Oscar! - zawołała Lucianna i popędziła, żeby się z nim przywitać.

- Byłeś mną zachwycony, prawda?

- Zachwycony? Kochanie, sprawiłaś, że zamarło mi serce - wykrzyknął, a Chance ujął Flame pod ramię i poprowadził ją poprzez tłum w kierunku wyjścia.

Ciemne oczy Lucianny odprowadziły go do drzwi. „Może później” - powiedział. Zbyt dobrze go znała. Nie przyjdzie na przyjęcie. Będzie z tą rudą. Zmroziło ją, kiedy o tym pomyślała, i jednocześnie zapłonęła gniewem.

Dlaczego? Widywała go już z kobietami. Ale instynkt podpowiadał jej, że ta jest inna. Czy to możliwe, że już go straciła?

Nie. Nie pogodzi się z tym. Zbyt długo byli kochankami... i przyjaciółmi. Żadna kobieta nigdy nie będzie go tak kochać i rozumieć jak ona. Wróci do niej.

Uniosła lekko głowę i uśmiechnęła się radośnie.

- Oskarże, prawda, że jestem fantastyczna?

- Pozwoliłem sobie zarezerwować dla nas stół - powiedział Chance, kiedy wydostali się z tłumu wielbicieli. - Mam nadzieję, że nie odmówisz?

Flame była zupełnie zaskoczona. Po tym, co powiedział Luciannie, sądziła, że chce ją jak najszybciej odstawić do domu.

- Ależ skądże. - Uśmiechnęła się promiennie.

Chyba jednak zauważył moment wahania, który poprzedził jej odpowiedź.

- Jeśli wolałabyś pójść na przyjęcie, mogę odwołać rezerwację.

- Nie. Choć zdawało mi się, że ty będziesz chciał wznieść toast za dzisiejszy sukces panny Colton.

- Dlaczego tak sądziłaś? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem, unosząc brew.

- Bardzo się przyjaźnicie - próbowała ratować sytuację. - To tajemnica poliszynela.

- Słuchasz plotek. - Wyciągnął rękę, żeby otworzyć przed nią drzwi samochodu i zatrzymał się z dłonią na klamce. - Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że nie warto przywiązywać do nich wagi.

Powiedział to delikatnie, z ledwo zauważalnym uśmiechem. I Flame zorientowała się, że słyszał plotki o niej i Malcolmie Powellu. Słyszał je i nie uwierzył. Uśmiechnęła się i poczuła się nagle rozluźniona i swobodna w jego towarzystwie.



Ci, którzy nie decydowali się na żadne z operowych przyjęć, zwykle uczęszczali do Trader Vic's lub L'Etoile albo do jakiegoś innego modnego miejsca spotkań towarzyskich, zakładając oczywiście, że mieli wystarczające znajomości, żeby dostać tam stolik. Ku zaskoczeniu Flame, Chance nie wybrał żadnego z tych miejsc. Jego jaguar zatrzymał się przed małą, zaciszną francuską restauracyjką, sławną ze swojej wspaniałej *nouvelle cuisine*.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał, kiedy pomagał jej wysiąść z wozu.

- Bardzo. - Jej spojrzenie przesunęło się po barokowych drzwiach. - Chociaż nie sądziłam, że o tej porze jest jeszcze otwarte.

- Nie jest. - Uśmiech pogłębił bruzdy na jego policzkach. - Dzisiaj zrobili wyjątek.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, potem rozbawiła ją myśl, że Chance mógł załatwić, by restauracja była otwarta specjalnie dla nich. Ale kiedy przekroczyli próg, zrozumiała, że to prawda. Stoliki w głównej sali były puste, a z każdego wazonu stojącego w przedsionku obficie spływały kaskady orchidei - z gatunku *phalaenopsis* - takich samych jak te, które jej przesłał.

- W kwaciarni zostało jeszcze parę sztuk - rzucił raczej niedbale, tak że niekoniecznie należało w to wierzyć. I Flame nie uwierzyła. Musiał wszystko szczegółowo przygotować.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szczupły mężczyzna z pociągłą twarzą i galijskim profilem wysunął się do przodu, żeby ich przywitać:

- Panie Stuart, panno Bennett, witamy w François's. Opera, czy podobała wam się?

- Bardzo, Louis. - Chance wymówił jego imię z francuskim akcentem.

- Wasz stolik, on jest gotowy. Proszę za mną. - Poprowadził ich do nakrytego dla dwóch osób stolika, oświetlonego migotliwym blaskiem świec.

Przy miejscu dla Flame stał mały kryształowy wazonik z gałązką orchidei. Kiedy usiedli, Louis podszedł do srebrnego, wypełnionego lodem kubelka do szampana, ustawionego na stojaku i wyjął z niego butelkę, po czym zaprezentował ją Chance'owi.

- Carlton's Pucher, tak jak pan sobie życzył, monsieur.

- Wspaniale, dziękuję ci Louis. - Pokiwał głową z aprobatą.

Kelner z zawodową zręcznością otworzył bezdźwięcznie butelkę brzoskwiniowego szampana i napełnił kieliszki ze szlifowanego kryształu musującym płynem. Potem wycofał się dyskretnie.

- Czy możemy napić się za następny raz? - zaproponował Chance, unosząc w górę kieliszek.

- Do następnego razu. - Flame powtórzyła sentencję z biletu towarzyszącego orchideom i trąciła się z Chance'em kieliszkiem. Pociągnęła łycelek lekkiego, orzeźwiającego, lecz równocześnie mocnego szampana i roześmiała się cicho.

- Chyba jestem trochę oszołomiona. Orchidee, restauracja otwarta specjalnie dla nas, brzoskwiniowy szampan. Zawsze posuwasz się tak daleko, żeby zrobić wrażenie na kobiecie?

- Tylko wtedy, kiedy uważam, że to coś ważnego. - Raz jeszcze w jego oczach pojawił się ten błysk rozbawienia, który robił na niej znacznie większe wrażenie niż lubieżne spojrzenia innych mężczyzn komunikujące jej w ten sposób, że nie mogą się wprost doczekać, kiedy pójdą z nią do łóżka.

- Pochlebiasz mi. - Czuła wyraźne prądy pomiędzy nimi, podsycające rzadkie, na wpół już zapomniane uczucia i ożywiające pragnienie dawania, dzielenia, dotykania i... miłości.

Lecz zawsze istniało ryzyko, że te uczucia nie są odwzajemniane. Czy dotychczasowe doświadczenia jej tego nie dowiodły? Mogło być wiele przy-

czyn, dla których Chance się z nią spotykał. Odnosiła jednak wrażenie, że nie chodziło tu o chęć pokazania się w towarzystwie pięknej kobiety. Gdyby w grę wchodziły jej koneksje, to nie siedzieliby tutaj, w tej restauracji. Ale wiedział o Malcolmie. Pomyślała, że to może być jakaś forma próby sił. Może chciał wziąć coś, o czym wiedział, że Malcolm Powell tego pragnie.

Nie znosiła swej podejrzliwości, ale ostrożność oszczędziła jej w przeszłości wielu przykrych przeżyć. Raz sparzona, wolała dmuchać na zimne.

- Nie wyglądasz na zadowoloną - zauważył Chance. - Raczej na zmar-twioną. Czym?

- Niczym. Zastanawiałam się, dlaczego to wszystko zrobiłeś. To wspaniałe, ale wcale nie było konieczne.

- To zależy od tego, co się uważa za konieczne - ripostował gładko. - Weźmy na przykład orchidee. Przez to, że byłaś nimi otoczona, mogłem być pewny, że poświęcisz mi całą swoją uwagę, gdy zadzwoniłem, żeby cię namówić na zmianę planów i nasze dzisiejsze spotkanie.

Roześmiała się.

- Jesteś zbyt skromny. Miałeś więcej niż całą moją uwagę. Skupiłam na tobie całe moje zainteresowanie.

- Jeśli chodzi o tę restaurację - uśmiechnął się - to musisz przyznać, że gdybyśmy poszli gdziekolwiek indziej, ciągle przeszkadzałyby nam jacyś znajomi. Tu możemy spokojnie zjeść, tylko we dwoje. A więc, chociaż wszystko to może na pierwszy rzut oka wyglądać na ekstrawagancję, tak naprawdę jest bardzo logiczne.

Nie znajdując argumentów, Flame podniosła kieliszek.

- Za logikę... w stylu Stuarta.

Potem już z niezwykłą łatwością udało jej się zrelaksować i delektować szampanem, jedzeniem i towarzystwem. Nie brakowało im tematów do roz-

mowy.

- Widziałeś ostatnie przedstawienie *Turandot*, Franco Zeffirellego! - wykrzyknęła z zazdrością. - Marzyłam, żeby to zobaczyć. Słyszałam, że dekoracje są niesamowite.

- Powinny być, biorąc pod uwagę, że koszty osiągnęły sumę miliona dolarów - skomentował z udawaną powagą. - Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby wydać te pieniądze na sprowadzenie do Metropolitan kilku wielkich nazwisk.

- To prawda - zgodziła się. - Teraz, kiedy chcesz ich zobaczyć, musisz lecieć do Europy.

- Tam właśnie są pieniądze. Więcej im tam płacą.

- Wiem, ale i tak szkoda - powiedziała i westchnęła ze smutkiem. - Ostatnim razem, kiedy byłam w Nowym Jorku, miałam bilety na *Turandot*. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w ostatniej chwili okazało się, że nie mogę pójść, i oddałam je przyjacielowi.

- Byłaś tam w interesach, czy dla przyjemności?

- W interesach. Korporacja, do której należy agencja, ma tam swoją siedzibę. Byłam na konferencji.

- Często jeździsz do Nowego Jorku?

- Trzy, cztery razy w roku. A ty?

- Dwa razy częściej... czasami jeszcze więcej.

- Gdzie się zatrzymujesz? - zainteresowała się.

- W Plaza Athene. - Przechylił głowę. - Dlaczego pytasz?

Uśmiechając się leciutko, zakreśliła kieliszkiem od szampana i przyglądała się, jak bąbelki pękają na jego powierzchni. - Zastanawiałam się, czy zatrzymujesz się u konkurencji.

- Konkurencji? - Jego oczy zwęziły się z zaskoczenia.

- Donald Trump. - Uśmiechnęła się do niego przekornie ponad brzegiem kieliszka.

- Jest z tej samej branży, ale nie uważam go za konkurenta - powiedział rozbawiony. - Nie interesują mnie żadne inwestycje na Manhattanie czy w Atlantic City. Może tam sobie budować, na co go tylko stać. Ja się zadowolę resztą kraju jako moją strefą wpływów.

Błysk rozbawienia w jego oczach odsunął wszelkie podejrzenia o arogancję. Roześmiała się.

- Jestem zdziwiona, że nie powiedziałeś „świata”.

- Muszę zostawić sobie trochę miejsca na rozwój - skorygował ją, a brudzy zmarszczyły w uśmiechu jego gładkie policzki.

- Że też o tym nie pomyślałam... - zauważyła i westchnęła z udawaną powagą.

W dyskretnej odległości od stolika kelner zdusił ziewnięcie. Flame spostrzegła nagły ruch jego ręki i szybko odwróciła wzrok żałując, że to zobaczyła. Nie chciała, by jej przypominano, jak bardzo jest późno.

- Co robisz jutro... może raczej powinienem powiedzieć, dzisiaj?

Spoglądając mu w oczy dostrzegła spokojną, męską stanowczość. I jednocześnie dostrzegła wiele innych rzeczy: hebanowy połysk jego włosów w świetle dogasających świec, silne, opalone palce, tak delikatnie obejmujące kieliszek do koniaku.

- W Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest wystawa architektury Mario Botta, którą chciałam obejrzeć. Słyszałam, że robi wrażenie.

- Nie dałabyś się namówić na zmianę planów i przejażdżkę do Carmel na obiad?

- Mam nadzieję, że nie będziesz się starał tego osiągnąć przez powtórne zasypanie mnie orchideami - oświadczyła ze śmiechem. - Nie wiedziałabym,

co z nimi robić.

- Nie. Pod warunkiem że zgodzisz się pojechać ze mną do Carmel i, mówiąc słowami jego sławnego burmistrza, „uprzyjemnisz mój dzień”.

Śmiejąc się podniosła do góry ręce na znak kapitulacji.

- Poddaję się. Pojadę.

- Dobrze. - Uśmiechnął się szeroko. - Z samego rana muszę wykonać kilka telefonów. Mógłbym po ciebie przyjechać, powiedzmy, o dziesiątej trzydzieści.

- Świetnie. Możemy pojechać tą piękną autostradą wzdłuż wybrzeża i bez problemu dotrzeć tam w porze obiadowej.

Kelner podszedł do stolika, starając się sprawiać wrażenie rzeńskiego.

- Czy mogę państwu coś jeszcze podać? Może trochę brandy? - zaproponował, spoglądając na prawie pusty kieliszek Chance'a.

- Nie, dziękuję. - Chance popatrzył na Flame, a kiedy i ona potrząsnęła przecząco głową, dodał: - To będzie wszystko.

I to był koniec posiłku i jednocześnie wieczoru. Milczeli przez większość drogi do mieszkania Flame. Lecz było im z tym dobrze. Przy frontowych drzwiach Chance wyciągnął rękę po klucze.

- Można?

Wręczyła mu je skwapliwie i przyglądała się, jak otwiera. Kiedy odwrócił się, żeby oddać klucz, Flame wiedziała już - nawet gdyby serce nie załomotało tak gwałtownie - że nadszedł ten moment. Te wszystkie sytuacje miały ze sobą coś wspólnego: zastanawianie się, czy nie wypadnie to niezręcznie, czy jej oczekiwania nie są zbyt wygórowane, rozbudzone łatwością, z jaką się do siebie zbliżyli tego wieczoru. Czy jego pocałunek sprawi jej przyjemność.

Ujął ją delikatnie pod brodę, a ona odchyliła głowę do tyłu, w starym jak

świat geście przyzwolenia. Jego twarz była tuż, tuż. Powoli wodził spojrzeniem po każdym szczególe jej fizjonomii.

Na jego wargach pojawił się ledwo widoczny, łagodny uśmiech.

- Jutro o dziesiątej trzydzieści.

Usłyszała w tym głosie obietnicę, ale większą odnalazła w pocałunku, kiedy delikatnie musnął wargami jej usta, a po chwili wziął je w zmysłowe posiadanie.

Jeszcze długo po wyjściu Chance'a czuła smak jego ust.

## 9

Kwadrans po dziesiątej rozległ się dzwonek do drzwi. Flame pobiegła, żeby je otworzyć, pośpiesznie zawiązując pod włosami końce jedwabnej chustki, co udało jej się dopiero w ostatnim momencie. Kiedy otworzyła, przed drzwiami stał Chance. Serce załomotało gwałtownie.

Do tej pory zawsze widywała go w wieczorowych strojach. Teraz ubrany był na sportowo. Koszula nie dopięta pod szyją ukazywała fragment owłosionej klatki piersiowej. Czarne drelichowe spodnie dobrze leżały na smukłych biodrach i muskularnych nogach. Całości dopełniała kurtka w kolorze jego oczu, przewieszona przez ramię. Było w nim teraz być może mniej wyrafinowanej wytworności, za to z pewnością więcej surowej męskości.

- Przyszedłem za wcześnie. - Jego wargi wygięły się w znajomym uśmiechu. Powoli obrzucił ją wzrokiem. - Wyglądasz na świeżą i wypoczętą.

- Tak się czuję. - Chociaż nie była tego pewna, bo niewiele spała w nocy. Nie miało to specjalnego znaczenia, skoro obudziła się z uczuciem, że świat należy do niej. - Muszę tylko włożyć żakiet i jestem gotowa.

W pokoju gościnnym chwyciła lniany żakiet, dopełnienie długiej, beżowej spódnicy, którą miała na sobie. Kiedy ruszyła w kierunku korytarza, odezwał

się telefon. Było więcej niż pewne, że dzwoni Ellery, żeby wypytać ją o wczorajszy wieczór. Postanowiła pogadać z nim później i ignorując dzwonek, pośpieszyła do przedpokoju.

Oprawne w skórę woluminy wypełniały rzędami półki biblioteki w Morgan's Walk. Ich dostojna obecność podkreślała posepny nastrój pokoju. Za wiktoriańskim, mahoniowym biurkiem z licznymi szufladami, Hattie Morgan, która sama wyglądała jak muzealny eksponat, wsłuchiwała się w sygnał telefonu, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, i niecierpliwie stuknęła palcem w skórzane ramię fotela.

- Gdzie jest ta dziewczyna? - ze złością rzuciła słuchawkę na widełki, przerywając połączenie i nieznośne brzęczenie w swoim uchu. Odwróciła się i z dezaprobatą spojrzała na portret Kella Morgana, wiszący nad kominkiem. Warstwy brudu i kurzu, które osiadły na nim przez lata, przyciemniły ostry, miedziany odcień jego włosów. Lecz Hattie pamiętała pierwotny kolor obrazu. Ileż to razy żałowała, że jej włosy nie mają takiej barwy. A ta dziewczyna, Margaret, miała dokładnie takie.

- Powinnam zadzwonić wcześniej. Nie trzeba było czekać. - Sięgnęła po laskę ze złotą rączką, która stała oparta o biurko, w zasięgu jej ręki. Chwyciła ją swoimi wykrzywionymi palcami i stuknęła mocno w podłogę, dając upust złości i frustracji. - W jaki sposób odnalazł ją tak szybko? Ona go przejrzy. Musi go przejrzeć.

Jeszcze raz uderzyła laską o podłogę, ale głośny stukot pogorszył tylko migrenę. Lekarstwo, które przepisał jej doktor Gibbs, mogło prawie zupełnie uśmierzyć ból, ale nie lubiła go brać. Nie znosiła otępienia, które ją potem ogarniało. Szczególnie teraz, kiedy musiała dużo myśleć.



Przycupnięty pomiędzy bujnymi sosnami, położony nad Pacyfikiem Carmel-by-the-Sea był od dawna ulubionym miejscem pisarzy i artystów, którzy ściągali tu oczarowani urodą i malowniczą prostotą dzikiej okolicy. Przechadzając się uliczkami pełnymi turystów, mijając osobliwe sklepiki, Flame uznała, że tajemnica uroku miasteczka leży w jego niezwyklej ekscentryczności. Oto miasto, które zlekceważyło reklamy, neony i wielkie ogłoszenia, odwróciło się od takich udogodnień, jak chodniki czy krawężniki na bocznych uliczkach i z dumą obnosi brak sygnalizacji świetlnej i znaków drogowych.

Jednak spoglądając na wystawy luksusowych sklepów z żywnością Flame doszła do wniosku, że tutejsza społeczność nie jest w stanie utrzymać ponad stu pięćdziesięciu sklepów, z których więcej niż jedną trzecią stanowiły galerie prezentujące prace miejscowych artystów. Mieszkańcy miasta musieli się oprzeć na dochodach z turystów. Carmel nie było niechętnie postępowi, dopóki to ono dyktowało warunki. I chyba to podobało się Flame najbardziej, bardziej niż urok miasta, czy jego malownicze położenie.

- Uwóżaj! - ostrzegł Chance i przygarnął ją do siebie, mocniej przyciskając ramieniem, do tej pory niedbale spoczywającym na jej plecach.

Flame zawisła całym ciałem na jego ramieniu, unikając w ten sposób zderzenia z rowerem, na którym pędził jakiś dziewięciolatek. Zanim go w ogóle zauważyła, zniknął z pola widzenia, a ona odkryła, że uczucie kompletnego zespolenia z ciałem Chance'a jest bardzo przyjemnym doznaniem.

Kiedy spojrzała na niego do góry, zobaczyła, jak uśmiecha się do niej ciepło i leniwie.

- Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż rozpędzony dziewięciolatek.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała przekonana, że gwałtowne

bicie serca nie miało nic wspólnego z niedoszłym wypadkiem. - Przychodzi mi do głowy parę rzeczy bardziej niebezpiecznych.

- Naprawdę? - Zatrzymał spojrzenie na jej wargach. - Ja mogę wymienić tylko jedną. Zapiszmy to na kartkach i później porównamy, żeby zobaczyć, czy się przypadkiem nie zgadzamy.

- Albo na ile się różnimy - rzuciła, odruchowo przyglądając się jego ustom.

Kiedy oswobodził uścisk, Flame zorientowała się, że nie ma już najmniejszego powodu, dla którego jej ręka miałaby się dalej wspierać na jego płaskim, umięśnionym brzuchu. Niechętnie cofnęła dłoń i odwróciła się. Ale kiedy ruszyli przed siebie, ciągle czuła przyjemny ciężar na swoim ramieniu.

- Głodna?

Prawie wybuchnęła śmiechem, kiedy usłyszała to zasadnicze pytanie. Jego dotyk, ciepło, poczucie bliskości rozbudziły w niej wilczy apetyt, ale nie mogła mu tego powiedzieć.

- Trochę. Jeśli dobrze pamiętam, niedaleko stąd jest urocza włoska restauracyjka. Moglibyśmy tam wpaść.

- Czemu nie?

Pamięć jej nie zawiodła i po pięciu minutach oczekiwania poprowadzono ich do stolika w rogu sali. Flame uśmiechnęła się na widok zwyczajowego obrusa w czerwoną kratkę i butelki po Chianti przerobionej na świecznik, całej oblepionej kolorowym woskiem.

- Nic się tu nie zmieniło - powiedziała, zajmując miejsce i rozpoznając znajome mapy Neapolu zdobiące ściany. - Ostatnim razem byłam tu z grupą koleżanek z uczelni, jakoś tak pod koniec zimy. Za nami, dwoma samochodami, przyjechali chłopcy z klubu studenckiego. Wszyscy przyszliśmy tutaj, żeby coś zjeść. Najpierw ktoś rzucił kotлетem, potem zaczęliśmy się obrzucać spaghetti. Zanim się obejrzelśmy, wybuchła istna wojna na żarcie w iście

włoskim stylu. Dziwię się, że knajpa to przetrwała. Zadziwiające, co się wyprawia, kiedy jest się młodym i głupim.

- Coś w tym jest.

- Gdzie studiowałaś? - zapytała z ciekawością, po czym szybko podniosła rękę. - Nie, pozwól, że zgadnę. Kiedyś byłam w tym dobra. Gdzieś na Środkowym Zachodzie, czy tak? - Skinął głową, przyglądając się jej z rozbawieniem. Uśmiechnęła się. - To nie była na pewno żadna z uczelni należących do „pierwszej szóstki”. W takim razie, któraś z „wielkiej dziesiątki”. Ohio? - rzuciła na chybił trafił.

- Wisconsin.

- Byłam blisko.

- A ty?

- Berkeley. - Czuła, że przestaje się uśmiechać, ale miała niewiele miłych wspomnień związanych z tym okresem życia. - Moja matka chciała, żebym poszła na jej uczelnię, Vassar, ale sprzeciwiłam się. Uparłam się, że nie zamienię słonecznej Kalifornii na mroźny Wschód. Wybrałam akademik w Berkeley, kolebkę niezależnej myśli, tuż po drugiej stronie Zatoki. Pewnie dlatego, że choć chciałam wyfrunąć z gniazda, nie chciałam odlatywać zbyt daleko. Cieszę się, że tak się stało. - Zawahała się, po czym wyjaśniła: - Rodzice zginęli w wypadku samochodowym w następnym roku.

- Musiałaś to bardzo przeżyć.

- Tak. To coś takiego, co nigdy nie mija, ale można nauczyć się z tym żyć. - Przerwała, starając się nie mówić o śmierci, a o życiu. - Żałuję, że nie możesz poznać mojego ojca. Był wspaniałym człowiekiem. - Uśmiechnęła się. - Wiem. Wszystkie córki mówią tak o swoich ojcach, ale w moim przypadku to prawda. Za każdym razem, kiedy o nim myślę, przypominam sobie ten uśmiech wiecznie obecny w jego spojrzeniu. Zawsze miał go w

pogotowiu, nawet w poważnych chwilach, tuż pod powierzchnią.

Wtórując jej radosnemu nastrojowi, Chance zauważył:

- I założę się, że za jedno spojrzenie tych zielonych oczu dostawałaś wszystko, co chciałaś.

Potwierdziła ze śmiechem.

- Przeważnie. A ty? Jaki byłeś, kiedy byłeś małym chłopcem? - Miała wrażenie, że należał do tych uroczych urwisów, pełnych przekory i nieustannie psocących.

Chance uniósł jedną brew.

- Kto powiedział, że kiedykolwiek nim byłem?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przy ich stoliku zatrzymała się kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Studiując menu, Flame zastanawiała się, czy Chance żartował. Coś, jakaś nuta w jego głosie sugerowała, że to nie tylko żart. Za późno przypomniała sobie, jak mówił jej, że matka zmarła po długiej chorobie. Miał wtedy jedenaście lat. A to znaczyło, że prawdopodobnie była chora przez większość jego dzieciństwa. Może nawet musiał się nią opiekować - w takim stopniu, w jakim mógł to robić siedmio-, ośmio-, dziewięcioletek. Na pewno nie był to dla niego szczęśliwy beztroski okres.

Obiad zamienił się w długie, leniwe posiedzenie. Zasiedzieli się nad filiżanką cappuccino, gawędząc o wszystkim i o niczym. Było już późne popołudnie, kiedy w końcu wyszli z restauracji i powędrowali w kierunku plaży.

Mewy zataczały koła i szybowały nad niespokojną powierzchnią wody, nurkując głową w dół. Flame przyglądała się leniwie ich akrobacjom, krocząc obok Chance'a po białym, miłkim piasku. Otoczył ją ramieniem, a ona obejmowała go w talii, z kciukiem zawieszonym na szlufce od spodni. Pejzaż znaczyło surowe, klasyczne piękno: białe grzywy fal rozbijających się o

długi, postrzępiony brzeg, plaża strzeżona przez stare cyprysy montrejskie, pochylone i poskręcane od wiecznie wiejącego morskiego wiatru.

To miejsce oddziaływało na zmysły: wiatr smagający włosy, jego ostra, oceaniczna woń, przytłumiony huk fal przetaczających się po plaży, diamentowe błyski słońca odbijającego się w zdradziecko gładkich wodach Zatoki. Wszystko to sprawiało, że Flame była coraz bardziej świadoma obecności mężczyzny obok niej; czuła niemal przy każdym kroku przypadkowe ocieranie się o jego udo czy przenikające ją ciepło jego ciała. Musiała przyznać, że Chance robił na niej większe wrażenie niż jakikolwiek inny mężczyzna, od bardzo dawna.

- Jak tu pięknie - musiała przerwać ciszę, choćby miało to wypaść banalnie.

- Bardzo.

- Cieszę się, że nie wybudowano tu hoteli wzdłuż plaży. Zniszczyłoby to naturalne piękno okolicy. - Chance zdusił śmiech.

- A ja się cieszę, że nie wszyscy podzielają twoje poglądy, bo straciłbym zajęcie, podobnie jak inni inwestorzy.

- Na tym robisz pieniądze, prawda? Budujesz olbrzymie kompleksy wypoczynkowe. Jak wszedłeś w ten interes? Jest tyle innych rzeczy, które mogłeś wybrać, rezydencje, przemysł, magazyny handlowe.

- Złożyło się na to kilka czynników, tak sądzę. - Przerwał, a twarz mu spoważniała, kiedy powiódł zamyślonym wzrokiem po okolicy. - Odkąd tylko pamiętam, wpajano we mnie szacunek do ziemi. Ale moje zainteresowanie kompleksami wypoczynkowymi pojawiło się podczas studiów. Słyszałaś kiedyś o Wisconsin Delis?

- Nazwa jest mi znajoma, ale nic poza tym.

- Jest to rejon wypoczynkowy w okolicach Wisconsin, bardzo malowniczy, skomercjalizowany i bardzo popularny wśród mieszkańców okolicznych

stanów. W tych studenckich czasach, przyglądając się Delis i słynnemu kompleksowi wypoczynkowemu Playboya w Lake Geneva, zdałem sobie sprawę, że ludzie uwielbiają się bawić, młodzi, starzy, bogaci i biedni, i cała reszta. Czy czasy są dobre czy złe, ludzie się bawią. Powiedziałbym nawet, że potrzeba ucieczki staje się jeszcze mocniejsza w złych czasach, w czasie wojen, kryzysów. Właśnie dlatego tłoczą się na plażach i w górach, wszędzie tam, gdzie otacza ich piękno, dobra atmosfera, a jeszcze lepiej luksus.

- I właśnie dokładnie tego dostarczają im kompleksy wypoczynkowe Stuarta - odgadła Flame, starając się coś sobie przypomnieć. - Ile ich jest? Sześć?

- Siedem - skorygował, raz jeszcze racząc ją tym leniwym, lekko krzywym uśmiechem. - Plus jeden w budowie, w Tahoe, i dwa inne w fazie projektów.

- Imponujące - mruknęła i złożyła przed nim żartobliwy ukłon. Rzeczywiście było to imponujące, kiedy przypominała sobie, co wyczytała w gazetach: że wszystkie te warte wiele milionów dolarów kompleksy wybudował w niespełna dwanaście lat. A budowa niektórych z nich trwała dwa lata. Tak więc, było to osiągnięcie godne pozazdroszczenia.

Chance zatrzymał się gwałtownie.

- Dlaczego tak się jakoś dzieje, że ciągle mówimy o mnie? A ty i twoje życie?

- Nie jest w połowie tak interesujące jak twoje.

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie - powiedział, powoli potrząsając głową i odwrócił się do niej. Jego dłonie wsunęły się pod jej zakiet i zatrzymały na talii. Flame nie była pewna, co robi na niej większe wrażenie: ciepło jego dłoni czy twardy ucisk jego żeber. - Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których będę musiał się o tobie dowiedzieć. - Powiedział to niskim głosem, z odrobiną ironii, i jednocześnie prowokująco.

- Na przykład?

- Na przykład... jak udało ci się zostać zastępcą prezesa i zachować wrażliwość wśród tych wszystkich brudnych gierki wewnątrz korporacji? - Powoli, z wielkim zainteresowaniem wodził wzrokiem po jej twarzy. - Kto jest sprawcą tego znużenia, które czasami dostrzegam w twoich oczach? Dlaczego twój były mąż okazał się takim głupcem, żeby pozwolić ci odejść? Czy twoje włosy zawsze wyglądają w słońcu jak niteczki ognia? - Poglądził ją po głowie. - Czy twoja matka miała takie usta jak twoje? I czy każdy facet ma takie trudności jak ja, żeby utrzymać ręce przy sobie?

Cała jej ostrożność zniknęła bez śladu, kiedy się do niego przytuliła, podając mu usta do pocałunku. Nie pozostało nic ze zmysłowej nieśmiałości zeszłej nocy. Tym razem ich spragnione wargi stopiły się ze sobą i Flame poczuła smak słonej, morskiej wody, a potem odkryła rozpaloną jedwabistość jego języka. Wszystko w jej wnętrzu poruszyło się i uniosło, krew zawrzała w żyłach, rozbudzając nagle wszystkie zmysły.

Dłonie już jakiś czas temu wsunęła pod kurtkę Chance'a i teraz przesuwiała je po plecach wyczuwając grę mięśni. Pochyliła się i oparła o niego całym ciałem. Wzmogło się jej uczucie szybowania. Niejasno zdała sobie sprawę, że jego dłonie z wprawą poruszają się po jej ciele, ale nie próbowała nawet śledzić tych zabiegów.

Oderwał wargi od ust Flame i obsypał jej twarz gorącymi pocałunkami. Poczowała drżenie całego ciała. Ogarnęła ją namiętność, o której istnieniu zawsze wiedziała, lecz która zbyt długo pozostawała ukryta. Który to mężczyzna wywołał ją ostatnio? Nie mogła sobie przypomnieć. Ale wydawało się jej, że nikt nie wzbudził w niej tak namiętnej reakcji tak szybko jak Chance. Czy tego pragnęła? Czy mogła sobie na to pozwolić? Poczowała, że jego wargi znowu przybliżają się do jej ust, i odwróciła głowę na

ich spotkanie. Rozchyliła wargi, pozwalając, by wypełniła ją gorąca, delikatna miękkość jego języka.

Nagle drażniące wycie rockowej muzyki z przenośnego magnetofonu zagłuszyło nawet głośny huk rozbijających się o brzeg fal. Rozdrażniło ją to, podobnie jak Chance'a, który oderwał wargi od jej ust i nieznacznie się odsunął. Podmuch wiatru na rozgrzanych od pocałunku ustach wydał się nagle przejmująco zimny. Flame nie odrywała wzroku od Chance'a, dostrzegła więc błysk irytacji w jego oczach, kiedy patrzył na trójkę chichoczących dziewcząt przechadzających się wzdłuż plaży i rzucających im spojrzenia przez ramię. Lecz kiedy jego wzrok zatrzymał się znowu na jej twarzy, nie było w nim śladu rozdrażnienia. Błękitne oczy pociemniały pod wpływem niedawnych przeżyć, zbyt intymnych na to publiczne miejsce. Wciąż obejmował ją mocno i nie chciał puścić.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - zapytał lekko zachrypniętym głosem.

- Nie wiem - odpowiedziała cicho, uśmiechając się do niego najsubtelniejszym ze swoich uśmiechów. - Mam?

Bruzdy w mocnych, gładkich policzkach Chance'a pogłębiły się:

- Owszem. Kolacja ze mną i... to co potem, jeśli się zdarzy.

Nie próbował ukryć pożądania, które płonęło w jego oczach; w milczeniu dawał Flame do zrozumienia, że ostateczna decyzja należy do niej. A ona potrzebowała do tego zaangażowania uczuciowego. Ale czyż go nie było? Dlaczego nie mogła uczciwie przyznać się przed sobą, że odczuwa znacznie więcej niż pożądanie? Chciała móc mu zaufać. Chciała uwierzyć, szczególnie teraz, kiedy już jej na nim zależało.

- W takim razie, może powinniśmy powoli wracać - zaproponowała z uśmiechem, odsuwając się od Chance'a. - Chciałabym jeszcze wziąć prysz-



nic i przebrać się, zanim pójdziemy na tę specjalną kolację.

Zawrócili w milczeniu i po grząskim piasku, w którym odcisnięte były ich wcześniejsze ślady, ruszyli z powrotem. Cały czas ją obejmował, a teraz jeszcze mocniej przyciągnął do siebie. Przez jakiś czas Flame przyglądała się śladom stóp - większym i mniejszym - i doszła do wniosku, że bardzo do siebie pasują.

W końcu podniosła wzrok na kępę cyprysów przed nimi, na poskręcane pnie wdzięcznie pochylone przez wiatr. U stóp najbliższego dostrzegła mężczyznę w brązowej wiatrówce, palącego papierosa i... obserwującego ich. Była tego pewna. Raptem rzucił papierosa na ziemię, szybko go przydeptał, potem obrócił się i podążył w tym samym kierunku co oni. Lecz kiedy się odwrócił, jego orli nos był wyraźnie widoczny.

To był kelner w brązowych butach, ten sam, który doręczył jej poprzedniego wieczoru kartkę z ostrzeżeniem. Zaszokowana Flame potknęła się, gubiąc spokojny rytm ich kroków i wybijając z rytmu również Chance'a.

- Uważaj. - Jego ramię podtrzymało ją pomocnie, jakby sądził, że się o coś potknęła. Poczula, że na nią spogląda, i starała się ukryć zaszokowanie. Ale chyba nie zdążyła.

- Czy coś nie w porządku? - zapytał.

- Nie. - Nie mogła mu tak po prostu powiedzieć, że jakiś człowiek śledził ich całą drogę do Carmel, zwłaszcza że podejrzewała, kto mu za to płaci. Malcolm!

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się szeroko, ale nie była pewna, czy dał się przekonać.

W skąpo oświetlonej sali klubowej mały zespół jazzowy przygrywał pełną smutku i tęsknoty, senną balladę. Kilka par poruszało się powoli na parkiecie wielkości chusteczki do nosa, dzięki czemu określano go jako intymny. Flame całkowicie się z tym zgadzała - tańcząc z Chance'em, ledwo mogła oddychać, tak mocno byli do siebie przytuleni. Ich stopy poruszały się ignorując takt muzyki, a głowy były pochylone ku sobie; od czasu do czasu Chance pieśczołtliwie muskał ustami jej policzek lub skroń.

Leniwie przesuwiała palcami wzdłuż jego muskularnej szyi, rozczesując krótko ostrzyżone, czarne włosy. W ramionach tego mężczyzny mogła cudownie zapomnieć, wyrzucić z pamięci obraz ciemnozielonego auta, które podążało całą drogę z Carmel w bezpiecznej odległości za nimi, a potem stało zaparkowane za rogiem, kiedy przyjechał po nią Chance. Na takie wspomnienia nie było tu miejsca, kiedy trzymał ją w ramionach i spowijała ich marzycielska muzyka. Uśmiechnęła się, gdy wargi Chance'a delikatnie przesunęły się po jej czole.

- Spaceruj brzegiem morza, obiady we dwoje przy świetle świec, orchidee w ilościach hurtowych, ściszone muzyka, przyciemnione światła, przytulane tańce, odnoszę wrażenie, że jestem bardzo precyzyjnie uwodzona - wyszeptala i poczuła, jak jego wargi układają się w uśmiech.

- Może to wszystko bierze się stąd, że po prostu jesteś - mruknął z powagą, głosem równie pieśczołtliwym, jak dłoń na jej plecach.

- A więc potwierdzasz?

- Gdy subtelność zawodzi, konieczne stają się zuchwałe posunięcia.

- A ty potrafisz być zuchwałą, prawda? - Przekora w jej głosie była tylko częścią gry, którą prowadzili, sposobem na maskowanie rosnącego napięcia, podniecającego i stymulującego zarazem. - Wydaje mi się, że chce mnie pan wykorzystać, panie Stuart.

- Mylisz się. - Pokręcił głową. - Usiłuję namówić ciebie, żebyś mnie wykorzystowała. - Odchylił głowę, żeby zobaczyć jej reakcję. Przyjrzał się wyraźnym, regularnym rysom jej twarzy i uświadomił sobie, jak bardzo porusza go sam jej widok. Doznania te podsycaly przytulone do niego krągłości kobiecych kształtów.

Zauważył, że po raz pierwszy w zielonych oczach Flame nie czaiła się ani ostrożność, ani wahanie. Patrzyły na niego jasno i promiennie, jaśniały obietnicą, która poddawała ciężkiej próbie jego powściągliwość. Z trudem zapanował nad impulsami; usłuchał instynktu, który od samego początku ostrzegał go, że to nie jest kobieta, którą można do czegoś przymusić czy omamić gradem komplementów i namiętnymi pocałunkami.

Chance był związany z ziemią. Od zawsze. A ziemia uczyła cierpliwości, cnoty niezbędnej do zrozumienia, że wszystko potrzebuje czasu, żeby urosnąć i dojrzeć. Nawet budynki nie powstają z dnia na dzień.

- To bardzo zajmująca koncepcja, wykorzystać Chance'a Stuarta - powiedziała miękko, a on zatrzymał wzrok na jej lekko rozchylonych wargach. Dziś, na plaży, już prawie zakosztował rozkoszy ich całkowitego oddania I wiedział, że już nigdy nie zadowoli się namiastką.

- Zainteresowana? - Podniósł do ust ich splecione dłonie i delikatnie musnął wargami jej palce.

Flame obserwując go, uśmiechnęła się nieznacznie, jakby rozbawiona myślą, która właśnie przyszła jej do głowy.

- Słyszę w środku jakiś cichutki głosik, który mówi mi: „Spróbuj”.

- Podoba mi się ten głos. Może trzeba by go zachęcić, żeby mówił trochę głośniejsze.

- Nie, nie trzeba. Chcę spróbować. - Podniosła głowę i ustami poszukała jego warg.

Ledwo zdążył zakosztować ich smaku, kiedy ucichła muzyka i wokół nich rozległy się pojedyncze oklaski. Chance odsunął się trochę, ale nie wypuścił jej z ramion.

- Może przeniesiemy się gdzieś, gdzie jest mniejszy tłok i jest dużo przytulniej? Na przykład do mojego apartamentu.

- Znakomity pomysł.

Chance otworzył drzwi, potem cofnął się, żeby przepuścić Flame. Bez najmniejszego wahania wyminęła go i wkroczyła do pokoju gościnnego. Tu przystanąła, potem odwróciła się z wdziękiem modelki i kilka rzędów falbanek wąskiej, czarnej jedwabnej sukienki zawirowało koliście. Postawiony kołnierz czarnej jak smoła, futrzanej kurtki ostro kontrastował z miedziano-złotym odcieniem włosów.

Powoli rozejrzała się po pokoju, po czym przeniosła wzrok na twarz Chance'a. Nikły ślad uśmiechu błąkał się na jej wargach.

- Spodziewałam się pokoju pełnego orchidei albo przynajmniej dobrze zmrożonego brzoskwiniowego szampana.

Podszedł do niej. Wypełniał go wewnętrzny spokój, który, jak przeczuwał, pryśnie przy pierwszym dotyku.

- Niepotrzebne nam te rekwizyty, Flame. - Wziął w dłonie jej twarz i przeczesał palcami jej włosy. - Nie teraz, kiedy mamy siebie.

Długi, czuły pocałunek stopniowo ich rozgrzewał. Wiedział, że nie ma orchidei o piękniejszym zapachu niż delikatny, wonny zapach jej włosów, ani wina, które mogłoby go bardziej oszołomić niż smak jej warg.

Tym razem nie było żadnego wahania, sprawdzania czy nieufności. Teraz spotkały się dwie potężne siły, które zmagając się w milczeniu, odkrywały intymność, zanim wybuchną w płomieniach namiętności.

Kiedy przywarła do niego podczas pocałunku, Chance poczuł, jak napiera na niego całym ciałem, ale przez puszyste futro nie wyczuwał wcale jej kształtów. Wyprostował się z ociąganiem i opuścił ręce, żeby pomóc jej zdjąć futro. Rzucił je na najbliższe krzesło, nawet na chwilę nie odrywając od niej oczu. Cały czas był świadom nienazwanego, potężnego uczucia, które nim owładnęło, burzliwego, lecz pełnego tkliwości.

Przez chwilę szukał słów, ale wszystko zostało już wcześniej powiedziane - w innym hotelowym pokoju, do innej kobiety. Zwracając się do Flame nie chciał używać tych samych słów. Z błyskiem zdumienia zrozumiał, że chce, by z nią było inaczej.

Pewien schemat jednak się nie zmieniał. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy wziął ją na ręce i tuląc w ramionach, zaniósł do sypialni. Postawił ją i znów pocałował, odkrywając na nowo podniecający dotyk jej warg.

Wyprostował się, by poluzować węzeł krawata, a ona, ze swobodą patrząc mu w oczy, podniosła ręce i próbowała uporać się z zapięciem sukni z tyłu. Chance zostawił w spokoju krawat i zaczął powoli rozpinąć suwak sukienki, kończący się dobrze poniżej talii. Obserwował z zainteresowaniem, jak tył kreacji rozstępuje się, ukazując śnieżną biel skóry i czarną koronkę halki. Zsuwał sukienkę z ramion i dalej, wzdłuż rąk, poruszony jedwabistością skóry Flame. Potem schylił się, żeby popieścić wargami białe nagie ramiona, a suknia z szelestem opadła na podłogę.

Wreszcie palce Chance'a zajęły się powolnym przesuwaniem cienkich ramiączek halki, podczas gdy wargi pieszczotliwie wędrowały w stronę szyi. Flame odrzuciła głowę na bok, ułatwiając mu dostęp do szyi, gdzie pod językiem wyczuwał rytmiczne pulsowanie. Słyszał jej przerywany, płytki oddech i czuł delikatne drżenie, które starała się opanować.

Odwrócił ją twarzą do siebie i ujrzał przód skąpej halki.

- Czarna koronka - wyszeptał przyglądając się, jak pod nikłą osłoną drobnych splotów czarnych nitek unoszą się i opadają jej piersi.

- Mówiłeś, że czarna koronka działa na mężczyzn. - Usłyszał podniecenie w jej głosie. - Postanowiłam to wypróbować.

- Udało ci się. - Głos Chance'a dobywał się jakby z głębi ciała.

Niezwykłe delikatnie zdejmował z niej halkę, starając się przedłużyć ten moment wypełniony pragnieniem, które natychmiast się spełniło, ponieważ stanęła przed nim zupełnie naga. Jej sylwetka obramowana była światłem wpadającym przez otwarte drzwi do gościnnego pokoju. Przez chwilę wystarczał mu sam ten widok: jej delikatnie rozchylone wargi, wpatrzone w niego oczy, światło podkreślające zaokrąglone kontury i ocieniające wklęsłości. Potem musiał jej dotknąć, żeby przekonać się, że ta nieruchoma postać istnieje naprawdę.

Rozpoczął od szyi, przesuwał opuszkami palców po jej łukowym wygięciu aż do wgłębienia u dołu. Potem dłonie rozdzieliły się i podążyły bliźniaczymi szlakami do krągłości piersi, które wypełniły zagłębienia jego dłoni. Ich obfitość była dla niego cudowną i podniecającą niespodzianką. Poczuł, jak Flame gwałtownie wciąga powietrze, wstrzymuje oddech i zamiera na moment. Potarł kciukami wyprężone sutki, a ona zadrżała i westchnęła przeciągle jak kotka, równocześnie wyginając się w łuk i podając ciało. Teraz przesunął dłonie jeszcze niżej, na płaski brzuch; wciągnęła go i pod dotknięciem palców napięła mięśnie. Następnie dłonie Chance'a ześlizgnęły się na zaokrągloną wypukłość bioder i dalej, ku tyłowi, aż do jędrnych pośladków. Przyciągnął ją do siebie.

Nie było żadnych wątpliwości - istniała naprawdę: przez ubranie wyczuwał mocno przyciśnięte do niego pecie piersi. Jej podniecone ciało poddawało się jego dłoniom. Lgnęła do niego, szukając jego warg rozgrzankowanymi

ustami, wypełniając je słodkim, odurzającym oddechem. Przycisnął ją do siebie w gwałtownym przypiływie pożądania. Wargi Flame rozchyliły się na spotkanie jego języka, który połączył się z jej własnym, miękkim i ciepłym. Miał smak wina i jeszcze czegoś upajającego. W końcu Chance odsunął ją od siebie i po chwili jego ubranie spoczęło na podłodze obok niej. Nie spuszczała z niego zachwyconego, pełnego pożądania wzroku.

Kiedy wziął ją na ręce, zaplotła dłonie wokół jego szyi. Milczeli, ich oczy, ręce, ciała porozumiewały się znacznie lepiej niż przy pomocy słów. Zaniósł ją do łóżka z zachęcająco odchyłoną kołdrą. Materac ugiął się pod ciężarem kolana, gdy ukląkł, żeby ją położyć. Potem osunął się obok niej.

Obróciła się i przesunęła smukłą dłonią po jego nagiej piersi, przebiegając palcami po kędzierzawych włoskach. Potem objęła go za szyję. Nie mógł oprzeć się pokusie jej rozchylonych warg i wgryzł się w nie łąpczywie, a ona z zapalem oddawała pocałunki.

Wsunął nogę pomiędzy jej uda i poczuł, jak do niego przywarła. Objął jej pierś i bawił się sutkiem, ugniatając go pomiędzy kciukiem i wskazującym palcem, dziwiąc się, że tak stwardniał. Wreszcie przeniósł się z jej ust na wyperfumowane zagłębienie za uchem. Ujął zębami płatek ucha i kilka razy ostrożnie je zacisnął. Delikatnie musnął zębami jej naprężoną szyję. A ona żywo reagowała, wijąc się, pieściła jego ramiona, szyję, plecy. Jej ciało prężyło się, biodra poruszały rytmicznie ocierając się, aż w końcu podniecenie Chance'a zlało się w jedno z jej namiętnością.

Palce Flame, wplątane w jego włosy, zaciskały się i zginały, kiedy wargi Chance'a wędrowały z zagłębienia szyi do jej wyprężonego sutka. Językiem odnalazł zaokrąglony wzgórek. Wygięła się w łuk, jakby przynaglając go całym ciałem, żeby objął go wargami, ale on nie potrzebował zachęty. Pobudzony gardłowymi dźwiękami partnerki i jej przyśpieszonym

oddechem, Chance zaniechał na chwilę pieszczoty drugiego sutka i powoli przesunął dłoń po płaskim brzuchu. Na chwilę zatrzymał się przy pępku, by w końcu wsunąć palce do środka tego złocistokasztanowego gniazdka, którego dotyk czuł do tej pory na udzie.

Pragnął jej. O Boże, jak bardzo jej pragnął - w tej chwili - w tej sekundzie. Jeszcze moment, a siła tej żądzzy zawładnęłaby całkowicie jego ciałem, lecz udało mu się nad nią zapanować. Chciał, żeby ten pierwszy raz należał do nich obojga. Nie zastanawiał się teraz, dlaczego tego pragnie - nie w tym momencie. Skoncentrował się na przedłużeniu rozkoszy, którą razem przeżywali i delectowaniu się jej smakiem, dotykiem, zapachem, dźwiękiem - jej obecnością w swoim łóżku.

Kiedy napięcie stało się nie do zniesienia dla obojga, wspiał się na nią, unieruchamiając ją na moment swym ciężarem. Przyjęła go bez żadnych przeszkód i szczelnie otoczyła ciepłem. Wpił się w usta Flame i nad głową splótł jej palce ze swoimi. Przymus pośpiechu ustąpił. To była chwila, którą powinni się w pełni rozkoszować. Poruszał się wolno, starając się, by każde pchnięcie było długie i głębokie, i czuł, jak jej biodra unoszą się w zgodnej harmonii z jego ruchami.

Kiedy tempo wzrosło, poczuł, jak Flame zlizuje kropelki potu, które uformowały się na jego górnej wardze, i jak przesuwają zębami po jego ramieniu, żeby po chwili wgryźć się, wydając równocześnie stłumiony jęk: „Chance”. Poczul ponagląjące ruchy rąk gładzących jego plecy i pośladki, miękko, namiętnie prężące się ciało, tak bezgranicznie z nim zespolone. A potem, kiedy świat zaczął wirować, objął ją i mocno przytulił, nie pozwalając jej odpłynąć bez niego.

Nie mogąc zasnąć, Flame ostrożnie wyswobodziła się z uścisku Chance'a i



bezszelestnie wyslizgnęła z łóżka. Zatrzymała się na moment i odwróciła, bo chciała się upewnić, czy go nie obudziła. We śnie twarz Chance'a była jeszcze bardziej wyrazista, malowała się na niej jakaś niezłomna duma, którą zwykle maskował uśmiech. Przyglądała mu się przez chwilę, przypominając sobie znowu tę wspaniałą burzę emocji, tak potężną i piękną, która była czymś więcej niż podnieceniem, czymś więcej niż cudownym wyzwoleniem.

Odwróciła się od tej twarzy, tych pięknych, męskich konturów ciała i mocno zarysowanych mięśni. Pod nogami dostrzegła białą koszulę. Przez moment się zawahała, potem podniosła ją i włożyła, uśmiechając się na widok przydługich rękawów. Podwinęła do góry mankiety i cichutko powędrowała do ciemnego gościnnego pokoju, zapinając po drodze dwa guziki. Stała przy oknie i patrzyła na nocne światła San Francisco jaśniejące w atramentowych ciemnościach. Bezwiednie postawiła kołnierzyk koszuli i zanurzyła w nim twarz, wdychając mocny męski zapach wody kolońskiej.

Kiedy tu przyszła, nie wahała się ani przez moment. Chciała pójść z nim do łóżka. Pragnęła go i nie ukrywała tego. Zbyt długo tłumiała w sobie namiętności. Ale zupełnie się nie spodziewała, że seks rozbudzi w niej taką lawinę uczuć. To trochę przerażające... jakże głębokie są jej uczucia. Wzdrygnęła się przed słowem miłość. Nie! Jeśli użyje tego słowa, on będzie mógł ją zranić. Lecz, jeśli nie zobaczy go więcej - po dzisiejszej nocy - to także będzie bolało.

- Tu jesteś. - Steżała na dźwięk głosu, dobiegającego z ciemności, nagle zdając sobie sprawę, że Chance jest bardzo blisko. Gdy poczuła, jak jego ręce dotykają luźnych rękawów koszuli, odwróciła się, zanim zdążył ją oblijać. W jego leniwym spojrzeniu czaiła się zaborczość.

- Już myślałem, że mi się przyśniłaś.

- Nie mogłam spać. - Widząc go stojącego tak blisko i patrzącego na nią w

taki sposób, poczuła znowu przyływ niesłychanie subtelnych uczuć. Kiedy położył ręce na jej biodrach, przesunęła dłońmi po mocnych, umięśnionych piersiach. To dotknięcie przywołało wspomnienie jego siły i delikatności.

- Chance...

Przerwał jej, zanim zdążyła wyjaśnić przyczynę swej bezsenności.

- Przerazona, prawda?

Zaszokowana, że Chance zna dokładnie jej myśli, nie opierała się, gdy przyciągnął ją do siebie, lekko kołysząc jej biodrami tuż przy swoich.

- Skąd...?

- Skąd wiem? - dokończył za nią i uśmiechnął się. - Sądzisz, że tylko tobie to się przytrafiło? W razie gdybyś zapomniała, chciałem ci przypomnieć, że też tam byłem.

- Bardzo dobrze pamiętam - przyznała. - Ale nie wiedziałam, czy na tobie zrobiło też takie wrażenie.

- Zrobiło. - Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona, delikatnie ocierając się wargami i policzkiem o jej włosy. - Niestety, Flame, jutrzejszy dzień musi nadejść. A kiedy nadejdzie, będę musiał wyjechać.

- Wiem. - Duma nie pozwoliła jej wtulić się w jego ramię.

- Będzie jeszcze wiele nocy, które będziemy musieli spędzić osobno. Nie chcę, żeby jedną z nich była ta dzisiejsza.

Ton jego głosu nie był wcale żartobliwy, nie słychać w nim było przekonania się czy śladów lekkiego traktowania sprawy; był zupełnie poważny. Wzruszona Flame popatrzyła na tego mężczyznę, w którego towarzystwie czuła się tak jak we własnej skórze.

- Ani ja - odparła, pewna, że przetrwanie tych samotnych nocy, które ją teraz czekały, nie będzie łatwe, bo będą jej towarzyszyły wspomnienia dzisiejszej.

- W takim razie wracamy do łóżka.

Miała ochotę powiedzieć coś idiotycznie romantycznego, jak na przykład:

„Poszłabym z tobą wszędzie”. Ale obróciła się lekko w jego objęciach, otoczyła ramieniem jego nagą talię i pchnęła go delikatnie w kierunku sypialni, przekazując mu w ten sposób to, co ujęte w słowa zabrzmiałoby banalnie.

W sypialni wyslizgnęła się z koszuli i stanęła przed łóżkiem. Chance już tam był, potężne ciało wyciągnięte na materacu. Prześcieradło, zawinięte wokół talii, odsłaniało męski tors - mocne, płaskie mięśnie i brązową skórę. Zatrzymała się na chwilę wiedząc, że na nią patrzy i że podoba mu się to, co widzi.

Kiedy położyła się na łóżku, Chance odwrócił się na bok i wyciągnął ręce, żeby ją pochwycić i przyciągnąć do siebie. Flame patrzyła, jak jego oczy leniwie podążają za dłonią, która przesuwana się wzdłuż jej żeber, obejmuje jej pierś, wywołując pierwsze dreszcze podniecenia.

Znów przeniósł spojrzenie na jej twarz i studiował ją w zamyśleniu.

- Nie mogę się zdecydować - mruknął.

- Na co? - przesunęła dłonią po jego ramieniu, wyczuwając twardość mięśni.

- Czy ty należysz do mnie, czy też to ja należę do ciebie? Jakiś fragment mnie chce zamknąć cię w klatce i potraktować jak własność - powiedział i zamilkł na chwilę. - I jest jakaś inna część, która czuje dużo pokory. I to właśnie uczucie jest dla mnie całkowitą nowością.

- Dla mnie też - wyszeptała.

- Flame. - To było wszystko, co powiedział, zanim jego wargi wzięły w całkowite posiadanie jej usta, pochłaniając je z zuchwałą namiętnością. Rozumiała dobrze ten bolesny głód i odwzajemniła go z jednakową agresją.

Kiedy się kochali tym razem, zdumiała ją dzika harmonia tego aktu. Jak

szalejąca nawałnica, która przychodzi, siecze strumieniami deszczu, potem mija, pozostawiając za sobą orzeźwiające wrażenie czystego, świeżego powietrza.

## 11

Kościelne dzwony biły na poranne nabożeństwo, kiedy podjechali z Chance'em pod jej dom. Na schodach wiktoriańskiej kamienicy Flame dostrzegła Ellery'ego. Zamachała do niego. Ellery stanął jak wryty, a ona zupełnie to ignorując, wróciła się do Chance'a:

- Nie musisz odprowadzać mnie do drzwi. - Nie chciała przedłużyć pożegnania.

- Zadzwoń do ciebie.

I nie był to tylko zwrot grzecznościowy. Chance nie rzucał słów na wiatr. Już się tego nauczyła, jak i paru innych rzeczy.

- Jeśli raz mnie nie zastaniesz, nie rezygnuj. Prędzej, czy później wrócę.

- Nigdy z niczego nie rezygnuję. - Wsunął dłoń pod jej włosy, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie. Flame odwzajemniła namiętny pocałunek. Kiedy ją wypuścił, czuła rozlewające się po całym ciele ciepło. W jego pociemniałych, błękitnych oczach widziała obietnicę, kiedy mówił półgłosem:

- Do następnego razu.

- Do następnego razu - powtórzyła słowa, które stały się dla niej niemalże zaklęciem, i otworzyła drzwi.

Wysiadając ze sportowego samochodu zdziwiła się, że tak świetnie się czuje - ani śladu powstrzymywanych łez czy bolesnego ucisku w piersiach. Wszystko dzięki tej pewności, że będzie ten następny raz. Podeszła do podnóża schodów i odwróciła się, żeby popatrzeć na odjeżdżającego Chance'a.

- Ponieważ jak na wizytę w kościele jesteś nieprawdopodobnie wystrojona,

wnioskuje, że jest to poranek po upojnej nocy. - Ellery zszedł z dwóch ostatnich stopni i stanął obok niej.

- Dlaczego sądzisz, że tylko poprzednia noc była upojna? - Sama się trochę zdziwiła tym poczuciem bez troski i zadowolenia, które ją wypełniało i pobudzało do przekomarzania się z Ellerym. Od tak dawna nie była zakochana, że zdążyła zapomnieć, jakie to wspaniałe uczucie.

Ellery otworzył szeroko oczy i unióśł brwi, a Flame ruszyła na górę.

- Jesteśmy dzisiaj troszkę zadziorni, co?

Ten komentarz nie od razu do niej dotarł, ponieważ jej uwagę odwrócił widok zielonego samochodu, który parkował właśnie po przeciwnej stronie ulicy.

- Ellery, chciałabym, żebyś dyskretnie spojrział na ten ciemnozielony samochód, chyba ford, zaparkowany w połowie pochyłości. Widzisz kierownicę? - Pozostała odwrócona plecami do ulicy i samochodu, udając, że grzebie w wieczorowej torebce w poszukiwaniu kluczy.

- Niezbyt wyraźnie - powiedział po chwili. - Dlaczego?

- Czy pamiętasz tego kelnera w brązowych butach na przyjęciu u DeBorgów? Miał duży orli nos.

- Tak, pamiętam - odparł Ellery, zupełnie zbity z tropu.

- Przyjrzyj się dokładnie kierowcy i zobacz, czy to ten kelner.

- Jest za daleko. Wszystko, co mogę dostrzec, to kształt męskiej głowy po stronie kierowcy.

- Nieważne. - Z irytacją wzruszyła ramionami i wyjęła klucz z torebki. - Wejdzmy do środka.

Marszcząc czoło, Ellery jeszcze raz spojrział na samochód i podążył za Flame, która lekko wbiegła po schodkach do drzwi swojego mieszkania.

- O co tu chodzi? Dlaczego sądzisz, że to mógł być ten kelner?

- Ponieważ to właśnie on przysłał mi tę ohydną karteczkę, a właściwie doręczył. - Włożyła klucz do zamka, przekreśliła go szybko i pchnęła całym ciałem ciężkie drzwi.

- Skąd wiesz?

- Bo... - wpadła do korytarza, pozostawiając Ellery'emu zamknięcie frontowych drzwi, potem zatrzymała się na chwilę przy szafie w korytarzu i wyswobodziła się z futrzanej kurtki - bo w piątek, w operze, miał dla mnie następną wiadomość, którą doręczył już osobiście.

- Następną wiadomość?

- Tak. Sens był taki sam jak pierwszej: *Trzymaj się od niego z daleka*. Tylko tym razem dodano ostrzeżenie, że pozałuję, jeśli nie posłucham. - Flame wiedziała, że spod jej swobodnego zachowania wyziera obawa, ale nie mogła dłużej udawać, że się nie przejmuje. - A na dodatek łąził za mną wszędzie, przez cały weekend. - Sztywnymi rękami zawiesiła zakiet na wieszaku i wsunęła go do szafy.

- Wszędzie?

- Nie, nie wszędzie, dzięki Bogu. - Pomimo napięcia, a może właśnie z tego powodu, spojrzała na Ellery'ego i roześmiała się, znowu świadoma swych nowych uczuć. - I nie unos mi tutaj brwi, Ellery Dornie.

- Czy ja mógłbym zrobić coś takiego? - zapytał z udaną niewinnością.

- Robisz to cały czas.

- Przynajmniej teraz wiem, dlaczego cały weekend nie mogłem cię złapać. Choć muszę uczciwie przyznać, że w tej chwili bardziej interesuje mnie, kto jest tym „kimś” z przesłanych ci „trzymaj się z daleka” wiadomości. Czy druga wyjaśniła więcej niż pierwsza?

- Nie - przyznała. - Ale tu musi chodzić o Chance'a.

- A nadawca?

Zawahała się przez chwilę, kiedy popatrzyła Ellery'emu głęboko w oczy.

- Wydaje mi się, że to Malcolm. Któż inny, jeśli nie on? Z początku myślałam, że to Lucianna, ale robi na mnie wrażenie osoby, która sama przyszłaby wydrapać mi oczy, gdyby sądziła, że zabieram jej faceta. - Przerwała na chwilę i zniechęcona opuściła ręce. - Po tym... nieporozumieniu, które ostatnio miałam z Malcolmem, wiem, że mógłby się posunąć do gróźb. A to całe śledzenie mnie... może chce zrobić na mnie wrażenie, pokazując mi, jak daleko może się posunąć, żeby zdobyć to, co chce mieć.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - Tym razem Ellery był już poważny.

- Wiem, co chciałabym zrobić. Chciałabym zagrozić mu procesem o molestowanie seksualne.

- Ale się nie ośmielisz? - zgadywał Ellery.

- Nie, jeśli chcę zachować pozycję zastępcy prezesa Boland i Hayes. - Kwaśny uśmiech rezygnacji pojawił się w kąciku jej ust. - Poza tym taki proces bardziej zaszkodziłby mojej reputacji i karierze niż jemu. Która agencja chciałaby przyjąć mnie do pracy po takich nagłówkach prasowych? I jaki klient chciałby ze mną pracować? Żaden. Więc... nie mam innego wyboru, jak tylko przetrzymać go i pokazać, że nie uda mu się mnie upokorzyć. Jemu, ani nikomu innemu.

Ellery postawił na podłodze swoją teczkę i zaczął bić jej brawo.

- Wspaniałe przemówienie, kochanie. Dumnie uniesiona głowa, tylko tak dalej.

Spojrzała na niego z lekkim rozdrażnieniem:

- Jeśli już skończyłeś, to może powiesz mi wreszcie, dlaczego chciałeś się ze mną widzieć. Z pewnością nie jest to towarzyska wizyta, bo nie targałbyś tego ze sobą. - Wskazała na stojącą u jego stóp skórzaną teczkę.

- Może nie jest to najlepszy moment, ale przyniosłem ze sobą parę nowych pomysłów do świątecznej kampanii reklamowej sklepów Powella. - Usta Ellery'ego ułożyły się w przepaszający grymas. - Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wcześniej przejrzeć je we dwoje i w ten sposób, jeśli ci przyjdzie ochota znowu je ustrzelić, nim zdemoralizujesz mi kompletnie pracowników.

- Masz rację, Ellery. To nie jest najlepszy moment.

- Jeśli wolałabyś raczej poczekać...

- Nie. Potrzebuję tylko kilku minut, żeby wziąć prysznic i przebrać się. I niech ci się nie wydaje, że mogłabym tak prędko przestać lubić Malcolma. - Ruszyła w kierunku sypialni, dodając jeszcze przez ramię: - Możesz zrobić kawę.

Zapach świeżo zaparzonej kawy unosił się dokoła, kiedy Flame wyszła z sypialni, ubrana już w swobodniejszy strój. Miała na sobie brązowe spodnie i za duży beżowy sweter. Nie zawracała sobie głowy suszeniem włosów - mokre, rzucały w świetle rdzawe błyski - tylko zaczesła je gładko do tyłu. Ellery siedział w gościnnym pokoju. Przed nim na stoliku leżały rozłożone pobieżne plany i z grubsza naszkicowane ilustracje do tekstów.

- Nalałem ci trochę kawy. - Wskazał filiżankę stojącą na szklanym blacie bocznego stolika.

- Dzięki. - Wzięła ją do ręki i przełknęła mały łyczek gorącego płynu. Smak i zapach kawy przypomniały jej śniadanie, jakie parę godzin temu jadła w apartamencie Chance'a. Posadził ją sobie na kolanach, bo próbowała odmówić jedzenia, upierając się, że nie może jeść rano. Chance potraktował to jak wyzwanie i karmił ją kawałkami drożdżowego ciasta z ananasem. A ona odwzajemniała się i karmiła go takim samym ciastem, tyle że z malinami. Skończyło się zlizywaniem sobie nawzajem kremu z palców i



scałowywaniem z warg już przemieszanych smaków ananasowego i malinowego. To było najprzyjemniejsze śniadanie, jakie jadła w życiu.

Rzuciła okiem na czarno polakierowany zegar na kominku; o tej porze Chance był już prawdopodobnie na lotnisku. Może nawet już wystartował. Leniwie zastanawiała się, kiedy zadzwoni.

- No więc? - Ellery domagał się jakiejś reakcji. - Czy coś z tego odpowiada strategii, o której mówiłaś?

Flame ocknęła się i zdała sobie sprawę, że przygląda się bezmyślnie szkicom, wcale ich nie widząc.

- Przepraszam cię, ale ja...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Zerwała się, żeby odebrać, pewna, że to on dzwoni z lotniska.

Ale ten zachrypły od whisky głos z drugiej strony nie był głosem Chance'a.

- Czy to ty, Margaret Rose? Dzwonię cały weekend. Tu Hattie Morgan.

- Hattie. - Z opóźnieniem Flame przypomniała sobie dumną staruszkę, która przyjechała tu specjalnie, żeby ją odwiedzić, i opowiedziała jej tę dziwną historię o tym, że jest z nią spokrewniona i że zamierza jej zostawić ranczo w Oklahomie. Sądziła, iż więcej jej nie usłyszy. - Skąd pani dzwoni?

- Z Morgan's Walk, oczywiście - padła ostra odpowiedź.

- Oczywiście, powinnam się domyśleć. - Poczula przyływ współczucia na myśl o tym, że biedna kobieta ciągle upiera się przy swoich fantazjach. Więcej niż pewne, że jest w jakimś domu starców, a to wszystko jest tylko podyktowaną przez samotność próbą nawiązania kontaktu z drugim człowiekiem.

- Hattie, czy jest tam ktoś, z kim mogłabym zamienić kilka słów? Jakiś opiekun lub pielęgniarzka?

- Pielęgniarzka?! Nie, nie ma!

- Hattie, to wcale nie znaczy, że nie chcę z panią rozmawiać. - Flame próbowała jeszcze raz. - Ja tylko chciałabym...

- Ty mi nie wierzysz, prawda? - padło oskarżenie. - Myślisz, że wszystko, co powiedziałam, jest starym majaczeniem. Przekonam cię, że mój umysł jest równie sprawny jak twój.

- Jestem pewna...

- Nie, nie jesteś. Ale mogę ci udowodnić, że wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Masz coś do pisania?

- Tak. - Notatnik i długopis leżały obok telefonu.

- Dzwonię do ciebie z Oklahomy. Zanotuj ten numer. - Ostro, rytmicznie padały ze słuchawki liczby, potem Flame usłyszała polecenie: - Teraz mi go przeczytaj.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy powtarzała pośpiesznie zanotowany numer. Ta kobieta była rzeczywiście bystra, wystarczająco bystra, by wiedzieć, że Flame mogła tylko udawać, że notuje. Teraz Hattie upewniała się, czy tak nie jest.

- Dobrze - rzuciła. - Teraz się rozłączę, a ty zadzwonisz do mnie pod ten numer.

- Hattie...

- Nie. Nie chcę, żebyś miała jakiegokolwiek wątpliwości, że dzwonię z Oklahomy. Możesz sama sprawdzić kierunkowy do Oklahomy i porównać z tym, który ci podałam.

- Wiem...

- W takim razie zrób to i oddzwon do mnie. Na mój koszt, jeśli sobie życzysz. - Rozległo się szcęknięcie widełek i w słuchawce zaległa cisza. Flame zasepiła się nagle, pełna wątpliwości. Powoli odłożyła słuchawkę i wpatrywała się przez chwilę w telefon. Czyżby źle oceniła tę Hattie Morgan?

Czy to możliwe, że mówiła prawdę?

- Coś się stało?

Flame jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

- Nie wiem.

Nacisnęła widełki, odczekała chwilę, potem puściła je i poczekała na sygnał. Kiedy się pojawił, połączyła się z biurem numerów.

- Proszę mi podać kierunkowy do Oklahomy - poprosiła, gdy tylko usłyszała głos w słuchawce. - Okręg Tulsy... dziewięć, jeden, osiem - powtarzała patrząc na identyczne cyfry w swoim notatniku. Odruchowo podziękowała i odłożyła słuchawkę.

- Kto to dzwonił? - Ellery był bardzo poruszony. - Co się dzieje?

Flame odwróciła się do niego, cały czas starając się zrozumieć, o co tu chodzi.

- Czy pamiętasz, jak opowiedziałam ci o tej starszej pani, która w zeszłym tygodniu pojawiła się ni stąd, ni zowąd pod moimi drzwiami i opowiedziała mi tę nieprawdopodobną historyjkę o tym, że jestem jej jedyną żyjącą krewną i że zamierza mi zostawić ranczo w Oklahomie? To właśnie ona dzwoniła.

- Co chciała?

- Chce, żebym oddzwoniła, a numer, który mi podała, to numer w Oklahomie. - Pełna niedowierzania i wątpliwości roześmiała się bezgłośnie. - Chyba nie sądzisz, że to prawda. Przypuszczałam, że wymknęła się z jakiegoś domu starców albo domu opieki społecznej. W końcu mogła gdzieś przeczytać, że moje panięskie nazwisko brzmi Morgan, że mój przodek, Morgan, ożenił się z córką jednego z założycieli San Francisco. - Flame gapiała się na telefon wspominając, jak lekko potraktowała cały ten incydent. - Wydawało się takie logiczne, że jakaś samotna staruszka, bez własnej rodziny,

postanowiła udawać, że jest ze mną spokrewniona, szczególnie, kiedy zobaczyła, że tak samo jak jej dziadek mam rude włosy.

- Chyba nie uwierzyłaś, że chce ci zostawić farmę w Oklahomie? - Raz jeszcze brew Ellery'ego wygięła się w łuk, wyrażając powątpiewanie i sceptycyzm.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - przyznała Flame, podnosząc raz jeszcze słuchawkę i wykręcając numer, który podała jej Hattie. - Ale jeśli odbierze telefon, przynajmniej będę wiedziała, że mówiła prawdę, kiedy twierdziła, że mieszka w Oklahomie.

Pierwszy sygnał jeszcze nie zamilkł, kiedy z drugiej strony odezwał się stanowczy i pytający głos:

- Halo?

- Halo, Hattie? - Flame poczuła dziwne napięcie.

- Tak - padła szybka odpowiedź, a po niej jeszcze ostrzejsze pytanie: - Czy to ty, Margaret Rose?

- Tak, to ja.

- Nie śpieszyłaś się specjalnie z telefonem do mnie.

- Zrobiłam tak, jak mi pani zaproponowała. Sprawdziłam, czy to kierunkowy do Oklahomy.

- W takim razie powinnaś być usatysfakcjonowana, przynajmniej co do jednej rzeczy. - Hattie nawet się nie starała ukryć oburzenia i irytacji w głosie.

- Jestem. - Flame próbowała nie zwracać na to uwagi.

- Chciałam cię zapytać, kiedy zamierzasz odwiedzić Morgan's Walk, ale teraz stało się dla mnie jasne, że nigdy nie uwierzyłaś ani w ranczo, ani w to, że jesteśmy spokrewnione.

- Hattie, pani musi sobie zdawać sprawę z tego, jak to wszystko dziwnie

wyglądało.

- Tak, wiem. Choć podczas rozmowy odniosłam wrażenie, że udało mi się przekonać cię o prawdziwości moich słów. Po całym trudzie, jaki sobie zadałam, żeby cię odnaleźć... Ale to nie ma nic do rzeczy, prawda? Moje słowa nie wystarczają. Oczywiście potrzebujesz dowodu i prawdopodobnie masz rację. Bądź ostrożna, Margaret Rose. Lepiej nikomu zbyt nie ufać.

- Poprzednio powiedziała pani już coś takiego - przypomniała sobie Flame.

- To prawda, o której niedługo się przekonasz. Ale niech i tak będzie. Skoro żądasz dowodu, dostaniesz go. Natychmiast wydam dyspozycje, by przesłano ci kopie dokumentów potwierdzających, że ty i ja pochodzimy z tej samej linii Morganów. Powinnaś je otrzymać pod koniec tygodnia.

- Hattie, to nie jest konieczne...

- Ależ jest konieczne. Nawet bardzo. Musisz się przekonać, że wszystko, co ci powiem, jest prawdą i może być poparte dowodami.

- Wierzę pani - upierała się, tracąc powoli cierpliwość.

- Nie, jeszcze mi nie wierzysz. Ale będziesz. Tymczasem chciałabym, żebyś niczego nie brała za dobrą monetę. A więc, kiedy otrzymasz dokumenty, przejrzyj je uważnie. Wtedy porozmawiamy o twojej podróży do Morgan's Walk.

- Co to jest... to, o czym nie chce mi pani powiedzieć? - dopominała się Flame z rosnącym niepokojem. - Jest coś, o czym powinnam wiedzieć, prawda?

- Jest wiele rzeczy, o których powinnaś wiedzieć teraz, kiedy po mojej śmierci Morgan's Walk będzie należało do ciebie. Zbyt wiele, żeby mówić o nich przez telefon. Przedyskutujemy wszystko, kiedy tu przyjedziesz.

- Ale...

- Jest jedna ważna sprawa, o której muszę wiedzieć, Margaret Rose.

Flame z irytacją zacisnęła wargi. Rozdrażnił ją sposób, w jaki Hattie zbyła jej pytanie. Przerwa w rozmowie przedłużała się i Flame zrozumiała, że Hattie czeka na jej reakcję.

- Słucham panią, Hattie - rzuciła trochę prowokująco.

- Zastanawiam się właśnie... - zaczęła. - Powiedz mi, proszę, czy wspomniałaś komuś o mojej wizycie i o naszej... małej pogawędce? Komukolwiek, choćby przelotnie?

- Tak. A czy to miał być sekret? - zirytowała się Flame.

- Ilu osobom powiedziałaś? Zastanów się dobrze.

- Tylko dwóm.

- Jesteś pewna?

- Jestem całkowicie pewna - odparła, nie starając się już powstrzymać zniecierpliwienia. - Na pewno nie biegałabym po mieście, opowiadając o tym każdej napotkanej osobie.

- Te dwie osoby, kim one są? Bardzo cię proszę, uwierz mi, że nie pytałabym, gdyby to nie było ważne.

Flame milczała zastanawiając się, czy jednak przypadkiem jej pierwsze wrażenia co do Hattie nie były prawdziwe. Całe to przepytывanie i gadanie o dowodach wystawiało na próbę jej cierpliwość.

- Jeden z nich to mój bliski przyjaciel, którego znam od lat, pan Ellery Dom. A drugi, to mój klient i stary przyjaciel domu, pan Malcolm Powell.

- I tylko oni dwaj wiedzą? Nikt więcej?

- Nikt. Już przecież powiedziałam. - Starła się pamiętać, że rozmawia ze starszą i... odrobinę paranoiczną osobą.

- W tej sytuacji chciałabym, żebyś dała mi słowo honoru, że z nikim więcej nie będziesz o tym rozmawiać. A kiedy otrzymasz kopie dokumentów, które ci prześlę, także nie pokazuj ich nikomu... chyba że zechcesz, żeby twój

adwokat potwierdził ich autentyczność. Ale nikomu więcej. Czy mam twoje słowo?

- Po co ta tajemnica? Kiedy tu pani była, nie obchodziło panią, z kim będę o tym rozmawiać.

- Wtedy nie widziałam takiej potrzeby. Teraz jest inaczej. Mam swoje powody, Margaret Rose, i wyjaśnię ci je, kiedy przyjedziesz do Morgan's Walk. Tak jak powiedziałam, dopiero wtedy wszystko ci wyjaśnię. I zrozumiesz, dlaczego teraz muszę cię prosić o twoje słowo. Dostanę je?

Flame skwitowała ten wywód westchnieniem.

- Tak, ma pani moje słowo.

- Nie będziesz tego żałowała. Do widzenia, Margaret Rose. Porozmawiamy znowu w następny weekend, kiedy już będziesz miała okazję przestudiować dokumenty.

- Do widzenia, Hattie. - Flame rozłączyła się, starając się cokolwiek z tego zrozumieć.

- Wszystko to brzmiało raczej zagadkowo - zauważył Ellery pośpiesznie.

Flame odwróciła się do niego, wymownie wzruszając ramionami.

- Nie zamierzam nawet udawać, że coś rozumiem. Niestety mam niejasne przeczucie, że właśnie złożyłam przysięgę, iż nie zdradzę nikomu, włączając w to ciebie, treści tej rozmowy.

- Dlaczego? - Z niedowierzaniem i zdumieniem zmarszczył brwi.

- Nie wiem. - Pokręciła głową. - To wszystko jest strasznie tajemnicze. A więc cicho-sza, ona mi nic nie może wyjaśnić. Może to sposób na to, żeby mnie zaintrygować i ściągnąć tam?

- Intryga... Dziwne słowo wybrałaś.

- Może bardziej właściwe, niż mi się wydaje.

Kiedy Hattie odkładała słuchawkę na widełki, usłyszała skrzypnięcie podłogi w wielkim hallu, tuż za drzwiami swojego gabinetu. Na chwilę zamarła bez ruchu, nasłuchując. Po osiemdziesięciu jeden latach знаła każde skrzypnięcie i każdy trzask w tym starym domu, a dźwięk, który przed chwilą usłyszała, nie był żadnym z jego naturalnych odgłosów.

- Kto tam?

Pytanie pozostało bez odzewu. Wargi Hattie zacisnęły się w wąską szparkę, kiedy chwyciła laskę i odepchnęła się z impetem od wytartego skórzanego fotela, na którym siedziała. Laska wystukiwała krokom tempo na trzy, kiedy zmierzała w kierunku łukowo sklepionego wejścia z podwójnymi skrzydłowymi drzwiami, osadzonymi w rzeźbionej framudze. Badawczym spojrzeniem omiotła przestrzeń po prawej stronie korytarza i wbiła wzrok w tęgą, siwowłosą kobietę.

- Wiedziałam, że ktoś tu jest - oświadczyła Hattie. - Znowu podsłuchiwałaś, prawda Maxine?

Kobieta odwróciła się i niechętnie wyprostowała; jej obfity biust jeszcze się powiększył, kiedy wypięła pierś do przodu.

- Z całym szacunkiem, panno Hattie, mogę lepiej spożytkować czas niż na słuchanie pani rozmów.

- W takim razie powiedz mi, co tutaj robisz i dlaczego nie odpowiedziałas, kiedy zawołałam? - Oczy Hattie zwięziły się podejrzliwie. Nie wierzyła ani jednemu słowu, bez względu na to, jak prawdopodobne wydawały się te wyjaśnienia.

- Nie odpowiedziałam, ponieważ sądziłam, że mówi pani do kogoś przez telefon. Nie sądziłam, że przywoływała pani mnie.

- A więc przyznajesz, że wiedziałaś, iż rozmawiam przez telefon?

- Tak, wiedziałam. Wiedziałam też, że trzeba już tu odkurzyć i właśnie to



robiłam.

Hattie zawahała się przez chwilę, szukając luki w wyjaśnieniach gospodyni, ale nagły, dotkliwy ból głowy przerwał jej dociekania. Pobladła pod wpływem rozdzierającego bólu, a kiedy zaczęła podnosić rękę do góry, poczuła napierające na nią ciemności.

- Nie wzięła pani tabletki, prawda? - oskarżająco rzuciła Maxine Saunders. - Przyniosę pani.

- Nie. Żadnych tabletek. Nie chcę. - Hattie walczyła z ciemnością, wygrywając jeszcze jedną bitwę.

- Wie pani, co powiedział lekarz?

- Cóż za wruszająca troska, Maxine. Można by pomyśleć, że się przejmujesz - urągała z goryczą.

- Po trzydziestu latach zajmowania się Morganami weszło mi to w krew, panno Hattie - odparowała prawie tak samo ostro. - Wiele razy próbowałam się tego oduczyć. Może pewnego dnia mi się uda.

- To już trzydzieści lat minęło? - Pomimo pulsującego bólu Hattie próbowała sobie przypomnieć. - Tak, to prawda - Powoli pokiwała głową. - Zawsze robiłaś ciasteczka z cukrem temu... szczeniakowi. Mówiłaś, że to jego ulubione.

Twarz kobiety posmutniała.

- Był małym chłopcem.

Hattie zachnęła się na to, po czym cofnęła się zamykając za sobą skrzydłowe drzwi i eliminując w ten sposób możliwość podsłuchiwania następnych rozmów. Laska zataczała krąg przy każdym kroku, uderzając o podłogę z pewnym opóźnieniem, kiedy Hattie podążała z powrotem do obrotowego fotela i mahoniowego biurka. Usiadła i raz jeszcze podniosła słuchawkę. Tym razem wykręciła domowy numer Bena Canona. Odebrała gospodyni i

Hattie niecierpliwie czekała, aż Ben podejdzie do telefonu.

Kiedy się zgłosił, staruszka przeszła natychmiast do rzeczy:.

- Zrób kopie i streszczenia dokumentów, które przesłał nam ten człowiek z Utah i natychmiast prześlij je Margaret Rose. Ale upewnij się, czy nie zawierają żadnej wzmianki o Stuarcie. Możesz umieścić informację o śmierci mojej siostry, jeśli uznasz to za konieczne, ale ani słowa o małżeństwie i dziecku.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł w zaistniałych okolicznościach, Hattie - odparł. - Ona spotyka się ze Stuartem...

- Tak, wiem - przerwała niecierpliwie. - Mówiłeś mi o tym.

- Musisz z nią porozmawiać, Hattie.

- Muszę. Dlatego właśnie cię proszę, żebyś przesłał jej te dokumenty.

- Nie, chodziło mi o to, że powinnaś ją ostrzec przed Stuartem.

- Nie mogę. Ona już i tak myśli, że jestem zdziwaczką staruszką niespełna rozumu, która nie bardzo wie, co mówi. Nie jest nawet do końca przekonana, czy jesteśmy spokrewnione. Jej się wydaje, że wszystko to sobie wymyśliłam. Bóg jeden wie, dlaczego. Jeśli powiedziałabym jej teraz prawdę o Stuarcie i próbowałabym ją ostrzec przed zastawioną przez niego pułapką, nigdy by mi nie uwierzyła. Byłaby przekonana, że zwariowałam, to więcej niż pewne. Gorzej jeszcze, poszłaby z tą historyjką do Stuarta, a on odwróciłby kota ogonem i słodkimi słówkami nastawił ją przeciwko mnie. Nie, musi być tutaj, kiedy jej o tym powiem. Muszę ją przekonać, że to, co mówię, jest prawdą.

- Skąd wiesz, czy Stuart już z nią nie rozmawiał?

- Powiedziałyby mi, gdyby tak było.

- Nie możesz być tego pewna.

- Owszem, mogę. Skonfrontowałaby ze mną każdą historyjkę, którą by jej

opowiedział. Ale tego nie zrobiła Przysięgła mi, że powiedziała o mojej wizycie tylko dwóm osobom. Stuart nie był żadną z nich.

- Chłodno to rozgrywa, prawda? - mruknął Ben. - Wciąż chciałbym wiedzieć, w jaki sposób tak szybko do niej dotarł. Mamy gdzieś jakiś przeciek, Hattie.

- Kiedy będzie gotowy mój nowy testament? - dopytywała się Hattie. - Znam Stuarta, będzie się starał obalić ten, spisany ręcznie w twoim biurze.

- Właśnie go przepisuję na maszynie, tutaj w domu. Jak tylko skończę, dostarczę ci go do podpisu. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli nikt w moim biurze nie będzie o tym wiedział.

- Dobrze. I pośpiesz się z przesłaniem jej tych kopii, Ben. Zostało mi już niewiele czasu.

- Wiem, Hattie. Wiem.

Rozłączył się i otoczyła ją znajoma cisza domu. Tym razem jednak nie potrafiła czerpać z niej zadowolenia, wiedząc, że zagrożony jest byt tego domostwa. Przeniosła spojrzenie na stojące na biurku obok telefonu zdjęcie w starych, stylowych ramkach. Kunsztowny srebrny wzór otaczał ślubną fotografię jej rodziców. Lecz uwagę Hattie przyciągnęło zdjęcie z drugiej ramki. Patrzyła na fotografię młodej, ciemnowłosej dziewczyny o dużych, ufnych oczach i twarzy, która była ucieleśnieniem niewinności.

- To twoja wina, Elizabeth. - Głos Hattie złagodniał pod wpływem miłości i czułości. Wyciągnęła rękę i pogładziła wykrzywionym od artretyzmu palcem policzek swojej młodszej siostry.

Elizabeth Morgan chorowała niemalże od dnia narodzin. Niezliczone dnie i noce Hattie niańczyła małą, delikatną siostrzyczkę podczas kolejnych przeziębień, gorączek, grypy i zapalenia płuc. Czasami wyglądało na to, że wrażliwa Elizabeth łapie każdą chorobę, jaka pojawia się w okolicy. Lecz

każda z nich miała u niej znacznie ostrzejszy przebieg niż u innych. Często Hattie zastanawiała się, czy siostra byłaby silniejsza, gdyby matka tak bardzo nie chorowała przed jej urodzeniem.

Wpatrywała się w fotografię, która na zawsze uchwyciła tę aurę delikatności.

- Dlaczego posłałam cię do miasta tego dnia? Dlaczego? - Chodziło o głupstwo, jakieś nieistotne sprawunki, które mogły poczekać do następnego dnia, ale Elizabeth chciała jechać - chciała być pomocna, ponieważ tak często była ciężarem. I Hattie puściła ją samą.

Elizabeth spóźniała się - bardziej niż powinna. Rozbudzona wyobraźnia podsuwała Hattie dziesiątki przerażających scenariuszy - sama już nie wiedziała, jak strasznych. Oszałała z niepokoju, skoczyła do Elizabeth, kiedy ta przekroczyła próg domu.

- Gdzie ty byłaś? Czy zdajesz sobie sprawę, jak jest późno? Jak załatwienie tak prostej sprawy mogło ci zabrać tyle czasu?

Elizabeth roześmiała się w odpowiedzi, jak zwykle zupełnie się nie przejmując ostrym tonem Hattie.

- Nie rugaj mnie jak kogoś ze służby, Hattie. Byłabym w domu wcześniej, ale w połowie drogi złapałam gumę.

- Złapałaś gumę? - Hattie przeniosła wzrok na samochód i dopiero teraz dostrzegła, że lewe przednie koło jest znacznie ciemniejsze od pozostałych i nie miało na sobie warstwy zaschniętego czerwonego błota, które osiadło na tamtych. - Nie dałabyś rady zmienić go sama - Hattie wiedziała, że Elizabeth nie była wystarczająco silna, by podnieść wóz lewarkiem czy zdjąć śruby.

- Nie. Jakiś mężczyzna na motocyklu zatrzymał się i zmienił mi koło. Inaczej pewnie do tej pory bym tam sterczała.

- Chyba niejeden z tych włóczęgów w czarnych skórzanych kurtkach? - Ciarki ją przeszły, kiedy sobie wyobraziła swoją Elizabeth w towarzystwie jednego z tych brutalni, z okropnymi, długimi włosami zawiązanymi z tym w ogonek.

- On był miły, Hattie. A skórzaną kurtkę nosi po to, żeby go chroniła przed wyrzucanymi spod kół kamykami i innymi takimi rzeczami.

Lecz Elizabeth nie opowiedziała Hattie o tym, jak wyglądał, kiedy zdjął kurtkę, ani o tym, jak jego mięśnie poruszały się pod podkoszulkiem, kiedy zmieniał koło, ani o tym, jak jego czarne, lśniące włosy połyskiwały w słońcu, ani o tym, jak lekko kołysał biodrami, kiedy szedł, ani o tym, jak patrzył na nią, jakby była ciastkiem, na które miał ochotę. Elizabeth miała dwadzieścia siedem lat i niewiele doświadczeń z mężczyznami. Rzadko kiedy chodziła na randki w szkole, trochę dlatego, że większość czasu spędzała w łóżku, a trochę z powodu Hattie, która była stanowcza co do tego, kiedy i z kim powinna się umawiać. Lecz główną przyczyną była jej chorobliwa nieśmiałość.

Wiedziała, że Hattie nie podobałby się ten chłopiec. Prawdę mówiąc, to nie był chłopiec; był to dwudziestokilkuletni, nieco od niej młodszy mężczyzna. Trochę się przestraszyła, kiedy zobaczyła, jak podjeżdża. Wszyscy wiedzieli, że faceci jeżdżący na motocyklach mają opinię ludzi, którzy nie tracą czasu. Ale też było to trochę podniecające. Dlatego właśnie udało mu się ją namówić, żeby przymierzyła jego czarną skórzaną kurtkę. Bardzo jej się to podobało... i sposób, w jaki przesunął dłońmi po jej ramionach, kiedy ją włożyła.

- Jechałaś kiedyś na motorze? - zapytał.

- Nie.

- To chodź. Zrobimy rundkę na moim.

- Ja... nie mogę. - Wiedziała, że nie powinna była nawet z nim rozmawiać, nie mówiąc już o mierzeniu kurtki czy przejażdżkach na motorze. Ale on sprawiał, że czuła się taka odważna... i piękna. Choć wcale nie była; szara myszka, bez tego wigoru i wielkiej urody Hattie. - I tak już jestem spóźniona.

- A gdzie mieszkasz?

- W Morgan's Walk.

- Tam mieszkasz? - Jeszcze raz spojrzął na samochód, potem z powrotem na nią.

- Tak.

- Jak się nazywasz?

- Elizabeth. Elizabeth Morgan.

Uniósł brwi.

- W takim razie musisz być małą siostrzyczką Żelaznej Damy.

- Nie powinieneś tak o niej mówić. - Przez chwilę żałowała, że ta rozmowa się w ogóle zaczęła.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się. Miała wrażenie, że się rozplynie. - Jeśli jest twoją siostrą, to nie może być taka całkiem zła.

- Nie jest. Jest wspaniała. - Lecz poczucie winy już się w niej zadomowiło.

- Muszę iść. Będzie się o mnie martwiła. - Pośpiesznie zdjęła kurtkę i oddała ją mężczyźnie.

- Chyba nie masz zamiaru uciec? - zaprotestował, kiedy podeszła do samochodu i otworzyła drzwi.

- Ja... Dziękuję za to, że się zatrzymałeś... i zmieniłeś mi koło. - Ale ze sposobu, w jaki na nią spoglądał, Elizabeth wyczytała, że oczekiwał innego podziękowania. - Ja... proszę, pozwól, że ci zapłacę. - Sięgnęła po leżącą na siedzeniu portmonetkę.

- Nie trzeba - powiedział. - Nie biorę pieniędzy za udzielenie pomocy

kobiecie w potrzebie, szczególnie, gdy jest tak piękna.

Nikt nigdy nie powiedział jej, że jest piękna. Nikt.

Ale nie wspomniała o tym wszystkim Hattie. Ani o przeczuciu, że to jej rycerz w błyszczącej zbroi pojawił się właśnie na motocyklu. Zabrzmiało by to głupio, szczególnie, że nie wiedziała nawet, jak się nazywa. W następnych dniach żyła skrytą nadzieją, że go znowu spotka. Używała różnych wybiegów, żeby pojechać do miasta, licząc na przypadkowe spotkanie.

I w końcu tak się stało, podczas uroczystej parady w Dzień Kolumba. Kiedy znowu zaprosił ją na przejażdżkę motorem, zdobyła się na odwagę i nie odmówiła. Uwielbiała każdą spędzoną z nim minutę - pędzenie po autostradzie z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, świst wiatru w uszach, równie gwałtowny, jak rytm jej serca, i najbardziej ze wszystkiego to, że przez cały ten czas była do niego mocno przytulona. Skręcił w jakąś boczną polną dróżkę i zatrzymał się w spokojnym zakątku nad brzegiem rzeki. Tam, pośród błysków słońca odbijającego się w wodach rzeki, pod baldachimem złotych i czerwonych jesiennych liści, pocałował ją.

Potem, gdy całe jej ciało drżało jeszcze od jego pocałunku, wyszeptwała:

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Nie powiem ci - wymamrotał z ustami przy jej szyi. - Kiedy się dowiesz, kim jestem, nie będziesz chciała się nigdy więcej ze mną spotkać.

- To nieprawda. Jak możesz tak mówić?

- Bo... - podniósł głowę i zatopił w niej spojrzenie... głęboko, do samego serca - jestem Ring Stuart.

Przez chwilę Elizabeth przeszył paraliżujący strach na myśl, co by się stało, gdyby Hattie kiedykolwiek się dowiedziała, w czym była towarzystwie. Ale teraz nie miało to już dla niej znaczenia. Nie teraz, kiedy ją pocałował.

- Nie obchodzi mnie, że nazywasz się Ring Stuart - oświadczyła żarliwie, a

on pocałował ją znowu, jeszcze mocniej utwierdzając ją w tym przekonaniu.

W następnych tygodniach wymykała się na spotkania z nim, kiedy tylko mogła. Lecz nigdy nie były wystarczająco częste i długie. Właśnie sporadyczność i pośpiech ich spotkań sprawiały, że obojgu wydawały się wyjątkowo upojne.

Zajęta jesiennymi pracami na farmie, Hattie nie podejrzewała, co się dzieje. Do czasu. Pewnego razu uparła się, żeby Elizabeth pojechała z nią na pastwiska sprawdzić zimowy wypas. Charlie Rainwater, jeden z pracowników farmy, pojechał razem z nimi. To właśnie on zwrócił uwagę Hattie na zmianę, jak zaszła w jej młodszej siostrze.

- Czy panienka Elizabeth znalazła sobie jakiegoś kawalera albo co? - zapytał.

- Nie - zaprzeczyła natychmiast Hattie, uznając ten pomysł za niedorzeczny. Boże broń, nic nie miała przeciwko temu, żeby Elizabeth miała adoratora. Po prostu straciła już nadzieję, że jej młodsza siostra kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Uznała, że tak jak ona pozostanie niezamężna. Przecież Elizabeth skończyła już dwadzieścia siedem lat i nigdy jeszcze nie miała stałego narzeczonego. Hattie nie sądziła zresztą, że jest to takie zaskakujące. Mimo że bardzo kochała Elizabeth, zdawała sobie sprawę, że jest zbyt przeciętna, trochę za szczupła, nazbyt nieśmiała, i za bardzo chorowita - nie był to dobry materiał na żonę. Ale komentarz Charliego zaniepokoił ją.

- Dlaczego sądzisz, że ma chłopaka?

Wzruszył ramionami i wskazał głową w kierunku Elizabeth.

- Tak się jej przyglądam, jak coś sobie podśpiewuje i robi bukiet z uschłych kwiatów, i ma takie rozmarzone oczy. Jak połączyć to z wszystkimi wyprawami, które ostatnio robi do miasta, można dojść do wniosku, że ma tam jakiegoś faceta.



Hattie nie przeoczyła ukrytego znaczenia tego komentarza: że jej Elizabeth spotyka się z kimś po kryjomu. Jej mała siostrzyczka nie zrobiłaby nic takiego. Jeśli miałyby chłopca, przyprowadziłyby go do Morgan's Walk, żeby Hattie mogła go poznać. Czy na pewno?

Po tym wydarzeniu Hattie zaczęła dostrzegać różne rzeczy - nieistotne drobiazgi, jak choćby nieudolne wyjaśnienia Elizabeth, które miały usprawiedliwić jej częste podróże do miasta, rumieńce na policzkach i blask w oczach, kiedy wracała. W końcu, nie mogąc znieść dłużej niepewności, Hattie poleciła Charliemu Rainwaterowi, żeby śledził Elizabeth w czasie jej kolejnej wyprawy i dowiedział się raz na zawsze, czy jest się o co martwić.

- Ring Stuart? Chcesz powiedzieć, że to syn Jacksona Stuarta?

- Właśnie on - potwierdził Charlie, kiedy składał sprawozdanie.

- Musiałeś się pomylić. - Jej Elizabeth nie spotykałaby się ze Stuartem!

- Nie mylę się, proszę pani. To był na pewno Ring Stuart. Też nie mogłem w to uwierzyć. Więc się upewniłem. Nie sędzę, żeby było dwóch facetów, którzy kroczą ulicą w taki sposób, jakby do nich należała. Nie ma drugiego takiego.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, kiedy stwierdziłeś, że się z nim spotkała?

- Tylko tyle, że się z nim spotkała. Tak jak powiedziała, odniosła z powrotem do sklepu tę bluzkę i potem poszła do tego parku i on tam na nią czekał.

- Może to był tylko przypadek, że właśnie tam był.

- To możliwe, proszę pani - potwierdził Charlie, przestępując z nogi na nogę i przyglądając się spiczastym czubkom swoich butów.

- Ale ty sądzisz, że było inaczej - zgadywała Hattie.

- Tak, proszę pani.

- Dlaczego?

Widać było, że nie chce odpowiedzieć na pytanie. W końcu rzucił jej spojrzenie spod randa mocno sfatygowanego kapelusza.

- Kiedy zobaczyła go, jak stał w tym parku, proszę pani, rzuciła mu się prosto w ramiona, tak jakby wracała do domu po długiej nieobecności.

W tym momencie szok na twarzy Hattie był już widoczny - szok i poczucie straszliwej zdrady.

- Dziękuję Charlie, to wszystko - odprawiła go, niezdolna do zadawania dalszych pytań, nie chcąc usłyszeć nic więcej, nie chcąc dowiedzieć się, jak całkowicie Elizabeth zdradziła ich wszystkich... ze Stuartem!

- Wiedziałaś, że tak właśnie zareagujesz, Hattie - odpowiedziała na jej zarzuty Elizabeth. - Waśnie dlatego nic ci nie powiedziałam. Nie ukrywałam tego, żeby cię zranić. Po prostu wiedziałam, że nie będziesz potrafiła właściwie ocenić Ringa.

- On nazywa się Stuart.

- Tak, tak się nazywa Ale jakie to ma za znaczenie?

- Jak możesz o to pytać? Sama wiesz!

- Wszystko to zdarzyło się dawno temu, Hattie. Mnie jeszcze wtedy wcale nie było na świecie, ani Ringa. Nie możesz czynić go odpowiedzialnym za coś, co zrobił jego ojciec. Ring jest inny.

- On jest Stuartem. Jest ulepiony z tej samej gliny, a to jest zła glina.

- To nieprawda, Ring jest dobry.

- Nic nie jest wart, jak cała reszta jego rodziny.

- Przestań tak mówić. Nawet go nie znasz.

- Wiem wszystko, co powinnam o nim wiedzieć.

- Jak możesz go potępiać tylko dlatego, że przypadkowo nazywa się Stuart? Dlaczego musi być zły? Dlaczego nie możesz zapomnieć o czymś, co

zdarzyło się sześćdziesiąt lat temu? Przecież to nie przytrafiło się tobie.

- Ale widziałam Stuarta, kiedy wyszedł z więzienia. Byłam tam, kiedy groził dziadkowi. Słyszałam, co powiedział, i widziałam nienawiść w jego oczach... - Tak samo, jak teraz widziałam obojętność w oczach Elizabeth. Żadna z tych rzeczy nie miała najmniejszego znaczenia dla jej siostry. Była przekonana, że te groźby sprzed wielu lat nie mają z nią nic wspólnego. Hattie wiedziała, jak bardzo się myli. Spróbowała innej taktyki.

- Czy widziałeś, jak mieszka ten chłopak Stuartów?

- Nie - przyznała Elizabeth nieco zbity z tropu.

- W chałupie ukrytej pośród wzgórz, na końcu długiej, zakurzonej drogi. Kiedy był chłopcem, ta chata była schronieniem dla każdego gangstera, poczynając od Clyde'a Barrowa, kończąc na Pretty Boy Floydzie. A podczas wojny, kiedy kowboje z naszego rancza umierali na plażach Normandii, stamtąd kierowano całym czarnym rynkiem w okolicy. Ring Stuart pochodzi z wyróżniającej się rodziny, chyba się z tym zgodzisz?

- To jeszcze nie znaczy, że będzie taki jak jego ojciec.

- Był przez niego wychowany.

- Ale Ring ma plany, wspaniałe plany...

- Dostać w swoje ręce Morgan's Walk, tak jak próbował to zrobić jego ojciec.

- To nieprawda.

- Czyżby?

Hattie miała tyle rozsądku, by zrozumieć, że żadne jej argumenty, groźby czy przekonywanie nie zachwieją wiary Elizabeth w tego renegata. Romantycznie i niemądrze jej naiwna młodsza siostra patrzyła na siebie i Ringa Stuarta jak na dwoje przeznaczonych sobie kochanków, nieodparcie dążących ku sobie, wbrew zadawnionym sporom pomiędzy rodzinami, jak na

kontynuatorów tradycji Montekich i Capulettich. Jego wady i jego winy nie miały dla niej żadnego znaczenia. Była głęboko przekonana, że jej miłość go odmieni. Hattie wiedziała lepiej. Ludzie się nie zmieniają, bez względu na to, jak bardzo tego pragną - nie głęboko w środku, tam gdzie ma to największe znaczenie.

Była bliska tego, żeby zabronić Elizabeth tych spotkań. Na szczęście w porę się powstrzymała, zdając sobie sprawę, że sama nie jest tu bez winy. Zbyt mocno chroniła młodszą siostrę przed brutalnością życia. Starła się sprawić, by życie Elizabeth było łatwiejsze niż jej. Z lekkim uczuciem zazdrości kultywowała jej niewinność - siostra była dla niej ucieczką od stresujących obowiązków związanych z prowadzeniem Morgan's Walk.

Nie, sposobem na położenie kresu temu związkowi nie było zabranianie Elizabeth widywania się ze Stuartem, ale złożenie wizyty temu, kto wykorzystał niewinność i łatwowierność siostry.

Kruk podniósł alarm i poderwał się z gałęzi dębu, wymachując czarnymi skrzydłami, kiedy Hattie zakręcała po wyżłobionych koleinach. Wiewiórka porzuciła poszukiwania orzechów między opadłymi liśćmi i popędziła do najbliższego drzewa, głośno skrzecząc na mijającą ją kobietę. Gęsta płatanina zarośli i drzew, które zwartą ścianą otaczały wąską drogę, powoli rozstępowała się przed Hattie, ukazując polanę zaśmieconą rdzewiejącymi wrakami samochodów, pustymi beczkami po oleju i stertami zużytych opon rozrzuconych między pożółkłym zielskiem. Pejzażu dopełniało stojące pośrodku, walące się domostwo. Cała farba dawno już zniszczyła się z drewnianych ścian, odsłaniając brudnoszary, spłowiały kolor.

Przed domem, jakby zupełnie nie na miejscu, stał odszykowany motocykl - wysmukła, czarna, lśniąca maszyna pełna mocy. Obok niej, dłubiąc w

motorze, klęczał Ring Stuart. Kiedy Hattie wjechała na podwórko i zaparkowała samochód kilka metrów od ogromnego harleya, wyprostował się i powoli podniósł się z ziemi.

Wysiadła z samochodu, a on postąpił kilka kroków naprzód, niespiesznie wycierając powalane smarem ręce w równie brudną szmatę. Ze stoickim spokojem przyjrzała mu się dokładnie. To, co zobaczyła; wcale jej nie zaskoczyło. Wytarte džinsy wyzywająco opinały jego wąskie biodra, bystremu obserwatorowi pozostawiając niewiele miejsca na wyobraźnię. Brudny podkoszulek oblepiał każdy umięśniony skrawek piersi. Krótkie rękawy podwinięte były do samej linii ramion; spod prawego wystawała paczka papierosów. Wzrok Hattie zatrzymał się przelotnie na budzącym odrazę tatuażu, przedstawiającym nóż; z czubka ostrza ściekały kropelki krwi i wędrowały po lewym bicepsie. Potem przyjrzała się jego twarzy. Diabeł obdarował go szczupłą, przystojną twarzą i czarnymi jak smoła włosami, a do tego dorzucił parę błyszczących błękitnych oczu.

- Ho, ho, ho, kogóż to widzimy. Czy to nie jaśnie pani we własnej osobie? - Usta chłopaka wygięły się w szyderczym uśmiechu. - Wykombinowałem sobie, że złoży mi pani wizytę, tylko spodziewałem się pani wczoraj.

- Ach, tak - mruknęła, czując do niego większą niechęć, niż się spodziewała.

- Uhhh. - Zbliżył się powoli o kilka dalszych kroków. Każdy jego krok kończył się lekkim sprężynowaniem na czubkach palców, co dodawało mu jakiejś czupurności. - Natychmiast zauważyłem tego kowboja, któremu poleciła pani śledzić Elizabeth. Szkoda, że pani nie widziała, jak mu gały wyskoczyły z orbit, kiedy zobaczył, jak Elizabeth mnie całuje, i to nie raz.

- Jesteś obrzydliwy.

Uśmiechnął się szerzej.

- Elizabeth wcale tak nie myśli. Prawdę mówiąc, ma bzika na moim punkcie. Lubi, kiedy ją całuję... i te inne rzeczy.

Hattie zmartwiła, słysząc tę umyślnie dwuznaczną uwagę.

- Wiesz, że nie pozwolę, żeby to się ciągnęło.

- Nic nie może pani zrobić, księżniczko - powiedział z arogancko odchylną do tyłu głową. - Jest wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, co robi. Nie potrzebuje pani pozwolenia czy zgody.

- Ile?

- Ile? - powtórzył z nutką rozbawienia w głosie. - O rany, pani to ma pomysły, księżniczko. Wie pani, często się zastanawiałem, jak to jest, kiedy się mieszka w takim dużym domu: służba na ciebie czeka, podają ci kawę w zgrabnych porcelanowych filiżankach i przynoszą poranną gazetę. To dopiero musi być fajne życie.

- Ile chcesz, Stuart, za zostawienie w spokoju mojej siostry?

- Pani naprawdę sądzi, że może mnie pani kupić, księżniczko?

Niedwuznacznie omiotła spojrzeniem zarośnięte chwastami podwórko i rozlatujący się dom z przekrzywioną werandą.

- Jaka jest twoja cena, Stuart? Wymień ją.

- Ja już mam to, co chcę. Mam Elizabeth. Jest moja i nie może mi jej pani odebrać. Jakby pani inaczej myślała, to nie gadałaby pani teraz ze mną. - Przerwał, coraz bardziej pewny siebie. - Na początku, kiedyśmy się spotykali, była bardzo onieśmielona. Teraz już nie jest. Najpierw trochę mnie to dziwiło. Ale teraz, kiedy poznałem panią, widzę, że cała namiętność w tej rodzinie jej się dostała. A w ogóle, co z pani za siostra? Ona mnie kocha, a pani przychodzi tutaj namawiać mnie, żebym ją porzucił.

- Nigdy nic wam z tego nie wyjdzie. Nigdy.

- Dlaczego? Ponieważ pani sądzi, że nie jestem dla niej wystarczająco

dobry?

- Wiem, że nie jesteś.

- Ona się z panią nie zgadza. Widzi pani, różnica jest taka, że ona we mnie wierzy, a to więcej dla mnie znaczy niż cały szmal, który mógłbym od pani dostać, księżniczko.

- Ostrzegam cię!

- Nie, to ja panią ostrzegam. Lepiej niech pani uważa, jak się pani zwraca do przyszłego szwagra, albo mogę na dobre zabrać pani młodszą siostrzyczkę.

Przez długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy, wreszcie się odezwała:

- Jesteś głupcem, Stuart. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła do samochodu.

Wyjeżdżając z podwórka, widziała we wstecznym lusterku jego odbicie. Stał na środku drogi i patrzył, jak odjeżdża, bardzo pewny siebie. Kawałek dalej dróżka wiodąca do chaty nieco się rozszerzała. Tam właśnie Charlie Rainwater czekał w swojej furgonetce, razem z sześcioma innymi pracownikami farmy. Hattie zatrzymała się przy samochodzie.

- Nie posłuchał, Charlie. - To było wszystko, co powiedziała.

- Tak się domyśliłem, panno Hattie. - Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik powoli zbudził się do życia. - Przekonywanie Stuarta, to jak gadanie do osła: żeby w ogóle chciał słuchać, najpierw trzeba zwrócić jego uwagę.

Wrzucił bieg i pojazd potoczył się po koleistej dróżce. Hattie czekała w samochodzie, słuchając smutnych westchnień wiatru w koronach drzew. Piętnaście minut? Dwadzieścia? Nie była pewna, ile czasu minęło, zanim usłyszała turkot powracającej furgonetki.

Charlie podjechał i zatrzymał się obok niej. Miał rozciętą wargę i spuchnięty, posiniaczony policzek, ale jego twarz rozświetlał szeroki uśmiech.

- Nie mógł zbyt wiele powiedzieć, jak żeśmy odjeżdżali, panno Hattie, ale

mogę panią zapewnić, że zrozumiał.

Kiedy Hattie wróciła tego dnia do Morgan's Walk, o niczym nie wspominała Elizabeth i zajęła się swoimi zwykłymi obowiązkami. Późnym popołudniem do Elizabeth zadzwoniła jedna z koleżanek. Ring Stuart przekonał Sally Evans, żeby zadzwoniła do Elizabeth i przekazała jej wiadomość. Niedługo po północy Elizabeth wyslizgnęła się z domu i spotkała ze Stuartem. Hattie dopiero rano odkryła, że siostry nie ma w domu. Szukała, ale nie znalazła ani jej, ani Stuarta. Następnego dnia Elizabeth zadzwoniła, by poinformować ją, że się pobrali, i zapytać, czy mogą wrócić do domu, do Morgan's Walk.

- Możesz wrócić do domu, kiedy tylko chcesz, Elizabeth, ale bez niego. Żaden Stuart nie będzie nocował pod tym dachem.

- W takim razie żadne z nas nie może przyjechać, ponieważ ja też nazywam się teraz Stuart.

Minęły dwa miesiące, dwa smutne i strasznie samotne miesiące dla Hattie, osaczonej wspomnieniami o Elizabeth. Nie podjęła żadnej próby skontaktowania się z nią, pewna, że siostra z czasem otrzeźwieje i zobaczy, jak fatalny błąd popełniła. Potem zadzwonił Ring Stuart i poinformował ją, że Elizabeth jest chora

Stery brudnych naczyń z porozmazywanym jedzeniem zalegały w całej kuchni. Puste butelki po piwie wysypywały się z kosza na śmieci i stały przy każdym krześle i każdej wypełnionej niedopałkami popielniczce w brudnej chałupie. Na myśl o tym, że jej Elizabeth mieszka w tym wypełnionym brudem i zarazkami pomieszczeniu, Hattie robiło się słabo. Szła za Ringiem obok korytarzem do jednej z dalszych sypialni.

W sypialni stąpała po brudnych ubraniach porozrzucanych po podłodze.



Sprężyny w łóżku wydały jęk protestu pod ciężarem Ringa Stuarta, który usiadł na samym brzegu i wziął za rękę Elizabeth.

- Kochanie, przyszła Hattie.

Zatrzymała się przy łóżku, walcząc z gorzkimi łzami, napływającymi jej do oczu na widok mizernej twarzyczki Elizabeth, tak bladej jak poduszka, na której spoczywała.

- To chlew. Jak możesz żyć w takim brudzie?

- Przepraszam, wiem, że jest bałagan. - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Nie czułam się dobrze ostatnio, a...

- A on jest zbyt leniwy. - Hattie rzuciła pogardliwe oskarżenie w kierunku Stuarta.

- Hattie, to nie jest męskie zajęcie - odparła Elizabeth łagodnie.

- Nigdy nie sądziłam, że jest mężczyzną, a teraz, kiedy widzę, jak się tobą zajmuje, wiem, że nim na pewno nie jest. - Hattie podeszła do łóżka i położyła wierzch dłoni na policzku Elizabeth, sprawdzając, czy nie ma temperatury. Zupełnie zignorowała spojrzenie, które przesłał jej Stuart.

- Jesteś niesprawiedliwa, Hattie - zaprotestowała Elizabeth. - Ring starał się, naprawdę się starał. Ale nie może pracować i jednocześnie się mną zajmować.

- Widzę właśnie, jak się tobą zajmował - mruknęła zjadliwie, nie mogąc powstrzymać wściekłości, że jej Elizabeth jest zmuszona mieszkać w takich okropnych warunkach. - Czy widział cię już lekarz?

- Wczoraj. - Elizabeth chwyciła siostrę za rękę i słabo próbowała ją przytrzymać. Uśmiech jasno rozświetlił jej twarz. - Hattie, będziemy mieli dziecko. Tak naprawdę nie jestem wcale chora. Jestem w ciąży.

Przez kilka długich chwil Hattie wpatrywała się w dziewczynkę, którą opiekowała się od urodzenia, czując wewnętrzną odrazę na myśl o tym, że jej

siostra będzie miała dziecko poczęte ze Stuartem. Chciała ją skrzyknąć i zapytać, czy zdaje sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji tego, co zrobiła. Ale popatrzyła na Stuartha i rzuciła:

- Chcę z tobą porozmawiać. Natychmiast!

Odwróciła się na pięcie i wypadła z sypialni. Przekroczywszy próg pokoju gościnnego, zawołała:

- Zabieram ją dzisiaj z tej nory, którą nazywasz domem.

- Ona nie pójdzie beze mnie, księżniczko - odparował pewnie. Hattie lekko uniosła głowę, przyglądając mu się zimno. - Wygląda na to, że mój tatuś cały czas miał rację, nieprawdaż? Stuart będzie właścicielem Morgan's Walk.

- Nie ty. Nigdy nie będzie twoje! - krzyknęła.

- Ale mojego syna.

- Jeśli Bóg zechce, dziecko może wcale nie wydać pierwszego tchnienia.

Ale jeśli Elizabeth poroni... lepiej się módl, żeby przeżyła.

- Niech cię piekło pochłonie, ja ją kocham!

- Kochasz ją naprawdę? Czy po prostu jest ci wygodnie ją kochać?

- Kocham ją - upierał się ze złością.

- Ale nie na tyle, żeby z niej zrezygnować. Nie na tyle, żeby zrobić to, co jest dla niej najlepsze. Specjalnie zrobiłeś jej dziecko. Wiedziałeś, jak bardzo delikatnego jest zdrowia, ale naraziłeś jej życie.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Lepiej żeby tak było, Stuart. Bo inaczej odpowiesz mi za to.

Choć większość swojej ciąży Elizabeth spędziła w łóżku, donosiła płód do końca i wydała na świat zupełnie zdrowego i silnego chłopca. Lecz dla niej rozpoczęła się ciężka próba. Wraz z upływem czasu stawała się coraz słabsza. Pierwszą diagnozą była anemia, ale kiedy leczenie nie skutkowało,

przyjęto ją do szpitala.

Po powrocie z konsultacji z lekarzem, Hattie zastała Ringa w bibliotece, z nogami na biurku i cygarem w zębach; błękitna smużka dymu unosiła się nad jego głową.

- Próbujesz, jak to jest zarządzać Morgan's Walk? Jeśli tak, to marnujesz swój czas. Nigdy się tego nie dowiesz.

Nie zmieniając swobodnej pozy, uśmiechnął się do niej poprzez smugę dymu.

- Skąd ta pewność, księżniczko. Koniec końców nie będziesz przecież żyła wiecznie.

- Przysięgam, że prędzej ujrzę cię w piekle, niż pozwolę, żeby jakiś Stuart miał prawo zajmować miejsce za tym biurkiem. A teraz wynoś się z mojego krzesła.

Zsunął nogi z blatu i pochylił głowę w geście udanego uszanowania, wolno wstając z miejsca.

- Zwracam ci twój tron.

- Prawdopodobnie wcale cię to nie obchodzi, ale przyszły właśnie wyniki testów.

Z niechęcią zauważyła, że w jego oczach pojawiła się troska.

- Jak ona się miewa?

Zimno, bez śladu jakiegokolwiek emocji, Hattie oświadczyła:

- Twoja żona ma białaczkę.

Na jej oczach, zaszokowany Stuart osunął się zemdłony na ziemię.

- Biedna, kochana Elizabeth - wyszeptała, patrząc na dziewczynę z fotografii w srebrnych ramkach. Potem powoli cofnęła rękę i podniosła się z fotela. Samotność starego domu coraz bardziej jej doskwierała, a do tego do-

chodziło zmęczenie długą walką. Tym razem mocno wsparła się na lasce i ruszyła przez pokój w kierunku wiszącego nad kominkiem portretu.

- Żałuję tylko jednej rzeczy w moim życiu: że powstrzymałam ich po tym, jak sprawili mu to tęgie lanie. Powinnam kazać go zabić. - Pochyliła głowę. - To wszystko moja wina. Elizabeth nigdy nie była winna. Nie wiedziała, co robi, w przeciwieństwie do mnie. Powinnam była wtedy położyć temu kres.

## 12

Poranne słońce zaglądało przez przyciemnione szyby ostatniego piętra wieżowca Stuarta, oświetlając swymi załamanyymi promieniami grupę ludzi zebranych dokoła owalnego stołu konferencyjnego w pokoju dyrektora. Drobnym mężczyzną o wyglądzie cherubina i łagodnych oczach spaniela właśnie zabrął głos. Jego zwykła małowówność zniknęła, kiedy referował sprawy z dziedziny, w której był uznanym ekspertem. Wielu uważało go za jednego z najlepszych, jeśli nie najlepszego w kraju inżyniera lądowego.

- Kiedy zatwierdzałem te wstępne plany zapory u Zorinsky'ego w Federalnym Urzędzie ds. Inwestycji Budowlanych, znalazł problem tylko w jednym miejscu. - Fred Garver przerzucał kartki projektu rozłożonego na wysokiej sztaludze, aż znalazł tę właściwą. Następnie przerzucił z powrotem wszystkie te, które ją zakrywały, żeby zaprezentować przekrój proponowanej zapory. - Wydawało mu się, że warstwa betonu powinna być około metra głębiej, żeby wyeliminować jakąkolwiek możliwość podmycia zapory. Jeśli chcemy to zrobić, musimy brać pod uwagę dodatkowe wydatki, w sumie około pół miliona dolarów albo więcej. - Przerwał na chwilę i rzucił szybkie spojrzenie na Chance'a i Sama Webera. - Bez próbnych wierceń na miejscu nie mogę być pewny, na co się natkniemy, kiedy rozpoczniemy prace ziemne. Nie wiem, czy natrafimy na skały, piasek, glinę czy może coś

jeszcze. Wszystkie liczby dotyczące budowy, które wam przedstawiłem, podane są w wielkim przybliżeniu. Chciałbym to jeszcze raz podkreślić: w wielkim przybliżeniu.

Sam spodziewał się, że Chance potwierdzi jakoś tę informację. Kiedy tego nie zrobił, spojrzął w jego stronę i lekko zmarszczył brwi, widząc Chance'a zajętego gryzmoleniem czegoś w opartym na kolanach notatniku. Przez większą część spotkania był czymś całkowicie zaabsorbowany - spotkania, które sam zwołał, żeby zorientować się, jak zaawansowane są prace Garvera. Nie zadał jednak żadnego pytania, nie wykazał najmniejszego zainteresowania szkicami inżyniera. To było do niego niepodobne. Zupełnie niepodobne.

- Tak, rozumiemy to, Fred - wtrącił Sam, żeby zapęłnić milczenie.

- W porządku. - Inżynier skierował swoją uwagę z powrotem na przekrój tamy. - Osobiście nie sądzę, by głębsze umieszczanie warstwy betonu było konieczne. Lecz jeśli przyjmiemy zalecenie Zorinsky'ego prawdopodobnie zwiększymy znacznie nasze szanse na szybkie zatwierdzenie projektu przez Urząd. Sądzę, że możemy to rozegrać na dwa sposoby, albo przyjąć tę zmianę teraz, albo poczekać, aż będziemy mogli zrobić próbne wiercenia, żeby dowiedzieć się, na czym stoimy. Kiedy otrzymasz akty własności tego terenu, żebyśmy mogli tam wejść i rozpocząć wstępne prace?

Sam znowu popatrzył na Chance'a z nadzieją, że odpowie na to pytanie, ale nic nie wskazywało na to, że w ogóle je usłyszał.

- Nie możemy jeszcze podać żadnego terminu. - Nie uważał za właściwe, żeby to on właśnie miał przekazywać informację, że w zaistniałej sytuacji Chance może wcale nie otrzymać tytułu własności.

- Chcesz, żebyśmy się trochę wstrzymali, czy mamy wprowadzić teraz tę zmianę?

Miał nadzieję, że Chance wreszcie się odezwie. Normalnie nie podejmował tego rodzaju decyzji, nie w początkowym stadium projektu. Patrząc na Molly usadowioną skromnie, w pewnej odległości od stołu, Sam zastanawiał się, jak z tego wybrnie. Molly zrobiła lekki grymas i wzruszyła ramionami, bo nie była w stanie mu pomóc. Niespokojnie poruszył się na krześle i nerwowo odchrząknął. Chance jakby się ocknął na ten dźwięk i na chwilę odwrócił rozkojarzone oczy od leżącego przed nim notatnika.

Lecz Sam miał wątpliwości, czy Chance zna pytanie.

- Daj nam parę dni, Fred, żebyśmy mogli się nad tym zastanowić. Potem powiadomimy cię o naszej decyzji - zaproponował, starając się zatuszować nieuwagę Chance'a.

- To nie będzie konieczne - sprzeciwił się Chance. - Wprowadź te zmiany do projektu. Chcę ruszyć natychmiast, gdy nadejdzie właściwy moment. Nie chcę, żeby cokolwiek nas wstrzymywało. - Położył notatnik na stole i podniósł się z krzesła. - Zostaw mi komplet planów, żebym mógł je później prze-studiować i przyślij nam kopie wszystkich zmian. Będziemy w kontakcie.

Pchany jakimś wewnętrznym niepokojem wstał od stołu i podszedł do okna. Jego odwrócone plecy w sposób nagły i stanowczy położyły kres spotkaniu.

Sam wymienił z Molly jeszcze jedno zaniepokojone spojrzenie, potem pomógł Fredowi Garverowi i jego młodemu współpracownikowi pozbierać materiały i upewnił się, że pełen komplet wstępnych szkiców pozostał w biurze. Fred zasklepił się już w swojej małomówności, więc mało rozmawiali, kiedy Sam odprowadzał go do drzwi. Nie padł też żaden komentarz na temat rozkojarzenia Chance'a, ale Sam poczuł się zobowiązany do paru słów w jego obronie:

- Nie zwracaj uwagi na Chance'a. Ostatnio wiele się na niego zważyło.

- Tak też sobie pomyślałem. - Skinął głową Fred i rzucił przez ramię krótkie spojrzenie na Chance'a. Kiedy znowu spojrzął na Sama, uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Wszyscy już wyszli i Sam stojąc przy drzwiach zawahał się przez moment. Potem jednak wrócił do stołu konferencyjnego. Chance ciągle jeszcze wyglądał przez okno z rękoma niedbale włożonymi do kieszeni spodni. Molly cicho pozbierała brudne filiżanki po kawie i ustawiła je na tacy.

Sam wziął ze stołu zwinięte w rulon projekty i obrócił je w dłoniach.

- Chcesz, żebym ci je tu zostawił, czy mam je położyć z całą resztą na stole kreślarskim w moim biurze? - Pytanie pozostało bez odpowiedzi i w ciszy, która zaległa, jego troska i dezorientacja przerodziły się w irytację: - Do jasnej cholery, Chance, przyznaj, że nie słyszałeś ani jednego słowa z tego, co się tu przez ostatnią godzinę mówiło!

- Nie, nie słyszał - zaczęła z naciskiem Molly, kiedy Chance odwrócił się nieco i przesłał im zatroskane spojrzenie. - Smarował coś w tym swoim notesie. Kiedy zaczyna to robić, możesz być pewny, że nic nie słyszy.

- Przepraszam - Chance zasepił się, wciąż roztargniony. - Chyba rzeczywiście jestem myślami gdzie indziej.

- Wielki Boże, to dopiero lapidarność - mruknął Sam i pokręcił z irytacją głową. - Jesteś myślami gdzie indziej, od kiedy wróciłeś z San Francisco. Co tam się takiego wydarzyło?

- To ta Bennett, prawda? - zgadywała Molly, wpatrując się w niego z rosnącą ciekawością. - Ta, której posłałeś te wszystkie orchidee.

Chance przez chwilę w zamyśleniu patrzył jej w oczy, a jego milczenie zdawało się potwierdzać to, co powiedziała. Potem znów odwrócił się do okna.

- Po prostu może się tak zdarzyć, Molly, że twoje życzenie w końcu się

spełni.

Zaszokowana, nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Z niedowierzaniem zapytała:

- Czy chciałeś przez to powiedzieć, że zamierzasz się z nią ożenić?

Tak jak Molly, Sam wpatrywał się w Chance'a, nie do końca przekonany, czy rzeczywiście chciał coś takiego zasugerować. Chance szybko odwrócił się od okna i rzucił każdemu z nich przelotne spojrzenie. Na jego ustach igrał wymuszony uśmiech.

- Przyszło mi to do głowy - przyznał, jakby sam nieco tym zdziwiony. - Czy w tym dzbanku zostało jeszcze trochę kawy?

- Ch... chyba nie.

Sam widział, że jeszcze chwila, a Molly eksploduje, dusząc w sobie pytania o kobietę, której udało się zdobyć serce człowieka, którego kochała jak własnego syna. Zresztą on sam miał też ochotę pytać. Od kiedy znał Chance'a, nie pamiętał, żeby kiedykolwiek poważnie rozważał ożenek. Zwykł mawiać, że jest ożeniony ze swoją pracą, że firma jest jedyną kobietą, jakiej potrzebuje. Samowi zawsze się wydawało, że jeśli ktoś mógłby doprowadzić Chance'a do ołtarza, byłaby to Lucianna. Ich związek trwał już dobre piętnaście lat. Nic nie mogło trwać tak długo bez silnego zaangażowania obu stron. A więc, kim była ta cała Bennett?

- Przynieś nam dzbanek świeżej kawy, Molly. Jest parę rzeczy, o których chciałbym porozmawiać z Samem. I przynieś mi notatki ze spotkania z Garverem, jak tylko je przepiszesz. - Zdecydowany ton głosu przypominał już nieco dawnego Chance'a: najpierw interesy, a wszystko pozostałe na dalszym planie.

Molly także to zauważyła i niechętnie powściągnęła ciekawość.

- Już się robi.



Kiedy wyszła z gabinetu, zabierając ze sobą tacę i notatki, Chance zwrócił się do Sama i wskazał na zwinięte w rulon plany w jego rękach.

- Czy to jest komplet, który Garver nam zostawił?

- Tak - potwierdził Sam, nie przygotowany do tak nagłej zmiany tematu. - Chance, czy minutę temu mówiłeś serio, o tej dziewczynie z San Francisco?

- Kobiecie - poprawił go. - Kobiecie, Sam. Inteligentnej, wrażliwej, ciepłej... - przerwał, a jego twarz trochę posmutniała. - Nie mogę przestać o niej myśleć. - Znowu lekko potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Żadna kobieta do tej pory nie zaprzętała mnie do tego stopnia, żeby kolidowało to z moimi interesami.

- Zamierzasz się z nią ożenić?

- Nie wiem. - Niechętnie wybiegał myślami tak daleko. - Wiem tylko, że nie potrafię przestać myśleć, jak było między nami. Nie tylko w łóżku... po prostu, kiedy byliśmy razem. - Teraz potrząsnął głową bardziej zdecydowanie, tak jakby starał się odpędzić wspomnienia, przynajmniej na jakiś czas. - To nas nigdzie nie zaprowadzi. Rozwiń mapę terenu. Chcę zobaczyć, gdzie według Garvera będzie przebiegała linia brzegu, kiedy tama uformuje jezioro.

Sam rozpostarł na stole plan ze szkicem okolicy, przyciskając jego końce cukiernicą i dzbankiem na śmietankę, które Molly zostawiła na stole.

- Nie różni się bardzo od jego poprzedniego szkicu, może z wyjątkiem tego fragmentu w pomocnej części. Linia wody nie podchodzi tak wysoko tego urwiska, jak to początkowo ocenił. Poza tym wszystko jest tak samo jak poprzednio: Morgan's Walk prawie w całości znajduje się pod wodą. - Razem z domem, ale tego Sam nie powiedział.

- Okolice tego urwiska nie powinny mieć istotnego wpływu na ogólny plan przedsięwzięcia Delaney'a - zauważył Chance, ledwo podnosząc głowę nad

planów, kiedy Molly powtórnie weszła do gabinetu, niosąc termos ze świeżo zaparzoną kawą. - Mimo to lepiej zrób kopię tego planu i mu ją prześlij - powiedział, mając na myśli architekta i projektanta przestrzeni planowanego kompleksu wypoczynkowego. Potem jego palec zatrzymał się na północno-zachodnim rogu sztucznego jeziora. - Na pewno będzie nam potrzebna ta posiadłość Fergusonów. Jaki jest jej status prawny? Zdecydowali się już na sprzedaż?

- Upierają się, że nie sprzedadzą, za żadną cenę. W tej chwili gospodaruje za nich syn. W przyszłym roku zamierzają się przenieść do miasta i przekazać mu całą farmę. Taka sama sytuacja jest na farmie MacAndrewsów.

- Kto jest właścicielem ich długów hipotecznych?

- Jedna z firm oszczędnościowych. Nie pamiętam w tej chwili która. Będę musiał sprawdzić w sprawozdaniach.

- Wykup te długi.

- Chance, to są prawdopodobnie sumy sięgające pół miliona dolarów - zaprotestował Sam.

- Te działki są nam potrzebne. Musielibyśmy zapłacić jeszcze więcej, gdybyśmy kupowali bezpośrednio od nich.

- Nie o to chodzi. - Sam się zawahał. - Chance, musisz spojrzeć na to i realistycznie. W tej chwili, tak jak sprawy się mają, nie możemy być nawet pewni, że dostaniesz Morgan's Walk. A bez tego nie możemy wznieść zapory. A bez zapory nie mamy jeziora, a bez jeziora... Trzeba powiedzieć sobie prawdę; bez Morgan's Walk to przedsięwzięcie nie ma racji bytu. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy na przylegające ziemie, plany zagospodarowania terenu i projekty. I wszystko to może pójść na marne.

- Dostaniemy Morgan's Walk. Jak nie w ten, to w inny sposób.

- Wiem, że wciąż to powtarzasz. I prawdopodobnie masz rację. Ale czy nie

wydaje ci się, że rozsądniej by było poczekać, aż Matt odnajdzie tego nowego spadkobiercę Hattie, zanim zainwestujemy dalszą gotówkę? W tej chwili mamy tu utopioną górę pieniędzy.

- Widzę, że znowu robisz się ostrożny moim kosztem - zażartował Chance.

- Do diabła, ktoś musi być.

- Wykup te długi, Sam, i przestań się martwić o Morgan's Walk.

- On mi mówi, żebym się przestał martwić - mruknął Sam, spoglądając na Molly i kręcąc głową.

- Jeśli Chance mówi, żebyś się nie martwił, to nie powinieneś. - Molly była gotowa rozwinąć ten temat, ale przeszkodził jej długi dzwonek telefonu. Odruchowo sięgnęła po słuchawkę aparatu, który stał na kredensie z różanego drzewa, obok stołu.

- Biuro pana Stuarta - powiedziała w lapidarnym, profesjonalnym stylu. Potem jej oczy zapaliły się i z wielkim ożywieniem spojrzała na Chance'a. Tak, jest tutaj. Chwileczkę. - Nacisnęła przełącznik w aparacie i wyciągnęła słuchawkę w stronę Chance'a - To Maxine. Mówi, że musi z tobą porozmawiać.

Na dźwięk imienia gospodyni z Morgan's Walk, Chance gwałtownie podniósł głowę znad stołu. Dwoma szybkimi krokami przemierzył odległość dzielącą go od Molly i wziął słuchawkę.

- Witaj Max. Jak się masz?

- Szczerze? Są takie momenty, że mam ochotę ją udusić. Nie można z nią ostatnio wytrzymać.

- Co się stało? - Wiedział, że musiało się coś stać, inaczej nie ryzykowałyby telefonu.

- Usłyszałam rozmowę telefoniczną, którą prowadziła z jakąś kobietą, do której zwracała się Margaret Rose. To musi być ta, ponieważ mówiła coś o

przesłaniu kopii dokumentów, które dowodzą ich pokrewieństwa.

- Po prostu Margaret Rose. Tylko tyle?

- Niestety. - W słuchawce dało się słyszeć westchnienie. - Jeżeli nawet użyła nazwiska, to ja go nie słyszałam.

- Kiedy to było?

- Ostatniej niedzieli. Zadzwoiłabym wcześniej, ale ma mnie na oku. Za każdym razem, kiedy przychodzę do niej z czymś, co trzeba załatwić w mieście, wysyła kogoś innego. W końcu musiałam połamać swoje okulary. I właśnie tu jestem, naprawiam je u optyka.

- Przyjdzie taki czas, że ci to wszystko wynagrodzę, Maxine - obiecał.

- To nie ma znaczenia, czy to zrobisz. Nie robię tego dla żadnej nagrody, Chance. Robię to, ponieważ Morgan's Walk po jej śmierci należy się tobie, a nie jakiejś obcej kobiecie z Kalifornii. Tego pragnęłaby twoja matka, niech odpoczywa w spokoju. Hattie robi to z podłości i mściwości. To prawda, że zawsze taka była, ale ostatnio jeszcze jej się pogorszyło.

- Jak ona się miewa?

- Cały czas ma bóle. Stara się tego nie okazywać, ale ja widzę. Chyba zapomniała, że byłam dyplomowaną pielęgniarzką, zanim przyjechałam do posiadłości gospodyni. Wiem, przez co przechodzi i czasami jest mi jej szkoda. Jestem przekonana, że jest taka okropna, w połowie dlatego, że szaleje z bólu. Zachowuje się jak śmiertelnie zranione zwierzę, które koniecznie chce zabrać coś ze sobą, kiedy przyjdzie mu odejść.

- Z twoją pomocą może jej się nie udać.

- Mam nadzieję.

- Masz coś jeszcze?

- Nnnie. - Przeciągnęła słowo, jakby nie była do końca pewna - Odbyła jeszcze jedną rozmowę, po tym jak rozmawiała z tą Margaret Rose. Prawdo-

podobnie z Benem Canonem, ale nie jestem tego pewna.

- Dlaczego sądzisz, że to był Canon?

- Ponieważ później, tego popołudnia, przyjechał do nas. Kiedy otworzyłam mu drzwi, powiedział, że Hattie na niego czeka.

- Nie wiesz, po co przyjechał?

Nastąpiła krótka przerwa, zanim odpowiedziała:

- Wydaje mi się, że podpisywała nowy testament. Wiem, że zawołali do biblioteki starego Charliego Rainwatera i Shorty'ego Thompsona, prawdopodobnie na świadków. Pytałam ich później, ale ci dwaj są takimi milczkami, że poza chrząknięciami nie mogłam nic z nich wydobyć.

- Nie mogę powiedzieć, żebym był zdziwiony - przyznał ponuro Chance. - Chyba jedynie tym, że nie sporządziła nowego testamentu natychmiast, jak się dowiedziała o tej Margaret Rose.

- Wiedziała, że się tego domyślisz. - Znowu przerwała na moment. - Lepiej już skończmy tę rozmowę. Wysłała ze mną Charliego. W każdej chwili może tu wejść, a wolałabym, żeby nie widział, jak rozmawiam przez telefon.

- Uważaj na siebie, Max, i dzięki za informacje.

- Wiesz, że pomogę ci, jak tylko będę mogła. Trzymaj się, Chance.

- Do widzenia. - Odłożył słuchawkę.

- Hattie sporządziła nowy testament, prawda? - spytał Sam grobowym głosem.

- Tak. - Chance odwrócił się, popatrzył na niego w zamyśleniu, potem rzucił szybkie spojrzenie Molly. - Połącz mnie z Mattem Sawyerem. - A potem powoli dodał: - Przynajmniej mamy dla niego pierwsze imiona. Zastanawiam się, jak wiele kobiet w okolicach San Francisco nazywa się Margaret Rose i jednocześnie mieszka w rezydencji. Komputerowy przegląd danych

towarzystwa telekomunikacyjnego powinien dostarczyć nam taką listę.

### 13

Kopie metryk urodzenia, zaświadczeń o chrzcie, aktów małżeńskich, rejestrów kościelnych, klepsydr, zaświadczeń o zgonie - wszystko tu było, rozłożone na blacie jej biurka Między jednym a drugim kęsem sałatki z frutti di mare, którą dostarczono z pobliskich delikatesów, Flame porównywała nazwiska z dokumentów z tymi, które widniały na załączonym przez Hattie drzewie genealogicznym. Choć nie miała czasu, by sprawdzić każde imię, dowody wydawały się być nie do podważenia; ona i Hattie Morgan, choć daleko, były ze sobą spokrewnione.

Ktoś zastukał do drzwi i odwrócił jej uwagę od papierów na biurku:

- Tak?

Prawie natychmiast drzwi się otworzyły i weszła jasnowłosa Debbie Connors, bardzo niespokojna i ożywiona:

- Przepraszam cię, Flame, ale pan Powell czeka w poczekalni. Chce się z tobą zobaczyć. Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć - wyrzucała z siebie w pośpiechu.

- Jest tutaj? - zapytała Flame, równie zdumiona jak jej asystentka.

- Tak, ja... - Drzwi zaczęły się otwierać, przesuając Debbie na bok. Dziewczyna usunęła się z przejścia i do pokoju wkroczył Malcolm Powell.

Flame podniosła się z krzesła, nie wiedząc, co myśleć o tej niespodziewanej wizycie. Z pewnością przychodząc tutaj, musiał zdawać sobie sprawę z tego, że to góra przyszła do Mahometa.

- Witaj Malcolmie - pozdrowiła go i skłoniła lekko głowę w chłodnym ukłonie. - Powinieneś był dać mi znać, że się tu wybierasz.

Zatrzymał się w połowie pokoju. Szyty na miarę ciemnoszary garnitur, w

tym samym stalowoszarym odcieniu co jego włosy, wspaniale leżał na potężnych ramionach.

- Widzę, że ci przeszkodziłem w późnym obiedzie - zauważył, zerkając na napoczętą sałatkę na jej biurku.

- Właśnie skończyłam. - Prawdę mówiąc, na jego widok straciła apetyt. Wzięła z biurka pojemnik z sałatką, plastikowe sztućce i papierową chusteczkę i wrzuciła wszystko do kosza na śmieci. Kiedy odwróciła się z powrotem do Malcolma, zauważyła pytające spojrzenie Debbie.

- To wszystko, Debbie. Daj mi znać, kiedy przyjedzie Tim Herrington.

- Natychmiast jak się pojawi - obiecała i szybko wybiegła, tym razem zamykając dokładnie za sobą drzwi.

- Pierwszy raz jestem w twoim biurze - zauważył Malcolm, rozglądając się z zainteresowaniem. Jego spojrzenie przesunęło się po biało lakierowanym stole z krzesłami obitymi grubo tkanym materiałem w modrym kolorze, zatrzymało się na chwilę na abstrakcyjnym obrazie, który wisiał nad biurkiem, i rzeźbie w stylu art deco stojącej na bocznym stoliku, potem przeniósł się na komplet poduszek z koronki w geometryczne wzory, leżących na kanapie.

- Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć, Malcolmie? - Kiedy zbierała z biurka dokumenty i wkładała je do dużej szarej koperty, przychodził jej do głowy tylko jeden powód tej niespodziewanej wizyty.

Malcolm podszedł do okna.

- Miałem zamiar zadzwonić i przysłać po ciebie Artura, ale zmieniłem zdanie. - Stał z rękami założonymi z tyłu, w zamyślanej pozie. - Miałem wrażenie, że po naszym wtorkowym obiedzie nie odebrałaś dobrze takiego wezwania. Przyjechałabyś, ale z przeświadczeniem, że nie masz innego wyjścia. Czulaś się urażona, a nie tego od ciebie oczekuję.

Flame bardzo ostrożnie pominęła milczeniem kwestię, czego to Malcolm od

niej oczekuje. Znała odpowiedź. Pozostała więc przy biurku, czekając na dalszy ciąg, a w jej wnętrzu rosło napięcie i powoli kipiał gniew.

- Sądzę, że powinnaś znać mój pogląd. Chcę, żebyś prowadziła moje sprawy, jeśli tylko będziesz się nimi odpowiednio zajmowała. Nie zamierzam używać tego jako broni przeciw tobie.

Sprowokowana nutą łaskawości, którą usłyszała w jego głosie, rzuciła wyzywająco:

- Czy spodziewasz się podziękowania?

Obrócił się lekko, żeby na nią spojrzeć:

- Należałoby mi się - powiedział i wbił w nią świdrujące spojrzenie. - We wtorek użyłaś bardzo odważnych słów, ale to były tylko słowa. Wiem, że tego nie potwierdzisz, ale mógłbym użyć tego argumentu, żeby dostać to, czego chcę.

- Obyś się nie przeliczył - odcięła się.

Malcolm tylko się uśmiechnął.

- Nie wydaje mi się, żebyś zdawała sobie sprawę, jak bardzo jesteś podatna na tego rodzaju naciski. - Wzruszył ramionami. - Ale nie użyję tego. Zwycięstwo na takich warunkach byłoby rzeczywiście mało warte. Nie chcę przez to powiedzieć, że się poddam - dodał szybko, przesyłając subtelne ostrzeżenie. - Chcę tylko powiedzieć, że kiedy do mnie przyjdiesz, zrobisz to z własnej nieprzymuszonej woli.

Ignorując ostatnie zdanie, Flame agresywnie odrzuciła głowę i zapytała stanowczym głosem:

- Czy to oznacza, że odwołasz swojego szpiega?

- Słucham? - Patrzył jej teraz prosto w oczy; zmarszczone brwi złączyły się, tworząc nad oczami krzaczastą linię.

- Zdumiewasz mnie, Malcolmie - burknęła z sarkazmem.



- O czym ty mówisz?

- Mówię o wynajętym przez ciebie człowieku, który od tygodnia mnie śledzi - oświadczyła z powstrzymywanym gniewem.

- Nie wynająłem nikogo, żeby cię śledził. Dlaczego miałbym to robić?

Zarówno jego zaprzeczenie, jak i pełen zaskoczenia wygląd sprawiały bardzo naturalne wrażenie. Flame zasepiła się.

- Albo masz talent aktorski, który dotąd ukrywałeś, albo mówisz prawdę.

- Nie kłamię - oświadczył. - Kto cię śledzi i dlaczego?

Zawahała się, wciąż badawczo mu się przyglądając.

- Jakiś facet. Pierwszy raz zobaczyłam go na przyjęciu u DeBorgów, wydanym na cześć Lucianny Colton. To był kelner, koło pięćdziesiątki, z kasztanowymi włosami i dużym, orlim nosem. Jeździ ciemnozielonym wozem, starym modelem forda - Nic w jego twarzy nie zdradzało, że ten opis cokolwiek mu mówił. - Dwa razy dostarczył mi kartki z wiadomością, żebym się trzymała z daleka od Chance'a Stuarta. Sądziłam, że to ty mi je przesyłasz. Ale to nie ty, prawda?

- Nie. - Wbił w nią ostry wzrok. - Czy często widzisz się ze Stuartem?

- Kiedy jest w mieście, owszem - potwierdziła.

- Traktujesz to poważnie? - W sposób widoczny napięły się mięśnie jego szczęki.

Czekała, aż pojawi się w niej jakaś wątpliwość, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Bardzo poważnie - oświadczyła, zdumiona pełnym optymizmem i zadowolenia uczuciem, które ujawniło się wraz z tym stwierdzeniem.

Malcolm przez chwilę nic nie mówił, potem nagle się roześmiał.

- Mój Boże, nie sądziłem, że mogę być jeszcze zazdrosny. - Zasepił się nieco, przyglądając się jej w zamyśleniu. - Nie wiem, dlaczego tak mnie to

zaskoczyło. Z tobą zawsze jest inaczej. Być może na samym początku pociągała mnie pogoń i podbój, ale to się już dawno zmieniło.

- Przestań, Malcolmie - ostrzegła go.

Uśmiechnął się na widok błysków gniewu w jej oczach.

- Żadna kobieta nie robiła na mnie takiego wrażenia, wliczając w to moją żonę.

- Nic mnie to nie obchodzi, Malcolmie. Twoje uczucia są problemem, z którym sam będziesz musiał sobie poradzić. Ja nie mam z tym nic wspólnego. I nie zamierzam cię z nich leczyć. - Walczyła ze sobą, żeby się opanować i nie podnosić głosu.

Malcolm opuścił swoje miejsce przy oknie i podszedł do biurka. Emanowała z niego siła i to przypomniało Flame, że musi się z nim liczyć. Odważnie spojrzała mu w twarz, świadoma zaborczego wyrazu w jego oczach błędzących po jej ciele.

- Stuart to nie jest mężczyzna dla ciebie - oświadczył.

Oburzona tą arogancką uwagą, odcięła się ostro:

- Sama o tym zdecyduję!

- Kiedy o nim mówisz, błyszczą ci oczy. Ale to minie. Przyjdiesz do mnie... w swoim czasie.

Wstrząśnięta pewnością, jaka zabrzmiała w jego głosie, próbowała opornować:

- Zapomniałeś o jednym bardzo istotnym drobiazgu, Malcolmie. Bez względu na to, czy Chance Stuart będzie w moim życiu czy nie, moja odpowiedź dla ciebie jest ciągle taka sama: nie.

Nie był zachwycony tym, co usłyszał, ale pukanie do drzwi przeszkodziło mu w odpowiedzi. Czując rumieńce gniewu na twarzy, Flame odwróciła się, z ulgą przyjmując tę przerwę. Do pokoju wszedł Tim Herrington, szef

tutejszego oddziału agencji.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Flame - rozpoczął i na widok Malcolma zatrzymał się z udanym zdziwieniem. - Malcolm, nie wiedziałem, że tu jesteś. - Przecinając pokój, wyciągnął rękę, w geście ciepłego powitania. Za grubymi szklami w złotych oprawkach jego oczy wydawały się większe i ciemniejsze.

- Cześć Tim. Jak się masz? - niedbale przywitał go Malcolm.

- Świetnie. Po prostu świetnie. A ty? Mam nadzieję, że nie ma żadnych problemów? - Przeniósł wzrok na Flame, jakby do niej adresował tę uwagę, zaniepokojony, że ich najpoważniejszy klient może mieć jakieś kłopoty.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Malcolm.

- To dobrze. - Wyraźnie się odprężył, a z jego twarzy zniknął wymuszony uśmiech.

Jeszcze przez chwilę wymieniali jakieś ogólne uwagi na temat interesów, po czym Malcolm zakończył rozmowę:

- Musisz mi wybaczyć, Tim, ale jestem umówiony. - Popatrzył na Flame. - W przyszłym tygodniu zjemy razem obiad. Moja sekretarka zadzwoni do ciebie i powie ci dokładnie kiedy - powiedział, przyjmując za pewnik, że znajdzie dla niego czas pośród swoich rozlicznych obowiązków. I nie mylił się.

Tego wieczoru, siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, Flame raz jeszcze przejrzała przesłany przez Hattie plik dokumentów. Zatrzymała się na chwilę przy fotokopii własnej metryki urodzenia, skupiając uwagę na imionach Margaret Rose. Na jej wargach pojawił się nieśmiały uśmiech. Jej matka była jedyną osobą, która tak się do niej zwracała. Dla wszystkich innych zawsze była Flame. Ale nie dla matki. Nie dla niej.

Jej wzrok powędrował ku torebce, leżącej na blacie małego stoliczka, tuż przy krześle. Zawahała się, lecz po chwili sięgnęła do środka i wyjęła niewielką puderniczkę, która była prezentem od matki na trzynaste urodziny. Specjalna okazja wymaga specjalnych prezentów - tak zawsze mówiła matka. I ten prezent był rzeczywiście specjalny. Emaliowany wzór w stylu *cloisonne* przedstawiał dzban z bukietem róż i stokrotek. Matka wyczytała gdzieś, czy też usłyszała, że Margaret po francusku znaczy „stokrotka”. Ojciec żartował sobie co prawda, że wzór na puderniczkę powinien raczej przedstawiać świecę z dużym płomykiem, ale matce ta uwaga wcale nie wydawała się zabawna.

Pewnie matka wierzyła, że Flame wyrośnie ze swojego przezwiska. Kiedyś - nie mogła już sobie przypomnieć, kiedy dokładnie to było - matka powiedziała jej, że wybrała imiona Margaret Rose, ponieważ miały one w sobie jakąś dumę i dostojność, które jej się spodobały. Oczywiście dla Flame imiona brzmiały okropnie staromodnie i zwykle krzywiła się, gdy matka tak się do niej zwracała. Teraz już nikt tak do niej nie mówił - oczywiście oprócz Hattie Morgan.

Zadzwonił telefon.

- O wilku mowa - mruknęła Flame, sięgając po słuchawkę. Przytrzymała ją ramieniem i wsunęła puderniczkę do torebki.

- Tak, słucham.

- Flame? Tu Chance.

- Chance, co za miła niespodzianka - Przysunęła słuchawkę trochę bliżej do ucha, trzymając ją w obu rękach.

- Mam nadzieję. - Brzmienie jego głosu sugerowało, że się uśmiecha. - Mam kilka wolnych minut przed spotkaniem, więc pomyślałem sobie, że zadzwonię i sprawdzę, czy masz jakieś plany na weekend.

- Mam nadzieję, że tak. Z tobą, oczywiście. - Uśmiechnęła się, nie mogąc zachować w stosunku do niego rezerwy. - Przylecisz?
- Będę wystarczająco długo, żeby po ciebie wpaść.
- Dokąd jedziemy?
- To tajemnicą
- To nie fair - zaproponowała Flame, bardzo już zaciekawiona. - Skąd mam wiedzieć, co ze sobą wziąć? Musisz mi dać jakąś wskazówkę. Mam zapakować narty czy kostium kąpielowy?
- Kostium kąpielowy i może coś na wieczór, i jakąś kurtkę.
- To wszystko?
- Na miejscu możesz uzupełnić garderobę.
- W takim razie wezmę coś czarnego i koronkowego. - Uśmiechnęła się do słuchawki.
- Jeśli o mnie chodzi, to mogłabyś się obyć nawet bez tego. - Dorzucił sugestywnie Chance. - Wyślę po ciebie o czwartej samochód, który odbierze cię z pracy. Czy tak będzie dobrze?
- Będę gotowa.
- Ja też.

#### 14

Kiedy limuzyna wjechała na betonowe przedpole hangaru, cysterna z benzyną właśnie odjeżdżała od lśniącego białego odrzutowca Gulfstream, z charakterystycznym złotym „S” - logo Korporacji Stuarta - umieszczonym na jego kadłubie. Flame natychmiast zauważyła Chance’a, stojącego z którymś z członków załogi obok skrzydła. Odwrócił głowę, kiedy usłyszał warkot samochodu. Przez ułamek sekundy stał bez ruchu, przyglądając się zbliżającej się limuzynie, potem powiedział coś do potężnie zbudowanego mężczyzny i ruszył na powitanie.

Gdy wysiadała, już był przy drzwiczkach samochodu. Spojrzenie jego niebieskich oczu znowu zrobiło na niej głębokie wrażenie. Poczowała na ustach ciepło jego warg. Pocałował ją wolno i zmysłowo. Kiedy się wyprostował, Flame zerknęła na jego pociągłą twarz, gładką i równocześnie wyrazistą. Zastanawiała się już wcześniej, czy na jego widok zawładną nią te same emocje, czy też tydzień rozłąki coś zmienił. Wszystko dokładnie się powtórzyło. Puls znowu oszalał i wróciło to samo nieokreślone uczucie utraty tchu i podniecenia. Ale to tylko łatwa do zdefiniowania fizjologia. Trochę trudniej było nazwać silny przypływ emocji, jakby radość z powrotu do domu - uczucie, które określano mianem miłości.

Bruzdy na jego gładko wygolonych policzkach pogłębiły się w uśmiechu, choć prawie nie poruszył wargami.

- Witaj.

Zdziwiła się, jak wiele treści można zawrzeć w wypowiedzianym miękko, półgłosem, powitaniu.

- Witaj - wyszeptała. Z wielką ochotą wtuliłaby się znów w jego ramiona, lecz rzucone w bok spojrzenie Chance'a przypomniało jej, że nie są sami.

Odwracając się nieco, zobaczyła szofera, który właśnie wyjął z samochodu dwie sztuki bagażu i wręczył je drugiemu mężczyźnie w lotniczym mundurze. Był młodszy i szczuplejszy od tego pierwszego i wyglądał na Latynosa.

- Juan Angel Cordero - przedstawił go Chance, wymawiając imię z hiszpańskim akcentem. - Nazywamy go tu Johnny Angel. Jest drugim pilotem. Johnny, to jest Flame Bennett.

- Witamy na pokładzie, panno Bennett - przywitał ją bezbłędną angielszczyzną i ciepłym, pełnym uznania spojrzeniem ciemnych oczu.

- Dziękuję.

- A to nasz pierwszy pilot, Mick Donovan - powiedział Chance, kierując jej uwagę na mężczyznę, który właśnie się do nich zbliżał, tego samego, z którym rozmawiał, kiedy wjeżdżała na lotnisko. - Flame Bennett.

- Dzień dobry, kapitanie. - Zauważyła natychmiast, że nieodłącznymi elementami jego mocnej, szerokiej twarzy były spokój i pogoda. Miał ten rodzaj fizjonomii, która budziła zaufanie. Przedwczesne ślady siwizny na skroniach pogłębiały jeszcze to wrażenie.

- Dzień dobry pani. - Kąciki jego warg uniosły się w ledwo zauważalnym, powitalnym uśmiechu, kiedy łagodnie spojrzał na nią jasnoniebieskimi oczami. - Właśnie otrzymałem ostatnią prognozę pogody. Wygląda na to, że mogę pani obiecać spokojny lot.

- A dokąd? - zapytała z odnowioną ciekawością.

Zawahał się, zerkając na Chance'a i uśmiechnął się.

- Do rajy, panno Bennett, do rajy á la Stuart.

- W dalszym ciągu nie masz zamiaru powiedzieć mi, dokąd lecimy? - Przesłała Chance'owi cokolwiek oskarżające spojrzenie.

- To ma być niespodzianka - odpowiedział jej z uśmiechem, potem zwrócił się do pilota:

- Wszystko gotowe?

- Jak tylko Johnny załaduje bagaże pani Bennett, możemy wystartować w każdej chwili.

- W takim razie ruszajmy. - Położył dłoń na jej plecach i skierowali się do odrzutowca.

Kiedy Flame się odwróciła, wydało jej się, że spostrzegła mężczyznę z orlim nosem, który śledził ją od dziesięciu dni. Jeszcze raz rzuciła okiem na człowieka, który siedł w kierunku biur prywatnego towarzystwa lotniczego. Z tej odległości nie mogła być pewna, czy to ten sam facet, ale ogarnął ją

lekki niepokój. Najpierw odsuwała od siebie irytujące i dręczące myśli o tym człowieku, wmawiając sobie, że to robota Malcolma Ale to nie była prawda. Nie miała pojęcia, kto się za tym kryje. Być może nikt. San Francisco, jak wszystkie inne miasta, miało swój przydział szaleńców i przypuszczała, że ten facet może być jednym z nich. Ta możliwość była chyba jednak najbardziej przerażająca.

Kiedy wróci, będzie musiała coś z tym zrobić. Lecz nie teraz. Nie chciała, by cokolwiek lub ktokolwiek zakłócił ich wspólny weekend. Poza tym, nie była nawet pewna, czy to ten sam mężczyzna. Może po prostu ma przywidzenia i wyobraża sobie nie wiadomo co, tam, gdzie nic nie ma. Przecież żaden ciemnozielony samochód nie jechał za nią na lotnisko. Była tego pewna. Uśmiechając się, podeszła z Chance'em do schodków odrzutowca.

Po samolocie korporacji można się spodziewać pewnej dozy luksusu, ale Flame nie była przygotowana na to, co zobaczyła po przekroczeniu progu stylowej kabiny. Ściany pokryte były zamszem w odcieniu kości słoniowej. Ten sam odcień miały obicia obrotowych krzeseł, tyle że w splocie materiału przebijały nitki o barwie morskiej zieleni i lazurowego błękitu. Kolorystyka wnętrza służyła za tło i była podporządkowana rozstawionym w kabinie rzeźbom dłuta Brancusiego, Giacomettiego i Moore'a niewidocznie przymocowanym do podłoża. Dzieła sztuki jednak nie przytłaczały. Przeciwnie, wywoływały efekt powściągliwej elegancji.

- Podoba ci się? - Chance stał tuż za nią. Czowała ciepło dłoni na swoich ramionach, jego oddech poruszał końce jej włosów.

- Bardzo. Sprawia wrażenie... małego, przytulnego pokoju wypoczynkowego w prywatnym domu: wygodny, piękny. Miejsce, w którym można odpocząć i którym można się delektować.

- W planach i założeniach miał to być mój drugi dom - przyznał. - Gdyby



dokładnie policzyć, prawdopodobnie spędzam tu więcej czasu niż w moim domu w Tulsie. - Usłyszeli za sobą stukot odsuwanych schodów, a następnie zasuwanie pokrywy zewnętrznych drzwi samolotu. - Lepiej zajmijmy miejsca - zaproponował Chance. - Mick nie lubi długo marudzić, gdy ma pozwolenie na start. Kiedy będziemy w powietrzu, oprowadzę cię po moim latającym domu.

- Wspaniale.

Zgodnie z przyrzeczeniem, kiedy tylko samolot osiągnął odpowiednią wysokość, Chance oprowadził ją po pokładzie. Wnętrza zaprojektowane były po mistrzowsku - dyskretny luksus, zwartość kompozycji na tak małej powierzchni i najnowsza technika. Niski stolik do kawy pokryty był świetną gatunkowo skórą w identycznie tym samym jasnokremowym odcieniu co zamsz na ścianach. Po przyciśnięciu odpowiedniego guzika stolik zamieniał się w stół konferencyjny. Oprócz wspaniale urządzonego pomieszczenia do odpoczynku znajdowało się tam także miejsce do pracy wyposażone w komputer, przy pomocy którego Chance mógł przekazywać modemem informacje do siedziby firmy w Tulsie i utrzymywać stałą kontrolę nad swoimi interesami. Mała kuchnia obok była w stanie zapewnić pełny obiad dla ośmiu osób. Komody, pokryte tą samą kremową skórą co stoły w głównej kabinie, zawierały pełną zastawę z włoskiej porcelany i srebra, jak również odpowiednią ilość lnianych obrusów i serwetek. W toalecie powtórzono znowu tę samą kombinację zamszu i skóry z akcentami morskiej zieleni i lazurowego błękitu. Całość uzupełniał dywan w kolorze złotym.

W końcu Chance zaprowadził ją do pomieszczenia w tylnej części samolotu, oddzielonego drzwiami od kuchni i głównego salonu. Kiedy Flame rozglądała się po małym wnętrzu, zauważyła wbudowaną w ścianę podwójną szafę, a obok niej przymocowane do ściany, wykończone skórą biurko. Z

zaciekawieniem otworzyła drzwi szafy. W środku, wieszak za wieszakiem, wisały męskie garnitury, sportowe okrycia, swetry i spodnie.

- Mam na pokładzie całą garderobę - wyjaśnił Chance.

- Bardzo wygodnie. - Zamknęła drzwi szafy i przyjrzała się sofie, pokrytej prążkowanym pluszem w kolorze lazurowego błękitu.

- Nie tracę czasu na pakowanie i rozpakowywanie - oświadczył z poważną miną i dodał: - Kanapę można rozłożyć.

- Bardzo wygodne? - żartowała, zbliżając się do Chance'a.

- W czasie dłuższych lotów rzeczywiście się przydaje. - Jego spojrzenie przybrało ten intymny i jednocześnie zaborczy wyraz. Wsunął obie dłonie pod włosy i objął szyję Flame. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo za tobą tęskniłem.

Jego zachrypnięty głos sprowokował ją do wyznania:

- Ty też sobie nie wyobrażasz, jak bardzo ja tęskniłam za tobą.

Kiedy odchyliła do tyłu głowę, odnalazł jej usta. Flame poczuła rozchodzące się po całym ciele ciepło. Potrafił ją z taką wprawą rozbudzić, zanim jeszcze ich ciała zaczęły się dotykać.

Niechętnie przerwał pocałunek i wyszeptał przy jej wargach:

- Szkoda, że nie pomyślałem o jakimś dłuższym locie. Mielibyśmy wtedy czas, żeby sprawdzić, czy można z tego łóżka zrobić jakiś lepszy użytek.

- Czy to oznacza, że jesteśmy prawie na miejscu? - Wsunęła dłonie pod marynarkę i oparta na jego piersiach, czując przez koszulę ciepło emanujące ze szczupłego, mocnego ciała. - Mamy jeszcze przed sobą jakąś godzinę lotu, może trochę więcej - wyjaśnił i potem z trudem się od niej odsunął, jakby bliskość tej kobiety była dla niego zbyt wielką pokusą. - Ale po tygodniu czekania na spotkanie nie mam ochoty się spieszyć. Chcę mieć dużo czasu na kochanie się z tobą.

- To prawda, szybki numerek byłby co najwyżej zakąską - zauważyła Flame z rozbawieniem, spoglądając uwodzicielsko. - Ale czyż nie podajesz swoim gościom zakąski, zanim zaoferujesz im danie główne?

- Owszem, tyle że lubię spożywać cały posiłek w tym samym miejscu. - Uśmiechnął się nieznacznie.

Z westchnieniem spojrzała na koszulę na jego piersiach i wsunęła palce pod jedwabny krawat w poszukiwaniu guzików.

- Spodziewam się, że nie da się nic zrobić, żeby ten samolot trochę przyspieszył.

- Niestety. - Chance zaśmiał się gardłowo i pochwycił Flame za nadgarstki, przerywając prowokującą wędrówkę jej palców.

- Nigdy nie zaszkodzi troszkę sobie pomarzyć - stwierdziła i posłusznie podążyła za nim do głównego salonu. W tym momencie przypomniała sobie wszystkie swoje porażki i dodała: - Prawie nigdy.

- Trzeba marzyć. Bo inaczej nie będzie ci się miało co spełniać.

- Czy twoje marzenia się spełniły?

- Niektóre tak. Nad innymi pracuję.

- Na przykład? - próbowała sobie wyobrazić, o czym on mógłby marzyć.

- Żeby ten samolot szybciej leciał.

Roześmiała się, zgadzając się z tym zupełnie.

## 15

Słońce chyliło się już ku zachodowi, rozplamienając chmury na horyzoncie, kiedy odrzutowiec dotknął pasa prywatnego lądowiska na zachodnim wybrzeżu Meksyku. Tyle Flame odgadła sama. Zauważyła, że polecili z San Francisco na południe i trzymali się tego kursu, mając po prawej stronie Pacyfik, a po lewej nadbrzeżne pasmo gór. Chance potwierdził, że są w Meksyku, ale nic więcej nie chciał zdradzić.

Tuż przy pasie startowym stał mały budynek otoczony palmami i bujnymi kopcami tropikalnych lawendowych pnączy. Kiedy samolot krążył nad lądowiskiem, Flame zauważyła jakieś znaki na czymś, co wyglądało na miejscowy terminal, ale trwało to zbyt krótko, a poza tym słaba znajomość hiszpańskiego nie pozwoliła jej na odczytanie napisu. Ciągle więc nie wiedziała, gdzie są, co niespecjalnie jej przeszkadzało. Przeciwnie, aura tajemniczości tylko zwiększała jej zainteresowanie i czyniła wyprawę z Chance'em jeszcze bardziej podniecającą.

Na pasie startowym czekał na nich samochód. Na drzwiach, po stronie kierowcy, spostrzegła znajome logo Korporacji. Stuarda Kiedy szli do limuzyny, przywieziono z samolotu jej bagaże i ulokowano w samochodzie. Nie minęło więcej niż pięć minut od chwili, gdy odrzutowiec dotknął kołami ziemi, a oni już oddalali się od położonego w głębi kraju lotniska i podążali brukowaną, wijącą się pośród gór drogą ku leżącemu poniżej oceanowi.

Kiedy zbliżali się do małej zatoczki na poboczu drogi, przypominającej Flame scenografię z filmu, Chance powiedział coś po hiszpańsku do kierowcy. Samochód najpierw zwolnił, a potem zatrzymał się na żwirowanym poboczu, w pobliżu miejsca, z którego roztaczała się pełna panorama.

- Wciąż chcesz wiedzieć, dokąd jedziemy? - Chance popatrzył na nią z boku, unosząc prowokacyjnie brew.

Wyczuła, że chce się przed nią czymś pochwalić - pragnienie nieodmiennie powiązane z dumą i potrzebą dzielenia czegoś z drugim człowiekiem.

- Tak, tak, tak - powtarzała, uśmiechając się szeroko.

Chance pomógł jej wysiąść z samochodu i poprowadził do krawędzi wzniesienia, cały czas mocno obejmując jej talię i trzymając ją blisko przy sobie.

Pacyfik rozciągał się przed nią w dole, ukośne promienie słońca uformowały długi złocisty szlak na jego wodach. Na końcu tego wyznaczonego

przez promienie szlaku znajdowała się maleńka zatoczka, cała zalana oślepiającym blaskiem złota, który bił z otaczających ją górskich zboczy. Flame wstrzymała oddech, oszołomiona odkryciem, że złoty blask pochodzi ze wzniesionych na zboczach budowli, opadających tarasami ku wodzie. Gdzieś widać było rubinowe błyski kaskad czerwonych kwiatów i szmaragdowe liście wysokich palm.

- Witamy w Ciudad de Oro de Stuart... w Złotym Mieście Stuarta.

- Chance, to jest oszałamiające. - Spoglądała na złotą wieżę wielopiętrowego hotelu, wybudowanego w pobliżu śnieżnobiałej plaży, z którego balkonów spływały rubinowe girlandy czerwonych kwiatów. - Te domy wyglądają, jakby rzeczywiście były pozłacane. Ale nie są, prawda?

- Nie. Po sześciu miesiącach eksperymentów udało nam się w końcu wyprodukować komponent podobny do stiuku. Składa się głównie z substancji zbliżonej do miki, która odbija światło. Największe wrażenie robi to właśnie o tej porze dnia. Według Flame była to przesadna skromność.

- Mam wrażenie, jakbym oglądała bajeczne złote miasto.

- Poczekaj, aż zobaczysz je w nocy, kiedy odbija srebrne refleksy gwiazd i księżyca.

Wsiedli z powrotem do samochodu i ruszyli krętą górską drogą. Minęli zatokę i leżącą przy niej przystań dla żaglowców i drugą z jachtami do wynajęcia - dalekomorskimi i do sportowych połowów. Grupa muzyków grała dla plażowiczów, wciąż jeszcze snujących się po plaży, by nie przegapić ostatnich promieni słońca.

Tym, którzy wystrzegają się słonej wody, mieli do dyspozycji olbrzymi basen - chociaż Flame zawahała się, czy tak nazwać coś, co przypominało szeroko rozlaną tropikalną lagunę z kaskadami wodospadów i skalnymi stopniami. Naprzeciw hotelu znajdowała się mała handlowa osada z

fontannami i placykiem pośrodku, oferująca typowe meksykańskie towary. Tarasowo wzniesione budowle na zboczach dookoła albo należały do kompleksów wypoczynkowych, albo były prywatnymi willami. Pojechali w kierunku tych drugich.

Kiedy wjeżdżali przez bramę na otoczone ścianami podwórko jednej z willi, Flame zachwyciła się bujnością zieleni. Pnącza bugenwilli krzewiły się bujnie niezliczoną ilością czerwonych i purpurowych kwiatów, prawie zupełnie przytłaczając szkarłatny hibiskus oraz wysokie, pełne wdzięku palmy. Złota fontanna wyrzucała w powietrze deszcz wody, który słońce zamieniało w diamentowe drobinki.

Sama willa zauroczyła ją jeszcze bardziej. Wybudowana w imponującym stylu, dokoła dziedzińca z koralowca. Wnętrza obfitowały w miłe dla oka szczegóły architektoniczne - zaciszne wnęki przy oknach, gdzie można było usiąść, skomplikowane rzeźbione, łukowo sklepione sufity, zabytkowe drewniane drzwi, kominki z koralowca, czy podłogi wyłożone hiszpańskimi kafelkami i wykończone dębowym drewnem. Wszędzie można się było natknąć na niedbale rozstawione dzieła azteckiej i meksykańskiej sztuki, które zwiększały wrażenie przestronności chłodnej willi. Niektóre z nich, jak dzban z terakoty, ustawiono pośród tropikalnej zieleni. Inne znowu, jak wyśmienity, kuty w brązie dysk w kształcie słońca, eksponowano odważnie, tak że dominowały w całym pokoju.

Loggia przylegająca do głównego salonu wychodziła na wyłożony mozaiką basen, otoczony pomostem z trawertyńskiego marmuru. Poniżej lśniła zatoka, odbijająca właśnie purpurę nieba.

- Czy to wystarczy na samotnię dla dwojga?

Flame oderwała się od panoramicznego widoku z loggii i spróbowała podchwycić żartobliwy ton jego pytania:

- Jest tu... skromnie, ale przyjemnie. - Z udaną obojętnością wzruszyła ramionami. Lecz po chwili nie mogła już dłużej udawać obojętności, nawet w żartach. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaplotła je za jego głowę.

- Chance, to jest idealnie piękne i pięknie idealne.

- Cieszę się, że tak myślisz, kochanie.

Jego intensywne, czułe spojrzenie odwzajemnił błysk w pociemniałych oczach Flame. I gdy ręce Chance'a w naturalny sposób spoczęły na jej talii i już właśnie miała się wtulić w jego ramiona, zauważyła przysadzistą meksykańską gospodynię, zbliżającą się do drzwi ze szkła i kutego żelaza, prowadzących na taras.

- Przepraszam, *señor* Chance. - W progu zatrzymała się niska, tęga kobieta, które to wrażenie potęgował jeszcze przepasany na czarnym mundur ku biały fartuszek. Jej ciemne, nieśmiałe oczy rzuciły w kierunku Flame przepaszające spojrzenie. - Dzwoni *señor* Rod. Pyta, czy już pan przyjechał. Czy życzy pan sobie z nim teraz rozmawiać?

Chance zawahał się, popatrując z żalem na Flame.

- Tak, powiedz mu, że zaraz podejść, Consuelo. Będę rozmawiał z gabinetu.

- *Si* - odparła półgłosem i wycofała się z pokoju.

- Przepraszam cię. - Zwrócił się do Flame. - Rod Vega to człowiek, który pilnuje tu moich interesów. Powinienem niedługo wrócić. Może chcesz się w tym czasie odświeżyć albo rozpakować. Spotkajmy się w głównym salonie, powiedzmy za pół godziny.

- Tak długo? - Zasmuciła się i zrobiła nadąsaną minkę.

- Tak długo. - Uśmiechnął się.

Znowu musiała się zadowolić namiętym, ale krótkim pocałunkiem. Po jego wyjściu kręciła się jeszcze przez chwilę po balkonie, z przyjemną

świadomością, że Chance wróci i cały wieczór będą mieli tylko dla siebie. Odwróciła się twarzą do zatoki i wciągnęła w płuca ostry, czysty haust morskiego powietrza. Raj, á la Stuart - tak nazwał to miejsce kapitan Donovan. Nie przesadził.

Usłyszała, jak drzwi do głównej sypialni otwierają się i pomyślała, że trzydzieści minut to wcale nie tak wiele czasu na kąpiel i zmianę stroju. Wyszła z powrotem do środka i zobaczyła powracającą gospodynię.

- Ramon przyniósł pani bagaże - powiedziała kobieta, wskazując dwie torby umieszczone na bogato rzeźbionym stojaku na bagaż. - Czy *señor* życzy sobie, żebym je rozpakowała?

- Proszę. - Flame podeszła do stojaka i wyjęła z najmniejszej torby podróżny kuferek z przyborami do makijażu. - A kiedy natrafisz na błękitny szyfonowy strój, to proszę odłóż go na bok. Chcę go włożyć.

- *Si señor.*

Prawie trzydzieści minut później Flame wyszła z głównej sypialni. Leżąca się, szyfonowa spódnica w błękitne wzory, delikatnie powiewała wokół jej kostek. Rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze w korytarzu i uśmiechnęła się na widok głębokiego wycięcia lekko zmarszczonego dekoltu bluzki. Luźna bluzka z szyfonu w niebieskie groszki była dość odważna. Efekt wzmacniało jeszcze upięcie płomiennych włosów w klasyczny kok. Bardzo jej się spodobało figlarnie uwodzicielskie wrażenie, które dawała ta kombinacja.

Kiedy szła szerokim korytarzem, towarzyszył jej stukot wysokich obcasów o kafelki podłogi. Przed sobą widziała przesuwające się, podparte filarami łukowe sklepienie, które otaczało główny salon, nadając mu wygląd krużganka. Usłyszała wystrzał korka od szampana. Uśmiechając się przy-



śpieszyła kroku. Chance już na nią czekał.

Szyfonowa spódnica zamasyście powiewała dookoła jej ciała, kiedy przekroczyła łukowe sklepienie otwierające wejście do pokoju. Chance odwrócił się, żeby ją przywitać, w obu dłoniach trzymał szampanki ze szlifowanego kryształu. Z zadowoleniem spostrzegła, jak przymknął oczy, kiedy jego badawcze spojrzenie zatrzymało się na jej dekolcie, całkowicie odsłaniającym rowek pomiędzy piersiami. W końcu podniósł powieki i spojrzał na Flame, a w jego pociemniałych niebieskich oczach płonęło pożądanie - na taką właśnie reakcję liczyła.

- Wyglądasz uwodzicielsko - powiedział półgłosem, kiedy stanęła przed nim.

Wzięła z jego dłoni kieliszek szampana i popatrzyła na niego kokieteryjnie.

- A ja miałam nadzieję, że wyglądam jak kobieta, która za chwilę zostanie uwiedziona.

Uniósł brew.

- Wieczór się dopiero zaczyna.

- Obiecanki cacanki - naigrawała się, pociągając łyček szampana. Gdy język zetknął się z musującym płynem, bezbłędnie rozpoznała charakterystyczny smak. - Brzoskwiniowy!

- Oczywiście. - Uśmiechnął się i pociągnął łyk ze swojego kieliszka. Umyślnie rozejrzała się po salonie, który tak jak wszystkie pozostałe pomieszczenia zaprojektowano w przepięknych proporcjach i we wspaniałej symetrii.

- Cóż to? Nie widzę orchidei?

- Cieszę się, że o tym wspomniałaś. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął długie, wąskie pudełko. - Proszę.

Popatrzyła niepewnie na pudełko, potem podniosła wzrok na Chance'a i

niezdolna ukryć zdumienia, zapytała:

- Co to jest?

- Otwórz. - Tylko tyle powiedział.

Flame jeszcze przez chwilę się wahała, po czym odstawiała kieliszek i uniosła wieczko. W środku coś zapłonęło światłem, zamigotało. Dech jej zaparło na widok wspaniałej brylantowej broszki w kształcie orchidei i pary dopasowanych do niej klipsów.

- Teraz już zawsze będziesz miała orchidee.

Patrzyła na broszkę głęboko poruszona sentymentalną wymową podarunku i jego wielką wartością, i do oczu napłynęły jej łzy.

Jeżeli chciałby po prostu kupić jej kosztowny prezent, mógł wybrać pierwszy lepszy bubel. Ale nie zrobił tego. Nie, wybrał z zastanowieniem i uwagą, chcąc ofiarować jej coś specjalnego, coś, co wyraziłoby ich wzajemny stosunek.

Nie oponowała, kiedy wyjął pudełko z jej zdętwiałych palców i wziął broszkę z aksamitnej purpurowej poduszki, na której spoczywała. Gdy przypinał ją do bluzki, patrzyła oczami pełnymi łez na jego ostre rysy zmiękczonym rozmazanym spojrzeniem. Wcale się nie śpiesząc, zdjął parę długich klipsów z jej uszu i umocował w ich miejscu te z brylantami. Kiedy skończył, ocenił rezultat i ciepłym gestem położył dłonie na jej ramionach. Czułość i delikatność spojrzenia i tego gestu wywarły na Flame równie głębokie wrażenie, co jego troskliwość.

- Pięknie - szepnął zachwycony.

- Chance... nie wiem, co mam powiedzieć - przyznała, bo słowa nie potrafiły wyrazić jej zaskoczenia, radości i wdzięczności.

- Więc nie mów nic.

Tak zrobiła. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go, i jej dłonie,

wargi i całe ciało powiedziało mu, jak wiele znaczył dla niej ten prezent. Przyciągnął ją do siebie; ręce niespokojnie wędrowały po jej ramionach, wzdłuż kręgosłupa i bioder, ich ciepło przenikało przez cieniutki materiał bluzki i spódnicy. Natężenie i rodzaj ich pieszczot zmieniały się pod wpływem reakcji Flame na rozpalone emocje i pragnienia, zbyt długo wstrzymywane przez oboje. Przytulała się mocniej, wodząc palcami w jego włosach, ściskając i przynaglając, aż ich pocałunek stał się gwałtowny z pożądania, wargi, języki, zęby spletały się ze sobą. Lecz to nie wystarczało. Może nigdy nie wystarczy. Oderwała wargi od ust Chance'a i całowała jego twarz, dotykała ustami policzków, muskała ucho; pozwalała sobie na wiele, a on odwzajemniał to wszystko. Świadoma ogromnego napięcia, które w niej wezbrało, słyszała głośne dudnienie własnego serca.

- Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę, właśnie teraz? - wyszeptał Chance zachrypniętym głosem, a jego przyśpieszony oddech przy jej uchu wzniewał cudowne, przyjemne dreszcze. - Zaplanowałem sobie cały ten wieczór: szampan, kolacja przy świecach, pogawędka, spacer przy blasku księżyca... który zaprowadziłby nas do sypialni. A teraz mam ochotę wykreślić wszystko, co jest po drodze i zabrać cię prosto do łóżka, niech diabli wezmą całą resztę.

Flame uśmiechnęła się z ustami przy jego policzku. Całkowicie podzielała jego pragnienia i uczucia, z jednym wszakże wyjątkiem.

- A gdzie jest napisane, że kobieta musi być nakarmiona, napojona... i zabrana na spacer przed, nie po?

- No jasne, gdzie? - mruknął, odsuwając się odrobinę, żeby przyjrzeć się lekko obrzmiałym, delikatnym wargom i zielonym, półprzymkniętym z pożądania oczom. - Dawno temu przekonałem się, jak wspaniała może być improwizacja.

- Naprawdę? - Przesunęła paznokciem po linii jego szczęki.

- Tak. - Jednym płynnym ruchem wziął ją na ręce i przytulił w ramionach. -  
A wygląda na to, że z tobą zawsze improwizuję.

- Uwielbiam jak improwizujesz... i jak robisz jeszcze parę innych rzeczy -  
dodała zaczynając pieścić jego umięśnioną szyję.

W sypialni zniknęła cała gwałtowność, cały ten pośpiech, który ich tu przywiódł. Stali twarzą w twarz, nie dalej niż metr od siebie, skąpani w świetle jedynej lampy. Bez słowa zaczęli się rozbierać, zdejmując z siebie kolejno części garderoby. Nie tylko ubranie zrzucali z siebie i nie tylko własne ciała przed sobą odsłaniali. Kiedy na siebie patrzyli, prawdziwie i głęboko, odsłaniali przed sobą uczucia, serca i myśli.

Kiedy wyciągnął do niej rękę, poczuła ucisk w gardle. W tej chwili i w tym geście było coś tak pięknego, że miała ochotę się rozplakać. Podała mu dłoń i ruszyli ku sobie, spotykając się w połowie drogi. Czowała żar jego ciała, twardą, umięśnioną klatkę piersiową i mocne kolumny ud. Sięgnął do jej głowy i wyjął spinki przytrzymujące włosy; rozsypały się na ramiona, a ona wodziła rękami po jego ciele, przypominającym w dotyku rozgrzaną satynę.

Popatrzył jej głęboko w oczy, delikatnie przesuwał kciukiem w zagłębieniu za uszami.

- Kocham cię. - W tych dwóch słowach zawierała się cała intensywność uczuć.

- Ja też cię kocham - wyszeptała Flame i uniosła się lekko na palcach, żeby wyjść na spotkanie jego wargom.

Później, dużo później, otworzyli następną butelkę brzoskwiniowego szampana, zjedli kolację przy blasku świec i spacerowali pod rozgwieżdżonym niebem. Spacer zakończyli znowu w sypialni i jeszcze raz odkrywali uroki uprawiania miłości.

Szklane balkonowe drzwi stały otwarte na oścież, wpuszczając do środka rześką, poranną bryzę. Chance zatrzymał się przed nimi i przyglądał się przy-sadzistej Meksykance, która ustawiała właśnie miskę świeżych owoców na nakrytym do śniadania stole. Jego spojrzenie podążyło ku dwóm identycznym nakryciom. Dobrze dobrane kryształowe kieliszki, porcelanowe filiżanki, błyszczące sztucce i talerze leżące naprzeciw siebie, jakby w oczekiwaniu, wyglądały przytulnie. Jego śniadanie składało się zwykle z czarnej kawy i czasami jakiegoś soku; rzadko kiedy zasiadał do posiłku. Ale tego ranka było inaczej. Nie będzie jadł sam. Będzie z Flame.

Zapiął zegarek i odwrócił lekko głowę, by na nią spojrzeć. Siedziała na pokrytym adamaszkiem stołku, naprzeciw podświetlonego lustra toaletki, owinięta w kimono z błękitnego jedwabiu; opaska w tym samym kolorze przytrzymywała jej włosy. Kończyła właśnie makijaż.

Chance poczuł znowu przypływ jakiejś nieokreślonej czułości, uczuć przesyconych potrzebą bliskości i opiekuńczości. Wiele razy próbował określić te uczucia, ale były zbyt ulotne. Bycie z nią to coś jak spacer po letnim deszczu, w świat nagle oczyszczony i rześki, pobudzający do życia wszystkie zmysły. Tak, kiedy z nią był, czuł się dobrze, bardzo dobrze.

- Zdaje się, że będziemy dziś jedli śniadanie na zewnątrz - powiedział, kiedy spostrzegła, że się jej przygląda.

- Zasugerowałam to Consueli, gdy brałaś prysznic. Nie będzie ci to chyba przeszkadzało? Jest taki piękny poranek. - Odwróciła się z powrotem do lustra i podniosła do oczu spiralę do rzęs.

- Tu też jest pięknie. - Podeszedł do toaletki, stanął za plecami Flame i przyglądał się jej odbiciu w lustrze, podziwiając po raz kolejny jej wyrazistą, świeżą urodę.

Ich oczy spotkały się w lustrzanym odbiciu. W tych zielonych błysnęła iskierka rozbawienia.

- Jeszcze tylko kilka minut - rzuciła Flame, włożyła szczoteczkę do pojemnika z tuszem i odłożyła na toaletkę.

Pomiędzy szminkami, kremami i cieniami do powiek Chance zauważył płaskie, wykładane emalią puzderko.

- Dosyć osobliwy drobiazg. - Wziął go do ręki, żeby przyjrzeć się dokładniej skomplikowanemu wzorowi, przedstawiającemu wazon z kwiatami.

- Prawda? - Flame odłożyła wacik i sięgając po szminke wyjaśniła: - Dostałam to w prezencie od matki na trzynaste urodziny, kiedy wreszcie wolno mi było się malować. Dokładnie mówiąc, używać pudru, szminki i tuszu.

- Czy na tym wazoniku są wygrawerowane litery?

- Moje inicjały: M.R.M.

- M.R.M.? - Wszystko w nim zamarło. Stał ze wzrokiem wbitym w litery.

- Margaret Rose Morgan. Takie imiona nadano mi na chrzcie. Tatusz potem nazwał mnie Flame, kiedy miałam mniej więcej półtora roku. I tak zostało. - Uśmiechając się podniosła rękę do góry i zdjęła opaskę. Potrząsnęła głową, żeby ogniste loki odpowiednio się ułożyły. - Matka zawsze miała nadzieję, że kiedyś wyrosnę z tego imienia.

Rzuciła okiem na lustrzane odbicie Chance'a, spodziewając się napotkać uśmiech. Ale zobaczyła zmrożone rysy i mocno zaciśnięte szczęki. Zdumiona tą reakcją, odwróciła się na stołku.

- Chance, czy coś się stało? - Zauważyła, że zacisnął palce na pudernicze tak mocno, aż pobiełały mu kłykcie.

Nie była pewna, czy słyszał, co do niego powiedziała. Wbił w nią lodowato zimne, błękitne oczy.

- Chance, co się dzieje?

Natychmiast spuścił wzrok.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie mam żadnej pamiątki po matce. Zupełnie nic. - Jeszcze przez chwilę ścisnął w dłoni puderniczkę, zanim wręczył ją Flame.

Ten podarunek od matki zawsze miał dla niej specjalne znaczenie. Ale dopiero teraz, z jakimś nieznanym uciskiem w sercu, zdała sobie sprawę, jak wiele dla niej znaczył.

- Chance, ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć.

Jego usta wykrzywiły się nieznacznie, kiedy próbował się uśmiechnąć.

- To nie ma znaczenia - powiedział i zamknął się w sobie. Dotknął dłonią jej włosów, przesunął palcami po rudych kosmykach, jakby trochę rozkojarzony. Lekkie stukanie do drzwi przerwało ciszę.

- Tak? - Szorstkość jego głosu uświadomiła Flame, że spokój Chance'a był pozorny. Tuż pod powierzchnią wyczuwała ostre napięcie.

- Telefon, *señor* Chance - dobiegły stłumione słowa Consueli. - To do pana. Dzwoni *señor* Sam. Mówi, że to bardzo *importante*, że musi z panem rozmawiać.

- Odbiorę w korytarzu. - Przez chwilę jeszcze przyglądał się włosom Flame, zanim spojrzał jej w oczy. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony. - To nie potrwa długo.

- Dobrze - zgodziła się z wymuszoną swobodą; czuła, że Chance nie chce współczucia. - I tak potrzebuję jeszcze paru minut na dokończenie toalety.

Wypuścił spomiędzy palców rudy lok. Cofając dłoń, na pożegnanie dotknął przelotnie jej policzka. Odwrócił się i wyszedł z sypialni. Flame spojrzała na puderniczkę, którą dawno temu dostała od swojej matki.

Wściekłość, złość i żalosna ironia sytuacji, wszystko to kipiało teraz w jego

wnętrzu, kiedy kroczył wyłożonym hiszpańskimi kaflami korytarzem w kierunku masywnego biurka z indyjskiego drzewa. Do diabła, dlaczego to musi być właśnie Flame? Była jedyną nieskalaną istotą w jego życiu. Przy niej mógł zapomnieć prawie o wszystkim. Do wszystkich diabłów - to niesprawiedliwe! Lecz czy życie kiedykolwiek było dla niego sprawiedliwe? Spojrzał na telefon i z wysiłkiem otworzył zaciśniętą w pięść dłoń, żeby wziąć słuchawkę.

- Tak, Sam - powiedział, starając się zdusić wszelkie emocje.

- Chance, przepraszam cię, że dzwonię w ten sposób, ale... musisz wiedzieć.

Dowiedzieliśmy się, kim jest Margaret Rose. Chance, to Flame.

- Wiem.

- Wiesz? Skąd? Kiedy...

- To nie ma znaczenia. - Potarł dłonią czoło. Teraz, kiedy odsunął uczucia, jego umysł rozpoczął szaleńczy wyścig.

- Czy ona wie, kim jesteś? Mówiła ci o tej historii? Co powiedziała jej Hattie?

- Najwidoczniej nie. - Przebiegł myślami po wszystkim, co Flame do niego mówiła. Nie było tam nic, co by wskazywało, że wiedziała o jego związku z Hattie. Dlaczego? Hattie nienawidziła go tak bardzo, że powinna próbować wpoić tę nienawiść Flame. Tylko jeden powód przychodził mu do głowy: po prostu nie miała do tej pory okazji. A to znaczyło, że on musi przypilnować, żeby się taka okazja nie nadarzyła.

- Czy to możliwe, że Hattie nie wie o waszych spotkaniach? - spekułował Sam.

- Skąd miałyby wiedzieć? - Wątpił, żeby Flame wspomniała o nim Hattie. Nie miała powodu. To zaczęło się tak niedawno, że można było przypuszczać, iż rozmowy tych dwóch kobiet nie zboczyły na sprawy osobiste.



- Chance, co zamierzasz zrobić? Ona na pewno się dowie.
- Może nie. Może będę mógł temu zapobiec.
- Jak?

Ale nad tym musiał się najpierw zastanowić.

- Zadzwoń do ciebie później, Sam.

Stał na balkonie, przy poręczy z kutego żelaza. U jego stóp rozciągała się zatoka i złote budowle. Wyglądał jak człowiek zatopiony w myślach, z odchyloną głową, ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie oceanu, z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni. Flame zatrzymała się na chwilę, zastanawiając się, czy ciągle myśli o matce. Ruszyła znowu w jego kierunku. Nie usłyszał głuchego stukotu jej sandałów, kiedy podeszła i stanęła za nim. Był zupełnie nieświadomy jej obecności, dopóki nie dotknęła jego ramienia.

Wtedy odwrócił się, a jego pociemniałe oczy przybrały na jej widok ten znajomy, leniwy, intymny wyraz. To spojrzenie nieodmiennie powodowało szalone zrywy jej serca. Uśmiechnęła się widząc, że znowu wszystko jest w porządku.

- Szybko poszło z tym telefonem.

- Aha. - Jego wzrok wędrował po twarzy Flame, jakby chciał zapamiętać każdy jej szczegół. Potem pochylił głowę i najpierw delikatnie musnął wargami jej usta, potem pocałował ją zaborczo. A ona przywarła do niego całym ciałem, podtrzymywana uściskiem jego ramion. Przez moment poczuła ukłucie rozpaczy gdzieś w nim, czy w sobie, nie potrafiła tego odróżnić. Lecz było tam, było częścią tego pragnienia, żeby wtopić się w siebie nawzajem. Kiedy potrzeba bliskości stała się nieznośna, oderwał wargi od jej policzka i powędrował w kierunku ucha. Słyszała jego oddech, tak samo gwał-

towny i przerywany jak jej własny.

- Jak długo się znamy? - wyszeptał.

Musiała pomyśleć, co nie było łatwe, zważywszy, że miała ochotę czuć, a nie myśleć.

- Trzy tygodnie.

Podniósł głowę i ujął w dłonie jej twarz.

- A nie mogę sobie wyobrazić bez ciebie życia.

- Wiem. Czuję to samo. - Trochę zdziwiła ją łatwość, z jaką przyszło jej to wyznanie.

- Jesteś pewna swoich uczuć, tak jak ja?

Szukała, ale nie mogła znaleźć nawet cienia wątpliwości.

- Tak.

- W takim razie wyjdź za mnie. Teraz. Dzisiaj.

Gdyby zadała sobie odrobinę trudu, z łatwością mogłaby podać tuzin przyczyn, żeby nie śpieszyć się do kolejnego małżeństwa. Jednak żadna z nich - ani krótki czas ich znajomości, ani jej kariera, ani praca - nie były wystarczająco silne, razem czy osobno, żeby je przeciwstawić tej zwyczajnej prawdzie, że go kocha i co ważniejsze, że on ją kocha.

- Tak - odpowiedziała po prostu.

- Jesteś pewna? - Przyglądał jej się uważnie. - Wiem, że kobiety chcą mieć duże, wystawne wesela. Jeśli wolisz na to poczekać...

- Nie. - Potrząsnęła głową na tyle, na ile pozwalały dłonie obejmujące jej twarz. - Tym razem nie zależy mi na uroczystościach, Chance. Twoja miłość zupełnie mi wystarczy.

- Ja naprawdę cię kocham, Flame - oświadczył stanowczo. - Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętać.

- Pod warunkiem, że będziesz mi o tym przypominał - przekomarzała się.

- Mówię poważnie, Flame. Przez te wszystkie lata zrobiłem sobie wielu wrogów. Bez względu na to, co ktoś ci o mnie powie, ja cię Kocham. I będę cię kochał, do końca życia.

- Kochanie, będę cię trzymała za słowo, i siebie też. Do końca życia, naszego - oświadczyła radośnie z pewnością w głosie.

## 17

Sid Baker trzymał słuchawkę automatu telefonicznego przyciśniętą mocno do ucha. Drugą ręką wycierał ociekające potem czoło i górną wargę i tak już mokrą chusteczką. Przekłęty tropikalny upał, myślał marząc o dużym kuflu zimnego piwa. Kiedy cisza na linii się przedłużała, zaczął głośno przeklinać meksykańską telefonistkę, że nie łączy jego rozmowy. Wtedy usłyszał stłumiony sygnał i na drugim końcu linii znajomy głos odpowiedział natychmiast.

- Tu Sid Baker - rzucił i pośpiesznie zerknął na drzwi, od których dzieliły go nie więcej niż trzy metry. - Udało mi się zlokalizować ich w Meksyku... w końcu. Ale jest pewien problem. Dzwonię z jakiegoś oficjalnego budynku, gdzie właśnie wzięli ślub. - Wysłuchał odpowiedzi pełnej zaskoczenia, wściekłości i powątpiewania. - To prawda. Przysięgam. Stałem tak blisko, że mógłbym być ich świadkiem... - Jak miałem ich powstrzymać? - rzucił ostro w słuchawkę, odpierając zarzuty. - Najpierw nie wiedziałem, co jest grane, a potem było już za późno. Myślałem, że zabiera ją na małą wycieczkę do miasteczka, żeby jej pokazać, jak żyje cała reszta: ci, co sprzątają w jego drogim hotelu i czekają na jego drogich gości. - Nienawisć powoli zniknęła z jego głosu i wkradła się do niego zaduma: - Może powinienem był się domyślić, że coś się święci, jak dostałem wiadomość, że wystartował jego prywatny odrzutowiec. Wrócił po niecałych trzech godzinach. Teraz mi się wydaje, że posłał ich po pierścionek dla niej. Szkoda, że nie widziałeś tej

skąty, którą ma na palcu. - Przy drzwiach zrobiło się jakieś poruszenie, kiedy para bardzo zadowolonych urzędników odprowadzała nowożeńców do drzwi. Barker przysłonił dłonią słuchawkę i rzucił w pośpiechu. - Właśnie wychodzą. Muszę kończyć.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się i szybko wyszedł z budynku. Skierował się do wynajętego samochodu, pilnowanego przez dwóch przedsiębiorczych meksykańskich chłopców.

Ciężkie kotary z adamaszku były częściowo zasłonięte, odcinając większość popołudniowego światła. Maxine zatrzymała się w drzwiach, zaskoczona nienaturalną ciszą, jaka panowała w pokoju. Nieświadomie wstrzymała oddech, nasłuchując odgłosów dochodzących z wielkiego łoża, wspartego na czterech, ozdobnie rzeźbionych słupach. Różowa, pikowana podomka z satyny, wykończona koronką z dużymi oczkami, którą Hattie miała na sobie, podkreślała bladość papierowej skóry ściągniętej i poszarzałej z bólu. Maxine targnęło współczucie, które natychmiast zastąpiła oziębłością. Hattie Morgan dostała to, na co sobie zasłużyła.

Grube gumowe podeszwy roboczych butów prawie nie wydawały dźwięku na drewnianej podłodze, więc poruszając się bezszelestnie, Maxine podeszła do olbrzymiego łoża, które zajmowało prawie całą przestrzeń niewielkiego pokoju. Hattie spała w tym pokoju, od kiedy opuściła kołyskę ponad osiemdziesiąt lat temu, choć tuż za drzwiami znajdowała się nie używana od pięćdziesięciu lat, obszerna główna sypialnia. Maxine zawsze się temu dziwiła

Popatrzyła z wahaniem na leżącą kobietę, po czym sięgnęła po stojący na nocnym stoliku brązowy pojemnik z robionymi na receptę pigułkami. Sprawdziła liczbę kapsulek, starając się dociec, czy ubyło ich, a jeśli tak, to ile.

- Zawsze wieszysz dokoła, prawda? - Zjadliwe oskarżenie wdarło się w bezruch pokoju.

Maxine odwróciła się do łóżka.

- Wydawało mi się, że pani odpoczywa. - Z wymuszonym spokojem odstawiła pojemnik na nocny stolik.

- W takim razie, co tutaj robisz? - Ostre spojrzenie Hattie było teraz szkliste od bólu. - Słyszałam dzwonek telefonu. Kto to był?

- Pan Canon. Jest jeszcze na linii. Ale nie chciałam pani przeszkadzać...

Hattie sapnęła z niedowierzaniem i wyciągnęła zniekształconą ze starości dłoń.

- Podaj mi telefon i wyjdź z pokoju. - Zaciskając usta, Maxine wzięła aparat z nocnego stolika i postawiła go na łóżku obok Hattie. Potem odwróciła się i zamarła z nienawiści, kiedy usłyszała na odchodnym:

- I nie jestem tak otumaniona lekami, żebym nie potrafiła odróżnić, czy podsłuchujesz na wewnętrznej linii.

Kiedy gospodyni oddalała się od łóżka, Hattie widziała tylko niewyraźny zarys sylwetki. W tyle gałek ocznych czuła rozdzierające ciśnienie, które zaciemniało jej wzrok. Była tym przerażona. Tak jak półmrokiem jej nowego świata. Kiedy czekała, aż usłyszy dźwięk zamykających się za Maxine drzwi, zastanawiała się, co jest gorsze do zniesienia: ból czy strach. Minęła wieczność, zanim Hattie usłyszała dźwięk odkładanej na dole słuchawki. Sięgnęła po telefon, wzięła słuchawkę i podniosła ją do ucha.

- Tak, Ben, co się stało? - mówiła szorstko, starając się nie poddać panice.

- Są tutaj, w Tulsie. Wrócili razem.

- W takim razie to prawda - powiedziała z nadzieją, że może jeszcze zaprzeczy.

- Tak. Wyszła za niego.

- Obiecała mi... - Słyszac panike w swym glosie, Hattie przerwała gwałtownie, nie konczac zdania. Zdała sobie sprawe, ze nie miało juz żadnego znaczenia, co Margaret Rose jej obiecała. - Zobaczmy, co da się jeszcze zrobić - powiedziała z wymuszona odwaga.

- Tak - potwierdzil Canon z przekonaniem.

Kilka minut później rozlaczyl się i w sluchawce zaległa cisza. Przez moment Hattie poczuła pustkę. Ale nie mogła się poddać. Nie mogła pozwolić, żeby Stuart zwycięzył - nie teraz, kiedy tak długo i tak ciężko walczyła, i kiedy była już tak bliska zwycięstwa. Wyciągnęła rękę i odnalazła przy łóżku staromodną szarfę, do której przymocowany był dzwonek. Zaczęła szarpać go niecierpliwie i wołać:

- Maxine, Maxine!

Prawie natychmiast usłyszała stłumiony odgłos szybkich kroków w korytarzu.

Drzwi rozwarły się z impetem.

- Czy wszystko w porządku, panno Hattie? - rozległ się zatroskany głos gospodyni. - Mam wezwać lekarza?

- Nie - ostro rzuciła Hattie. - Sprowadź mi tu Charliego Rainwatera.

- Ale...

- Natychmiast! - przynagliła oschle.

Kiedy drzwi zamknęły się z dźwięcznym trzaskiem, Hattie opadła na poduszki i wymamrotała przygnębiona:

- Jak mogłaś zrobić takie głupstwo, Margaret Rose? Wydawało mi się, że jesteś wystarczająco sprytna, żeby go przejrzeć. - Zamknęła oczy i przycisnęła je dłonią, próbując powstrzymać przeraźliwy ból głowy. Pozostała w tej pozycji aż do chwili, kiedy prawie piętnaście minut później usłyszała zbliżające się do drzwi odgłosy ciężkich kroków. Opuściła rękę i

podniosła głowę, wychylając ją agresywnie ku przodowi.

- Wejdz - odpowiedziała na stukanie do drzwi, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał ból ani strach. Duma nie pozwalała jej okazać przed Charliem, że można ją pokonać. Wierzył w nią, przez te wszystkie lata.

Zatrzymał się przy łóżku.

- Maxine powiedziała, że chciała się pani ze mną zobaczyć.

- Tak. - Wolałaby widzieć wyraźniej tę rozmazaną twarz, lecz wystarczyło jej, że słyszy jego kojący głos i czuje zapach tej mieszaniny tytoniu i końskiego potu, którą zawsze przesiąknięte było jego ubranie. - Mamy kłopoty, Charlie. Ona rzeczywiście za niego wyszła - Usłyszała, jak zaklął pod nosem, i uśmiechnęła się blado, zanim zdała mu relację z rozmowy z Benem Canonem.

- Co mam teraz zrobić? - spytał.

Poczuła na swojej dłoni delikatne muśnięcie jego szorstkich od pracy palców i odpowiedziała krótkim uściskiem.

- Przywiózł ją ze sobą do Tulsy, Charlie. Wiedziała, że będzie arogancki. I to jest jego błąd.

- Więc nie sądzi pani, że jest już za późno?

- Nie może być. - Uczepiła się tego z desperacją. - Ale w każdej chwili musimy być gotowi do działania. Nie mamy wiele czasu.

- Może pani na mnie liczyć, panno Hattie - powiedział zachrypniętym z emocji głosem i lekko uściśnął jej dłoń.

- Wiem, że mogę. - Skinęła głową, czując ten sam ucisk w żołądku i ten sam żal.

- Poradzimy sobie.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła z większą pewnością, którą dała jej wiara Charliego... tak jak w ciągu tych wszystkich lat. Wypuściła jego dłoń i

oparła się o poduszki, słuchając, jak wykręca dla niej numer Bena Canona

## 18

*Halo, Ellery? Tu Flame.* - Siedziała bokiem na kolanach Chance'a, leniwie bawiąc się kosmykami jego gęstych, czarnych włosów.

- Jak się udał weekend skwierczenia na słońcu? Nie spędziłaś go przypadkiem w przeciwdeszczowej pelerynie? - spytał Ellery Dom, siląc się na powagę. - Z tonu twojego głosu śmiem wnioskować, że wciąż jeszcze bujasz w obłokach, na chmurce numer dziewięć.

Rozbawiło ją to, kiedy popatrzyła przez okrągłe okienka samolotu na pierzaste białe chmurki.

- Jeśli mam być szczerą, właśnie to robię, dosłownie i w przenośni.

W słuchawce zaległa cisza, a potem padło zdumione:

- Gdzie ty jesteś?

Zasłoniła dłonią słuchawkę i spojrzała pytająco na Chance'a.

- Gdzie jesteśmy?

- Około dziesięciu tysięcy metrów nad Dallas. - Lekko się uśmiechnął, nie przestając delikatnie głaskać jej biodra.

Kiedy Flame powtórzyła tę informację Ellery'emu, ten przeraził się nie nażarty.

- Mam nadzieję, że jesteś w samolocie - zauważył.

- Jestem, jestem. - Znowu się roześmiała i nagle zdała sobie sprawę, że mogłaby się śmiać ze wszystkiego, tak bardzo jest szczęśliwa.

- Jeśli w tej chwili lecisz nad Teksasem, to znaczy, że minie następne dwie i pół godziny albo i więcej, zanim przylecisz do San Francisco.

- Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię, Ellery. - Z jednej strony rozsadzało ją pragnienie, żeby podzielić się z nim nowiną, z drugiej zaś stro-



ny pragnęła jak najdłużej przeciągnąć tę chwilę. - Nie przylecę do San Francisco, przynajmniej nie dzisiaj.

- Czemu nie? Dokąd się wybierasz?

- Do Tulsy. - Nie mogła się opanować ani przez chwilę dłużej. - Chance i ja pobraliśmy się.

- Co?

Rozbawiło ją zaskoczenie przyjaciela.

- To nieprawdopodobne, prawda? - Przestała bawić się włosami Chance'a i podniosła do oczu lewą dłoń, żeby popatrzeć na obrączkę i pięciokaratowy, oszlifowany w markizę i oprawiony w platynę brylant, które teraz tak pięknie zdobiły jej serdeczny palec.

- Nieprawdopodobne to niewłaściwe słowo - odparł Ellery. - Flame, czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

Jeszcze raz spojrzała na Chance'a. W jego intensywnie niebieskich oczach odbijała się cała miłość, którą sama czuła.

- Bardzo pewna - mruknęła, odsuwając na bok słuchawkę i pochylając się nieco, żeby pocałować męża, żeby przez kilka cennych chwil ich wargi pozostały ze sobą złączone.

- Mam nadzieję - rzucił półgłosem Ellery.

Zdołał jednak skierować uwagę Flame na właściwe tory.

- Czy mógłbyś oddać mi przysługę, Ellery? Porozmawiaj rano z Timem i powiedz mu, że nie będzie mnie przez kilka dni w pracy. Wyjaśnij, że jadę na skrócony miodowy miesiąc. Powiedz też Debbie, żeby odwołała wszystkie spotkania, które mam w tym czasie.

- Kiedy możemy się siebie spodziewać?

- Chance musi wyjechać w interesach... kiedy powiedziałeś? W środę? - Skinął potwierdzająco głową. - Przylecę w środę. To znaczy, że będę w biu-

rze w czwartek rano. Wszystko jasne?

- Twój miodowy miesiąc nie będzie wiele dłuższy niż narzeczeństwo - zauważył Ellery. - Aha, i jeszcze jedno, Flame...

- Tak.

- Wszystkiego najlepszego i dużo szczęścia, kochanie.

- Dziękuję, Ellery.

- I przekaz Stuartowi, że mam nadzieję, że wie, jakim jest szczęściarzem.

- Przekażę. Pogadamy w środę wieczór. - Odłożyła telefon na miejsce i odwróciła się twarzą do Chance'a, zarzucając mu ręce na szyję. - Ellery nalegał, żebym ci przypomniała, jakim jesteś szczęściarzem.

- Wielkim szczęściarzem - potwierdził ochoczo.

- Ja też. - W milczeniu przyglądała się jego twarzy i w jego oczach dostrzegła wyraz zadowolenia i dumy z posiadania. Uśmiechnęła się, bo czuła to samo. Teraz należeli do siebie i to było wspaniałe. Leniwie odgarnęła kosmyk z jego czoła - Ile jeszcze mamy czasu, zanim wylądujemy w Tulsie?

Z wysiłkiem oderwał wzrok od jej twarzy i wyjrzał przez okno.

- To pod nami wygląda na Red River, a to oznacza, że właśnie przekraczamy granice Oklahomy. Prawdopodobnie będziemy lądować za jakieś dwadzieścia minut.

- Tak szybko - mruknęła z udawanym rozczarowaniem.

- Tak. - W jego głosie zabrzmiał zupełnie nie udawany zawód, kiedy przeniósł wzrok na jej usta. Potem wciągnął głęboko powietrze. - Powinniśmy się chyba przenieść do głównej kabiny. Będziesz miała stamtąd lepszy widok na swój nowy dom.

- Szkoda, bo bardzo mi wygodnie tu, gdzie jestem - zauważyła miękko i musnęła wargami jego policzek, wdychając rześki zapach wody kolońskiej.

- Jeszcze nie jesteśmy na miejscu - przypomniał jej, odwracając głowę, by

ją pocałować.

Dziesięć minut później przerwał im dzwonek wewnętrznej linii telefonu. To pilot, Mick Donovan, powiadomił Chance'a, że za chwilę zacznie zniżać lot nad Tulsa. Z niejakimi oporami Flame zamieniła swoje wygodne miejsce na kolanach Chance'a na bogato wyściełane krzesła w głównej kabinie.

Zapięta bezpiecznie w pasach, pochyliła się w kierunku okna i patrzyła na rozciągający się szeroko, pofalowany wzgórzami pejzaż. Długie, ukośne promienie zachodzącego słońca zapalały jesienne kolory, wydobywając odcienie złota, rdzy i czerwieni i strojąc bogato tę ziemię.

Gdzieś tutaj mieszka Hattie Morgan, przypomniała sobie Flame. Będzie musiała do niej zadzwonić podczas pobytu w Tulsie - oczywiście, pod warunkiem że znajdzie wolną chwilę w trakcie tej krótkiej wizyty.

Wtedy Chance objął ją i wspomnienie Hattie zniknęło jak mgła. Pochylił się, żeby razem z nią wyrzeć przez okno.

- To moje miasto - powiedział. - Odważna i dynamiczna Tulsa.

Ujrzała zarysowane na tle płonącej panoramy czerwonego zachodu lśniące wieżowce miasta, wyrastające i rozpychające się pomiędzy otaczającymi je wzgórzami. Patrzyła na wysokie, smukłe budowle. Ich dumna obecność przypominała jej nieco Chance'a.

- No i jak ci się podoba?

Poczuła, że otarł się policzkiem o jej włosy i zawahała się przez moment. Nie wiedziała, jak wyrazić pierwsze wrażenie, jakie zrobiło na niej miasto: władcze i agresywne, a jednocześnie wynędzniałe, wzburzone i niespokojne. Te same cechy wyczuwała czasami w nim.

Ale wrażenie było zbyt ulotne i nie zdołała ubrać go w słowa.

- Już mi się podoba. Jest żywe i pełne wigoru - odparła.

- Ten czarny budynek z prawej strony to Stuart Tower, tam mieszczą się

centralne biura mojej firmy. - W ostatniej chwili wskazał na gmach, bo samolot właśnie przechylił się i zakreślił w kierunku lotniska. Ręka Chance'a pozostała na jej ramieniu, kiedy oboje oparli się wygodnie w fotelach.

- Jutro rano możesz pójść ze mną do biura. Chciałbym, żebyś poznała Sama i Molly.

- Bardzo bym chciała, kochanie. - Z tych niewielu rzeczy, które usłyszała od niego na ich temat, wywnioskowała, że ta dwójka ludzi była mu prawie tak bliska jak rodzina, której nie miał. - Mam tylko nadzieję, że mnie polubią.

- Na pewno. Chociaż chyba wypadaloby cię ostrzec, że Molly może zachowywać się jak teściowa.

- Ach, potencjalna wiedźma. Więc co mam zrobić?

- Napomknij tylko, jak wspaniały jestem według ciebie, a będzie ci jadła z ręki. - Patrzył na nią zadowolony i pewny, że Molly pokocha ją tak samo jak on. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że mogłoby być inaczej, i o konflikcie, który powstałby wtedy nieuchronnie.

Flame śmiała się głośno.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty nie jesz mi z ręki?

- Jeśli sądzisz, że tak, to pewnie tak jest.

Poczuła, jak jego nastrój zmienia się na bardziej poważny, intymny.

- A co z Samem? Co mam zrobić, żeby jadł mi z ręki?

- Spytaj go o samochody. Facet ma fioła na punkcie wszystkiego, co ma cztery kółka i silnik. Trochę tak, jak ja na twoim punkcie. - Pocałował ją i Flame przegapiła moment, kiedy koła samolotu dotknęły ziemi.

Sam przysiadł na krawędzi biurka Molly, opierając na jego brzegu jedną

nogę. Jeszcze raz głęboko zaciągnął się papierosem i spojrzął z niepokojem na drzwi prywatnej windy Chance'a. Potem przeniósł wzrok na Molly, przyglądając się jej zabiegom wokół świeżych kwiatów, które ustawiła na komodzie za swoim biurkiem. Cofnęła się o krok, żeby obejrzeć rezultat, po czym skinęła głową z zadowoleniem, choć Sam nie zauważył, żeby zmieniła ułożenie choćby jednego kwiatka w bukietcie. Odwróciła się i tym samym krytycznym spojrzeniem omiotła cały pokój. Kiedy zobaczył, że wzrok jej padł na tacę z ustawionymi na niej w idealnym porządku filiżankami i spodkami oraz równie niezbędnymi dzbankiem na mleko i cukiernicą - brakowało jeszcze tylko świeżej kawy - nie wytrzymał nerwowo.

- Nie rękę za siebie Molly, jeśli jeszcze raz dotkniesz tych filiżanek na tacy.

- Nawet o tym nie pomyślałam - zaprotestowała, posyłając mu zniecierpliwione spojrzenie. - Zastanawiałam się tylko, czy nie powinnam była zamówić w piekarni ciasteczek. Uważaj na popiół. Zaraz upuścisz go na podłogę.

- Niech Pan Bóg broni - mruknął pod nosem i podłożył pod papierosa złożoną w garstkę dłoń, po czym przeniósł go delikatnie nad ceramiczną popielniczkę stojącą na biurku Molly. Następnie cofnął dłoń i strząsnął cały popiół z końca papierosa na lśniące dno popielniczki. - Bo pewnie posłałabyś po sprzątaczkę z odkurzaczem.

- Wcale nie. - Natychmiast chwyciła popielniczkę i wysypała jej zawartość do kosza na śmieci pod swoim biurkiem. Potem przy pomocy papierowej chusteczki, którą wyciągnęła ze stojącego na komodzie pudełka, wytarła ją do czysta z resztek popiołu.

- Molly, czy mogłabyś wreszcie skończyć z tą krzątanicą? - Zdusił papierosa w popielniczce, ledwie postawiła ją na biurku. Sam z niecierpliw-

ścią odepchnął się od biurka Molly; był jednym wielkim kłębkim nerwów.

- Chcę tylko, żebyśmy zrobili dobre wrażenie - odparowała i znowu złapała popielniczkę.

- Gdzie oni się podziewają, u diabła? - Spojrzał na zegarek. - Chance powiedział, że będą tu przed wpół do jedenastej, a już jest po jedenastej.

- Chyba nie spodziewałeś się, że będą na czas? - zbesztła go Molly. - Ostatecznie są nowożeńcami. - I westchnęła, mrużąc oczy. Zmarszczki w kącikach ułożyły się w identyczną linię, co jej uśmiechnięte usta - Nie mogę się wprost doczekać, żeby ją zobaczyć.

Sam pokręcił głową i zaczął rozcierać sobie naprężone z emocji mięśnie na karku.

- Szkoda, że nie mogę się z tobą zgodzić.

Molly spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ... - zawahał się, ale zbyt długo już nosił to w sobie. Musiał się tym podzielić. - Mam złe przeczucia w związku z tym małżeństwem - powiedział, z bezsilności zaciskając rękę w pięść, i odwrócił się twarzą do Molly. - Do diabła, nie mogę pojąć, dlaczego on się z nią ożenił, dlaczego najpierw nie omówił ze mną swoich planów?

- On ją kocha. - Dla Molly to wyjaśnienie było całkowicie wystarczające.

- Ale Molly, czy nie widzisz, że to właśnie jest główny problem? Nie wydaje mi się, żeby tym razem Chance wszystko do końca przemyślał.

Potrząsnęła głową, nie chcąc słuchać jego krytyki.

- On wie, co robi.

- Czy aby na pewno? - spytał prowokująco Sam. - Nie będę nawet wspominał o takim drobiazgu, że nie podpisała żadnej przedmałżeńskiej umowy. Zastanówmy się teraz, co się stanie, kiedy ona się dowie o Hattie i o

ranczo. Bo kiedy rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem, po ich powrocie, oświadczył mi, że nie zamierza jej o tym mówić.

- A dlaczego miałby?

- Ponieważ ona dowie się wcześniej czy później. A jeśli będzie trzymał to przed nią w tajemnicy, pomyśl tylko, jak to będzie wyglądało.

- Kiedy przyjdzie czas, Chance na pewno sobie z tym poradzi. Tak jak zwykle - oświadczyła Molly z niezachwianą pewnością. - Za bardzo się martwisz.

- Możliwe. - Lecz z jego chłopięcej twarzy nie zniknął wcale wyraz zatroskania. Odgarnął kosmyk włosów, nieustannie spadający mu na czoło, jakby nie zdawał sobie sprawy, że to daremny trud. - Nie wiem, Molly. Nie potrafię przestać myśleć, że wszystko to dzieje się z mojej winy. Chance polegał na mnie, gdy zlecił mi obserwowanie Hattie, a ja go zawiodłem. Gdybym tylko zwrócił większą uwagę na te jej spotkania z Canonem. Ale mnie się wydawało, że ona szuka jakiegoś prawnego kruczka, żeby nie zapisać ziemi Chance'owi. Sprawdziłem to już z osiem razy w zeszłym tygodniu i wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ona szuka innego spadkobiercy. Nigdy bym na to nie wpadł, że ktoś taki może w ogóle istnieć. Gdybym wiedział... gdybym tego dnia, kiedy poszła do Canona, kazał ją śledzić, wiedziałbym o jej podróży do San Francisco, wiedziałbym z kim się widziała, wiedziałbym wszystko. A Chance od razu, na wstępie, wiedziałby, że Flame to Margaret Rose. To pewne, że nie mielibyśmy wszystkich tych problemów.

- Jesteś takim pesymistą. Sam. - Molly z dezaprobatą pokręciła głową. - Patrzysz na małżeństwo Chance'a jak na jakąś komplikację, a mnie się zdaje, że te najlepsze rozwiązanie. - Światelko przy drzwiach windy zapaliło się na znak, że jest w ruchu. - Oto i oni. - Molly szybko usiadła za biurkiem, chwy-

ciła pióro i notatnik i poprawiła przyprószone siwizną włosy. - Szybko. Postaraj się wyglądać na zajętego - popędziła Sama.

- Zajętego? - Zdumiony, zmarszczył czoło. - Ależ oni już tu jadą.

- Wiem. Ale nie może przecież wyglądać na to, że siedzimy beczynnie i cały czas na nią czekamy.

- Czemu nie? Przecież właśnie to robimy od dwudziestu minut.

- Nie możemy jej tego okazać. - Zatrzymała wzrok na klapie marynarki Sama. - Masz na klapie pyłek z papierosa, albo jakąś nitkę.

Sam strzepnął to coś końcami palców, rozbawiony jej nerwową dbałością o porządek i schludność otoczenia, kiedy on niepokoił się całą tą sytuacją.

- Dziwię się, że jeszcze mi nie kazałaś napluć sobie na palce i przyklepać sterczących kosmyków - mruknął pod nosem.

Delikatny dźwięk towarzyszył szumowi rozsuwających się drzwi windy, ucinając niewątpliwą ripostę Molly. Teraz uśmiechnęła się radośnie do wychodzącej z windy pary. Samowi wystarczyło jedno spojrzenie na pannę młodą, żeby zrozumieć, dlaczego tej kobiecie udało się złamać serce Chance'a, podczas gdy tak wielu innym przed nią się to nie powiodło. Krótko mówiąc, była porażająca, wspaniała, nienatrętnie seksowna, co szczególnie dało się zauważyć w tej miękkiej sukience z angory o kroju przedłużonego swetra. Ale... im dłużej Sam się jej przyglądał, tym więcej pod tym ciepłym i jaśniejącym obliczem widział podobieństw do Hattie. Takie drobiazgi, jak na przykład dumny sposób noszenia głowy, ostre spojrzenie zielonych oczu i pewność siebie, która przebijała z jej sylwetki, z wyprostowanych, szerokich ramion. Słusznie czy też nie, odniósł wrażenie, że jej temperament świetnie pasował do płomiennego koloru włosów i wystarczyła mała iskierka, jak choćby fakt, że ktoś próbuje nią manewrować, by rozgorzał. Miał wielką nadzieję, że Chance wie, co robi.



- Czy mogę pocałować pannę młodą? - zapytał po początkowych, wy-  
lewnych powitaniach.

- Oczywiście. - To Flame pośpieszyła z odpowiedzią.

Sam zerknął ze zdziwieniem na Chance'a i z trudem ukrył falę złych  
przeczuć, które nagle go ogarnęły. Musnął ustami podsunięty do pocałunku  
policzek, wdychając aromatyczny zapach perfum. Chance był kompletnie  
nieporuszony reakcją Flame, ale Sam już wyrobił sobie opinię. Według niego  
były to pierwsze słowa ostrzeżenia: oto kobieta, która ma własny rozum i nie  
pozwala nikomu sobą kierować.

- Mam świeżo zaparzoną kawę - zaproponowała Molly. - Napijcie się po  
filiżance?

- U mnie w biurze - wtrącił Chance, rzucając pytające spojrzenie na Sama. -  
Przyłączysz się chyba do nas?

- Jak najbardziej. Za pamięci - rozpoczął podążając za nimi do biura  
Chance'a - Patty prosiła mnie, żebym zaprosił was na obiad na niedzielę.  
Bardzo chciałyby poznać Flame.

- Obiad w niedzielę. - Chance spojrział na Flame i ciepłym, pożądlivym  
wzrokiem przebiegł po jej twarzy. - Do tej pory powinniśmy już być z po-  
wrotem?

- Z powrotem? Skąd? - zasepił się Sam i nagle sobie przypomniał: - Ach,  
tak. Masz w środę lecieć do Padre Island.

Nieznaczne skinienie głowy było jedyną reakcją Chance'a, który sprawiał  
wrażenie zbyt zajętego swoją młodą żoną, by ktokolwiek lub cokolwiek było  
w stanie skupić jego uwagę.

- Tymczasem Flame poleci do San Francisco i uporządkuje tam swoje spra-  
wy. Co oznacza, Molly, że musisz zrobić dla niej rezerwację na środowy  
samolot, ale tylko w jedną stronę. Przylecę po nią w piątek i wrócimy tu ra-

zem.

- Zaraz sobie zanotuję.

Samowi nie podobało się to, co usłyszał, i zareagował natychmiast:

- Jest parę spraw, które chciałbym z tobą omówić, Chance. - Spojrzał przepraszająco na Flame. - Proszę mi wybaczyć, że go tak szybko porywam. Ale interesy mają swoje prawa. Rozumie pani?

- Oczywiście. Nie ma problemu.

- Obiecuję, że nie zatrzymam go zbyt długo.

- Molly, dlaczego nie pokażesz Flame biur i nie przedstawisz jej pracowników? - zaproponował Chance. - Tylko pamiętaj, przyprowadź ją tutaj przed dwunastą. Jesteśmy umówieni na obiad.

- Oczywiście, bez problemu.

Na chwilę objął Flame i mocno przycisnął ją do siebie.

- Molly jest przekonana, że jestem ideałem. Postaraj się jej zbytnio nie rozczarować.

- W jaki sposób, skoro całkowicie się z nią zgadzam? - odparowała tym samym żartobliwym tonem.

- Już ją polubiłam, Chance - oświadczyła Molly.

- Wiedziałem, że tak będzie. - Ale jego uśmiech był skierowany do żony, a spojrzenie promieniało dumą posiadania.

- Chodź Flame, zostawmy ich z interesami - zaproponowała Molly.

Sam zauważył, jak trudno jest Chance'owi oderwać oczy od wychodzącej z pokoju żony. Jakby nie chciał stracić jej z oczu. Sam miał te same obawy, tyle że z trochę innych powodów. Kiedy kroczyli razem korytarzem, Chance z wysiłkiem skierował w końcu swoją uwagę na Sama.

- Porozmawiamy u mnie w biurze - rzucił, zakładając, że Sam przyjmuje propozycję. Skierowali się do ciężkich orzechowych drzwi. Sam wszedł za

nim do środka i zamknął za sobą drzwi. Chance podszedł prosto do biurka i zaczął przeglądać pozostawione dla niego wiadomości, których nazbierało się trochę w czasie jego nieobecności.

- O co chodzi, Sam?

- Zacznijmy może od tego, że nie wydaje mi się dobrym pomysłem, żeby jechała sama do San Francisco. Co będzie, jeśli Hattie zechce się z nią w tym czasie skontaktować?

- Wziąłem to pod uwagę. Chcę, żebyś porozumiał się z Sawyerem i polecił mu, by czekał na nią w środę przy wyjściu. Ktoś ma ją obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę i chcę mieć jej telefon na podsłuchu. Jeśli ktokolwiek, Hattie, Canon, ten detektyw Barker, spróbuje się z nią skontaktować, Sawyer musi temu przeszkodzić. Będę tam przed piątkiem.

- A co będzie do piątku? Albo po waszym powrocie z San Francisco? Nie dasz rady być z nią przez cały czas, Chance - argumentował Sam.

- Kiedy będzie w domu, Andrews może kontrolować wszystkie telefony. A jeśli będzie gdzieś wychodziła, na zakupy, albo tenisa, to prawdopodobnie z Patty. Nie zna tu nikogo więcej. A zanim się zdomowi, nie będzie miała okazji poznać nikogo poza ludźmi, których jej przedstawię.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto. Wszystko zapięte na ostatni guzik, ale tak nie jest, Chance. - Sam podniósł ostrzegawczo dłoń. - Co będzie, jeśli to się nie uda? Jeśli to Flame skontaktuje się z Hattie? Wiesz przecież, że nie można tego wykluczyć. Na pewno ma jej numer telefonu. Co ją powstrzyma przed zadzwonieniem do Hattie, wypytaniem się o drogę i przejazdówką, żeby się z nią zobaczyć?

- Najpierw mi o tym wspomni.

- A jeśli tego nie zrobi? Przecież może jej to, ot tak po prostu, nagle przyjść do głowy. - Sam położył obie dłonie na granitowym blacie biurka, starając

się jak najlepiej wyłożyć swoje racje i przebić się przez beztroskę przyjaciela. - Skąd będziesz o tym wiedział?

- Dowiem się. - Chance cisnął plik kartek z wiadomościami, aż rozsypały się po całym biurku, i stracił panowanie nad sobą. Od dwóch dni towarzyszyło mu napięcie - napięcie związane z tym, że żył w niebie i piekle jednocześnie. Spojrzał Samowi prosto w oczy. - Dowiem się, nawet gdybym miał założyć podsłuch we własnym domu i musiał zacząć śledzić każdy jej krok już od tej chwili. Do cholery, Sam, wiem, że nie mogę wyeliminować ryzyka, ale mogę je przynajmniej ograniczyć do minimum. - Nie podnosił głosu, tylko jego ton zmienił się na bardziej stanowczy. - I właśnie to zamierzam zrobić.

- Przepraszam cię - zaczął Sam z wahaniem, cofając się przed tą falą z trudem kontrolowanego gniewu. - Ja tylko...

- Wiem - uciął krótko Chance, odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna. Wziął głęboki oddech, już zaczynał żałować, że tak się zdenerwował na przyjaciela. - Podczas tego weekendu odkryłem, jak wielka jest moja chciwość, Sam - powiedział, przyglądając się miastu, które rozciągało się za szklaną taflą. - Chcę mieć Flame i chcę mieć tę ziemię. Zrobię wszystko, co będzie musiał, żeby nie stracić żadnej z nich.

- Rozumiem.

- Na pewno? - Uśmiechnął się kwaśno, nie do końca o tym nie przekonany. Przerwał im dźwięk telefonu.

- Odbiorę. - Sam sięgnął przez biurko i podniósł słuchawkę. - Tak, tu Sam Weber. - I zaraz opuścił słuchawkę, przesłaniając ją dłonią. - To Maxine.

Chance odwrócił się gwałtownie i wyciągnął rękę.

- Daj, porozmawiam z nią. - Wyjął słuchawkę z dłoni Sama. - Tak, Maxine.

- Zamarł w bezruchu, słuchając w napięciu szybko przekazywanych

wiadomości. - Dziękuję, że mnie poinformowałaś. - Powoli odłożył słuchawkę na widełki.

- O czym cię poinformowała? - spytał Sam, przyglądając mu się bacznie.

Chance nie odrywał dłoni od słuchawki.

- Chodzi o Hattie. Maxine twierdzi, że jest bardzo chora. Według niej to nie potrwa długo.

Sam powoli, z ulgą wypuścił powietrze z płuc.

- Aż nie chce mi się w to wierzyć. Mam nadzieję, że to prawda i czuję się okropnie.

- Ja nie.

- Wygląda na to, że wszystko rozwiąże się szybciej, niż przypuszczałem. Robi się gorąco.

- Wiem.

## 20

Słońce odbijało się od brylantu, rzucając tańczące blaski na tablicę rozdzielczą samochodu. Flame machinalnie przyglądała się ciągle jeszcze obcej scenerii wielkiej i zuchwałej Tulsy. Będzie musiała się przyzwyczaić do olbrzymiego sklepienia bladobłękitnego nieba, które zdawało się rozciągać w nieskończoność, nie zakłócone płynącymi znad oceanu, spiętrzonymi chmurami, czy kobiercem mgieł.

W chwilach takich jak ta, kiedy wyraźnie działała na nią obcość otoczenia, wszystko wydawało jej się nierealne. Dotknęła pierścionka na palcu, tego, który włożył jej Chance. Był fizycznym dowodem na to, że nie śni. Naprawdę była jego żoną.

Flame Stuart. Uśmiechnęła się, bo ładnie to brzmiało.

Choć zamierzała zrezygnować z pracy w agencji, planowała kontynuować karierę tu, w Tulsie. Oczywiście, nie od razu. W ciągu najbliższych kilku

miesiące będzie spędzać jak najwięcej czasu z Chance'em. Później pomyśli o zatrudnieniu się w którejś z tutejszych agencji. A może będą pracować razem w jego firmie - mogłaby zająć się kampanią reklamową dla jego rozlicznych przedsięwzięć. Tak czy siak, wiedziała, że na pewno będzie potrzebowała tego wyzwania i umysłowego treningu, jakie dawała jej praca.

Uśmiechnęła się do siebie. Wszystko zdarzyło się tak nagle - ślub, który nastąpił natychmiast po oświadczeniach, a w niecałe dwanaście godzin później przyleciała tutaj, ze swoim nowym mężem, do swojego nowego domu. A jaki wspaniały jest ten dom! Rezydencja zbudowana w latach trzydziestych, stylizowana na wdzięczne wille Andrei Palladia. Przypomniała sobie, jak Chance wniósł ją przez próg do marmurowego foyer z wielkimi, zakręconymi schodami i jak zabrał ją do głównej sypialni.

Z westchnieniem przeczesła palcami włosy i założyła je za ucho. Zaczynało do niej docierać, jak nieprawdopodobnie dużo wydarzyło się ostatnio. Wielki Boże, porzuciła swój dom, pracę, przyjaciół - wszystko, co miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Ale zdawała sobie z tego sprawę, kiedy brała ślub. Wtedy nie miało to dla niej znaczenia, ponieważ on tam z nią był, tuż obok. Odrzutowiec nad jej głową pozostawił za sobą jasną smugę na niebie. Przypomniała sobie, że Chance jest już w połowie drogi do Teksasu. Żałowała, że nie ma go tu teraz. Mogłaby wziąć go za rękę i fizycznie czuć, że nie jest w tym wszystkim osamotniona. Dotknęła palcami obrączki i westchnęła z tęsknotą.

- Czy coś się stało?

Przestraszyło ją to pytanie, które przerwało zupełną ciszę. Spojrzała spłoszona na mężczyznę za kierownicą, bo nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Tak naprawdę, nie mogła przyznać się Samowi Weberowi, że przeżywa właśnie poślubne rozterki, zwłaszcza że w głębi serca nie miała wątpliwości co

do swojej decyzji.

- Nie. Myślałam po prostu o tym wszystkim, co będę musiała załatwić w San Francisco. - Świadoma badawczego spojrzenia, które na niej zatrzymał, przeniosła wzrok na ruchliwą ulicę. - Daleko jeszcze na lotnisko?

- Mniej więcej dziesięć minut. Co oznacza - przerwał, by zerknąć na samochodowy zegar - że będziemy tam prawie czterdzieści pięć minut przed odlotem samolotu.

- Nie rozumiem, dlaczego Chance upierał się, żebyś mnie odwiózł na lotnisko. Mogłam przecież wziąć taksówkę, albo mógłby mnie odwieźć Andrews. Niepotrzebnie się fatygowałeś. Jestem pewna, że jest wiele ważniejszych rzeczy, mógłbyś robić w tym czasie.

- Niekoniecznie przyznam pani rację. - Sam oderwał wzrok od drogi i przesłał jej chłopięcę, figlarny uśmiech. - Dla mnie to bardzo miła przerwa w zajęciach.

- No cóż, skoro tak mówisz. - Miała nadzieję, że nie żartował.

Czasami odnosiła wrażenie, że Sam nie był uszczęśliwiony ich ślubem. Nie, żeby coś na ten temat wspomniał. Czasami po prostu spoglądał na nią w taki sposób, jakby chciał ją zapytać o powody jej decyzji. Może wydawało mu się, że poślubiła Chance'a dla jego pieniędzy. Co oczywiście nie było prawdą. Jego majątek nic dla niej nie znaczył, ale oczywiście Sam nie mógł o tym wiedzieć.

- Przykro mi, że Chance musiał wyjechać tak szybko po waszym ślubie - Sam wyglądał na szczerze zmartwionego. - Powinniście byli pojechać na długi miodowy miesiąc.

- Nic się nie stało. - Flame uspokajająco potrząsnęła głową. - Od początku zdawałam sobie sprawę, że jego praca związana jest z niekończącymi się podróżami. Może to nawet lepiej, że nasze małżeństwo zaczyna się tak, jak

cały czas będzie wyglądało.

- Możliwe. Ale według mnie nowożeńcom potrzebne jest krótkie sam na sam. Powiedziałem Chance'owi, zanim wyjechał, że Molly i ja możemy przyjrzeć się jego planom i spróbować zorganizować dla was te trzy czy cztery tygodnie. To nie powinno być takie trudne - oczywiście, jeśli nie wyskoczy nic nieprzewidzianego.

- Sam... - zaczęła Flame, poruszona jego troskliwością. Zastanawiała się właśnie, czy przypadkiem źle go nie osądziła.

Lecz on nie dał jej skończyć.

- Lepiej pomyśl, gdzie chcielibyście pojechać, w przeciwnym razie Molly wszystko sama wam zaplanuje ostrzegła Sam, spoglądając na nią z wesołymi błyskami w piwnych oczach. - Już poinformowała Chance'a, że powinien cię zabrać do Wenecji.

- Naprawdę? - Flame uśmiechnęła się, rozbawiona spiskiem, który rozgrywał się za jej plecami.

- Tak. - Sam zawahał się. - Molly potrafi być czasami apodyktyczna, szczególnie gdy chodzi o Chance'a. Ale ma dobre zamiary. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- To samo powiedział mi Chance. - Uśmiechnęła się szeroko. - Prawdę mówiąc poinformował mnie, że Molly będzie czymś w rodzaju mojej teściowej.

Sam zachichotał.

- To prawda. Znasz chyba taki frazes o tym, że ktoś jest słońcem twojego życia. Dla Molly Chance jest słońcem. I niech no ktoś odważy się rzucić cień na jego życie, a będzie miał z nią do czynienia.

- Właśnie takie wrażenie odniosłam. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to lubię ją.



- Nie można nie lubić Molly. To prawdziwa kobieta. Kiedy poznasz ją lepiej, zrozumiesz, co mam na myśli. - Przerwał na moment i spojrzał z boku na Flame; wymuszony, chłopięcy uśmiech ściągnął jeden kącik jego ust. - Mam nadzieję, że w jej wieku będę miał choć połowę jej energii i odwagi. Czy wiesz, że po raz pierwszy w życiu wybrała się na polowanie i na ryby, kiedy była już dobrze po czterdziestce? I wyobraź sobie, że złowiła rekordowy okaz. Wiem o tym, bo tam byłem. Prawdę mówiąc, to ja zabrałem ją na polowanie. Jest w niej jeszcze coś: jest niesłychanie niezależna. Kiedy zaczęła pracować dla Chance'a, uczęszczała na wieczorowe kursy mechaniki samochodowej, ponieważ doszła do przekonania, że w warsztacie samochodowym ją wykorzystują, bo jest kobietą i nie wie nic o samochodach. A skoro już mowa o samochodach, przypomnij mi, żebyś mi pokazał moje przedpotopowe porsche, jak przyjdziecie z Chance'em w niedzielę na obiad.

- Wspominał mi coś o twoim hobby. Rekonstruujesz zdaje się stare modele sportowych wozów.

- Patty powiedziała ci, że to moja pasja. - Raz jeszcze na twarzy Sama pojawił się ten chłopięcy uśmiech. - Nie wiem, czy ja użyłbym tego słowa, ale rzeczywiście lubię majstrować przy samochodach. Zawsze się tym zajmowałem. Dla mnie jest to sposób na relaks, a poza tym jest to hobby, które mogę dzielić z synami, tak jak łowienie ryb i polowanie. Mamy czterech synów. Najmłodszy ma jedenaście lat, najstarszy, szesnaście. Właśnie kończymy model Corvette for Drake z siedemdziesiątego szóstego. To nasz najstarszy samochód. - Światła hamulcowe samochodu, który jechał przed nimi, zapaliły się i kolejne pojazdy zaczęły hamować; na autostradzie powstał korek. - A to co znowu? - Sam zmarszczył brwi, hamując. - Korek o tej porze?

Lecz to nie był zwykły korek. Samochody najpierw zwolniły, żeby po następnych kilkuset metrach zupełnie się zatrzymać.

Flame wydało się, że słyszy dźwięk syreny alarmowej.

- Sądysz, że to jakiś wypadek?

- Możliwe. - Sam przechylił głowę i zerknął w boczne lusterko. - Właśnie jedzie policjant na motocyklu. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. - Spuścił szybę i machnął ręką na policjanta powoli przedzierającego się pomiędzy stojącymi samochodami. - Co się stało, panie władzo?

- Traktor z przyczepą przewrócił się i zablokował przejazd. - Odpowiedź policjanta w połowie zagłuszył ryk silnika motocykla. - Już tam jest holownik, więc nie powinno to potrwać dłużej niż dziesięć minut.

- Mam nadzieję. - Sam spojrzął na zegarek. - Śpieszymy się na samolot.

Utknęli pomiędzy zjazdami z autostrady i nie mieli innego wyboru, jak tylko przeczekać. Dziesięć minut zamieniło się w piętnaście, a później w dwadzieścia. W końcu po dwudziestu pięciu minutach ruch został przywrócony.

Kiedy podjechali pod budynek odlotów, Flame zostało niecałe piętnaście minut.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, to twój lot się opóźni. Zwykle tak się dzieje - powiedział, wyciągając w pośpiechu bagaże z samochodu. - Lepiej będzie, jak nadamy twoje bagaże przy wejściu do samolotu. Będziemy mieli pewność, że polecą tym samym samolotem co ty.

Kiedy szli w kierunku szklanych drzwi wejściowych, zatrzymała ich straż lotniskowa.

- Przepraszam pana, ale nie może pan tu zostawić swojego samochodu. Tu można się zatrzymać tylko na pół minuty i wyładować bagaże.

- To mi nie zajmie więcej niż pięć minut. Obiecuję. - Sam próbował się targować, lecz nic z tego nie wyszło. Z westchnieniem dał za wygraną i zwrócił się do Flame:

- Wygląda na to, że będziesz musiała sama iść do odprawy. Ja w tym czasie zaparkuję samochód. On jest głuchy na argumenty. Poradzisz sobie z walizkami? Podobno w środku są wózki bagażowe.

- Dam sobie radę - zapewniła go Flame.

- Dobra. - Z ociążaniem podał jej dwie torby. - Będę przy wejściu, jak tylko zaparkuję samochód.

- To nie jest wcale konieczne, Sam...

- Będę tam, tak czy tak. Na wypadek, gdybyś nie zdążyła na samolot albo gdyby było opóźnienie - uciął krótko jej protesty.

Flame zorientowała się, że dalsza argumentacja będzie tylko stratą czasu, więc dała za wygraną. Z torbą podróżną w każdej ręce weszła do terminalu i skierowała się do tablicy świetlnej, informującej o odlotach i podającej numery odpowiednich wyjść.

Przebiegała wzrokiem tablicę w poszukiwaniu swojego lotu, kiedy jakiś człowiek zwrócił się do niej, lekko przeciągając słowa:

- Bardzo panią przepraszam.

Odruchowo spojrzała na mężczyznę, który zatrzymał się obok niej. Był to starzejący się kowboj w brązowym ubraniu ze sztucznego tworzywa, z teksańską kurtką o odciętym karczku.

- Pani jest Margaret Rose, prawda? - Patrzył kaprawymi, niebieskimi oczyma na jej włosy. - Panna Hattie mówiła, że od razu panią rozpoznam po rudych włosach.

- Hattie Morgan. - Flame wzdrygnęła się na dźwięk tego nazwiska. - Miałam zamiar zadzwonić do niej po powrocie - powiedziała bardziej do siebie niż do starzejącego się kowboja. - Czy pan ją zna? - spytała i uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, że odpowiedź jest przecież oczywista.

- Tak, proszę pani. - Zerwał z głowy biały filcowy kapelusz z szerokim

rodem, jakby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, i trzymał go przed sobą. Rzadkie, siwe włosy od noszenia kapelusza przyklejone były do głowy. - Panna Hattie mówiła mi, że wspomniała pani o mnie. Nazywam się Charlie Rainwater i jestem zarządcą w Morgan's Walk.

- Tak, rzeczywiście. Miło mi pana poznać, panie Rainwater. - Przez chwilę mierzyła z zaciekawieniem żylaste, szczupłe ciało, układające się w półksiężyc białe wąsiki i bardzo ciemną karnację, przez lata chłostaną wiatrem i paloną słońcem. Mężczyzna miał mocną, szczupłą twarz o miłym, delikatnym wyrazie i takie samo spojrzenie.

- Skąd pan wiedział, że będę... - przerwała, słysząc zapowiedź przez megafony. - To mój lot. Muszę już iść. Proszę przekazać...

- Nie może pani odlecieć, proszę pani. - Podniósł dłoń, jakby chciał ją powstrzymać. - Panna Hattie chce się z panią zobaczyć.

- Ale...

- Proszę pani, ona umiera - przerwał zdecydowanie jej protesty.

- Co takiego? - Flame wpatrywała się w starego człowieka, zaszokowana jego wyznaniem.

- To prawda, proszę pani. Chciałbym, żeby było inaczej, ale życzenia nic tu nie mogą zmienić.

- Ale przecież... rozmawiałam z nią jeszcze w zeszłym tygodniu. Przez telefon wydawało mi się, że czuje się dobrze. - Próbowwała otrząsnąć się z szoku. - Co się stało? Czy miała atak serca?

- Nie, proszę pani. - Pochylił głowę i przez chwilę Flame nie widziała jego twarzy. - Ma guza mózgu. Ostatniej wiosny lekarze powiedzieli jej, że nic nie mogą zrobić.

- To niemożliwe - szepnęła przypominając sobie desperację, jaką wyczuwała w starszej kobiecie. Przypisywała to samotności. A powód był zu-

pełnie inny.

- Ona pyta o panią, panno Margaret. - W wodnistych oczach mężczyzny kryła się cicha prośba. - Pojedzie pani ze mną do Morgan's Walk? Obiecałem jej, że panią odnajdę i przywiozę ze sobą. Jeśli taka będzie wola Najwyższego, to może jeszcze zdążymy.

- Ja... - Flame spojrzała niepewnie na świetlną tablicę. Pulsujący numerok oznajmiał, że pasażerowie już wsiadają do jej samolotu. Ale nie musi przecież wracać do San Francisco właśnie tym samolotem. Może złapać następny... trochę później. Odwróciła się do siwowłosego kowboja i uśmiechnęła się blado.

- Pojadę z panem.

W jego spojrzeniu pojawiła się głęboka wdzięczność.

- Dla Hattie to najważniejsza rzecz na świecie. Dziękuję pani. - Z powrotem wcisnął kapelusz na głowę i sięgnął po torby Flame. - Na zewnątrz czeka na nas samochód. Proszę za mną...

Zawahała się, kiedy pomyślała, że dobrze by było poczekać na Sama i poinformować go o zmianie planów. Lecz pomarszczona i wyblakła twarz zarządcy zdradzała niepokój i niecierpliwość - chciał jak najszybciej wyruszyć do Morgan's Walk. A najbardziej liczył się czas. Flame skinęła głową i ruszyła do szklanych drzwi.

Kręta droga i półkolisty podjazd prowadziły do majestatycznej gregoriańskiej posiadłości z czerwonej cegły, która stała na szczycie wzniesienia górującego nad długą, złotą doliną oskrzydloną szeregiem wzgórz pomalowanych jesiennymi kolorami złota, rdzy i fioletu. Po prawej stronie drogi, w odległości niecałych stu metrów, otoczone grupą dębów wznosiły się zabudowania gospodarcze. Wiejski styl użytkowych budowli ostro kontrasto-

wał z subtelnym majestatem ziemskiej posiadłości.

Przez okno samochodu Flame przyglądała się imponującej dwupiętrowej budowli, filarom przy wejściu i lśniącej bielą okiennicom. To była Morgan's Walk, zaprojektowana przez jej pradziadka, Christophera Morgana. Zmarszczyła czoło; zastanawiała się, dlaczego stąd wyjechał. Dlaczego przeniósł się do San Francisco. Hattie nigdy jej tego nie wyjaśniła. Prawdę mówiąc, nigdy ją o to nie spytała, przekonana, że San Francisco jest z pewnością lepszą alternatywą niż mieszkanie gdzieś w zabitej dziurze w Oklahomie. Ale wtedy nie zdawała sobie sprawy, że porzucił coś tak niezwykłego. Dlaczego?

Lincoln ustawił się za dwoma zaparkowanymi samochodami. Zanim ucichł dźwięk silnika, Charlie Rainwater wyskoczył z samochodu i otworzył przed nią tylne drzwi. Wyczuwając jego pośpiech, Flame nie marnowała czasu i szybko wysiadła z samochodu.

- Doktor Gibbs jeszcze tu jest. To chyba dobry znak. - Charlie skinął głową w kierunku samochodu zaparkowanego przed lincolnem. Potem ujął Flame pod ramię i zaprowadził do kolumn przy wejściu.

- Mam nadzieję - powiedziała półgłosem, nie mogąc uwolnić się od wspomnień pośpiesznej podróży, podobnej do tej, wtedy po wypadku samochodowym, w którym zginął jej ojciec, a niedługo później zmarła jej matka.

W środku popołudniowe słońce wlewało się strumieniami przez ołowiowe szyby i rzucało złote blaski na wymyślny wzór parkietu w przestronnym holu. Flame mimowolnie przebiegła wzrokiem po ozdobnych gzymsach na suficie, lśniącej kryształowym kandelabrze i umeblowaniu zgodnym z duchem epoki. Wnętrze rezydencji potwierdzało wrażenie elegancji i pewnej formalności stylu, jakie zapowiadała zewnętrzna architektura. Lecz największe wrażenie robiła panująca tu cisza i bezruch. Flame zerknęła na kowboja,

który właśnie zdjął kapelusz i przeczesywał palcami rzadkie siwe włosy, próbując jakoś zaradzić ich przyleganiu do głowy.

- Zaraz przyniosę tu bagaże, proszę pani, ale byłoby najlepiej, żebyśmy natychmiast poszli do panny Hattie.

- Tak, oczywiście.

Poprowadził ją do lśniących dębowych schodów, które wspaniałym zakolem wznosiły się na pierwsze piętro. Kiedy Flame wchodziła na górę, opierała rękę o gładką poręcz, pociemniała od dotyku wielu rąk, które spoczywały na niej przed nią... rąk Morganów. Raz jeszcze ogarnęła ją fascynacja przeszłością i ciekawość ludzi, którzy tu mieszkali.

„Twoje korzenie przyciągają cię tutaj”. To właśnie powiedziała jej Hattie. Czy stało się to właśnie teraz? Hattie pewnie powiedziałaaby, że tak. Hattie... Flame spojrzała w górę na podest drugiego piętra i skupiła na niej myśli.

U szczytu schodów spojrzała niecierpliwie na podwójne drzwi, za którymi z pewnością znajdowała się główna sypialnia.

Lecz Charlie Rainwater wskazał kapeluszem w prawo. - Tam jest pokój panny Hattie.

Tym razem ruszył przodem. Natychmiast, gdy przekroczyła próg pokoju, poczuła ucisk w gardle - ogarnął ją lęk. Wszystkie kotary były zasunięte, odcinając popołudniowe słońce. Kąty pokoju tonęły w ciemnościach. Lampka na serwantce rzucała nikłą smugę światła.

- Dlaczego tu jest tak ciemno? - Miała ochotę jednym szarpnięciem odsunąć zasłony, by zniknęło wrażenie, że śmierć czai się w ciemnych rogach pokoju.

- Światło razi ją w oczy - odpowiedział stojący z prawej strony, wysoki mężczyzna o umęczonym wyglądzie. Rękawy koszuli miał podwinięte do góry, a kamizelka jego garnituru ściśle opinała obfity brzusek.

- To jest doktor Gibbs, proszę pani.

Zanim jeszcze zarządca zdążył przedstawić lekarza, Flame dostrzegła słuchawki wiszące na jego szyi i sama się domyśliła. Uśmiechnął się smutno.

- Margaret Rose - powiedział lekarz kojąco niskim, spokojnym głosem - cieszę się, że mogła pani przyjechać. Hattie pytała o panią.

Flame przyglądała się nieruchomej sylwetce, która spoczywała w półmroku, na wspartym czterema filarami łożu.

- Czy ona nie powinna być w szpitalu?

- Bardzo niewiele można w tej chwili dla niej zrobić - oświadczył lekarz niechętnie, zdradzając swą frustrację z powodu bezsilności, której nie mógł zaprzeczyć pomimo swych kwalifikacji zawodowych. - A życzyła sobie zostać tutaj, w swoim domu, w swoim łóżku. - Sięgnął do torby z przyborami, która stała na serwantce; na wierzchu leżała przygotowana strzykawka. - Zamierzałem dać jej coś przeciwbólowego, ale nie chciała o tym słyszeć.

- Chciała mieć jasny umysł na spotkanie z panią, pani Stuart.

Z ciemności dobiegł trzeci głos. Przestraszona Flame odwróciła się do niskiego, tęgiego mężczyzny, który pojawił się w przyciemnionym świetle.

W jakiś sposób przypominał Flame krasnoludka. Może sprawił to jego niewielki wzrost (około metra sześćdziesięciu), może białe skarpetki, które nosił do starego garnituru, a może krzykliwy zielony krawat albo świecąca łysina, częściowo przykryta pasmami kasztanowych włosów. A może wreszcie jowialny owal twarzy. A jednak pary bardziej przenikliwych piwnych oczu Flame nie widziała jeszcze nigdy w życiu.

- Ten pan to Ben Canon, adwokat panny Hattie - wyjaśnił Charlie Rainwater.

- Dzień dobry panu.

Kiedy w odpowiedzi adwokat skinął głową, z łoża doleciał cienki, słaby głos:



- Kto to? Kto tu jest?

Jakby ten ledwo słyszalny, pytający ton był dla niego rozkazem, starzejący się zarządca błyskawicznie znalazł się przy łóżku. Pochylił się nad swą panią i delikatnie przykrył dłonią jej rękę.

- To ja, panno Hattie, Charlie - powiedział wzruszająco ciepłym głosem. - Ona tu jest. Przywiozłem ją, tak jak obiecałem.

Staruszka westchnęła, a potem zawołała z podnieceniem:

- Maxine?

- Ciii - Charlie próbował ją uciszyć. - Odesłałem ją dziś do domu. Przekonałem ją, że powinna odpocząć po tych dwóch nocach, które spędziła przy pani łóżku.

- Dobrze. - Skinęła nieznacznie głową.

- Przyrowadź ją do mnie, Charlie. Przyrowadź do mnie Margaret Rose. - Teraz jej głos przybrał na sile.

Zarządca spojrział na Flame, zawahał się i przeniósł wzrok na stojącego obok niej lekarza. - A co z doktorem, panno Hattie?

- Powiedz mu... powiedz, żeby sobie poszedł. - Próbowała chwycić dłoń Charliego. - Ty i Ben, chcę, żebyście zostali.

- Dobrze. - Zarządca skinieniem głowy wskazał lekarzowi drzwi i dał znak Flame, żeby podeszła do łóżka.

Doktor nie wyglądał na zachwyconego, lecz nie zaoponował.

- Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował, Charlie.

Kiedy bezszelestnie wymknął się z pokoju, zamykając za sobą drzwi, Flame powoli podeszła do łóżka, osaczona mglistym wrażeniem, że już to wszystko kiedyś przeżyła. Sceneria, okoliczności, postaci, to było inne. To nie był szpitalny pokój. To nie matka leżała w łóżku. Nie zdarzył się żaden wypadek. A jednak miała to samo dotkliwe przeczucie - przeczucie, że oto

ostatni raz widzi Hattie żywą.

Charlie Rainwater usunął się na bok, robiąc Flame miejsce przy łóżku. Cienie jakby się rozsunęły, ukazując wyraźnie kobietę, której głowa i ramiona wsparte były na puchowych poduszkach. Chmura siwych włosów nad głową była taka sama jak przedtem, ale twarz kobiety wydawała się starsza, dużo starsza od tej, którą zapamiętała Flame. Pergaminową skórę zryły bruzdy bólu, usta miała blade i zaciśnięte. Śmiertelną bladość twarzy uwydatniała jeszcze staromodna, intensywnie różowa, pikowana satynowa podomka.

Flame przełknęła ślinę, żeby przeczyścić ściśnięte gardło i uśmiechnęła się blado.

- Dzień dobry, Hattie. To ja, Margaret Rose.

Staruszka zamrugła powiekami i otworzyła bardzo ciemne, prawie czarne oczy. Usiłowała skupić spojrzenie na Flame.

- Margaret Rose? - Zmarszczyła jeszcze bardziej i tak już zryte bruzdami czoło. - Podejdź bliżej. Nie widzę cię.

Flame posłusznie usiadła na brzegu łóżka i pochyliła się nad chorą. Ciemne oczy ożywiła ulga.

- Twoje włosy. - Uniosła zdeformowaną dłoń, jakby chciała dotknąć włosów Flame, lecz nie starczyło jej siły i ręka opadła z powrotem na łóżko.

- To ty - wyszeptała, jakby ledwo wydychając słowa.

- Tak. - Flame dotknęła kościstej, przebarwionej ze starości dłoni i delikatnie ją uścisnęła.

Oczy Hattie pociemniały nagle z gniewu, kiedy spojrzała ostro i oskarżające na Flame.

- Obiecałaś mi. Dałaś mi słowo. Jak mogłaś tak postąpić?

- Jak postąpić? Nie rozumiem. - Zmarszczyła brwi, przypominając sobie z trudem jakąś obietnicę, ale wszystko było zbyt odległe.

Głowa na poduszce poruszyła się z wyraźnym ożywieniem, kiedy Hattie kontynuowała z patosem, nie słysząc prawdopodobnie odpowiedzi Flame.

- Przysięgałaś, że nie zrobisz nic, zanim nie porozmawiamy. Jak mogłaś pozwolić na to, żeby tak cię wywiódł w pole? Sądziłam, że jesteś sprytniejsza. Próbowałam cię przed nim ostrzec. Próbowałam.

- O czym ty mówisz, Hattie? O kim mówisz? - dopytywała się Flame, prawie pewna, że Hattie majaczy z bólu.

- Dlaczego musiałaś od razu wyjść za niego? - Jej palce zacisnęły się gwałtownie na dłoni Flame. - Dlaczego go nie przejrzałaś?

- Chance? Mówisz o Chansie? - Zmartwiała ze zdumienia.

- Jeszcze nie jest za późno, Margaret Rose. - Wbiła we Flame swoje ciemne oczy. - Możemy anulować twoje małżeństwo. Ben może to załatwić.

- Nie chcę anulowania małżeństwa - Flame cofnęła dłoń i rzuciła szybkie spojrzenie na starego kowboja. - Ona nie wie, co mówi.

- Posłuchaj jej - odparł ze spokojem w głosie; długie białe wąsy uniosły się lekko w sympatycznym uśmiechu.

- On się tobą posługuje, Margaret Rose - zabrzmiał znów chrapliwy głos. - Stuart ożenił się z tobą tylko po to, żeby przejąć kontrolę nad Morgan's Walk...

- Ależ to nonsens. - Flame wstała i wyprostowała się.

- To prawda, ja ci to mówię. - Przez chwilę głos Hattie zabrzmiał z mocą, potem osunęła się na poduszki i na jej twarzy pojawiło się jeszcze większe cierpienie. - To prawda - wyszeptwała. - Sądził, że będę musiała zapisać to jemu, kiedy umrę. Ale przechytryłam go. Znalazłam ciebie. - Zamknęła oczy. - On też cię, niestety, odnalazł. Nie wiem, w jaki sposób. Nie możesz pozwolić, żeby dostał Morgan's Walk. Musisz go powstrzymać, Margaret Rose. - Kręciła głową na poduszce, a jej głos stawał się coraz słabszy. - Przy

łozu śmierci obiecałam mojemu dziadkowi, że żaden Stuart nigdy nie dostanie tej ziemi w swoje łapy. Musisz dotrzymać tej obietnicy. Słyszysz, co mówię?

- Tak, słyszę.

Ta kobieta była szalona. To jedyne rozsądne wyjaśnienie, które w jakikolwiek sposób tłumaczy, co się tu dzieje. Chance kochają i ona go także kocha; to jest podstawą ich małżeństwa, a nie cały ten nonsens z Morgan's Walk. Ale czemu ona to w kółko powtarza? O co jej chodzi?

- Nigdy... Nigdy mu nie ufaj. Stuartowie to bezwzględne plemię. Zrobią wszystko... nawet zabiją, żeby dostać to, czego chcą. - Hattie osuwała się coraz bardziej w przepastne głębiny cierpienia. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo podjęła jeszcze jedną, odważną próbę, żeby przezwyciężyć ból. - Ben ci opowie. Ben i Charlie. Mają dowody. Pokażą ci. Prawda? Ben? Charlie? - Po raz pierwszy do jej głosu zakradł się strach.

- Jesteśmy tutaj. - Stary zarządca szybko podszedł do łóżka. W jego oczach jaśniały łzy, kiedy sięgnął po dłoń Hattie i objął ją swoimi stwardniałymi rękami. - Ben i ja wyjaśnimy wszystko, tak jak pani by to zrobiła.

- Boli, Charlie. - Ten okrzyk przypominał szloch. - Nie sądzę, żebym mogła to dłużej znieść.

- Nie musi pani, panno Hattie. - Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię na adwokata stojącego w pewnej odległości od łóżka. Zwrócił się do niego zachrypniętym, chrapliwym głosem: - Ben, zabierz pannę Margaret Rose na dół, do biblioteki, i poproś doktora Gibbsa, żeby tu wrócił.

- Oczywiście. - Małeńki prawnik podszedł do Flame i dotknął jej ramienia. Zmrożona, z mieszaniną żalu, nieufności i zagubienia, Flame pozwoliła wyprowadzić się z pokoju.

*Biblioteka zajmowała odosobniony zakątek pierwszego piętra rezydencji. Wysokie, wąskie okna wychodziły na ocieniony drzewami trawnik na tyłach domu. Trzy ściany pokoju pokrywała boazeria z czarnego dębu, a czwarta, od podłogi po sam sufit zabudowana była półkami. Para foteli obitych skórą w kolorze burgundzkiego wina, nabijaną na brzegach mosiężnymi ćwiekami, stała po obu stronach kominka. Naprzeciw ustawiono chesterfieldską kanapę, pasującą do foteli.*

Kiedy Flame została sama, podeszła do olbrzymiego mahoniowego biurka, które zajmowało cały jeden róg biblioteki. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś się w nią wpatruje. Odwróciła się gwałtownie i dostrzegła wiszący nad kominkiem portret mężczyzny. To właśnie on spoglądał na nią z niemym oskarżeniem. Bez względu na to, w którym miejscu pokoju stanęła, nie spuszczał z niej wzroku.

Wpatrywała się w mężczyznę na portrecie. Brud i osad z dymu, które zebrały się przez lata na obrazie, przyciemniły kolory, ale nie zmniejszyły wrażenia, jakie robiła twarz ze świdrującymi czarnymi oczami i mocno zarysowaną szczęką. A włosy, widoczne pod szerokim rondem kapelusza, miały zdecydowanie rdzawy odcień. Choć Flame nie była skłonna tego przyznać, kiedyś mógł to być ten sam ognisty odcień, jaki miały jej włosy.

- Hattie często przyglądała się temu portretowi. - Dobiegł ją głos z łukowo sklepionego wejścia do biblioteki. Flame odwróciła się i przestraszyła na widok maleńkiego adwokata stojącego w drzwiach. W krótkich rękach dźwigał ogromną tacę ze srebrną zastawą do kawy i porcelanowymi filiżankami.

- Prawda, że imponujący? - Bezgłośnie wszedł do pokoju; półbuty na grubych gumowych podeszwach prawie nie wydawały dźwięku na drewnianej podłodze.

- Domyślam się, że to Kelly Morgan. - Flame starała się trzymać na wodzy

swoje nerwy; mocno zaciskała szczęki, by zachować spokój.

- Hattie mówiła pani o nim? - spojrzał na nią, kiedy niezgrabnie usiłował postawić tacę na stoliku obok fotela, filiżanki rozdzwoniły się, uderzając jedna o drugą.

Po raz kolejny Flame dostrzegła przenikliwość spojrzenia prawnika i powtórzyła sobie, że ten niewielki mężczyzna nie jest wcale tak radosny i tak niegroźny, jak się na pierwszy rzut oka mogło wydawać.

- Wspomniała, że portret jej dziadka wisi nad kominkiem w bibliotece.

- Ach tak. - Oplótł pulchnymi palcami ucho srebrnego dzbanka i podniósł go do góry. - Chyba wspominała pani, że nie używa pani śmietanki, ale przyniosłem na wszelki wypadek. Kawę przygotował wcześniej Charlie, a w tych okolicach kowboje pijają mocną, prawie gęstą, kawę. Więc może się zdarzyć, że zechce pani rozcieńczyć ją trochę śmietanką.

Ale Flame nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o kawie i śmietance. Chciała, by wyjaśniono jej te idiotyczne oskarżenia rzucone przez Hattie.

- Co mają znaczyć te wszystkie głupstwa, które Hattie mówiła o Chansie?

Ben Canon zawahał się przez ułamek sekundy, po czym dolał do pełna kawy do jednej z filiżanek - Obawiam się, że to nie są głupstwa.

- Pan się myli. - Musiał się mylić! - Po pierwsze, dlaczego Chance miałby oczekiwać, że odziedziczy Morgan's Walk, nawet gdyby wiedział, że taka posiadłość istnieje. Hattie pewnie majaczyła. Powiedziała, że posiadłość musi przejść w ręce bezpośredniego spadkobiercy.

- Pani mąż jest siostrzeńcem Hattie.

- Ale to niemożliwe! - Zawsze jej się wydawało, że Chance nie ma rodziny, żadnej.

- Jego matka była młodszą siostrą Hattie. - Adwokat spojrzał na nią wzrokiem pełnym zrozumienia. - Z pewnością tego pani nie powiedział.

- Nie. - Dlaczego? Dlaczego jej nie powiedział? Dlaczego trzymał to w tajemnicy? Czy zrobił to z rozmysłem? Czy po prostu, podobnie jak jej, nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby wspomnieć o Hattie?

- Obawiam się, że jest jeszcze wiele innych rzeczy, o których zapomniał pani powiedzieć.

- To pan tak twierdzi. Ale ja panu nie wierzę. Nie wierzę w ani jedno słowo. Gdzie jest ten domniemany dowód, o którym mówiła Hattie? Proszę mi go pokazać, jeśli go pan w ogóle posiada. - Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, zastanawiając się nad czymś. Potem przecząco potrząsnął głową.

- Wolę poczekać, aż będzie tu z nami Charlie.

- Dlaczego? Jakie to ma znaczenie, czy on jest tu z nami czy nie? A może to on jest tym pana dowodem? - rzuciła z wyzwaniem, przypominając sobie, co powiedział jej Chance. Bez względu na to, co będą ci o mnie mówić, pamiętaj, że cię kocham. - Nie może się pan spodziewać, że uwierzę panu na słowo, bo na pewno tego nie zrobię.

Jakby na zawołanie, z holu dało się słyszeć ciężkie stąpanie wysokich butów. Flame spojrzała na wejście, w którym ukazał się Charlie Rainwater. Smutek zgarbił jego ramiona i przyciemnił błękit wyblakłych oczu.

- Hattie. - Tylko tyle powiedział Ben Canon, tylko jej imię, lecz to jedno słowo zawisło w powietrzu jak pytanie. Flame nieświadomie wstrzymała oddech, zbierając w sobie siły w oczekiwaniu na odpowiedź zarządcy. Choć bezpodstawne oskarżenia Hattie pod adresem Chance'a dotknęły ją bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę, nie mogła udawać nawet przed sobą, że nie będzie jej przykro z powodu śmierci staruszki.

Luźno zwisające wąsy uniosły się leciutko do góry, kiedy Charlie Rainwater zrobił wysiłek, żeby się pozbierać.

- Teraz odpoczywa - powiedział. - Doktor będzie przy niej czuwał.

Adwokat skinął głową; bez słowa odwrócił się do tacy na stoliku.

- Przyniosłem trochę tej kawy, którą zrobiłeś, Charlie. Czy chcesz, żebym nalał ci filiżankę? Przez jakieś złośliwe zrządzenie losu muszę pełnić honory domu.

- Chętnie, dziękuję - przystał ochoczo Charlie i na swoich długich nogach wkroczył do pokoju. Dudnienie jego podbitych butów odbiło się głuchym echem od wysokiego sufitu i wzmogło jeszcze we Flame wrażenie, że oto zebrali się tutaj w oczekiwaniu śmierci.

- Nie zmieni pani zdania, Margaret Rose, i nie napije się pani z nami? - zaproponował adwokat, trzymając dziubek dzbanka nad trzecią filiżanką.

- Nie. I proszę, żeby pan przestał zwracać się do mnie w ten sposób. Jediną osobą, która tak mnie nazywała, była moja matka. - Jej matka i... Hattie.

- To prawda. Używa pani imienia Flame, prawda? - przypomniał sobie Ben Canon, zatrzymując bystre spojrzenie na jej rudych włosach. - Flame to płomień. Bardzo udany przydomek.

- Naprawdę nie interesuje mnie pana opinia, panie Canon, a jedynie wyjaśnienia, których obiecał mi pan dostarczyć, kiedy przyłączy się do nas pan Rainwater.

- Tak, obiecałem. - Pociągnął łyk kawy i spojrzał w górę na dużo wyższego od siebie zarządcę. - Wygląda na to, że mąż tej pani zapomniał wspomnieć, iż jest siostrzeńcem Hattie.

- Jest. To szczerą prawdą, proszę pani. - Charlie Rainwater głośno i pośpiesznie siorbnął nad swoją filiżanką, potem otarł przystrzyżone końcówki wąsów wierzchem wskazującego palca. - Urodził się tu, w tym domu, w pokoju sąsiadującym z pokojem panny Hattie. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę zapytać doktora Gibbsa. To on pomógł mu przyjść na ten świat. - Przerwał i chwilę wpatrywał się w czerń kawy w filiżance. - To też



był smutny dzień. Chyba nikt z nas się nie spodziewał, że doczeka dnia, kiedy w tym domu pojawi się Stuart.

- A jego ojciec...

Charlie nie dał Flame dokończyć zdania. Kiedy na nią spojrział, jego oczy gorzały zimnym blaskiem.

- Ring Stuart był leniwym, nie niewartym chuliganem. Miał w nosie panienkę Elizabeth. Chciał łatwego życia, które Morgan's Walk mogło mu zapewnić. Panna Hattie starała się to siostrze wyjaśnić, ale ona nie chciała słuchać. Tak się w niego zapatrzyła, że przesłonił jej cały świat. - Pokręcił głową, lecz na wykrzywionych ustach kowboja nie było uśmiechu. - I wydaje mi się, że to wcale nie jest takie dziwne. Ci Stuartowie zawsze mieli więcej uroku w małym palcu niż inni w całym ciele. A więc panienska Elizabeth mu się nie oparła - padła w jego ramiona i poślubiła go. A miała już swoje lata, więc panna Hattie niewiele mogła zrobić. Próbowwała. Wszyscy próbowaliśmy. Ale kiedy za niego wyszła, panna Hattie nie miała innego wyjścia, i wyrzuciła ją za drzwi. To ją bolało. Bardzo bolało. Kochała tę dziewczynę. Wychowała ją od dnia jej poczęcia, chociaż sama wtedy była jeszcze dzieckiem.

- W jaki sposób Chance mógł się tu urodzić, skoro Hattie wyrzuciła jego matkę?

- Ponieważ przyjęła ją z powrotem. Panienska Elizabeth bardzo się rozchorowała, a on nie opiekował się nią, tak jak powinien. Panna Hattie nie mogła tego znieść, a Stuart o tym wiedział. Ostrzegałem ją, że robi błąd, kiedy oboje przyjęła z powrotem pod swój dach, ale ona stwierdziła, że lepiej mieć diabła pod ręką, żeby mieć na niego oko. Wtedy można przewidzieć, co szykuje. Wszyscy wiedzieliśmy, co kombinował. Ponieważ panna Hattie była dużo starsza od panienski Elizabeth, myślał, że pierwsza umrze, jego

żona odziedziczy Morgan's Walk i on tu będzie panem. Ale tak się nie stało. Panienska Elizabeth zachorowała na raka krwi. Ileż to razy człowiek widział, że kombinuje, jakby tu przyśpieszyć odejście panny Hattie. Ale nie mógł drań zrobić najmniejszego kroku, żeby ktoś tego nie zobaczył. Wtedy zaczął pić, głównie z frustracji. - Charlie objął spracowanymi dłońmi delikatną porcelanową filiżankę. - Myślę, że miał powód, żeby się martwić, bo nie dostał Morgan's Walk, tak jak tego chciał. Chociaż próbował.

- Jeżeli dobrze zrozumiałam - zaczęła zdławionym głosem Flame - tylko z tego powodu, że jego ojciec ożenił się po to, by przejąć tę farmę, posądzacie o te same motywy Chance'a. I to ma być dowód?

- Nie tylko to... Flame - wtrącił Ben Canon, wahając się przez ułamek sekundy, czy może się tak do niej zwrócić. - Jest jeszcze coś... coś ważniejszego. Prawdę mówiąc, kłopoty ze Stuartami zaczęły się już w jego czasach.

- Odwrócił się nieznacznie, żeby popatrzeć na mężczyznę na portrecie.

- Przypuszczam, że zapewne wiąże się to z obietnicą na łożu śmierci, o której wspominała Hattie? - Dostrzegła w swoim głosie wyraźną nutę sarkazmu. Gdzieś w głębi pożałowała tego, lecz w tej chwili drwina zdawała się być jej jedyną obroną. Nie mogła sobie pozwolić, by brać poważnie cokolwiek z tego, co tu słyszała.

- Sądzę, że bliższe prawdy jest stwierdzenie, że odnosi się to do wydarzeń, które do tego doprowadziły. - Benowi nie udało się pokryć uśmiechem twardej wnikliwości spojrzenia. - Może najlepiej będzie, jeśli zacznę od narysowania krótkiej historii powstania tej farmy i historii tego rejonu. Co by się nie wydarzyło, Morgan's Walk przejdzie w pani ręce po śmierci Hattie. Wypada, żeby pani wiedziała coś na ten temat, choćby z szacunku dla Hattie.

Na dźwięk imienia Hattie poczuła ukłucie winy i nagle zdała sobie sprawę, jak gruboskórna musiała im się wydać. A wcale tak nie było. Po prostu

targało nią zbyt wiele przeciwstawnych uczuć: gniew, zagubienie, żal, przygnębienie i, choć bardzo nie chciała się do tego przyznać, strach. Strach przed tym, że Hattie może mieć rację, że może Chance rzeczywiście się nią posługiwał. Miała więc nieodpartą chęć uciec stąd jak najdalej, z tego pokoju, z tego domu. Żeby nie słuchać już tych kłamstw na jego temat. Lecz została. Czy jej się to podoba, czy nie, musi znać prawdę.

- Ma pan rację, panie Canon - oświadczyła, lekko unosząc głowę. - Jeśli Morgan's Walk ma do mnie należeć, powinnam wiedzieć coś więcej o jej historii.

- Dobrze. - Zgodził się adwokat.

Flame odruchowo spojrzała na portret i zamarła; zimne dreszcze przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa. Te oczy - oczy mężczyzny z portretu - nie patrzyły już oskarżające, a wręcz przeciwnie, teraz spoglądały na nią z zadowoleniem. Flame próbowała sobie wytłumaczyć, że to złudzenie, że to wyobraźnia płata jej figle, jednak wrażenie pozostało.

Wstrząśnięta, podeszła do tacy z kawą.

- Chyba jednak wypiję filiżankę.

- Proszę się poczęstować. - Adwokat skinął rękaw kierunku srebrnego dzbanka i podszedł do kominka.

Tak jak ją Ben Canon ostrzegał, kawa była bardzo mocna. Ale nie rozcieńczyła jej śmietanką - chciała poczuć w ustach jej mocny smak. Z filiżanką w dłoni usiadła w fotelu. Podążając za jej przykładem, Charlie Rainwater usadowił swoje żylaste ciało w drugim. Oba fotele zwrócone były przodem do maleńkiego adwokata. Stał obok pociemniałego paleniska, jego głowa ledwo sięgała marmurowej półki kominka. Flame wbiła wzrok w prawnika, powstrzymując się od spoglądania na portret, który dominował nie tylko nad całym pokojem, ale także nad jej myślami.

- Jak pani wie z dokumentów, które przesłałem w imieniu Hattie - rozpoczął adwokat - Kell Morgan, ochrzczony jako Kelly Alexander Morgan, urodził się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku na małej farmie - choć może ktoś z Południa nazwałby ją plantacją - niedaleko Hattiesburga w stanie Missisipi. Kiedy wybuchła wojna domowa, jego ojciec, Braxton Morgan, wstąpił do armii Konfederatów i wysłał żonę i syna do Nowego Orleanu, żeby zamieszkali z jego siostrą i jej rodziną. Gdy miasto wpadło w ręce Unii, kobieta zabrała dziecko i uciekła na farmę swojego wuja, położoną niedaleko Dallas w Teksasie. Mniej więcej sześć miesięcy po zakończeniu wojny Braxton Morgan przyłączył się do nich... pomniejszony o jedno ramię i z okaleczoną nogą. Nie muszę dodawać, że okoliczności zmusiły ich do pozostania z rodziną żony. W rok później przyszedł na świat pani pradziadek, Christopher John Morgan.

- To był rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty szósty. - Flame przypomniała sobie datę, którą widziała w aktach chrztu.

- Tak. - Spokojnym krokiem, na swoich krótkich nóżkach, adwokat oddalił się od kominka i podszedł do półek, które zasłaniały całkowicie jedną ścianę biblioteki. - Wiele napisano o czasach, kiedy odbudowywano Południe, więc wystarczy chyba, jak wspomnę, że były to ciężkie czasy na dorastanie dla małych chłopców, takich jak pani pradziadek i jego brat. Nie wiem, co zdołała pani wyczytać między wierszami klepsydry, którą pani przesłałem, a która informowała o śmierci Braxtona Morgana. Wydrukowano ją w jakiejś gazecie w Dallas. Otóż, wygląda na to, że zginął w jakiejś pijackiej burdzie, bez wątplenia broniąc honoru Południa. Było to w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym. W dwa lata później zmarła jego żona, prawdopodobnie z przepracowania i wyczerpania. Trzeba przypisać wujowi tę zasługę, że zatrzymał i wychował obydwu chłopców. Potem, w tysiąc osiemset

siedemdziesiątym piątym roku, Kell Morgan mając zaledwie piętnaście lat rozpoczął samodzielne życie. Właściwie w tamtych czasach piętnastoletni chłopiec uchodził niemalże za dorosłego mężczyznę.

Ben Canon odwrócił się, żeby popatrzeć na portret, i Flame podążyła za jego spojrzeniem. Nie mogła tym razem odnaleźć tego surowego i groźnego wyrazu, który przy pierwszym zetknięciu dostrzegła w obliczu przodka. Patrząc teraz na mężczyznę z obrazu, widziała jedynie dumę i nieugiętą wolę wyrytą w twardych, kanciastych rysach... i ciemne oczy, które starały się przeszyć ją na wskroś, jakby usiłując narzucić jej swoją wolę.

- Zgłosił się jako poganiacz bydła i dostał zadanie przepędzenia stada na pomoc, do ostatniej stacji kolei w budowie, w Wichita w stanie Kansas - ciągnął Ben. - Było to w szczytowym okresie wielkich przepędów bydła na północ. To prawda, teksańskie bydło pędzono do pomocnych targowisk już wcześniej, na początku lat pięćdziesiątych. Większość stad wędrowała przez Shawnee Trail; niektórzy nazywali tę trasę Tekszańską Drogą. Przecinała ona wschodnią część stanu i ciągnęła się z Teksasu aż do samego St. Louis. Szeroka była to droga. W końcu musiała pomieścić karawany z dostawami dla armii, wozy towarowe i furgony osadników, którzy tamtędy podróżowali. Lecz Kell Morgan podążył tej wiosny szlakiem Chrisholm. Dopiero późną jesienią, kiedy wracał do domu, zobaczył te okolice.

Canon gapił się na portret, bezwiednie studiując rysy namalowanego mężczyzny.

- Zawsze się zastanawiałem, co sobie pomyślał, kiedy wspiał się na tutejsze wzgórza i zobaczył rozciągającą się przed nim dolinę, strojną jesiennym złotem wysokich traw i pełną srebrnych blasków płynącej w dole wąskiej rzeczki. Skończył tylko trzy klasy, ledwo pisał i czytał, tak więc swoich wrażeń nigdy nie przelał na papier. Ale powiedział Hattie, że to pierwsze

wrażenie było od tej chwili cały czas obecne w jego myślach.

Charlie Rainwater skinął głową w kierunku obrazu i powiedział:

- Według panny Hattie ten portret nie oddaje wiernie jego wyglądu. Na bosaka miał prawie dwa metry wzrostu i, jak mówiła, tyle samo w ramionach. Wspominała, że za każdym razem, kiedy na niego spojrzała, przypominał jej się ten ogromny dąb rosnący u wejścia do doliny. I nikt nie ośmielał się nazwać go „rudzielcem”, a jeśli już, to na pewno tego nie powtórzył. Nie, wszyscy zwracali się do niego Kell Morgan. - Spojrzenie kowboja na moment zatrzymało się na Flame. - Nie miałem przyjemności go poznać, jak pani zapewne rozumie. Zmarł na długo przedtem, zanim przyszedłem tu do pracy. Ale każdy, z kim rozmawiałem, opowiadał mi, że był to twardy, ale dobry chłop. Tak długo, jak byłeś w stosunku do niego lojalny, stał za tobą murem, na dobre i na złe. Panna Hattie mówiła, że nigdy się za bardzo nie uśmiechał, że co miał powiedzieć, to mówił oczami. Kiedy się złościł, były czarne jak smoła, ale kiedy się radował, błyszczały, jakby podświetlone od środka. I kochał tę ziemię. Jeszcze tego dnia, kiedy umarł, objeżdżał konno pola i doglądał bydła. Miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat.

Obraz przestał już być jednowymiarowy - przyciemnione, błękitne tło eksponowało teraz wysokiego, rudego mężczyznę, ubranego według ówczesnej teksańskiej mody. A jego oczy, tak jak wspomniał Charlie, połyskiwały ciemnym blaskiem. I wydawało się, że spoglądają prosto na Flame.

- Choć nieuczony, Kell Morgan miał sporo wrodzonej inteligencji i był świetnym obserwatorem - wtrącił Ben Canon, ponownie przejmując inicjatywę. - Kiedy powrócił do Teksasu, dostrzegł zachodzące zmiany. Kończył się czas otwartych przestrzeni. Co roku coraz większe obszary ziemi były ogradzane. Podczas długich wędrówek na Północ bydło bardzo traciło na wadze. Cztery lata z rzędu odbywał długie, wyczerpujące przeprawy z bydłem, które

należało do kogoś innego. I za każdym razem zatrzymywał się, żeby popatrzeć na swoją dolinę. I podczas każdej kolejnej podróży zostawał coraz dłużej.

Musimy pamiętać, że te wszystkie ziemie należały do narodu Creeków. A terminu „naród” użyłem tutaj rozmyślnie. Ziemie Creeków stanowiły osobną całość, z własnymi granicami i rządziły się własnymi prawami. Wtedy, w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, rząd federalny, a właściwie prezydent Andrew Jackson, zdecydował z właściwą sobie arogancją, że w swoim najlepiej pojętym interesie pięć cywilizowanych plemion - Creekowie, Czerokezi, Choctawsowie, Chickasawowie i Seminoli - powinno opuścić swoje ziemie na Południu, które były ich domem na długo przedtem, zanim biały człowiek postawił stopę na tym kontynencie, i udać się na Zachód, żeby uniknąć demoralizującego wpływu białych. Przy pomocy całego szeregu niegodziwych traktatów udało się przepędzić ich na te właśnie tereny.

- Teraz, zgodnie z prawem i tradycją Creeków, żaden z nich nie posiadał na własność określonego kawałka ziemi. Wszystko było wspólną własnością. A dla Kella Morgana oznaczało to, że nie od razu mógł kupić swoją ziemię. Lecz podczas swoich podróży w te okolice, a także do sąsiedniej osady, Tallahassee (przezwaną przez wędrujących kowbojów „miasteczko Tulsi”), która również była własnością Creeków, poznał niejakiego George’a Perrymna, wpływowego politycznie Metysa z domieszką krwi Creeków. To z jego pomocą Kelly’emu Morganowi udało się wydzierżawić ziemię. Za zaoszczędzone pieniądze kupił sto sztuk młodego bydła i popędził je na Północ do swojej doliny. Tam przezimował stado na bujnej trawie i na wiosnę popędził je na targ w pobliżu. - Ben Canon przerwał i na jego twarzy zagościł przebiegły uśmiech. - Zapewne nie wyda się to pani specjalnie oszałamiającym sukcesem. A jednak, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że

kupił bydło po siedemdziesiąt pięć centów za sztukę, a sprzedał za ponad piętnaście dolarów za sztukę, sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Za zysk wydzierżawił więcej ziemi, kupił większe stado i powtórzył całą operację z takim samym wynikiem.

Przed rokiem tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim Kella Morgana nazywano, zresztą słusznie, królem bydła. Trzy lata wcześniej Urząd Pocztowy Stanów Zjednoczonych otworzył swoją stację w Tulsie, jeszcze raz zmieniając nazwę miasta. Do tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku linie kolejowe Frisco przedłużyły swoją linię do Tulsy. Kell Morgan nie musiał już pędzić swego bydła do końcowych stacji kolei, kolej sama do niego przyszła.

Nie przerywając swojej opowieści, łysiejący adwokat odwrócił się i przeglądał rzędy książek na dwóch znajdujących się naprzeciw niego półkach.

- Przez cały ten czas Kell nie zapomniał o swoim młodszym bracie, Christopherze, który ciągle przebywał w Teksasie. Wtedy Christopher nie był już wcale mały, był dużym szesnastoletnim chłopakiem. Będąc już zamożnym człowiekiem, Kell wysłał brata na Wschód na studia, z mocnym postanowieniem, że Christopher otrzyma wykształcenie, którego nie zdołał zdobyć. - Zdjął z półki duży tom i otworzył go, odwracając się do Flame. - Kiedy Christopher skończył uczelnię z dyplomem inżyniera, wrócił tutaj, do Morgan's Walk. Tymczasem Kell został adoptowany przez Creeków. Mając teraz pełne prawa do doliny - takie same jak każdy Creek - poprosił Christophera o zaprojektowanie i zbudowanie tego domu. Przedtem znajdowały się tu tylko chata i szałas dla pomocników. - Zatrzymał się obok fotela Flame i wręczył jej oprawny w skórę tom, stary album z fotografiami. - Hattie sądziła, że może będzie pani chciała obejrzeć jakieś zdjęcia swoich przodków. Oto pani pradziadek, Christopher Morgan.



Stuknął palcami w gruby, czarny papier tuż nad starą sepiową fotografią naklejoną na stronicy. Przedstawiała młodego, sztywno siedzącego mężczyznę, z jedną ręką opartą na kolanie. W drugiej trzymał ciemny kapelusz z szerokim rondem. Miał na sobie ciemny garnitur i kamizelkę. Spod rozpiętej marynarki błyskał zwisający złoty łańcuszek do zegarka i lśnił bielą wykrochmalony kołnierzyk, koszuli, ściśle opinający szyję. Choć się nie uśmiechał, na jego gładko ogolonej twarzy malował się zapał i radość życia. Nie była to twarz człowieka twardego i zamkniętego w sobie, jak ta na portrecie, choć mocne, kanciaste rysy były na obu podobne. Różnili się także kolorem włosów. Na brązowej w odcieniu fotografii włosy Christophera Morgana zdawały się mieć jasnokasztanowy odcień, z jaśniejszymi pasmami.

- Wyglądają na rodzeństwo - zauważyła Flame, odwracając z ciekawością stronę, żeby obejrzeć następne stare fotografie.

- Panna Hattie mówiła, że w tamtych czasach byli ze sobą tak blisko, jak tylko bracia potrafią - oświadczył Charlie Rainwater i potrząsnął głową. - Choć nie byli do siebie podobni. Z tego, co słyszałem, tak różni jak noc i dzień. Ale tak jak dzień nie może się obyć bez nocy, tak oni nie mogli żyć bez siebie.

- W przypadku pani pradziadka był to zapewne podziw dla starszego brata - dodał Ben Canon. - A Kell Morgan widział prawdopodobnie w swoim młodszym bracie wykształconego mężczyznę, którym sam nie mógł zostać. Z tego, co wiem, dzielili się wiedzą. Christopher uczył go historii i filozofii, a Kell udzielał bratu lekcji z wiedzy o środowisku.

Następne kartki w albumie zawierały zdjęcia z budowy domu. Niektóre z nich były upozowane, niektóre nie. Flame zdołała odnaleźć Christophera na dwóch zdjęciach. Potem natknęła się na trzecią fotografię obydwu braci. Kiedy stali obok siebie, różnice między nimi stawały się jeszcze bardziej

widoczne - Kell Morgan wyglądał na zniecierpliwionego i niezadowolonego, a Christopher był uśmiechnięty i szczęśliwy.

- Nie rozumiem. Jeżeli byli tak sobie bliscy, dlaczego Christopher Morgan wyjechał i nigdy nie wrócił - zainteresowała się Flame.

- Już się do tego zbliżamy - uspokoił ją adwokat.

Nerwowo przerzuciła następną kartkę, zirytowana tą aurą tajemniczości i sekretów, która unosiła się dookoła. Chciała, żeby adwokat przeszedł do sedna sprawy, bez dalszego przeciągania. Wtedy jej wzrok padł na samotną fotografię na stronie z czarnego papieru.

Było to zdjęcie młodej kobiety, ubranej według ówczesnie panującej mody. Filigranowa, wykwinna, wytworna - to były przymiotniki, które przywołał portret kobiety. Wyglądała na tak kruchą jak porcelanowa filiżanka i Flame z łatwością mogła sobie wyobrazić elegancko odgięty mały paluszek, kiedy sączyła herbatę. Ciemne włosy miała po bokach upięte do góry, a spod małego ronda wysokiego kapelusza ozdobionego wstążkami i strusimi piórami wymykały się drobne loczki. Mała, gładka jak kość słoniowa, blada twarzyczka nie potrzebowała żadnego makijażu dla uwypuklenia niezwyklej, wręcz lalkowatej piękności.

- Kim jest ta kobieta? - Flame spojrzała wyczekująco na prawnika.

Odpowiedział nie spojrzawszy nawet na zdjęcie:

- To Anna Compton Morgan, żona Kella Morgana. Widzi pani, kiedy dom był już gotów i przyjechały zamówione meble, Kell zdecydował, że powinien wziąć sobie żonę. Oczywiście nie mogła to być pierwsza lepsza kobieta. Miał całą listę wymagań, które powinna spełniać jego przyszła żona. Przed wszystkim pragnął kobiety dystyngowanej i z manierami, która posiadałaby styl i wdzięk, kogoś wykształconego i kulturalnego, pięknej, jeśli to możliwe, lub co najmniej atrakcyjnej. Lecz najważniejsze, żeby pochodziła z

rodziny, która zajmuje się polityką, bankowością lub koleją. Krótko mówiąc, jego żona miała być damą i cenną koneksją w jednej osobie. - Widząc, jak Flame z dezaprobatą uniosła w górę brwi, Ben Canon uśmiechnął się. - Jakkolwiek brutalnie i szowinistycznie pani zdaniem to zabrzmiało, proszę pamiętać, że Kell Morgan był człowiekiem praktycznym. To Christopher był idealistą.

- Najwyraźniej - mruknęła.

- Na jesieni osiemdziesiątego dziewiątego roku, po tym, jak poprzedniej wiosny pierwszy wielki wyścig po nowe ziemie otworzył przed osadnikami ziemie niczyje, w wyniku czego powstały takie miasta jak Guthrie i Oklahoma, Kell Morgan ruszył do Kansas w poszukiwaniu żony.

- I cała ta jego lista okazała się diabła warta, kiedy spotkał Anne Compton - wtrącił Charlie Rainwater i zarechotał cicho, podnosząc się z fotela, żeby dolać sobie kawy. - Zakochał się w niej, jakby go kto w locie ustrzelił, tak było - powiedział mrugając do Flame.

- Czy to prawda? - Flame zwróciła się po potwierdzenie do adwokata. Uwierzyła wprawdzie Charliemu, lecz była wyraźnie zdziwiona jego słowami. Kell Morgan zrobił na niej wrażenie człowieka, który raczej żeni się z wyrachowania, a nie z miłości.

- Tak rzeczywiście było. Nieprzytomnie się w niej zakochał. A ponieważ jej ojciec był szanowanym w swojej społeczności, wybitnym lekarzem, jednak bez żadnych istotnych powiązań rodzinnych ze światem biznesu, nie spełniała podstawowego warunku, jaki postawił kandydatce na żonę. Fakt, że ją poślubił po miesiącu szalonych zalotów, świadczy jedynie o tym, że Kell Morgan, jak większość mężczyzn, nie był wolny od słabości.

Podszedł znowu do półek i wyjął cienką książkę we fioletowej oprawie z wytartymi i zniszczonymi rogami.

- Jednak pod każdym innym względem odpowiadała jego wymaganiom: była wykształcona, orientowała się w sztuce i literaturze, miała towarzyskie obycie i była prawdziwą radością dla oczu. Kiedy przeczyta pani jej pamiętniki, zobaczy pani, że Kell Morgan zrobił na niej oszałamiające wrażenie. Ale ostatecznie, która dziewczyna by się oparła, gdyby tak gorąco adorował ją przystojny i bogaty król bydła, posiadacz wspaniałej i okazałej rezydencji na prerii czekającej, aż jakaś niewiasta tchnie w nią rodzinnego ducha. Są w pamiętniku takie fragmenty, które mówią o romantycznych wyobrażeniach, jakie miała na temat życia na kresach. Spodziewała się podniecającej przygody. I wydaje się, że Kell Morgan nie starał się specjalnie rozwiązać tych złudzeń. Za bardzo zależało mu na zdobyciu jej i poślubieniu.

Kiedy zatrzymał się i wziął głęboki oddech, Flame miała wrażenie, że robi to wyłącznie dla zwiększenia efektu.

- Dopiero znacznie później zaczął winić siebie za jej rozczarowanie. Ich pierwsze kilka miesięcy tu, w Morgan's Walk, były, według pamiętnika, niebiańsko szczęśliwe. Potem, jak przypuszczam, minęło pierwsze oczarowanie nowym otoczeniem. Była zupełnie nie przygotowana na nudę i samotność wiejskiego życia ani na to, że długie godziny, czasami nawet dni, musiała spędzać sama, podczas gdy jej mąż pracował. Wychowała się w mieście i przyzwyczaiła się do ciągłych herbatek, spotkań, kotylionów czy wpadających w odwiedziny przyjaciół. Tutaj nie miała żadnych znajomych, niewiele osób ich odwiedzało. A najbliższy sąsiad znajdował się o pół godziny drogi jazdy powozem. Nie miała wiele wspólnego z ogorzałymi od słońca kobietami, które mieszkały w pobliżu. Większość z nich po raz pierwszy w życiu widziała parasolkę i nic nie wiedziała o muzyce klasycznej czy kameralnej. Najbliższym większym miastem w okolicy była Tulsa, lecz

rozrywki, jakie oferowała - oczywiście poza niedzielnymi wizytami w kościele, czy przyjęciami w prywatnych domach - były raczej przewidziane dla kowbojów z okolicy, którzy chcieli sobie pohulać w sobotę: pijaństwa, hazard i figle z miejscowymi córami Koryntu.

Flame odruchowo wygładziła dłonią oprawny w materiał pamiętnik. Miała opory, żeby otwierać książkę i wdzierać się w najskrytsze myśli obcej kobiety. Wyglądało to na niedyskrecję.

- Z tego wszystkiego, co pan mi tu opowiedział, odnoszę wrażenie, że miała więcej wspólnego z Christopherem niż z własnym mężem. - Kiedy ubrała w słowa swoje myśli, nagle przyszło jej coś do głowy. - Czy to właśnie się stało? Czy to z jej powodu wyjechał i nigdy tu nie powrócił? - Potem, jeszcze bardziej zagubiona, zasepiła się. - Ale co to wszystko ma wspólnego ze Stuartami?

Wyrozumiały uśmiech pojawił się na pulchnej twarzy adwokata.

- Znowu wyprzedza pani bieg wydarzeń, Flame.

- Przyszło mi do głowy, że Anna Morgan nigdy nie byłaby tu szczęśliwa.

Charlie Rainwater podszedł do kominka, stanął z jedną nogą wspartą o palenisko, oparł rękę o gładką marmurową półkę i popatrzył do góry na portret.

- Pewnie, że jemu się zdawało, że polubiłaby to życie, gdyby nie zaszła w ciążę w czasie pierwszego roku ich małżeństwa.

- To prawda, uciążliwość ciąży nałożyła się na nudę i samotność, które już odczuwała i jeszcze bardziej ją unieszczęśliwiła - zgodził się Ben Canon. - Nawet radość z narodzin zdrowego niemowlęcia w następnym roku nie wynagrodziły jej tego. Właśnie chłopiec, który się urodził, był ojcem Hattie i nazywał się Jonathan Robert Morgan - dorzucił adwokat, po czym ciągnął dalej: - Oczywiście mały Johnny jeszcze bardziej uwiązał Anne w domu, choć udało się jej znaleźć dla niego mamkę. Kell robił, co mógł, żeby ją

uszcześliwić. Te wszystkie książki, hebanowy fortepian w saloniku, specjalny powozik z parą siwków, wdzięcznie unoszących kopyta wysoko w górę... Dawał jej wszystko, poza tą jedną rzeczą, która mogłaby coś zmienić: poza swoim towarzystwem. Jak to często podkreśla w swoim pamiętniku, syn nie może zastąpić męża w życiu kobiety. Notatki z wczesnej jesieni tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku ukazują jej poczucie samotności, jej niezadowolenie i, jak sędzę, desperację. - Ręką wskazał na pamiętnik, trzymany przez Flame. - Hattie zaznaczyła stronę, na której zaczyna się ta opowieść.

Flame z wahaniem popatrzyła na niezbyt gruby tomik, i zauważyła przy-mocowany do grzbietu książki cienki, poźółkły ze starości pompon. Zaple-cione łańcuszkowym ścięciem nitki łączyły go ze zrobioną na szydełku za-kładką w formie frywolitki, wsuniętą pomiędzy kartki przy końcu pamiętnika. Z oporem przyjmowała ponaglenia Canona, żeby czytać czyjeś prywatne notatki, zanim nie zdała sobie sprawy, że jest to część obiecanego przez Hattie dowodu.

Niechętnie przesunęła palcami wzdłuż zakładki i otworzyła dziennik na zaznaczonej stronie. Przez chwilę przyglądała się drobnemu, starannemu pi-smu, gdzie każda literka była dokładnie i doskonale uformowana. Potem za-częła czytać.

## 22

*Dwudziesty dziewiąty sierpnia 1893 r.*

*Jadę! Kell pozwolił mi w końcu sobie towarzyszyć. Pojedziemy ze stadem koni do Guthrie, żeby sprzedać je osadnikom, którzy zebrali się tam, by wziąć udział w wyścigu otwierającym ziemię Cherokee Strip pod osadnictwo. Nie powiedział tego, aleja wiem, że to Chris go namówił do zmiany zdania.*

*Ostatnim razem, kiedyśmy się sprzeczczeni na ten temat był nieugięty. Mówił, że muszę zostać w Morgan's Walk, ponieważ takie wydarzenia przyciągają nie tylko najlepszych, lecz także najgorszych. Straciłam wtedy nadzieję, że pozwoli mi jechać. Jak wielkie mam szczęście, że wiosnie Chris jest moim szwagrem. Jeśli nie poparłby mnie w tej sprawie, chyba bym oszalała, zmuszona pozostać w domu sama przez całe dwa tygodnie.*

*Mój kochany Johnie będzie musiał zostać tutaj z Sarah. Będę za nim strasznie tęskniła, ale tak daleka podróż byłaby zbyt męcząca dla trzylatka. Okropnie jest być rozdartą w taki sposób - tak bardzo pragnę tej podróży i jednocześnie tak strasznie nie chcę rozstawać się z moim synem. Ale to tylko dwa tygodnie.*

*Będzie to chyba przeżycie, które nie łatwo do czegoś przyrównać. Papa pisze, że jego pacjenci nie rozmawiają o niczym innym, tylko o otwarciu dla osadników ziem Cherokee Strip. Słyszałam, że z całego kraju tłumnie zjeżdżają się ludzie, którzy chcą wziąć udział w wyścigu. Niektórzy wyliczają, że na starcie, zanim wystrzeli pistolet, może stanąć nawet i sto tysięcy uczestników. Sto tysięcy! A ja tutaj umieram z tęsknoty za widokiem choćby jednego człowieka.*

*9 września 1893 r.*

*W końcu przyjechaliśmy do Guthrie. Zdarzały się takie chwile, kiedy wątpiłam, czy kiedykolwiek tu dotrzemy. Upał był - i jest - nie do wytrzymania. Przez całe lato nie spadła ani jedna kropla deszczu i kurz podnosi się tak gęsty, że przykrywa wszystko dookoła. Cała moja odzież podróżna jest nim pokryta. Przypominałam chodzący wacik do pudrowania nosa, kiedy weszłam do hotelu. Chmura kurzu wznosiła się dookoła za każdym moim krokiem. Obawiam się, że nigdy nie przyzwyczaję się do trudów życia pod gołym niebem. Aż się dziwię, że nie rozsypałam się na drobne kawałeczki od tego*

*podskakiwania i wstrząsów, szarpnięć i turkotów. Chris wie, jak cierpiałam podczas tej podróży, ale nie odważyłam się wspomnieć o tym Kellowi. Natychmiast odesłałby mnie z powrotem do Morgan's Walk i ominęłaby mnie ta podniecająca przygoda. (Ale powrotną podróż odbędę pociągiem).*

*A ożywienie panuje tutaj niezwykle. Przez nasze hotelowe okno widać ulicę wypełnioną ludźmi w najbardziej wymyślnych wehikułach. Wiele wozów ma krótkie, zgrabne hasła wypisane na brezentowych bokach. Minęliśmy jeden, z takim na przykład napisem:*

*Nie będę „wczęśniakiem”, ale i tak będę tam tak wcześnie jak najwcześniej.*

*I inne:*

*W Teksasie przegraliśmy,  
Choć w Boga wierzyliśmy.  
Lecz już się nie martwimy,  
Bo tu na pewno zwyciężymy.*

*Determinacja i zapal, które malują się na twarzach tych ludzi, są czymś niesamowitym. Kell nazywa to gorączką ziemi. To jest z pewnością zaraźliwe, ponieważ ja także czuję w duszy ten sam niepokój. Kell zabronił mi opuszczać pokój jak tylko w jego lub Chrisa towarzystwie. Mówi, że w mieście jest zbyt wielu desperatów, hazardzistów i oszustów, którzy przybyli, żeby złupić biednych, pełnych ufności osadników z ich oszczędności, i Kell obawia się o moje bezpieczeństwo, jeśli wypuszcę się gdzieś sama. Kiedy spoglądam na zewnątrz, przez okno naszego hotelowego pokoju, widzę całe rodziny ściśnięte w swoich wozach, młodych mężczyzn na okrwawionych koniach, chłopców na kucykach, starców kłusujących na okazałych rumakach i kobiety - tak, kobiety, które samotnie stają do wyścigu. Ogarnia*



*mnie przerażenie na samą myśl o tym. Ale te, które widziałam, sprawiały wrażenie porządných: zupełnie inne kobiety, niż można by się przy takich okazjach spodziewać.*

*Prawdę mówiąc, kiedy wchodziliśmy do hotelu, zatrzymała nas jakaś kobieta. Nie miała chyba jeszcze trzydziestu lat i, pomimo warstw kurzu, które ją pokrywały, spostrzegłam, że jest stylowo ubrana...*

Bardzo proszę, może kupicie ode mnie kapelusz? - Kobieta zaczęła mocować się niezdarne z wieczkiem pudła na kapelusze, które trzymała w ręku. W końcu uniosła je i wyjęła kapelusz, który zaprezentowała Annie. - Jest aż z Chicago i tylko dwa razy miałam go na sobie. Proszę zobaczyć, jest jak nowy.

W pierwszym odruchu Anna odsunęła się od proponowanego kapelusza i dziwnej kobiety, zaczepiającej ją na środku ulicy. Nie dlatego, że się czegoś obawiała - nie kiedy była w towarzystwie dwóch wysokich, silnych mężczyzn, Kella i Chrisa. Potem zobaczyła kapelusz: z czerwonego filcu, wykończony czerwonym aksamitem i ozdobiony piórami i szarą satynową wstążką. Idealnie pasował do jej perłowszarej sukni.

- Jest piękny - oświadczyła Anna i jeszcze raz spojrzała na kobietę, czując jednocześnie uścisk dłoni Kella na swoim ramieniu i wyczuwając jego surową dezaprobatę, ale nie dała wprowadzić się do hotelu. - Dlaczego na miłość boską chce się go pani pozbyć?

- Ja... - Kobieta uniosła głowę z lekko cofniętym podbródkiem, przybierając na powrót dumną postawę. - Brakuje mi jeszcze pięciu dolarów na zapłacenie wpisowego przy zgłoszeniu udziału.

- A gdzie jest pani mąż? - spytał Kell, wprawiając tym Anne w duże zakłopotanie.

- Nie mam męża.

Była panną. Anna popatrzyła na nią ze współczuciem i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, co usłyszała.

- Pani chyba nie chce wziąć udziału w wyścigu? - To nie jest jakaś silna wieśniaczka o szorstkiej i ogorzałej od słońca cerze. Zarówno jej manieri, jak i ubranie, wskazywały na osobę wykształconą i z dobrego domu.

- Owszem, zamierzam - oświadczyła. - Chcę mieć coś własnego, chcę należeć do kobiet, które coś posiadają. - I opowiedziała, jak to przez ostatnie osiem lat była nauczycielką, gdzieś na prowincji w Teksasie, i musiała mieszkać u rodziców swoich uczniów. - Chcę wreszcie spać we własnym łóżku, mieć własne firanki w oknach i gotować sobie obiady na moim własnym piecu. A to jest moja jedyna szansa, żeby to wszystko osiągnąć. Bardzo panią proszę, kupi pani ode mnie ten kapelusz?

*Kell kupił mi ten kapelusz; choć potem powiedział, że nie powinien był w żaden sposób zachęcać tej kobiety do przeprowadzenia swoich szaleńczych zamiarów. Twierdzi, że po sygnale z pistoletu rozpoczynającym wyścig tłum zamieni się w dziki i rozpedzony tabun. Jestem zupełnie pewna, że się nie myli. Zastanawiam się nad odwagą tej kobiety. Wiem, że sama nigdy nie zdobyłabym się na podobną że nie zrobiłabym czegoś takiego. A jednak rozumiem tę desperację, którą dostrzegłam w jej oczach, tę potrzebę zmiany stylu życia, którym gardzi, zanim to życie ją zupełnie zniszczy.*

*Już prawie czwarta i za chwilę mam spotkać z Chrisem w hallu. Myślę, że włożę mój nowy kapelusz.*

*Tak wiele jest jeszcze do powiedzenia. Mam nadzieję, że nic nie zapomnę, zanim usiądę później, żeby to spisać. Ale czeka na mnie Chris i ja także chcę już wyjść z tego pokoju i znowu znaleźć się między ludźmi.*

Stojąc na ostatnim stopniu schodów, Anna badawczo przyglądała się ciżbie ludzi stłoczonych w hotelowym holu. Na świeżo ułożonych lokach miała czerwony filcowy kapelusz. W ręku ścisnęła złożoną parasolkę. W drugiej dłoni trzymała nasączoną lawendą chusteczkę, którą bezskutecznie wachlowała twarz i od czasu do czasu wycierała kropelki potu zbierające się na górnej wardze. Przy suficie kręcił się wiatrak, który jednak niewiele pomagał. Chyba tylko wprowadzał w ruch masy rozgrzanego powietrza. Rozglądała się, lecz nigdzie nie mogła dostrzec Chrisa. Zwykle łatwo go było zauważyć w tłumie ludzi, tak jak Kella - wzrostem, głową i ramionami górowali nad resztą mężczyzn. To nie było w jego stylu, żeby się spóźniać. Może wyszedł na zewnątrz, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Anna postanowiła sprawdzić.

Posuwając się wzdłuż ściany przepelnionego holu, ruszyła w kierunku podwójnych drzwi, otwartych na oścież w celu wpuszczenia podmuchów świeżego powietrza. Na zewnątrz przywitał ją znowu ten sam uliczny spektakl. Nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego - kowboje dosiadający parskających, na wpółdzikich źrebców, gogusie w kraciastych garniturach i kapeluszach z prostokątnym denkiem, kobiety w kapelusikach à la Armia Zbawienia i zniszczonych sukienkach z pasiastej przędzy. Siedziały w wozach skleconych z paru desek lub na platformach pokrytych plandeką, zawalonych całym ich dobytkiem. Ciągający nieustannie tłum wzbijał bez przerwy tumany kurzu, które utworzyły wiszącą przez cały czas nad drogą chmurę. Turkot wozów, podzwanianie zaprzęgowych łańcuchów, dudnienie końskich kopyt, skrzypienie skóry, strzały z batów, głośne przekleństwa powożących, wszystko to mieszało się w nieznośny dla uszu hałas. Odór spoconych ciał ludzkich i zwierzęcych - tworzył mieszankę nieznośną dla nosa.

Anna przycisnęła do nosa nasączoną lawendowym zapachem chusteczkę i

rozglądała się za Chrisem, stojąc na pomoście z desek tworzącym przed hotelowym wejściem coś na kształt chodnika. Ale przed hotelem stał tylko jeden człowiek. Miał na sobie krótką czarną kurtkę i czarny kapelusz. Stał na brzegu pomostu, zwrócony twarzą do ulicy. Był wysoki, ale nie tak jak Chris. Nie miał też tak szerokich ramion. A w jego włosach nie widać było tych złocistych, wypalonych przez słońce pasemek. Były chyba czarne, tą głęboką, lśniącą czernią kruczych skrzydeł. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na coś w głębi ulicy, prezentując jej profil gładko wygolonej twarzy. I wtedy, jakby wyczuł na sobie spojrzenie, odwrócił się do niej zupełnie. Między rozchyłonymi klapami kurtki załśniła brokatowoszara satynowa kamizelka.

Serce Anny zatrzepotało z podniecenia. Był chyba najprzystojniejszym mężczyzną jakiego widziała - i do tego dżentelmenem, jeśli sądzić po ubiorze. Lecz gapienie się na nieznanego mężczyznę nie było z pewnością zajęciem właściwym dla mężatki. Z rumieńcem zawstydzenia odwróciła się i próbowała ukryć swoje chwilowe zmieszanie, otwierając parasolkę. Wysunęła ją trochę w bok i próbowała rozłożyć, ale właśnie w tym momencie z hotelu wyszedł jakiś tęgi mężczyzna w tweedowym garniturze i w meloniku na głowie i wytrącił parasolkę z jej dłoni.

Z otwartymi z przerażenia ustami obserwowała, jak parasolka ląduje prawie u stóp mężczyzny w czarnym kapeluszu. Zobaczyła, jak spojrzał w dół z lekkim uśmiechem, który uniósł w górę tylko jeden kącik jego ust. Chciała umrzeć ze wstydu. Rzuciła się, żeby ją podnieść, ignorując zupełnie gęsto tłumaczącego się mężczyznę, który wytrącił parasolkę z jej dłoni. Zanim zdążyła się schylić, czarne ramię sięgnęło w dół.

- Pani pozwoli. - Ciepły, niski tembr głosu nieznanego przeszył dreszczem jej ciało.

Natychmiast się wyprostowała, starając się ze wszystkich sił odzyskać

zimną krew. Kiedy stanęli twarzą w twarz, pierwsze wrażenie Anny co do wyglądu mężczyzny w pełni się potwierdziło. A kiedy jej spojrzenie napotkało parę ciemnoniebieskich oczu, podkreślonych gęstymi, równie czarnymi jak brwi rzęsami, jeszcze się wzmocniło.

- Dziękuję. - Wyciągnęła rękę po parasolkę.

Ale on nie od razu ją zwrócił. Najpierw ją otworzył, potem wręczył, trzymając pod takim kątem, by zasłaniała jej twarz przed popołudniowym słońcem. A kiedy błędnął wzrokiem po jej twarzy, jego spojrzenie miało zdecydowanie zbyt poufały wyraz.

- Byłby to rzeczywiście grzech, gdyby słońce zniszczyło taką karnację jak pani. Nie widziałem nic podobnego od czasu, kiedy byłem rok temu w St. Louis. - Zupełnie niespodziewanie podniósł rękę i lekko przesunął palcem po jej policzku. - Jest tak kremowobiała i gładka jak płatek magnolii.

Wiedziała, że taki afront powinien ją oburzyć. A przynajmniej zaszokować. Lecz słowo „szok” niedokładnie oddawało podobną do mrowienia reakcję jej ciała. Dzięki Bogu miała wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby nie komentować ani tej uwagi, ani pieszczotliwego muśnięcia jej policzka. Miała nadzieję, że milczenie skoryguje niewłaściwe wrażenie, które mogła wywołać.

- Czy przybyła pani tutaj, żeby wziąć udział w wyścigu? - zapytał.

- Całe szczęście, nie. - Roześmiała się, głównie po to, żeby rozładować trochę nieznośne napięcie, które odczuwała. - Mój mąż przyjechał tu, żeby sprzedać osadnikom kilka naszych koni.

- Zazdroszczę mu.

- Nie rozumiem. - Zmieszana zamrugła oczami, walcząc z wrażeniem, że pożera ją wzrokiem. - Zazdroszczę każdemu mężczyźnie, który dostąpił honoru nazywania tak rzadkiego i pięknego kwiatu swoją żoną.

Wzburzona spuściła oczy i spróbowała spokojnie powiedzieć:

- Pan mi pochlebia.

A on zaprzeczając, zawadiacko potrząsnął głową.

- Prawda nigdy nie jest pochlebstwem. A prawdą jest, kiedy mówię, że jest pani rzadkim i pięknym kwiatem, który trudno znaleźć na tym pustkowiu.

Nie chciała tu być. Nienawidziła tej pustki, tego odosobnienia i tej wiejskiej społeczności. Tęskniła za przyjęciami w ogrodzie, literackimi herbatkami i innymi kulturalnymi przyjemnościami, które zostawiła za sobą w Kansas. Choć raz chciała usiąść przy stole, gdzie goście nie czkali, nie wkładali serwetek za kołnierz koszuli niczym śliniaka, ani nie mówili o krowach, kosztach przewozu czy panice w bankach.

Nagle zdała sobie sprawę z przedłużającego się milczenia i rzuciła szybko:

- Zapewne tak jest. - Po czym uśmiechnęła się z wymuszonym zadowoleniem. - Powtórzę to mężowi, kiedy go zobaczę. Jestem pewna, że zainteresują go pańskie uwagi.

- Pani na niego czeka?

- Nie. To znaczy, mam się tu spotkać z jego bratem. Kell... mój mąż dołączy do nas później, przy kolacji.

- Kell? Tak ma na imię?

- Tak, Kell Morgan. Czy pan go zna? - zapytała z zaciekawieniem.

- Słyszałem o nim - odparł, ważąc słowa. - Niewielu tutaj nie słyszało o Morgan's Walk. To pani dom, prawda, pani Morgan?

- Tak. - Na chwilę wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy się odważy. - A pan się nazywa...?

- Jackson Lee Stuart. - Lekko dotknął runda kapelusza. - Do pani usług... w każdej chwili.

Ulicą pędziło trzech jeźdźców. Okładali batem swoje konie i wykrzykiwali

na całe gardło, jakby wyścig po ziemię Cherokee Strip już się rozpoczął. Cały ten tumult skierował uwagę Anny na ulicę, gdzie natychmiast dostrzegła Chrisa, zmierzającego konno w kierunku hotelu. Nagle targnęło nią uczucie żalu, gorzkie i przeszywające na wskroś. Zdała sobie sprawę, że przybycie Chrisa zakończy jej spotkanie z panem Jacksonem Lee Stuartem, a ona wcale nie chciała, żeby się skończyło. Jeszcze nie teraz.

Przywołała na twarz pogodny uśmiech.

- Właśnie nadjeżdża mój szwagier.

Jackson Stuart obejrzał się przez ramię, po czym zwrócił się do niej:

- Teraz, kiedy ma już pani innego obrońcę, który się panią zaopiekuje, pozwolę sobie oddalić się.

- Bardzo mi było miło pana poznać, panie Stuart.

Odruchowo wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

- Jeśli dobry los pozwoli, spotkamy się znowu. - Serce Anny wypadło z rytmu na jedno lub dwa uderzenia, kiedy mężczyzna lekko się pochylił i unióśł jej odzianą w rękawiczkę dłoń do ust, cały czas patrząc jej prosto w oczy. I zamiast pocałować wierzch dłoni, obrócił ją i przycisnął wargi do samego środka wewnętrznej strony. Z wrażenia zapało jej dech w piersiach. Kiedy się wyprostował i wypuścił jej rękę, ogarnęło ją poczucie winy, ponieważ sprawiło jej to zakazaną przyjemność.

- Miejmy nadzieję, że pozwoli - usłyszała raz jeszcze.

Nie mogła tego potwierdzić - nie na głos. Lekko skinął głową i oddalił się, wtapiając w tłum przechodniów. Z wysiłkiem oderwała od niego wzrok i podeszła do brzegu pomostu, żeby przywitać się z Chrisem, który właśnie zsiadał z konia.

- Nareszcie jesteś - zawołała wesoło. - Już skłonna byłam pomyśleć, że o mnie zapomniałeś.

- Nigdy. - Z uśmiechem zakręcił wodze dokoła barierki, zawiązał je zdecydowanym ruchem i stanął przy niej na podeście. - Ale co ty tu robisz na zewnątrz? Wydawało mi się, że umówiliśmy się w hotelowym holu.

- Owszem. - Przełożyła parasolkę na drugie ramię i wzięła go pod rękę. - Ale nie było cię tam, kiedy zesłam na dół, więc wysłam na zewnątrz, żeby cię poszukać.

- To nie było rozsądne, Anno. Chyba rozmawiałaś z jakimś mężczyzną, kiedy podjeżdżałem?

Uciekła na bok spojrzeniem, po czym zbeształa się w myślach za to absurdałne poczucie winy. Nie zrobiła zupełnie nic, czego musiałaby się wstydzić.

- Tak - przyznała otwarcie. - Podniósł moją parasolkę, którą jakiś przechodzień wytrącił mi z ręki. Był bardzo uprzejmy.

- Mimo tego nie powinnaś się narażać, spacerując samotnie. Kell ma rację, to miasto jest pełne hazardzistów i oszustów.

- Jestem pewna, że ma rację. - Przez krótką chwilę poczuła złość. Zwróciła się do Chrisa, by jak zawsze wylewać przed nim swoje żale: - Ale nie po to znosiłam tę okropną podróż, żeby zamieniać jedno więzienie na drugie. Więc oświadczam ci, że nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć samotnie w hotelowym pokoju. Chcę wyjść na zewnątrz i wszystko widzieć... i coś robić. Tak wiele się dzieje... tak wiele ekscytujących rzeczy. Chris, ja chcę w tym uczestniczyć.

- Wiem. - Dotknął dłoni szwagierki spoczywającej na jego ramieniu i uścisnął ją ze zrozumieniem.

Anna popatrzyła na niego, zdając sobie sprawę, że zawsze może liczyć na jego sympatię. Drogi, wspaniały Chris. Z wyglądu tak bardzo podobny do Kella, a jednak tak różny. Obaj mieli te same zdecydowane rysy i ciemne oczy. Lecz spojrzenie Kella było zimne i twarde, podczas gdy oczy Chrisa



rozświetlała delikatność i słoneczna radość, które tak pasowały do jego ciemnozłocistych włosów. Mogła mu wszystko powiedzieć i on rozumiał.

- Kell martwi się o ciebie, Anno - rzekł. - Nie możesz go za to winić. On cię kocha.

- Wiem. - Spuściła wzrok, uświadamiając sobie, że jednak niezupełnie o wszystkim może mu powiedzieć...

Na pewno nie o Jacksonie Stuarcie.

*Jakie to dziwne, że tak krótkie spotkanie tak długo zaprzęta moje myśli. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś zobaczę pana Stuarda. Czy to źle mieć nadzieję, że tak się stanie?*

*Muszę już kończyć. Kell woła mnie do łóżka.*

*14 września, 1893 roku.*

*Konie dobrze się sprzedają, od kiedy Kell przeprowadził stado dwadzieścia mil na północ, do małego miasteczka o nazwie Orlando. Tam właśnie znajduje się miejsce rejestracji dla tej okolicy, więc zebrali się tam wszyscy osadnicy, żeby zarejestrować się przed wyścigiem. Kell stara się, żeby konie były zadbane i dobrze utrzymane, tak więc sierść mają błyszczącą i wyglądają na szybkie. Ze stu sztuk, które tu przyprowadził, sprzedał już wszystkie, poza dziesięcioma. To naprawdę niesłychane, jeśli się weźmie pod uwagę, że sprzedaje je po dwieście dolarów za sztukę. Sześć miesięcy temu chciał po trzydzieści dolarów za egzemplarz z tego samego stada!*

*Teraz, kiedy konie stały się tak cenne, trzeba ich przez cały czas pilnować. A ponieważ dosłownie tysiące ludzi stłoczyło się w tej malej miejscowości, nie można wynająć żadnego pokoju. Zmuszona więc byłam pozostać tutaj, w hotelu w Guthrie. Co wieczór Chris albo Kell przejeżdża te dwadzieścia mil,*

*żeby nie dotrzymać towarzystwa przy kolacji. Tak bardzo się złościłam, że muszę z gazetowych relacji dowiadywać się, co się dzieje na zewnątrz mojego pokoju, że Kell w końcu się zgodził, żebym towarzyszyła mu dzisiaj do Orlando i żebym na własne oczy mogła obejrzeć spektakl wszystkich „striptiserów” - tak właśnie gazety określiły zamiary osadników wzięcia udziału w wyścigu do Cherokee Strip.*

*Muszę przyznać, że na kilka minut przed wyruszeniem w tę podróż do Orlando zwątpiłam, czy jest to na pewno dobry pomysł. Temperatura osiągnęła już czterdzieści stopni w cieniu, którego praktycznie nigdzie tu nie ma. I ciągle wiał wiatr, tak samo gorący i suchy jak wszystko dookoła. Czy muszę dodawać, że kurz był nie do zniesienia? Ciągle jeszcze czuję pył na skórze.*

*Lecz widok, jaki napotkałam pod koniec mojej porannej podróży, nawet teraz mną wstrząsa. Wszędzie były rozstawione namioty, zmieniające prerię w brązowe, brezentowe morze, nieustannie falujące na wietrze. Dokoła pojazdy wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów: powozy, przykryte brezentem wozy, bryczki, wózki ciągnięte przez kucyki, a nawet jednoosobowa wyścigowa dwukółka. Przeczytałam, że w Orlando koczuje w tej chwili może nawet dziesięć tysięcy ludzi. Lecz mnie się wydawało, że było ich znacznie więcej. Jeśli do tego ludzkiego mrowia dodamy zwierzęta, które ze sobą przywieźli, cała sceneria nie daje się opisać słowami.*

*Najbardziej godne współczucia były te setki czy tysiące ludzi czekających w kolejce, żeby się zarejestrować na wyścig. Niektórzy stali tam nawet i czterdzieści osiem godzin. Nie odważyli się odejść z obawy przed utratą miejsca w kolejce, która zamiast maleć, kiedy ci z przodu otrzymywali swoje zaświadczenia, wydłużała się z godziny na godzinę. Jak dawali radę stać przez długie godziny w tym piekielnym upale, w porywającym wietrze, spowijającym ich w tumany duszącego kurzu; bez najmniejszego kawałka cienia,*

*który dałby im wytchnienie od prażącego bezlitośnie słońca - nigdy się nie dowiem. Wielu uległo upałowi - przewracali się na ziemię tam, gdzie stali. Był to obraz, od którego memu kochanemu papie pękło by serce - szczególnie na widok kobiet. Jedną z nich była kobieta, która sprzedała mi swój kapelusz. Zmieniła się bardzo, więc ledwo ją poznałam...*

Anna ściągnęła wodze i zatrzymała swój powozik, żeby popatrzeć na kobietę w podartej i zaszarganej sukni. Jej twarz pokrywała czarna mieszanina brudu, potu i łez, która musiała kilkakrotnie rozpuszczać się i zasychać. Potargane proste włosy opadały w nieładzie na ramiona. Anna nie mogła uwierzyć, że to ta sama kobieta. A jednak tak było. Zdobna błyszczącymi paciorkami saszetka, którą ścisnęła w obu dłoniach, była tą samą, do której włożyła otrzymane od Kella pięć dolarów za kapelusz. Mało prawdopodobne, aby w tym miejscu mogła się znaleźć druga taka sama.

Kobieta odwróciła głowę i wpatrywała się w powozik wyblakłymi, nabiegłymi krwią oczami. Potem Anna zobaczyła, jak jej źrenice uciekają do tyłu, i kobieta bezwładnie osunęła się na ziemię. Anna z przerażenia straciła oddech. A kiedy zdała sobie sprawę, że nikt nie zaryzykuje utraty miejsca w kolejce, żeby przyjść biedaczce z pomocą, jej strach jeszcze się wzmógł. Pośpiesznie okręciła wodze wokół stojaka na bat, zebrała w dłonie spódnicę i wygramoliła się z powoziku, nie zadając sobie trudu, żeby przywołać kowboja, którego Kell wysłał jej jako eskortę.

Podbiegła do kobiety i uklękła obok niej, przez chwilę zapominając o upale i wdzierającym się do oczu kurzu. Próbowała podnieść ją z twardej ziemi i ułożyć sobie w ramionach, ale kobieta była dla niej zbyt ciężka.

- Bardzo proszę. - Podniosła się na nogi i zwróciła się do ludzi w kolejce. - Niech ktoś sprowadzi doktora. Musi być jakiś w mieście. Ona zemdląca z

upału. Potrzebuje pomocy.

- Proszę. - Stojący przed nią mężczyzna wepchnął jej w ręce koc. - Niech pani to złoży i podsunie jej pod głowę. Za parę minut odzyska przytomność.

Anna spoglądała na niego, zaszokowana jego gruboskórną obojętnością wobec prośby kobiety, ale mężczyzna odwrócił się do niej plecami i wraz z kolejką przesunął się krok do przodu. Zwróciła się do drugiego człowieka, który właśnie zaczął ją wymijać, żeby dołączyć do przesuwaną się kolejki.

- Nie. - Impulsywnie chwyciła go za ramię. - Nie może pan tak po prostu przejść obok.

Popatrzył na nią zaczerwienionymi oczyma.

- Nie będzie mi tu paniusia mówiła, co mam robić. - A jeśli masz zamiar ukraść jej miejsce w kolejce, to też nic z tego nie będzie. Jak chce się pani zarejestrować, to niech pani ruszy swój wypindrzoną tyłek na koniec kolejki.

Wbił jej w ramię zakrzywione na kształt szponów paluchy i pchnął ją gwałtownie w kierunku końca kolejki. Anna zaskoczona i nieprzygotowana, upadła w piach, w ostatniej chwili wyciągając przed siebie ręce.

Zaszokowana wulgarnością! brutalnością obcego, przez ułamek sekundy leżała oniemiała, potem próbowała podnieść się na kolana. Właśnie wtedy olbrzymi kary ogier zarył kopytami w ziemię niecały metr od niej. Jakiś mężczyzna zeskoczył z siodła. Serce jej załomotało na widok Jacksona Sturta. Nie miał na sobie kurtki, tylko cienką bawełnianą koszulę, na piersiach i ramionach przesiąkniętą potem.

Jednym susem znalazł się koło niej, chwycił ją pod ramiona i postawił na ziemi jak zabawkę.

- Czy nic się pani nie stało, pani Morgan? - Kapelusz miał mocno nasunięty na czoło, tak że rondo ocieniało jego smagłą twarz i wydobywało ostry błękit oczu.

- Nie... wszystko w porządku. - Niepewnie skinęła głową, czując na głowie przekrzywiony kapelusz i wiedząc, że jej piękna suknia musi być cała ubrudzona. Kiedy próbowała bezskutecznie otrzepać ją z kurzu, zauważyła futerał z pistoletem przymocowany na biodrze Stuarta. Zdziwiła się, że nosi broń. Co innego Kell, u niego pistolet był tak naturalny, jak surowość tej ziemi, lecz nie u Jacksona Stuarta. To z powodu tego pistoletu nie od razu wspomniała mu o leżącej na ziemi, dosłownie kilka stóp od nich, zemdlonej kobiecie.

W tej krótkiej chwili Jackson Stuart odwrócił się na pięcie i pochwycił obcego, który ją pchnął.

- Wydaje mi się, że winien jesteś pani przeprosiny. - Zimny ton jego głosu zaskoczył Anne, lecz człowiek, do którego się zwrócił, patrzył tylko na niego apatycznie, zbyt otumaniony przez upał, żeby przejąć się groźbą. Ruchem tak szybkim, że Anna go w ogóle nie spostrzegła, Stuart wyjął pistolet, wetknął lufę pod brodę mężczyzny i odbezpieczył spust.

- Powiedziałem, że winien jesteś pani przeprosiny.

Nagle wszystko dokoła niej, oprócz tumanów kurzu, zamarło w bezruchu. Ktoś z przodu kolejki zawołał:

- Lepiej zrób to Joe. Ten facet to „Blackjack” Stuart.

Co to miało znaczyć? Czy on jest jakimś *desperado*? Zmieszana, gapiała się na niego, ledwo zauważając wytrzeszczone z przerażenia oczy osadnika, który jękając się dukał przeprosiny.

- Już lepiej. - Jackson Stuart uśmiechnął się gładko i zwolnił spust pistoletu, wypuścił mężczyznę i schował broń z powrotem do kabury, a wszystko to zrobił jednym płynnym ruchem. Potem odwrócił się do Anny i popatrzył na nią ciepłym i przepraszającym wzrokiem.

- Przepraszam. Czasami trzeba im przypomnieć o dobrych manierach.

- Oczywiście - mruknęła nie wiedząc, co ma powiedzieć. - Proszę mi pomóc, tutaj jest kobieta, która cierpi na udar słoneczny. Musimy zabrać ją do cienia i zawieźć do doktora, jeśli jest jakiś w okolicy.

- Trochę dalej przy drodze stoi namiot, który pełni rolę szpitala. Możemy ją tam zabrać. - Przyklęknął na kolanie obok nieprzytomnej kobiety, jedną rękę wsunął jej pod ramię, a drugą pod nogi, żeby podnieść ją do góry.

- Proszę włożyć ją do mojego powozu - poinstruowała go Anna, właśnie kiedy zbliżał się eskortujący ją kowboj.

- Przepraszam, pani Morgan. Nie zauważyłem, kiedy się pani zatrzymała. - Kowboj chwycił za zmięte rondo swego kapelusza, oddając jej uszanowanie, po czym usiłował opanować konia spłoszonego szelestem spódnic niesionej przez Jacksona Stuarta kobiety. - Co się stało?

- Ta kobieta zemdląła. Zabieramy ją do lekarza.

Jackson Stuart skinął głową w kierunku karego ogiera, który stał spokojnie z wałającymi się po ziemi wierzchami.

- Przywiąż mojego konia z tyłu powozu. Będziemy też potrzebowali wody z twojej manierki, jeśli coś tam masz.

- Tak, proszę pana. - Kowboj odwiązał manierkę od siodła i wręczył ją Annie, potem poprowadził swego konia do ogiera i podniósł z ziemi wodze.

Anna wspięła się bez niczyjej pomocy do powozu i odwróciła się, żeby pomóc Jacksonowi położyć kobietę na siedzeniu. W jej ramionach była bezwładna, jak szmaciana lalka. Potem Jackson Stuart wcisnął się także na siedzenie i uwolnił Anne od niewygodnego ciężaru.

- Niech pani otworzy tę manierkę - powiedział.

Zdjęła zakrętkę i wręczyła mu manierkę. Patrzyła, jak ją lekko przechyla i przykłada do spieczonych i popękanych warg kobiety, by ciepła woda spłynęła jej do gardła. Obchodził się z zemdloną tak delikatnie, że Annie

trudno było uwierzyć, że jeszcze chwilę temu ten sam człowiek przytknął pistolet do głowy jakiegoś mężczyzny. Wcale nie wyglądał groźnie. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie brak marynarki, miał wygląd dobrze ułożonego dżentelmena... i niezwykle przystojnego.

- Proszę. - Oddał jej manierkę, po czym rozluźnił zawiązaną na szyi żółtą chusteczkę i zdejmując ją, powiedział: - Proszę to zmoczyć. Zobaczymy, może uda nam się ją trochę ochłodzić i usunąć trochę tego brudu z jej twarzy.

Porozumiewawczy uśmiech, który jej przesłał, i dźwięk słowa „nam” sprawiło, że poczuła miłe ciepło na sercu. Razem pomagali kobiecie, lecz Anna nie myślała o tym w ten sposób, zanim tego nie powiedział. Szybko zmoczyła chusteczkę, potem delikatnie przetarła nią twarz nieszczęsnej.

Kobieta poruszyła się, ocucona prawdopodobnie chłodem wody na skórze lub też cieniem, jaki dawała postawiona buda powozu.

- Gdzie... gdzie ja jestem? Co się stało? - Słabo uniosła rękę i błędziła dokoła ciągle jeszcze szklistymi oczyma.

- Ciii. Zemdląła pani - spokojnie wyjaśniła Anna, spoglądając przelotnie na Jacksona. On w tym czasie pochylił się do przodu, jedną ręką odwiązał wodze i lekko nimi potrząsnął. Powóz ruszył. - Wieziemy panią do lekarza. Wszystko będzie dobrze.

- Nie - jęknęła, przechylając głowę z jednej strony na drugą. - Nie mogę. Moja kolejka... Stracę miejsce w kolejce... Nie... - zaszlochała, wyciągając do przodu ręce i resztką sił próbując się dźwignąć, żeby wrócić do kolejki.

- Proszę przestać. W tym stanie nie może pani tam wracać. - Nieco przestraszona oszalałą reakcją kobiety, Anna przytrzymała ją na siedzeniu, próbując ją zmusić, żeby się położyła.

Kobieta się opierała, lecz był to dla niej zbyt duży wysiłek. W końcu zacisnęła na sukni Anny dłonie z brudnymi paznokciami.

- Moja ziemia - szlochała, a jej ciałem wstrząsały milczące spazmy. - Byłam tak blisko... tak blisko. - Jej głos był tak słaby, że Anna musiała się wysilać, żeby cokolwiek usłyszeć ponad podmuchami gorącego wiatru i nieustanną wrzawą obozowiska. - Teraz miała być... moja kolej. - Anna uwolniła się od uścisku kobiety i poliała jeszcze wodą i tak już moką chusteczkę. Pojazd podskoczył na jakimś wyboju i trochę zalała sobie sukienkę. Spojrzała niecierpliwie przed siebie, potem przeniosła wzrok na Jacksona.

- Czy daleko jeszcze? - Była córką lekarza, ale nigdy dotąd nie miała do czynienia z chorą osobą. - Kompletnie straciła głowę. Majaczy coś o utracie miejsca w kolejce i ziemi. Potrzebuje spokoju i wypoczynku, aleja nie potrafię jej uspokoić. - W głosie Anny zabrzmiała panika, częściowo przechwycona od kobiety, częściowo wynikająca z własnej bezsilności.

- Proszę. - Stuart wyjął z kieszeni kartkę. - Niech pani jej to da. To ją uspokoi.

- Co to jest? - Anna zmarszczyła czoło.

- Potwierdzenie rejestracji. - Głośnym „prrr” powstrzymał siwki i powóz stanął przed otwartym z jednej strony namiotem. - Po ten papier stała w kolejce, żeby w sobotę móc legalnie wziąć udział w wyścigu. - Zawiązał wodze dokoła stojaka na bat, zeskoczył na ziemię, po czym odwrócił się do niej.

- Ale przecież... - Przypomniała sobie tłum ludzi w straszliwym popołudniowym upale, w kolejce, która zamiast się zmniejszać, ciągle się wydłużała. - To jest pańska rejestracja.

Jego usta uformowały się w przełomy uśmiech, kiedy sięgnął do powozu, żeby zabrać na wpół przytomną kobietę.

- Zdobędę drugą.

Podniósł ją z siedzenia i zupełnie bezwładną wziął na rękę. Dopiero teraz



Anna zakorkowała manierkę i zaczęła gramolić się za nim z powozu, walcząc z wieloma warstwami spódnic i ignorując pomocnie wyciągniętą rękę eskortującego ją kowboja. Jej dłoń w rękawicze ciągle ścisnęła cenny kawałek papieru, kiedy w końcu dołączyła do Stuarta.

- W jaki sposób dostanie pan następny? - powtórzyła. - Chyba nie ma pan zamiaru stać w tej kolejce?

Przyjrzał się jej twarzy i zobaczył malującą się na niej troskę o niego. Ucieszył go ten widok i nawet przez chwilę zastanawiał się, czy nie dać jej jeszcze trochę się pomartwić, ale zrezygnował z tego pomysłu.

- To nie jest konieczne, jeśli ma się trochę gotówki. Zdziwiłaby się pani, jak wielu ludzi z tej kolejki sprzedaje swoje zaświadczenia i jeszcze raz w niej staje, żeby kupić nowe.

- Dlaczego? - Nie mogła sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może chcieć przejść powtórnie przez to piekło.

- Żeby zarobić dodatkowo trochę grosza. - Wniósł kobietę do namiotu i położył ją na wolnej pryczy. Próbowła się podnieść, bełkocząc jakieś sprzeciw, lecz delikatnie przycisnął ją do pryczy. Potem wziął od Anny kartkę i zacisnął na niej palce kobiety. - Tu ma pani swoje zaświadczenie.

Kobieta z widocznym wysiłkiem skupiła przekrwione oczy na dokumencie. Potem wyraz ulgi pojawił się na zabrudzonej twarzy i wyraźnie się uspokoiła.

- Dziękuję - wyszeptała i choć jej ciałem wstrząsnął szloch, oczy pozowały suche, nie miała już łez.

- Włożę to pani do torebki. - Rozluźnił okręcone dokoła nadgarstka sznurki wyłożonej koralikami sakiewki i wepchnął papier do środka. Potem umieścił jej torebkę w dłoniach i zacisnął na niej palce kobiety. Przycisnęła woreczek do piersi i zamknęła oczy.

Do pryczy podszedł mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami i kraciastej kamizelce, ledwo opinającej jego okazały brzusek. Ocierał wąsatą twarz ze strużek potu. Z obojętnością spojrział na chorą.

- Udar słoneczny - stwierdził, po czym popatrzył na stojących przy łóżku. - Krewni?

- Nie - odparła Anna. - Wydaje mi się, że jest tu sama.

- Następna samotna kobieta. - Na jego twarzy pojawił się grymas zmęczenia. - Im jest tu najciężej. Rycerskość zniknęła po pierwszym dniu. Teraz każdy dba tu tylko o siebie. - Mokrą od potu chusteczką wytarł wewnętrzną stronę kołnierzyka. - Jak ona się nazywa?

- Nie wiem - zasmuciła się Anna.

Lekarz westchnął i potrząsnął głową; jakiś wymuszony i cyniczny uśmiech wykrzywił mu twarz.

- Jeden mężczyzna zmarł dziś od udaru. Ciągłe szukamy kogoś, kto wie, jak się nazywał. - Wydawało się, że zebrał się nieco w sobie. - No cóż, zrobiliście już, co do was należało. Teraz ja zrobię dla niej, co będę mógł. Nie będzie tego wiele. Nie mam tu nikogo do pomocy. Nikt tu nie ma żadnych pomocników. Wszyscy rezygnują, żeby wziąć udział w wyścigu i zdobyć dla siebie jakiś kawałek ziemi, albo umrzeć, próbując.

Ujął w dłoń nadgarstek chorej i poszukał pulsu, potem wyjął z kieszonki kamizelki złoty zegarek i otworzył go z trzaśnięciem. Jego brak zaangażowania i obojętność zmroziły Anne. Gdzie się podziała jego pasja? Troskliwość? Czy to ta zabójcza preria wszystko z niego wyssała, tak jak z innych w kolejce?

- On ma rację, pani Morgan. Nic więcej nie może pani dla niej zrobić. - Jackson Stuart lekko ujął ją za ramię i delikatnie przynaglał do wyjścia.

Pozwoliła się wyprowadzić. Na zewnątrz zatrzymała się w cieniu, tuż przy

podtrzymujących namiot żerdziach. Uderzył w nią gorący jak żar z paleniska podmuch szalejącego, porywistego wiatru. Tuż obok, z pochylonymi głowami wtulonymi w zgarbione ramiona, z trudem posuwali się do przodu osadnicy, ich twarze zamazywał tuman kurzu.

- Ci wszyscy ludzie... - zaczęła półgłosem. - Połowa z tych, których widziałam w kolejce, nadawała się do szpitala. Jak im się udaje przetrwać w tych warunkach?

- Słyszałem, że znacznie gorzej jest przy granicy z Kansas, w mieście Arkansas. Zebrało się tam dwa lub trzy razy więcej osadników. Tylko jednego dnia pięćdziesięciu zemdląło z upału, a sześciu z nich zmarło przed zmierzchem.

Odwróciła się do Stuarta.

- Dlaczego? Dlaczego oni to robią?

W zamyśleniu wodził wzrokiem po otaczającej ich scenierii. Kiedy usłyszał pytanie, przeniósł na nią spojrzenie.

- Dla kawałka ziemi, który mogliby nazwać swoim własnym, a dlaczegoż by innego? - Kąciki jego warg uniosły się w wymuszonym uśmiechu. - Powinna zobaczyć ich pani w nocy, kiedy siedzą dokoła ognisk, pochyleni nad mapami Stripu, studiując każdy zakręt i zakole rzeki czy dopływu, zastanawiając się, który kawałek ziemi zajmą, wyznaczając trasę do niego, potem starając się zapamiętać otaczający go teren, żeby móc go odnaleźć, kiedy zaczną się już wyścigi... przyjmując oczywiście, że nikt inny nie dotrze tam przed nimi. Tylko o tym mówią, tylko o tym myślą, tylko to jest siłą napędową ich działania.

- Ale dlaczego? - Pomyślała o kobiecie, którą właśnie wniósł do środka, brudnej, obdartej, na wpół żywej od upału, a jednak oszalałej z chęci powrotu do kolejki. Nie przejmowała się tym, jak wygląda; brudem i potem,

które pokrywały jej twarz, morderczą udręką sterczenia godzinami w pełnym słońcu, pod jednym warunkiem: że dostanie ten głupi kawałek papieru. - Dlaczego to tak wiele dla nich znaczy?

Popatrzył na nią długo, w zamyśleniu, potem znowu przeniósł wzrok na pełen kurzu krajobraz przed nimi.

- Patrzy pani na przegranych tego kraju, pani Morgan, przegranych i wywłaszczonych. To są by li niewolnicy z Południa, buntownicy, którzy powrócili do zgliszcz i do Wielkiej Odbudowy, i ludzie, którzy przybyli na Zachód zbyt późno, aby dostać żyzne ziemie w stanach Iowa, Kansas czy Missouri, albo próbowali i przegrali. To już ostatnia tania ziemia, na jaką mogą liczyć, jedyne miejsce, gdzie mężczyzna czy kobieta może rościć sobie prawo nawet do stu sześćdziesięciu akrów po jednym jedynym dolarze za sztukę, w zależności od położenia ziemi, którą zajmą. To jest jedyna szansa dla sprzedawcy, nauczycielki czy lokaja, żeby mieć własny kawałek ziemi. Cały ten obszar zasiedlą pechowcy. Nie mają dokąd pójść i wiedzą o tym. Jeśli tutaj nie dostaną kawałka ziemi, prawdopodobnie nie dostaną jej już nigdzie. Dlatego są tak zdesperowani, dlatego tak nieustępliwie i wytrwale czepiają się tych zaświadczeń. - Przerwał na chwilę. - Z pewnością nie jest to miejsce dla strachliwych.

- Nie - zgodziła się odruchowo, zdając sobie sprawę, że sama jest właśnie taka. Ale kiedyś taka nie była, nie na początku. Gdy poślubiła Kella, było w niej tyle energii i zapału dla życia na pustkowiu, co u tych ludzi. Sądziła, że będzie to jedna wielka nieustająca przygoda. - Ale oni nie wiedzą, jak tutaj jest. Nie wiedzą nic o tym życiu pełnym odosobnienia, monotonii, nie wiedzą, jak bardzo jest prymitywne - mówiła, tęskniąc skrycie za tym wszystkim, co pozostawiła za sobą w Kansas.

Jackson Stuart nie był zdziwiony niezadowolaniem i rozpaczą, które usły-

szął w jej głosie. Od początku rozpoznał w niej nieszczęśliwą, zbyt często pozostawianą w samotności kobietę. A zainteresowanie, ciekawość, jaką mu okazała tego popołudnia przed hotelem w Guthrie, tylko to potwierdziły. Zadowolona z życia kobieta pewnie rzuciłaby w jego stronę pełne podziwu spojrzenie, ale nie byłaby tak zaciekawiona. Co więcej, nie miałyby w oczach tego głodu uwagi.

Nie, pani na Morgan's Walk była bardzo samotną i nieszczęśliwą kobietą. Co otwierało przed nim parę bardzo interesujących możliwości.

- Po co pan tu przyjechał? - Anna widziała, że nie jest taki jak reszta. Był zbyt powściągliwy, traktował to wszystko zbyt niedbale. A jednak miał zaświadczenie rejestracji. - Czy także pragnie pan kawałka ziemi?

- Przyciągnęła mnie tu rywalizacja, tak mi się zdaje. Wysokie ryzyko tego przedsięwzięcia. To jest wyścig charakterów, a nagroda przypadnie najszybszym, najsprytniejszym i tym, którzy mają najwięcej szczęścia. I potrzeba do tego trzech rzeczy: szybkiego konia, mądrej jazdy i hitu szczęścia. Żeby zająć wybrane miejsca, szczególnie takie, na których można zbudować miasto. - Bardzo uważał, żeby nie wspomnieć, że prawie każdy z przyszłych osadników przywoził ze sobą oszczędności swego życia i że w torbach przytroczonych do siodła miał prawie dwa tysiące dolarów, które w ciągu ostatnich dwóch dni wyłuskał od nich podczas przyjacielskich gier.

- Czy tego pan właśnie chce? Miejsca pod zbudowanie miasta.

- Tak.

- Co pan z nim zrobi?

- Najprawdopodobniej odsprzedam je komuś, kto przyjedzie zbyt późno, żeby zająć jakieś dla siebie. Z zyskiem oczywiście.

- A więc nie będzie pan budował?

- Nie.

- A tak właściwie, to co pan robi, panie Stuart?

Przechyliła głowę, przyglądając mu się z zaciekawieniem. - Tam, w kolejce jakiś człowiek nazwał pana „Blackjack” Stuartem.

- Z zawodu jestem graczem, pani Morgan, a „dwadzieścia jeden”, bardziej znana pod nazwą blackjacka jest grą, w którą grywam... stąd przydomek.

- Rozumiem - mruknęła.

- Wątpię, pani Morgan. Życie hazardzisty jest samotne. Oczywiście ma swoje miłe strony, przejechałem ten kraj wzdłuż i wszerz. St. Louis, San Francisco, Nowy Orlean, Nowy Jork... wszędzie tam byłem. Zatrzymywałem się w najlepszych hotelach, jadłem w najlepszych restauracjach, paliłem importowane cygara, sączyłem najlepsze wina. Diamentowe szpilki do krawatów, garnitury od krawca w St. Louis, mam nawet na własność najszybszego w tej okolicy konia. - Skinął głową w kierunku uwiązanego do powozu karego ogiera, niecierpliwie grzebiącego kopytem w ziemi. - Ale żadne, nawet największe skarby nie mają znaczenia, kiedy trzeba się nimi cieszyć w samotności.

- Ja... ja już to gdzieś słyszałam. - Starła się nie okazać, jak bardzo jego słowa oddawały to, co sama czuła.

- Taki już mój los, że mam niezwykle szczęście w kartach, lecz nie jest mi dana miłość kobiety.

- Bardzo trudno mi w to uwierzyć, panie Stuart. Niech pan mi wybaczy szczerą, ale jest pan przystojnym mężczyzną. Jestem najzupełniej pewna, że mógłby pan przebierać w pannach.

- Moim nieszczęściem jest to, że kiedy znalazłem kobietę, którą mógłbym pokochać, ona należy już do kogoś innego.

*...A kiedy to mówił, patrzył mi prosto w oczy. Muszę przyznać, że straciłam*

głowę i nie mogłam znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi. Chociaż nie powiedział otwarcie, że to ja jestem tą kobietą, nie można było mieć wątpliwości, że to właśnie miał na myśli. W tych okolicznościach nie miałam innego wyboru, jak tylko się pożegnać. Moje pozostanie mogłoby doprowadzić go do błędnego wniosku, że przychylnie przyjmuję jego zaloty. Co mijano się z prawdą. Poza wszystkim, jestem przecież kobietą zamężną. A jednak było mi przyjemnie, że inny mężczyzna - ktoś obcy - może się mną interesować. Sądzę, że jest to z mojej strony straszliwa próżność, co nie zmienia faktu, że tak było.

16 września, 1893 roku.

Zdarzyło się coś niesłychanie podniecającego. Kell zarezerwował dla nas miejsca w jednym z wagonów dla pasażerów. Koniec końców zobaczę jednak start Wielkiego Wyścigu. Ostatnio tak wiele było zamieszania i pogłosek Najpierw słyszało się, że pociągi pojedą potem, że nie, potem znowu, że tak, ale wsiąść będą mogli tylko osadnicy z zaświadczeniami. Zaczęłam już wątpić, czy będę świadkiem wyruszenia tego niezmiernie tłumy osadników. Cóż by to było za straszliwe rozczarowanie, po całym tygodniu spędzonym tutaj w Guthrie, kiedy złapałam już bakcyła - udzieliło mi się to szaleństwo nie rozstrzygniętego wyścigu po ziemię - gdybym nie mogła zobaczyć tego historycznego momentu.

Teraz będę mogła. Niestety Kellowi nie udało się zorganizować dla nas prywatnego przedziału. Dla jakiegoś powodu takich przedziałów nie ma w pociągu. Sądzę, że władze obawiały się, że właściciele prywatnych przedziałów będą ciągnęli z nich korzyści, sprzedając miejsca osadnikom i w ten sposób pozbawiając dochodu przedsiębiorstwo kolejowe. Mimo wszystko jedziemy. Zastanawiam się, czy zobaczę Jacksona Stuarta.

Odgradzona od innych widzów żywą ścianą z kilku kowbojów z rancza, Anna przycupnęła na samym brzegu siedzenia i patrzyła przez otwarte okno pociągu. Była pewna, że żadne z wydarzeń opisanych w kronikach historii nie może się równać z widokiem, jaki się przed nią roztaczał. Kryte wozy, lekkie powoziki, pojazdy na dwóch kołach, sulki, konie i jeźdźcy, ciężkie wozy ciągnięte przez osły i kilku śmiałków na własnych nogach, wszyscy tworzyli poszarpany szereg, który rozciągał się tak daleko, jak sięgał wzrok; a każdy z nich ustawiony tak blisko następnego, że człowiek by się między nimi nie przecisnął.

W samym pociągu - ciągniętym przez trzy lokomotywy i złożonym z czterdziestu wagonów - też nie można było wetknąć szpilki, nie wspominając o poruszaniu się. Osadnicy dosłownie wypełnili wagony dla bydła, a ponadto część z nich wisiała, uczepiona rozsuwanych drzwi. Inni tłoczyli się na dachach wagonów. Nie dalej jak dwa okna od Anny jakiś mężczyzna uczepił się z zewnątrz okiennej ramy, a nogi oparł na poprzeczce.

Na samo wspomnienie tej dzikiej szarpaniny, która nastąpiła, kiedy pozwolono osadnikom zajmować miejsca w pociągu, ciarki chodziły po plecach. Tłum w popłochu rzucił się ku drzwiom, przepychając się i cisnąc, chwytając za co się dało, drąc odzież, przewracając ludzi i tratując ich bez jakiegokolwiek szacunku dla wieku czy płci. A obsługa pociągu i przedstawiciele władzy nie mogli zrobić absolutnie nic, w przeciwnym razie zdeptano by ich natychmiast, tak jak innych.

Teraz wszyscy czekali, a słońce bezlitośnie wspinało się coraz wyżej na niebie. Przed długą, nie kończącą się linią osadników ustawiono żołnierzy z Kawalerii Stanów Zjednoczonych, którzy siedzieli na koniach, czekając na wyznaczoną godzinę. Choć według Kella ich obecność nie była tej nocy



wystarczającą przestrogą dla setek tak zwanych „wczesniaków”, którzy pod osłoną nocy przedarli się pomiędzy patrolami i nielegalnie wkroczyli na ziemię przeznaczoną pod osadnictwo, żeby zająć najlepsze działki „wcześniej” niż inni.

- To już niedługo, prawda Kell? - Mocniej zacisnęła rękę na jego palcach, nie mogąc oderwać oczu od tłumów. Tylu ludzi, a jednak wszyscy stoją w takim bezruchu, tak cicho, w takim napięciu, ciała i serca nateżone tak mocno, że Anna także poddała się tej atmosferze i podświadomie wstrzymała oddech.

- Niedługo - potwierdził.

Dokładnie o dwunastej w południe osiem milionów akrów ziemi, znanej pod nazwą Cherokee Strip lub Cherokee Outlet, otworzy się przed osadnikami. Poranna gazeta twierdziła, że ponad sto tysięcy ludzi, ze wszystkich punktów zbiorczych wzdłuż północnej i południowej granicy, wkroczy na te ziemie.

W nierealnej ciszy tej chwili bicie serca Anny było głośniejsze niż sapanie stojącej lokomotywy. Tu i ówdzie niecierpliwy rumak uderzał kopytem o ziemię lub niespokojnie coś przeżuwał. Dźwięki, które normalnie zginęłyby we wrzawie zebranego tu wielotysięcznego tłumu, wydawały się nienaturalnie głośne, drażniąc nerwy i tak już napięte do granic ostateczności. Raz jeszcze Anna przebiegła wzrokiem długą, poszarpaną linię, pewna, że gdzieś tam, wśród innych, jest Jackson Stuart. Ale gdzie?

W odległości niecałych stu metrów jakiś koń stanął dęba i wyskoczył do przodu. Jasne słońce zamigotało na jego lśniącej potem, czarnej szyi. Człowiek, który go dosiadał, bez wysiłku skierował zdenerwowane zwierzę z powrotem do szeregu - mężczyzna w czarnym kapeluszu i z pistoletem umocowanym na biodrze, jak wielu innych jeźdźców. Choć Anna widziała

go tylko przez krótką chwilę, zanim roztopił się w cizbie, miała pewność, że był to Jackson Stuart. Nachyliła się jeszcze bardziej do okna, starając się odnaleźć go w tłumie.

Kiedy trębacz zagrał pierwsze słodkie dźwięki na swojej trąbce, wzdłuż całego długiego szeregu ustawionych ludzi rozległo się staccato wystrzałów ze strzelb. W tym samym momencie postrzępiona linia rozpekła się i wystrzeliła do przodu kipiącym pędem ludzkiego mrowia. Grzmot tysięcy uderzających w ziemię kopyt, turkot obracających się kół, klekotanie wozów, przeraźliwy gwizd lokomotyw, rzenie spłoszonych koni, a także krzyki, wrzaski, przekleństwa i wycie osadników, wszystko to mieszało się razem w jeden wielki ryk - ryk udreki i szaleństwa, które nagle rozpętały się nad światem, przerażające w swojej zaciętości i szokujące natężeniem. W powietrze wzbila się olbrzymia chmura czerwonego kurzu i natychmiast pochłonęła tratującą się hordeę. Na placu boju zostały przewrócone wozy, leżące konie i wyrzuceni z siodeł jeźdźcy.

Anna gapiała się na to, sparaliżowana dźwiękiem i widokiem. Przez chwilę była pewna, że wszystko zmiotła fala czerwonego piasku. Potem, z diabelskiej chmury oderwał się rozrzucony szereg jeźdźców i wysforował się do przodu, pędząc z wiatrem na wyścigi. A jednym z nich - tak, jednym z nich był Jackson Stuart. Strach, który ją paraliżował, rozplynał się w fali ulgi. Był bezpieczny. Co więcej, był na samym przedzie i lotem błyskawicy pędził przez prerię na swoim szybkim karym ogierze.

Coraz więcej wagonów i jeźdźców wyłaniało się z opadającej chmury kurzu i gnało przez puste równiny. Nieprawdopodobny zgiełk, jaki się podniósł z tego mrowia, przechodził w dudnienie, nad którym wznosiło się sapanie lokomotywy. Za plecami Anny wywiązały się rozmowy, które przeważnie przybierały formę podnieconych komentarzy.

- Tak wiele marzeń gna teraz po prerii - mruknął Chris.

- Ale zanim skończy się ten dzień, umrą nie tylko marzenia. - Twardym, rzeczowym głosem oświadczył Kell.

Na pewno nie Jackson Stuart. Był tu, na samym przedzie. Na pewno zwycięży. Inni przegrają, ale nie on. W radosnym podnieceniu, Anna odwróciła się od okna i popatrzyła na męża.

- To było wspaniałe, Kell. Po prostu wspaniałe. Widok, jakiego się nie zapomina. Doświadczenie, którego bym nie oddała nawet za wszystkie skarby tego świata. - Tyle niebezpieczeństw i podniecenia. To prawda, że obserwowała to z bezpiecznej odległości, ale była częścią tej chwili, odczuwała upał i wiatr, napięcie, od którego zamierało serce, huczący ryk tłumu i jego desperacką potrzebę gnania przed siebie.

- W takim razie cieszę się, że przywiozłem cię tu ze sobą. - Jego usta ułożyły się w jeden z rzadko goszczących na jego twarzy uśmiechów. - Jutro ruszymy do domu, z powrotem do Morgan's Walk, i dla odmiany zażyjemy trochę ciszy i spokoju.

*Popatrzył na mnie oczami przepelnionymi miłością i bardzo się zawstydziałam, z powodu tej krótkiej chwili, kiedy miałam nadzieję, że nie będziemy musieli wracać. Co się ze mną dzieje? Tęsknię, żeby zobaczyć znowu mojego syna i wziąć go w ramiona, a jednocześnie nienawidzę myśli o spędzaniu długich następujących po sobie dni w tym domu.*

## 23

Plama atramentu zamazała jedną trzecią strony i Flame odniosła wrażenie, że Anna Morgan z rozżalenia i rozczarowania opuściła na kartkę dłoń z piórem. Cierpiała te same katusze sprzecznych emocji, ogarnął ją ten sam

lęk. Nie miała ochoty więcej czytać, przekonana, że jest w stanie odgadnąć resztę.

Właśnie kiedy zamykała pamiętnik, uwaga Bena Canona gwałtownie przywróciła ją rzeczywistości.

- Interesująca lektura, prawda?

- Tak - zareagowała odruchowo i nagle dostrzegła wesoło strzelający na kominku ogień i rozchodzący się dokoła, gryzący zapach dymu z fajki.

Szyby w oknach, pociemniałe kładącymi się na zewnątrz cieniami wieczoru, odbijały światło zapalonych lamp. Z jakiegoś innego pomieszczenia dochodziło stłumione bicie zegara, powoli wydzwaniającego pełną godzinę. Flame zastanawiała się, czy Anna Morgan słuchała tego samego dźwięku, odmierzającego w tym domu godzinę za godziną.

- Może jeszcze filiżankę kawy, Flame? - Adwokat stał tuż obok marmurowego kominka, niedbale pieszcząc w zagłębieniu dłoni fajkę z korzenia wrzośca. Obgryzionym trzonkiem wskazał na serwis z kawą. - Przygotowałem dzbanek świeżej kawy, więc mogę panią zapewnić, że nie jest tak mocna jak poprzednia,

Uśmiech zaokrąglił jego błyszczące policzki, lecz w oczach mignęło coś przebiegłego. Za każdym razem, kiedy Flame spoglądała na adwokata, spodziewała się ujrzeć spiczaste uszy, wystające spomiędzy okalających łysinę włosów. Zawsze była trochę zawiedziona, że ich nie widzi.

- Jeśli jest pani głodna - zaoferował się Charlie Rainwater, wygodnie usadowiony w drugim fotelu ustawionym niedaleko paleniska - to za niecałą godzinę przyniosą z kuchni kanapki.

- Nie, dziękuję, nic mi nie potrzeba. - Spojrzała na częściowo już zamknięty, leżący na jej kolanach pamiętnik: jej palec ciągle tkwił, jako zakładka, między stronami. - Dalsza lektura tego dziennika nie wydaje mi się

konieczna. To oczywiste, że opuściła męża i uciekła z tym... Jacksonem Stuartem.

- Nic nie jest oczywiste - wtrącił protekcyjnie Ben Canon. - Proponuję, żeby przeczytała pani jeszcze kawałek. Jeżeli przeszła już pani przez część dotyczącą wyścigu po ziemię, proponuję, żeby przeskoczyła pani do listopada, zdaje mi się, że zdarzyło się to około dziesiątego.

Zatrzęsła się z irytacji.

- Czy nie byłoby prościej i szybciej, gdyby po prostu opowiedział mi pan, co się wtedy zdarzyło, panie Canon?

- Na pewno - zgodził się usłużnie. - Ale w zaistniałych okolicznościach, pani Stuart, lepiej będzie, jeśli dowie się pani o tym ze źródła innego niż ja. Nie chciałbym być oskarżony o stronniczość czy uprzedzenie.

Na jego uśmiech Flame odpowiedziała pełnym wściekłości spojrzeniem, potem z powrotem skupiła uwagę na pamiętniku. Walcząc z tą dziwną niechęcią do dalszej lektury, powtórnie go otworzyła i przekartkowała strony do tych z listopadową datą.

*9 listopada, 1893 r.*

*Dzisiaj wydarzyły się dwie absolutnie wspaniałe rzeczy! Dziś rano przy śniadaniu Kell oznajmił, że na Święta pojedziemy do domu, do Kansas! Tęskniłam za tym, marzyłam o tym i modliłam się o taką podróż, niemalże od dnia mojego tu przyjazdu. Pierwszego roku nie mogliśmy tego zrobić, ponieważ oczekiwałam przybycia na świat mojego ukochanego Johmy'ego. A drugiego i trzeciego roku mój syn był jeszcze zbyt mały, aby znosić trudy takiej podróży - a ja nie mogłam go zostawić. A poza tym wydaje mi się, że Papie by się nie spodobało, gdybym przyjechała bez wnuka. Lecz tego roku Johnny jest silnym trzylatkiem, więc jedziemy wszyscy troje. Kell zamówił już*

*dla nas na tę podróż prywatny wagon. Wyruszymy trzeciego grudnia i spędzimy tam co najmniej miesiąc.*

*Wakacje w Kansas... nie mogę się wprost doczekać. Będzie tak wiele spotkań i przyjęć, tak wiele uroczystości, w których weźmiemy udział. Spędzimy tam radosny i wspaniały czas.*

*Ale co ja mam wziąć ze sobą, co na siebie włożyć? Ponieważ mieszkam tak daleko, sądzę, że moje suknie stały się beznadziejnie przestarzałe. Nie mam innego wyboru, jak tylko przejrzeć uważnie ostatnie numery „Harper’s Bazaar” i zobaczyć, czy mogę jakoś temu zaradzić, może coś przerobić. Nie ma już czasu na nic innego, a nie mam najmniejszej ochoty, żeby moi przyjaciele w Kansas zaczęli uważać mnie za wiejską gęś.*

*Nie miałam sposobności, żeby zająć się dzisiaj moją garderobą, ponieważ... mieliśmy gościa. Nigdy nie zgadniesz kto to był. Kiedy Johnny obudził się z drzemki, wzięłam go do ogrodu, żeby się trochę pobawił. Było ciepło, jasne popołudnie - najwspanialsza jesienna pogoda, tak więc pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mu zrobi. W następnym miesiącu nadciągnie tu zawodząc ten okropny, północny wiatr i przyniesie ze sobą posępne, pełne śniegu i lodu szare chmurzyska - zrobi się wtedy zdecydowanie zbyt chłodno, żeby wypuszczać się na zewnątrz.*

*W każdym razie, czysty przypadek sprawił, że kiedy Johnny baraszkował radośnie ze szczeniakami jednego z myśliwskich psów Kella, ja przeszłam spacerem na trawnik przed domem. Dlaczego? Nie wiem. Zupełnie jakby mnie tam przyciągnęła jakaś tajemnicza siła. Gdy spojrzałam na alejkę, zobaczyłam jakiegoś mężczyznę prowadzącego okulałego konia. Po jego stroju natychmiast zorientowałam się, że nie jest to nikt z naszych ludzi, ani żaden z sąsiadów. I wiedziałam także, że ten mężczyzna to Jackson Stuart. Jakże często myślałam o nim w czasie tych minionych tygodni i zastanawia-*

*łam się, jak mu się powiodło tego dnia, podczas wielkiego wyścigu. Gazety pełne były opowieści o ludziach zamordowanych podczas sporów o ziemię. Niektórzy z nich byli „wczesniakami” i na nic lepszego nie zasłużyli, lecz inni byli prawowitymi osadnikami, jak pan Stuart. Tak wiele razy pielegnowałam w sobie nadzieję, że żyje i ma się dobrze - i oto pojawił się tutaj.*

*Pan Stuart jechał właśnie do Tulsy, kiedy jego piękny ogier okulał. Na szczęście zorientował się, że jest niedaleko Morgan's Walk. Biorąc pod uwagę późną porę, wiedziałam, że nie dotrze do Tulsy przed zmrokiem i zaproponowałam Kellowi, żeby pan Stuart spędził noc w naszym domu i rano wyruszył w dalszą podróż, na jednym z naszych koni. Oczywiście Kell zgodził się ze mną.*

Kolacja tego wieczoru była jedną z najprzyjemniejszych - jeśli nie najprzyjemniejszą - od przyjazdu Anny do Morgan's Walk. Była tak zajęta krzątaniem się, żeby wszystko przygotować dla niespodziewanego, lecz bardzo mile widzianego gościa, że nie mogła przeznaczyć na toaletę tak dużo czasu, jakby tego pragnęła. Ale sądząc po pełnych podziwu spojrzeniach, jakie pan Stuart często rzucał w jej stronę, można sądzić, że nie prezentowała się najgorzej. Czuła się jak kwiat rozkwitający w ciepłe jego uwagi.

Naturalnie, tematem rozmowy przy stole był wielki wyścig po ziemię Cherokee Strip, doświadczenie, które było udziałem każdego z nich, bądź to jako uczestnika, bądź jako obserwatora. Po raz pierwszy Anna swobodnie szczebiotała o swoich rozlicznych i różnorodnych wrażeniach ze startu wyścigu.

- Zgiełk był zupełnie ogłuszający - upierała się. - Słyszałam, jak inni porównywali go do silnego ognia artyleryjskiego. Nie mogę doprawdy stwierdzić, czy tak właśnie było, ale wiem, że hałas był tak duży, że człowiek

czuł się kompletnie przez niego wchłonięty. Nie mogę sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać, kiedy było się w samym jego centrum. Czy start był rzeczywiście aż tak niebezpieczny, jak to wyglądało? Pan był pośrodku tego chaosu, panie Stuart. Proszę nam opowiedzieć, jak tam było.

- To było szaleństwo. Wszyscy w tym szeregu mieli tylko jedno w głowie - żeby szybko wydostać się przed innych i uniknąć zderzenia. Lecz po sygnale do startu, podczas tych pierwszych kilku susów do przodu, koła pojazdów pozahaczały się o siebie, konie spłoszyły się i wrywały, wywracały się wozy i wpadali na siebie jeźdźcy.

Przypomniała sobie tę straszną scenę i aż się wzdrygnęła.

- Wszystko to z powodu marzeń o posiadaniu kawałka ziemi. Nie wyobrażam sobie, jak można ryzykować życie dla marzeń,

- A czymże jest życie bez marzeń? - Jackson Stuart rzucił trochę wyzywająco. - Zwykłą wegetacją, pani Morgan, bez żadnej nadziei, że coś się zmieni. A musi być lepiej. W przeciwnym razie, po cóż to ciągnąć dalej?

- Jakie jest pańskie marzenie, panie Stuart? - zapytał Chris.

Jackson Stuart wyciągnął się wygodnie na swoim krześle i rozejrzał się po jadalni, w której stał długi stół z wiśniowego drzewa, a ponad głową iskrzył się kandelabr.

- Mieć kiedyś dom tak wspaniały jak Morgan's Walk, a także podróżować i zwiedzać różne miejsca.

- Wysoko pan mierzy - zauważył Kell.

- A po cóż marzyć o małych rzeczach, panie Morgan? - argumentował Stuart. - Pan tego nie robił.

Tego wieczoru kolacja skończyła się dla Anny o wiele za wcześnie. Żalowała, że nie może zostać przy stole jeszcze z godzinę i cieszyć się dłużej



stymulującym towarzystwem Jacksona Stuarta. Lecz kiedy Kell się podniósł, nie pozostało jej nic innego, jak tylko pójść w jego ślady. Ledwo zdążyła wykonać pierwszy ruch przed wstaniem, a już Jackson Stuart był przy jej krześle, ofiarowując pomoc. Podziękowała za jego trud lekkim skinieniem głowy, gdy tymczasem on rzucił jej spojrzenie nazbyt otwarte w swym uwielbieniu, osłonięte czarnymi rzęsami nie przed nią, lecz przed jej mężem. Próbując opanować nagłe bicie serca, odwróciła się do Chrisa i wyszła z pokoju wsparta na jego ramieniu; lampasowa spódnica jej złocistobrazowej sukni delikatnie szeleściła przy każdym poruszeniu.

- Jaka była sytuacja na nowych ziemiach, kiedy je pan opuszczał, panie Stuart?

Anna stłumiła westchnienie, gdy usłyszała pytanie Kella. Interesy. Wcześniej czy później rozmowa zawsze schodziła na bydło, zbiory lub politykę.

- Wciąż trwały jeszcze spory o prawo do własności różnych zasiedlonych parceli. Zapewne miną miesiące, zanim się to wszystko rozstrzygnie. Ale reszta osadników wygląda już wiosny. Jeśli ma pan jeszcze jakieś konie na sprzedaż, szczególnie robocze, znajdzie pan tam na nie wielu chętnych. Po wyścigu trudno w okolicy o konia, który nie byłby dychawiczny.

- To może być dobry pomysł, Kell - wtrącił się Chris. - Moglibyśmy zabrać ze dwunastu ludzi od zbiórki siana. Może zatrzymamy młodsze, a sprzedamy starsze konie.

- Trzeba by się nad tym zastanowić - zgodził się Kell z typową dla niego ostrożnością.

Anna zatrzymała się pod łukowym sklepieniem wejścia do salonu i odwróciła się, odruchowo podążając spojrzeniem w kierunku przystojnego gościa.

- Jeśli panowie pozwolą, zostawię ich teraz przy brandy i cygarach.

Przez moment Jackson Stuart wydawał się być rozczarowany, lecz ten

przelotny błysk zaskoczenia zniknął szybko z jego twarzy.

- Z całą szczerością, miałbym skromne życzenie, żeby pani pozostała, pani Morgan. Zauważyłem tu pianino i żywiłem cichą nadzieję, że zagra pani dziś wieczorem. Pani gra na pianinie, prawda?

Skromność nie pozwoliła jej wyznać, że jest wytrawną pianistką.

- Tak, trochę.

- W takim razie, czy mógłbym prosić, żeby zagrała pani dla mnie? Już od dawna nie słyszałem nic poza bębnieniem w klawisze w jakichś barach.

- Ja... - Spojrzała na Kella, ale nie wyczytała sprzeciwu w jego dobrotliwej twarzy. - Z wielką przyjemnością zagram dla pana, panie Stuart.

- Czuję się zaszczycony, pani Morgan. - Pochylił się z kurtuazją, a blask w jego oczach wprowadził ją w zadowolenie.

Zachwycona Anna wkroczyła do salonu i udała się prosto do ozdobnego, kunsztownie rzeźbionego pianina z hebanowego drewna. Usiadła na stołeczku, starannie układając spływającą na podłogę spódnicę i sięgnęła po ustawione na podpórce nuty.

Słyszając za sobą brzęk kryształowej karafki z brandy i przyciszone głosy, spojrzała przez ramię i zapytała:

- Czy jest coś szczególnego, co chciałby pan usłyszeć, panie Stuart?

- Nie - odrzekł, unosząc w jej kierunku kieliszek z brandy. - Wybór pozostawiam pani.

- Może w takim razie coś z Bacha. - Wybrała utwór pełen skrywanych namiętności i rozpoczęła grę. Cały czas myślała o swojej widowni, starając się bardzo, by jak najlepiej wypaść.

Kiedy skończyła, rozległy się brawa Stuarta.

- Wspaniale, pani Morgan. Po prostu wspaniale. - Pochwała obecna zarówno w jego głosie, jak i w jego oczach rozplynęła się ciepłem po jej cie-

le. - Ale błagam, niech pani nie przestaje grać.

- Tak, Anno, zagraj coś jeszcze - przynaglił Kell, podnosząc się z krzesła. - Proszę mi wybaczyć, panie Stuart, że zostawię pana teraz pod opieką mojej żony. Mam jeszcze mnóstwo papierkowej roboty, która czeka na mnie w bibliotece. - Potem rzucił szybko Chrisowi: - Muszę z tobą jeszcze pomówić, zanim się położysz.

Anna zaczęła się sprzeciwiać jego odejściu. W końcu zdała sobie sprawę, że nic to nie pomoże i mocno zacisnęła usta. Zawsze było tak samo. To Właśnie było takie irytujące. Cały dzień spędzał objeżdżając swoje ukochane ranczo, a potem cały wieczór sterczał nad rejestrami i księgami rachunkowymi - dla niej czasu pozostawało bardzo niewiele.

Odwróciła się z powrotem do pianina i zaczęła grać, odruchowo wybierając jakąś wyjątkowo wesołą melodię. Kiedy była w połowie, zobaczyła jak Chris także wychodzi z pokoju, przesyłając w jej stronę przepraszający uśmiech, który obiecywał, że jeszcze wróci. Miała wątpliwości, szczególnie jeśli Kell złapie go w swoje ręce. Ale cóż to miało za znaczenie? Jackson Stuart był tutaj. Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że teraz całą swoją uwagę poświęci jej.

Chris Morgan wszedł do biblioteki.

- Kell, właśnie zdałem sobie sprawę z tego, kim jest ten człowiek. - Odruchowo zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - To „Blackjack” Stuart. Mówi się, że jest związany z gangiem Daltona.

Kell nie okazał zdziwienia tym co usłyszał. Rzucił mu tylko krótkie spojrzenie znad jakiegoś rejestru z pracowicie nagryzmołonymi wpisami.

- Te powiązania urwały się zapewne zeszłego roku, kiedy gang Daltona został rozgromiony w Coffeyville.

Tereny należące do Indian od dawna były rajem dla ludzi skłóconych z prawem. Emmett, Grant i Bob Dalton większość swego życia mieszkali w Tulsie. Tamtejsza społeczność rzadko kiedy zwracała uwagę na notorycznych przestępców, którzy kręcili się po mieście. Zbyt wiele czasu i zachodu pochłonęłoby dostarczenie ich do najbliższej siedziby władz federalnych w Forcie Smith, w stanie Arkansas, odległym o ponad sto kilometrów, co oznaczało cztery dni konnej jazdy lub dzień podróży pociągiem. A zwykle zanim prokurator federalny pojawił się na scenie, złoczyńca bywał ostrzeżony i zniknął. Sędzia Parker, zwany „Szubienicznikiem”, robił co mógł, żeby na tym obszarze zaprowadzić porządek i prawo. Lecz był tylko samotnym człowiekiem mającym pod sobą nie więcej niż czterdziestu szeryfów do piklowania obszaru, na którym do zaprowadzenia porządku potrzeba było co najmniej dwadzieścia razy więcej ludzi.

Chris zatrzymał się przed wielkim mahoniowym biurkiem.

- Przez cały czas wiedziałeś, kim on jest, prawda?

- Tak.

Chris zmarszczył brwi, kiedy obrócił się i stanął bokiem do biurka, przeczesując palcami złote pasma włosów.

- Jeśli wiedziałeś, to dlaczego zaprosiłeś go, żeby pozostał na noc? Blackjack Stuart prawdopodobnie dostarczał Daltonowi informacji o transportach złota i innych podobnych. Może teraz robi to dla kogoś innego.

- Anna go zaprosiła. W tej sytuacji nie wypadało mi odmówić i narazić się na to, że poczuje się obrażony. Daltonowie może zniknęli, ale Stuart ciągle ma przyjaciół. A o tej porze roku nie mamy wystarczającej liczby ludzi, żeby postawić straż przy bydle, jeśli by zdecydował się zemścić za jakieś wymyślone uchybienie.

Chris nie miał argumentów na to logiczne wytłumaczenie. Od wielu lat

między miejscową ludnością a włóczęgami i rabusiami istniało coś na kształt dzentelmeńskiej umowy. Za ochronę ofiarowany był azyl. W teorii wyglądało to nieźle. W praktyce banki ciągle były ograbiane, wciąż napadano na podróżnych i kradziono bydło. Bezprawie panujące na terenach Creeków przyczyniło się do tego, że ostatnio podniosły się głosy za przekazaniem tych ziem pod wyłączną jurysdykcję rządu Stanów Zjednoczonych, kładąc w ten sposób kres istniejącej na tym obszarze dwuwładzy.

- Czy nie wydaje ci się, że powinieneś powiedzieć o tym Annie? Może to nie był przypadek, że jego koń okulał właśnie w okolicy Morgan's Walk?

- Możliwe - przyznał Kell. - Ale to nie jest pierwszy człowiek z podejrzaną przeszłością, który się u nas zatrzymuje. A my mamy trochę pracy do zrobienia. Nie wiem, dlaczego miałbym jej cokolwiek wspominać i dostarczać powodu do zbędnych żartów. Rano Stuart sobie pojedzie. - Włożył głowę do stojącej na biurku podstawki i skinął głową w kierunku krzesła, naprzeciw biurka. - Usiądź i opowiedz mi, jak przebiegło dzisiejsze spotkanie.

Chris odetchnął głęboko, starając się przestawić na inny temat, potem usiadł w obitym skórą fotelu.

- Prawie tak, jakeśmy się spodziewali. Creekowie nie zmienili zdania. Nie chcą dyskutować z reprezentacją Komisji Dawesa. Tak się szczęśliwie czy nieszczęśliwie złożyło, zależy, jak na to popatrzeć, że Ustawa Dawesa, która została podpisana w marcu i tym samym się uprawomocniła, zaleca negocjacje ze wszystkimi pięcioma plemionami, mające na celu osiągnięcie porozumienia co do wyłączenia ich plemiennych tytułów własności i przydzielenia działek o wielkości stu sześćdziesięciu akrów głowom rodzin. Creekowie nie chcą negocjować. Tak jak inni, zamierzają z tym walczyć.

- I w jakiej sytuacji stawia to nas i Morgan's Walk?

- Pośrodku. - Chris podniósł do góry rękę w geście bezradności. - Obaj wiemy, że nieunikniony jest podział tych terenów. Tłumy osadników, które się pojawiły przy zajmowaniu ziem Stripu, pokazują, jak wielki jest wśród ludzi głód ziemi. A do tysięcy tych, którzy wzięli udział w wyścigu, należy dodać co najmniej drugie tyle tych, którzy się spóźnili. Teraz spoglądają w tym kierunku. Rząd już ogłosił, że to, co pozostało z ziemi, będzie sprzedane osadnikom.

- Zamierzam zatrzymać tę dolinę, Chris. - Było to bardziej przyrzeczenie niż stwierdzenie.

- Wiem. - Czasami Chrisowi wydawało się, że Morgan's Walk znaczyło dla jego brata więcej niż życie. - Musimy tylko upewnić się, że jesteśmy pierwsi w kolejce... i mieć wielu wysoko postawionych przyjaciół.

Kiedy Christopher Morgan nie pojawił się w połowie trzeciego utworu, Jackson Stuart z kieliszkiem w ręku podszedł do pianina i oparł się o nie biodrem. Jego bliskość wprowadziła Anne w zakłopotanie - szczególnie badawcze spojrzenie penetrujące każdy szczegół jej wyglądu, poczynając od ozdobnego grzebienia we włosach, a kończąc na froncie stanika. Potknęła się na jakimś szczególnie trudnym pasażu, lecz potem zakończyła utwór bez następnego błędu.

- Piękne - mruknął. - Skończenie piękne.

Czując, że przez cały czas nie spuszcza z niej oczu, Anna miała ciche przecucie, że nie miał na myśli muzyki. Zdjęła dłonie z klawiatury i ułożyła je skromnie na kolanach.

- Cieszę się, że moja muzyka się panu podoba, panie Stuart. - Podniosła wzrok, a kiedy jej oczy napotkały moc spojrzenia Stuarta, zaparło jej dech.

- Nie tylko pani muzyka mi się podoba. - Jego pełen słodczy głos za-

brzmiał jak pieszczota. - Kiedy po raz pierwszy ujrzałem panią przed hotelem w Guthrie, w tym prostackim tłumie osadników, z miejsca wyczułem, że to nie jest miejsce dla pani. Ta sceneria jest odpowiednia dla pani: pięknie urządzonego salon i grono wielbicieli dokoła. - Przerwał, powoli wędrując wzrokiem po pokoju; kiedy znów na nią spojrział, w jego niebieskich oczach tliły się iskierki humoru. - W tej chwili, niestety, grono składa się z jednego wielbiciela.

- Powinam gniewać się na pana, że mówi takie rzeczy - oświadczyła, również nieznacznie się uśmiechając. - Ale jakoś nie mogę...

- To dlatego, że mówię prawdę. Pani nie urodziła się na tej dzikiej, nieokrzesej ziemi, pani Morgan. Sposób pani ubierania się, pani dobry smak w doborze muzyki, dystynkcja, która panią otacza, wszystko to dowodzi bardziej kulturalnego pochodzenia.

- To prawda. - Anna nie próbowała zaprzeczać. Podniosła się ze stołka. Wieczorowa suknia uszyta z materiału podobnego do adamaszku, spłynęła wzdłuż ciała z cichym szelestem. - Mój dom jest w Kansas.

- Musi pani bardzo za nim tęsknić.

- Czasami... - Duma nie pozwoliłaby jej przyznać, jak bardzo czuje się tu nieszczęśliwa czasami. - Przyjęcia, teatr... Czy był pan kiedyś w Coates Opera House? Jest taka wspaniała - zachwycała się, nie dając mu czasu na odpowiedź. - Mam nadzieję, że będą coś wystawiali, kiedy pojedziemy tam w grudniu z Kellem. Marzę o tym, żeby zobaczyć jakieś przedstawienie.

- Pani... razem z mężem wybieracie się do Kansas?

- Tak, w grudniu, na cały miesiąc. - Odwróciła się gwałtownie, żeby spojrzeć mu w oczy, cała kipiąca radością z powodu podróży. - Spędzimy święta z moim ojcem.

- To musi być dla pani ekscytujące przeżycie.

- O, tak. Nie byłam w domu już ponad cztery lata, choć czasami wydaje mi się, że znacznie dłużej.

- Kiedy państwo wyjeżdżacie? - Machinalnie zakręcił kieliszkiem, przyglądając się jej w zamyśleniu i już układając plany.

- Trzeciego - odparła pogodnie.

Gdy Chris powrócił do salonu, Jackson Stuart natychmiast zaczął się żegnać:

- Jest późno i już wystarczająco długo się państwu naprzykrzam. Czas, żebym się pożegnał, zanim nadużyję państwa gościnności.

- Nie wydaje mi się to możliwe - całkiem szczerze zapewniła go Anna.

- Mam nadzieję. - Wziął w rękę jej dłoń i lekko przytrzymał palce. - Wyruszę jutro z samego rana, długo przedtem, zanim pani wstanie, a więc teraz złożę podziękowania, pani Morgan. To był wieczór, który na długo zachowam w pamięci. Dziękuję. - Uniósł do ust jej dłoń i zatrzymał ją tam odrobinę dłużej, niż wypadało.

A jej serce znowu zatrzepotało, wrywając się z piersi pod wpływem ciepła jego warg i otwartości w obecności Chrisa.

- Było mi bardzo miło pana gościć, panie Stuart - odparła, starając się zatuszować przyspieszony oddech.

Skinął głową Chrisowi i wyszedł z pokoju. Anna przysłuchiwała się odgłosowi jego kroków, kiedy zbliżał się do schodów, potem odwróciła się, czując na sobie wzrok szwagra. Jego spojrzenie było zbyt dociekliwe.

- Pan Stuart to taki miły człowiek, nieprawdaż? - zauważyła, starając się, żeby zabrzmiało to swobodnie.

- To obcy człowiek, Anno - przypomniał Chris.

- Lecz bardzo czarujący.

Tak jak zapowiedział, Jackson Stuart wyjechał, zanim Anna ukończyła



poranną toaletę. Przez okno swojej sypialni widziała, jak opuszcza Morgan's Walk na jednym z ich silnych brązowych koników do pędzenia bydła. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że to niemądre odczuwać tak dogłębne poczucie straty w związku z jego wyjazdem. Ale mądrze czy nie, to właśnie czuła.

Cztery dni później Jackson Stuart wrócił po swojego ogiera. Anna była w jadalni i pomagała Corze Mae polerować srebro. Nie znosiła tego zajęcia, lecz był to jedyny sposób na dopilnowanie, by leniwa służąca robiła to dokładnie. Kiedy usłyszała nierówny stukot podkutych końskich kopyt wybijających rytm na twardej glinie podjazdu, Anna zmarszczyła czoło i podeszła do frontowego okna, pewna, że jest dużo za wcześnie na powrót Kella.

Zachłysnęła się powietrzem na widok karego ogiera, który zbliżał się do domu, szarpiąc wędzidło i próbując zmienić krok. Na koniu siedział Jackson Stuart - ciemna sylwetka w czarnej kurtce i czarnym kapeluszu, srebrna, brokatowa kamizelka rzucała błyski w słońcu. Raz jeszcze uderzyło ją, jak świetnie się prezentuje, kiedy trzyma w ryzach niespokojnego ogiera i kiedy zsiada z konia przy schodkach prowadzących do domu.

Zbliżał się do drzwi! Zamaszyście odwróciła się od okna i radośnie postąpiła krok w kierunku wejścia, potem gwałtownie zatrzymała się na widok swojego roboczego fartucha przewiązanego wokół brązowej prążkowanej sukienki i przybrudzonych rękawiczek na swoich dłoniach. Z hallu dobiegło stukanie mosiężnej kołatki.

- Cora Mae, otwórz drzwi, szybko! - krzyknęła do czarnej służącej, pośpiesznie ściągając rękawiczki, mając cichą nadzieję, że czarny brud nie przeszedł na palce.

- Dobrze, psze pani. - Szczupła czarna kobieta pośpiesznie opuściła jadalnię, zadowolona, że może porzucić zniechęcające zajęcie.

Anna ściągnęła fartuch i razem z rękawiczkami rzuciła go na stół w jadalni.

Potem pobiegła do rzeźbionego dębowego wejścia, ale znowu przystanąła, żeby przyglądać wysoko upięte włosy i upewnić się, czy nie wymknął się żaden kosmyk. Kiedy usłyszała, jak Cora Mae otwiera drzwi, uszczypnęła się kilka razy w policzki, żeby nabrały koloru. Choć nie była pewna, czy to konieczne, bo i tak miała na twarzy rumieńce podniecenia. Potem starając się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej, wkroczyła na korytarz.

- Kto przyszedł, Cora Mae? - zawołała radośnie.

Murzynka stała twardo przed otwartymi drzwiami i broniąc dostępu do środka, zwróciła się do Anny:

- To jakiś pan Jackson Stuart. Zapytuje o pana Kella. Powiedziałam mu, że nie ma go teraz w domu.

Szybko podeszła do służącej i odprawiła ją nieznacznym skinieniem głowy. Potem z ciepłym uśmiechem zwróciła się do stojącego przed drzwiami mężczyzny. Serce mocno łomotało jej w piersiach. Kiedy ją ujrzał, natychmiast zdjął kapelusz, odsłaniając połyskujące, czarne włosy.

- Cóż za miła niespodzianka, panie Stuart - przywitała gościa. - Zechce pan wejść. - Szerzej otworzyła drzwi, żeby go wpuścić.

Lecz on uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

- Dziękuję, chyba nie, pani Stuart. - A jednak nie można się było pomylić, w jego głosie i na jego twarzy malował się wyraźnie żal, kiedy spoglądał na nią tym znajomym, pożądliwym spojrzeniem. - Pani pokojówka poinformowała mnie, że męża nie ma w domu. Nie chciałbym, żeby ucierpiała pani reputacja. Gdyby odwiedził panią przypadkiem jakiś sąsiad, mógłby pomyśleć, że pod nieobecność męża przyjmuje pani adoratora.

- Oczywiście ma pan rację. - Poczowała, jak robi jej się gorąco, bo właśnie tego pragnęła. Nie wizyty sąsiada, lecz tego drugiego: przyjemności, jaką dawało podejmowanie wielbiciela, przyjmowania komplementów w sposób,

który zachęcał do następnych, udawania, że dłoń nie była zbyt długo przytrzymana - całej tej podniecającej atmosfery oczekiwania. Po czterech latach małżeństwa z Kellem wszystko to zniknęło z ich życia. Prawdę mówiąc, jej mąż nigdy nie spoglądał na nią w taki sposób, jak Jackson Stuart, tak jakby chciał ją natychmiast osiąść.

- Czy zechce pani przekazać mężowi moje podziękowania za pożyczenie konia i opiekę nad moim ogierem?

- Oczywiście - zgodziła się trochę zbyt skwapliwie.

- W takim razie chciałbym się pożegnać. Adieu, pani Stuart.

Kiedy zaczął się pochylać nad dłonią, którą odruchowo podała mu na pożegnanie, poczuła nagły ucisk w gardle.

- Czy ja... czy my... jeszcze się kiedyś spotkamy, panie Stuart?

Ledwie dotknął ustami wierzchu jej dłoni i wyprostował się.

- Mam wrażenie, że przeznaczenie skrzyżuje jeszcze nasze drogi, pani Morgan, jeśli łaskawy los pozwoli.

Kiedy odjeżdżał alejką, Anna miała głęboką nadzieję, że się nie myli. Bowiem całkiem bezwstydnie zdała sobie sprawę z tego, że pragnie go znowu zobaczyć.

## 24

*W* mieście Kansas panował nastrój radosnego ożywienia, zewsząd rozlegał się gwar, krzątania, kłębiły się tłumy ludzi, i Anna nie mogła się tym nacieszyć. Konne powozy rywalizowały z tramwajami i sprzedawcami, którzy pchali przed sobą stragany na kółkach, o prawo pierwszeństwa na brukowanych ulicach. Drewniane i kamienne budynki, trzy-, cztero-, i pięciopiętrowe, wznosiły się po obu stronach ulicy. Były to mocne i przysadziste budowle, nie takie, jak wznoszono w Tulsie - liche i ze sztucznymi fasadami, co miało sprawić wrażenie, że budowla jest wyższa i

bardziej okazała niż w rzeczywistości. Ludzie tłoczyli się na chodnikach, mężczyźni z długimi włosami w melonikach i wysokich kapeluszach i kobiety z mufkami, w płaszczach wykończonych futrem. A wszędzie słychać było podzwanianie tramwajów, pokrzykiwanie chłopców sprzedających gazety, turkotanie powozów i wrzawę żyjącego miasta.

Pierwsze cztery dni upłynęły im na bezustannych zakupach, obiadach, popołudniowych herbatkach, kolacjach, towarzyskich spotkaniach i przyjęciach. Przed upływem czwartego dnia, Anna rozprawiała z nie mniejszym znanstwem niż reszta jej przyjaciół o wspaniałym oświetleniu elektrycznym światłem ekspozycji w Chicago, znała na pamięć słowa i muzykę do *Rowerku dla dwojga*, i nie mogła pojąć, jak dawała sobie radę w Morgan's Walk bez telefonu.

Wystrojona w luźny płaszcz, zakrywający kombinację, na którą składały się spódniczka, kamizelka i nowy wieczorowy gorset pieczołowicie wykończony koronkowymi falbankami i rozetkami, Anna stała obok łóżka i przyglądała się dwóm rozłożonym na nim sukniom. Nie mogła się zdecydować; podnosiła najpierw tę z błękitnego adamaszku, potem tę z zielonej jak Nil chińskiej krey. Słyszac w korytarzu czyjeś energiczne kroki, odwróciła się do drzwi. Nie upięte, rozpuszczone włosy swobodnie zakołysały się wokół ramion. Wyraz skupienia zniknął z jej twarzy na widok Kella, wchodzącego do ich apartamentu w domu jej ojca.

- Cieszę się, że już wróciłeś - oświadczyła, znów odwracając się do łóżka. On w tym czasie rzucił na krzesło kapelusz i odruchowo przeczesał ręką falujące rude włosy. - Musisz mi pomóc. - Cofnęła się o krok i raz jeszcze w skupieniu i zamyśleniu przyglądała się obu sukniom. - Jak uważasz, którą powinnam włożyć dziś wieczór na kolację do Halstonów?

- Mam nadzieję, że nie wychodzimy dziś znowu na kolację. - Zasepił się,

marszcząc czoło, a jego rude brwi zlały się w grubą linię, znamionującą niezadowolenie.

- Ależ tak, do Halstonów. Powiedziałam ci dziś rano o tym zaproszeniu. - Podniosła adamaszkową suknię i przyłożyła ją do siebie, potem obróciła się, żeby popatrzeć na swoje odbicie w dużym lustrze. - Czy nie wydaje ci się, że dobrze mi w tym kolorze?

- Anno, czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że jesteśmy tu już cztery dni i ani razu nie zjedliśmy kolacji z twoim ojcem?

- Oczywiście, że zjedliśmy - upierała się, nie odrywając oczu od lustra. - Był u Tailorów i u Danbich.

- To nie to samo, co kolacja w domu.

- Być może, ale papa to rozumie - odparowała, zdając sobie jednak sprawę, że mąż jest już zmęczony tą karuzelą życia towarzyskiego. Nic ją to jednak nie obchodziło. Po czterech okropnie samotnych latach na ranczo należał się jej miesiąc zabawy i nie zamierzała pozwolić, żeby Kell go popsuł.

- Zrozumiałby znacznie więcej, gdybyś spędziła z nim jeden cały wieczór.

Anna zupełnie zignorowała ten komentarz, z uwagą studiując krój sukni, kupionej przed pięciu laty.

- Kolor jest dobry, ale stanik jest wyraźnie zbyt zabudowany. Szkoda, że moja nowa suknia nie jest jeszcze gotowa - zmartwiła się. - Wystarczy tylko rzucić na to okiem, a od razu widać, że jest to część mojej panińskiej wyprawy. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby ją przerobić, ale nie odważę się zabrać jej do szwaczki. Jej język jest równie ostry jak igła. Za dwa dni całe Kansas będzie wiedziało, że to stara suknia, którą kazałam przerobić. - Przygryzła dolną wargę zastanawiając się, jak z tego wybrnąć. Wtedy przypomniała sobie o gospodyni ojca. - Pani Flanagan! Ależ tak! Świetnie szyje. Poproszę ją, żeby rzuciła okiem na tę suknię.

Kiedy problem był już rozwiązany, opuściła adamaszkową suknię na kanapę i wzięła do ręki tę z chińskiej krepy. Usłyszała odgłos pośpiesznych kroków za drzwiami i już zaczęła się odwracać. Postanowiła jednak porozmawiać z panią Flanagan dopiero nazajutrz. Jeśli zdecyduje się na zieloną suknię, najpierw musi wybrać dodatki. Może różowo-biały wachlarz z piór i pasująca do niego egreta. Pośpieszne kroki zatrzymały się nagle przed drzwiami i stuk, stuk, stuk - ktoś zastukał ostro i gwałtownie. Anna przerwała na moment bezdźwięczną debatę, a Kell podszedł do drzwi i otworzył. Przed drzwiami stała niska, puciołowata Irlandka w białym, wykrochmalonym czepku zakrywającym jej rude włosy, które czas posrebrzył siwymi pasmami.

- Bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam, panie Morgan, ale właśnie przyszedł do pana ten telegram. I tak sobie pomyślałam, że będzie pan chciał natychmiast go przeczytać.

- Dziękuję, pani Flanagan. - Kell wziął od niej telegram.

- Bardzo proszę, panie Morgan, bardzo proszę, - Machnęła ręką i już się oddalała, śpiesząc się znowu do jakiegoś innego bardzo pilnego zajęcia.

- Telegram? - spytała Anna, nieco zaciekawiona. - Ciekawe od kogo? - Spojrzała obojętnie na Kella, który próbował odcyfrować treść.

- Od Chrisa - odparł i widać zmęczony swoją powolnością w odczytywaniu słów, wręczył jej telegram.

- Przeczytaj mi go.

Trochę przeraziło ją to otwarte przyznanie, że jego umiejętności na tym polu są mniej niż zadowalające. Zwykle był zbyt dumny, żeby zdradzać swoje braki w wykształceniu - przynajmniej w jej obecności.

- KONNY NAPAD STOP KONIE SKRADZIONE STOP MAŁY BILLY I CHOCTAWNIE ŻYJĄ STOP TRZECH RANNYCH STOP POTRZEBNA

POMOC STOP... - Anna powoli opuściła telegram i kiedy czytała ostatnią linijkę, przepełnił ją lęk. - CZY MOŻESZ PRZYJECHAĆ STOP.

Nigdy przedtem nie widziała takiego zacięcia na twarzy męża ani tak twardego wyrazu w jego oczach. Zanim jeszcze cokolwiek powiedział, wiedziała, co nastąpi.

- Lepiej zacznijmy się pakować.

- Nie. - Nieświadomie zgmiotła telegram w dłoni. Odwróciła się gwałtownie od Kella, walcząc z piekącymi łzami, które napłynęły jej do oczu. - Nie pojedę! Obiecałeś, że zostaniemy miesiąc. To dopiero cztery dni.

- Anno, ktoś ukradł nasze konie, zamordował dwóch moich ludzi i zranił następnych trzech. Nie wiem, czy Chris nie jest jednym z rannych.

Ta możliwość trocheja otrzeźwiła, ale ciągle się upierała:

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Na pewno tak nie myślisz. Nie możesz. Tak samo, jak nie możesz się spodziewać, że zostanę tutaj i będę chodził na twoje kolacje i przyjęcia, kiedy jestem potrzebny w Morgan's Walk.

- W takim razie jedź sam! - rzuciła i zająknęła się, nagle zdając sobie sprawę, że znalazła rozwiązanie. Odwracając się do niego, powtórzyła to już z mniejszą złością. - Jedź sam, Kell, i pozwól mi tu zostać. - Podeszła do niego z twarzą zalaną potokiem niekontrolowanych łez i z niemym błaganiem wczepiła się palcami w klapy jego surduta. - Proszę cię, Kell. Proszę, pozwól mi zostać. Ani ja, ani mały Johnny w niczym nie możemy tam pomóc.

Patrzył na jej zwróconą ku górze twarz, ciemne błyszczące od łez oczy. Była jego słabością. Nigdy nie potrafił jej niczego odmówić. Tak było i teraz.

Zdążył na następny jadący na południe pociąg. Anna pozostała z synem w domu swego ojca w Kansas.

Cały *beau monde* Kansas wypełnił operę Coates z okazji specjalnego przedstawienia *Manon*. Podczas przerw wszyscy przechadzali się po korytarzach, żeby oglądać i być oglądanymi, plotkować i być oplotkowanymi. Mężczyźni w czarnych wieczorowych garniturach zbierali się w grupkach i w swobodnych, eleganckich pozach, pociągając hawańskie cygara, rozprawiali o swoich ostatnich mistrzowskich posunięciach w interesach i narzekali na źle działające banki, często czerpiąc złośliwą satysfakcję z potknięć konkurencji. Kobiety w najlepszych jedwabnych i satynowych sukniach przechadzały się dokoła, rzucając przesłonięte wachlarzami szepty o tym czy o tamtym i prawiąc sobie komplementy.

- Anno, jak miło cię znowu widzieć. - Podeszła do niej jasnowłosa kobieta ubrana w suknię wykończoną piórami i koronką, której gorset opinał ją tak ściśle, że Anna zastanawiała się, jak może w czymś takim oddychać. Nie, żeby ją to obchodziło. Helen Cummings nigdy nie była jej przyjaciółką, a na pewno nie od czasu, kiedy pięć lat temu odbiła Annie narzeczonego, po czym uzupełniła obrazę, poślubiając go.

- Jak się masz, Helen? - Uśmiechnęła się uprzejmie, marząc o tym, by okazało się, że jest tragicznie nieszczęśliwa.

- Ciągle tak samo: nieprzytomna ze szczęścia. - Zamachała w odpowiedzi wachlarzem z piór i koronki.

- Dopiero wczoraj usłyszałam, że jesteś z wizytą. Kiedy przyjechałaś?

- Tydzień temu.

- To wszystko wyjaśnia - oświadczyła Helen. - Wyjechaliśmy na chwilę z Bobbym.

- Tak, wydaje mi się, że ktoś wspominał, że jesteście w Nowym Jorku.

- Nie muszę pytać, jak sobie radzisz na tym pustkowiu. W tej sukni wyglądasz po prostu oszałamiająco - zauważyła nieco zazdrośnie. - Podzi-



wiałam ją już wcześniej i ktoś powiedział, że to suknia od Wortha.

W rzeczywistości była skopiowana z ilustracji sukni zaprojektowanej przez Wortha, lecz jeśli Helen Cummings sądzi, że to oryginał, to Anna na pewno nie będzie tego prostować. Prawdę mówiąc, zdawała sobie sprawę, że jej suknia z fioletowego adamaszku była tego wieczoru najelegantszą i najbardziej wyróżniającą się kreacją. Góra gorsetu miała zębate wycięcia przy głębokim dekolcie wykończonym białym tiulem i koronką. Podwójna girlanda przyszytych do tiulu perełek i delikatnych, kryształowych wisiorków przecinała ukośnie gorset i z prawej strony talii umocowana była klamerkami w kształcie muszelek świętego Jakuba. Podobne girlandy perełek i kryształków zdobiły także adamaszkową spódnicę ponad falbaną z haftowanej koronki. Anna miała fryzurę z przedziałkiem pośrodku. Włosy spływały falą po obu stronach twarzy, z tyłu uformowane były w wysoko upięty kok, ozdobiony, tak jak suknia, skrętami perełek.

Helen Cummings była wyraźnie zazdrosna o efekt, a Anna starała się utrwalić w niej to uczucie.

- Prawda, że jest piękna? Mój mąż ją zobaczył i uparł się, że muszę ją mieć bez względu na koszty - skłamała. Kell rzucił tylko przelotne spojrzenie na ilustrację, a skończonej sukni wcale jeszcze nie widział. Dopiero tego popołudnia odebrała ją od krawca, po wielu kłótniach i złorzeczeniach.

- Skoro wspomniałaś o swoim mężu, to gdzież jest ten twój majętny król bydlą? - zapytała nieco fałszywie Helen.

- Musiał wyjechać w jakichś pilnych interesach. - Anna wzruszyła obojętnie ramionami udając, że niezbyt dobrze orientuje się w tych sprawach.

- Nie jesteś chyba tutaj sama? - przestraszyła się Helen.

- Nie. - Uśmiechnęła się gładko. - Przyszłam z papą.

- Twój ojciec... lata całe go nie widziałam. Dobry, stary doktor. Gdzie on

się podziwiewa? Muszę się przywitać.

- Jest... - Anna zerknęła na koniec sali, gdzie w małych grupkach, spowici kłębamii dymu z cygar, zebrali się mężczyźni. Jej wzrok natychmiast przyciągnął mężczyzna ubrany w jednorzędowy czarny żakiet. Pod szyją miał zawiązaną małą białą krawatkę w kształcie muszki, a wykrochmalona koszula zapięta była na ozdobne zapinki. Stał niedbale, z lekko ugiętą w kolanie nogą, a drgające gazowe światło rzucało refleksy na czarne, połyskliwe włosy. I oczy... te niebieskie oczy...

- Ależ się zagapiłaś, Anno - zbesztala ją Helen. - Któż to tak przyciągnął twój wzrok?

Anna otrząsnęła się z chwilowego szoku i zdumienia na widok Jacksona Stuarta i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- No cóż, to drogi przyjaciel - odpowiedziała troszkę ubarwiając rzeczywistość. - Nie miałam pojęcia, że jest w mieście.

Ku jej olbrzymiemu zadowoleniu Jackson Stuart zauważył ją i natychmiast ruszył w jej stronę. Nie mogła się wprost doczekać, kiedy przedstawi Helen Cummings swego niezwykle przystojnego znajomego i będzie się przyglądać, jak tamta zielenieje z zazdrości. Potem naszły ją wątpliwości i spojrzała niespokojnie na filigranową blondynkę pochodzącą z jednej z najstarszych i najbardziej wpływowych rodzin w Kansas, a przez małżeństwo powiązanej z drugą, równie znakomitą. Anna przysięgła sobie, że jeśli Jackson Stuart okaże jej choćby cień zainteresowania, nigdy więcej się do niego nie odezwie.

Na szczęście zupełnie nie zwrócił uwagi na Helen, kiedy się przed nią zatrzymał.

- Dobry wieczór, pani Morgan. Zastanawiałem się, czy nasze drogi się spotkają podczas mojego pobytu w Kansas. - Pochylił się nad jej dłonią, cały

czas ciepło spoglądając jej w oczy.

Stojąca obok Helen Cummings poruszyła się niecierpliwie, trzepotaniem wachlarza próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Anna wiedziała, że po prostu przebiera nogami, żeby być przedstawiona, lecz świadomie ją ignorowała.

- Wygląda na to, że los był szczęśliwy dla nas obojga, panie Stuart.

- To prawda. - Wyprostował się i obdarzył ją jednym z tych ledwo zauważalnych uśmiechów, które okazywały się tak zaskakująco zmysłowe. - Jak szybko mija czas. Wydaje się, że tak niedawno byłem gościem pani i pani męża w Morgan's Walk, tymczasem minął już miesiąc. - Przerwał na chwilę, nieznacznie się rozglądając. - Czy jest gdzieś tutaj mąż pani? Nie wydaje mi się, żebym go widział.

- Nie, Kell wyjechał w interesach. Nie będzie go prawdopodobnie tydzień lub dłużej.

- Naprawdę? - Jackson Stuart udawał, że nie wie o tym... tak jak udawał, że nie zna przyczyny nieobecności Morgana. A przecież jego sakiewka wypchana była częścią zysków ze sprzedaży skradzionych koni pozbawionemu skrupułów handlarzowi z Cherokee Strip. Dzięki swojemu szybkiemu ogierowi Jackson Stuart powrócił do Tulsy wystarczająco wcześnie, żeby zobaczyć, jak Kell Morgan wysiadł z pociągu - sam. Ogarnęło go miłe uczucie satysfakcji na myśl o tym, że jego plan przebiega tak sprawnie. Żałował trochę, że trzeba było zabić tych dwóch kowbojów. Niestety był to jedyny pewny sposób ściągnięcia do domu Kella Morgana i przekonania go, że zabieranie ze sobą żony i syna może być zbyt niebezpieczne, gdy w każdej chwili nocni jeźdźcy mogą powtórnie zaatakować, tym razem w celu zrabowania stad bydła. Był pewny, że Anna Morgan będzie chciała pozostać w Kansas. I nie pomylił się.

- Helen, chciałabym ci przedstawić pana Jacksona Stuarta, ostatnio bawiącego na terytorium Oklahomy. - Kiedy Anna przedstawiała towarzyszącą jej blondynkę, Jackson uchwycił nutę zjadliwości w jej głosie. Zauważył także, że nie przedstawiła kobiety jako przyjaciółki. - Pani Helen Cummings. Chodziłyśmy do jednej szkoły.

- Miło mi. - Poprzestał na uprzejmym skinieniu głową.

- Panie Stuart, to wielka przyjemność poznać przyjaciela Anny... szczególnie tak przystojnego - oświadczyła blondynka, rzucając mu powłóczyście spojrzenie spod długich rzęs.

Wbrew własnej naturze nie zaczął z nią flirtować i w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Kątem oka dostrzegł błysk satysfakcji w oczach Anny i wiedział, że jest zadowolona z jego powściągliwości.

Lecz nie tak łatwo było zbyć Helen Cummings.

- Czym pan się właściwie zajmuje, panie Stuart?

- Param się wieloma rzeczami - rasowe konie, bydło, ziemia... - nie dokończył wyliczania, starając się pozostawić wrażenie, że jego zainteresowania są tak rozliczne, że trudno by je było tu wymienić.

- Co sprowadza pana do Kansas?

Starszy mężczyzna, który właśnie podszedł do nich wybawił go z konieczności odpowiedzi.

- Tu jesteś Anno. Szukałem cię.

- Tak się cieszę, że jesteś, papo. Chciałabym ci kogoś przedstawić. - Szybko wzięła ojca pod rękę i przyciągnęła bliżej.

Jackson Stuart z zainteresowaniem przyglądał się następnej przeszkodzie, jaką będzie musiał pokonać - ojcu Anny, doktorowi Frankowi Comptonowi. Doktor był mężczyzną po pięćdziesiątce, trochę niższego niż przeciętny wzrostu. Skronie przyprószyła mu już siwizna, która również posrebrzyła

wąsy i małą kozią bródkę. Oczy Comptona miały ten sam co córki brązowo-czarny kolor, a na jego twarzy malowała się, tak charakterystyczna dla tej profesji, dobrotliwa łagodność. Choć w tej chwili wydawał się być lekko roz-targniony, jakby zajmowały go jakieś inne sprawy niż poznawanie pana Stu-arta - pomimo iż Anna przedstawiła go jako wieloletniego przyjaciela męża, co świetnie pasowało do planów tego ostatniego.

- Bardzo mi miło pana poznać, panie Stuart, lecz obawiam się, że będziemy musieli się pożegnać - oświadczył energicznie, choć uprzejmie.

- Co się stało, papo?

- Przykro mi, ale będziemy musieli wyjść. - Poklepał córkę po dłoni spo-czywającej na jego ramieniu. - Czas do pani Stanhope. Przysłali po nas powóz.

- Ale... czy musimy wychodzić w tej chwili? Przedstawienie jeszcze się nie skończyło - błagalnie zaprotestowała Anna. - Został jeszcze trzeci akt. Jest w nim bardzo piękna aria, czy nie moglibyśmy zostać? Godzina nie zrobi chyba żadnej różnicy.

- Dla pani Stanhope, i owszem - z pobłażliwym uśmiechem strofował ją ojciec.

- Czy ja także muszę iść? - Z wyraźnym rozdrażnieniem wyduła usta.

- Wiesz dobrze, że nie byłoby właściwe, gdybyś została tutaj sama. Oczywiście, chyba że pani Cummings i jej mąż...

Zanim doktor zdążył zaproponować, żeby Anna przyłączyła się do Cummingsów, wtrącił się Jackson Stuart:

- Za pańskim pozwoleniem, doktorze Compton, byłby to dla mnie zaszczyt, gdybym mógł służyć pani Morgan za eskortę przez resztę tego wieczoru. - Robił, co mógł, żeby pod badawczym spojrzeniem doktora wypaść jak najlepiej i sprawić wrażenie szacownego i zupełnie nieszkodliwego obywatela-

la. - Prawdę mówiąc, byłaby to dla mnie znakomita okazja, żeby spłacić dług za gościnność, której w przeszłości doświadczyłem od męża pańskiej córki.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Stuart. - Anna po prostu promieniała. Nie odwróciła od niego oczu, kiedy mówiła do ojca: - Zapewniam cię, papo, że pan Stuart jest człowiekiem godnym największego zaufania. Gdyby Kell był tutaj, jestem pewna, że też by to potwierdził.

Miły doktor zawahał się i powiedział z uśmiechem:

- W tej sytuacji moja odmowa byłaby grubiaństwem, panie Stuart. Pozostawiam moją córkę pod pańską troskliwą opieką.

- Obiecuję, że nie będzie pan tego żałował.

- Jestem tego pewny - odparł i zwrócił się do Anny: - Przekaż pani Flanagan, że prawdopodobnie będę bardzo późno, choć postaram się wrócić przed świtem.

- Dobrze, papo.

Na długo przed rozpoczęciem trzeciego aktu zajęli miejsca w prywatnej łoży. Jackson Stuart usiadł obok niej na miejscu ojca. Choć Anna udawała, że tego nie zauważa, wiedziała, że oczy wszystkich obecnych zwrócone są na nich. Cała opera trzęsła się od plotek - za rozłożonymi wachlarzami snuto domysły na temat siedzącego obok niej przystojnego nieznajomego. Uwielbiała skupiać na sobie uwagę. Zbyt długo musiała się bez tego obywać. Ostatni raz spowodowała takie poruszenie między przyjaciółmi, kiedy adorował ją Kell - inny nieznajomy, tyle że rudowłosy... bogaty król bydła z terenów należących do Indian. Nikt ze znajomych nie sądził, że tak dobrze wyjdzie za mąż - nie po tym, jak Helen Thurston odbiła jej Roberta Cummingsa. Udowodniła im, że się mylą. Teraz, widząc obok niej Jacksona Stuarta, będą się zastanawiać, jak wygląda jej życie w Morgan's Walk. Za nic w świecie nie powie im prawdy. Niech myślą, że obcowanie z takimi jak

Jackson Stuart to dla niej chleb powszedni.

Również dla niego ten wieczór nie mógł rozwinąć się pomyślniej, nawet gdyby go zaplanował. Podczas jazdy zakrytą dwukółką do rezydencji ojca Anna spytała go, jak długo jeszcze zostanie w mieście.

- To będzie zależało od tego, czy coś mnie tu zatrzyma - odparł. - Myślałem o tym, by wybrać się do Chicago czy Nowego Jorku, a może na południe po trochę słońca, na przykład do Nowego Orleanu. A pani? Jak długo pani tu zostaje? Jeszcze trzy tygodnie?

- Przynajmniej - potwierdziła.

- W takim razie może i ja zostanę. - Uśmiechnął się na widok nieskrywanej radości, jaką wywołała jego odpowiedź.

- Throckmortonowie wydają jutro po południu przyjęcie. Jeśli nie ma pan innych planów, może zechciałby pan ich odwiedzić?

- Jeśli oznacza to przyjemność przebywania w pani towarzystwie, to z największą radością.

Powóz czekał na niego, kiedy odprowadzał ją do drzwi i grzecznie ucałował jej odzianą w rękawiczkę dłoń. Kiedy wracał do dwukółki w skrytości ducha gratulował sobie szczęścia. Nie miała pojęcia, jak bardzo idzie mu na rękę.

- Gdzie teraz, proszę pana? - zapytał woźnica.

Jackson Stuart popatrzył w górę na niebo, tak czarne tego wieczoru, że połyskiwało jak aksamit, usiane gwiazdami podobnymi do pokruszonych i luźno rozrzuconych kawałków kryształu. Było jeszcze wcześniej, a jemu dopisywało szczęście. Dawno temu przekonał się, że trzeba iść za ciosem.

- Słyszałem, że madame Chambers ma u siebie stół do blackjacka - powiedział i uśmiechnął się do stangreta. - Proszę na Fourth and Wyandotte. - To było w samym sercu dzielnicy grzechu. Wsiadł do powozu, zastanawiając się, czy Annie Chambers, szefowa ekskluzywnego i pysznego burdelu,

będzie go pamiętała.

## 25

Przez następne dziesięć dni Jackson Stuart był stałym towarzyszem wędrówek Anny. Eskortował ją wszędzie, gdziekolwiek by się nie wybierała - po zakupy, na łyżwy, na kolacje i uroczyste, świąteczne bale. Nie chodził z nią tylko w dwa miejsca: do kościoła i do łóżka. To drugie miało nadejść... w odpowiednim czasie. Wszystko rozwijało się dokładnie tak, jak zaplanował, włączając w to przejście na ty, które odbyło się prawie tydzień temu - z jej inicjatywy.

- Nigdy nie byłaś jeszcze tak piękna, jak dziś wieczór, Anno - oświadczył, kiedy wirowali w tańcu dokoła sali balowej. Przyciągnął ją mocno do siebie, nie przejmując się dłużej konwenansami. Zauważył, że i ona nie zwraca na to uwagi, i z zadowoleniem przyjmuje muśnięcia jego warg na skroniach i policzkach.

- Ty też nigdy nie wyglądałaś tak dobrze. - Odważyła się z nim flirtować, ale zachowywała dyskrecję.

- Jeśli tak naprawdę uważasz, to jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. - Postarał się, by zabrzmiało to poważnie. Zauważył jej przyspieszony oddech. Wzruszona, przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

Nie odezwał się więcej, tylko patrzył jej w oczy i prowadził przez kilka ostatnich taktów utworu. Kiedy ustała muzyka, natychmiast podniósł się gwar głosów. Z ociąganiem odprowadzał ją z parkietu i zatrzymał się na samym jego brzegu. Ogarnął wzrokiem salę balową, udekorowaną świątecznymi girlandami gałązek, które przybrano czerwonymi aksamitnymi wstążkami, i spytał:

- Pamiętasz, co ci powiedziałem tego wieczoru w Morgan's Walk? -



Ciągnął, nie pozostawiając jej czasu na odpowiedź. - Teraz, kiedy widzę cię w tym otoczeniu, jestem jeszcze mocniej przekonany, że twoje miejsce nie jest tam, na pustkowiu. - Wznosząc dłoń, powstrzymał ją przed komentarzem. - To prawda, Anno. Jesteś pięknym klejnotem, który marnuje się w tej dziurze, ukryty pod oparami czerwonego kurzu. Lecz dziś wieczór, tutaj, rozkwitasz pełnym blaskiem i wszyscy mogą cię podziwiać. To jest miejsce, w którym powinnaś być zawsze; w takim otoczeniu, w błyszczącym świetle kandelabrow i przy dźwiękach skrzypiec.

- Chciałabym, żeby tak mogło być. - Próbowała ukryć tęsknotę, która zadźwięczała w jej głosie. - Ale Morgan's Walk jest domem mego męża... i moim. - Dodała dopiero po chwili.

- I cóż z tego? - Jackson wzruszył ramionami. - Przecież to może być twój dom, twoje ustronie, zacisze na odludziu. Nie ma żadnego powodu, żebyś musiała spędzać tam każdy dzień swojego życia. Twój mąż może przecież, jak to robi wielu, posadzić tam jakiegoś zarządcę, który poprowadzi za niego interesy. Albo jeszcze lepiej, zostawić pełnomocnictwa swojemu bratu, Christopherowi, podczas gdy wy oboje będziecie podróżować. Gdybym był na jego miejscu, tak właśnie bym zrobił.

- Ty i ja jesteśmy bardzo do siebie podobni, Jacksonie - oświadczyła ze smutkiem i przybrała śliczną żalostną minkę. - Bardzo bym chciała, żeby Kell myślał tak jak my. Lecz on nigdy nie zgodzi się opuścić Morgan's Walk, choćby na krótko. On kocha to miejsce. - W jej ciche słowa zakradła się gorycz. Odwróciła wzrok, a do oczu napłynęły jej łzy. - Na pewno bardziej niż mnie.

- Anno...

Odchyliła głowę z rzadką u niej zalotnością w błyszczących oczach.

- Morgan's Walk jest daleko stąd i to nudny temat. Zatańcz ze mną

Jacksonie.

Znów wziął ją w ramiona i poprowadził na parkiet, uśmiechając się ukradkiem z satysfakcją. Tak, wszystko układało się doskonale.

Tuż przed pomocą przyłączyli się do tłumu wychodzących. Tego wieczoru zaczął padać śnieg. Gdy szli do wynajętego powozu, ziemię pokrywał biały płaszcz, a miękkie, duże płatki kołowały w powietrzu. Jackson pomógł Annie wsiąść do środka, potem sam zajął miejsce i przykrył futrzaną kapą spódnicę jej wieczorowego okrycia.

Kiedy powóz ruszył spod ciągle jeszcze jasno oświetlonej posesji, podniecone głosy opuszczających przyjęcie gości rozpląnęły się powoli w bezruchu śnieżnej nocy. Koła powozu skrzypiały na świeżym śniegu, dzwoneczki podzwaniały przy końskiej uprzęży, a powietrze przesiąknięte było tajemniczą i magiczną atmosferą.

Ciepło opatulona w wieczorowy płaszcz z czarnej satyny, w kapturze i czapeczce obszytymi futrem z czarnej kuny i z pasującą do tego mufką, Anna pochyliła się ku oknu powozu i wyglądała na zewnątrz. Jej oddech unosił się w powietrzu nikłymi obłoczkami pary.

- Popatrz, Jacksonie. Zobacz, jak białe są płatki śniegu na tle ciemności. Widziałeś kiedyś coś równie zachwycającego?

- Znam tylko jedną rzecz, która może się równać z tym widokiem.

Odwróciła głowę i odkryła, że jest tuż obok niej; wyglądał przez okno po jej stronie powozu. Jego twarz dzieliło od jej oczu ledwie parę centymetrów. Serce podskoczyło jej w piersiach... i ogarnęło ją gwałtowne podniecenie, kiedy błądził wzrokiem po jej twarzy.

- Co takiego? - zapytała. Wiedząc, co zamierza powiedzieć, próbowała go zachęcić.

- Czysta biel twojej skóry na tle aksamitnie ciemnych włosów to doskonałość. - Głos Jacka był miękki jak pieszczota.

Jego twarz była również doskonała: szlachetnie prosty nos, wydatne kości policzkowe i pięknie rzeźbiona linia szczęki. Intymne spojrzenia, które jej często przesyłał, wywoływały u niej skrywane dreszcze rozkoszy. Sprawiał, że czuła coś, czego nie powinna. Była przecież kobietą zamężną. A jednak, gdy spoglądała na jego pełne wargi, rozumiała, dlaczego jabłko mogło wyglądać tak bardzo kusząco.

- Anno. - Tylko tyle powiedział, tylko jej imię. Wiele już razy wymawiał je w taki właśnie sposób, sprawiając, że czuła się najwspanialszą kobietą pod słońcem. Miała grzeszne myśli. Bardzo, bardzo, bardzo grzeszne myśli. Ale, och... jakże miłe.

Pragnęła, żeby ją pocałował. Zorientował się, kiedy nagle zamarła. A dla niego był to sygnał, zawsze ten sam, bez względu na to, czy miał do czynienia z damą, czy z plugawą, wymalowaną dziwką. Wszystkie kobiety zdane były na pastwę tych samych sygnałów. Większość mężczyzn spodziewa się różnic w zachowaniu, lecz Jackson Stuart znał je lepiej.

Wargi Anny były zmrożone podmuchami zimy. Kiedy zaczął je rozgrzewać, wyczuł jej wahanie i jakiś niewyraźny impuls, żeby się odwrócić. Jednak nie zrobiła tego. Wkrótce pochyliła się ku niemu, jak delikatna wierzba; wargi miała miękkie i pożądlive. Wykorzystał to i sprowokował ją, by posunęła się dalej, niż chciała, by przekroczyła pewne bariery. W końcu oderwała się od niego, nagle ocieżyła. Dłonie w rękawiczkach trzymała zaciśnięte na jego piersiach, a twarz odwróconą.

- Nie. - Ten słaby protest przypominał jęk. - Nie wolno ci... nie wolno nam.

- Wiem. - Poszukał jej skroni i zaczął muskać ją wargami. Gdy usłyszał, jak szybko chwyta ustami powietrze, poczuł się panem sytuacji. - Od wielu dni

to sobie powtarzam, ale to nie zmienia tego, co czuję. - Nie przestawał muskać jej wargami, wszystkie słowa wypowiadając tuż przy jej skórze i wyczuwając, jak drży leciutko z tęsknoty. - Anno, przecież ty wiesz, musiałaś to odgadnąć, że przyjechałem do Kansas, ponieważ wiedziałem, że tu będziesz. Chciałem cię znowu zobaczyć, mówić z tobą, choćby przez chwilę. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy powiedziałaś, że nie ma twojego męża. Ale czy to było szczęście, Anno?

- Nie wiem - wyszeptała.

- Ja też. Wiem tylko, że cię pokochałem.

- Nie.

Zignorował jej słabe protesty i mocniej przytrzymał ją w objęciach, udaremniając wątpliwe próby uwolnienia się z jego ramion.

- To prawda, kocham twoją twarz i twój jaśniejący uśmiech. Kocham zapach twojej skóry i włosów. Uwielbiam, kiedy wymawiasz moje imię i kiedy czuję przy sobie bicie twojego serca. Uwielbiam cię dotykać, uwielbiam smak twoich ust na moich wargach. Anno, najdroższa, kochana.

Cierpienie i to bolesne napięcie w jego głosie zupełnie ją zniewoliły. Przez kilka ostatnich dni często otwarcie z nią flirtował i mówił rzeczy bardzo odważne, ale nigdy by się jej nie przyśniło, że rozbudziła takie pokłady miłości. Było to oszałamiające i podniecające odkrycie, tak jak jego pocałunki. Odwróciła nieznacznie głowę, nie broniąc mu dostępu do swoich warg i nie obawiając się pragnienia, które płonęło w jej wnętrzu. Z radością przyjęła teraz zakazane uczucia i podniecenie, które ze sobą niosły.

Jego wargi całkowicie zawładnęły jej ustami. Tym razem nie próbował jej przekonywać, tym razem zaspokajał głód - smakując, wgrzyzając się, pożerając, dopóki nie poczuła się całkowicie wchłonięta. Lecz cóż to było za przyjemne uczucie, tak bardzo różne od jej doświadczeń. Zupełnie straciła głowę

i zabrakło jej tchu, a serce waliło tak mocno, że poczuła się całkiem osłabiona.

Kiedy przestał ją całować, bezwładnie opadła na jego piersi i oparła mu głowę na ramieniu. Miała wrażenie, że z Kellem nie było tak nigdy. Jackson mocno obejmował ją ramionami i przyciskał do siebie, podczas gdy jego niepokojne dłonie bez przerwy gładziły i ścisnęły jej plecy i ramiona.

- Co mam robić, Anno? - pytał półgłosem, a jego wargi muskały pracowicie upięte loki. - Nie mogę znieść myśli, że wrócisz do Morgan's Walk. Wiem, jak nieszczęśliwa i samotna tam jesteś. Z drugiej strony, jak mogę cię prosić, żebyś została ze mną, skoro nie mogę ci nic ofiarować? - Z jego gardła wyrwał się jęk rozpacz. - Kiedy pomyślę o fortunie, jaka przeszła przez moje ręce przy stołach do hazardu: przeklinam siebie, że nie przewidziałem, że przyjdzie taki dzień, gdy spotkam tak urocze stworzenie jak ty. Pieniądze, które posiadam, wystarczą na moje życie, lecz nie wystarczą, żeby cię obsypać pięknymi klejnotami, sukniami, futrami, na które zasługujesz, czy żeby zabrać cię do wszystkich tych pięknych miejsc, które powinnaś zobaczyć. Dałbym wszystko, żeby mieć bogactwa twojego męża, wszystko, prócz mego serca, bo ono już należy do ciebie. Anno, Anno - wyszeptał z pośpiechem jej imię, wziął w dłonie jej twarz i przyglądał się jej marzycielskiej zmysłowości, rozchylonym wargom i pociemniałym oczom. Zawładnął nią zupełnie. - Jakim głupcem jest Morgan. Jakim on jest głupcem.

- Chciałabym... - Bała się dokończyć, wyznać, że zrobiła błąd wychodząc za Morgana. Kochał ją i na swój sposób był dla niej dobry. Egoizmem z jej strony było pragnąć życia, które Jackson jej opisał, i grzechem odczuwać przyjemność jego pocałunków. Nic nie mogła jednak poradzić. Tak było. Tak właśnie było.

- Ja też bym tego pragnął, najdroższa, lecz nie mogę cię prosić, byś opuściła

męża, kiedy tak mało mogę ci zaofiarować. Ale gdybym znalazł sposób, powiedz mi, czy mogę mieć nadzieję?

- Tak, możesz. - Nie mogła zaprzeczyć.

Znowu porwały ją jego pocałunki. Dała się ponieść ich żarowi, który budził w niej tak gorączkowe tęsknoty.

Zbyt szybko powóz zatrzymał się przed domem ojca. Raz jeszcze pocałowali się w ciemnościach zamkniętego powozu, potem Jackson odprowadził ją do drzwi i grzecznie się pożegnał.

Postąpiła krok ku niemu. Nie chciała, żeby odchodził, ale on powstrzymał ją uśmiechem.

- Do jutra.

- Tak, do jutra - powtórzyła i patrzyła za nim, jak odchodził w wirujących płatkach śniegu. Była teraz przekonana, że nie ma mocniejszego uczucia niż to słodkie pragnienie miłości.

Następne dwa dni były najszcześniejszymi dniami w jej życiu, wypełnionymi sekretnymi spojrzeniami, miłosnymi szeptami i ukradkowymi całusami, a napięcie każdej kolejnej chwili rosło z powodu ryzyka odkrycia. Ale ryzyko stanowiło tylko dodatkową podniecie. To był zaczarowany świat.

Lecz rankiem trzeciego dnia czar prysł - świat się zawalił, a Anna załamała się zupełnie. Rozkojarzona, spieszenie podążała hotelowym korytarzem, sprawdzając numery na drzwiach pokoi i nieustannie oglądając się przez ramię, z obawy, że ktoś mógłby ją tu zobaczyć lub - co gorsza - rozpoznać pomimo skrywającej twarz woalki. Przy drzwiach z numerem dwadzieścia dwa zatrzymała się i raz jeszcze spojrzała w głąb korytarza, potem prędko zapukała.

- Chwileczkę - dobiegł ją stłumiony i lekko zniecierpliwiony głos. Był to bez wątpienia Jackson Stuart.

Denerwowała się stojąc w korytarzu; sekundy wlokły się nieskończenie powoli, zanim usłyszała zbliżające się do drzwi kroki. Przywarła do drzwi z nerwową niecierpliwością.

- Tak, o co chodzi? - Kiedy ją zobaczył, przestał naciągać na siebie białą lnianą koszulę. - Anna?!

- Wydawał się być równie zaszokowany jej widokiem, co ona jego częściowym negliżem. Wpatrywała się w czarne, kędzierzawe włosy na jego klatce piersiowej. Potem odwróciła głowę, cała sploniona lubieżnością własnych myśli.

- Ja... ja nie powinnam była przychodzić. - Wykonała jakiś nieprzekonywający półobrót, jakby chciała odejść, ale chwycił ją za ramię i przyciągnął z powrotem.

- Nie odchodź. Wejź do środka, ktoś może nadejść.

Nie opierała się, kiedy wciągnął ją do pokoju i zamknął drzwi. Klapy jego koszuli zasłoniły nagość piersi, lecz ona ciągle stała ze spuszczonej oczami i kołatającym sercem.

Chwycił ją za rękę, tuż przy bufiastych rękawach aksamitnego płaszcza.

- Anno, ty drżysz. Dlaczego? Co się stało? - Pochylił głowę, żeby pod rondem kapelusza popatrzeć na jej zacienioną czarną woalką twarz.

- Ja... ja nie wiedziałam, co robić. - Zawahała się przez chwilę, po czym wyciągnęła z mufki złożony telegram. - To przyszło dzisiaj z samego rana. Od mojego męża. - Sztywniejąc wypuścił ją, żeby wziąć telegram. Nie czekała, aż sam przeczyta wiadomość. - Przyjeżdża popołudniowym pociągiem. - Jej skrywana do tej pory desperacja wymknęła się spod kontroli. - Musiałam cię powiadomić. Nie mogłam pozwolić, żebyś przyszedł po mnie, żeby mnie zabrać na przyjęcie do Willetsów i zastał Kella. Musiałam się z tobą zobaczyć. Musiałam...

- Wiem - powiedział, przerywając ten potok słów.

Podniosła na niego oczy, ich spojrzenia spotkały się.

- Nie będę mogła cię więcej widywać, Jacksonie.

Uśmiechnął się leniwie, nie mogąc jeszcze uwierzyć, że rzeczywiście jest tu w hotelu, w jego pokoju. Z drugiej strony, dlaczegoż miałby wątpić w swoje szczęście? W końcu wczoraj udało mu się rozbić bank w faraonie i odejść od karcianego stolika jako prawdziwy zwycięzca.

- O której godzinie przyjeżdża ten pociąg?

- Według rozkładu powinien przyjechać dziś po południu, dziesięć po drugiej.

- W takim razie zostały nam jeszcze trzy godziny. - Rzucił telegram na podłogę, potem rozluźnił jej woalkę i podniósł ją do góry, przekładając przez brzeg kapelusza. - Nie traćmy czasu na rozmowy, Anno.

Wkrótce w ślady telegramu podążył kapelusz, potem mufka i długi ak-samitny płaszcz. Pozbycie się sukni z mieniącego się, prążkowanego jedwabiu również nie przedstawiało wielkich problemów. Musiał tylko uważać, żeby jego wargi były w pogotowiu, by rozwiewać rodzące się wątpliwości.

Czuła się pijana od jego pocałunków; jej ciało ogarnął jakiś marzycielski bezwład. Przyłgnęła do niego w poszukiwaniu oparcia, opierając się całym ciężarem na ramieniu, które obejmowało mocno ściśniętą gorsetem talię. Przez lnianą koszulę wyczuła umięśnione ciało i przebiegły ją dreszcze rozkoszy.

Kiedy zasypywał pocałunkami jej oczy, policzki i usta, jego palce powędrowały na szyję do wykończonej koronką stójki jedwabnej bluzki. Gdy pierwszy guzik ustąpił pod jego dotykiem, Anna wstrzymała oddech, uświadamiając sobie, że jego zwinne palce są już przy następnym. Do tej pory nikt, oprócz jej osobistej pokojówki, nie pomagał jej się rozbierać.



Nawet Kell nigdy nie posunął się tak daleko. Kończąc szkołę dowiedziała się, że dobrze urodzona kobieta nie eksponuje intymnych partii ciała przed żadnym mężczyzną, wliczając w to swojego męża. Sute nocne koszule z długimi rękawami, zapięte wysoko pod szyją, były zgodne z zasadami pruderii w łóżku, jakkolwiek niewygodne i nieporęczne mogły się czasami wydawać.

Lecz między nią a Jacksonem nie będzie tej ochronnej bariery. Na samą myśl zrobiło jej się gorąco. Wiedziała, że już pokazanie się mężczyźnie w bieliźnie było uznane za rzecz absolutnie skandaliczną. Co gorsza, żar, który ją ogarnął, nie był bynajmniej rezultatem zawstydzenia. Jak bardzo przewrotną była kobietą, skoro pragnęła się przed nim obnażyć, jeszcze bardziej go podniecić. Ale właśnie tego pragnęła. Dokładnie tego.

Bluzka zwisała luźno, zupełnie rozpięta. Jęknęła cicho, kiedy opuścił jej ręce wzdłuż ciała, po czym zsunął z niej jedwabną część garderoby. Dłonie na jej skórze były gładkie w dotyku, nie takie jak Kella - szorstkie i zrogowaciałe. Jego palce bezbłędnie odnalazły sznurówki z tyłu gorsetu. Gdzieś w głębi ducha dziwiła się, że meandry damskiej bielizny nie są dla niego tajemnicą. Jej pierwszy nieskrępowany oddech zakończył się lekkim dreszczykiem. Kiedy uporał się z gorsetem, rozwiązał wstążki różowej halki z pikowanej satyny, która z delikatnym szelestem osunęła się jej po nogach. Wtedy podniósł ją do góry, wziął na ręce, a ona poczuła się lekka jak piórko. Mocno do niego przytulona, dokonała kolejnego odkrycia. Ani jej bielizna z delikatnego muślinu, ani falbanki z grubej koronki nie były żadną przeszkodą w odczuwaniu przyciśniętego do niej muskularnego ciała - przez cieniutką tkaninę wyczuwała każde drgnienie jego mięśni. Przeniósł ją kilka metrów do łóżka i powoli opuścił na ziemię najpierw jej nogi. Obrócił ją do siebie, rozluźnił ramiona i pozwolił, aby osuwała się powoli, ocierając się o niego

całym ciałem. W ten sposób Anna wyczuwała każdy kontur jego ciała.

Z trudem łapała oddech. Jackson dostarczał wrażeń wszystkim jej zmysłom. Zadawał jej dodatkowe katusze, kiedy zaczął ją chciwie całować. Tak bardzo dała się ponieść rozkoszy, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, że Jackson swoimi zwinnymi palcami manipuluje przy zapięciu bielizny. Potem poczuła dotyk dłoni na gołej skórze, co wywołało na całym ciele ostre jak ukłucia igiełek dreszcze zdziwienia i rozkoszy. Osunęła się na niego bezwładnie, a on pod ciężarem jej ciała usiadł na brzegu łóżka, pociągając ją za sobą i ustawiając pomiędzy swoimi rozchylonymi nogami.

Spojrzała na niego oszołomiona, zaciskając kurczowo ręce na jego ramionach, żeby utrzymać równowagę. Rosło w niej napięcie, kiedy obserwowała, jak jego dłonie rozchylają brzegi jej jednoczęściowej bielizny; poczynając od brzucha, przesuwają się wyżej przez zagłębienie pomiędzy piersiami, potem rozdzielają się, aby odsłonić łuki jej ramion. Opuściła ręce wzdłuż tułowia, by pomóc mu zdjąć kombinację. Jej płytki, przyspieszony oddech harmonizował z nierównymi i gwałtownymi uderzeniami pulsu.

Kiedy zsuwał z ramion bieliznę, delikatny muślin zahaczył o jej stwardniałe sutki, które jak sprężyny uwolniły się od materiału. Zobaczyła, jak Jackson pożera wzrokiem jej piersi i zamknęła oczy topniejąc pod wpływem żaru rozkoszy, który miał swoje źródło gdzieś w okolicach brzucha i stamtąd rozlewał się po całym ciele. Wyczekiwała pieszczot jego dłoni, a on powoli zsuwał koszulkę wzdłuż jej ramion. Kiedy bielizna znajdowała się tuż poniżej łokci, przerwał nagle i ściągnął materiał za plecami, unieruchamiając jej ręce w taki sposób, że musiała cofnąć ramiona i wysunąć do przodu piersi.

Zaszokowana spojrzała na niego w dół, rozchylając usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążyła, ponieważ właśnie wtedy położył rękę na jej

płaskim brzuchu i zaczął posuwać ją coraz to wyżej, aż sięgnął jej napęczniałych piersi. Podniósł wzrok i zobaczył, że go obserwuje. Blask jego pociemniałych oczu prawie przyprawił ją o omdlenie. Lecz nie chciała stracić choćby odrobiny rozkoszy, którą obiecywało jego spojrzenie. I cóż to była za rozkosz, kiedy zaczął pieścić wargami jej piersi, całując i gładząc językiem sutki, aż całym jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, a ucisk rozkoszy w podbrzuszu stał się nieznośny.

Ostatnim pociągnięciem uwolnił jej ręce, a ona natychmiast zatopiła palce we włosach Jacksona i przycisnęła jego twarz do piersi, kładąc kres nieznośnym pieszczotom jego warg. Pochyliła głowę; spod ociężałych, w półprzymkniętych powiek obserwowała, jak jednym szarpnięciem zdarł z siebie koszulę i odrzucił ją, aż poszybowała przez pokój. Potem zaczął zsuwać bieliznę z jej bioder. Wiedziała, co się dzieje i równocześnie nie była tego świadoma. Jak we śnie, wszystko się zlewało: wydarzenia następowały nie wiadomo jak i dlaczego - choćby to, że znalazła się nagle na łóżku.

Jednak, podobnie jak we śnie, pewne obrazy stały wyraźnie przed jej oczyma, jakby zatrzymane w czasie, na przykład wtedy, gdy odszedł na chwilę, żeby zdjąć spodnie i kalesony, po czym wrócił i stanął przed nią. Nigdy przedtem nie widziała rozebranego mężczyzny. Spoglądała na jego szerokie ramiona i szczupłą, umięśnioną klatkę piersiową z niewielką ilością czarnych, kędzierzawych włosów. Przeniosła wzrok niżej, na twardy, płaski brzuch i znowu niżej na sztywną męskość. Wstrzymała oddech. Nie wiedziała, że ciało mężczyzny może być tak piękne. Gdzieś w głębi duszy zastanawiała się, czy Kell wygląda tak samo pod długimi nocnymi koszulami, które kazała mu nosić do łóżka.

Lecz ta myśl pojawiła się tylko na krótką chwilę, bo Jackson położył się fena niej, rozchylając jej nogi własnymi udami. Gorączka, która ją ogarnęła,

trochę ustąpiła pod ciężarem jego ciała i twardym, kościstym dotykiem na wewnętrznej stronie ud. Tę część знаła aż nadto dobrze. Poczowała pierwsze ukoicie rozczarowania, kiedy jego wargi pieściły kącik jej ust, a na skórze czuła gorący oddech. Ale nie próbował ustawiać jej bioder pod odpowiednim kątem, nie było też niezdarnych prób wdarcia się do jej wnętrza. Dłonie Jacksona pracowicie dotykały i pieściły ją, poruszając się z przewrotną łatwością, nieskrępowane żadną obszerną koszulą. Anna odprężyła się i znowu zaczęła odczuwać przyjemność. Skorzystała z możliwości i przebiegała dłońmi po jego nagich, umięśnionych ramionach i plecach, zdumiona wrażeniem, jakie wywierał dotyk nagiej skóry.

Wargi Jacksona przeniosły się teraz na jej szyję i zagłębienie u jej podstawy, a ona zajęczała z rozkoszy. Kiedy pochylił głowę, żeby znowu wessać się w jej piersi, skwapliwie wygięła ciało. Był ciągle nienasycony smakiem jej skóry; pieszczotliwe wargi powędrowały jeszcze niżej, zatrzymując się na każdym wygięciu jej żeber. Kiedy wilgotne usta dotarły do brzucha, skurczyła gwałtownie mięśnie, a ucisk rozkoszy tak się nasilił, że miała ochotę głośno krzyknąć ze słodkiej udręki, a Jackson już się o to starał, by nie miała ona końca. Anna miała wrażenie, że jest głównie zainteresowany tym, by wycałować każdy centymetr jej ciała.

Kiedy zorientowała się, że jego penetrujące pocałunki zbliżają się do zakazanego obszaru, w panice usiłowała go powstrzymać.

- Nie. Nie... - Wstrząśnięta nagłą gorącą falą, Anna wepchnęła sobie do ust zaciśniętą w pięść dłoń, żeby wgrzyzając się w nią zdławić zwierzęce dźwięki, które wydobywały się z jej gardła.

Ogarnęła ją jakaś dzikość. Nie potrafiąc nad nią zapanować, zupełnie się w niej zatraciła, z zamkniętymi oczyma wijąc się i wykręcając, orząc palcami pokrycie łóżka. Była zлана potem. Gdy napięcie stawało się nie do

wytrzymania, Jackson nagle znalazł się znowu na niej i bez żadnego wysiłku wślizgnął się do środka, wchodząc głęboko do wewnątrz. Teraz nawet nie próbowała powstrzymać cichego okrzyku, podobnie jak innych głośniejszych dźwięków, które wyrwały się jej z gardła, gdy zaczął poruszać się w jej wnętrzu.

Leżała rozciągnięta w poprzek łóżka, z prześcieradłem ledwie owiniętym dookoła bioder. Ogarnęło ją niezrównane uczucie przyjemnej pustki i bezwładu. Ciągle jeszcze odrobinę oszołomiona niezwykłością przeżyć, odwróciła głowę, żeby popatrzeć na mężczyznę, który je z nią dzielił. Obserwował ją, a blask w jego oczach miał w sobie ślady satysfakcji i rozbawienia. Przekręciła się na bok i przysunęła do niego blisko; miała ochotę mrużyć jak kot, kiedy przesuwiała palcami po aksamitnych włosach na jego piersi.

- Zadowolony z siebie, prawda? - wyszeptła, przyglądając mu się badawczo przez firanki rzęs. - Teraz, kiedy już mnie miałeś.

Wyciągnął rękę, chwycił ją w tali i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie.

- A ty nie?

- Szalenie. - Pocierała głowę o jego ramię, czując się jak zaspokojona kotka. - Nie wiedziałam, że może tak być. - Uśmiechnęła się, przekonana, że odkryła jeden z najwspanialszych sekretów.

- Trzeba było mężczyzny, który by ci to pokazał.

Westchnęła, uświadamiając sobie, że mąż jej nigdy tego nie zrobił. Kell z natury nie był wylewny; jego uczucia zawsze pozostawały w ukryciu, za twardą ścianą rezerwy. Przypomniała sobie momenty, kiedy była z nim w łóżku, jego delikatne, powściągliwe pocałunki i dotyk. Ani razu nie spróbował jej roznamiętnić, sprawić, by straciła nad sobą kontrolę - nie w taki sposób, jak zrobił to Jackson. Prawdę mówiąc, zawsze miała wrażenie,

że Kell nigdy nie oczekiwał, żeby to, co robili, dostarczyło jej jakiegokolwiek przyjemności, że z troski o nią załatwiał wszystko tak szybko, jak mógł.

Czy była to jej wina? Zastanawiała się, przypominając sobie ich noc poślubną i jak bardzo była zdrtwiała ze strachu. Tej nocy Kell obsypał ją płomiennymi pocałunkami; pieścił ją ochoczo i odważnie, ale ona była zimna i zupełnie obojętna. Zbyt wiele jej zameężnych przyjaciółek wspominało, jakie to okropne przeżycie. Nawet ojciec pouczył ją o jej małżeńskich obowiązkach, że powinna poddać się wymaganiom męża, dając jej do zrozumienia, że wypełnianie tych obowiązków jest czymś co można przeżyć. I ten okropny, rozdzierający ból potwierdził wszystko, co słyszała. Potem długo płakała, opierając się wszystkim próbom Kella, żeby ją ukoić; nienawidziła dotyku jego dłoni, nie wspominając już o byciu w jego ramionach.

W tej sytuacji może nie było to takie dziwne, że jej mąż stał się mniej żarliwym kochankiem. Tego właśnie pragnęła. Nie chciała myśleć o Kellu - nie teraz. Ale musiała. Przyjeżdża tego popołudnia.

Nagle otoczyło ją mnóstwo wątpliwości i niepewności.

- Jacksonie, czy my... czy my się jeszcze zobaczymy? - Sama myśl o tym, że mogłoby być inaczej, wydawała się nie do zniesienia.

Włożył jej rękę pod policzek i uniósł jej głowę ze swojego ramienia. Jego spojrzenie było ciepłe i pożądliwe, kiedy przyglądał się jej twarzy.

- Czy wydaje ci się, że mógłbym trzymać się od ciebie z daleka, po tym, co się wydarzyło?

Napięcie opuściło ją i lekko zadrżała z ulgi.

- Nie wiedziałam. Nie byłam pewna - przyznała, śmiejąc się ze swoich wątpliwości. Ale uśmiech zamarł natychmiast, kiedy przyszła jej do głowy inna myśl. - Ale w jaki sposób, skoro będzie tu Kell?

- Nie tutaj. Nie w Kansas. - Pieszczotliwie gładził palcami jej twarz,

głaszcząc policzki i wargi, czule badając ich wygięcia i zagłębienia. - Kiedy mąż przyjedzie dzisiaj po południu, chcę żebyś go przekonała, że jesteś zmęczona miastem, że tęsknisz za spokojem i zaciszem Morgan's Walk, że bardzo pragniesz powrócić do domu.

- Nigdy mi nie uwierzy. - Odwróciła głowę, przeklinając myśl o powrocie, ale Jackson nie pozwolił jej się odsunąć.

- Uwierzy ci - powiedział z przekonaniem. - Uwierzy ci, bo jest to dokładnie to, czego chce.

- Jak możesz mnie prosić, żebym tam wracała, skoro wiesz, jak bardzo nienawidzę tego miejsca?

Uśmiechnął się, widząc blask nienawiści w jej oczach. Ani razu nie zaproponowała, że opuści dla niego męża. Gdyby nawet coś takiego przyszło jej do głowy, Jackson Stuart był przekonany, że natychmiast odrzuciłaby ten pomysł. Jej duma by na to nie pozwoliła. Była córką lekarza, która zrobiła świetną partię. I bez względu na to, jak niezdolnie była nieszczęśliwa, Anna Morgan nie miała zamiaru porzucić zdobytego bogactwa i społecznego statusu - nie dla miłości, szczególnie, kiedy wspomniał, że on nic innego nie może jej ofiarować. Na swój własny sposób Anna Morgan była tak samo chciwa jak on.

- Chcę, żebyś tam wróciła, najdroższa, ponieważ jest to najbezpieczniejsze miejsce dla naszych spotkań - powiedział.

Nic nie rozumiejąc, spojrzała na niego pytająco.

- Najbezpieczniejsze? Co ty opowiadasz? Jeśli zaczniesz bywać u nas w domu...

- Nie w domu. Będziemy się spotykali w Tulsie. Jeździsz przecież do miasta dwa razy w miesiącu, żeby odebrać pocztę i zrobić zakupy, prawda?

- Tak.

- A kiedy tam jesteś, czy nie bierzesz pokoju w hotelu, żeby mieć się gdzie przebrać i odświeżyć? - Na to też znał już odpowiedź. Prawdę powiedziawszy, był przekonany, że wiedział więcej o jej zwyczajach niż ona sama.

- Owszem.

- W takim razie tam się spotkamy, w twoim pokoju, gdzie będziemy mogli być sami.

- Ale... co będzie, jeśli to się wyda?

- Nie wyda się. Recepcjonista jest moim przyjacielem. Ostrzeże nas, gdyby ktoś przyszedł. I nie martw się już, kochanie. Długo nie będziemy musieli spotykać się potajemnie. Tylko dopóki nie znajdę sposobu na to, żebyśmy mogli prowadzić takie życie, jakie chcemy - powiedział z wargami przy jej ustach, po czym złożył na nich następny długi, odurzający pocałunek. Miał już pewien pomysł, lecz dopóki nie był pewny jej, nie mógł podjąć decydujących kroków.

Tego popołudnia Anna była na stacji, żeby przywitać Kella. I jak przewidział Jackson Stuart, nie miała żadnych problemów z przekonaniem go, że tęskni za domem. Trzy dni później cała rodzina Morganów wsiadła do pociągu, żeby powrócić do Morgan's Walk.

Dziesięć dni później Anna pojechała do miasta i jak zwykle wynajęła pokój w hotelu Tulsa House. Ledwie zdążyła zdjąć zakurzony płaszcz i kapelusz, kiedy usłyszała ukradkowe pukanie do drzwi. Z mocno bijącym sercem podeszła, żeby otworzyć. Niecałą minutę później drzwi były znowu zamknięte na klucz, a ona leżała w ramionach Jacksona Stuarta.



*Boję się, że Chris odkrył naszą tajemnicę. Nie powinnam była jechać do miasta, skoro dopiero co tam byłam, tydzień wcześniej. Ale następne siedem dni do spotkania z Jacksonem wydawały mi się tak okropnie długim okresem, że musiałam pojechać. Rzadko kiedy możemy spędzić ze sobą więcej niż godzinę, lecz te skradzione chwile uczyniły moje życie nieco znośniejszym, przez ostanie parę miesięcy. Jaką rozwiązłą stałam się kobietą, a jednak nie czuję wstydu, tylko winę z powodu tego, że muszę oszukiwać Kella.*

*A teraz jeszcze strach, że Chris podzieli się z nim swoimi podejrzeniami. Wiem, że na pewno coś podejrzewa. Tak dziwnie na mnie patrzył, kiedy otworzyłam mu drzwi. No cóż, powinien być zdziwiony - tak pośpiesznie się ubierałam, że mój strój i włosy były całe w nieładzie, a policzki miałam zaczerwienione od kilkudniowego zarostu Jacksona. Następnym razem muszę stanowczo go poprosić, by golił się tuż przed naszym spotkaniem. Następnym razem. Modłę się, żeby on w ogóle nastąpił i żeby wszystkie moje obawy okazały się tylko wytworem głupiutkiej wyobraźni, a dziwne milczenie Chrisa w drodze do domu nic nie znaczącą niezręcznością. A jednak sądząc po tym, jak szybko po wyjściu Jacksona Chris pojawił się przed drzwiami, wnioskuję, że musieli minąć się w korytarzu. Czy widział, jak wychodził z mojego pokoju?*

*Nic mi nie powiedział. W ogóle nie skomentował mojego wyglądu. Oczywiście wytłumaczyłam się tym, że poczułam się bardzo zmęczona długą jazdą do miasta i położyłam się, żeby odpocząć. Nie jestem pewna, czy mi uwierzył.*

*Cokolwiek myśli czy podejrzewa, wiem, że nie mógł rozmawiać z Kellem, ponieważ nie jadł dziś z nami kolacji. Jak tylko przywiózł mnie bezpiecznie do domu, natychmiast wyjechał, twierdząc, że musi zobaczyć jednego z sąsiadów. Miałam wrażenie, że Kell wie także, o co chodzi, więc może Chris mówił prawdę.*

*Cóż to za długi i męczący wieczór. Jak zwykle, tuż po kolacji Kell zamknął się bibliotecę ze swoimi ukochanymi książkami rachunkowymi, a ja zostałam sama z moimi myślami.*

*Siedzę sobie tu przy oknie w sypialni i patrzę na wschodzący księżyc i pierwsze migoczące gwiazdy. Wiem, że gdzieś tam Jackson także je widzi. Zastanawiam się, czy też myśli teraz o mnie, tak ja o nim...*

*Jakie to dziwne. Widzę jeźdźca na koniu zbliżającego się do domu od tyłu, pomiędzy drzewami. Któż mógłby przyjechać w odwiedziny o tak późnej porze? I dlaczego nie podjeżdża od frontu? To nie może być Chris. Odjechał na swoim Palomino, a ten koń jest czarny, tak czarny jak...*

Zdanie było nie dokończone. Flame z zaciekawieniem przewróciła kartkę, ale następna była czysta, tak jak wszystkie pozostałe strony pamiętnika. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Ben Canon przygląda się jej w zamyśleniu i z zainteresowaniem. Ten jasny blask w jego oczach... jakby oceniał jej reakcję, próbując odgadnąć stopień zaciekawienia. Poczula ukłucie gniewu na myśl o tym, jak manewrowano jej uczuciami. Ale teraz już nie miało to znaczenia. Musiała dowiedzieć się reszty.

A jednak nie chciała dać mu satysfakcji, nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo ją to wciągnęło. Z udawaną obojętnością zamknęła pamiętnik i odłożyła go na stół z wiśniowego drewna, obok talerza z kanapkami.

Flame zdawała sobie sprawę, że Ben Canon musi dokładnie wiedzieć, w którym miejscu kończy się pamiętnik Anny Morgan.

- Rozumiem, że jeźdźcem, którego zobaczyła, był Jackson Stuart.

- To prawda. - Jedną ręką zdjął z nosa okulary do czytania i wsunął je do wewnętrznej kieszonki marynarki, w drugiej dłoni trzymał otwarty gruby notatnik.

- Co się wtedy wydarzyło? - Flame przyglądała się pożółkłym ze starości kartkom. Wiedziała, że notatnik nie jest drugą częścią pamiętnika, ale nie mogła odgadnąć, co to jest.

Adwokat przeszedł niespiesznie do jej fotela.

- Wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli znajdzie pani na to odpowiedź w zeznaniach pani pradziadka, które złożył w trakcie procesu.

- Jakiego procesu? - Marszcząc czoło, z wahaniem wzięła od niego notatnik.

- Procesu Jacksona Stuarta, oskarżonego o usiłowanie zabójstwa Kella Morgana.

Flame jakoś dziwnie osłabła i podążyła wzrokiem do wiszącego nad kominkiem portretu. Tego się nie spodziewała, choć może powinna. Próba zabójstwa, tak powiedział Ben Canon. To znaczy, że Stuartowi się nie udało. Czy była to próba zabójstwa z premedytacją, czy był to rezultat przypadkowej konfrontacji? Z pamiętnika wywnioskowała, że Anna Morgan rozpoznała kochanka i wymknęła się do niego. Przyglądając się silnemu, dumnemu mężczyźnie na portrecie, mogła sobie z łatwością wyobrazić jego gniew, upokorzenie i ból na widok swojej ukochanej żony w ramionach innego mężczyzny. Honor musiał podyktować mu jedno. Czy właśnie to się zdarzyło?

Odpowiedzi na jej pytania znajdowały się w otwartym przed nią zapisie rozprawy. Oderwała wzrok od portretu i przeniosła spojrzenie na prawie stu-letni dokument, który trzymała w ręku.

*- Proszę wymienić swoje imię i nazwisko.*

*- Christopher Morgan.*

*- Jest pan bratem niedoszłej ofiary, zgadza się, panie Morgan?*

- Tak wysoki sędzie.

- I razem z bratem zamieszkuje pan ranczo, znane pod nazwą Morgan's Walk, czy to się zgadza?

- Tak, zgadza się.

- Proszę powiedzieć sądowi, gdzie znajdował się pan dwudziestego siódmego marca tego roku wieczorem.

- Tego wieczoru byłem na sąsiadującym z Morgan's Walk ranczo, należącym do Bittermanów. Wróciłem do domu późno, prawdopodobnie gdzieś między godziną dziesiątą a jedenastą.

- Proszę opisać sądowi, co się wydarzyło, kiedy wrócił pan do Morgan's Walk. Chciałbym panu przypomnieć, że zeznaje pan pod przysięgą.

- Wiem, wysoki sędzie. Tak jak mówiłem, wróciłem gdzieś między dziesiątą a jedenastą. Rozsiedlałem konia i zaprowadziłem go do zagrody. Udałem się w kierunku domu. Zauważyłem, że w bibliotece ciągle palą się światła. Zorientowałem się, że Kell - mój brat - jeszcze się nie położył i pracuje nad księgami rachunkowymi. Tak więc podszedłem do domu od tyłu, pomiędzy drzewami. Pomyślałem sobie, że zajdę do niego, ponieważ przez cały dzień nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Byłem jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, kiedy zobaczyłem, że ktoś kręci się na zewnątrz. Zbliżał się dzień wypłaty i wiedziałem, że mamy w domu więcej niż zwykle gotówki. Przyszło mi do głowy, żeby podnieść alarm, ale nie miałem pewności, czy ktoś w środku nie trzyma Kella na muszce, więc podkradłem się bliżej...

Z wyciągniętym pistoletem Chris skradał się między drzewami. W pewnej chwili przywarł do pnia dębu na widok białej postaci, która popłynęła nad ziemią w kierunku ciemnej sylwetki mężczyzny. To była Anna, w ciemnym

szalu narzuconym na wierzch nocnej koszuli. Zrobiło mu się słabo. Cała jego wojowniczość zniknęła, opuścił pistolet i osunął się po pniu drzewa. Setki razy powtarzał sobie, że się pomylił co do tego popołudnia, że Anna była zbyt dobra, żeby wplątać się w jakiś romans. Tak bardzo chciała wtedy jechać do miasta. Chodziło o jakąś koronkę, którą musiała natychmiast zamówić. Potem, kiedy dojechali na miejsce, wcale nie poszła do składu z towarami, natomiast udała się do hotelu, żeby „odświeżyć się po podróży”. Kiedy po godzinie ciągle jej nie było, poszedł, żeby sprawdzić, co ją zatrzymuje. Chciał wracać na ranczo i zobaczyć się z Bittermanami.

Nie zdziwił się na widok „Blackjack” Stuarta w korytarzu. Hazardzista kręcił się po Tulsie przez całą zimę. Kiedy mijali się w korytarzu, Chris poczuł od niego jakiś kwiecisty zapach i uśmiechnął się, domyślając się, że Stuart spędził właśnie miłą godzinę w towarzystwie jakiejś kobiety.

Kiedy Anna otworzyła mu drzwi, poczuł od niej zapach dokładnie tych samych perfum. Wyglądała jak kobieta, która przed chwilą była w ramionach mężczyzny - zwichrzone włosy i wymięte ubranie. Powiedziała mu, że odpoczywała, lecz jej oczy miały w sobie zbyt wiele blasku, a twarz ten jaśniejący wyraz kobiety całkowicie zaspokojonej. Wiedział też, co męski zarost może zrobić z delikatną kobiecą skórą.

Nie chciał w to wierzyć. Walczył z tym, i oto zobaczył ją, jak pada w ramiona Stuarta. Gdzieś z tyłu, spomiędzy drzew, dobiegło spłoszone parsknięcie konia i szelest zeszlórocznych liści pod jego kopytami.

Chris spojrzął na dom. Jego wzrok podążył w kierunku światła padającego z przeszklonych drzwi do biblioteki. Kell był tam, w środku. Jak powie mu o żonie? Przecież nie będzie mógł przed nim tego ukrywać. Poczuł dotkliwy ból w żołądku i narastający gniew chwycił go za gardło, żałował, że się o tym dowiedział, żałował, że poszedł do tego hotelu. Chciał, żeby się coś

stało, coś co odwróci konieczność poinformowania Kella o zdradzie Anny.

Jackson Stuart usłyszał szelest na sekundę przedtem, zanim jego spłoszony ogier parsknął ostrzegawczo. Na ugiętych nogach odwrócił się błyskawicznie z odbezpieczonym pistoletem, po czym zaklął na widok Anny biegnącej do niego przez trawnik. Jeszcze chwila i znalazłby się w dogodnym miejscu, żeby uczynić z niej wdowę, bardzo bogatą wdowę.

Opuścił pistolet, ale nie odbezpieczył kurka i chwycił ją wolną ręką, kiedy rzuciła mu się w ramiona.

- Kochany, nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - wyszeptała, pokrywając jego twarz i szyję pocałunkami, kiedy on wciągał ją głębiej do cienia, jednym okiem cały czas obserwując bibliotekę. - Jak możesz tak się narażać? Ale cieszę się, że jesteś. Chciałam się z tobą zobaczyć. Bardzo się martwiłam.

Nie słuchał jej, modląc się w duchu, żeby się zamknęła. Musiał pomyśleć, jak z tego wybrnąć. A w głowie ciągle kołatała mu myśl, że powinien był przewidzieć, że szczęście odmieniło się dla niego, powinien był zorientować się zeszłej nocy, kiedy cztery rozdania z rzędu przegrał w blackjacka. Przegrałby i piąte, gdyby nie dołożył sobie asa z rękawa. Wtedy omal go nie nakryli. Odszedł od stolika, nie chcąc dalej kusić losu.

Powinien był wcześniej załatwić Morgana, lecz chciał poczekać, aż na ranczo będą większe pieniądze na wypłatę. Mógł już ze sto razy zabić Morgana z ukrycia, ale wolał, żeby wyglądało to na napad rabunkowy. Nie chciał, by ciążyły na nim podejrzenia, kiedy już poślubi wdowę.

Z tego, co powiedziała mu Anna, pieniądze były tam, w bibliotece, zamknięte na klucz w pudełku, które Morgan trzymał w dolnej szufladzie olbrzymiego, mahoniowego biurka. I Morgan też tam był. Do diabła, jest już tak blisko przeprowadzenia tego wszystkiego, że nie może się teraz wycofać.

Musi czekać do jutra - nie ma innego wyjścia, po tym, jak Anna go zobaczyła. Przeklęta baba.

Nagle zamarł, widząc w bibliotece jakieś poruszenie. Potem w podwójnych drzwiach ukazał się Morgan, wypełniając je prawie całkowicie swoją wielką, barczystą sylwetką. Otworzył jedno skrzydło i wyszedł na zewnątrz, potrącając butem kamyczek na wyłożonej ceglami ścieżce wokół domu. Zaalarmowana tym odgłosem Anna spojrzała przez ramię i wydała cichy, zduszony okrzyk ostrzegawczy, mocniej wtulając się w Jacksona. A on przez chwilę przyglądał się wspaniale wystawionemu do strzału Morganowi, oświetlone-  
mu od tyłu światłami domu. Zdając sobie sprawę, że jednak szczęście nie odwróciło się od niego, podniósł do góry pistolet i odbezpieczył go.

Kiedy Chris zobaczył wychodzącego Kella, natychmiast pobiegł wzrokiem do wtulonych w siebie kochanków. Nawet głębokie ciemności nocy nie były w stanie ukryć bieli koszuli Anny. Chory z przerażenia, wiedział, że Kell musi ją zauważyć. Wtedy dostrzegł błysk światła księżyca na lufie pistoletu. Oblał go zimny pot. Jego brat nie był uzbrojony. Po przestąpieniu progu domu zawsze zdejmował pas z pistoletem.

- Czy to ty, Chris? - zawołał Kell i zaraz potem pytająco dodał: - Anno?

Wyrwany z odrętwienia głosem brata Chris podniósł do góry broń i krzyknął ostrzegawczo:

- Uważaj Kell! On ma pistolet!

Stuart nacisnął spust w tym samym momencie, w którym wykrzyczane pełnym gardłem ostrzeżenie rozdarło nocną ciszę. I tak w większości zagłuszył je huk wystrzału. Mglisto zarejestrował krzyk Anny. Chris nie spuszczał wzroku z sylwetki osuwającego się na ziemię brata, która zniknęła z plamy światła, rozplywając się w zalegającym mroku. Wtedy Stuart rzucił się w kierunku głosu w ciemnościach. Krew pulsowała mu w skroniach i roz-

grzewała ciało, jednocześnie jego ruchami kierował śmiertelny spokój. Brat Morgana wyszedł zza drzewa i stanął w pełnym świetle księżyca, składając się do strzału. Stuart uradowany nadarżającą się okazją wyeliminowania obu Morganów, odepchnął od siebie Annę, nie chcąc jej narażać na niebezpieczeństwo jakiejś zabłąkanej kuli i jednocześnie oddał dwa szybkie strzały.

Odciągał już kurek przed następnym, kiedy z lufy pistoletu Morgana błysnął ogień. Usłyszał ostry huk. W tym samym momencie kula przeszła jego prawe ramię. Szarpnięcie obróciło go nieco i jego strzał powędrował gdzieś w chmury. Nie czuł bólu, tylko ostre, palące pieczenie. Próbował się pozbierać i wycelować pistolet z powrotem w młodszego Morgana, ale właśnie wtedy, pośród odgłosów wystrzałów i nawoływań, z ciemności wyskoczyła nagle Anna i krzycząc jego imię, rzuciła się na niego całym swoim ciężarem. Dopiero co próbował złapać straconą po otrzymaniu postrzału równowagę, więc nie mógł utrzymać tego niespodziewanego ciężaru i oboje przewrócili się na ziemię. Upadek wytrącił mu z ręki pistolet. Klnąc straszliwie próbował zepchnąć ją z siebie i pomimo rwącego bólu w ramieniu usiłował dosięgnąć broni.

Ciężki but przygwoździł mu do ziemi nadgarstek. Stuart spojrzął w górę - prosto w wylot lufy pistoletu. Otaczała go gromada na wpół ubranych kowbojów, większość z nich była w butach i w kapeluszach, niektórzy z luźno zwisającymi szelkami, inni z pasami i pochwami do rewolwerów zapiętymi na czerwonej bieliźnie. Opuścił głowę na twardą ziemię. Jego gra o Morgan's Walk była skończona. Przegrał.

Zaszokowany i oszołomiony Chris podszedł do nich i przyglądał się, jak ciemna, mokra plama powoli powiększa się na plecach nocnej koszuli Anny. Popatrzył na pistolet, który trzymał w dłoni. Kula, która spowodowała tę plamę, została wystrzelona z tej broni. Poczul wstręt do chłodnego metalu i wy-



puścił z ręki pistolet. Ukłękął obok Anny. Leżała nieruchoma i bezwładna - jak szmaciana lalka. Jej ciało częściowo oplatało mężczyznę, któremu chciała uratować życie.

- Anno. - Nieśmiało wyciągnął rękę, próbując jej dotknąć. - Ja nie chciałem. Nie widziałem cię. Dlaczego? Dlaczego?

- Co on zrobił? - Odezwał się jeden z kowbojów. - Zasłonił się nią jak tarczą?

Chris nie odpowiedział. Niech sobie myślą, co chcą, może jego milczenie ochroni Kella przed hańbą, jaką okryła go żona. Próbował podnieść kobietę do góry, delikatnie i uważnie, nie chcąc jej zranić, nie bacząc na to, że teraz nie miało to już większego znaczenia.

- Nie dotykaj jej.

Głos był tak zachrypnięty, że Chris z trudem rozpoznał własnego brata. Spojrzał w górę i zobaczył, że stoi za jego plecami, z lewą ręką bezwładnie zwisającą wzdłuż tułowia; z końców palców równomiernie spadały krople krwi.

- Pan jest ranny - powiedział któryś z kowbojów.

Lecz nikt się do niego nie zbliżył. Wszyscy stali zmrozeni widokiem straszliwego bólu, który wyrzył się na jego twarzy. Chris cofnął się, starając się wydusić z siebie jakieś słowa żalu czy otuchy. Ale nie mógł ich odnaleźć i miał wrażenie, że jego brat i tak nic nie słyszy.

W milczącej udreće przyglądał się, jak Kell osuwa się na kolana obok ciała żony, podnosi ją z ziemi swoją zdrową ręką i przytula do siebie, kryjąc twarz w ciemnej chmurze jej rozpuszczonych włosów. Potężne ramiona zadrżały, wstrząśnięte spazmem rozpacz, ale z jego gardła nie dobył się żaden dźwięk, zupełnie nic.

Chris mgliście zdawał sobie sprawę, że ktoś stawia na nogi Stuarta, lecz nie

zwracał na to najmniejszej uwagi, dopóki jeden z mężczyzn nie zapytał:

- A co z tym kolesiem? Mamy go obwiesić?

Przez chwilę kusiło go, żeby wydać takie polecenie. Przez chwilę zago-  
tował się w nim tłumiony gniew. Przez chwilę chciał winić Stuarta za śmierć  
Anny, bo gdyby nie on, nic by się tu nie wydarzyło. Ale powieszenie Stuarta  
nie zmniejszyłoby jego wyrzutów sumienia. To on - nie Stuart - pociągnął za  
spust. I nie potrafiliby udawać, że było inaczej.

- Zwiążcie go i zamknijcie w szopie z narzędziami - powiedział. - A ty,  
Gus, jedź zaraz do miasta i sprowadź doktora dla mojego brata. A kiedy tam  
będziesz, powiedz szeryfowi, żeby wysłał telegram do sędziego i przekazał  
mu, że mamy tu więźnia i żeby przysłali po niego więzienną karetkę.

- Zginęła - bezwiednie powiedziała Flame z odrobiną żalu. - Biedna  
kobieta.

- Sąd orzekł, że była to śmierć przypadkowa. - Adwokat przytknął zapalkę  
do główki fajki i zaciągnął się głęboko, wciągając ogień do ubitego tytoniu,  
po czym wypuścił obłoczek dymu. - Istnieje przypuszczenie - potrząsnął  
zapalką i wrzucił ją do kominka - że widziała, jak Stuart został ranny,  
pobiegła mu na pomoc i nieświadomie stanęła na linii strzału. Ta wersja  
wydaje mi się znacznie logiczniejsza i bardziej pasująca charakterem do wy-  
darzeń niż przypuszczenie, że Anna Morgan w szlachetnym porywie poświę-  
ciła swoje życie, żeby ratować kochanka.

Po przeczytaniu pamiętnika, Flame skłonna była się z tym zgodzić, choć  
miała wątpliwości, czy dla Kella Morgana byłoby to jakimś ukojeniem. Po-  
biegła spojrzeniem w kierunku portretu i nagle spostrzegła, że w bibliotece  
nie ma drzwi balkonowych - jest tylko okno.

- Z tego pokoju nie prowadzą na zewnątrz żadne drzwi.

- Już nie. - Charlie Rainwater pomachał spracowaną ręką w kierunku pokrytej boazerią ściany, po lewej stronie kominka. - Były kiedyś tam, ale jakiś tydzień po śmierci żony Kell Morgan kazał, żeby je замуrowano, a brukowaną alejkę na zewnątrz zaorano. Zdaje mi się, że prześladował go widok tych drzwi, przypominał o tej nocy i Kell Morgan przeżywał na nowo śmierć żony. - Odchylił głowę do tyłu i popatrzył na portret.

- Ze wszystkich zapisków wynika, że bardzo cierpiał. To i nie dziwota, kiedy się weźmie pod uwagę, jak bardzo ją uwielbiał.

Ben Canon chrząknął potakująco, po czym wyjął cybuch, który trzymał między zębami, i dodał:

- Wątpię, czy było mu lżej na duszy, kiedy z więzienia w Tulsie dochodziły do niego przechwałki Stuarta o tym, jak to był już blisko, żeby dostać wszystko, co należy do Kella Morgana, poczynając od domu i pieniędzy, a kończąc na żonie. - Rzucił Flame ukośne spojrzenie. - Właśnie to sprowokowało Kella Morgana do uzupełnienia testamentu o warunek, że posiadłość musi przejść na spadkobiercę, w którego żyłach płynie krew Morganów lub powrócić w ręce Indian ze szczepu Creek. Później, w 1907 roku, kiedy okolice mianowano stanem, zmienił zapis na stan Oklahoma.

- Rozumiem. - Flame potwierdziła skinieniem głowy i przeniosła wzrok na spoczywający na jej kolanach notatnik. - A co się stało z Jacksonem Stuartem?

- Był sądzony w Forcie Smith przez sędziego Issaca Parkera i uznany winnym próby morderstwa. Z typową dla siebie surowością sędzia skazał go na trzydzieści lat ciężkich robót. Dziesięć lub piętnaście lat wcześniej Parker kazałby go powiesić, podając w uzasadnieniu wyroku, że jest winny morderstwa, nawet jeśli nie udało mu się zabić swej ofiary. Ale czasy się zmieniły i Parker nie sprawował już na tym terenie najwyższej władzy. Zbyt

wiele było odwołań od jego wyroków, które sąd najwyższy zwykle łagodził.  
- Uśmiech zaokrąglił błyszczące policzki adwokata, zaróżowione od żaru buchającego z kominka. - Powiedziałbym, że Stuartowi znowu zaczęło dopisywać szczęście. Wyrok skazujący na więzienie był zdecydowanie lepszy niż stryczek.

- A Chris Morgan, mój pradziadek?

- Opuścił Morgan's Walk tuż po zakończeniu procesu i nigdy tu nie powrócił. Jestem pewny, że zrozumie pani poczucie winy i wyrzuty sumienia, które męczyły go po śmierci Anny Morgan. Choć nieumyślnie i przypadkowo, zabiła ją jednak kula wystrzelona z jego pistoletu. I tak, jak już wspomniał Charlie, Kell Morgan bardzo przeżył jej śmierć. Nie ubierał tego w słowa. Jak prawdziwy człowiek Zachodu nie obnosił się przed nikim ze swoją rozpaczą, pozostając z nią sam na sam do końca swoich dni. Czując tak wielką odpowiedzialność za jej śmierć, Chrisowi Morganowi wydawało się - mylnie czy nie - że jego obecność będzie dla brata ciągłym przypomnianiem tamtych chwil. Więc wyjechał. - Adwokat przerwał na chwilę, wskazując fajką w kierunku mahoniowego biurka. - Jest list od niego, w którym o tym pisze. Jeśli chciałaby pani przeczytać...

- Nie, to nie jest konieczne. - Flame potrzęsnęła głową, wierząc, że taki dokument, potwierdzający jego słowa, rzeczywiście istnieje. Wzięła album ze zdjęciami, pamiętnik i notatnik, zanosła to wszystko do biurka i położyła na jego blacie. Potem odwróciła się twarzą do obu mężczyzn. - Muszę przyznać, że to bardzo ciekawa historia - rozpoczęła.

- Ależ, pani Stuart, to jeszcze nie jest koniec - wtrącił Ben Canon. Raz jeszcze jego oczy rozświetlił ten blask absolutnej pewności własnych racji. - Można powiedzieć, że to raczej początek. Widzi pani, „Blackjack” Stuart został zwolniony z więzienia po odbyciu dwudziestu z trzydziestu lat zasa-

dzonej kary. Do tego czasu mały Johnny Morgan zdążył już wyrosnąć na Wielkiego Johna Morgana. Na nieszczęście odziedziczył po matce nie tylko ciemne włosy i oczy, lecz także wiele z jej nierozważnych, porywczych skłonności. W wieku niespełna szesnastu lat zmuszony był poślubić córkę jednego z okolicznych farmerów. Hattie była jednym z tych cudownych wcześniaków, które rodzą się sześć miesięcy po ślubie.

- Ale za to była godnym potomkiem swych zacnych przodków - wtrącił Charlie Rainwater. - Krew z krwi Morganów. A stary Kell natychmiast to zauważył. Zanim jeszcze sięgnęła nogami strzemion, wszędzie ją ze sobą zabierał. Niektórzy z okolicznych sąsiadów pamiętających jeszcze stare czasy opowiadali mi, że widywali tego nieznośnego, pięcioletniego bachora, jak pędził bydło z najlepszymi spośród nich, jak znakował cieleta, czy zapędzał do stada jakąś zagubioną sztukę. Była jak cień Kella Morgana, o wiele bardziej związana z nim niż z własnym ojcem.

- Mam nadzieję, że to do czegoś prowadzi. - Zniecierpliwiona i zirytowana, Flame podeszła do kominka.

- Może być pani o to spokojna - zapewnił ją Ben Canon. - Jak już wspomniałem, „Blackjack”, czy też, jak nazywała go Anna Morgan, Jackson Stuart, został zwolniony z więzienia w tysiąc dziewięćset czternastym roku. Powrócił do zupełnie innej Oklahomy niż ta, którą opuścił. To nie był już dziki Zachód. W tysiąc dziewięćset siódmym roku przyłączyła się do Unii jako czterdziesty szósty stan. Odkrycie roponośnych pól naftowych Glenna w tysiąc dziewięćset piątym roku, a następnie w tysiąc dziewięćset dwunastym roku pól Cushinga przeobraziło Tulsę z pokrytego kurzem ośrodka handlu bydłem w światową stolicę ropy naftowej. Ulice miasta były wybrukowane; elektryczne tramwaje były publicznym środkiem lokomocji; nowoczesne „drapacze chmur”, pięcio- i sześciopiętrowe, wyroiły po obu stronach Main

Street. Powstały najprzeróżniejsze magazyny i sklepy, oferujące swoim klientom największy wybór najlepszych towarów.

A Morgan's Walk... - Dla zwiększenia efektu adwokat zawiesił na chwilę głos, ani na moment nie spuszczać oczu z Flame. - W nowo powstałym stanie Kell otrzymał w końcu prawo własności do dwunastu tysięcy akrów, które składają się na tę dolinę. Dwa tysiące akrów ziemi sąsiadującej z Morgana Walk także były jego własnością. Prócz tego posiadał prawo do wypasu na kolejnych pięciu tysiącach. To wszystko uczyniło z Morgan's Walk największą w okolicach Tulsy farmę bydła. Posiadłość była przykładem dla całej okolicy. Ludzie, którzy dorobili się fortun na ropie, spoglądali na ten dom, jeden z najwspanialszych przykładów architektury gregoriańskiej na zachód od Missisipi, i wznosili swoje rezydencje pragnąc jej dorównać.

Uśmiechnął się, chcąc rozweselić trochę atmosferę i ciągnął dalej:

- A więc, zdarzyło się to pewnego pięknego wiosennego dnia na początku maja. Kell Morgan zabrał swoją siedmioletnią wnuczkę do Tulsy, aby mogła sobie wybrać urodzinowy prezent. Okazja była godna zapamiętania także dlatego, że pozwolił jej siedzieć na swoich kolanach i prowadzić do miasta terenowego chevroleta...

Mała Hattie Morgan mocno ścisnęła dłoń dziadka, dumnie krocząc po zatłoczonym trotuarze. Lecz za każdym razem, kiedy mijali sklepową wystawę, nie mogła się oprzeć, żeby nie rzucić spojrzenia na swoje odbicie i nie podziwiać pięknie ubranej dziewczynki, która na nią stamtąd spoglądała. Wszystko, co miała na sobie, było zupełnie nowe - począwszy od błyszczących pantofelków z lakierowanej skóry, z kokardami z materiału, a skończywszy na słomkowym kapeluszu, przyozdobionym wstążkami i kwiatami. Ale szczególne wrażenie robiła długa sukienka w groszki, z

bufkami wykończonymi koronką. Dziadek oświadczył, że w tym nowym ubranku była najpiękniejszą dziewczynką w całej Tulsie. A ona była pewna, że dziadek się nie myli. On zawsze miał rację. Tak czy siak, to nowe ubranie było równie piękne, jak ręcznie robione siodło, które dostała od dziadka na gwiazdkę.

Nagle zacisnął dłoń na jej rączce, zmuszając ją do gwałtownego zatrzymania się, po czym przyciągnął ją do swego boku.

- Proszę, proszę, cóż to za niespodzianka! Wielki Kell Morgan we własnej osobie! - Jakiś nieznajomy stał na środku chodnika, tarasując im drogę. Hattie odchyliła głowę do tyłu, żeby popatrzeć na niego spod opuszczonego randa nowego kapelusza. Przyprószone bielą włosy sterczały spod kapelusza mężczyzny, a wymizerowana twarz miała jakiś zacięty wyraz. Lecz uwagę Hattie przykuł ciemny blask jego błękitnych oczu. Pomimo szerokiego uśmiechu było w tej twarzy coś niemiłego. - Zastanawiałem się, kiedy w końcu na siebie wpadniemy, Morgan.

- Co ty tu robisz, Stuart? - Głos dziadka zabrzmiał przerażająco zimno. Hattie wiedziała, że mówił tak tylko wtedy, kiedy był bardzo zły.

Doszła do wniosku, że ten nieznajomy pan, który nazywał się Stuart, nie jest zbyt mądrym człowiekiem, ponieważ nie przestaje się uśmiechać, jakby był zbyt mało rozgarnięty, żeby wiedzieć, jak bardzo to dziadka złości. Będzie tego żałował.

- To samo, co ty, Morgan, spaceruję sobie, wolny i swobodny jak ptak - odparł. - I widzę, że twój cień nie rozciąga się już tak daleko jak dawniej, przy tych wszystkich potentatach naftowych dookoła.

Marszcząc z zakłopotaniem czoło, Hattie zwróciła się do dziadka:

- Dziadziu, co to jest potentat?

Nieznajomy natychmiast przeniósł na nią badawcze spojrzenie swoich

niebieskich oczu.

- A kogóż my tu mamy? - Kucnął przed dziewczynką, wyciągnął rękę i pociągnął za żabot jej koronkowego kołnierzyka. - Cóż to za śliczna mała dama?

- Nazywam się Harriet Morgan - poinformowała go z wyższością zimnym głosem. - Ale mój dziadek nazywa mnie Hattie.

- Hattie. To bardzo piękne imię. - Mężczyzna znowu się wyprostował i przeniósł błyszczące oczy na dziadka. - A więc to twoja wnuczka, prawda? Słyszałem, że twój syn ma córki. - Nagle puścił do niej oczko. - Może wystarczy trochę poczekać, aż dorośnie, i ożenić się z nią.

- Nic by ci to nie pomogło, Stuart. Nie dostałbyś Morgan's Walk, już nie.

- Taa... Słyszałem o zmianie, którą wprowadziłeś. Morgan's Walk musi przejść w ręce krewnego. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, co za cierpliwy ze mnie człowiek. Byłbym równie usatysfakcjonowany, gdyby dostał ją mój syn.

Dziadek coraz bardziej się denerwował. Hattie widziała, jak powiększyła się żyła na jego szyi.

- Niedoczekanie, Stuart.

Uśmiech zniknął, a twarz mężczyzny przybrała groźny wygląd.

- Może już tego nie dożyjesz, Morgan, ale przysięgam ci, że przyjdzie taki dzień, kiedy Morgan's Walk znajdzie się w rękach Stuarta.

Mniej więcej miesiąc później Stuart ożenił się z młodszą od siebie o dwadzieścia pięć lat wdową. Miała położoną na wzgórzach farmę wielkości stu sześćdziesięciu hektarów, którą zostawił jej zmarły mąż. Nie była to dobra ziemia, jedynie jakieś sześćdziesiąt akrów uprawnej ziemi w najniższych partiach, cała reszta to skały i drzewa. Mówiło się, że Stuart ożenił się z tą kobietą, bo sądził, że na tych terenach jest ropa, szczególnie po tym, jak



sześć miesięcy po ślubie rozpoczęto tam wiercenia. Zrobiono sześć odwiertów, ale wszystkie okazały się „pustakami”, pustymi dziurami. Wdowa w końcu dała mu syna, Ringa Stuarta.

- Tak - odezwał się Charlie. - I groźba, która całe życie wisiała nad panią Hattie, nagle stała się realna, kiedy jej młodsza siostra uciekła z domu i poślubiła Ringa Stuarta. - Przerwał, po czym dodał, jakby chcąc się upewnić, że Flame rozumie istotę sprawy: - Ring Stuart był ojcem pani męża.

- To właśnie ma być dowodem winy Chance'a: groźba rzucona siedemdziesiąt kilka lat temu. I dlatego, że się ze mną ożenił, sądzicie, że zależy mu na Morgan's Walk?

- Nie dlatego, że się z panią ożenił - zaprzeczył adwokat, a potem zawahał się przez ułamek sekundy, przyglądając jej się badawczym wzrokiem. - Są inne okoliczności. Na przykład, jak długo go pani zna?

- Mniej więcej miesiąc. - Flame nieznacznie uniosła głowę. Wiedziała, że miesiąc to bardzo krótko.

- Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności - skomentował z udanym zdumieniem Ben Canon. - Właśnie mniej więcej miesiąc temu dowiedzieliśmy się o pani istnieniu i Hattie poinformowała Chance'a, że nie będzie jej spadkobiercą.

- Czy wymieniła moje imię?

- Nie. Ale dla człowieka o pozycji Stuarta, i z jego majątkiem, to żaden problem dowiedzieć się, kim pani jest.

Nie mogąc zaprzeczyć, Flame postanowiła to zignorować.

- Skąd u pana ta pewność, że on chce mieć tę posiadłość? Skoro ma tyle pieniędzy, może przecież kupić sto, tysiąc innych.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - zdecydowanie odparł Canon. -

To jest właśnie pytanie, które będzie mu pani musiała sama zadać. A kiedy pani to zrobi, proszę go także zapytać, dlaczego wykupił wszystkie ziemie przylegające do Morgan's Walk na wschodzie i południu. Nawet jak na niego, to dosyć potężna inwestycja. Niech pani nie popełnia błędu, Flame. Jemu chodzi o tę ziemię.

Chciała zaprzeczyć, spierać się z nim, ale Ben Canon wyglądał na człowieka bardzo pewnego swoich racji.

Stała się bardzo ostrożna.

- Dlaczego?

- Chce pani powiedzieć, że nie pokazał pani planów zabudowy tej posiadłości, kiedy w poniedziałek rano była pani u niego w biurze?

- Jakich planów? - zażądała wyjaśnień, starając się trzymać nerwy na wodzy.

- Planów przegrodzenia zaporą rzeki i zalania całej tej doliny, żeby powstało jezioro, a nad jego brzegiem przystanie dla jachtów, hotele, osiedla domków wypoczynkowych i luksusowe wille. Z tego, co wiem, jest to projekt z dużym rozmachem.

- Nie wierzę panu. - Gwałtownie i energicznie potrząsnęła głową. - Wszystkie oskarżenia przeciwko Chance'owi zbudował pan na fakcie, że jakiś Stuart próbował kiedyś poprzez małżeństwo zagarnąć Morgan's Walk. Nawet, jeśli Chance chce mieć tę ziemię, w co dalej wątpię, są inne sposoby, żeby to osiągnąć. Nie musiał się ze mną żenić.

- To prawda - przyznał adwokat. - Na przykład mógł spróbować odkupić ją od pani. Ale skąd miał mieć pewność, że zechce ją pani sprzedać? Musiałby zastosować całą gamę nacisków ekonomicznych, żeby panią do tego zmusić. Albo mógł użyć swoich politycznych wpływów i wywłaszczyć tę ziemię. Mógł także podważyć testament. Ale każdy z tych sposobów mógł

przeciągnąć sprawę na długie lata, bez żadnych gwarancji sukcesu. A małżeństwo... niech pani tylko pomyśli, o ile szybsza i bardziej pewna musiała mu się wydawać ta droga.

- Mam wrażenie, że wyklucza pan możliwość, że mógł się po prostu we mnie zakochać. - Gorycz zakradła się do jej głosu.

- Proszę mi wybaczyć. Wcale nie miałem zamiaru sugerować, że wdzięki pani są bez znaczenia. Jestem pewien, że miłość do pani była dla niego bardzo wygodnym wyjściem.

Nienawidziła go za te słowa. Nienawidziła samej myśli, że ktoś mógł się nią posługiwać.

- Nie wierzę panu - powtórzyła z uporem.

- W takim razie, proszę uwierzyć, że on zamierza zniszczyć Morgan's Walk. Jeżeli mu się uda, wszystko to znajdzie się trzydzieści metrów pod wodą. Jest pani jedyną osobą, która może go powstrzymać.

Ktoś zbliżał się do biblioteki, stąpając ciężko i powoli. Flame odwróciła się do drzwi, a Charlie Rainwater podniósł się z fotela, lecz sparaliżowany napięciem nie mógł się już dalej poruszyć.

W drzwiach ukazał się lekarz. Stał w wejściu i przebiegł wzrokiem po ich twarzach, zanim spuścił oczy.

- Odeszła w spokoju. Nie cierpiała, Charlie.

## 27

Chance wypadł z prywatnej windy, zanim jeszcze jej drzwi zdążyły się całkowicie otworzyć. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po twarzy podnoszącej się zza biurka Molly, na której tym razem zabrakło szerokiego uśmiechu. Zastąpił go wyraz żalu i zdenerwowania. Nie zwracając na to wszystko najmniejszej uwagi, Chance spytał ostro:

- Czy ktoś ją już odnalazł? - Molly zdążyła tylko nieznacznie potrząsnąć

głową, a on nie czekając na to, co ma do powiedzenia, nie zwalniając kroku, minął jej biurko i wpadł do swojego gabinetu. W drzwiach zdążył jeszcze rzucić przez ramię:

- Połącz się z Samem i powiedz mu, że chcę go zobaczyć u mnie w biurze, natychmiast!

Kiedy zbliżał się do biurka, ogarnął go gniew. Gniew, który niósł ze sobą bolesne ukłucia rozpacz. Na odgłos kroków, odwrócił się gwałtownie do drzwi.

Sam wszedł do pokoju, tuż za nim podążała Molly. Wymiętoszone ubranie i malująca się na twarzy udreka nadawały mu wygląd człowieka, który ma za sobą nieprzespaną noc - co rzeczywiście było prawdą. Podeszedł do Chance'a i rozpoczął:

- Przepraszam cię, Chance...

Ale Chance słyszał już wszystkie usprawiedliwienia o trzeciej nad ranem, kiedy Sam zadzwonił, żeby poinformować go o zniknięciu Flame. Miał złe przeczucia, kiedy poprzedniego wieczoru nie odpowiadał jej telefon w San Francisco. Lecz Sam początkowo zapewniał go, że nie ma powodu do obaw, że skontaktował się z Mattem Sawyerem, który przekazał mu informację o jakimś przestoju jej samolotu w Dallas z powodów technicznych i że przyleci do San Francisco dobrze po północy, według tamtejszego czasu.

- Do diabła, Sam, obaj dobrze wiemy, gdzie ona jest. - Odwrócił się gwałtownie w kierunku przyciemnionej szyby pokoju, walcząc z narastającą wściekłością i frustracją. Był już tak blisko i w ostatniej chwili zwinęto mu wszystko przed samym nosem. - Ona jest w Morgan's Walk.

- Nie mamy jeszcze pewności - pocieszała go Molly. - Mogła zmienić w Dallas samolot lub przenocować tam i łapać jakiś inny rano. Jest cały szereg możliwych wyjaśnień.

- Nie. - Stanowczym potrząśnięciem głowy Chance odrzucił je wszystkie, wpatrując się w wyblakłe, szare chmury, które zawisły nad miastem. - Hattie jakoś ją dopadła.

- Jezu Chryste, Chance, co będzie, jeśli się dowiedziała? Jeśli już wie, że chcesz mieć to ranczo?

Na to zatroskane pytanie Sama Chance stracił panowanie nad sobą i zaatakował go:

- Nie dowiedziałyby się niczego, gdybyś robił, co do ciebie należało i został z nią. Hattie nie udałoby się zbliżyć do... Flame!

Stała w drzwiach jego biura jak zastygły posąg, zmrożona furia, która zmiotła resztki trapiących ją wątpliwości. Skupiła całą swoją uwagę na mężczyźnie, który ją oszukał, posłużył się nią, zdradził ją.

Otrząsnąwszy się z początkowego zaskoczenia jej widokiem, Chance zawahał się tylko przez chwilę, po czym wyszedł zza biurka i ruszył ku niej. Wyraz szoku na jego twarzy błyskawicznie zastąpiła ulga.

- Gdzie ty się, do diabła, podziewałaś? Przewróciliśmy do góry nogami pół kraju, żeby cię odnaleźć. - Kiedyś na widok tej intymnej zaborczości w jego oczach padłaby natychmiast w jego ramiona. Teraz nie robiło to na niej żadnego wrażenia. - Odchodziłem od zmysłów na myśl o tym, że coś ci się mogło stać.

- Usłyszałam przypadkowo, jak bardzo się martwiłeś - odparła zimno, przyglądając się, jak Chance zatrzymuje się nagle, dobre parę metrów przed nią, i lekko unosi głowę z wyrazem czujnej ostrożności. Ruszyła w jego kierunku, powoli i rozważnie stawiając każdy krok.

- Cóż to takiego było, czego nie powinnam się dowiedzieć? Czy tego, że Hattie Morgan jest twoją ciotką? Czy może tego, że miałaś odziedziczyć posiadłość, zanim ja nie pojawiłam się na scenie? A może tego, że kiedy to

się stało, zdecydowałaś się na najbardziej korzystny i najszybszy sposób przejęcia ziemi, czyli na małżeństwo ze mną?

Przymrużone oczy Chance'a pośpiesznie studiowały jej twarz: zimne jak lód spojrzenie i trochę pogardliwie wygięte wargi.

- Flame, ja wiem, jak to wygląda... jakie sprawia wrażenie - rozpoczął ostrożnie. - Ale wcale tak nie jest.

- Czyżby? - Kiedy zatrzymała się naprzeciw niego, jej ostry głos drżał od nieskrywanego gniewu. - Jaką potworną naiwną gęsią musiałam ci się wydawać, kiedy wysłuchiwałam z radością wszystkich twoich kłamstw, prosząc o więcej, szczerze wierząc, że mnie kochasz i że mogę ci ufać. Chciałeś mnie oczarować, zwalić z nóg swoim urokiem, taki był plan działania, prawda?

- Mylisz się, Flame.

- Nie, to ty popełniłaś błąd. - Przyszła tu przekonana, że jeśli tylko zamieni z nim kilka słów, rozwieją się wszystkie jej wątpliwości. Tak się też stało, tyle że w inną stronę, niż się spodziewała. Jednym szarpnięciem ściągnęła z palca pierścionek i obrączkę, i podsunęła je Chance'owi na wyciągniętej dłoni.

- Nie znaczą dla mnie więcej niż dla ciebie. - Spokojnie rozchyliła palce i wypuściła je na podłogę. Odczuła pewne zadowolenie na widok cienia gniewu, który przemknął po twarzy Stuarta. Już się prawie od niego odwróciła, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Wydaje mi się, że powinnam cię poinformować, że twoja ciotka zmarła dzisiaj o dwunastej czterdzieści dwie. Nieoficjalnie ja jestem właścicielką Morgan's Walk i przysięgam ci, Chance, że nigdy nie dostaniesz nawet piędzi tej ziemi.

Kiedy tym razem odwróciła się, żeby odejść, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Jego palce zaryły się boleśnie w miękkie ciało.

- Do diabła, Flame, czy mnie w końcu posłuchasz?

Nie cofnęła się, ani nie próbowała się wyrywać.

- Cóż to, Chance? Skoro nie możesz mnie oczarować, zdecydowałeś się przejść do rękoczynów? Hattie uprzedziła mnie, że zrobisz wszystko, żeby dostać Morgan's Walk.

Wypuścił ją nagle i zacisnął szczęki, a w jego oczach pojawił się zimny blask. Nie próbował jej powstrzymać, kiedy wychodziła. W drzwiach zatrzymała się jeszcze i popatrzyła na niego.

- Pogrzeb odbędzie się w sobotę rano. Nie przychodź. Nie będziesz mile widziany. - Wyszła zamykając za sobą drzwi.

Patrzył za nią przez chwilę, po czym podniósł z podłogi pierścionki i trzymał je w otwartej dłoni. Diament rzucał dokoła szydercze błyski, urągając mu, tak jak przed chwilą ona. Zacisnął na nim mocno palce i ruszył z powrotem do biurka.

- Dlaczego za nią nie pójdziesz? - zdenerwował się Sam. - Nie możesz pozwolić jej tak po prostu odejść. Musisz z nią porozmawiać, musisz ją przekonać.

- Nie teraz. W tym nastroju nie będzie chciała mnie słuchać. - Nigdy przedtem jej takiej nie widział, tak wściekłej, zranionej, tak całkowicie przed nim zamkniętej. Każde jego słowo obracał przeciwko niemu.

- Chance ma rację - wtrąciła Molly. - W tej chwili Flame czuje się zraniona. I chce jedynie oddawać ciosy. Trudno porozumieć się z człowiekiem, któremu ból zaćmiewa umysł. Musisz odczekać, dać jej parę dni, żeby się uspokoiła i wtedy z nią porozmawiać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Sam, nie do końca co do tego przekonany.

- Na pewno nie. - Uśmiechnęła się, pewna swoich racji. - Ona cię kocha, Chance. Jestem tego równie pewna, jak tego, że jutro wszędzie słońce.

- A co będzie, jeśli się mylisz? - mruknął Sam, potrząsając głową.

- Ona ma rację - wtrącił Chance, wyciągając przed siebie zaciśniętą dłoń, w której trzymał pierścionki. - Włożę to z powrotem na jej palec. Zabierze mi to trochę czasu, ale zrobię to. Nie mam zamiaru jej stracić... ani Morgan's Walk.

Lecz wątpliwości Sama wcale się nie rozwiały. Z westchnieniem przeczesał palcami swoje zmierzwiłone włosy.

- To wszystko moja wina.

Zadzwonił telefon. Migające światełko wskazywało, że to prywatna linia Chance'a.

- Odbiorę - powiedział do Molly, która właśnie chciała podnieść słuchawkę.

- To prawdopodobnie Maxine, albo Matt Sawyer z wiadomością o Hattie. - Podniósł słuchawkę.

- Chance, kochanie, tu Lucianna. - W telefonie rozległ się znajomy, melodyjny tryl. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale po mieście rozeszła się ta idiotyczna pogłoska, że ożeniłeś się, nie informując o tym żadnego z twoich przyjaciół. Czy to prawda, kochanie?

Popatrzył na pierścionki, które trzymał w dłoni.

- W tej chwili sprawa wygląda na otwartą.

## 28

Popołudniowe niebo pokryło się całunem zimnych, szarych chmur, nadając przygnębiający wygląd dwupiętrowej posiadłości z czerwonej cegły, która i bez tego sprawiała ponure i smutne wrażenie. Martwe, brązowe liście sunęły w poprzek alejki i w podmuchach pomocnego wiatru tańczyły przed jaguarem Chance'a.

Kiedy zbliżył się do domu, zwolnił nieco. Na podjeździe nie było zaparkowanych samochodów. Nawet jeśli któryś z sąsiadów zatrzymał się tu po



pogrzebie, musiał już odjechać. A to oznaczało, że Flame jest sama.

Długo dyskutowali o tym, czy rozsądnie będzie, jeśli tu dziś przyjedzie. Zgodnie z informacjami Matta Sawyera, Flame zamierzała odlecieć następnego dnia do San Francisco. Zastanawiał się, czy nie powinien był poczekać i skontaktować się z nią dopiero w mieście, tam gdzie się spotkali, ale uznał, że lepiej będzie, jak zrobi to teraz. To bardzo odpowiedni moment. Poranny pogrzebowy rytuał powinien ją nieco otrzeźwić i skłonić do refleksji. Można się więc było spodziewać, że będzie bardziej podatna na argumenty. A poza tym, chciał się z nią zobaczyć. Była przecież jego żoną, do jasnej cholery.

Zaparkował samochód przed domem i wysiadł. Rzeński, pomocny wiatr smagnął go po twarzy i popędził po trawniku więcej liści. Chance przyglądał się domowi, w którym kiedyś mieszkał. Na frontowych drzwiach wisiał czarny wieniec. Ostatnim razem, kiedy stał przed tym domem, prawie dokładnie w tym samym miejscu co teraz, na drzwiach także wisiał żałobny wieniec. Wtedy powieszono go z powodu śmierci jego matki.

Nagle znowu był małym chłopcem; czuł w gardle ucisk dziecięcej nienawiści i starał się powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie mógł się przecież rozplakać, był już na to za duży. Na ramieniu czuł ciężką dłoń swojego ojca i zapach whisky, który się od niego rozchodził.

- Widziałeś jej twarz, synu, kiedy powiedziałaś jej, że pewnego dnia tu wrócisz? Zrobiła się biała jak ściana. Jak te kolumny. I wrócisz tu, synu. - Palce ojca wryły się boleśnie w ramię chłopca. - Przyjrzyj mu się. Przyjrzyj mu się i zapamiętaj, ponieważ pewnego dnia ten dom i cała ta ziemia będą należały do ciebie. A ta suka nic nie może na to poradzić. Nic.

- Nienawidzę jej. - Słowa dobyły się gdzieś z głębi gardła, wypchnięte żalem i gotującą się emocją. - Nienawidzę jej i nienawidzę tego domu. Spalę

go, kiedy będzie należał do mnie.

- Teraz opowiadasz głupstwa. Cegły się nie palą. - Odwrócił Chance'a od domu i pchnął go w kierunku furgonetki. - Chodź. Wynosimy się stąd.

- Tatusiu, gdzie my będziemy teraz mieszkać?

- Coś sobie znajdziemy. Nic się nie martw.

No i znaleźli sobie - stary, walący się dom w Tulsie, relikw z czasów boomu gospodarczego, kiedy kompanie naftowe budowały tanie domki dla swoich robotników. Zimą było tu przeraźliwie zimno, latem panowała nieznośna spiekota, a przez cały rok śmierdziało rzygowinami ojca. Ale czynsz był niewielki, prawie tyle, ile zarabiał miesięcznie na roznoszeniu gazet. Ojciec pracował wtedy dorywczo, tyle, żeby starczyło najedzenie, coś do ubrania i żeby mógł postawić przy łóżku butelkę whisky. Zanim Chance skończył czternaście lat, przestał starać się nawet o to. Obchodziło go tylko, żeby mieć na butelkę jakiegoś taniego sikacza, żeby w pijackim widzie bredzić o Hattie i przypominać Chance'owi, że wszystko to są tylko przelotne kłopoty. Dwa lata później udało mu się w końcu zapić na śmierć.

To właśnie zrobiła Hattie ojcu: zdeptała jego dumę i szacunek do samego siebie. Kiedy mieszkali tu, w Morgan's Walk, Chance widział, jak ojciec stopniowo rozsypuje się od ciągłych razów jej ostrego języka. Nienawidził jej za to. Oczywiście - tak, tak, - przytakiwał jej i - nie, nie - zaprzeczał, lecz w jego głosie nigdy nie było szacunku, tylko pogarda.

To było dawno temu. Lecz teraz, gdy tu stał, wszystko to nie wydawało się aż tak odległe. Biorąc głęboki oddech, otrząsnął się ze wspomnień i podszedł do drzwi. Chwycił miedzianą kołatkę i dwukrotnie zastukał w drzwi, a wiatr poniosł dudniące uderzenia.

Otworzyła Maxine. Początkowe zdziwienie na jej twarzy szybko zastąpiła

radość.

- Chance! Często o tobie myślałam przez dwa ostatnie dni, i oto jesteś.

Kiedy znalazł się w środku, wziął w dłonie jej obie ręce i uśmiechnął się do przysadzistej gospodyni, która była jego jedynym przyjacielem w tym domu.

- Jak się miewasz, Maxine?

Opuchlizna wokół jej oczu świadczyła o łzach żalu, które już przelała, a po tym, jak mocno błyszczały, widać było, że i teraz je powstrzymuje.

- Czasami potrafiła być taka okrutna, Chance, ale cierpiała, więc w końcu...

- Usta jej zadrżały i nie dokończyła. Zmusiła się do uśmiechu. - Trudno uwierzyć, że odeszła. W każdej chwili spodziewam się, że usłyszę, jak mnie woła.

- Wiem. - Wodził spojrzeniem po ogromnym holu, który wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał, nawet seledynowy wazon stojący na okrągłym stoliku nie zmienił swego położenia. Co więcej, Chance wyraźnie wyczuwał obecność Hattie; budziło się stare uczucie wrogości.

- To nie w porządku, Chance - powiedziała półgłosem Maxine. - Zawsze sądziłam, że następnym razem, kiedy przekroczysz ten próg, to już na dobre. Teraz... - Kiedy jej głos rozniósł się po korytarzu, spojrzała niepewnie w kierunku salonu.

Chance zorientował się natychmiast, że Flame jest właśnie tam.

- Przyszedłem, żeby zobaczyć się z panią Stuart, Maxine.

- Ona cię nie przyjmie. - Potrząsnęła z sympatią głową. - Wydała bardzo stanowcze polecenia, że jeśli zadzwonisz albo...

- Maxine, wydawało mi się, że słyszę... - Flame zatrzymała się w łukowym sklepieniu wejścia do salonu i wbiła w niego wzrok. Ubrana była w bardzo prostą i elegancką czarną sukienkę z długimi rękawami, a rude włosy upięła z tyłu w klasyczny kok. Nie miała żadnej biżuterii; jej makijaż był prawie

niewidoczny. A jednak nigdy przedtem nie wydała mu się piękniejsza niż właśnie teraz. Puścił dłonie Maxine, ignorując zupełnie jej zmartwione spojrzenie.

- Witaj, Flame.

- Co ty tu robisz? - Być może lekko zachrypnięty głos, albo ledwie widoczne bruzdy napięcia wokół jej ust, zwróciły uwagę Chance'a na oznaki zmęczenia i stresu. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że wygląda na zmęczoną i, miał przynajmniej nadzieję, nastawioną nie tak bojowo.

- Przyjechałem, żeby cię zobaczyć. - Ruszył w jej kierunku. - Wciąż jesteś moją żoną.

- Mój adwokat zwróci się do ciebie w tej sprawie.

Spodziewał się usłyszeć coś w tym stylu, a jednak na dźwięk tych słów ogarnął go gniew.

- Masz zapewne na myśli Bena Canona?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Też była wściekła, ale w ten zimny sposób, który zaprezentowała u niego w biurze. - Tak więc powód twojej wizyty jest już nieaktualny. Proszę, żebyś wyszedł. Jeśli tego nie zrobisz, każę cię wyrzucić.

- Dlaczego tak bardzo boisz się ze mną rozmawiać, Flame?

- Nie boję się! - Na moment straciła panowanie nad sobą, ale natychmiast zdusiła gniew. - I wcale nie muszę tutaj sterczeć i cię słuchać, żeby to udowodnić.

- Nienawiść to bardzo zaraźliwa rzecz. Ściany tego domu są nią przesiąknięte. - Minął ją i wszedł do salonu, omiatając wzrokiem znajome sprzęty; hebanowe pianino, wiktoriańską kanapę i fotele, jedwabny dywan na podłodze, noszący ślady herbaty, którą rozlał tu dawno temu. - Nic się tu nie zmieniło - powiedział w zamyśleniu i popatrzył przez ramię na Flame. -

Mieszkałem tu, kiedy byłem małym chłopcem. Czy Hattie powiedziała ci o tym?

Ostrożnie skinęła głową.

- Nie wolno mi było wchodzić do salonu - ciągnął - poza specjalnymi okazjami, ale wślizgiwałem się tutaj, kiedy nie było jej w pobliżu. Złapała mnie raz, kiedy skakałem z pianina, i sprząła mnie swoją laską. Prawdopodobnie zasłużyłem na to. Ale nie miała prawa zabraniać mi przez trzy dni widywać matkę. - Chance przerwał, przypominając sobie te wydarzenia. Na jego twarzy pojawił się wyraz cynicznej goryczy. - To dziwne, ale dla Hattie nigdy nie miało to żadnego znaczenia, że moja matka nazywała się Morgan. Urodziłem się jako Stuart i z tego powodu zrobiła piekło z mojego życia. Jeśli tam jest jakaś sprawiedliwość, to ona znajduje się teraz w piekle.

- Spodziewasz się współczucia? - szydziła Flame, stojąc ciągle w wejściu, z rękami prowokująco założonymi przed sobą. - Czy to właśnie zamierzałeś osiągnąć, odmalowując przede mną ten smutny obrazek zmarnowanego dzieciństwa? Wiesz, Chance, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze? - Podeszła do niego; cień pogardy wciąż był obecny w jej głosie. - Gdybyś powiedział mi to wcześniej, gdybyś był ze mną szczery, prawdopodobnie bym ci uwierzyła... i zrobiłabym z siebie jeszcze większą idiotkę. Myślę, że powinnam ci podziękować, że tak się nie stało.

Odwrócił się do niej twarzą, teraz już ostrożny.

- Popelniłem błąd.

- Duży błąd. Posłużyłeś się mną. Potraktowałeś mnie, jak narzędzie do szybkiego i łatwego zdobycia Morgan's Walk. Nigdy ci tego nie wybaczę. I nie zapomnę.

- Mylisz się. Kiedy się poznaliśmy, nie miałem pojęcia, że masz cokolwiek wspólnego z Hattie,

- Nieważne, kiedy się o tym dowiedziałeś, przed czy po naszym pierwszym spotkaniu. Istotne jest to, że nic mi nie powiedziałeś. Wręcz przeciwnie, świadomie to przede mną ukryłeś.

- Przyznaję, że to był błąd. Może sądziłem, że nie zrozumiesz. Może chciałem, żebyśmy się przedtem lepiej poznali. Ale nie kłamałem, kiedy mówiłem ci, że cię kocham.

Zaśmiała się, chrapliwym, głuchym śmiechem.

- Nie uwierzę. Po tym, co zrobiłeś, naprawdę wydawało ci się, że przyjdiesz tutaj, powiesz mi, jak bardzo mnie kochasz, a ja padnę ci w objęcia? Czy naprawdę myślałeś, że jestem aż tak głupia... tak naiwna, że znowu dam się na to nabrać?

Twarz ścięła mu się w złowrogim grymasie, mięsień wzdłuż szczęki zadrgał gwałtownie.

- Sądziłem, że posłuchasz rozsądnych argumentów.

- Czyich argumentów? Twoich? Robi mi się niedobrze, gdy to słyszę, ty parszywy kłamco! - Odwróciła się od niego, nienawidząc go w tej chwili tak mocno, jak kiedyś kochała.

- Do diabła, Flame. - Chwycił ją za ramię, a ona stężyła od jego dotyku. Bez słowa przyglądała się zimno dłoni na swoim ramieniu. Cisza ciągnęła się przez kilkanaście nerwowych sekund, po czym Chance cofnął rękę. - Zaraziłaś się nienawiścią, która mieszka w tym domu.

- Czy dlatego jesteś tak zdeterminowany, by go zniszczyć i rozpocząć na tym terenie budowę wielkiego kompleksu, że widzisz tu gniazdo nienawiści?

- Flame dostrzegła, jak wzdrygnął się na wspomnienie swojego przedsięwzięcia. Nie potrafił tego wystarczająco szybko ukryć. - Sądziłeś, że nie wiem, co zamierzasz zrobić z Morgan's Walk i tą ziemią dookoła, którą już wykupiłeś?

- Moje zamiary względem tej ziemi nie mają żadnego związku z moim przyjazdem tutaj.

- Czyżby? - szydziła. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie przyjechałeś tutaj, żeby mnie odzyskać? To ciekawe, Chance. A w jaki sposób zamierzałeś mnie przekonać do pomysłu zalania tej doliny i zniszczenia Morgan's Walk? Zamierzałeś poczekać parę miesięcy, przyjść do mnie i powiedzieć: „Kochanie, mam cudowny pomysł, żeby tę ziemię, którą odziedziczyłaś, zamienić we wspaniały kompleks wypoczynkowy. Pomysł tylko o milionach, które na tym zarobisz, to dużo więcej od tego, co zdołasz wyciągnąć z ranczo”. Być może dodałbyś jeszcze w formie zachęty: „Zrobimy to razem, kochanie, ramię w ramię, będziemy współnikami”. Naturalnie ja byłabym tak ślepo w tobie zakochana, że na wszystko bym się zgodziła. Myślałeś, że tak to będzie wyglądać, prawda?

- Dlaczego miałbym odpowiadać, skoro i tak byś mi nie uwierzyła? - spytał spokojnie.

- Masz rację. Nie uwierzyłabym.

Wyciągnął ręce i delikatnie wziął ją za ramiona. Flame stężała instynktownie, gotowa stawić opór, gdyby próbował ją do siebie przyciągnąć. Prawie żałowała, że tego nie zrobił. Gdzieś w głębi miała krwawiącą, otwartą ranę, miała ochotę kopać, wrzeszczeć i gryźć. Lecz beznamiętne ciepło jego dłoni nie było odpowiednią zachętą.

- Zraniłem cię, Flame. Wiem o tym - powiedział. Jego głos brzmiał jakos poważnie i kojąco. - Masz prawo się na mnie gniewać.

- A więc pozwalasz mi siebie nienawidzić, jak miło - mruknęła złośliwie, starając się wyrwać spod uroku jego głosu.

- Do diabła, przyjechałem tu, żeby cię przeprosić, Flame, żeby ci powiedzieć, że cię kocham, że cię potrzebuję.

- Potrzebujesz Morgan's Walk, które teraz należy do mnie - rzuciła mu prosto w twarz i patrzyła, jak się wzdrygnął i zmrużył oczy, obserwując ją badawczo.

- Masz bardzo ostry język - powiedział. - Kogo starasz się przekonać, że mnie już nie kochasz, mnie czy siebie? Jeśli mnie, to możesz się nie trudzić, ponieważ wiem, że wciąż ci na mnie zależy.

Poczuła pierwszy odruch niepewności, uświadamiając sobie, że przed paroma minutami wszystko w niej przyspieszyło, wyostrzyły się zmysły, a jej się wydało, że jest to przygotowanie do starcia. Czy aby na pewno? Ale udało się jej spokojnie wytrzymać jego wzrok.

- Z twoją zarozumiałością! Jestem pewna, że nawet w to wierzysz.

- Miłości nie da się ot tak, po prostu, wyłączyć jak światło albo telewizor, nie uwierzę w to, choćbyś nie wiem jak starała się mnie przekonać.

- Wszystko zależy od okoliczności - zaprotestowała Flame, ale on pokręcił głową, oddalając jej racje.

- Nie, wszystko to, co do mnie czułaś, ciągle tam jest, ukryte za ścianą gniewu i zranionej dumy. Możesz próbować temu zaprzeczyć, ale pragniesz mnie z tą samą desperacją, z jaką pragnę ciebie.

Kiedy poczuła, że przyciąga ją do siebie, w pierwszym odruchu chciała się oprzeć. Ale natychmiast zrezygnowała, zdając sobie sprawę, że tylko okazując kompletną obojętność, może mu cokolwiek udowodnić. Gdy wziął ją w objęcia, pilnowała się, by w żaden sposób nie zareagować. Zbliżał do niej swoje wargi, a ona odczekała do ostatniego momentu, po czym odwróciła głowę i wargi Chance'a musnęły jej policzek.

Nie zrażony Chance skupił uwagę na tym miejscu na szyi, gdzie widział pulsującą żyłę. Nagle wszystko to wydało się Flame boleśnie znajome: pieszczoty jego warg, dotyk dłoni i przytulone do niej, gładkie, muskularne ciało.



Tkwiaące w niej dziecko zapragnęło, żeby przytulił ją mocno i scałował cały ból. Lecz do wiary w to, że pocałunki „wszystko zmienia”, potrzebna była jeszcze dziecięca niewinność. A ona straciła ją dawno temu. Miłość fizyczna - bez względu na to jak udana i jak wiele dająca satysfakcji - była chwilowym przeżyciem. Nie mogła naprawić tego, co się stało. Posłużył się nią, a tym samym ją zdradził. Nie mogła mu już zaufać.

Zamknęła się przed wszystkimi swoimi tęsknotami nie do końca pewna, na ile może sobie ufać.

- Skończyłeś już? - Starła się powiedzieć to możliwie zimnym głosem.

Przerwał i wyprostował się, żeby na nią popatrzeć. Specjalnie trzymała twarz odwróconą od niego, żeby nie mógł zobaczyć, jak wąż w rzeczywistości jest jej obrona.

- Na razie - powiedział z tą znajomą, leniwą manierą w głosie. - Ale nie jestem ci tak obojętny, jak usiłujesz mi to okazać. Mógłbym ci to udowodnić, ale gdybym to zrobił, znienawidziłabyś mnie za to. A mnie nie chodzi o twoją nienawiść, Flame, a o twoją miłość.

Oburzona jego arogancją, gwałtownie podniosła głowę i przeszła go pełnym wściekłości spojrzeniem.

- Hattie miała rację. Dopiero teraz zaczynam sobie z tego naprawdę zdawać sprawę. Zniżyłbyś się do wszystkiego, prawda? Kłamałbyś, oszukiwał, kradł, wszystko, byleby tylko dostać Morgan's Walk w swoje ręce. - Strząsnęła z siebie dłonie Chance'a, nie mogąc dłużej znieść jego dotyku i cofnęła się. - Sądzę, że będzie lepiej, jeśli już pan wyjdzie, panie Stuart. Nie jest pan tu mile widzianym gościem... i nigdy nie będzie.

Przez długą chwilę nie poruszał się i nic nie mówił. Kiedy myślała już, że będzie musiała zawołać Charliego Rainwatera i kilku chłopców z farmy, Chance powoli skinął głową.

- Pójdę. Ale powiem ci to samo, co powiedziałem Hattie. Wrócę tu. Między nami jeszcze nie wszystko skończone.

- Brzmi to zupełnie jak groźba. - Uniosła nieco głowę, dając mu do zrozumienia, że nie pozwoli się upokorzyć.

Jego usta wygięły się w uśmiechu, o którym można by powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że był ciepły.

- Nigdy nie rzucam gróźb, Flame. Sądziłem, że lepiej mnie znasz.

Nie poruszyła się z miejsca, kiedy wyminął ją i wyszedł do holu. Gdy usłyszała dźwięk zamykanych frontowych drzwi, odwróciła się powoli, żeby za nim popatrzeć. Kilka sekund później rozległ się warkot zapalnego silnika. Potem otoczyła ją cisza domu. Zaniepokojona nią Flame podeszła do okna i zaczęła się przyglądać przetaczającym się po niebie skłębionym, ciemnoszarym chmurom.

Pejzaż odzwierciedlał stan jej ducha - gwałtownie wstrząsały nią kipiące i mroczne uczucia. Przez ostatnie trzy dni wszystko to kotłowało się tuż pod powierzchnią. Usuwała je ze świadomości, lecz na widok Chance'a wszystko powróciło. Teraz była gotowa przyznać się przed sobą do czegoś, o czym instynktownie cały czas wiedziała. To się nigdy między nimi nie skończy. Morgan's Walk była tego przyczyną.

Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, że Chance chce tej ziemi, jego przybycie tutaj zupełnie je rozwiało. Wciąż z tą samą determinacją pragnął zdobyć Morgan's Walk. Właśnie przed tym ostrzegła ją Hattie, zanim umarła. Ale w jaki sposób mogłoby mu się to udać? Przecież Hattie jej zostawiła ziemię.

Nagle odwróciła się od okna. Ben Canon powiedział coś na ten temat. Przycisnęła dłoń do czoła, starając się przypomnieć sobie, co to było. Wspominał coś o tym, że Chance może próbować obalić testament i... tak, i coś o

naciskach finansowych, żeby zmusić ją do sprzedaży. Ale mówił też o jakiejś trzeciej rzeczy. Czoło Flame wygładziło się, kiedy przypominała sobie, co to było. Mógł próbować ją wywłaszczyć. To właśnie powiedział Ben.

Ale na jakiej podstawie? Oczywiście, jezioro!

Musi go powstrzymać. Tylko jak? Co to było za przedsięwzięcie, które planował? Jeśli miała z nim walczyć i pokonać go, musiała lepiej poznać jego plany. Żeby stanąć przeciw takiemu człowiekowi jak Chance, potrzebowała bardzo dokładnych informacji. W przeciwnym razie nie miała szans na zablokowanie jego posunięć. Nie mogła być tylko w defensywie. Musiała znaleźć sposób, żeby przystąpić do ataku.

W tej samej chwili, gdy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że nie wystarczy jej tylko to, że Chance nie dostanie Morgan's Walk. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz w jej życiu, musi odplacić mu za krzywdę swoją i dziadka. Nadszedł czas, żeby jakiś Morgan wyrównał rachunki, i ona to zrobi.

Dziwny był ten spokój, który odczuwała, bo jednocześnie wszystko w niej wrzało; cierpienie i wściekłość ostatnich trzech dni płynęły teraz jednym torem, znalazły cel. Nieważne, że w tej chwili nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób się zemści. Wierzyła, że potrafi to rozwiązać. Ale najpierw musi zebrać wszelkie możliwe informacje na temat planów zagospodarowania tej ziemi przez Chance'a.

Ale jak? Ben Canon zasugerował, że w biurze Chance'a znajdują się ich szkice i odbitki. Tylko jak do nich dotrzeć? Przecież nie przez Chance'a. Gdyby istniała jakaś możliwość dostania się do jego biura... Wstrzymała oddech, bo nagle przyszło jej do głowy, że istotnie, może taki sposób istnieje.

Będzie musiała działać szybko. Dziś wieczór. Ubrania... będzie jej potrzebny jakiś wieczorowy strój, coś bardzo szykownego. Żadna z rzeczy,

które przywiozła ze sobą, nie nadaje się. Spakowała się na słoneczny weekend, a nie na jesienny tydzień w Oklahomie. Sukienkę, którą miała na sobie, kupiła wczoraj, specjalnie na pogrzeb. Czy ma jeszcze czas, żeby coś kupić? Spojrzała na stary zegar dziadka, widoczny w korytarzu. Była prawie piąta. Czy sklepy z odpowiednimi sukienkami będą o tej porze otwarte? I gdzie ich szukać? Złorzeczyła, że będzie musiała stracić tyle czasu na bieganie za sukienką, choć w jej szafie w San Francisco, wiszą co najmniej trzy odpowiednie stroje.

Szafa! No jasne. Szafa Hattie, zapakowana garderobą na każdą okazję! Żeby tylko znaleźć coś odpowiedniego, nieważne, że nienowe. Styl wieczorowych sukni nie zmienia się tak bardzo. A rozmiar... można w końcu tu czy tam upiąć szpilką, coś naprędce zszyć.

Gdy Flame wychodziła pośpiesznie z salonu, do holu weszła właśnie Maxine.

- Słyszałam jak Cha... pan Stuart odjeżdżał. Czy mam teraz podać kolację, pani Stuart?

- Nie musisz niczego gotować, Maxine. Nie jestem dzisiaj głodna - powiedziała, zatrzymując się tylko na chwilę, po czym znowu podążyła w kierunku schodów.

- Nie muszę wcale gotować. Sąsiedzi przynieśli tyle sałatek i potrawek, że wystarczy na tydzień.

- Zupełnie zapomniałam. - Powtórnie zatrzymała się u podnóża schodów i odwróciła do gospodyni. - Jeśli będę chciała później coś zjeść, to sama sobie wezmę. Nie ma potrzeby, żeby pani zostawała. To był długi i bardzo męczący dzień. Jestem pewna, że chciałaby pani iść już do domu.

- Jestem zmęczona i... - Maxine zawahała się. - Jeśli jest pani pewna, że już nie będę dziś potrzebna, to może rzeczywiście pójdę do domu.

- Jak będziesz wychodziła, czy mogłabyś zatrzymać się przy budynkach gospodarczych i poprosić pana Rainwatera, żeby do mnie przyszedł?

- Oczywiście.

W końcu Flame podążyła na górę, by wprowadzić w życie dalszy ciąg planu. Próbowwała sobie przypomnieć, jakie wieczorowe suknie widziała w szafie Hattie.

## 29

Z ulicy Flame nie zauważyła, żeby na dwudziestym piętrze Stuart Tower paliły się jakieś światła. W sobotni wieczór było mało prawdopodobne, żeby ktoś pracował, chyba że jakaś sprzątaczką. Ale na wszelki wypadek po raz drugi wolno objechała budynek, żeby sprawdzić, czy się nie pomyliła.

Przejeżdżając szybko podziemnym garażem upewniła się również, czy na miejscu zarezerwowanym dla Chance'a nie jest zaparkowany jaguar. Wszystko wyglądało bezpiecznie, więc uspokojona podjechała pod główne wejście budynku i zaparkowała na chodniku lincolna, którym przyjechała tu z rancza. Dłońmi w rękawiczkach ścisnęła mocno kierownicę i wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić skołatane serce i nerwy.

Pośpiesznie wysiadła z samochodu, jakby w obawie, że za chwilę poda w wątpliwość sensowność - czy raczej bezsensowność - swego postępowania. Nerwowo wygładziła na biodrze kawową suknię z satyny. Jej wysmukła linia wskazywała na lata pięćdziesiąte, ale prostota stylu czyniła ją niemalże ponadczasową i odpowiednią na tę właśnie okazję. I tak nikt z towarzystwa nie będzie miał okazji zawiesić na niej krytycznego spojrzenia. Sięgnęła do samochodu po torebkę w tym samym kolorze i po długie futro z lisów. Futro było niesamowitym znaleziskiem. Choć w nienajlepszym stanie, trochę wytarte na rękawach i przy kołnierzu, ale czegoś takiego Flame potrzebowała.

Zarzuciła je sobie na ramiona i odruchowo rozejrzała się po ulicy. Lecz dookoła panował spokój, ruch samochodowy o tej porze w śródmieściu był niewielki. Odwróciła się w kierunku przeszklonego wejścia do budynku i jasno, fluoryzujące oświetlonego korytarza. Zatrzymała się na chwilę, sprawdzając ręką, czy brylantowa broszka w formie orchidei jest bezpiecznie zapięta pośrodku dekoltu w kształcie litery V.

Dziękowała Bogu, że powinna wyglądać na zmartwioną i zdenerwowaną, ponieważ tak właśnie się czuła, kiedy pędziła ku drzwiom, poruszając się na tyle szybko, na ile pozwalał jej wąski dół sukienki z rozporkiem. Przy drzwiach zatrzymała się i szarpnęła nimi kilkakrotnie, pukając równocześnie w szybę.

W końcu strażnik w mundurze, który siedział przy pulpicie instalacji alarmowej, podniósł wzrok i zastygł, zatrzymując rurkę z kremem w pół drogi do ust. Flame przesłała mu błagalny uśmiech i jeszcze raz, wymownie, szarpnęła za klamkę zamkniętych drzwi.

Zawahał się ułamek sekundy, ale odłożył ciastko do tekturowego pudełka i pośpiesznie otarł wierzchem dłoni usta z okruszków. Następnie wstał i wyszedł zza biurka. Był to starszy mężczyzna po sześćdziesiątce. Widoczne spod czapki siwe włosy miał przystrzyżone tuż przy skórze. Z kołnierzyka koszuli przelewał się podwójny podbródek, podobnie jak brzuch piwosza zwieszał się nad paskiem spodni. Uwagę Flame przykuło głośne podzwanianie kluczy zawieszonych na dużym metalowym kółku, które strażnik trzymał w dłoni, zbliżając się do drzwi.

Przystanął po drugiej stronie szklanej tafli i zaczął przebierać w kluczach. Flame nerwowo spoglądała przez ramię, pewna, że lada moment podjedzie tu Chance i złapie ją na gorącym uczynku. Nie mogąc ponaglać strażnika, czekała z zaschniętymi ustami, nerwy miała napięte do ostateczności. W

końcu mężczyzna wybrał jeden z kluczy i włożył go do zamka. Kiedy tylko w drzwiach pojawiła się niewielka szczelina, Flame wcisnęła się szybko do środka.

- Czy coś się stało, proszę pani? - Przyglądał się jej z zainteresowaniem przez górną część szkieł dwuogniskowych okularów w czarnej oprawce.

- Kiedy pana zobaczyłam, kamień spadł mi z serca. - Chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą w kierunku wind. - Bałam się, że nie będzie tu nikogo i nie dostanę się do środka. Naprawdę nie wiem, co bym wtedy zrobiła. Stało się coś strasznego. - Puściła ramię strażnika i rozpięła wysadzaną kamieniami klamerkę wieczorowej torebki. Wkładała już rękę do środka, gdy nagle zatrzymała się, jakby właśnie zdała sobie z czegoś sprawę. - Pan nie wie, kim jestem, prawda? A ja tutaj paplam panu o czymś bez sensu. Nazywam się Flame Stuart i jestem żoną Chance'a Stuarta.

Strażnik natychmiast się ożywił, jego pyzate policzki uniosły się w uśmiechu.

- Ależ oczywiście, pani Stuart. Cały budynek trzęsie się od wieści na temat pani ślubu z panem Stuartem. - oświadczył. Na to właśnie liczyła, tak jak i na to, że wiadomość o jej odejściu nie rozeszła się równie szybko. - Wszyscy mówią, że pan Stuart znalazł sobie świetną rudą babkę, no i mają rację.

- Bardzo pan jest dla mnie miły, panie... - Spojrzała na plakietkę z nazwiskiem.

- Dunlap. Fred Dunlap.

- Panie Dunlap. Pozwoli pan, że wyjaśnię panu, co się stało. Jak już wspomniałam, wydarzyło się coś okropnego - wyrzucała z siebie, wyjmując z torebki jeden z diamentowych klipsów, które stanowiły komplet z broszką. - Otóż zgubiłam drugi taki klips. Dostałam je w prezencie od Chance'a, to znaczy pana Stuarta, razem z tą broszką. Za godzinę mamy się spotkać i mąż

życzył sobie, żebym je włożyła. Przeszukałam już wszystko. I wtedy przypomniałam sobie, że nosiłam je wtedy, jak byliśmy w biurze. W związku z tym mam do pana olbrzymią prośbę: czy mógłby pan wpuścić mnie do biura męża, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zostawiłam tam drugiego klipsa? Nie wyobrażam sobie, jak mu powiem, że go zgubiłam.

- Oczywiście, że mogę, pani Stuart. To żaden kłopot. - Poniósł swoje potężne ciało w kierunku windy, raz jeszcze grzebiąc w pęku kluczy na kółku. - Proszę pójść za mną. Pojedziemy na górę.

- Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem panu wdzięczna, panie Dunlap. Tak strasznie się martwiłam. Myślałam, że po prostu oszaleję. - Na pewno musiała na nim zrobić wrażenie idiotki przez to paplanie, ale po prostu nie mogła przestać mówić. Poszła za nim do wind. - Wiem, że z pewnością kosztowały fortunę. Ale właściwie nie tylko o to chodzi. Widzi pan, to był pierwszy prezent, jaki od niego dostałam. No, niezupełnie pierwszy. Najpierw przysyłał mi orchidee. Dlatego właśnie kazał zaprojektować tę broszkę i klipsy w kształcie orchidei, na pamiątkę pierwszego prezentu.

Flame nie miała wcale pewności, czy strażnik w ogóle jej słucha, kiedy manipulował kluczem otwierając coś, co wyglądało na tablicę rozdzielczą. Potem nacisnął na parę przełączników i nad windą, przed którą stali, zapaliła się strzałka. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Flame wbiegła do windy i musiała czekać na flegmatycznego strażnika. Nacisnął guzik z numerem dwudziestym. Sekundy wlokły się nieznośnie, zanim drzwi w końcu się zamknęły.

Kiedy obserwowała, jak błyskające światelko przesuwa się po numerkach kolejnych pięter, cisza, która zapanowała, wydała się jej gorsza niż wcześniejsza paplanina.

- Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wolne są te windy -



oświadczyła z całkowitą szczerością.

- Zawsze się tak wydaje, kiedy się gdzieś śpieszymy. Wtedy wszystko wydaje się zbyt wolne.

- Chyba ma pan rację - przyznała i roześmiała się nerwowo.

W końcu winda zatrzymała się na najwyższym piętrze. Ze ściśniętym żołądkiem Flame czekała w półmroku korytarza, aż strażnik włączy światła w pokojach biurowych. Znowu sekundy wlokły się w nieskończoność, zanim pojawił się z powrotem i poprowadził ją szerokim korytarzem do gabinetu Chance'a. Tu jeszcze raz musiała uzbroić się w cierpliwość, ponieważ szukał klucza, a potem otwierał drzwi.

Kiedy wszedł za nią do biura, miała ochotę na niego krzyknąć, ale w końcu zmusiła się do uśmiechu.

- Bardzo panu dziękuję, panie Dunlap - powiedziała odwracając się do niego twarzą i starając się pokazać całym swoim ciałem, że jego obecność tutaj nie jest już pożądana.

Zawahał się i niepewnie powiedział:

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pomóc pani szukać tego zaginionego klipsa, pani Stuart.

- To nie jest konieczne - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Chciałam powiedzieć, że i tak zrobił pan dla mnie już tak wiele, a nie chciałabym zatrzymywać pana z dala od posterunku. Mimo wszystko jest pan przecież na służbie. Nie powinnam odciągać pana od jego obowiązków.

- Racja. - Przytaknął jej głową. - Gdyby jednak potrzebowała mnie pani, proszę wykręcić trzydzieści jeden, trzydzieści jeden. To mój wewnętrzny numer. Zjawię się natychmiast.

- Będę pamiętała, panie Dunlap. - Stała w miejscu przyglądając się, jak strażnik odwraca się i wychodzi. Dopiero, kiedy usłyszała odgłos ruszającej

windy, odetchnęła swobodniej i pośpiesznie zamknęła drzwi - na wszelki wypadek, gdyby zdecydował się jednak wrócić i ją sprawdzić. Odwracając się zsunęła z ramion długie futro i omiotła spojrzeniem pokój. Nie wiedziała, gdzie rozpocząć poszukiwania wstępnych szkiców planowanej budowy. W końcu zdecydowała się na biurko Chance'a, a właściwie na stojący za nim długi kredens. Ale żaden z leżących na wierzchu papierów nie miał nic wspólnego z projektem. Przeszukanie szuflad też nie dało żadnych rezultatów.

Z przykrą świadomością, że czas pracuje na jej niekorzyść, Flame szybko przeniosła się do wbudowanych w ścianę szaf biurowych, przy kanapie z fotelami i stolikiem, które przeznaczone były do prowadzenia mniej oficjalnych rozmów. Za kolejnymi drzwiami natrafiła szczęśliwie na spory plik odbitek. Przeglądając je straciła cenne minuty - jak się okazało, znowu nadaremnie.

Gdzie to jest? Starając się opanować chwilową panikę, zaczęła przeszukiwać półki w pobliżu stołu konferencyjnego. I nic. Mój Boże, co będzie, jeśli tu tego nie ma? Jeśli to jest na przykład w biurze Sama?

Wtedy spostrzegła długie kartonowe tuby ustawione na stojaku, obok kredensu, po przeciwnej stronie stołu - takie, w jakich przechowywało się zwykle zwinięte w rulon projekty i szkice! Walcząc z gwałtownym podnieceniem, Flame rzuciła futro i wieczorową torebkę na jedno z krzeseł i poszła sprawdzić.

Dziesięć minut później leżały przed nią dokładne szkice planów terenu, wstępne projekty proponowanej tamy i szkice architektów, pokazujące wygląd przyszłych luksusowych hoteli, portów dla jachtów, domów wypoczynkowych oraz rezydencji. W kredensie natomiast znalazła mnóstwo innych informacji - zaczynając od wyników badań nad wpływem budowy komplek-

su na środowisko naturalne, na ocenie opłacalności przedsięwzięcia kończąc. Poza tym wyszperała kopie kilku notatek przedstawiających zarys planowanych przez Chance'a dodatkowych zakupów ziemi.

Zaszokował ją czas, pieniądze i wysiłek już włożone w to przedsięwzięcie. Był to dowód na to, jak bardzo pewny swego musiał być Chance - pewny, że dostanie Morgan's Walk, jak nie w ten, to w inny sposób. Po tym, co mówił Ben Canon, nie miała wrażenia, że plany Chance'a są tak zaawansowane. Zastanawiała się, czy adwokat zdawał sobie z tego sprawę.

Otrzeźwiona odrobinę tym odkryciem, zabrała się do ponownego przeglądania szkiców, projektów i sprawozdań w poszukiwaniu duplikatów. Odsuwała je na bok, żeby zabrać ze sobą, a pozostałe wkładała na poprzednie miejsca. Na szczęście wszystkie dokumenty miały kopie, z wyjątkiem kolorowych szkiców wstępnego sprawozdania technicznego i ogólnej mapy topograficznej terenu. Były za to czarno-białe kopie szkiców i kopia następnego sprawozdania technicznego, które zdawało się zawierać mniej więcej te same informacje, co pierwsze, a także konturowa mapa obrazująca naturalne odwadnianie terenu.

Nagle z sąsiedniego biura dobiegł stłumiony odgłos, który sygnalizował przyjazd windy. Flame zamarła. Prywatna winda - ta, która jechała z podziemnego garażu... Żeby jej użyć, potrzeba było specjalnego klucza. Którego używał Chance! Czowała, jak krew spływa jej do nóg, a serce podchodzi do gardła.

Zawisła nad nią groźba odkrycia. W panice rozglądała się po pokoju za jakąś kryjówką. Ale nic takiego nie było - żadnej szafy, żadnej ciemnej alkozy czy zacienionego rogu pokoju ukrytego przed wzrokiem wchodzącego. Gabinet był zbyt otwarty, a każde jego miejsce zbyt eksponowane. Nie mogła wpełznąć pod biurko Chance'a, bo nieuchronnie do niego podejdzie. Nie

mogła się także ukryć za kanapą - zobaczy ją tam przycupniętą, kiedy będzie przechodził.

W biurze Molly rozległy się kroki. Trzeba było działać szybko. W pośpiechu, nie zważając już tak bardzo na zachowanie ciszy, zgarnęła kupkę papierów, które dla siebie odłożyła, i upchnęła je w rogu, z nadzieją, że nie będzie ich widać. Chwyciła torebkę i futro, i wlokąc je za sobą po podłodze, wpełzła na czworakach pod okrągły stół konferencyjny. W panice zaczęła przyciągać do siebie krzesła z nadzieją, że choć trochę zasłoni ją las nóg.

Kiedy drzwi do gabinetu Chance'a otworzyły się, Flame przycisnęła się mocno do słupka podtrzymującego środek stołu, starając się jak najbardziej skulić. Zamarła w bezruchu, przestała nawet oddychać z obawy, że satynowa sukienka Hattie zaszeleści zdradzając jej obecność.

Ale to nie Chance wszedł do środka, lecz jakaś kobieta. Flame widziała jej odbicie w przyciemnionych szybach. Już, już miała odetchnąć z ulgą, biorąc ją za sprzątaczkę, której dałoby się pewnie jakoś wyjaśnić tę dziwną sytuację - kiedy rozpoznała Molly Malone. Niestety wiedziała, że żadnym sposobem nie uda jej się przekonać sekretarki Chance'a, że siedzi pod stołem, ponieważ szuka jakiegoś diamentowego klipsa.

- Te sprzątaczkę są nie do zniesienia - utyskiwała na głos Molly. - Bóg jeden wie, jak długo palą się te światła. Trzeba by im kazać zapłacić miesięczny rachunek za elektryczność, od razu zaczęłyby bardziej uważać.

Dał się słyszeć dźwięk przekreślanego wyłącznika i pokój pograżył się w ciemnościach. Jedynie przez otwarte drzwi do biura Molly wlewał się jasny strumień światła. W odbiciu na szybie Flame zobaczyła jeszcze odcinającą się na tle drzwi sylwetkę, po czym sekretarka wyszła z gabinetu i zamknęła je za sobą. W pokoju Chance'a zapanowała kompletna ciemność.

Flame odetchnęła z ulgą i trochę się odprężyła. Na razie była bezpieczna, na

razie, bo przecież znalazła się w pułapce. Nie mogła wyjść, dopóki Molly jest w swoim biurze. Co ta kobieta robi tu w sobotni wieczór? Co będzie, jeżeli strażnik przyjdzie na górę, by sprawdzić, czy Flame znalazła zgubę? Jak mogła w ogóle przypuszczać, że to jej się uda? Dlaczego przeszukanie pokoju zajęło jej tyle czasu? Dlaczego nie złapała po prostu tego, co znalazła, i nie wyszła? Gdyby to zrobiła, byłaby już na zewnątrz, bezpieczna w drodze do Morgan's Walk.

Przysłuchiwała się, jak Molly porusza się po swoim biurze, otwiera i zamyka szuflady segregatorów. Potem zaległa krótka cisza, a następnie rozległo się szybkie stukanie na maszynie. Bezsilna Flame siedziała na podłodze pod stołem, otoczona coraz bardziej dokuczliwą ciemnością.

Lecz stukot maszyny nie trwał długo. Kiedy ustał, rozległ się dźwięk zamykanej szuflady biurka i mocno zaskrzypiało krzesło. Usłyszała kroki i jeszcze jakieś inne dźwięki, których nie potrafiła określić.

Jak długo Molly już tu była? Pięć minut? Dziesięć? Dwadzieścia? W ciemnościach Flame straciła poczucie czasu. Wydawało jej się, że minęła wieczność, zanim w końcu usłyszała coś, co przypominało dźwięk otwierających się drzwi windy. Potem wszędzie zapanował spokój - tylko bardzo głośno waliło serce Flame. Kiedy upewniła się, że w szparze pod drzwiami nie widać żadnego światła, wygrzebała się spod stołu. Tym razem już nie marudziła - poruszała się tak szybko, jak pozwalały jej na to ciemności. Zebrała szkice i plany i mocno przycisnęła je do piersi razem z torebką i futrem Macając w ciemnościach, posuwała się wzdłuż ściany, aż dotarła do drzwi. Otworzyły się niemalże pod dotknięciem jej ręki. Szybko weszła do równie ciemnego biura Molly.

Jakimś cudem udało się jej dotrzeć do korytarza, nie potrącając po drodze żadnych przedmiotów. Tam zobaczyła już słabe światelko majaczące w

samym jego końcu, gdzie znajdowały się windy. Zebrała dół sukienki i biegiem pokonała cały ten dystans. Odległość nie była duża, jednak kiedy dotarła do windy, była zdyszana i zupełnie wyczerpana, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Panika, i tyle.

Wzięła kilka głębokich wdechów, starając się wolno wypuszczać powietrze z płuc, żeby wykorzystać tych kilka niezbędnych, cennych sekund i trochę się uspokoić. Potem rozłożyła futro na ziemi, na środku umieściła spleciony plik sprawozdań, planów i szkiców, i owinęła go połami. Następnie nacisnęła guzik przywołujący windę i podniosła futro wraz z całą jego zawartością. Przewiesiła je sobie przez rękę i starannie poprawiła, by zasłonić pakunek w środku.

Jak tylko otworzyły się drzwi windy, szybko weszła do środka i przycisnęła guzik na parter. Kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze na ścianie. Odwróciła się, żeby sprawdzić jak wygląda. Mój Boże, ależ była blada i wymizerowana. Pośpiesznie szczypała policzki, żeby przywrócić im trochę koloru, kiedy spostrzegła, że w uszach nie ma klipsów. Były ciągle jeszcze w wieczorowej torebce. Niezdarnie przytrzymała nieporęczny pakunek jednym ramieniem, rozpięła torebkę i zaczęła szperać w jej wnętrzu w poszukiwaniu diamentowych klipsów. Gdy drzwi windy otwarły się na parterze, właśnie zapinała drugi.

Ostrożnie wyjrzała na zewnątrz, sprawdzając, czy strażnik jest sam. Potem z promiennym uśmiechem na ustach wdzięcznie podążyła w jego kierunku.

- Nie uwierzy mi pan, ale go znalazłam! - Odwróciła głowę w jedną, a potem w drugą stronę, a diamentowe klipsy roziskrzyły się od światła, rzucając wkoło lśniące blaski.

- To wspaniale, pani Stuart.

- Nie ma pan pojęcia, jaka jestem szczęśliwa - oświadczyła, mocno tuląc do

siebie futro. Potem odwróciła się i jeszcze poprosiła figlarnie: - Czy mógłby pan nie wspominać o tym panu Stuartowi? Wolalabym, żeby nie wiedział, że klips zapodział mi się choćby na chwilę.

- Proszę się nie martwić, pani Stuart. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i porozumiewawczo puścił do niej oczko. - To będzie nasza mała tajemnica. Będę milczał jak grób.

- Dziękuję, panie Dunlap. Jest pan nieoceniony - powiedziała, już podążając w kierunku wyjścia.

Znowu musiała poczekać przy drzwiach, żeby jej otworzył. Kiedy znalazła się na zewnątrz, prawie biegiem dopadła zaparkowanego na chodniku samochodu. Otworzyła drzwi, rzuciła cenny pakunek na siedzenie obok kierowcy i szybko wślizgnęła się za kierownicę. Ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła włożyć kluczyka do stacyjki. W końcu zapaliła i silnik z pomrukiem zbudził się do życia. Strażnik stał w szklanych drzwiach i przyglądał się jej. Pomachała mu, kiedy zjeżdżała z chodnika na pustą ulicę, a on odpowiedział jej tym samym.

Po tym napięciu i raptownej uldze Flame opadła z sił. Spojrzała na zegarek na podświetlonej tablicy rozdzielczej samochodu i ze zdziwieniem spostrzegła, że wszystko trwało zaledwie dwadzieścia trzy minuty. Była pewna, że spędziła w budynku co najmniej godzinę. Udało się! Zgarnęła Chance'owi plany sprzed samego nosa. Zaczęła się śmiać i nie mogła się uspokoić.

### 30

*W* niedzielę, wczesnym popołudniem, Flame wyszła z hali międzynarodowego lotniska San Francisco i podeszła do oczekującego jej Ellery'ego. Na przywitanie pocałował ją w policzek. Jak zwykle, nie zadawał żadnych pytań. Nie musiał. Zanim zdążyli dojechać do jej apartamentu na Russian Hill, opowiedziała mu całą tę zagmatwaną historię.

Walizki stały w korytarzu prowadzącym do sypialni, dokładnie tam, gdzie postawił je Ellery, kiedy weszli do mieszkania. Natomiast długie pudełko, które Flame ze sobą przywiozła, było otwarte, a jego zawartość porozkładana na szklanym blacie stolika do kawy.

Flame dołała sobie szampana do wysmukłego kieliszka. Butelka, którą Ellery przyniósł w prezencie, miała nieco inne przeznaczenie - mieli wznieść toast za szczęście na nowej drodze życia. Tymczasem zastosowano ją jako środek na ochłodzenie gniewu, którym przez cały czas kipiała. Odwróciła się do Ellery'ego rozpartego na białej kanapie, tak niedbale eleganckiego w lawendowym swetrze z kaszmiru.

- Jeszcze szampana? - zapytała.

W zamyśleniu pomachał odmownie dłonią, w której trzymał niepełny kieliszek.

- Czy wiesz, że po raz pierwszy piję szampana na zgliszczach małżeńskiego szczęścia? Muszę przyznać, że jest to dość osobliwe przeżycie. - Lecz sardoniczny uśmiech zagościł na jego twarzy tylko chwilę i natychmiast ustąpił miejsca spojrzeniu pełnemu zrozumienia i sympatii. - Wydawałaś się tak nieprawdopodobnie szczęśliwa, kiedy zadzwoniłaś do mnie w niedzielę, że muszę przyznać, nigdy bym nie przypuszczał...

- Ja też nie - ucięła krótko, zanim zdążył powiedzieć coś, co by ją najprawdopodobniej rozwścieczyło.

Opierając łokcie na kolanach nienagannie wyprasowanych spodni, pochylił się do przodu, żeby przyjrzeć się dokładniej rozłożonym na stoliku czarno-białym szkicom.

- To są plany jakiegoś zagospodarowania przestrzennego, które on chce zrealizować... - Nagle z zaciekawieniem podniósł głowę. - W jaki sposób udało ci się dostać te wszystkie plany i sprawozdania?



- Mam je i już. Co to ma za znaczenie skąd? - Wzruszyła ramionami.

- Jasne, zadaję głupie pytania - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - To przecież oczywiste, że w zaistniałych okolicznościach na pewno sam by ci ich nie dał. A to oznacza, że musiałaś je wykraść, ujmując to delikatnie.

- To kopie. Nigdy się nie zorientuje.

Ellery nie skomentował tego i znów skupił się na rozrzuconych przed nim papierach.

- Jedna rzecz mnie tu dziwi: dlaczego mianowicie wybrał Tulsę? Dlaczego Oklahomę? To przedsięwzięcie pochłonie miliony. Dlaczego inwestuje takie pieniądze w tym rejonie.

- Nie widziałeś jeszcze oceny opłacalności przedsięwzięcia ani badań rynkowych. - Flame obeszła stolik i wyjęła jakieś dokumenty z kupki innych papierów. Otworzyła je na stronie z mapą Stanów Zjednoczonych, na której zaznaczono okolicę przyszłej inwestycji, a z tego miejsca zakresłono kilka coraz większych okręgów. - Zauważ, że ten ośrodek wypoczynkowy znajduje się w promieniu czterystu pięćdziesięciu mil, czyli mniej więcej jednego dnia jazdy od każdej dużej metropolii na Środkowym Zachodzie - Dallas, Houston, Kansas City, St. Louis, Denver, Memphis, Nowego Orleanu, a Chicago jest tylko ułamek centymetra na zewnątrz tego magicznego kręgu. Prawie jedna trzecia ludności kraju mieszka wewnątrz tego koła. Bardzo łatwo można by to zamienić na wakacyjną mekkę Środkowego Zachodu.

- Chyba masz rację - powiedział, lekko zaszokowany tym odkryciem. - Mój Boże, jaki z niego szczywany lis.

- Ale do tego potrzebne mu jest Morgan's Walk. - Przekartkowała następne szkice w poszukiwaniu planów okolicy. - Ponieważ zapora, która utworzy jego jezioro, ma być zbudowana dokładnie tutaj, na obszarze, który jest w tej chwili moją ziemią. Jeśli Chance dopnie swego, większość tych terenów

znajdzie się pod wodą.

- Co ty właściwie zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi planami i projektami? Oczywiście możesz powiesić je na ścianie i rzucać do nich lotkami, albo zrobić z nich kukłę Stuarta i podpalić. Ale to chyba wszystko?

- Zaniosę je do jakiejś renomowanej firmy inżynierskiej, żeby je dla mnie opracowali.

- Po co? - Ellery zmarszczył czoło i uniósł jedną brew. - Wiesz, co przedstawiają.

- To wszystko, co wiem. Nie jestem inżynierem. Nie potrafię czytać map i projektów. Może jest tu coś, czego nie widzę... Jakiś kruczek, który pozwoli Chance'owi przejąć moją ziemię.

- Ty chyba wierzysz, że on będzie próbował zrealizować to przedsięwzięcie. Przecież to niemożliwe, teraz, kiedy odziedziczyłaś tę ziemię. Jeżeli mu jej nie sprzedasz, a zakładam, że tego nie zrobisz, będzie musiał zrezygnować i policzyć swoje straty.

- Wątpię. Nie wiesz, jaki on potrafi być bezwzględny, ma to we krwi. Nie zapominaj, że ożenił się ze mną, bo myślał, że w ten sposób przejmie ziemię. On chce dostać Morgan's Walk, Ellery. - Zaciśnęła palce na smukłej szampance, starając się opanować gniew, który zadźwięczał w jej głosie. - I jemu nie chodzi o czas czy pieniądze, które zainwestował. Nie, to dla niego sprawa natury osobistej. On nienawidzi Morgan's Walk. Dlatego właśnie szukał sposobu, żeby zniszczyć to miejsce. Miliony, które zarobi przy okazji, są jedynie dodatkową podniętą. Jeśli przegra, będzie próbował znowu, Ellery. I dlatego muszę znaleźć jakiś sposób, żeby go powstrzymać.

- Cała ta sprawa pachnie wendetą - zauważył z wymuszonym grymasem twarzy. Flame stężała, słysząc w jego głosie ślad szyderstwa. - Zemsta jest słodka, i tak dalej... - dodał.

- Mylisz się, Ellery - oświadczyła z lodowatym spokojem. - Zemsta jest wszystkim.

### 31

Molly Malone mierzyła podejrzliwym wzrokiem stojącego przed biurkiem mężczyznę, pokrywając to jednym ze swoich wypróbowanych, miłych uśmiechów.

- Przykro mi, ale pana Stuarta jeszcze nie ma. Zawsze w czwartek rano gra w squasha, a to znaczy, że pojawi się w biurze z pewnym opóźnieniem. - Udawała, że sprawdza zaplanowane na ten dzień zajęcia, które znała już na pamięć. - Niestety, jak wróci, musi się udać prosto na spotkanie. Obawiam się, że będzie zajęty przez cały dzień. A o co chodzi? Może ja mogłabym panu pomóc?

- Nie sędzę. To sprawa osobista. - Mężczyzna miał na sobie poplamiony i mocno znoszony brązowy prochowiec. Z przodu brakowało jednego guzika. Poliestrowy garnitur pod spodem nie wyglądał wiele lepiej. A jednak mężczyzna nosił się pewnie i z godnością.

- Rozumiem - mruknęła Molly, raz jeszcze świdrując go wzrokiem i próbując odgadnąć jego wiek. W końcu oceniła go na tuż po pięćdziesiątce. I choć na nogach miał kowbojskie buty, a na szyi zawiązany krawacik ze sznurka, była pewna, że nie jest farmerem ani nie pracuje na ranczo. Na jego twarzy nie było tej czerstwej opalenizny człowieka, który spędza życie na świeżym powietrzu, a w kącikach oczu nie miał kurzych łapek od ciągłego mrużenia ich na słońcu. - W takim razie może po prostu wyznaczę panu spotkanie - zaproponowała.

- To nie będzie konieczne. - Obwisłe worki pod oczami i opuszczone kąciki ust nadawały mu wygląd człowieka zmęczonego i niezwykle cierpliwego. -

Poczekam na niego.

- Ale on ma...

- Nic nie szkodzi. - Mężczyzna obojętnie machnął ręką. - Potrzeba mi zaledwie paru minut i jestem pewny, że tyle będzie mógł mi poświęcić przed umówionym spotkaniem.

Molly zrezygnowała z protestów, widząc, że tego człowieka nie da się przekonać, można go co najwyżej kazać wyrzucić za drzwi. Lekko rozdrażniona, odwróciła się od niego i zaczęła przekładać jakieś papiery leżące obok maszyny do pisania. Obserwowała przybysza kątem oka, kiedy podszedł do ściany, żeby przyjrzeć się wiszącemu na niej obrazowi.

- Molly? - Z gabinetu Chance'a dobiegł zdziwiony głos Sama.

Podniosła się z krzesła, przesyłając mężczyźnie kolejne podejrzliwe spojrzenie, po czym przeszła do drugiego pokoju. Sam stał przy stole konferencyjnym z plikiem projektów pod pachą. Odwrócił się do niej, kiedy weszła.

- Te plany są nie tam, gdzie powinny być. - Zasepił się. - Szkice architektoniczne są tam, gdzie powinny być projekty zapory, a te z kolei są... Och, to nie ma znaczenia, gdzie. Ale ktoś tu grzebał i wszystko pomieszał. Wiem, że Chance by tego nie zrobił. Ja też tego nie zrobiłem. Kto jeszcze mógł się do nich dobierać?

- Czy coś zginęło?

Sam przecząco pokręcił głową.

- Sprawdziłem to na samym początku.

- W takim razie to prawdopodobnie sprzątaczkę. Usiłują robić porządek w najdziwniejszych miejscach, a na samym środku pokoju potrafią zostawić koty z kurzu. - Wzruszeniem ramion podkreśliła, że jest to mało istotna sprawa, i zerknęła przez ramię w kierunku na wpół zamkniętych drzwi do swojego pokoju. Zniżyła głos i powiedziała: - Jest tam jakiś człowiek, który upiera

się, że musi spotkać się z Chance'em. Nie chce podać nazwiska ani powiedzieć, o co chodzi, ale mogłabym przysiąc, że jest doręczycielem sądowym. Potrafię ich wyczuć na odległość.

Sam zmarszczył czoło.

- Myślisz, że ktoś chce firmie wytoczyć proces?

- A cóż by innego? - Podniosła bezradnie ręce i dodała: - Sądzę, że powinieneś pojechać na dół i ostrzec Chance'a, zanim wsiądzie do windy. Może tu być w każdej chwili.

- Dobrze. - Wcisnął jej w ręce projekty. - Weź to wszystko i połóż w moim biurze.

Dwa rulony wyglądały, jakby za moment miały się rozwinąć. Molly zonglowała nimi przez chwilę i wtedy obydwójce usłyszeli sygnał otwierających się drzwi windy. Spojrzeli na siebie... Za późno.

- Chance Stuart? - Rozległ się męski głos.

- Tak?

- To dla pana. - Potem dały się słyszeć oddalające się kroki i mężczyzna opuścił biuro.

Molly odwróciła się do wchodzącego Chance'a. Ze zmarszczonym czołem przyglądał się jakiemuś oficjalnie wyglądającemu dokumentowi.

- Doręczyciel sądowy - powiedziała do Sama. - A nie mówiłam?

Lecz Sam nie był zainteresowany sprawdzaniem trafności przypuszczeń Molly. Z twarzy Chance'a usiłował wyczytać, jak poważna jest ta sprawa.

- Rozumiem, że ktoś wytoczył nam proces. Kto to taki?

Chance przesłał mu szybkie, zimne jak stal spojrzenie i mocno zacisnął szczęki. Ale nie od razu odpowiedział. Przeszedł do biurka i zaczął przewracać jakieś papiery, potem podszedł do okna za biurkiem. Patrzył na zewnątrz, z lekko odchyloną do tyłu głową i rękami wsuniętymi w kieszenie spodni.

- Nikt nam nie wytoczył procesu, Sam - powiedział uprzejmie. - Flame wniosła do sądu petycję o unieważnienie małżeństwa.

- Cholera - zaklął cicho Sam.

- Och, Chance... - Molly westchnęła z sympatią i niepewnie zbliżyła się do niego. - Tak mi przykro.

Chance odwrócił się gwałtownie i rzucił im piorunujące spojrzenie.

- Wcale nie powiedziałem, że zamierzam się z tym pogodzić.

- Oczywiście, że nie. - Molly zamarła w pół kroku, wyprostowała się i uniosła nieco głowę, żeby okazać mu swoje absolutne poparcie i pokładaną w nim wiarę.

- Kto jest jej adwokatem?

- Zgadnij - rzucił Chance sarkastycznie.

- Ben Canon - mruknął Sam, wzdychając ciężko. - Masz rację, powinienem był się domyślić. - Spojrzał z wahaniem na Chance'a. - Gdy widziałeś się z nią w sobotę, czy uprzedziła cię o tym, że może zrobić coś takiego?

- Tak. Nie przypuszczałem tylko, że tak szybko.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zasepił się Sam. - Co można zrobić?

- Przeciągać sprawę - powiedział i zwrócił się do Molly. - Połącz się z Ouentinem Worthy i powiedz mu, że przesyłasz mu tę petycję. Powiedz mu jeszcze, że chcę mieć najlepszego adwokata od spraw rozwodowych. Niech wykopie tego pieprzonego adwokata spod ziemi, jeśli trzeba. A na razie wszystkie ruchy dotyczące tej petycji mają być opóźniane. Wyjaśnij mu, że staram się namówić żonę na ugodę.

- Chyba nie wierzysz, że to się uda? - spytał sceptycznie Sam.

- Oczywiście, że się uda - wtrąciła się Molly. - Flame czuje się w tej chwili zraniona. Jest zła i wytrącona z równowagi. To wszystko wina tej całej Morgan. Ale ona kocha Chance'a. Wiem, że tak jest. W końcu zda sobie z

tego sprawę. Poczekajcie, a sami zobaczycie: rozłąka ogrzeje jej serce.

Sam pokiwał głową w zadumie nad niezniszczalnym optymizmem Molly.

- Jeżeli zamierzasz częstować nas podobnymi banałami, nie zapomnij o tym, że co z oczu, to z serca. A ich w tej chwili rozdziela pół kontynentu. Już bardziej „z oczu” chyba być nie może.

- Kiedy skończycie tę wymianę frazesów, chciałbym się dowiedzieć, czy mam jutro jakieś spotkania, których nie można przełożyć - wtrącił Chance.

Molly rzuciła mu przepaszające spojrzenie i odparła:

- Rano jesteś umówiony na śniadanie z gubernatorem w jego posiadłości w Oklahomie. Co do reszty, to z łatwością mogę wszystko przesunąć na jakiś inny dzień. Nie przypominam sobie żadnych pilnych spraw.

- W takim razie, po rozmowie z Ouentinem Worthy zadzwoń do Micka Donovana i przekaż mu, że prosto z Oklahomy polecimy jutro do San Francisco.

## 32

Kierowca Malcolma Powella trzymał w pogotowiu otwarty parasol, by uchronić Flame przed popołudniową mżawką, kiedy wysiadała z samochodu.

- Dziękuję, Arturze. - Przesłała mu szybki uśmiech i odebrała parasolkę z jego dłoni.

Zasalutował jej do szoferskiej czapeczki.

- Do zobaczenia za tydzień.

Skinęła głową i ruszyła przez zatłoczony chodnik w kierunku swojego biura. W wejściu stał Ellery, przytrzymując dla niej szklane drzwi. Pewnie też właśnie wracał z obiadu.

Przed zadaszonym wejściem Flame zatrzymała się na moment, opuściła parasolkę i zamknęła ją. Ellery spojrział na odjeżdżającą limuzynę.

- Widzę, że jadłaś dziś obiad z naszym potentatem - zauważył.

- Tak - ucięła krótko.

Ellery uniósł ze zdziwieniem brwi, ale Flame nie zwracając uwagi przecisnęła się obok niego i weszła do budynku. Zrównał się z nią dwoma susami i starał się dostosować chód do jej szybkich kroków. Szli w kierunku wind.

- Było aż tak źle?

- Słucham? - Udawała, że nie wie, o co chodzi.

- Zgrzytasz zębami, a to wskazuje na to, że twój obiad z panem Powellem nie należał do przyjemnych przeżyć.

Chciała zaprzeczyć, ale czy to miało sens? Ellery zbyt dobrze znał jej nastroje.

- Niestety, Malcolm nie był tak taktowny, jak inni moi klienci i współpracownicy.

- Wypytywał cię o rozstanie ze Stuartem, tak? - zgadywał Ellery.

- Można by to tak nazwać.

Zaczęło się już w momencie, kiedy przekroczyła próg jego gabinetu. Miała na sobie wełnianą spódnicę w kolorowe, geometryczne wzory i długie buty. Nie podeszła do stojącego za biurkiem Malcolma, tylko zatrzymała się w połowie pokoju i położyła torebkę na jednym z krzeseł.

- Przepraszam za spóźnienie, Malcolmie - rzuciła, zdejmując rękawiczki i rozpinając guziki przeciwdeszczowego płaszcza. Starła się unikać jego badawczego spojrzenia. - Debbie, moja asystentka, ma grypę i jest na zwolnieniu. Zastępuje ją tymczasowo jakaś dziewczyna. Kiedy zadzwonili z dołu z informacją, że Artur już na mnie czeka, rozmawiałam z klientem z drugiego telefonu, a ona nie przekazała mi tej wiadomości, tylko wyszła sobie na przerwę obiadową. - Posłała mu przepraszający uśmiech.

Malcolm wyszedł jej naprzeciw.

- Rozumiem. - Uprzejmy ton odpowiedzi nie pokrywał jednak nutki irytacji



w jego głosie, przypominając Flame, że Malcolm Powell jest człowiekiem, który nie lubi na nikogo czekać.

Kiedy odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz, po raz kolejny uderzyła ją bijąca od niego potęga. Przyglądała się imponującej muskulaturze jego klatki piersiowej, ramion i szyi, szerokim szczękom i mocno wysuniętej brodzie z dołkiem pośrodku, które świadczyły o żelaznej woli. Zastanawiała się, jak mogła o tym wszystkim zapomnieć w ciągu tych ostatnich dwóch krótkich tygodni.

Trudno było wytrzymać intensywne spojrzenie jego szarych, błyszczących oczu.

- Choć muszę przyznać, że już zacząłem podejrzewać, że znowu uciekłaś ze swoim kochankiem. Czy może powinienem powiedzieć, mężem?

Trafiona celnie szyderstwem Malcolma, Flame spuściła oczy, udając, że jest całkowicie zajęta zdejmowaniem płaszcza i układaniem go na krześle obok torebki.

- To był błąd. - Uciekła się do odpowiedzi, która przez ostatnie kilka dni na stałe weszła już do jej repertuaru. - Podjęłam już kroki, żeby go naprawić, tak szybko, jak to możliwe. - Przywołała na twarz obojętny uśmiech i ostentacyjnie zerknęła przez skrzydłowe drzwi do jadalni Malcolma, gdzie widać było nakryty dla dwóch osób stolik. - Będziemy jedli tutaj. Jak miło.

- Powiedziałem ci, że Stuart to nie jest facet dla ciebie.

Nikt inny nie drażył tego tematu. Dla wszystkich jej odpowiedzi stanowiła zamknięcie sprawy. Ale nie dla Malcolma.

- Tak powiedziałeś... i miałaś rację - przyznała może bardziej ostro, niżby sobie tego życzyła. - Lecz jeśli zaprosiłeś mnie tutaj, żeby napawać się...

- Nie po to, żeby się napawać, lecz żeby ci przypomnieć, że jestem. - Wodził po niej taksującym spojrzeniem ciepłych szarych oczu. - Moje uczu-

cia dla ciebie nie zmieniły się, Flame... ani moje pragnienia.

- Chyba zrozumiesz, że po tym, jak popełniłam jeden błąd, nie mam zamiaru popełniać następnego.

- Wydaje mi się... że to, co zaszło między tobą a Stuartem bardzo zraniło twoją dumę.

- Zranił nie tylko moją dumę! - Na moment zapłonęła gniewem, potem odwróciła się gwałtownie próbując zapanować nad emocjami. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Malcolmie, wolałabym więcej o tym nie mówić - ucięła szorstko.

- To się daje zauważyć - mruknął pod nosem. - Ale nic na to nie poradzę, że jestem ciekawy. Nigdy nie widziałem w tobie tyle gniewu, Flame, nawet wtedy, kiedy tutaj wyprowadziłem cię z równowagi.

- Może mam powody.

- Może tak - powiedział z rozważą. - Może kieliszek twojego ulubionej Chardonnay trochę ostudzi te emocje.

Przeszli do jadalni, ale to jeszcze nie był koniec. Kilkanaście razy podczas posiłku Malcolm robił aluzje do Chance'a i ich rozstania, tak jakby wiedział lub zgadywał, że chodzi o coś więcej, niż to, co Flame chciała powiedzieć.

- Spodziewał się chyba, że się wyplączę na jego ramieniu - powiedziała do Ellery'ego, kiedy przyłączyli się do tłumu czekających na windę pracowników. - Aleja nie potrzebuję jego ramienia, i niczyjego innego.

- W przyszłym tygodniu skończą się prace artystyczne nad reklamą Shoderly'ego. - Przyjechała winda. Ellery odczekał, aż wcisnęli się do środka i wrócił do tematu: - Chciałabyś rzucić na to okiem, powiedzmy, w przyszły piątek?

- Chyba że z samego rana. O jedenastej jestem umówiona w Oakland.

- A co jest w Oakland?

- Biuro projektowe Thorgooda.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Od kiedy jest klientem agencji?

- To nie jest klient. Jadę tam w sprawie prywatnej. - Winda zatrzymała się na piętrze agencji. - Przepraszamy, chcielibyśmy wysiąść. - Flame przeciskała się przez zbity tłum w kierunku otwartych drzwi, a Ellery podążał tuż za nią.

- To w sprawie tych planów Stuarta, prawda? - zapytał.

Skinęła twierdząco głową. Przeszli obok biurka recepcjonistki i weszli do korytarza, który prowadził do gabinetu Flame.

- Nawet jeśli nic nie znajdą, to się przynajmniej dowiem, jakie kroki będzie musiał podjąć Chance, żeby wywłaszczyć moją ziemię pod swoje jezioro.

- Trzeba przyznać, że nie tracisz czasu.

- Nie. I założę się, że on nie traci go także. Właśnie dlatego nie mogę sobie pozwolić na bezczynne wyczekiwanie na jego pierwszy ruch...

Ellery chwycił ją za ramię i zatrzymał niedaleko wejścia do pokoju jej asystentki. Popatrzył na nią znacząco.

- Wy tłumacz mi, dlaczego odnoszę takie wrażenie, że realizujesz już jakiś plan? I nie chodzi mi tu wcale o twój wyjazd do Oakland.

Flame uśmiechnęła się z odcieniem satysfakcji.

- Kiedy wczoraj rozmawiałam z Benem Canonem, moim adwokatem w Tulsie, poprosiłam go, żeby sprawdził, czy Morgan's Walk spełnia warunki konieczne do wciągnięcia na listę Narodowego Rejestru Miejsc Historycznych. Jeśli się uda, mogą powstać pewne wątpliwości, co do tego, czy ten dom powinien się znaleźć na dnie jeziora.

- Bardzo dobrze. - Ellery pokiwał głową z uznaniem.

- Też mi się tak wydaje. - Ale Flame wiedziała również, że jest stanowczo zbyt wcześnie, żeby czegokolwiek sobie gratulować. Jednak nie mogła

powstrzymać uczucia zadowolenia, kiedy wchodziła do pokoju asystentki. - Są dla mnie jakieś wiadomości, panno Austin? - Po południowym potknięciu dziewczyny, nie miała do niej zaufania. Wolą zapytać.

- Tylko dwie. - Brunetka z błyszczącymi oczami szybko podniosła kartki z biurka i wręczyła szefowej, posyłając przeciągłe spojrzenie Ellery'emu.

- Dziękuję. - Flame idąc do swego biura, przeglądała wiadomości. Odwróciła się na nerwowy okrzyk dziewczyny:

- Ach, pani Bennett, proszę poczekać. Zupełnie zapomniałam - przeprosiła.

- W pani gabinecie czeka jakiś mężczyzna.

- W moim gabinecie? Kto?

- Wydaje mi się, że nazywa się Stuart. Powiedział, że panią zna.

Zbyt wściekła, by wydusić z siebie choć słowo, Flame miała nieodpartą chęć udusić dziewczynę. Odwróciła się gwałtownie do Ellery'ego.

- Wiem, wiem. - Podniósł do góry dłoń, podkreślając tym gestem wszelką zbyteczność słów. - Zaraz zadzwonię po obsługę i każę przysłać kogoś innego.

- Czy zrobiłam coś złego? - spytała dziewczyna.

Kiedy Flame ruszyła do swojego gabinetu, usłyszała jeszcze, jak Ellery odpowiedział:

- Wydaje mi się, że to łagodnie powiedziane, panno Austin.

Chance stał przy oknie, tyłem do drzwi. Spojrzał przez ramię, a potem powoli odwrócił się i stanął twarzą do Flame. Przez krótką chwilę poczuła nagły przypływ dawnych uczuć. Ale równie szybko opanowała się i zamknęła za sobą drzwi.

- Co ty tu robisz?

- Wydaje mi się, że ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, zadałaś mi dokładnie to samo pytanie. - Bruzdy po obu stronach jego warg pogłębiły się

w żartobliwym uśmiechu. - Moja odpowiedź jest także taka sama: przyjechałem, żeby cię zobaczyć.

- Zdawało mi się, że wystarczająco jasno się wyraziłam, mówiąc, że nie chcę cię więcej widzieć. - Podeszła do biurka.

- Nie mogę się z tym pogodzić. - Zbliżył się i stanął naprzeciw niej.

- Nie masz innego wyjścia - odcięła się. - I co to w ogóle znaczy? Przychodzisz sobie do mojego biura i czujesz się jak u siebie w domu, zupełnie jakbyś...

- Jakbym był twoim mężem?

- Nie to chciałam powiedzieć!

- Tak, prawdopodobnie nie to - zgodził się, lekko przytakując głową. - Uznałem, że lepiej będzie, jeśli zaczekam tutaj, a nie w pokoju twojej asystentki, gdzie mogłoby mnie zobaczyć wielu z twoich współpracowników. Pomyślałem sobie, że zaoszczędzi ci to niepotrzebnych pytań.

- Taka troskliwość byłaby wzruszająca, gdyby pochodziła od kogoś innego.

- U siadła za biurkiem i zaczęła przeglądać plik korespondencji, udając, że się z nią zapoznaje, choć nie była w stanie przeczytać choćby słowa.

- Flame, nie przyjechałem tu, żeby cię zdenerwować czy zmartwić...

- W takim razie, po co tu przyjechałeś? - W końcu spojrzała na niego; na znajome, mocne i piękne rysy jego zmysłowej twarzy, wciąż tak bardzo pociągającej.

- Żeby z tobą porozmawiać.

Przesłała mu pogardliwe spojrzenie.

- Nie chciałeś przypadkiem powiedzieć, że przyjechałeś tu, żeby mnie namówić do pozbycia się Morgan's Walk?

- Nie, nie chciałem. - Spokój w jego głosie zaintrygował Flame. - Wydałaś na mnie wyrok, zanim mnie wysłuchałaś. Nie twierdzę, że kiedy to zrobisz,

zmienisz zdanie. Ale przynajmniej tyle jesteś mi winna, Flame.

- Inaczej na to patrzę - odparła ozięble.

- Może inaczej, ale nie zaszkodzi ci, jeśli mnie wysłuchasz. Chodźmy dziś razem na kolację.

Była już gotowa stanowczo odmówić, kiedy przyszła jej do głowy pewna myśl, i zawahała się. Żeby pokryć niezdecydowanie wstała z krzesła i wyszła z biurka.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W Carringtonie.

Obróciła się do niego twarzą, wciąż niezdecydowana, co robić. Nie chciała jeszcze raz działać pod wpływem impulsu, więc zaproponowała:

- Zastanowię się i zadzwonię do ciebie do hotelu, dobrze?

Chance wyczuł, że była o krok od wyrażenia zgody. W obawie, że odmówi, jeśli będzie ją dalej naciskał, wycofał się.

- Dobrze. - Powoli skinął głową. - Będę czekał na twój telefon.

Zaskoczyła ją ta kapitulacja. Spodziewała się, że będzie domagał się odpowiedzi. Kiedy wychodził z pokoju, zastanawiała się, dlaczego tego nie zrobił. Czy był aż tak pewny swego? A nawet gdyby tak było, cóż to miało za znaczenie? Nie mógł przecież wiedzieć, dlaczego w ogóle się zastanawiała, czy się z nim nie spotkać.

Ledwo wyszedł Chance, do pokoju wkroczył Ellery.

- Wszystko w porządku?

- A sądziłeś, że może być inaczej?

- Nie byłem pewien.

- Obiecuję ci, Ellery, że nie załamie się tylko dlatego, że go znowu zobaczyłam. - Wróciła do biurka.

- Czego chciał?

Na twarzy Flame pojawił się uśmiech.

- Chce się umówić na kolację, żebyśmy mogli porozmawiać.

- Oczywiście odmówiłaś.

- Jeszcze nie.

Ellery zamilkł na kilka sekund, przyglądając się badawczo przyjaciółce.

- Coś mi się zdaje, że w tej małej główce kołacze się jakiś kolejny diabelski plan.

Flame uśmiechnęła się.

- Zrobił pierwszy krok. Stara się mnie odzyskać. Raz już mu się udało przekonać mnie o swojej miłości, dlaczego miałby jeszcze raz nie spróbować? Ellery, a co by się stało, gdybym dała mu jakąś nadzieję? - zastanawiała się na głos.

- Czy ty wiesz, o czym mówisz?

Zignorowała pytanie i dalej wypowiadała głośno własne myśli:

- Gdyby przywiązał się do tej nadziei, nie ośmieliłby się podważyć testamentu. Nie zrobiłby też żadnego innego ruchu, żeby przejąć Morgan's Walk. Pomyśl tylko, ile by mi to dało czasu.

- Stuart nie jest człowiekiem, którego można łatwo oszukać.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Nie zapominaj jednak, że spodziewa się teraz dużego oporu z mojej strony. A to się da załatwić.

- To nie jest gra - ostrzegał Ellery.

Przeniosła na niego zbyt błyszczące zielone oczy, w których teraz czaiły się złe ogniki.

- A właśnie, że jest. Nazywa się „zdrada”, brałam lekcje u eksperta.

Flame specjalnie odczekała prawie do szóstej, zanim zadzwoniła do Chance'a i przyjęła zaproszenie. Kiedy zaproponował, że po nią wpadnie, odmówiła.

- Możemy coś zjeść w twoim hotelu. Spotkamy się o ósmej w restauracji.

W wielokondygnacyjnej restauracji hotelowej Chance obserwował, jak Flame weszła do sali, prowadzona do jego stolika przez starszego kelnera. Pod olbrzymim wrażeniem jej oszałamiającego wyglądu prawie nie zwrócił uwagi, jak na jej widok odwracały się głowy. Miała na sobie czarno-białą garsonkę z jedwabnej mory w groszki, z wysoką stójką. Dumnie uniesiona głowa, pewność bijąca z jej sylwetki i wyprostowanych pleców były jej naturalnie przypisane, jak płomienny kolor włosów. I nie chodziło o to, że Flame wywoływała poruszenie i przyciągała wzrok. Wrażenie, jakie na nim zrobiła, było znacznie większe: zniknął gdzieś niepokój, który zagnieździł się w jego duszy, obudził się męski instynkt posiadania i otaczania opieką. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu jej brakuje. Chciał ją mieć z powrotem. Musiał ją mieć. Pragnął jej tak zachłannie jak Morgan's Walk.

Kiedy zbliżyła się do stolika, wstał na powitanie. Omiotła go zimnym spojrzeniem i wydusiła z siebie parę słów, po czym usiadła naprzeciw niego. Natychmiast pojawił się kelner z pytaniem, czy życzy sobie coś z baru. Zahała się przez chwilę, spoglądając na stojącą przed Chance'em szklanekę whisky, w końcu zamówiła kieliszek Chardonnay.

Kiedy zostali sami, z wystudiowaną obojętnością spojrzała mu w oczy.

- Zdaje mi się, że po raz pierwszy nie ma brzoskwiniowego szampana ani orchidei - powiedziała.

- Sądziłem, że to nie byłoby właściwe. - Przyglądał się wyrazistym rysom jej twarzy, starając się odnaleźć jakąś szczelinę w murze rezerwy, którym się otoczyła. Ale nie mógł zgłębić zielonej tajemnicy tych oczu, tak dla niego zimnych i powściągliwych. Wolał już jej poranny wybuch, złość i pasję, którymi przywitała go w biurze niż tę obojętność i brak zainteresowania.

- Masz rację, nie byłoby. - Spojrzała na kelnera, który wrócił z kieliszkiem



wina. Podziękowała mu z uśmiechem, pierwszym, jaki Chance zobaczył na jej ustach od tego poranka, kiedy przed wyjazdem do Teksasu pocałował ją na pożegnanie, tego poranka, który oznaczał kres jednego z rzadkich, szczęśliwych okresów w jego życiu.

Kiedy ponownie na niego spojrzała, na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. Chance poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Zdusił ją w zarodku - wiedział, że z tą kobietą nigdzie go to nie zaprowadzi.

Wzniósł toast swoją szklanką whisky.

- Dziękuję ci - powiedział.

- Za co? - Trzymała kieliszek, jakby niezdecydowana, czy wypić, nie wiedząc za co.

- Za to, że przysłaś tu dzisiaj.

- Pokorny Chance Stuart? - zadrwiła. - Bardzo trudno mi w to uwierzyć.

Pociągnął łyk whisky. Piekła w gardło, harmonizując ze stanem jego zbolelej duszy. Lecz już dawno temu nauczył się nie okazywać podobnych uczuć.

- Powiadomiono mnie, że wniosłaś o unieważnienie małżeństwa.

Teraz ona pociągnęła łyk wina.

- Spodziewam się, że będziesz walczył.

- Gdybym sądził, że to pomoże, na pewno bym to zrobił. - Dla niego przeciąganie sprawy nie było równoznaczne z walką.

Uśmiechnęła się do niego chłodno i spytała prowokująco:

- Gdybyś sądził, że przejmiesz Morgan's Walk? Może to chciałeś powiedzieć?

- Flame, nie zaprosiłem cię tutaj, żeby rozmawiać o Morgan's Walk.

- Naprawdę? - W jej głosie zadźwięczał sceptycyzm.

- Chciałbym porozmawiać o nas.

- Nie ma żadnych „nas”, jeśli masz na myśli siebie i mnie. - Przerwała na chwilę i spojrzała na niego z błyskiem drwiny i rozbawienia. - Oczywiście mówiąc „nas”, mogłeś mieć także na myśli siebie i Morgan’s Walk.

- Już raz przyznałem przed tobą, że popełniłem błąd, nie mówiąc ci o tym, że Hattie Morgan jest moją ciotką i że dziedziczyłbym w spadku Morgan’s Walk, gdyby nie dowiedziała się o twoim istnieniu. Błędem było także to, że nie powiedziałem ci, jak bardzo zależy mi na tej ziemi. Ale to jeszcze nie był mój największy błąd - mówił ostrożnie dobierając słowa. - Moim największym błędem było to, że pragnąłem obydwu rzeczy naraz. Byłem chciwy, Flame. Nie kłamałem, kiedy powiedziałem ci, że cię kocham. Gdyby nie było Morgan’s Walk, też chciałbym, żebyś została moją żoną.

Po jej twarzy przemknął cień zdziwienia, może zaskoczenia. Ale natychmiast zastąpił je wyraz ostrożnego zwątpienia. Przyglądała się uważnie i badawczo jego twarzy. Po kilku sekundach z cynicznym grymasem warg spuściła wzrok na kieliszek z winem.

- Oczywiście możesz coś takiego powiedzieć, prawda Chance? Brzmi prawie przekonująco. Jest tylko jeden mały problem: - Morgan’s Walk istnieje. I zawsze będzie istniało. Więc nie ma o czym mówić. - Podniosła kieliszek i spojrzała na niego kpiąco. - Ty to masz szczęście.

- Chyba nie, skoro straciłem ciebie i ziemię - ripostował gładko.

- Może masz rację - przyznała, znowu badając go wzrokiem. - Ale to jeszcze nie koniec, prawda? Wciąż jeszcze możesz podważyć testament Hattie. Kto wie? Może nawet wygrasz sprawę.

Siedział naprzeciw niej, cieńmy i elegancki, w świetnie skrojonym granatowym garniturze w drobne prążki i jasnym jedwabnym krawacie. Miękkie światło świec wydobywało płaszczyzny i wklęsłości jego rzeźbionej twarzy, nadając jej wygląd wyrazistej płaskorzeźby. Dziś wieczorem bardziej niż

kiedykolwiek wyglądał na hazardzistę, człowieka, który miał odwagę robić to, o czym inni tylko marzyli. Był mężczyzną, który żył na granicy ryzyka i czerpał z tego zadowolenie. Lecz tym razem Flame nie dała się temu uwieść; przypomniała sobie, że hazardziści są powszechnie znani z tego, że okradają i naciągają ludzi.

- Nie mam zamiaru podważać testamentu, Flame. Żadne z nas nie by przez to nie osiągnęło poza uwikłaniem się w długoletni proces i wydaniem fortun na honoraria adwokatów.

Trochę się odprężyła, uświadamiając sobie, że nie stać jej na wydanie mu bitwy w sądzie. Tu miał nad nią niezaprzeczalną przewagę; mógł wydać dziesięć tysięcy razy więcej niż ona i nie zauważyć najmniejszej luki w swoim budżecie. Ale jednocześnie nie śmiała wierzyć, że Chance rzeczywiście mówi prawdę.

- Zawsze jednak można zmienić plany, prawda Chance? - rzuciła prowokująco, wiedząc, że ma tylko jedną szansę: zwodzić go tak długo, aż Benowi Canonowi uda się uregulować sprawę własności Morgan's Walk, nad czym pracował teraz w niezwykłym pośpiechu.

- To możliwe - zgodził się - ale wysoce nieprawdopodobne.

- Widzę, że nie odrzucasz tej możliwości - zauważyła.

- Nie odrzucam niczego. I chciałbym cię przekonać, żebyś zrobiła to samo.

- Ja? - Zdziwiła się, niepewna, co chciał przez to powiedzieć.

Popatrzył na nią, a w jego wzroku pojawiła się jakaś niepokojąca siła i ożywienie.

- Czy ani razu nie przyszło ci do głowy, że mogę mówić prawdę, że mogę być rzeczywiście w tobie zakochany i że ożeniłbym się z tobą bez względu na to, czy jesteś krewną Hattie, czy nie? - Zaczęła już coś mówić, ale uciał krótko. - Nie chcę, żebyś na to odpowiadała. Chcę tylko, żebyś rozważyła to

sobie jako jedną z możliwości. Nic więcej. W przeciwnym razie będziemy się tu sprzeczać cały wieczór. Zawrzyjmy rozejm: ja nie będę próbował przekonać cię, żebyś zmieniła o mnie zdanie, a ty nie będziesz wracała do tematu Morgan's Walk ani do tego, jak to chciałem cię przy tej okazji oszukać. Zgoda?

Flame zawahała się, nie do końca przekonana, czy jest to z jej strony rozsądne. Lecz odmowa mogła pokazać jej słabość.

- Czemu nie? - odparła. - Przynajmniej zjemy spokojnie kolację.

Chance uśmiechnął się.

- Skoro już mowa o kolacji, to może byśmy tak coś zamówili. Słyszałem, że mają tu znakomity kotlet z jagnięcia.

Wieczór okazał się być znacznie cięższą próbą, niż Flame przypuszczała. Zapomniała po prostu, jak bardzo ujmujący potrafi być Chance. Kilka razy złapała się na tym, że reaguje na jego uwodzicielski uśmiech, na leniwy błysk w oczach. Przyzwyczajenie, ot i wszystko - zakorzeniona reakcja na ten sam bodziec. I choć te mimowolne reakcje dobrze służyły celowi Flame, wzmagały bowiem w Chansie nadzieję, że ją odzyska, jeśli tylko będzie wystarczająco uparty - to było w nich pewne niebezpieczeństwo.

Kiedy zaproponował drinka po kolacji, odmówiła. Swego czasu może wykorzystalaby tę okazję, żeby przedłużyć spędzane razem chwile, lecz to już minęło. Teraz usprawiedliwiała się porannymi obowiązkami i pracą, którą musi jeszcze dzisiaj wykonać. Chyba nie uwierzył, ale nie miało to dla niej specjalnego znaczenia. Niech myśli, że przed nim ucieka.

Chance nie ułatwił jej rozstania, upierając się, że odprowadzi ją do taksówki. Musiała czekać, aż przywoła kelnera i podpisze czek. Kiedy przechodzili przez hol, a jego ręka spoczywała na jej plecach, osaczyły ją wspomnienia innych czasów, gdy jechała z nim windą na górę, do jego

apartamentu. Ogarnął ją gniew i zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, jak dała się nabrać na jego zręczne kłamstwa. Nigdy więcej!

Na zewnątrz, w chłodzie nocy, szwajcar zagwizdał na taksówkę. Ale to Chance otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Dziękuję za kolację - powiedziała i zaczęła wsiadać.

Zatrzymało ją dotknięcie ręki na ramieniu.

- Flame, chciałbym się z tobą znowu zobaczyć. - Nie była to prośba ani pretekst. Po prostu zakomunikował jej swoje pragnienie.

Spojrzała na niego, odnotowując intensywność jego spojrzenia. Tę samą, z powodu której uwierzyła kiedyś, że ją kocha.

- Nie wiem.

- Rano lecę do Tahoe, żeby sprawdzić tam moje inwestycje - powiedział. - Może pojechałabyś ze mną?

- Twoim samolotem? Żebyś mógł mnie oczarować i porwać gdzieś daleko na burzliwy, romantyczny weekend? Nie, dziękuję - oświadczyła, stanowczo potrząsając głową. - Raz już przez to przesłam.

- W takim razie, może tam dojedziesz? - nalegał.

Zawahała się, po czym odsunęła się od niego i wślizgnęła się do taksówki.

- Zastanowię się.

I choć Chance nie był zachwycony tą odpowiedzią, to - tak jak się spodziewała Flame - nie usiłował wydobyć z niej nic bardziej konkretnego.

Szklana tafla jeziora odbijała szafirowy błękit nieba i szczyty gór Sierra przystrojone w białe śnieżne czapeczki. Ale ten pocztówkowy krajobraz mącił nierówny huk maszyn i warkot młotów pneumatycznych. Wszyscy się uwijali, żeby postawić i zamknąć stalowe konstrukcje, zanim spadnie pierwszy obfity zimowy śnieg.

W kasku ochronnym na głowie Chance szedł pomiędzy kupami gruzu po budowie wysokiego hotelu. Po jednej ręce miał inżyniera budowlanego, po drugiej - architekta. Z tyłu szedł kierownik robót, wykonawca robót stalowych i jego pomocnik. Chance zatrzymał się, żeby zobaczyć, jak dźwig przenosi stalową belkę i ustawia ją na miejscu, po czym zapytał architekta o liczbę samochodów, które można będzie parkować poniżej wjazdu do hotelu. Musiał krzyczeć, żeby jego głos przebił się ponad zgiełkiem.

Jakiś spawacz podązał co tchu przez plac budowy, machając ręką, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Chance dostrzegł go, zatrzymał się i poczekał, aż mężczyzna się zbliży.

Szef spawacza wysunął się do przodu, żeby przyjąć od niego wiadomość i zagroził mu drogę.

- O co chodzi?

Mężczyzna popatrzył na Chance'a i wskazał przez ramię na przyczepę, w której znajdowały się biura.

- Tam jest jakaś kobieta, chce się z panem zobaczyć, panie Stuart - krzyknął robotnik.

Chance gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na przyczepę. Na chwilę wszystko w nim zamarło. Flame. Przyjechała. Bez słowa ruszył w tamtym kierunku. Stawiał coraz szybsze i dłuższe kroki. Nacisnął kłamkę, mając przed oczami jej wyraźny, żywy obraz; obudziły się wszystkie gorące pragnienia.

Wszedł do środka i stanął jak wryty.

- Lucianna! - Był wściekły, sfrustrowany, gorzko rozczarowany, wszystko to dało się słyszeć w jego głosie. - Co ty tu robisz?

- Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć, cóż by innego? - Podeszła do niego, cała w gorących uśmiechach. Chwytał ją za ręce i powstrzymał przed

pocałunkiem, którym chciała go obdarować. - Sam powiedział mi, że tu jesteś. Nie bądź na niego zły. Martwi się o ciebie. Chciał ci pomóc. Teraz powinieneś mieć dokoła siebie przyjaciół.

- Trzeba było najpierw zadzwonić - powiedział sztywno. - Zaprosiłem tutaj Flame.

- Cudownie. - Lucianna wzruszeniem ramion podkreśliła swój brak zainteresowania i uśmiechnęła się. - Kiedy przyjedzie, obiecuję ulotnić się bez śladu.

Ale Flame nie przyjechała.

### 33

Miała na sobie długi, popielaty zakiet, który rozszerzał się nieco ku dołowi, a pod nim sukienkę z golfem o podobnej linii. Kiedy wchodziła do biura Karla Bronsky'ego w Thurgood Engineering, z jej ruchów bił zapach, którego nawet nie próbowała ukryć. Odruchowo podążyła wzrokiem do stołu kreślarskiego w rogu pokoju, potem zerknęła na leżące na biurku zwoje projektów, w końcu zatrzymała spojrzenie na szczupłym, opalonym mężczyźnie, wychodzącym zza biurka, żeby ją powitać.

- Miło mi znowu panią widzieć, pani Bennett. Proszę, niech pani usiądzie. - Karl Bronsky był czterdziestokilkuletnim mężczyzną o piegowatej twarzy i łagodnym spojrzeniu. Miał zwyczaj potakiwania głową podczas rozmowy, co właśnie robił w tej chwili. - Na moście Bay musi być morderczy ruch. Zawsze tak jest w piątki; wszyscy chcą się wyrwać za miasto na weekend.

- Tak, rzeczywiście. - Flame nie miała zamiaru marnować czasu na uprzejmości czy uwagi o ruchu i pogodzie. - Kiedy rozmawialiśmy dziś rano, zasugerował pan, że właśnie zakończył pan przegląd planów, które tu zostawiłam.

- Skończyłem. - Znowu zdecydowanie skinął głową, przechodząc na drugą

stronę biurka.

- I co pan o nich sądzi?

- Co sędzę? Wydaje mi się, że jest to cholernie ambitne przedsięwzięcie, proszę wybaczyć to sformułowanie. Takie, co to każdy inżynier marzy, żeby je choćby raz w życiu zrealizować.

- W takim razie... - Przerwała, starannie dobierając słowa. - Nie znalazł pan w nich żadnego słabego punktu.

- Proszę zrozumieć, pani Bennett, to wszystko jest jeszcze w początkowym stadium. To nie są szkice gotowych obiektów. Nie chciałem przez powiedzieć, że nie są przemyślane. Oczywiście są. Według mnie jest to z pewnością projekt możliwy do wdrożenia.

- Rozumiem. - Starła się ukryć rozczarowanie.

- A więc, prosiła pani, żebym skupił uwagę na planach zapory. - Zaczął szukać w pliku zwiniętych projektów i szkiców, leżących na jego biurku. - Jak zapewne pani wie, nigdzie nie ma nazwy firmy odpowiedzialnej za sporządzenie planów ani żadnej wzmianki o miejscu, którego dotyczą.

- Wiem. - Zanim przekazała mu je do ekspertyzy, upewniła się, czy wszystkie odnośniki zostały usunięte. Nie chciała ryzykować. Ktoś z Thurgood Engineering mógłby znać kogoś z firmy, która pracuje dla Chance'a. Ludzie z branży zwykle się znają, a Flame nie chciała, żeby druga strona dowiedziała się przypadkiem, że ona jest w posiadaniu tych planów.

- W każdym razie, nie wiem, kto wykonał plany zapory, ale wydaje się, że jest to osoba bardzo kompetentna, a raczej grupa osób. - Rozwinął jeden z zestawów i położył na rogi przycisk do papieru, futerał na ołówki, zestaw piór i zszywacz. - Prawdę mówiąc, tylko w jednym miejscu miałbym pewne zastrzeżenia. Nie chcę powiedzieć, że ten ktoś się myli. Trudno odgadnąć czyjeś zamiary, gdy nie jest się w posiadaniu wszystkich informacji.



- Do czego miał pan zastrzeżenia? - Flame zauważyła, że Bronsky rozwinął ogólny plan terenu.

Pochylił się nad nim z lekko zakłopotaną miną, która kładła się cieniem na słoneczne, pogodne piegi.

- Wspomniała pani, że ta dolina jest pani własnością, a ci ludzie zwrócili się do pani z propozycją realizacji tego olbrzymiego przedsięwzięcia.

- Tak.

- Rzeczą, której nie mogę zrozumieć, przynajmniej nie przy obecnym stanie informacji, jest to, dlaczego wybrali właśnie to miejsce na budowę zapory i dlaczego chcą zatopić całą dolinę?

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Próbowała opanować nagły przyływ nadziei, powtarzając sobie, że na to jest zbyt wcześnie. - A gdzie indziej mogliby ją postawić?

- Ponownie muszę pani przypomnieć, pani Bennett, że nie widziałem tej okolicy. Opieram się wyłącznie na tych planach. Ale kiedy się temu przyglądam, najbardziej logiczną lokalizacją zapory wydaje się ten przesmyk pomiędzy wzgórzami. - Wskazał na planie miejsce położone kawałek na północ od obecnej lokalizacji. - A to oznacza, że cała ta część doliny pozostałaby nienaruszona.

Flame zorientowała się, że w tym właśnie miejscu znajduje się dom i budynki gospodarcze. Wpatrywała się w mapę, przez chwilę zbyt zaszokowana, by w jakikolwiek sposób zareagować.

- Proszę pomyśleć o polach golfowych i klubie, które można by tu zlokalizować. To byłoby piękne uzupełnienie dla reszty przedsięwzięcia. - Wybiegł myślami naprzód. - Naturalnie zmieniłoby to kształt jeziora, rozlewałoby się w tej dolinie bardziej na pomocny zachód. Według mnie, jest to lepsza lokalizacja dla przystani i hotelu, te wzgórza osłoniłyby go od

wiatrów. Zmiana położenia zapory otwiera całą gamę różnorodnych możliwości. Mogłaby pani pokusić się o zbudowanie lądowiska dla prywatnych samolotów, a co jak taka inwestycja przyciągnie ludzi, którzy mają własne środki komunikacji powietrznej. W obecnym kształcie, trzeba by zlikwidować jedno wzgórze żeby poprowadzić drogę powietrzną do lądowiska. Ze względu na koszty z pewnością byłoby to nieopłacalne.

- W takim razie dlaczego... - Ale dobrze wiedziała dlaczego. Chance nienawidził Morgan's Walk. Chciał je zniszczyć. Chciał, żeby się znalazło na samym dnie jeziora.

Karl Bronsky wyprostował się. Dwie cienkie linie pojawiły się na jego czole

- Nie powinienem się był tak rozpędzać. Raz jeszcze muszę podkreślić że inżynier, który sporządził te plany i wybrał tę lokalizację, a nie tę, o której mówiłem, mógł mieć bardzo poważne powody.

- Na przykład?

- Próbné wiercenia mogły wykazać, że w tym miejscu nie można zbudować zapory bez wznoszenia kosztownych umocnień. Być może tu można umocować ją do skalnego podłoża za niewielkie pieniądze. - Wzruszył ramionami, sugerując niezliczoną liczbę możliwości. - Bez wizji lokalnej i niezbędnych testów mogę jedynie zgadywać, pani Bennett.

- Panie Bronsky - powoli wymawiała słowa, rozpatrując w myślach wszystkie możliwości, nawet te najbardziej nieprawdopodobne. - Czy mógłby pan w ciągu najbliższych dwóch tygodni wybrać się ze mną do Oklahomy i osobiście obejrzeć posiadłość?

- Oklahoma... czy tam właśnie znajduje się ten teren? - zapytał, po czym odetchnął głęboko, rozpatrując propozycję klientki z wyraźnym zainteresowaniem. - Myślę, że mógłbym wykroić ze dwa dni w moim planie

zająć,

- Świetnie, bo chciałabym wiedzieć, czy jest absolutnie konieczne, żeby cała moja ziemia znalazła się pod wodą. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Nie znaczy to, że nie mam zaufania do tego inżyniera, ale chciałabym znać jeszcze jedną opinię.

- Wcale się nie dziwię. Prawdę mówiąc, jest to zapewne bardzo rozsądne z pani strony.

Sygnalizacja świetlna zmieniła się na czerwoną i limuzyna łagodnie zatrzymała się przed przejściem dla pieszych. Z tylnego siedzenia Flame przyglądała się, jak tramwaj podzwaniając przetoczył się przez skrzyżowanie. Przeniosła leniwie wzrok na kierowcę Malcolma, Artura, oddzielonego od miejsca dla pasażerów opuszczaną, szklaną przegrodą. Nastawił radio na jedną ze stacji z lekką muzyką i kojąca melodia starego Andre Previna cicho płynęła przez stereofoniczne głośniki.

Flame odwróciła spoczywającą na oparciu głowę i uśmiechając się lekko popatrzyła na Malcolma.

- Wydaje mi się, że zasnę, jak tylko zaniknę oczy.

Bruzda w jego policzku pogłębiła się, a w oczach błysnęło rozbawienie.

- Myślałem, że już to zrobiłaś.

- Po takim wspaniałym obiedzie nie możesz mnie za to winić. - Uśmiech na jej twarzy pogłębił się, ale wspaniałe uczucie rozleniwienia pozostało, sprawiając, że czuła się pełna i przesycona. - Teraz byłabym gotowa głosować za partią walczącą o wprowadzenie poobiedniej sjesty, gdyby taka istniała.

Z charakterystyczną dla siebie przenikliwością Malcolm badawczo przyjrzał się jej twarzy.

- Rzeczywiście wyglądasz na zmęczoną.

Nie zaprzeczyła.

- Przez ostatnie dziesięć dni byłam bez przerwy w biegu. Musiałam wszystko pozalać, żeby móc jutro wyjechać do Tulsy. Dziś pierwszy raz od wielu dni mogę usiąść spokojnie i trochę się zrelaksować, i za to muszę ci podziękować.

- Tulsa. To rejon Stuarta - zauważył, uważnie obserwując jej reakcję na dźwięk tego nazwiska.

Flame uśmiechnęła się obojętnie.

- Nie ma wyłączności na to miasto, Malcolmie.

- Zamierzasz się z nim zobaczyć, kiedy tam będziesz? - zapytał, wiedząc, że i tak się już z nim spotkała.

- Możliwe. - Wprawdzie zgodziła się zobaczyć z Chance'em, ale to jeszcze nic nie przesądzało. Zdarzało jej się już odwoływać spotkania. - To zależy od mojego planu zająć. Jest wiele prawnych spraw dotyczących posiadłości Hattie, które muszą załatwić, dokumenty do podpisania i tak dalej.

Nie wspomniała, że inżynier Karl Bronsky przylatuje do Tulsy następnego dnia po niej, żeby się z nią spotkać i obejrzeć Morgan's Walk, a w szczególności lokalizacje proponowane pod budowę zapory. Jeszcze musiała ukrywać przed Malcolmem powody swojego rozstania z Chance'em oraz walkę, która ją czekała, żeby powstrzymać go przed przejęciem ziemi, dla której ją poślubił.

Malcolm zasepił się, w zamyśleniu mrużąc oczy.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się z nim widzisz, skoro cały czas Sierdzisz, że między wami wszystko skończone.

We wzroku Flame pojawiła się żartobliwa przygana.

- Mówisz tak, jakby Chance nie odstępował mnie na krok. Widziałam się z nim tylko dwa razy. I wbrew temu, co ostatnio słychać na mieście, nie ma

mowy o żadnych powrotach.

W jej głosie nie było śladu wahania. Czy rzeczywiście nic już do niego nie czuła? - zastanawiał się Malcolm.

To prawda, że już nie reagowała tak nerwowo na samo wspomnienie jego imienia, ale kiedy była mowa o Stuarcie, w jej oczach zapalał się jeszcze mściwy blask.

Światło zmieniło się na zielone i limuzyna ruszyła łagodnie.

- Jak długo zatrzymasz się w Tulsie?

- Tylko na weekend. Wracam w poniedziałek. - Spojrzała na Malcolm z zaciekawieniem. - Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałem się, jakie masz teraz plany, jako kobieta posiadająca i niezależna finansowo. - Uśmiechnął się, żeby pokryć swoje niezadowolenie z powodu jej wyjazdu do Tulsy i perspektywy jej spotkania ze Stuartem - Czy to nie są przymiarki do przeprowadzki na stałe?

Realna możliwość, że mogłaby wyprowadzić się tak daleko - być poza jego wpływami - trapiła go od chwili, gdy Flame powiedziała mu, że odziedziczyła dużą posiadłość i ranczo w Oklahomie.

- Skromnie niezależna finansowo - poprawiła go żartobliwie. - Z pewnością nie wystarczająco, by nakłonić mnie do zrezygnowania z pracy w agencji.

- To dobrze. - Malcolm uśmiechnął się z nieskrywaną ulgą. - Nie będą musiał współpracować z nikim nowym.

Popatrzyła na niego kpiąco.

- Jeszcze chwila, a zaczniesz mnie przekonywać, że interesują cię we mnie przede wszystkim przymioty umysłu.

- Muszę przyznać, że twoje towarzystwo niewątpliwie wzbogaca mnie intelektualnie - odparł, dostosowując się do jej przekornego tonu, potem przerwał i powoli przesunął wzrokiem po jej kobiecych kształtach. - Niestety

nie miałem okazji przekonać się, na ile mogłabyś mnie „wzbogacać”... w inny sposób.

Flame wybuchła śmiechem.

- Nigdy się nie poddajesz, prawda Malcolmie? Gdyby upór był cnotą, byłbyś najbardziej cnotliwym mężczyzną, jakiego znam.

Uśmiechnął się szeroko.

- To się nazywa zameńczyć przeciwnika.

- Z pewnością jesteś ekspertem na tym polu - oświadczyła Flame, wciąż jeszcze odrobiną rozbawiona.

Twarz Malcolma spoważniała i pojawiło się na niej pożądanie.

- Chcesz powiedzieć, że wreszcie posuwam się do przodu?

Zaczęła zaprzeczać, lecz nagle spojrzała na niego i uświadomiła sobie, jak dobrze i swobodnie czuła się w jego towarzystwie przez ostatnie dwie godziny. A to się tak rzadko zdarzało w jej życiu, podobnie jak to gwałtowne podniecenie, którego doznawała z Chance'em.

- Nie wiem, Malcolmie - I to była najuczciwsza odpowiedź, na jaką mogła się zdobyć.

Malcolm milczał, podniósł tylko jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek. Limuzyna zatrzymała się przed biurami agencji. Artur wysiadł i otworzył przed Flame tylne drzwi, wyciągając ręką, żeby jej pomóc. Wysunęła dłoń z uścisku Malcolma i wysiadła.

- Dziękuję za obiad... i towarzystwo - powiedziała, odwracając się do Malcolma.

- Porozmawiamy w przyszłym tygodniu, po twoim powrocie z Tulsy. - W jego oczach bardziej niż zwykle zabłysło pożądanie.

Flame odwróciła się powoli i zamyślona poszła w kierunku budynku.

W niedzielne popołudnie Flame odprowadziła piegowatego Karla Bronsky'ego do frontowych drzwi Morgan's Walk. Zakończył właśnie wstępne oględziny terenu. Na zewnątrz czekał Charlie Rainwater, żeby odwieźć go na lotnisko.

- Bardzo dziękuję za gościnność - powiedział inżynier. - Mam nadzieję, że się zbytnio nie narzucałem.

- Ależ skąd - zapewniła Flame. - Porozmawiamy, kiedy wrócę do San Francisco.

- Dobrze. - I już go nie było.

Przepelniona uczuciem triumfu, Flame zamknęła za gościem drzwi i odwróciła się, ledwie panując nad podnieceniem. Wtedy w holu dostrzegła Maxine, która przyglądała się jej badawczo.

- Czy pan Bronsky już wyjeżdża? - Gospodyni zmarszczyła czoło.

- Tak. - Flame natychmiast wzmogła czujność, przypominając sobie ostrzeżenie zarządcy, że Hattie od wielu lat wątpiła w lojalność Maxine. Według niego, gospodyni nigdy nie robiła z tego sekretu, że jej sympatie są po stronie Chance'a. Jeśli były jakieś przecieki z Morgan's Walk, Maxine była prawdopodobnym źródłem. - Charlie zawozi go na lotnisko, żeby zdążył na samolot.

- Coś mi się wydaje, że szkoda było jego czasu na ten przyjazd - oświadczyła. - Przyjechał wczoraj wieczorem w porze kolacji, potem wyruszył z samego rana z Charliem i większość czasu ich nie było. Chyba nie spędził z panią nawet godziny. To trochę dziwny sposób traktowania gospodyni, jeśli chce Pani znać moje zdanie.

- Karl jest mieszcuchem. Nigdy przedtem nie był na ranczo i nie widział pracy w polu. Z pewnością go to zafascynowało. Może jako chłopiec marzył, żeby zostać kowbojem. - Flame wzruszyła ramionami, żeby podkreślić swój

brak zainteresowania.

- A czym on się zajmuje? - zapytała z zaciekawieniem Maxine.

- Tym, czym każdy mieszczuch, pracuje w biurze, zamknięty w czterech ścianach.

Jeśli nawet Maxine zauważyła, że Flame unika odpowiedzi, nie dała tego po sobie poznać.

- Ben czeka w bibliotece, żeby się z panią zobaczyć.

- Czy mogłabyś przynieść...

- Już mu zaniiosłam dzbanek kawy z dodatkową filiżanką dla pani.

- Dziękuję Maxine, to byłoby wszystko. - Długimi, rozkołysanymi krokami Flame przecięła hol i podążyła korytarzem do biblioteki. Jej humor znowu się poprawił, przepełniała ją poczucie triumfu.

Weszła do biblioteki i obróciła się płynnie, zamykając za sobą skrzydłowe drzwi. W kominku, wesóło trzaskając, buzował ogień. Harmonizował z jej podnieceniem i ożywieniem. Podeszła do biurka, za którym siedział Ben Canon. Jego drobna sylwetka wydawała się jeszcze mniejsza w zestawieniu z masywnym meblem. Zatrzymała się nagle, kiedy spostrzegła tacę z kawą i jakieś dokumenty rozłożone przed nim na stole.

- A gdzie są plany?

- Zwinąłem je i ustawiłem w rogu. - Przechylił swoją łysiejącą głowę w prawo i wskazał za siebie, na oparty o półki rulon, częściowo przesłonięty orzechowym stojakiem, podtrzymującym globus.

- Mam nadzieję, że Maxine ich nie widziała.

- Nie. Odłożyłem je tam, zanim przyniosła kawę.

- To dobrze. - Flame odprężyła się nieco.

- Czy pani znajomy, inżynier, już szczęśliwie wyruszył?

Skinęła odruchowo głową, rozkładając z powrotem na biurku plany



okolicy.

- Charlie zawiózł go na lotnisko. Obawiam się, że Karl zamęczył dzisiaj biednego Charliego tym chodzeniem. - Cień uśmiechu przemknął po jej wargach. - Z tego co mówił, Karl sprawdził każdy metr wzgórz w obu proponowanych lokalizacjach i nawet zszedł na dół, żeby przyjrzeć się brzegom rzeki. Tuż przed wyjazdem Karl powiedział mi, że wizja lokalna nie dostarczyła mu żadnego dowodu na to, że tama nie mogłaby być zbudowana bardziej na pomoc. Upoważniłam go do przeprowadzenia wszelkich niezbędnych wierceń próbnych. Poprosiłam go także, by przywiózł ekipę z wybrzeża i nie zatrudniał żadnych miejscowych ludzi. Nie chcę, żeby Chance dowiedział się czegoś o naszych zamiarach.

- A jakie są nasze zamiary? - Ben Canon odchylił się w fotelu, zaplótł pulchne ręce na piersiach i zaintrygowany przyglądał się badawczym wzrokiem nowej właścicielce Morgan's Walk. - Nie sądzi pani, że powinienem je znać, jako pani adwokat?

- Chcę udowodnić, że ta druga lokalizacja zapory jest możliwa. Ostrzegł mnie już pan przed politycznymi wpływami Chance'a. Jeśli będziemy musieli bronić się przed wywłaszczeniem, to może być nasz argument, alternatywa dla jego propozycji, która przynajmniej uratuje dom i część doliny.

Miała też inny pomysł; nosiła się z nim od chwili, gdy Karl Bronsky powiedział jej o możliwości drugiej lokalizacji pod zaporę, lecz nie wspomniała o nim Benowi Canonowi. Wiedziała, jak szaleńczo, jak nieprawdopodobnie by to zabrzmiało. I pewnie było to szaleńcze i nieprawdopodobne, ale Flame nie mogła przestać o tym myśleć.

- To może się udać. - Ben Canon powoli, w zamyśleniu skinął głową. - Czy to wszystko?

- Zastanawiałam się nad czymś jeszcze - przyznała i przysunęła adwo-

katowi plany okolicy. - Ta dolina tutaj, na pomocnym zachodzie... nie wygląda na to, żeby należała do Chance'a, i nic nie wskazuje na to, że zamierza ją kupić. Chciałabym wiedzieć, kto jest właścicielem.

- Prawdopodobnie należy do Starretów, ale wpadnę do sądu okręgowego i sprawdzę na liście podatników, żeby się upewnić.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby nie robił pan tego osobiście, Ben. Jeśli Chance się dowie, może zacząć się zastanawiać, dlaczego się pan tym interesuje, a nie możemy odkryć przed nim naszych kart.

- Zupełnie jakbym słyszał Hattie - zauważył adwokat, po czym zasapał radośnie. - Przewraca się pewnie teraz w grobie, wiedząc, że zaprosiła pani Stuartha na kolację.

- Możliwe - Flame przytaknęła, zwijając z powrotem plany. - Możliwe też, że zaaprobowałaby to. - To byłoby już trzecie spotkanie z Chance'em, a pierwsze nie w miejscu publicznym. Tym akurat zupełnie się nie przejmowała. Była pewna, że sobie z nim poradzi, nawet jeśli czasami ją jeszcze pociągał. Nie, to nie on ją pociągał, poprawiła się szybko. Pociągały ją wspomnienia tego, jak było między nimi, zanim odkryła, że ją wykorzystuje. To wrażenie miłości i bycia kochaną było wtedy bardzo potężne.

Ben Canon pochylił się do przodu na swoim krześle. W kącikach ust uwidoczniło się rzadkie u niego przygnębienie.

- Dobrze byłoby przekonać Stuartha, żeby odsłonił karty.

Wiedząc, że Canon jest bardzo dobrym prawnikiem i nie mówi nic bez powodu, Flame spojrzała szybko w jego kierunku. Zauważyła, jak bardzo skoncentrowany jest na leżących przed nim papierach, tych samych, które przeglądał, kiedy weszła do pokoju.

- Jest coś, o czym nie wiem, Ben? O co chodzi?

- Jak pani zapewne wiadomo, zakończono spis i wycenę całego mienia

Hattie, wraz z wykazem wszystkich ważniejszych długów, w tym hipotecznego i weksli bankowych. Kiedy je przeglądałem, żeby ustalić wartość posiadłości, natrafiłem na coś, co mnie trapi.

- Co takiego?

- Zeszłej wiosny bank sprzedał dług hipoteczny Morgan's Walk.

Zamarła w bezruchu.

- Komu? Chance'owi?

- Nie wiem i to właśnie mnie niepokoi. Mam nazwę korporacji, która jest właścicielem długu, ale nie mogę dojść nazwiska prawdziwego właściciela, co każe mi przypuszczać, że na końcu labiryntu spółek akcyjnych i prywatnych przedsiębiorstw powierniczych znajdę Chance'a. Niestety, nie mogę tego udowodnić.

Flame odwróciła się, z goryczą zdając sobie sprawę, jak kruche i ulotne może być poczucie zwycięstwa.

- Stuart wie, jak załatwiać takie sprawy, prawda?

- Można tak powiedzieć.

- Domyślam się, że może zażądać spłaty wszystkich długów hipotecznych?

- Może, i co bardzo prawdopodobne - zrobi to.

- A co z pieniędzmi z polisy ubezpieczeniowej na życie Hattie?

- Wystarczy, żeby zapłacić podatek za posiadłość i utrzymać ją przez jakies sześć miesięcy. Obawiam się, że jedynym sposobem na spłacenie długu Chance'owi jest poszukanie sobie jakiegoś źródła pożyczki. I tu muszę być z panią szczery, Flame, to wcale nie będzie łatwe.

- Dlaczego? Ranczo jest tego warte.

- Rzeczywiście ma wartość. Lecz ewentualny kredytodawca zwróci przede wszystkim uwagę na sposób zarządzania i możliwości spłaty, zwłaszcza że ostatnio podupada tak wiele farm rodzinnych. A pani nie wie prawie nic o

prowadzeniu rancza.

- Ja nie, ale Charlie Rainwater...

- Jest stary. Na tyle stary, żeby przejść na rentę. Czas spojrzeć prawdzie w oczy, Flame. - Wręczył jej plik papierów. - Morgan's Walk jest już w tej chwili bardzo kosztownym drobiazgiem, szczególnie ten stary dom. Jak widać z tych zeznań podatkowych, ranczo przyniosło w ciągu ostatnich kilku lat niewielki dochód. I prawie wszystko z tego poszło na utrzymanie i koszty konserwacji tego budynku. - Przerwał na chwilę, a na jego twarzy pojawił się żal. - Wiem, jak bardzo Hattie kochała ten dom, i ja także, na swój sposób, walczyłem równie uparcie, jak ona, żeby nie wpadł w ręce Stuarta. Ale patrząc na to realistycznie, gdyby ten dom nie znajdował się tutaj, na wsi, radziłbym pani przekazać go jakiemuś lokalnemu towarzystwu historycznemu na muzeum czy cokolwiek innego, byleby pozbyć się kosztów utrzymania. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to złowieszczo, Flame, lecz jeśli na wiosnę zmniejszy się popyt na bydło, jeśli będą duże straty wśród cieląt, albo pogorszy się stan zdrowia Charliego, a pani nowy zarządca nie będzie tak sprytny jak on, może pani mieć kłopoty. Mówię pani to wszystko, żeby upewnić się, że ma pani świadomość, że będzie ciężko, szczególnie z tą sprawą długów hipotecznych.

- Rozumiem - mruknęła, po czym dorzuciła z kwaśną miną: - To znaczy, zaczynam rozumieć. - Przyglądała się dokumentom, które trzymała w dłoni. - Czy mogę to zatrzymać i przejrzeć?

- Jak najbardziej. - Ben skinął głową. - Te kopie należą do pani. - Postawił teczkę na blacie biurka i otworzył jej zatrask. - Mam tu kilka dokumentów, które trzeba podpisać. - Wyłożył je i podał Flame długopis. - Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia i Stuart nie będzie się wtrącał, Morgan's Walk wraz z przyległościami do końca tego tygodnia będzie należała do pani.

- Świetnie - powiedziała, choć właśnie w tej chwili nie była tego wcale taka pewna.

- Ach... i jeszcze coś. - Ben Canon ponownie sięgnął do teczki i wyjął wycinek z gazety. - To ukazało się ostatnio w jakiejś gazecie w Reno. Pomyślałem, że może to panią zainteresuje, na wszelki wypadek, gdyby Stuart robił jakieś problemy z unieważnieniem ślubu.

Fotografia w gazecie pokazywała uśmiechniętego Chance'a i rozradowaną Lucianę, a podpis pod zdjęciem brzmiał: *Magnat obrotu nieruchomości, Chance Stuart, i diwa Lucianna Colton są znowu razem. Widziani ostatnio na balu dobroczynnym na rzecz teatru...* Flame nie czytała dalej; zrobiło jej się na przemian zimno i gorąco z wściekłości. Całe to gadanie o tym, jak bardzo ją kocha i potrzebuje, jak bardzo pragnie, żeby do niego wróciła - i to nie ze względu na Morgan's Walk - wszystko to były kolejne kłamstwa. I dziś wieczór przychodzi tu, żeby jeszcze coś dorzucić.

Po kolacji Chance stał przed kominkiem w salonie, ze szklanką whisky w dłoni i wpatrywał się w płomienie, które tańczyły i strzelały na wysuszonych kłodach. Sceneria była przytulna - brandy i kawa dla dwojga, migocący blask ognia w kominku, niekrępujący spokój domu, przyciemnione światła.

Paliła się tylko pojedyncza lampa stojąca z abażurem w kształcie kopuły z frędzlami. Rozproszone światło żarówki spowijało miodowym blaskiem fotel, w którym lekko przechylona, z podkulonymi nogami, siedziała Flame. Chance odwrócił nieznacznie głowę i obserwował ją z ukosa.

Zwinięta w fotelu, przypominała mu zadowolonego kota. Rękawy swetra podciągnęła do góry, a luźne białe spodnie delikatnie podkreślały jej długie nogi. Bujna grzywa zaczesanych do tyłu, rudozłotych włosów opadała w lekkim nieładzie, ukazując cudowną i dumną twarz. Jej widok poruszał go do

głębi.

A jednak, kiedy teraz przyglądał się Flame, myślał zupełnie o czymś innym. Wciąż wracały do niego fragmenty rozmowy, jaką odbył dzisiaj z Samem.

- Chance, minął już cały miesiąc. Czy nie wydaje ci się, że nadszedł czas, żebyśmy zaczęli działać? - argumentował Sam. Z chłopięcych rysów jego twarzy można było wyczytać frustrację i irytację. - Nie podważyliśmy testamentu. Jeśli nie zrobimy czegoś w ciągu najbliższych dni, sąd przyzna jej Morgan's Walk. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Zamrożenie tytułu własności do tej ziemi niczego nie rozwiąże. Sam. Nie mam zamiaru z nią o to walczyć. Jest to moja ostateczna decyzja.

- Nie zamierzasz z nią walczyć o to, nie walczysz z nią w sprawie anulowania małżeństwa. Do jasnej cholery, Chance, wiem, że ją kochasz i chce u żeby do ciebie wróciła. Rozumiem to, ale co z Morgan's Walk?

- Co z Morgan's Walk?

Sam wzruszył bezradnie ramionami.

- Po prostu wydaje mi się, że pokładasz zbyt wielkie nadzieje w jej powrocie. Chciałem przez to powiedzieć, że nie robisz żadnych innych kroków żeby przejąć ziemię.

- Jeśli w tej chwili wykonam przeciwko niej jakiś ruch, mogę się pożegnać z myślą, że kiedykolwiek do mnie wróci. Będzie przekonana, że pragnę wyłącznie tej ziemi.

- Możliwe. - Sam, niezadowolony, westchnął ciężko. - Ale martwię się że tak dużo czasu już upłynęło. Nie mówię, że powinieneś zażądać spłaty długów hipotecznych, ale mógłbyś ją trochę przycisnąć, żądając sprawozdań finansowych i harmonogramu spłaty długów. Przyciśnij ją i trochę nią potrząśnij.

- Tą kobietą nie można trochę potrząsać; ją można tylko rozwścieczyć.

- Wydaje mi się, że popełniamy błąd nic nie robiąc. Jak długo jeszcze możemy sobie pozwolić na siedzenie z założonymi rękami?

- Tak długo, jak to będzie konieczne.

Sam popatrzył na przyjaciela.

- Chance, czy ty w ogóle robisz z nią jakieś postępy? Czy może to ona związała ci ręce i usiłuje cię przetrzymać?

Nie potrafił wtedy na to odpowiedzieć - podobnie jak teraz, kiedy zakręcił whisky w swojej szklance i wychylił ją prawie do końca.

- Napijesz się jeszcze? - Łagodny głos Flame poruszył jego zmysły. Ale zastanowiła go uprzejmość tego głosu.

- Nie. - Odwrócił się do niej i omiótł ją wzrokiem. Wydało mu się, że pod wpływem jego spojrzenia stała się jakaś niespokojna, jakby wzmogła się jej czujność; powieki przesłoniły zieleń oczu, a twarz przybrała maskę uprzejmości. - Podczas ostatnich czterech tygodni jedliśmy razem kolację, rozmawialiśmy, czasami nawet śmialiśmy się razem z czegoś. Więc dlaczego mam wrażenie, że nie mam z tobą żadnego kontaktu, że myślami jesteś gdzie indziej?

Powoli i z elegancją zsunęła nogi na podłogę, wstała z fotela, wsunęła ręce do kieszeni spodni i podeszła do kominka.

- Chyba zapomniałeś, że te spotkania były twoim pomysłem, a nie moim.

- To znaczy, że dla ciebie nic nie znaczyły, że żałujesz każdego uśmiechu, który ci się wymknął - naigrawał się, mówiąc ponad brzegiem uniesionej do ust szklanki. - A uśmiechałaś się do mnie. Zakładając oczywiście, że były to chwile słabości, chwile, kiedy przestawałaś mnie nienawidzić.

- Jeśli tak, to musiały być rzeczywiście rzadkie chwile - odparła chłodno.

Uśmiechnął się tylko i dokończył swoją brandy, potem podszedł do małego stolika i odstawił szklanę. Nie odwrócił się.

- Czego ty ode mnie chcesz, Flame? - Wszystkie jego zmysły stężały, kiedy czekał na odpowiedź. Ale nic nie usłyszał. Kiedy się znów odezwał, był Miski gniewu. - Czy mam się przed tobą czołgać? Błagać? Co mam robić?

- Nic od ciebie nie chcę, Chance. Absolutnie nic.

Odwrócił się. Flame stała do niego tyłem, zwrócona twarzą do ognia. Przyglądał się wysokiej, smukłej sylwetce; teraz, w blasku płomieni, przypominała wierzbę.

- Nie wierzę, że przestało ci na mnie zależeć, Flame. - Gdy podszedł i stanął za jej plecami, zauważył, jak stężała nagle, jak wzmogła się czujność, która miała ją przed nim bronić.

- A mnie nie obchodzi, w co wierzysz.

- Przeżyliśmy razem już tak wiele; uśmiechałaś się do mnie, dzięki mnie wybuchałaś śmiechem, gniewałaś się na mnie i, bez wątpienia, płakałaś przeze mnie.

- Skoro już wymieniasz wszystkie swoje osiągnięcia, nie zapomnij, że nauczyłeś mnie jeszcze nienawiści.

- Ale zależy ci na mnie. Nie jestem ci obojętny, tak jak ty mnie. - Dotknął miękko jej ramion; potem delikatnie położył na nich ręce. Powróciło wspomnienie dotyku jej ciała, choć jednocześnie poczuł, jak napięła się pod jego dłonią. Przysunął się skuszony jej bliskością i musnął wargami rude włosy, wdychając ich świeży zapach. - Tęsknię za tobą. - Nie chciał tego powiedzieć, ale skoro już się stało, wyrzucił z siebie całą resztę: - Zawsze wierzyłem, że kobieta powinna być dla mężczyzny wszystkim... albo niczym. Flame, ty jesteś dla mnie wszystkim. Wszystkim. - Jego dłonie wędrowały wzdłuż ramion Flame. W końcu zaplótł je przed nią i przyciągnął ją do sie-



bie. Odchyliła głowę na bok, jakby chciała się od niego odsunąć, ale on już odnalazł wygiętą w łuk szyję i pulsującą żyłkę. - Nigdy nie zaznałem miłości, nie miałem rodziny... nie w tym domu, kiedy tu dorastałem. Ty mnie nauczyłaś... pokazałaś mi, jak mogłoby być.

- Nie. - Nie była pewna, do czego odnosiło się to „nie”, do niego, do własnych wspomnień, do reakcji obudzonego przez niego ciała? Jego słowa, jego głos, jego dotyk, wszystko to robiło na niej wrażenie, krusząc bariery, które wzniosła przeciw niemu Nie opierała się, kiedy odwrócił ją do siebie i wziął w ramiona.

- Tak - Szybko przebiegł wzrokiem po jej twarzy.

Z tej odległości dostrzegł jej długie, lekko podwinięte rzęsy, wygiętą linię ust i maleńkie linie w kącikach, które sprawiały, że czasami - kiedy tego chciała - wyglądała na upartą i dumną. Była przyciśnięta do niego piersiami, więc wyczuwał pośpieszne uderzenia serca i szybki, płytki oddech. Nie widział jej twarzy opartej o jego ramię, jednak wyczuwał, że jest poruszona i niepewna - ona, której prawie się to nie zdarzało. Był zupełnie pewny - potrzebował jej, była dla niego miękkością i ciągłością, płomieniem i zieloną, chłodną głębią.

- Potrzebuję cię, Flame - wyszeptał i pocałował ją.

Jego wargi, gorące i zdecydowane, spadły na jej usta, a ona czy to dlatego, że dała się zaskoczyć, czy też pod wpływem nagłego impulsu - Chance nie był tego pewien - namiętnie odwzajemniła pocałunek.

Potem wydobyła się z jego objęć i odsunęła się poza zasięg jego rąk.

- Dobry jesteś, Chance - oświadczyła głosem lekko zachrypniętym z podniecenia. - Jesteś bardzo dobry. - Zastanawiała się, jak mogła choć przez chwilę zapomnieć, że on jest ekspertem w uwodzeniu kobiet. - Ale nie uda ci się, drugi raz już nie. Bo wiem, że to nie mnie pragniesz, tylko Morgan's

Walk.

- To są dwie różne sprawy.

- Naprawdę? - Wyjęła z kieszeni gazetowy wycinek, ten z fotografią Chance'a i Lucianny, i wręczyła mu świstek. - Właśnie widzę, jaki jesteś załamany naszym rozstaniem.

Spojrzał na zdjęcie i natychmiast z powrotem na Flame.

- To nie ma żadnego znaczenia. Lucianna jest starym przyjacielem. Przecież o tym wiesz.

- W takim razie, niech cię pocieszy. Jestem pewna, że jest w tym dobra.

- Do diabła, Flame... - postąpił krok naprzód.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli już sobie pójdziesz - powstrzymała go zimnym głosem. - Dostałeś kolację, dostałeś drinka i chwilę rozmowy, ale mnie nie dostaniesz.

Zawahał się. Widziała jego niezdecydowanie, widziała, że ma ochotę nalegać, wykorzystać jej słabość. Potem wyglądało na to, że zmienił zdanie. Zgniół w rękę wycinek z gazety i cisnął go do ognia.

- Dobrze, pójdę - powiedział. - Rozstrzygniemy to następnym razem.

Ale Flame wiedziała, że nie będzie żadnego następnego razu. Nie powiedziała mu tego. Chciała, żeby opuścił salon ze złudzeniem, że spotka ją gdzieś, kiedyś. Ale jej to nie było potrzebne. Zyskała już wystarczająco dużo czasu.

Kiedy usłyszała trzask zamykających się za Chance'em frontowych drzwi, odwróciła się do kominka i obserwowała, jak płomienie chciwie wystrzeliły w górę, żeby pochłonąć zmięty kawałek papieru. Przez chwilę ziarniste zdjęcie Chance'a i Lucianny, stojących ramię przy ramieniu, rozchyliło się i było dobrze widoczne. W następnej chwili zmieniło się w czarny popiół.

*D*wukrotnie po powrocie Flame do San Francisco Chance usiłował się z nią skontaktować, ale w obu przypadkach Flame była obłożona spotkaniami i nie pofatygowała się nawet, żeby odpowiedzieć na jego telefon. Wiedziała, że wcześniej czy później zorientuje się, że specjalnie go unika, ale nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Każdą wolną godzinę - każdą chwilę - poświęcała na spotkania, telefony i długie dyskusje z Karlem Bronskym i jego współpracownikiem, Devlinem Scottem. Rezultaty próbnych wierceń potwierdzały, że północna lokalizacja zapory jest zdecydowanie możliwa. Lecz dla Flame nie była to już broń przeciwko ewentualnym procedurom wywłaszczeniowym, które mógł zapoczątkować Chance. Pomocna lokalizacja stała się podstawą nowego, śmiałego przedsięwzięcia - planu, o którym nie rozmawiała jeszcze z nikim, poza Karlem Bronskym i Devlinem Scottem, planu, który sama wielokrotnie sprawdzała i udoskonaliała, dopóki nie była pewna, że jest gotowy. Nawet wtedy nie powiedziała Karłowi o wszystkim - na pewno nie o swoich najśmielszych planach.

Kiedy uznała, że wszystko jest już gotowe, Flame zdecydowała się wykonać ten najważniejszy telefon; mógł on nadać bieg sprawie albo osadzić ją w miejscu.

- Dzień dobry, Malcolmie. Tu Flame.

- Jeżeli dzwonisz, żeby odwołać nasz czwartkowy obiad, to chciałbym ci zwrócić uwagę, że robisz to drugi raz z rzędu.

- Nie po to dzwonię. - Czwartkowy obiad był ostatnią rzeczą, o której myślała. - Mam dla ciebie propozycję interesu, którą chciałabym z tobą przedyskutować.

- Interes. - Do jego głosu zakradła się nuta czujności. - A czego to dotyczy?

- To sprawa osobista. Nie ma nic wspólnego z agencją - powiedziała. - I

wolałabym raczej przedstawić ci ją osobiście, niż wyjaśniać wszystko przez telefon.

- Kiedy chcesz się ze mną spotkać?

- W każdej chwili - odparła. - Prawdę mówiąc, im wcześniej, tym lepiej.

- Co powiesz na dziś wieczór? - zaproponował. - Mam spotkanie o szóstej, ale przed ósmą powinienem być już wolny. Chyba nie pojedę do Belvedere, zanocuję w mieście, w moim apartamencie. Moglibyśmy się tam spotkać, powiedzmy, o ósmej trzydzieści.

Bez najmniejszego wahania Flame odpowiedziała:

- W takim razie ósma trzydzieści.

Kiedy odłożyła słuchawkę, usłyszała na wewnętrznej linii głos swojej asystentki:

- Flame, jest do ciebie telefon na drugiej linii, jakiś pan Canon z Tulsy. Odbierzesz? Czy mam mu przekazać, że oddzwonisz?

- Odbiorę. - Natychmiast podniosła słuchawkę i nacisnęła migoczący guzik.

- Dzień dobry, Ben.

- Właśnie miałem telefon, który może panią zainteresować.

- Od kogo? - spytała z ciekawością, pewna, że Chance nie dzwoniłby do niego.

- Od miejscowego pośrednika w handlu nieruchomościami. Chciał wiedzieć, czy nowy właściciel Morgan's Walk rozważa możliwość sprzedaży. Wygląda na to, że ma kupca w Teksasie, prawdopodobnie w Dallas, który jest zainteresowany posiadłością.

- Naprawdę? - mruknęła ze złością. - Mogę się założyć, że Chance za tym stoi. - Zirykowało ją, że Chance uważają za taką idiotkę.

- Jestem tego pewny - zgodził się Ben. - Wie, że jemu nigdy pani nie sprzeda. Jest bardziej niż prawdopodobne, że liczy na to, że sprzeda pani

komuś innemu, żeby zrobić mu na złość, szczególnie, jeśli oferta będzie interesująca finansowo. A jestem pewny, że będzie.

- Co pan powiedział pośrednikowi?

- W zasadzie nic.

- Proszę do niego zadzwonić i powiedzieć mu... - Opanowała pierwszy gniewny odruch i wpadła na pewien pomysł. - Proszę mu powiedzieć, że nie sądzi pan, żeby nowy właściciel był zainteresowany sprzedażą. Ale niech pan mu doradzi, żeby jego klient z Teksasu skontaktował się ze mną osobiście. Proszę mu zasugerować, że według pana dam się przekonać, jeśli suma będzie odpowiednio wysoka.

- Skoro tego sobie pani życzy.

- Właśnie tego. - Uśmiechnęła się lekko.

A więc są i inne sposoby, żeby związać Chance'owi ręce.

Miejski apartament Malcolma Powella, na osiemnastym piętrze wieżowca ze szkła i stali, był stosunkowo niewielki, ale z pewnością luksusowy. Przestronny pokój z rozbudowaną częścią środkową, przeznaczoną na wypoczynek, łączył w sobie funkcje pokoju gościnnego i jadalni. Wystrój był nowoczesny, ale nie pozbawiony akcentów klasycznych - Malcolm kolekcjonował marmurowe obeliski i biedermaierowskie meble. Szara kolorystyka pokoju miała kierować uwagę na panoramiczny widok błyszczącego nocnymi światłami miasta.

Lecz Flame prawie nie zwróciła uwagi na żaden ze szczegółów wystroju, kiedy punktualnie o ósmej trzydzieści weszła do apartamentu. Zapytała Malcolma uprzejmie o przebieg jego spotkania i nie traciła więcej czasu na wymianę uprzejmości.

- Mogę rozłożyć projekty na tym stoliku? - Nie czekając na odpowiedź,

ruszyła po perłowszarej marmurowej podłodze do lakierowanego stołu, który znajdował się w jadalnej części pomieszczenia.

- Proszę bardzo. - Malcolm podążył za nią leniwie, przyglądając się z zainteresowaniem, jak wyjmuje z dużej skórzanej aktówki zestaw szkiców i rozkłada je na stole. - Czy mogę nalać ci drinka?

Już miała odmówić, ale dostrzegła szklanekę w jego dłoni.

- Dżin z tonikiem, poproszę.

Kiedy wrócił z drinkiem, odstawiła go na bok, nawet nie próbując. Otworzyła swoją dyplomatkę i wyjęła z niej notatnik zawierający streszczenia i analizy planowanej przez Chance'a inwestycji.

- Po naszej porannej rozmowie - Malcolm obserwował jej poczynania, lecz nie podszedł do stołu, żeby spojrzeć na materiał, który wyłożyła - myślałem początkowo, że chcesz ze mną rozmawiać o otwarciu własnej agencji, ale coś mi mówi, że zupełnie nie trafiłem.

- Nie trafiłeś. - Przesłała mu szybki uśmiech. - Jak wiesz, ostatnio odziedziczyłam posiadłość w Oklahomie. A to - wskazała na projekty i szkice rozłożone na blacie - są plany Chance'a Stuarta zagospodarowania tej ziemi.

Malcolm podszedł do stołu i stanął obok Flame. Rzucił okiem na plany, po czym pochylił się do niej, cały czas bacznie ją obserwując.

- Jeśli dobrze pamiętam, dostałaś spadek po zerwaniu ze Stuartem.

- To prawda. - Nie było to łatwe, ale dzielnie wytrzymała spojrzenie Malcolm. W jej oczach pojawił się odcień dumy, choć mówili o tak bolesnych dla niej sprawach. - I zważywszy na ilość czasu i przemyśleń, włożonych w to przedsięwzięcie, nie ma chyba wątpliwości, że zaplanował to wszystko długo przedtem, zanim mnie poznał. Jak zaznaczono na tych planach okolicy, wszystkie te parcele są już jego własnością. Brakowało mu jedynie mojej doliny.

- I dlatego się z tobą ożenił.

- Tak. - Zaprzeczanie nie miało sensu, a poza tym, w tej sytuacji Malcolm powinien znać prawdę o Chansie... całą prawdę. - Chciałabym cię prosić, Malcolmie, żebyś to przejrzał i powiedział mi szczerze, co sądzisz o tym projekcie.

Przyglądał się uważnie Flame, jakby starając się odgadnąć motywy tej prośby. W końcu skinął głową.

- Dobrze.

Kiedy wyjął z wewnętrznej kieszonki marynarki ciemnoszarego garnituru okulary do czytania w metalowej oprawie, Flame wzięła szklankę i przeszła do części gościnnej. Chciała, żeby mógł w spokoju studiować materiały, więc wołała nie zaglądać mu przez ramię. To dziwne, ale nie była zdenerwowana. Niecierpliwa, i owszem. Zdeterminowana na pewno. Ale nie zdenerwowana. Wiedziała dokładnie, czego chce, dlaczego tego chce i co robi, żeby to osiągnąć. I wszystko bez żalu czy cienia wątpliwości.

Powstrzymała się przed chodzeniem tam i z powrotem po pokoju i usiadła na miękkiej skórzanej kanapie, zwrócona twarzą do stołu w jadalni i do Malcolma. Pociągała drinka, nie czując w ogóle smaku. Z trudem zmuszała się, żeby nie patrzeć na Malcolma, a jednak widziała każdy jego ruch, gdy na siwych pasmach ciemnych włosów, przy każdym poruszeniu głowy, migotało światło dyskretnego górnego oświetlenia.

Czekanie stało się nieznośne. Jednak nie podniosła się z kanapy, a lód w szklance powoli zamienił się w wodę. Gdy wydawało się jej, że już nie wytrzyma dłużej napięcia, Malcolm zdjął z nosa okulary i zatrzymał się, żeby jeszcze raz zerknąć na plany na stole, po czym odwrócił się do niej.

- A więc? - Nie podnosząc się z kanapy, zachęciła go do komentarza, nieświadomie wstrzymując oddech.

- Wydaje mi się, że Stuart raz jeszcze rzuciłby na kolana całą branżę i zarobiłby przy okazji ciężkie miliony - powiedział i przerwał na chwilę. - A może myślę się używając trybu warunkowego „rzuciłby” i zakładając, że tego nie zrobi?

- Nie mylisz się. - Wstała z kanapy i podeszła do stołu. Otworzyła aktówkę i wyjęła kolejny zestaw szkiców. - A to jest inwestycja, którą ja chciałabym zrealizować. - Rozłożyła plany na stole, przykrywając te, które zabrała z biura Chance'a, i ignorując zdumione spojrzenie Malcolma, powiedziała: - Jak widzisz, koncepcja jest mniej więcej taka sama. Zmienione zostało tylko położenie różnych elementów. Zapora na rzece jest zlokalizowana bardziej na północ, otwierając tę dolinę, która doskonale nadaje się na pole golfowe na trzydzieści sześć dołków i hotel lub ekskluzywny klub rekreacyjny, pozostawiając jeszcze miejsce na rezydencje i wielkie domy wypoczynkowe, które mogą być wzniesione w okolicy, a także na lądowisko dla samolotów. Zmiana miejsca budowy zapory pociąga za sobą konieczność zmiany położenia hotelu i przystani dla jachtów, przenosząc je w ten rejon. Prawdę mówiąc, jest to lepsze położenie niż to, które proponował Stuart, ponieważ przystań uzyskuje osłonę od wiatrów, częstych w tych okolicach. A poza tym - Flame nie udało się powstrzymać satysfakcji, która zakradła się do jej głosu - zmiana położenia tamy oznacza, że większość ziemi, która jest w rękach Chance'a, zostaje nie zatopiona.

- Podchodzisz do tego bardzo poważnie - zauważył Malcolm.

- Nigdy w życiu nie podchodziłam do niczego tak poważnie - oświadczyła Flame. - Chociaż muszę tu zaznaczyć, że tereny pod budowę hotelu i przystani znajdują się poza granicami Morgan's Walk. Na ten obszar, włączając w to dolinę, która zostanie zalana po wzniesieniu tamy, składa się siedem prywatnych parceli. Oczywiście trzeba zakupić tę ziemię tak szybko, jak



to będzie możliwe.

- Dlaczego to robisz, Flame? - zapytał spokojnie, trochę zbyt spokojnie. - Tu nie chodzi tylko o pieniądze, prawda?

- Chance wciąż chce zdobyć moją ziemię. Już choćby fakt, że posunął się do małżeństwa ze mną, żeby ją przejąć, pokazuje, jak bardzo jest zdeterminowany. Z pewnością nie zaniecha tego tylko dlatego, że nie powiodło się pierwsze podejście. Będzie tak długo próbował, aż mu się uda. Już teraz jest właścicielem długu hipotecznego Morgan's Walk. Dzisiaj otrzymałam wiadomość od mojego adwokata, że prawdopodobnie otrzymam lukratywną ofertę kupna rancza, rzekomo od jakiegoś inwestora z Dallas. Nie mam żadnych wątpliwości, że za tą ofertą kryje się Chance. Kiedy ją odrzucę, po prostu zażąda spłaty długów hipotecznych. Jeśli uda mi się otrzymać jakąś pożyczkę, co nie będzie łatwe, jest bardzo prawdopodobne, że i ten dług wykupi. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mnie stąd wyrzucić. Jeśli będę się tylko bronić, to w końcowym efekcie przegram. W związku z tym mam tylko jedno wyjście. Muszę z nim walczyć jego własną bronią.

Spostrzegła cień szacunku i uwielbienia, który pojawił się na moment na twarzy Malcolma. Potem uśmiechnął się blado.

- No i przy okazji drobna zemsta, prawda?

- To jest również częścią planu - przyznała otwarcie.

- A ta propozycja interesu, o której wspominałaś przez telefon, gdzie tu jest moje miejsce?

- Potrzebuję współnika. - Nie wspomniała, że musi to być ktoś, kto ma władzę i wiarygodność finansową, to było dla niej zrozumiałe samo przez się. - Mogłoby mi się udać przeprowadzić to przedsięwzięcie samodzielnie, ale oboje wiemy, jak trudne, jeśli w ogóle możliwe, byłoby to zadanie. Szczególnie, kiedy Chance dowie się o wszystkim. Ale kiedy staną za mną

władza i nazwisko Powella, nawet Chance Stuart będzie miał kłopoty, żeby wystąpić przeciwko tobie.

- Ale dlaczego miałbym cię wspierać, Flame? Poza pieniędzmi, które można zarobić, co ja będę z tego miał?

- Mnie - odpowiedziała szczerze.

Jego uśmiech nabrał nieco sardonicznego odcienia.

- Wiedziałem, że powiesz coś takiego. - Po raz pierwszy Flame poczuła się nieswojo. - Jakkolwiek kusząca byłaby dla mnie ta propozycja, a jest bardzo kusząca, nie jestem pewny, czy podoba mi się twój pomysł, żeby posługując się mną, dobrać się do Stuarta.

- Malcolmie, zawsze byliśmy ze sobą szczerzy - powiedziała, starannie ważąc słowa. - Nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to rzadkie. Ja sobie z tego sprawy nie zdawałam. Nigdy nie zasugerowałeś mi, że interesuje cię coś wykraczającego poza romans. Prawdę mówiąc, otwarcie przyznawałeś, że nie masz zamiaru opuścić żony. Nauczyłam się cenić tę uczciwość... i wiele innych rzeczy. Zawsze cię podziwiałam i szanowałam, Malcolmie, jako biznesmena i jako człowieka. Czujemy się również dobrze w swoim towarzystwie. Bardzo dobrze się rozumiemy, sam to kiedyś podkreśliłeś. Czy widzisz lepsze podstawy związku niż obopólny podziw i szacunek?

Wziął głęboki oddech, a na jego twarzy pojawił się ślad zmęczenia.

- Pragnę cię, Flame, bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Pragnę cię tak bardzo, że prawie uwierzyłem w to, co mówisz. Potrafisz być bardzo przekonująca.

- A ja pragnę ciebie. Zemsta jest częścią tego pragnienia, Malcolmie, i wcale się tego nie wypieram. - Wolno przeszła dzielący ich dystans i zatrzymała się dosłownie parę centymetrów przed nim. Ale nie próbowała go

dotknąć. - To jeszcze nie wszystko. Jestem zmęczona samotnością. Chcę mieć kogoś, z kim mogłabym dzielić życie zawodowe i prywatne. Czy naprawdę jest ci tak trudno w to uwierzyć? - przekonywała go spokojnie.

- Nie.

- W takim razie... czy możemy zostać współnikami?

Objął ją ramionami, przyciągnął o te kilka centymetrów, które ich dzieliły, i pochylił się, żeby ją pocałować. Odwzajemniła jego pocałunek, choć bez wątplenia nie było w tym tej pasji i intensywności uczuć, które kiedyś dawała Chance'owi. Ale odebrała już bolesną lekcję, że lepiej jest kochać mądrze i bezpiecznie, niż dać się zwieść emocjom. Oparła się o Malcolma całym ciałem i objęła go, odpowiadając na jego gwałtowny pocałunek.

Kiedy poprowadził ją do sypialni, wykończonej także w gamie szarości, jakaś jej część żałowała, że naturalną kolejną rzeczą będą musieli pójść teraz do łóżka. Rozbierając się pod jego podnieconym spojrzeniem, pamiętała, że później będzie wystarczająco dużo czasu na omówienie strategii i możliwości. Teraz było to. Nie o pasywną kochankę chodziło Malcolmowi i Flame o tym wiedziała. Starła się ofiarować mu to, czego pragnął. Na jego gwałtowność odpowiedziała tym samym i starała się go zachęcić, by pomógł jej odpędzić wspomnienia. Ostatecznie była to część ubitego interesu.

Nawet jeśli jego dłonie i usta nie były wystarczająco szybkie w odnajdywaniu miejsc na jej ciele, które dostarczały rozkoszy, nawet jeśli opierał się bardziej na sile niż na delikatnych wybiegach w okazywaniu swoich pragnień, nawet jeśli satysfakcja z ich zbliżenia była mniejsza od tej, jaką znała - Flame wyparła to ze swojej świadomości. Kiedy było już po wszystkim i leżała w ramionach Malcolma, opierając głowę na jego potężnych piersiach, czuła zadowolenie i spokój. I to jej wystarczało.

Sam wyszedł z biura i rzucił pośpieszne spojrzenie na zamknięte drzwi do gabinetu Chance'a, potem zawahał się i podszedł do biurka Molly.

- Czy Chance jest zajęty?

- Zajęty? - Westchnęła i popatrzyła na zapalony guziczek na aparacie telefonicznym, informujący, że jedna z linii jest zajęta. - Siedzi tam i znowu próbuje skontaktować się z Flame.

- I jak zwykle słyszy jedynie wykręty, tak? - zgadywał Sam. Potrząsnął głową i zawtórował smętnym westchnieniom Molly. - W ciągu ostatnich dwóch miesięcy rozmawiał z nią tylko raz i gotów jestem się założyć, że był to czysty przypadek. Gdyby wiedziała, że to on dzwoni, nigdy by nie podniosła słuchawki.

- Sam, martwię się o niego - oświadczyła Molly. - Zauważyłeś, jak schudł? Nie śpi po nocach. Nie dziwota, że tak łatwo się irytuje i...

- ...i nie można się z nim dogadać - dokończył za nią.

- Dlaczego ona go tak traktuje? Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co mu robi?

- Jesteś tak samo beznadziejna jak Chance - mruknął Sam, przyglądając się jej z mieszaniną smutku i odrazy. - Żadnemu z was nie przychodzi do głowy, że ona po prostu może mieć to w nosie.

- Może pomyliłam się co do niej. - Takie wyznanie było u Molly czymś niespotykanym i Sam o tym wiedział. - Wydawało mi się, że jest w nim naprawdę zakochana. Może tylko udawała. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

- Znalazłyby się jeszcze ze dwa inne. - Ale Sam nie zagłębiał się dalej w spekulacje. Molly nigdy nie przyzna, że wina może częściowo leżeć po stronie Chance'a, po tym jak oszukał Flame w sprawie Morgan's Walk. Według Molly, Flame dawno już powinna mu to wybaczyć.

- Wydawało mi się, że ta cała Hattie była kobietą okrutną i bez serca -

powiedziała Molly, a jej zaciśnięte szczęki wyrażały gniew. - Teraz dochodzę do wniosku, że to jest dziedziczne. Jak wiele cierpienia te dwie kobiety wniosły w jego życie... - Westchnęła znowu i popatrzyła na Sama. - I co my zrobimy?

- Nie wiem jak ty, aleja muszę tam wejść i powiedzieć mu, że w końcu mam wieści od J.T. Jeśli jest w złym humorze, to z pewnością jeszcze mu się pogorszy.

- Co się stało? - spytała i natychmiast sama zgadła. - Odmówiła sprzedaży.

- Coś w tym stylu. - Podeszedł do drzwi i zastukał.

Ale Chance nie usłyszał, ponieważ dokładnie w tym momencie cisnął słuchawkę na widełki, przerywając jakiejś kobiecie, która właśnie zaczynała wyjaśniać, że pani Bennett jest na zebraniu i nie można jej przeszkadzać. Była to wymówka, którą słyszał zbyt wiele razy, żeby jeszcze w nią wierzyć. Żadna kobieta nigdy go jeszcze tak nie szarpała i nie raniła do tego stopnia, że nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by ją odzyskać. Była jak młot, który wali bez przerwy, sprawdzając jego wytrzymałość. Przeklinając pod nosem, przeczesał ręką krótko przystrzyżone włosy i oparł się o biurko, wyginając plecy, żeby pozbyć się bólu, który jednak nie chciał minąć.

- Chance? - Przeszkodził mu głos Sama, więc gwałtownie podniósł głowę.

- O co chodzi? - rzucił ostro, odwracając krzesło i próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Właśnie skończyłem rozmawiać z Dallas, z J.T.

Gwałtownie obrócił z powrotem krzesło.

- Widział się z Flame? - Już chciał spytać, co u niej słyhać, ale się powstrzymał. - Co powiedziała? Zgodziła się sprzedać Morgan's Walk?

- Nie. - Sam zawahał się przez moment. - Jej odpowiedź brzmiała, cytuję

dokładnie: „Proszę powiedzieć Chance’owi Stuartowi, że Morgan’s Walk nie jest na sprzedaż za żadną cenę”. Oczywiście J.T. zaprzeczył, jakobyś miał jakikolwiek związek z tą ofertą. Ale wydaje mi się, że po prostu się uśmiechnęła i pokazała mu drzwi.

- Cholera! - zaklął stłumionym szeptem.

- Chance, czy nie wydaje ci się, że najwyższy czas, żebyśmy przestali się cackać?

Wyprostował się w fotelu i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął stamtąd parę ślubnych pierścionków, które zawsze nosił przy sobie, od kiedy Flame upuściła je u jego stóp. Zacisnął na nich palce, czując jak ostre krawędzie diamentu tną wewnątrz dłoni.

- Zażądaj spłaty długów hipotecznych - powiedział i powoli otworzył środkową szufladę biurka. Wrzucił pierścionki do środka i zdecydowanym ruchem zamknął szufladę. Pomyślał sobie, że dobrze by było, gdyby mógł równie łatwo wyrzucić Flame ze swoich myśli. - Odetnij Morgan’s Walk od kredytów i użyj wszelkich możliwych wpływów, zastosuj wszystkie potrzebne naciski, ale załatw to. Chcę wycisnąć z niej gotówkę i, jak dobrze pójdzie, zostawić ją bez grosza na prowadzenie rancza. Przy okazji podkup jak największą liczbę pracowników rancza.

### 37

Na odgłos klucza przekręcanego w zamku Malcolm opuścił gazetę, zdjął okulary do czytania i spojrzał na drzwi prowadzące na korytarz apartamentu. Drzwi się zamknęły, rozległ się stukot wysokich obcasów na marmurowej podłodze i Flame weszła do pokoju. Ubrana była wciąż w brązowo-biały kostium od Adolfa, który miała na sobie wcześniej tego dnia. W połączeniu z czerwienią jej włosów robił piorunujące wrażenie.

- Spodziewałem się ciebie godzinę wcześniej.

- Wiem, kochanie. - Przerzuciła płaszcz uszyty z dwóch rodzajów materiału, z wełny i alpaki, przez jedno z krzesel, podeszła od tyłu do kanapy, pochyliła się i cmoknęła Malcolma. - Przepraszam cię, ale moje spotkanie z Ellerym trwało dłużej, niż przypuszczałam. Było po prostu zbyt wiele spraw, które musieliśmy przedyskutować. Dolać ci drinka? - zapytała, wyciągając rękę po jego szklankę.

- Proszę - odpowiedział, kiedy szła w kierunku tacy z alkoholem.

- Jutro będę musiała siedzieć w agencji prawie przez cały dzień. - Wyjęła z kubelka kilka kostek lodu i wrzuciła je do szklanki Malcolma i swojej. - Niestety, nie mam wyboru. Czeka na mnie mnóstwo pracy.

- Zajmujesz się zbyt wieloma sprawami. Już najwyższy czas, żebyś złożyła wypowiedzenie w agencji.

Patrząc, jak dolewa whisky do jego szklanki, Malcolm zauważył, że wcale nie wygląda na zmęczoną, ani fizycznie, ani psychicznie. Wręcz przeciwnie, nigdy jeszcze nie widział jej takiej ożywionej, napędzanej jakąś gorączkową energią. Wrażenie to jeszcze się wzmogło, kiedy odwróciła się do niego i dostrzegł, jak piorunujący efekt robiły jej zielone oczy. Teraz zobaczył ją taką, jaką zawsze dla niego była, uosobieniem piękna i tęsknotą za pięknem, wyobrażeniem spokojnego ognia rozświetlającego ciemności nocy, doskonałym źródłem napiętności. Chciał wierzyć, że to on jest powodem tego jasnego blasku w jej oczach. Ale wiedział, że tak nie jest, i jej słowa tylko to potwierdziły.

- Nie mogę, jeszcze nie teraz. Nie wiem, czy Chance nie obserwuje mnie przypadkiem. Jeśli odejdę z agencji, zacznę się zastanawiać, jakie mam dalsze plany. - Podeszła do kanapy i wręczyła Malcolmowi drinka. - A nie możemy sobie pozwolić, żeby zbyt wcześnie zaczął coś podejrzewać. - Zrzu-

ciła z nóg pantofle ze skóry aligatora i usiadła na kanapie, podwijając nogi w jedwabnych pończochach i obracając się nieznacznie, by odwrócić się do Malcolma twarzą. - Poza tym nie pracuję już tak ciężko dla agencji, odkąd udało mi się przekazać sprawy większości klientów innym współpracownikom, oczywiście z wyjątkiem spraw Powella. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po muszli jego ucha, a potem dalej wzdłuż wysuniętej szczęki.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się odruchowo, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przestanie czuć się urażony tym, że co trzecie wypowiedane przez nią zdanie odnosiło się w jakiś sposób do Stuarta. Ciągłe wyczuwał jego niewidzialną obecność. Jedynym miejscem, w którym się nie pojawiał ten cień, było łóżko - a i tu Malcolm nie miał pewności. Setki razy łapał się na tym, że zastanawia się, czy zaspokaja ją w łóżku tak, jak kiedyś Stuart. Nigdy nie wątpił we własną męskość... nigdy dotąd. Wciąż od nowa musiał siebie przekonywać, że przecież Flame jest z nim, a nie ze Stuartem. A jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że nigdy by do niego nie przyszła, gdyby nie desperacka potrzeba zemsty. Prawdopodobnie powinien być mu wdzięczny, a zaczynał czuć do faceta taką nienawiść, jaką czuła Flame lub przynajmniej twierdziła, że czuje. Był już gotowy wziąć się za bary ze Stuartem i udowodnić, kto tu jest lepszy.

- Skoro mówimy o Chansie - kostki lodu podzwaniały uderzając o ściany szklanki, kiedy leniwie zakręciła dżinem z tonikiem - w zeszłym tygodniu przyszło zawiadomienie z żądaniem spłaty długów hipotecznych. Mam sześćdziesiąt dni, żeby zebrać siedemset tysięcy dolarów z jakimś okładem.

- W zeszłym tygodniu? - Malcolm zmarszczył brwi. - Nic mi o tym nie wspomniałaś.

- Zapomniałam przy wszystkich tych spotkaniach z inżynierami i projektantami zabudowy terenu. Mamy jeszcze mnóstwo czasu na załatwienie



tej sprawy, więc nic się takiego nie stało. I tak mam zamiar zapłacić w ostatniej chwili. On jest przekonany, że mam z tym problemy, i chcę, żeby tak dalej myślał.

- Jesteś przebiegłą kobietą, Flame. - Kiedy zdał sobie z tego sprawę, uświadomił sobie również, że każda jej myśl i każdy ruch były podyktowane spodziewaną przez nią reakcją lub ruchem Stuarta.

- Trzeba przebiegłości i elementu zaskoczenia, żeby go pokonać. - Jej niepokój znowu stał się widoczny, kiedy zdjęła nogi z kanapy i podniosła się z wdziękiem, unikając spojrzenia Malcolma. - A właśnie... czy Karl podrzucił ci do biura nowe plany zabudowy? Powiedział, że będą gotowe na dzisiaj.

- Leżą na stole.

- Jest dużo zmian? - Podeszła do stołu, żeby sprawdzić.

- Kilka, ale niewielkich. - Malcolm zawahał się, potem odstawił szklankę na boczny stolik i przyłączył się do Flame. - Ma już gotowe plany zapory. Dałem Karłowi nazwisko mojego człowieka w Waszyngtonie i poprosiłem, by poleciał tam w przyszłym tygodniu, żeby facet mógł je przejrzeć.

- Czy to nie za wcześnie?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Jeżeli natrafimy na jakieś poważne przeszkody, to na pewno przy zaporze. A ja chcę jak najszybciej o nich wiedzieć.

Zgodziła się, wzruszając ramionami, ale Malcolm widział, że nie całkiem się z nim zgadza.

- Czy twój adwokat ma jakieś wiadomości od pośredników w Tulsie?

Malcolm polecił swojemu adwokatowi, by zlecił siedmiu różnym agencjom zakup siedmiu parceli, na których miał powstać hotel i przystań dla jachtów.

- Do wczoraj żadnych.

- Zastanawiam się, o co tam chodzi. Martwię się, że na razie mamy opcje

tylko na trzy. Pracują nad tym już od miesiąca.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że oni mogą nie mieć ochoty sprzedawać? - spytał.

- Ale ja mam ochotę kupować - oświadczyła i spojrzała na Malcolma. - Przecież ty jeszcze nie widziałeś Morgan's Walk! Widziałeś tylko te plany i szkice posiadłości. Dlaczego nie wybierzemy się tam na kilka dni?

- Chyba mógłbym to jakoś zorganizować. - Bardziej niż oglądanie posiadłości spodobała mu się perspektywa tego, że będzie miał Flame tylko dla siebie.

- Na miejscu możemy się spotkać z tymi pośrednikami i sprawdzić, jaki jest powód tej zwłoki. Jeżeli chodzi o cenę, możemy dać im pełnomocnictwa, żeby w razie potrzeby ją podnieśli. Jeśli to coś innego, może znajdzie się na to jakiś sposób - myślała głośno Flame. - Wydaje mi się, że ten wyjazd to bardzo dobry pomysł. Kiedy ostatnio rozmawiałam z Charliem powiedział mi, że ma jakieś problemy. Z rancza odeszła większość pomocników - dodała. - I są jakieś problemy z dostawcami paszy. Może uda mi się to wszystko wyprostować, jak będziemy na miejscu.

- Zawsze myślisz tylko o interesach, prawda Flame? - mruknął Malcolm; uświadamiając sobie, że bardzo niewiele się zmieniło w ich wzajemnych stosunkach.

Na krótką chwilę znieruchomiała. Potem odwróciła się i cała jej sztywność zniknęła.

- Nie, nie zawsze. - W kącikach jej ust igrał uśmiech. Miękkim ruchem zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła bawić się kosmykiem ciemnych włosów na jego karku, owijając go dookoła palca. - Przypominam sobie wyraźnie kilka takich momentów, kiedy interesy były ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mi do głowy. A ty? - Delikatnie musnęła wargami jego usta, potem końcem

języka naznaczyła wilgotną linię wzdłuż ich nieustępliwego zarysu.

Przez chwilę opierał się, potem gwałtownie przyciągnął ją do siebie i zmiażdżył jej wargi w porywczym pocałunku, z nadzieją, że tym razem uda mu się wyprzeć wrażenie, że jest z nimi ktoś jeszcze.

### 38

Wszystko w najnowszym sprawozdaniu wskazywało, że inwestycja w Tahoe postępuje znacznie szybciej, niż zakładano, lecz Chance czerpał niewiele zadowolenia z cyfr i założeń konstrukcyjnych. Nie mogły wypełnić pustki. Stopniowo tę pustkę wypierało poczucie samotności i gwałtowność, z których wypływał jego niepokój i nerwowość. Poczul zbliżającą się falę wspomnień i oparł się jej zaciskając szczęki. Flame nie zamierzała do niego wrócić. Pogodził się z tym - tak jak pogodził się z tym, że resztę jego dni wypełni pustka, nawiedzana wspomnieniami chwil spędzonych z Flame. To było coś, czego nie mógł zmienić. Nie miał innego wyboru, jak tylko żyć z gorzkimi wyrzutami.

Drzwi do jego gabinetu bez żadnego ostrzeżenia otworzyły się. Chance podniósł głowę znad sprawozdania, zirytowany tym wtargnięciem.

- Do diabła, Molly... - lecz to nie Molly zatrzymała się na moment w drzwiach i odważnie wkroczyła do pokoju. - Lucianna! - Podniósł się, rozdrażniony jej nagłym przyjazdem, wyraźnie to okazując. - Co ty tu robisz?

- Ładnie mnie witasz, Chance - strofowała go, owinięta szczelnie w kaszmirowy płaszcz imitujący lamparcią skórę, wykończony lisem pod szyją, przy rękawach i na dole. Na głowie miała podobny w stylu futrzany toczek, przykrywający jej czarne włosy. Niedbale odłożyła torebkę na krzesło i obeszła biurko, żeby podejść do Chance'a. - Powinieneś powiedzieć: „Lucianna, kochanie, cóż to za wspaniała niespodzianka, że tu wpadłaś!”.

Kiedy nie pocałował jej na powitanie, powoli cofnęła rękę, umiejętnie ukrywając żal pod maską dumnej obojętności.

- Przyszłam, żeby zabrać cię na obiad. Tylko mi nie mów, że jesteś zajęty. Już to sprawdziłam u twojego cerbera, Molly. Przez następne dwie godziny nie masz żadnych spotkań. Prawdę powiedziawszy - jej szerokie usta wygięły się w chytrym uśmiechu - twój plan zajęć nie jest specjalnie napięty przez cztery następne dni żadnych podróży, żadnych ważnych spotkań, nic. I dzięki temu wyjedziemy na weekend, a może nawet na trochę dłużej.

- Wydawało mi się, że w tym miesiącu miałas być w Europie.

- Miałam - przyznała trochę nazbyt swobodnie i odwróciła się od niego, po czym podeszła do okna. - Ale mam mały problem z gardłem. Lekarz powiedział mi, że muszę dać mojemu głosowi odpocząć przez trzy miesiące, a ja mu powiedziałam, że mogę odwołać moje spotkania tylko na jeden miesiąc.

Dostrzegając w jej głosie nutkę strachu, Chance złagodniał.

- Trzy miesiące! Musieliby cię zatopić w gips i zakneblować ci usta.

Wzruszona tą wyrozumiałością spojrzała na niego miękko swymi ciemnymi oczyma.

- Właśnie to mu powiedziałam - odparła i podniosła ręce w geście bezsilności. - I oto jestem, z całym miesiącem wolnego czasu. Powiedziałam sobie: z kim mogę go spędzić, jak nie z tobą? Będzie jak za dawnych czasów, prawda?

Popatrzył na nią przypominając sobie namiętność, która kiedyś wypełniała ich wspólne dni i myśląc także o swoim obecnym, samotnym życiu - o tym, jak posępna jest jego samotność.

- Może i tak - przyznał i uśmiechnął się blado. - W każdym razie, będzie mi miło cię gościć.

Nie drażąc dalej tego tematu, Lucianna wycofała się. Jej twarz przybrała ciepły, pełen pewności wyraz.

- Gdzie zabierasz mnie na obiad? - spytała.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ty mnie zabierasz.

- W takim razie - podeszła do niego i wzięła go pod rękę - będę musiała znaleźć jakieś bardzo przytulne i bardzo spokojne miejsce.

Kiedy pociągnęła go za sobą, do gabinetu wpadł Sam.

- Chance, ja... - Stał jak wryty i zasepił się na widok kobiety wspartej na ramieniu Chance'a. - Lucianna! Co ty tu robisz?

Westchnęła teatralnie.

- Przyjęcie, które mnie tu spotyka, pozostawia wiele do życzenia. Sam, spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

- Przepraszam, ja... - Po jego twarzy szybko przemknął jakiś chłopięcy smutek, ale natychmiast zastąpił go wyraz zboląlego zasepienia, ten sam, z którym wparował do gabinetu. Znowu zwrócił się do Chance'a: - Właśnie dzwonił do mnie Fred Garver i chciał wiedzieć, o co chodzi. Jego przyjaciel Zorinsky z Federalnego Biura Inwestycji Budowlanych twierdzi, że jakiś inny zestaw planów zapory krąży po jego departamencie.

- To niemożliwe. - Chance odrzucił to automatycznie. - Ktoś prawdopodobnie zobaczył jakieś podobieństwo w nazwach miejscowości i z czymś je pomieszał.

Sam skinął głową.

- To właśnie mu powiedziałem. To samo Fred powiedział Zorinsky'emu, ale tamten przysięga, że nie, że sprawdził trzy razy, żeby się upewnić, zanim zadzwonił do Freda. Plany zawierają także propozycję budowy zapory na terenie Morgan's Walk, ale usytuowanej prawie o milę bardziej na pomoc od naszej lokalizacji. Dom i Większość doliny pozostanie ponad wodą.

- Co? - Chance zmarszczył czoło. - Skąd pochodzą te plany? Czy Fred dowiedział się tego?

- Powstały w firmie o nazwie Thorgood. Fred jest prawie pewny, że jest to firma z Zachodniego Wybrzeża. A to oznacza, że stoi za tym Flame. - Przerwał na chwilę, potem podjął ze wzrastającym ożywieniem: - Wiele rzeczy zaczyna się układać w jedną całość, Chance, jak na przykład niektóre komentarze, które docierały do nas od robotników, których przejęliśmy z Morgan's Walk. Pamiętasz, mówili, że jacyś faceci brali z rancza próbki ziemi. Zignorowałem to wtedy, wnioskując, że skontaktowała się z przedsiębiorstwami, które zajmują się wydobywaniem ropy i gazu, i że załatwiła sobie geologów, żeby sprawdzili, czy na tym obszarze jest gaz lub ropa. Ale jak widać...

- ...robili próbne odwierty pod zaporę - dokończył za niego Chance.

- Właśnie. - Sam dźgnął powietrze palcem, by podkreślić sedno sprawy. - I coś jeszcze się wyjaśnia. Fred powiedział, że wraz z przesunięciem zapory na pomoc, w górę rzeki, ziemie na północny zachód znajdują się pod wodą. Przypomnij sobie te wieści, które do nas dochodziły o tym, że znacznie wzmożła się tam aktywność pośredników handlu nieruchomościami. Ktoś wykupuje lub też usiłuje wykupić całe to wzgórze. A my sądziliśmy, że ktoś dowiedział się o naszej inwestycji i zamierza trochę na tym pospekulować. Tak samo zareagowaliśmy na nowiny, że powstaje jakiś duży kompleks wy-poczynkowy gdzieś na Środkowym Zachodzie. Sądziliśmy, że chodzi im o naszą inwestycję. Lecz jestem gotów założyć się o co zechcesz, że Flame planuje coś bardzo podobnego do naszego przedsięwzięcia.

- Jest jedna luka w twojej teorii, Sam - powiedział Chance. - Ona nie ma pieniędzy, żeby to przeprowadzić. Widzieliśmy jej zeznania podatkowe. Wyłączając Morgan's Walk i apartament w San Francisco, ma do dyspozycji

jakieś dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce. Mogła przeznaczyć część pieniędzy z polisy na życie Hattie na wykonanie planów zapory, ale, Sam, przecież ona do tej pory nie była w stanie zebrać pieniędzy, żeby spłacić nam swój dług hipoteczny. A więc skąd weźmie pieniądze na zakup całej tej ziemi?

- Od Malcolma Powella. - Lucianna siedziała na krześle obok biurka Chance'a, w jednym ręku trzymając otwartą puderniczkę, a drugą nakładając następną warstwę szminki na swoje i tak czerwone usta. Otwarta torebka leżała na jej kolanach. Ich oczy spotkały się przelotnie. - Wybór jest logiczny, kochanie, skoro są w trakcie burzliwego romansu.

- Kiedy ją poznałem, też pełno było na ten temat plotek - odparł zniecierpliwiony. - Ich kontakty są wyłącznie służbowe. Z ramienia agencji reklamowej zajmuje się jego sprawami i to wszystko.

- Może wtedy tak było. - Lucianna wzruszyła ramionami z udawaną obojętnością i nałożyła nakrętkę na szminkę. - Ale teraz to już nie jest tylko plotka. Oskar powiedział mi, że prawie zawsze widuje się ich razem.

- Mówiłem ci już, że ona zajmuje się reklamowaniem jego sklepów - odparł oschle Chance. - To naturalne, że musi go widywać.

- Tak, tak. - Spojrzała na niego z kąpiącym uśmiechem. - W takim razie to musi być powód, dla którego dał jej klucz od swojego apartamentu w mieście. Jasne, teraz mogą odbywać swoje prywatne konferencje w sypialni, a nie w gabinecie.

- Nie wierzę ci - wycedził zimno.

- W to, że ma klucz, czy w to, że ze sobą sypiają? Żebyś wiedział, że sypiają. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo. - Włożyła puderniczkę i szminkę z powrotem do torebki i zamknęła ją zdecydowanym ruchem. - Zadzwoń do Jacqui Van Cleeve albo przejrzyj jej rubrykę z ostatnich kilku

tygodni. Ta baba nie wydrukowała nic, co nie jest absolutną prawdą. I wierz mi, że ma taką sieć informatorów, że KGB spogląda na nią zazdrośnie.

Przez długą chwilę spoglądał z wyzwaniem na Lucianę, czekając, aż przyzna, że się myli, że przesadziła. Ona także na niego patrzyła, a w jej ciemnych oczach pojawiły się smutek, odrobina współczucia i żal, że dowiedział się tego właśnie od niej. Wtedy Chance zrozumiał. Lucianna mówiła prawdę. Rozdarło go palące uczucie zazdrości. Odwrócił się do nich plecami, a jego ręce mocno zacisnęły się w pięści. Chciał w coś uderzyć, w cokolwiek, ale nic tam nie było, tylko wokół jego serca zacisnęła się żelazna obroż.

- Chance, ja... - zaczął ostrożnie Sam.

Chance stężał, po czym powoli się odwrócił.

- Zadzwoń do Freda. Powiedz mu, żeby zdobył duplikaty tych planów. Niech mi zrobi szkice lokalizacji tego nowego jeziora, najwierniej jak zdoła. Chcę to mieć natychmiast - rozkazał, słysząc we własnym głosie stanowczość i obojętność.

- Dobrze. - Sam skinął głową, wycofując się do drzwi.

Chance nacisnął guzik wewnętrznej linii.

- Molly, przyjdź tutaj.

Lucianna mruknęła ze swojego krzesła:

- Mam dziwne przeczucie, że nasz obiad został odwołany.

Zignorował to, spoglądając na wchodzącą Molly.

- Złap Kelby'ego Granta. Powiedz mu, żeby tu przyszedł. Chcę, żeby kupił dla mnie trochę ziemi, na wczoraj! - powiedział ponuro.

- Tak jest.

- Słyszysz, Sam? - zawołał Chance, zanim przyjaciel zdążył dotrzeć do drzwi. - Powiedz Fredowi, że chcę mieć gotowy zestaw projektów lokalizacji



naszej zapory tak szybko, jak tylko można. A następnego dnia chcę mieć na nich stempel Biura Inwestycji Budowlanych. I nie obchodzi mnie, w jaki sposób to osiągnie.

- Ale on nie może skończyć planów bez próbnych wierceń na miejscu - zaprotestował Sam.

- Powiedz mu, żeby zawiózł tam ekipę i przeprowadził je.

- Ale ta ziemia nie jest naszą własnością. - Patrzył na Chance'a w taki sposób, jakby podejrzewał, że ten postradał zmysły.

- Sam, czy nigdy nie słyszałeś o wkraczaniu na czyjś grunt? - odpowiedział zmęczonym głosem. - Jak tylko załatwisz to wszystko z Fredem, zadzwoń do Matta Sawyera. Powiedz mu, żeby mi znalazł co się da na Malcolma Powella.

- Już się robi.

Gdy wychodził z biura, Molly deptała mu po piętach.

- Sam, o co w tym wszystkim chodzi? Co się stało?

Wytłumaczył jej wszystko najpobieżniej jak mógł. Kiedy skończył, Molly wyglądała na święcie oburzoną.

- A co ona wie o prowadzeniu inwestycji? Z pieniędzmi Malcolma Powella czy bez nich, nigdy jej się to nie uda.

- Nie wiem, Molly. Z tego, co o nim czytałem, Malcolm Powell każdemu dolarowi Chance'a może przeciwstawić swój. Ale to nie jest jeszcze najgorsze. W świecie interesu Powell nie jest nowicjuszem i ma potężne wpływy. Chance nie ma numerów telefonu połowy ludzi, z którymi Malcolm Powell jest na ty. Jeśli on stoi za Flame, to rozpęta się niezłe piekło. A polem bitwy będzie Morgan's Walk.

- Trzeba ją powstrzymać.

- Jak? - zapytał i pokiwał głową, bo nie bardzo przychodziła mu do głowy

odpowiedź.

- Ktoś przynajmniej musi spróbować - upierała się.

- Wiem. - Samowi wyrwało się westchnienie. - Nie mogę przestać myśleć o tym, że to wszystko moja wina, Molly. Gdybym nie zawiódł Chance'a, gdybym miał baczniejsze oko na Hattie, od samego początku wiedzielibyśmy o Flame. Wtedy może nie wydarzyłyby się te wszystkie rzeczy.

- Życzeniami nie zmienisz przeszłości - zwięźle odparła Molly. - Tak więc nie marnuj cennego czasu na rozpamiętywanie. Raczej skoncentruj się na znalezieniu sposobu, żeby ją powstrzymać. A właśnie... - Odwróciła się do swojego biurka. - W dzisiejszej poczcie była wiadomość od Maxine. Nowa Pani na Morgan's Walk przyjeżdża w czwartek, przywiezie ze sobą dwóch gości. Warto byłoby się dowiedzieć któż to taki.

### 39

Ożywiona szybkim galopem w drodze powrotnej do stajni, Flame weszła do swojej okazałej posiadłości z czerwonej cegły, mocno obejmując Malcolma, którego ręka spoczywała zaborczo na jej ramieniu. Lekkość i zwinność jej ruchów wyrażały jej obecny nastrój. Gdy zbliżyli się do wejścia, wyzwoliła się z objęć Malcolma, poczekała, aż otworzy przed nią drzwi i wbiegła do korytarza. Tam się zatrzymała i odwróciła do niego twarzą, zdejmując rękawiczki do konnej jazdy, podczas gdy on zamykał drzwi.

- Wspaniała przejażdżka, co? - spytała, przytulając się do niego, kiedy już stanął przy niej i zaplótł ręce na jej talii, raz jeszcze podkreślając swoje prawa do niej. - A co byś powiedział na drinka, żeby to miło zakończyć?

Potrząsnął głową.

- Raczej wezmę prysznic i przebiorę się. Może pójdziesz ze mną?

- Nie w tej chwili, ale przyłączę się, jak tylko będę mogła - obiecała. - Muszę zapytać Maxine, czy nie było do mnie żadnych telefonów, a potem sprawdzić, co robi Ellery.

Ellery zawołał z salonu:

- Czy ktoś wspomniał moje imię, czy mi się wydawało? - Flame szybko ucałowała Malcolma w policzek i ruszyła do Ellery'ego, do salonu. - Widzę, że powróciła samotna amazonka i jej dzielny towarzysz. Ahoj, przygodo, i co tam jeszcze - rzucił Ellery z poważną miną, rozciągnięty swobodnie na kanapie naprzeciw kominka.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to było wspaniale - oświadczyła ignorując jego żarty. - Cała okolica się zieleni. Miałam wrażenie, że za chwilę wszystkie krzewy i drzewa wystrzelą listkami. Pojechaliśmy na miejsce budowy przyszłej zapory i pokazałam Malcolmowi, gdzie dokładnie powstanie. - Podeszła do tacy z alkoholem, nalała do szklanki trochę toniku i wrzuciła do niego kilka kostek lodu z kubelka. - Powinieneś być z nami pojechać.

- Dziękuję. Kiedy wybieram się na przejażdżkę, wolę mieć konie pod maską samochodu.

Coś zaszeleściło. Dopiero teraz Flame zauważyła gazetę na kolanach Ellery'ego.

- A więc czytałeś gazetę - rzuciła z oskarżeniem. - Powiedziałeś, że nie chcesz jechać, bo chcesz popracować nad szkicami pola golfowego.

Na dźwięk znieczepienia w jej głosie Ellery uniósł do góry brew.

- Tak się właśnie zastanawiam, czy to twoje przedsięwzięcie zamienia cię w jędzę, czy też w poganiacza niewolników.

- W jędzę? - Zachmurzyła się lekko urażona. - Ellery, jak możesz mówić coś takiego? Nigdy nie zachowuję się jak jędza.

- Czyżby? - Jego brew powędrowała jeszcze wyżej. - Wydaje mi się, że

pomniałaś już, jak grubiańsko nawymyślałaś dzisiaj przez telefon tym biednym ludziom.

- Masz na myśli tych pośredników handlu nieruchomościami? - Przypomniała sobie swoje ostre słowa i wcale ich nie żałowała. - Należało się im. Jeśli nie dostawali odpowiedzi na oferty, które złożyli, czekali, aż upłynie trochę czasu przed złożeniem następnej oferty, żeby przypadkiem nie wyglądało na to, że im zależy na kupnie, bo ktoś mógłby podnieść cenę. Dlaczego mieliby się przejmować? To nie oni kupują tę ziemię, tylko ja. Ben ostrzegął mnie, że tutejsi ludzie wylegują się do góry brzuchami, ale ten ranek przeszedł wszelkie moje oczekiwania.

- Zagniewana, co? - mruknął Ellery.

Już miała mu coś oziębło odpowiedzieć, ale westchnęła tylko.

- Przepraszam. Wściekła jestem, kiedy pomyślę sobie, ile czasu się zmarnowało, a wszystko dlatego, że oni nie chcieli zrobić wrażenia kogoś, komu zależy na kupnie. Wierz mi, dłużej nie będą musieli się o to martwić. - Pociągnęła łyk zimnego toniku i podeszła do kominka. - Udało ci się uniknąć mojego pytania o szkice. Zrobiłeś coś przy nich?

- Chociaż miał to być w założeniu wyjazd dla przyjemności, odpowiedź brzmi: tak, szkicowałem trochę, żeby zarobić na kolację - zakpił. - Leżą na stole przy oknie.

Flame podeszła tam, żeby im się przyjrzeć. Było to sześć różnych, naszkicowanych ołówkiem widoków doliny, należących do niej pastwisk i drzew. Wszystko to zostało z pietyzmem zamienione przez Ellery'ego w zielone pole golfowe.

- Ellery, te szkice są bardzo dobre - pochwaliła, powtórnie je przeglądając.

- W takim razie nie będę dziś wieczór chodził głodny.

Odwróciła się, uśmiechając się do niego z rozbawieniem i lekkim roz-

drażnieniem.

- Przestaniesz wreszcie? Staram się powiedzieć ci komplement.

- Dziękuję. - Skłonił głowę z udawaną uległością.

Z niedowierzaniem pokręciła głowę, odkładając szkice i notując w pamięci, że ma je pokazać Malcolmowi.

- Poważnie, Ellery, naprawdę są dobre. Czasami wydaje mi się, że marnujesz swój talent w dziale artystycznym Bolanda i Hayesa.

Skwitował to niedbałym wzruszeniem ramion.

- Skoro jesteśmy przy sztuce - wziął z kolan gazetę - czy przeglądałaś dzisiejszą gazetę?

- Nie miałam czasu. Dlaczego pytasz?

- Jest tutaj mały fragment, który mnie zainteresował.

- Co takiego? - Podeszła do kanapy i zajrzała przez ramię Ellery'ego. Jej uwagę zwrócił najpierw artykuł przy jego prawym kciuku. - Chodzi ci o ten reportaż o tenorze Sebastianie Montebello występującym gościnnie w *Otelli* w Tulsie? Wydaje mi się, że widziałam gdzieś plakat o... - Zająknęła się, ponieważ jej wzrok przyciągnęło zdjęcie w lewym rogu, zdjęcie Chance'a Stuarta i Lucianny Colton. Flame gapiła się na ciepły, leniwy uśmiech na twarzy Chance'a - który, jak kiedyś sądziła, był zarezerwowany wyłącznie dla niej. Teraz adresowany był do Lucianny. Notatka pod spodem mówiła coś o niewielkim kłopotcie z gardłem, który wyłączył na jakiś czas sławną sopranistkę koloraturową z występów i wspominała coś o tym, że artystka wybiera się na przedstawienie *Otella* w towarzystwie magnata obrotu nieruchomościami, Chance'a Stuarta, żeby zobaczyć występ swojego drogiego przyjaciela, Sebastiana Montebello.

- Zastanawiam się, czy jest już za późno, żeby dostać jakieś dobre miejsca - mruknęła pod nosem.

- Chyba się tam nie wybierasz?

- Czemu nie? - rzuciła prowokująco. - Nie mam zamiaru trzymać się z daleka tylko dlatego, że on tam będzie.

- Ależ skądże - burknął Ellery.

- Jeśli dostaniemy bilety, pójdziesz ze mną i z Malcolmem?

- Moja droga, nie przepuściłbym tej okazji za żadne skarby świata.

Zjeżdżający powoli sponsorzy opery wypełniali foyer Chapman Music Hall. Przytłumiony szum ich głosów przerywało od czasu do czasu głośniejsze powitanie. Z holu Chance słyszał przyciszone i nieharmonijne dźwięki strojenia instrumentów. Jeszcze raz zaciągnął się głęboko papierosem i pośpiesznie wypuścił ostro smakujący dym. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego zgodził się tu przyjść. Spojrzał na zegarek. Jeszcze osiem minut pozostało do momentu, kiedy rozlegną się pierwsze dźwięki uwertury.

Stojąca obok niego Lucianna dostrzegła, jak poruszył nadgarstkiem i zerknął na zegarek.

- Chance, kochanie, mam nadzieję, że się za bardzo nie nudzisz? - szepnęła kojącym głosem.

- Nie - skłamał.

- Przykro mi, że cię tu dziś zaciągnęłam - powiedziała i wyjaśniła mu kolejny już raz: - Niestety, Sebastian dowiedział się, że jestem w Tulsie. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym tu dziś nie przyszła. Nie przejmowałabym się specjalnie, ale na jesieni mam śpiewać z nim w *Aidzie*. I aż mnie ciarki przechodzą, kiedy pomyślę, jakie mógłby mi zafundować piekło na scenie, gdyby chciał być złośliwy. I tak muszę się zawsze namęczyć, żeby wytrzymać te jego ciągłe psikusy.

- A ty jesteś dla niego idealną pożywką, prawda? - zgadywał Chance.

Podchodzisz do wszystkiego z takim przejęciem, nawet na próbach, tak całkowicie zagłębiasz się w rolę, że jesteś łatwym łupem.

- Robi to, żeby mnie zdekoncentrować i dobrze wypaść na moim tle - oznajmiła z westchnieniem i spojrzała na niego z ukosa. - Chyba będę musiała wpaść przed przedstawieniem do jego garderoby i złożyć mu życzenia, chociaż wcale nie mam ochoty. Pójdiesz ze mną?

- Oczywiście. Tylko wydaje mi się, że za chwilę wpadniesz jak śliwka w kompot - powiedział, dostrzegając wysoką, patologicznie chudą blondynkę, przedzierającą się prosto do nich przez zwarty tłum. Mógł przewidzieć, że Gayle Frederick dopadnie Luciannę, kiedy tylko spoczną na niej jej oczy. Była osobą, która uważała siebie za mecenasa sztuki. W praktyce oznaczało to jedynie, że jest zbyt bogata, żeby nazwać ją snobką.

- Chance, jak miło cię widzieć. - Podpłynęła do niego i teatralnym gestem ucałowała go w oba policzki.

- Witaj, Gayle - mruknął na powitanie.

- Och, i pani Colton - zwróciła się wylewnie do Lucianny. - Nie ma pani pojęcia, jak strasznie się cieszę, że mogę panią poznać. Cóż to za wieczór się zapowiada: Sebastian Montebello na scenie i Lucianna Colton na widowni.

- Bardzo pani dla mnie uprzejma - Lucianna uśmiechnęła się przybierając natychmiast maskę diwy.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie - upierała się Gayle Frederick. - Mam dużo szczęścia, jeśli tak można powiedzieć. Choć nie tak wiele, jak pani - dodała, rzucając wymowne spojrzenie na Chance'a. - Chciałam powiedzieć, że jest pani tu w towarzystwie mężczyzny, który jest obiektem westchnień wszystkich dam w Tulsie.

- Tak, mam szczęście - zgodziła się Lucianna, odrobinę mocniej przyciskając rękę do ramienia swego towarzysza.

Chance dostrzegł niewielkie poruszenie przy wejściu i zerknął w tym kierunku. Nagle zamarł w bezruchu, ogarnięty jakimś dziwnym napięciem, które zajęło miejsce niecierpliwości i irytacji, bo oto okazało się, że patrzy na Flame. Miesiące i dni, które upłynęły od ich pierwszego spotkania na przyjęciu, nagle zniknęły. Znowu przyglądał się jej przez zatłoczony pokój, przyciągnięty przez tę uderzającą kombinację miedzianej czerwieni włosów i szmaragdowej zieleni oczu.

A jednak dzisiaj wydała mu się inna, jakby niedostępna - odległa i pełna dystansu. Nie przypadła mu do gustu ta zmiana, zaczął się jej więc bacznie przyglądać. Była inaczej uczesana; włosy, które zwykle opadały bujnymi kaskadami wokół twarzy i ramion, były ściągnięte do tyłu i spięte na karku szeroką klamrą. Nowy styl nie był surowy, a jednak widać było próbę podporządkowania płomiennego nieładu głębokiemu wyrafinowaniu. To nie było w stylu Flame. Zupełnie też do niej nie pasowała niezwykle szykowna i elegancka garsonka z pikowanego, przetykanego czerwonozłotą nitką materiału. Nie miała na sobie żadnej biżuterii. Prosty, długi zakiet całkowicie zakrywał jej kobiece kształty, dając Chance'owi wrażenie, że przywdziała miedzią zbroję.

Ktoś przesłonił mu Flame. Chance próbował ominąć wzrokiem mężczyznę, ale po chwili zarejestrował kwadratową szczękę, dołek w brodzie i żelazne spojrzenie Malcolma Powella - jej nowego kochanka. Patrzył na żarzący się czubek jego papierosa i ogarniał go gniew.

Kiedy znowu podniósł wzrok, spostrzegł, jak uśmiechnęła się do Malcolma... W jej uśmiechu było tyle ciepła, tyle podziwu i tyle... intymności Cholera! Już kiedyś próbował siebie przekonywać, że zwróciła się ku Malcolmowi na złość jemu, że był to sposób, żeby mu dokuczyć... może nawet próba wzbudzenia jego zazdrości. Ale sposób, w jaki patrzyła na



Powella... Chance odwrócił się i niemalże brutalnie wetknął papierosa do wypełnionej białym piaskiem popielniczki, wpychając go głęboko do środka.

- Spójrzcie, kto przyszedł! Malcolm Powell w towarzystwie - zakomunikowała Gayle Frederick, kiedy Chance wyprostował się i odwrócił do pań. Czujnie zamarł w bezruchu, kiedy zobaczył, że tamci idą prosto w ich kierunku, chociaż miał wątpliwości, czy Flame go już dostrzegła. - A nie mówiłam, że to będzie wspaniały wieczór - dodała podekscytowana brunetka. - Chance, ty go znasz, prawda?

- Tak.

Lucianna wbiła mu palce w ramię.

- Może byśmy... - zaczęła. Ale Chance odgadując jej propozycję, żeby wyjść, zanim Flame i Powell do nich podejda, nieznacznie potrząsnął głową. Czuł potrzebę konfrontacji.

- Przyjechał tu do kogoś w odwiedziny - rzuciła Gayle scenicznym szeptem, odwracając się równocześnie, by zarzucić swe sidła na przechodzącą grupkę, w której, jak zauważył Chance, znajdował się także Ellery Dom. - Panie Powell, cóż to za niespodzianka, że jest pan tu dzisiaj z nami. Witamy w Tulsie.

- Dziękuję, pani... Frederick, jeśli się nie mylę - odparł Powell i nieznacznie skinął głową.

- Tak - potwierdziła Gayle, mile polechtana faktem, że ją rozpoznał. - Sądzę, że zna pan wspaniałą primadonnę, Luciannę Colton i, oczywiście, Chance'a Stuarta.

- Owszem. - Przeniósł na Chance'a gładkie jak stal spojrzenie szarych oczu i otaksował go nieprzychylnie.

- Witam, panie Powell. - Chance skinął głową na powitanie i przelotnie uściśnął dłoń rywala, dostrzegając siłę i władczość, które manifestowały się

nie tylko w uścisku jego ręki.

Kontynuując przedstawianie, Gayle powiedziała:

- A to jest Flame Bennett z Morgan's...

Lecz Flame przerwała jej:

- Ja i pan Stuart znamy się.

Jej chłód podziałał mu na nerwy. Gayle odwróciła się do niego gwałtownie z nagłym rumieńcem na twarzy.

- O, Boże - mruknęła, przypominając sobie właśnie, kim jest Flame Bennett.

- Nic się nie stało, Gayle - uspokoił ją, pokrywając swój gniew uprzejmą obojętnością. - Była pani Stuart ma zwyczaj przypominania przeszłości, którą lepiej byłoby zapomnieć. - Specjalnie patrzył jej prosto w oczy. Dostrzegł w nich błysk gniewu, choć próbowała go ukryć.

- Bardzo mi przykro...

- Proszę się nie usprawiedliwiać, pani Frederick - wtrąciła zimno Flame. - To zbędne, pana Stuarta czasami zawodzi pamięć.

Chance zwrócił się do Powella:

- Co pana sprowadza do Tulsy, przyjemność czy interesy? - zapytał, spoglądając na Flame i dostrzegając w niej niewielkie napięcie.

- Wydaje mi się, że można powiedzieć, że łączę przyjemne z pożytecznym - padła gładka odpowiedź.

- Flame zajmuje się reklamą pańskiej firmy, prawda? - Chance zawiesił na chwilę głos. - Między innymi...

Złośliwość tej uwagi pozostała zupełnie nie zauważona przez Gayle Frederick, która znów ochoczo włączyła się do konwersacji:

- Mam nadzieję, że ma pan w planach otwarcie jednego ze swoich sklepów w Tulsie, panie Powell. Mamy tu Neiman-Marcusa i Saksa, brakuje nam

jedynie domu towarowego Powella.

- Zobaczymy - odparł. Na jego twarzy odmalowały się zadowolenie i pewność siebie, kiedy wziął Flame pod ramię, podkreślając intymność ich związku. - Pójdziemy już chyba, kochanie. Ellery! - Potem zwrócił się do Chance'a: - Proszę wybaczyć, ale już chyba czas, żebyśmy poszukali naszych miejsc.

Kiedy się oddalili, dołączając do tłumu osób wchodzących na widownię, Gayle westchnęła.

- To okropne. Nie udało mi się poznać tego przystojnego dżentelmena, który im towarzyszył. Nie wiecie, czy to ktoś ważny?

Chance zignorował pytanie i spojrzał na Lucianę:

- Mówiłaś, że chciałybyś pójść za kulisy.

- Jak miło, że o tym pamiętasz - zauważyła figlarnie.

- Zwłaszcza że już sądziłam, że zupełnie o mnie zapomniałeś.

- Pamięć mam jeszcze w porządku, Lucianno. - Choć właśnie żałował, że nie jest inaczej.

Flame próbowała skoncentrować się na występie tenora, ale jej spojrzenie bez przerwy wracało do przednich rzędów i błędziło po zarysach głów i twarzy siedzących przed nią osób. Ukradkiem, jeszcze raz przebiegła po nich wzrokiem. Żałowała, że nie wie, gdzie siedzi Chance. A ponieważ z tyłu czuła wyraźne ukłucia, była prawie pewna, że jest gdzieś za nią.

Po raz kolejny zadawała sobie pytanie, dlaczego zdjęcie Chance'a i Lucianny sprowokowało ją do przyścia tutaj. Czy chciała, żeby Chance zobaczył ją z Malcolmem i dowiedział się, że w jej życiu jest inny mężczyzna? Czy może chciała zobaczyć na własne oczy, że plotki w gazetach o jego romansie z Lucianną Colton są prawdziwe, że rzekoma dobra

przyjaciółka została znowu jego kochanką?

Jeśli chodziło jej o powód plotek, to z pewnością go znalazła. Sposób w jaki Lucianna przyklejała się do boku Chance'a, jakby byli zrośnięci biodrami, ten arogancki i triumfujący blask w jej ciemnych oczach, który mówił: „on jest mój” i jego ręka zaborczo obejmująca jej talię - nawet dla postronnego obserwatora było oczywiste, jaki rodzaj stosunków ich łączy. Czy Lucianna przez cały czas była jego kochanką? Nawet wtedy, kiedy uganiał się za nią? Flame zmroziło na samą tę myśl. Nienawidziła obojga.

Dokoła zerwały się oklaski. Przyłączyła się do nich z pewnym opóźnieniem. Światła na widowni powoli się zapaliły, sygnalizując antrakt. Mimochodem zerknęła za siebie, ale dookoła kręciło się zbyt wielu ludzi; wstawali, pochylali się, odwracali, żeby z kimś porozmawiać, przechodzili między rzędami do wyjścia. Nawet jeśli Chance tam był, i tak by go nie zobaczyła.

Odwróciła się i zawahała przez moment czując, jak rośnie w niej napięcie. Potem wstała, ściskając pod pachą torebkę z wężowej skórki, i uśmiechnęła się przelotnie do Malcolma:

- Chyba pójde zacerpnąć trochę świeżego powietrza.

Malcolm właśnie miał ją ostrzec, że na pewno wpadnie na Stuarda, kiedy zorientował się, że ona o tym wie - tak jak wiedziała, że Stuart będzie tu dziś wieczór. Po prostu skinął głową i nic nie powiedział, pozostając na swoim miejscu, żeby cierpieć piekielne katusze. O tak, należała do niego, ale tak naprawdę, to nigdy jej nie miał. Na zewnątrz wiatr zamienił się już w lekką bryzę, a ciepła noc była pełna obietnic budzącej się wiosny. Światła śródmieścia Tulsy przyćmiły poświatę gwiazd, zbyt słabych, by rywalizować z jasno rozświetlonymi oknami wieżowców, które majaczyły naprzeciw Centrum Sztuk Dramatycznych.

W oddali dał się słyszeć jakiś klakson, ale ulice centrum były przeważnie

puste. Jedynie z daleka słycać było odległy szum ulicznego ruchu. Przyglądając się pięknie rozplanowanej zieleni Williams Center, Flame chłoneła spokój nocy i czuła, jak cisza ją uspokaja.

- Słyszałem ostatnio wiele pogłosek. - Z ciemności nocy dobiegł ją leniwy i uwodzicielski tembr głosu Chance'a, który robił na niej takie piorunujące wrażenie.

Spokój prysnął, pozostała jedynie baczna czujność. Jakoś udało jej się zapanować nad sobą i nie odwrócić się gwałtownie. Stała bez ruchu, spoglądając przed siebie w noc.

- Naprawdę? - rzuciła wyzywająco, pewna, że robi aluzję do jej związku z Malcolmem.

- Tak. - Odgłos kroków zdradzał, że Chance znajduje się tuż za nią.

Szybko wciągnęła powietrze do płuc i poczuła męski i mocny zapach jego wody kolońskiej. Powoli odwróciła się do niego twarzą, nagle zdając sobie sprawę, że nie tylko jest gotowa do konfrontacji, ale nawet jej pragnie. Stał przed nią, ciemny i elegancki, w czarnym wieczorowym garniturze.

- I są to bardzo interesujące wieści.

- Czyżby? - Próbowała odczytać coś z jego wyrazu twarzy, ale była zbyt uprzejma i nieprzenikniona.

- Tak, różne opowieści o zaporach, hotelach i przystaniach dla jachtów.

Stężała, gwałtownie odwracając głowę. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć. W jaki sposób dowiedział się tak szybko?

Jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Sądziłaś, że się nie dowiem o twoim przedsięwzięciu? Czasami świat jest bardzo mały, Flame.

- Na to wygląda - mruknęła z napięciem.

- Chyba nie sądzisz, że ci się uda?

- Chyba nie sądzisz, że jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi budo-  
wać? - rzuciła z wyzwaniem.

- Początkowo nie przywiązywałem specjalnej wagi do tych pogłosek,  
dopóki nie dowiedziałem się, kto jest twoim wspólnikiem. - Przechylił gło-  
wę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Wiedziałaś z kim iść do łóżka.

- Musiało ci to niezłe zależeć za skórę, że zamierzam zrealizować inwe-  
stycję, którą ty zaplanowałaś, i zachować Morgan's Walk prawie nietknięte -  
powiedziała rozwścieczona.

- Zakładając, że uda ci się to przeprowadzić...

- Uda mi się.

- Pewna jesteś? Wdepnęłaś między silnych chłopców, Flame. A w bez-  
litosnej rywalizacji nie ma żadnych reguł.

- Chcesz mnie wystraszyć?

- Już popełniłaś pierwszy błąd, błąd nowicjuszy. Powinnaś była blefować,  
udawać, że nie wiesz, o czym mówię, żeby się dowiedzieć, co wiem o twojej  
inwestycji. Ale ty po prostu to potwierdziłaś. - Na jego wargach pojawił się  
leniwy, lekko wymuszony uśmiech. - Odkryłaś karty, Flame.

- W takim razie, to wyrównuje nasze rachunki - odparowała. - Teraz nie  
będę musiała się już zastanawiać, czy wiesz, co robię. Powiedziałeś mi o  
tym.

- To jest moje jedyne i ostatnie ostrzeżenie, Flame - powiedział spokojnie. -  
Wycofaj się z tego, póki jeszcze możesz, dla własnego dobra.

- Mam ci pozwolić przejąć Morgan's Walk? Prędzej zobaczę cię w piekle! -  
zapewniła i pogardliwie potrząsnęła głową.

Skwitował to lekceważącym wzruszeniem ramion.

- I tak spędziłem tam prawie całe życie. - Przerwał na chwilę. - Gdy  
zobaczysz Powella, powiedz mu, że czekaniem niewiele osiągnie. Równie

dobrze może mi już wypisać czek na dług hipoteczny. Nigdy nie lubiłem wydawać własnych pieniędzy. Teraz posłużę się jego forszą, żeby cię powstrzymać!

- Dostaniesz pieniądze w określonym terminie, i ani minuty wcześniej.

- Jak sobie życzysz. - Na odchodnym dodał jeszcze: - Skoro już mowa o Powellu, czy łózkowe korzyści płynące z waszego interesu dostarczają mu tak wiele przyjemności jak kiedyś mnie?

Ukluta do żywego, uderzyła go w twarz, a siła ciosu wstrząsnęła każdym mięśniem jej ramienia. Natychmiast chwycił ją za ramiona, zaciskając palce na pikowanej tkaninie rękawów i zostawiając siniaki na jej skórze. Flame nie zamierzała z nim walczyć ani dawać mu satysfakcji wynikającej z jego fizycznej przewagi; stała nieugięta i cicha, wytrzymując zimne spojrzenie jego niebieskich oczu.

- Czy on potrafi cię tak rozwścieczyć?

- Nigdy się tego nie dowiesz. - Zauważyła, jak zadrgał mięsień na jego zaciśniętych szczękach i wiedziała, że dotknęła go jej drwina.

- Jesteś tego pewna? - spytał szyderczo. - Jesteś zbyt spokojna. Podejrzewam, że on cię wcale nie rajcuje. Nic nie czujesz, kiedy z nim jesteś, prawda?

- Ufam mu i szanuję go, a o tobie nigdy nie mogłam powiedzieć nawet tego - odcięła się z goryczą.

Ale Chance tylko się uśmiechnął.

- Zaufanie. Szacunek... To wszystko jest takie mdłe. Nie lepsze jest to?

Przyciągnął ją do siebie i zanim zdążyła się odwrócić, jego wargi spadły niespodziewanie na jej usta w rozjuszonym i pożądlwym pocałunku. Próbowała wyrywać się i kręcić głową, ale nie mogła się uwolnić od jego namiętnej gwałtowności. Wtedy dokonała szokującego odkrycia - jakaś jej część

wcale nie chciała, żeby skończyło się to wilgotne splątanie warg. Duma nie pozwoliła jej odwzajemnić pocałunku, a wewnętrzny głód nie pozwalał ode-  
rwać się od jego ust.

Chance odsunął ją od siebie gwałtownie. Wzięła głęboki oddech i odrzuciła  
głowę do tyłu, żeby na niego popatrzeć; szczęki miała mocno zaciśnięte, a  
usta układały się w ponury grymas. Czy zauważył, jak błyszczą jej oczy?  
Zastanawiała się, czy wiedział, że to z powodu gorących łez, które do nich  
napłynęły.

- Flame, zdajesz sobie sprawę, jak ironiczna jest cała ta sytuacja? - Jego  
głos był szorstki i napięty, kiedy ją zaatakował. - Potępiłaś mnie za to, że  
posłużyłem się tobą, żeby zdobyć Morgan's Walk, a potrafisz usprawiedliwić  
przed sobą sposób, w jaki wykorzystujesz Powella, bo przy jego pomocy  
możesz zatrzymać posiadłość.

Zadrzała, rozwścieczona do żywego, że ośmielił się na takie porównanie  
Chciała mu wykrzyknąć, że to jest zupełnie co innego. W jej związku  
Malcolmem nie było pozorów miłości - z żadnej strony - ani oszukiwania. To  
był układ, który pasował obojgu. Ale Chance już odszedł. Patrzyła za nim jak  
znika wewnątrz budynku i nienawidziła go za to, że próbował oceniać ją  
według własnej miary.

Odwróciła się od oświetlonego wejścia i łapczywie wdychała nocne po-  
wietrze, usiłując się trochę uspokoić. Dlaczego ją tak rozzłościł? Dlaczego no  
prostu nie zignorowała jego złośliwych przytyków? Nie było w nich cienia  
prawdy.

- Zaczerpnęłaś już wystarczająco dużo świeżego powietrza? - Malcolm  
próbował, ale nie potrafił wymazać oskarżycielskiego tonu ze swojego głosu.

To nie świeże nocne zapachy uderzyły w jego nozdrza, kiedy się przy niej  
zatrzymał, lecz ostra woń męskiej wody kolońskiej, przemieszanej z za-



pachem jej perfum. Na dźwięk jego głosu odwróciła się gwałtownie. Gdy stanęli twarzą w twarz, zauważył jej zdenerwowanie i wzburzenie. Miał przynajmniej tę satysfakcję, że cokolwiek Stuart wziął, zrobił to bez jej przyzwolenia. Z drugiej strony nie mógł znieść tego, że Stuart wzbudzał w niej aż takie emocje, podczas gdy jemu udawało się ją ledwie rozdrażnić.

- Malcolmie, on wie. - W głosie Flame słychać było napięcie; nie mogła się opanować.

- O czym wie?

- O naszym przedsięwzięciu.

- Powiedziałaś mu? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie powiedziałam mu nic, czego by wcześniej nie wiedział. - Zacisnęła dłonie na malutkiej torebce, aż zbieleły jej kostki. - To wszystko zmienia, Malcolmie. On teraz ruszy, żeby nas powstrzymać.

- Poradzę sobie z nim. Nic się nie martw. Jak tylko wrócimy do San Francisco, każę Bronsky'emu zająć się zatwierdzeniem planów zapory, a sam wykonam kilka telefonów, żeby mu przeczyścić drogę. Strona finansowa inwestycji jest już też prawie skończona. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mógłby nam przeszkodzić.

- Ależ ty nic nie rozumiesz - upierała się gorączkowo. - On rzuci przeciwko nam wszystko, co posiada. To nie jest walka, którą możemy wygrać, prowadząc ją na odległość. Od tej chwili jedno z nas będzie musiało zostać w Oklahomie. Oczywiście, to muszę być ja.

Nie zgadzał się z jej rozumowaniem, ale też nie uważał, żeby rozum miał cokolwiek wspólnego z jej decyzją. Twierdziła, że nienawidzi Stuarta, a jednak chciała zostać tutaj, żeby z nim walczyć. W milczeniu, przyglądał się jej badawczo. Była taka dumna, taka nieustępliwa. Chciał scałować tę jej zawziętość, ale nie miał ochoty poczuć smaku ust innego mężczyzny.

- Przez cały czas tego właśnie chciałaś, prawda? Przenieść się tu - powiedział z jakimś fatalizmem.

- Nie! - zaprzeczyła zaszokowana, że w ogóle coś takiego przyszło mu do głowy.

- To chciałaś zrobić, kiedy za niego wyszłaś.

- Teraz nie jestem jego żoną - odpowiedziała ze złością.

- Tak, wiem. Zastanawiałem się tylko, czy ty o tym pamiętasz. - Wziął ją pod rękę. - Wracajmy do środka. Zdaje się, że żadnemu z nas nie służy wieczorne powietrze.

#### 40

Niecały tydzień później Flame przyleciała do San Francisco, spakowała rzeczy, powiadomiła zarządcę kamienicy o swojej kilkumiesięcznej nieobecności, załatwiła, by przesyłano jej korespondencję na nowy adres, złożyła wypowiedzenie w agencji, uprzątnęła biurko i zdążyła na powrotny samolot do Tulsy. Na szczęście już od jakiegoś czasu przygotowywała Rudy'ego Gallaghera do przejęcia spraw Powella, jedyne go dużego klienta, którym zajmowała się przez ostatnie kilka miesięcy. W ten sposób samo przekazanie obowiązków okazało się mniej pracochłonne niż inne zajęcia. Cała reszta załatwiana była w pośpiechu i gorączce; Flame nie miała jednej wolnej minuty.

I to nie zmieniło się, kiedy już znalazła się w Morgan's Walk. W piątek rano firma przewozowa dostarczyła kartonowe pudła z jej osobistymi rzeczami. Sortując je, odstawiła na bok trzy pudła oznaczone literą „P”, które zawierały papiery, dokumenty i materiały biurowe. Następnie zaniósła je do biblioteki, a resztę miała rozpakować Maxine.

Zmęczona lotem i ciągłym niedosypianiem przez ostatnie pięć dni, Flame stała pośrodku biblioteki i przyglądała się trzem kartonowym pudłom.

Potrząsnęła głową nad własnym niezdecydowaniem. Nie wiedziała, od którego ma zacząć. Jakie to w końcu ma znaczenie? I tak musi rozpakować wszystkie trzy.

Wzięła z biurka nożyczki, rozcięła samoprzylepną taśmę do pakowania i odchyliła kartonowe wieko. Z olbrzymiego holu dobiegł łomot mosiężnej kołatki o drzwi. Niemal równocześnie zadzwonił telefon.

Słyszając ciężkie stąpanie Maxine, która spieszenie schodziła na dół po schodach, Flame krzyknęła głośno:

- Ja odbiorę telefon.

Zostawiła otwarty karton na podłodze i ruszyła do biurka. Zdążyła podnieść słuchawkę po drugim dzwonku.

- Morgan's Walk. Tu Flame Bennett.

- Wiem, co zamierzasz zrobić. - Przestraszona dziwnie brzmiącym głosem Flame przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha i zmarszczyła brwi. - Daj sobie spokój, bo pożałujesz.

- Kto mówi? - zapytała stanowczym głosem. - Kim pan jest?

Ale połączenie przerwano. Odsunęła słuchawkę od ucha i przyjrzała się jej uważnie. Ten telefon z pogrozkami mgliście przypominał pośpiesznie bazgrołone ostrzeżenia, które kiedyś otrzymywała. Mężczyzna o drapieżnej twarzy - me myślała o nim od wielu tygodni. To wszystko wydarzyło się jeszcze w San Francisco, zanim poślubiła Chance'a. Czy podążał jej śladem aż do Tulsy? Jeśli tak, dlaczego zmienił zwyczaje i zadzwonił, zamiast przesiać jej znów małą karteczkę z pogrozkami?

Ten głos brzmiał tak dziwnie, mechanicznie... jak głos robota. Na pewno nie był to naturalny ludzki głos. Nie, najwyraźniej użyto jakiegoś syntetyzatora dźwięku, żeby ukryć tożsamość osoby dzwoniącej. Flame nigdy nie słyszała głosu mężczyzny o drapieżnej twarzy. Nie mogłaby więc

go rozpoznać.

Starając się otrząsnąć po tym wydarzeniu, odłożyła słuchawkę na widełki. Tłumaczyła sobie, że ma zbyt bujną wyobraźnię. To więcej niż pewne, że ten telefon jest jakimś idiotycznym żartem nastolatka. I to mało zabawnym.

- Widzę, że zaskoczyłem panią w samym środku rozpakowywania.

Flame odwróciła się gwałtownie i przez chwilę patrzyła nieprzytomnie na Bena Canona, który właśnie zmaterializował się w drzwiach, zupełnie jak krasnal, którego zresztą przypominał.

- Maxine powiedziała mi, że pani tu jest. - Przyglądał się uważnie Flame. A ona właśnie w tym momencie przypomniała sobie, że kiedy odbierała telefon, ktoś pukał do drzwi. - Czy coś się stało?

- Nie - zaprzeczyła z pośpiechem i machnęła rękaw kierunku telefonu. - Dzwonił jakiś wariat. To wszystko - powiedziała i wzruszyła ramionami, chcąc oddalić nieprzyjemne wspomnienie. - Niech pan wejdzie i proszę wybaczyć ten bałagan. Jak pan widzi, wprowadziłam się tu z dość okazałym majdanem.

- Tak, zauważyłem już część w korytarzu. - Uśmiechnął się z sympatią i podszedł do fotela.

- Co pana sprowadza taki kawał drogi?

- Mam dobre wiadomości. - Postawił na krześle swoją teczkę.

- Przydałyby się. - Szczególnie po tym telefonie, pomyślała, ale tego już nie powiedziała na głos. Okrążyła stojące u jej stóp kartonowe pudło i podeszła do Canona, zatrzymując się naprzeciw kominka. Jak zawsze czuła na sobie wzrok postaci z portretu.

Adwokat wyjął z teczek list i wręczył go Flame.

- Morgan's Walk przyznano wstępnie status zabytku historycznego. Chciałbym położyć nacisk na słowo „wstępnie”, bo może jeszcze zostać

odrzucone. Niestety, nie możemy utrzymywać, że spał tutaj Will Rogers, ani że Edna Ferber napisała część *Cimarrona* w jednym z pokoi gościnnych. Wtedy mielibyśmy pewność, że sprawa zostanie rozpatrzona pozytywnie. Mim wszystko sędzę, że to dobry znak.

- Też tak uważam. - Flame zaczęła przeglądać list, a do pokoju weszła Maxine, niosąc tacę z kawą. Grube, gumowe podeszwy jej ortopedycznych butów prawie nie wydawały dźwięku na drewnianej podłodze.

- Nic nie mówiliście, ale pomyślałam, że na pewno napijecie się kawy - oświadczyła, rzucając adwokatowi zjadliwe spojrzenie.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Maxine.

Gospodyni prychnęła pogardliwie.

- Wolałam przynieść kawę od razu niż wdrapywać się na górę po to tylko, żeby usłyszeć, jak pani mnie woła i prosi o kawę. - Właśnie kiedy stawiała tacę na stoliku z wiśniowego drewna, rozległo się stukanie do wejściowych drzwi. - Maxine wyszła z pokoju gniewnie pomrukując. - Ten dom niedługo zamieni się w poczekalnię dworcową.

- Spodziewa się pani kogoś? - Ben spojrzał na nią z zaciekawieniem, nalewając kawę do swojej filiżanki.

- Nie, ale pana też się nie spodziewałam.

Maxine wróciła prawie natychmiast.

- To jakiś pośrednik handlu nieruchomościami, niejaki Hamilton Fletcher. - Wręczyła Flame jego wizytówkę. - Chce się z panią zobaczyć, ale nie chce powiedzieć w jakiej sprawie.

Flame rozpoznała nazwę firmy na wizytówce. Była to jedna z agencji, którym zleciła zakup ziemi. Zignorowała badawcze spojrzenie Maxine i poprosiła, żeby wprowadzić gościa.

Hamilton Fletcher miał na nogach wypolerowane kowbojskie buty, a w rę-

ku trzymał biały kapelusz z szerokim rondem; wyglądał na wiejskiego dżentelmena, spokojnego i skromnego, o szczupłej twarzy naukowca.

- Proszę wybaczyć, że nachodzę panią w ten sposób, pani Bennett - natychmiast zaczął się usprawiedliwiać, lekko przeciągając słowa. - Rozmawialiśmy przez telefon, ale jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać. Nazywam się Ham Fletcher. Jestem z agencji handlu nieruchomościami Green Country.

- Oczywiście, panie Fletcher. Przypominam sobie pana - odparła Flame i przedstawiła gościa Benowi Canonowi, ale panowie już się znali.

- Właśnie wracam od Crowderów, z tego rancza, które zleciła mi pani zakupić. Byłem w okolicy, więc pomyślałem sobie, że wpadnę i spróbuję z panią coś wyjaśnić. Otóż po naszej rozmowie telefonicznej w zeszłym tygodniu pojechałem do Crowderów i złożyłem im następną ofertę. Kiedy dzisiaj do nich zajrzałem, poinformowali mnie, że nie są zainteresowani sprzedażą i że to samo powiedzieli już temu drugiemu facetowi.

- Jakemu drugiemu facetowi? - Flame zmarszczyła brwi.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem - odparł, uśmiechając się z zakłopotaniem. - Jeśli ma pani jeszcze kogoś, kto próbuje kupić dla pani te ziemie, to lepiej będzie, jeśli się wycofam, żeby dodatkowo nie komplikować sprawy. Wiem, że nie podobało się pani, że tak długo czekałem...

- Panie Fletcher - przerwała mu w pół słowa - nie wynajęłam nikogo innego do kupna ziemi Crowderów.

Mężczyzna podniósł głowę, a jego piwne oczy zaokrągliły się nieco. - W takim razie ktoś jeszcze chce kupić tę ziemię, proszę pani.

- A więc dobrze by było, gdyby wrócił pan teraz do Crowderów i złożył im następną ofertę, odpowiednio wyższą - oświadczyła szorstko Flame.

Zawahał się, powoli obracając w rękach kapelusz.

- Ostatnim razem zaproponowałem im o sto dolarów za akr więcej, niż

warta jest ta ziemia.

- W takim razie proszę podnieść cenę do pięciuset - odparła. - Ja chcę mieć tę ziemię, panie Fletcher.

Odchylił głowę nieco do tyłu.

- Trudno mieć tu jakieś wątpliwości, kiedy oferta pani jest tak szczodra.

- Świetnie. W takim razie, panie Fletcher, jeśli to już wszystko... - mrukneła, unosząc do góry brew.

Zrozumiał aluzję.

- Jadę do Crowderów. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, pani Bennett. Do widzenia panie Canon. - Skinął głową i wyszedł.

Zaaferowanie i niecierpliwość, którą udało się jej powstrzymać w obecności Fletchera, wybuchły, kiedy gość przekroczył próg biblioteki. Flame zawróciła od drzwi i zaczęła krążyć po pokoju.

- Chance dowiedział się, że potrzebuję tej doliny.

- Wszystko na to wskazuje. - Ben Canon skinął głową.

- I chyba wiem, skąd się dowiedział - stwierdziła ponuro. - Dzień przed moim wyjazdem z San Francisco spotkałam się z Karlem Bronskym. Wygląda na to, że nasze podania o zezwolenie na budowę zapory i plany zniknęły w tajemniczy sposób. Musimy jeszcze raz wszystko złożyć. Nawet jeśli Chance nie ma oryginałów, to na pewno posiada ich kopie. Co oznacza, że wie o wszystkim. - Tak samo, jak ona kiedyś wiedziała wszystko o jego przedsięwzięciu. - I dlatego przysłał tu kogoś, żeby wykupić przed nami resztę doliny. Dzięki Bogu, że mamy już opcje na trzy z tych parceli. Ale ta ziemia Crowderów ma pierwszorzędne znaczenie. Musimy ją mieć.

- Stuart niewątpliwie też zdaje sobie z tego sprawę.

- Ben, co pan wie o Crowderach?

Popatrzył na nią pustym wzrokiem i potrząsnął głową.

- To dla mnie tylko jedno z nazwisk w spisie nieruchomości regionu. Musi pani spytać o to Charliego. Wie wszystko o każdym człowieku, który mieszka w promieniu trzydziestu kilometrów od Morgan's Walk.

Wiosna była pracowitym okresem w Morgan's Walk. Napięte plany zajęć Charliego i Flame pozwoliły im na rozmowę dopiero następnego dnia. Spotkała się z zarządcą w zagrodach, gdzie pomocnicy obrączkowali, szczepili i znakowali młode cielęta i kastrowali byczki.

Charlie stał przy ogrodzeniu z rękami opartymi o górną żerdź i z nosa wspartą na dolnej. Kiedy Flame podeszła i stanęła obok niego, spojrzał na nią z ukosa i skinął głową, a jego białe wąsy uniosły się w uśmiechu.

- Już się pani zadomowiła? - spytał przeciągając słowa i nie zadając sobie trudu, żeby podnieść głos, by przekrzyczeć porykiwania cieląt z białymi pyskami i ich matek.

- Prawie. - Przyglądała się, jak kowboj popędza rozjuszony cieię, usiłując zmusić je do wejścia głębiej do wąskiego boksu. - Jak się sprawują nowi ludzie?

Charlie westchnął z dezaprobatą.

- Większość z nich jest tak nieprzydatna, jak cycki u knura. - Spojrzał na nią ze skruchą. - Bardzo przepraszam, pani Flame, ale to najszczęsza prawda. Nawet na chwilę nie mogę ich spuścić z oczu, bo zaraz przestają robić i siadają na tyłkach. - Wypuszczony z boksu cielak przeleciał pędem obok nich, podnosząc kłęby czerwonego pyłu. Charlie natychmiast się wyprostował i krzyknął do jednego z kowbojów: - Holstener! Wypuściłeś nie zaobrączkowanego cielaka. Zapędź go natychmiast z powrotem. - Znowu oparł się o płot w niedbałej pozie. - Sama pani widzi, jak to z nimi jest.

- Rzeczywiście.



- Ale niech panią o to głowa nie boli. Już ja ich zmuszę do roboty.

- Wiem, że to się panu uda. - Przerwała i po chwili zapytała: - Charlie, co pan wie o Crowderach?

- Których?

- O tych, do których należy farma w dolinie na północ i na zachód od nas.

- Chodzi pani o starego Dana Crowdera i jego żonę. - Skinął głową. - Tak, wciąż tam mieszkają. Nazywają to miejsce rodzinnym siedliskiem. Chociaż słyszę, że to ich córka i jej mąż robią całą robotę, odkąd stary Dań jest chory. Mieli dwóch synów, ale obaj już nie żyją. Starszego stracili, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Drugi chłopak zginął w wypadku samochodowym... musi być już jakieś dziesięć lat. Teraz została im tylko dziewczucha. Oczywiście ma już trzech urwipołciów. Nie pamiętam, jak ma na imię... Martha... Mary... Mariorie. Coś w tym stylu.

- Powiedział pan, że stary Crowder jest chory?

Charlie skinął głową.

- Operowali go w zeszłym roku, miał raka gardła. Ta rodzina wiele przeszła. Ale to dobrzy ludzie, uczciwi, ciężko pracują. Takim ludziom należy się porządny kawałek dachu nad głową.

- Farma nie jest chyba wiele warta?

Potrząsnął głową.

- Ziemia jest za słaba, choć w takim miejscu, w dolinie. To powinna być żyzna ziemia, ale tak nie jest. Prawdopodobnie wyciągają z uprawy tyle, żeby jakoś związać koniec z końcem i to wszystko.

- W takim razie powinni ją sprzedać i kupić kawałek ziemi gdzie indziej.

- Ano. Ale Crowderowie uprawiali tę ziemię w czasach, gdy ta okolica nie była jeszcze stanem. Oczywiście był już tutaj Morgan, kiedy się sprowadzili.

- Hej, Charlie! - krzyknął jakiś kowboj. - Coś mi się zdaje, że dziś na

kolację kucharz usmaży nam całą górę jąderek?

Charlie odkrzyknął:

- Jak się tak będziecie chłopcy ruszać, jak do tej pory, to będziemy tu jeszcze o brzasku.

- Niech pan wraca do pracy, Charlie - powiedziała Flame, podniesiona na duchu informacjami o Crowderach. Niedawna choroba i operacja ojca musiały wpędzić rodzinę w niezłe finansowe tarapaty. Była prawie pewna, że nie będą w stanie się oprzeć jej szczodrej ofercie.

Lecz rozmowa z Hamem Fletcherem, do którego zadzwoniła po południu, nic jej nie wyjaśniła. Fletcher powiedział, że zostawił pani Crowder ofertę i planuje zadzwonić na początku tygodnia, jeśli oni się wcześniej nie odezwą. Obiecał, że da znać natychmiast, jak tylko będzie miał odpowiedź, wszystko jedno jaką.

Ale minęła niedziela, a on nie dawał znaku życia.

Flame skrzywiła się przez sen na ogłuszający dzwonek, który budził ją natrętnie. Próbowwała go ignorować. Na chwilę jej się udało. Potem zadzwieczył znowu, głośniejszy i ostrzejszy niż poprzednio. Z jękiem przewróciła się na drugi bok, pewna, że to nie może być jeszcze poranek. Czuła się tak, jakby przed chwilą zasnęła. I nagle jej senność zniknęła, bo zorientowała się, że to nie budzik dzwoni, tylko telefon.

Poszukała po omacku sznurka od lampy i zamglonymi oczami usiłowała odczytać zielono błyszczące cyferki na elektronicznym zegarku. Dwudziesta trzecia trzydzieści sześć - przeczytała.

- Malcolmie, tu są dwie godziny różnicy czasu - jęknęła i podniosła słuchawkę, przysuwając ją do ucha. - Halo - powiedziała, starając się usunąć senność z głosu.

- Nie posłuchałaś mnie. - W słuchawce zabrzmiał ten dziwny mechaniczny głos, monotony, zniekształcony i metaliczny. Flame, zupełnie rozbudzona, usiadła prosto na łóżku. - Ostrzegam cię. Daj sobie z tym spokój, bo pożałujesz.

- Jeśli to ma być żart - rzuciła ze złością do słuchawki - to wcale mnie nie śmiesz.

Lecz nie usłyszała żadnej odpowiedzi, nic, poza głuchą ciszą wskazującą, że połączenie zostało przerwane. Flame jeszcze przez moment trzymała słuchawkę, po czym cisnęła ją na widełki. Kto to robi? Mężczyzna o drapieżnej twarzy? W takim razie, dlaczego? Najpierw ostrzegął ją, żeby trzymała się od niego z daleka. Zrozumiała, że chodziło o Chance'a. Ale czy na pewno? Teraz ostrzegają, żeby dała sobie spokój. Z czym? To się nie trzyma kupy. Telefony niekoniecznie musiały mieć związek z kartkami i z pogroźkami.

Ale jeśli to nie ten facet z drapieżną twarzą, to kto? Chance? Ostrzegął ją przecież wtedy w operze. Czyżby stosował taktykę odstraszenia? Może. Ale choćby nie wiem jak chciała, nie mogła sobie wyobrazić, że Chance mógłby ją straszyć w ten sposób.

W środę Flame wysłała Maxine wcześniej do domu. Dwadzieścia minut po jej wyjściu zadzwonił telefon. Flame znieruchomiała, nerwy miała napięte do granic ostateczności. Gapiała się na aparat na biurku, wsłuchując się w drugi dzwonek. Przez ostatnie trzy dni nie miała telefonów z pogroźkami. Czy to oznaczało, że się skończyły? A może to kolejny z nich?

Karcąc się w duchu za brak opanowania, odebrała telefon.

- Kto mówi? - W słuchawce zapadła cisza. - Ja...

- Flame? Czy to ty?

- Malcolm. - Rozpoznała jego głos i zrobiło jej się głupio, że zaczęła tak wojowniczo. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że te telefony martwią ją

bardziej, niż sądziła. - Przepraszam. Nie wiedziałam, że to ty.

- A myślałaś, że kto?

- Nieważne. - Nie chciała teraz rozmawiać o tajemniczych telefonach. Było zbyt wiele innych, znacznie ważniejszych spraw, o których musiała pomówić z Malcolmem. - Cieszę się, że dzwonisz. Chciałam cię łąpać później. Jak się miewasz? Wszystko w porządku tam, w San Francisco?

- Wszystko idzie świetnie... choć ostatnio moje służbowe spotkania przy obiedzie stały się bardzo monotonne i nudne.

- To pewnie wina towarzystwa.

- Z pewnością - odparł.

- Malcolmie, mam dobre wieści. Udało nam się uzyskać opcję na sprzedaż następnej działki. Już jest wszystko dogadane. Ben przygotowuje właśnie umowę. Jestem z nim umówiona dziś na kolację, żeby ją przejrzeć. Jak dobrze pójdzie, wyślemy ci ją teleksem jutro rano.

- Dlaczego nie przywiesz jej ze sobą w piątek? Jeden dzień nie powinien wiele zmienić.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o czym Malcolm mówi. Potem przypomniała sobie, że miała zamiar polecieć na weekend do San Francisco, żeby pozalać wszystkie zaległe sprawy.

- Malcolmie, przykro mi, ale nie będę mogła przyjechać. Mam tutaj zbyt wiele rzeczy do zrobienia.

- Wiesz Flame, to zastanawiające - w jego głosie słychać było irytację. - Byłaś zbyt zajęta, żeby się ze mną spotkać przed wyjazdem. Teraz jesteś zbyt zajęta, żeby wrócić. Rozmawialiśmy ze sobą tyle razy w ostatnim tygodniu, ale ani razu nie usłyszałem, że za mną tęsknisz. Zawarliśmy umowę, Flame, ale nie było w niej nic o kontaktach na odległość.

- Uwierz mi Malcolmie, mnie się to też nie podoba. Naprawdę za tobą tęsk-

nią. Może o tym nie wspominałam, ale nawet me wiesz, jak wiele razy żałowałam, że nie jesteś tutaj ze mną. Potrzebuję cię i jest tyle spraw, o których powinniśmy porozmawiać. Zdaje się, że będziemy mieli problem z kupnem nieruchomości Crowderów. Odrzucili naszą ostatnią ofertę. Wiem, że potrzebują pieniędzy. Nie mają ubezpieczenia na zdrowie, więc są winni szpitalowi małą fortunę za operację pana Crowdera, której się poddał w zeszłym roku. Z rachunkami za lekarzy i kurację, która jeszcze się nie skończyła, muszą być nielecho zadłużeni. Próbuję się dowiedzieć, ile są winni. To jest właśnie jedna z rzeczy, o których chciałam z tobą porozmawiać. Pomyślałam sobie, że gdybyśmy zaoferowali im dużo pieniędzy, tyle, żeby mogli spłacić wszystkie długi i żeby zostało im trochę gotówki, może udałoby się nam ich skusić. Co o tym sądzisz?

- Brzmi to dość logicznie - odparł, a w duchu pomyślał sobie cynicznie, że owszem, tęskniła za tym, żeby z nim porozmawiać... o interesach! Dlaczego nie mogła powiedzieć po prostu, że za nim tęskni. Tylko to, i nic więcej.

- To znaczy, że będziemy musieli zapłacić znacznie więcej, niż wynosi wartość rynkowa farmy. Ale ta ziemia ma dla nas tak podstawowe znaczenie, że koniec końców, bez względu na to, ile zapłacimy, będzie tego warta. - Zamilkła i po chwili dodała: - Malcolmie, dlaczego nie przylecisz tutaj? Lepiej, żebyś przejrzał moje zestawienia finansowe osobiście, niż mielibyśmy to omawiać przez telefon.

- Z pewnością - mruknął kwaśno.

- To nie jest decyzja, którą chciałabym podejmować sama. Możesz przyjechać?

- Nie w ten weekend. W sobotę rano mam spotkanie zarządu.

- A co z następnym weekendem?

Zawahał się. Na następny weekend przypadał dzień inauguracji sezonu

żeglarskiego w San Francisco. Przez wszystkie lata małżeństwa, zawsze razem z Diedre brali udział w uroczystościach otwarcia; zwykle wydawali przyjęcie na swoim jachcie. Ale chciał się zobaczyć z Flame. Byle było już tych inauguracyj, że nie straci wiele, jeśli raz opuści tę uroczystość.

- Może jakoś to zorganizuję - powiedział w końcu.

- Wspaniale. Włączymy sobie klimatyzację i spędzimy przytulny wieczór przed kominkiem, z przyciemnionymi światłami, popijając znakomitą starą brandy, którą tutaj znalazłam.

Zabrzmiało to tak, jakby była szczęśliwa. Malcolm zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem Diedre nie miała racji, kiedy powiedziała, że robi się gderliwy i trudno go zadowolić. Ostatecznie Flame poprosiła go, żeby przyjechał. A przecież nie należy do kategorii kobiet bezradnych i zależnych od mężczyzn. I właśnie to w pierwszym rzędzie tak go w niej pociągało: jej duma i niezależność.

- Gdzie mogę cię złapać dziś późnym wieczorem?

- O której?

- Nie sądzę, żeby moje spotkanie z Benem trwało dłużej niż dwie godziny. Powinnam być w Morgan's Walk najpóźniej o dziesiątej. Tutejszego czasu.

- To znaczy ósma u mnie. Będę na kolacji u DeBorgów. Zadzwoni raczej rano do biura, dobrze?

- Z samego rana - obiecała. - I jeśli będziesz mógł, spróbuj przyjechać w przyszłym tygodniu, zgoda Malcolmie?

- Postaram się. Chcę spróbować tej brandy przy kominku... i ciebie.

## 41

Kiedy Flame wyszła z restauracji w śródmieściu Tulsy, automatycznie podążyła wzrokiem w kierunku olbrzymiego czarnego monolitu, który wznosił

się w sąsiedztwie. Hebanowy połysk wykładanych marmurem fasad przytłaczał ją, a wyraźne złote „S”, logo Stuarta, uragało jej swoją obecnością. Odwróciła się gwałtownie, czekając, aż dołączy do niej Ben Canon.

- Dziękuję za kolację - powiedziała. - Było bardzo miło.

- Pomyślałem, że po tych wszystkich wieczornych posiłkach, które jada pani samotnie w Morgan's Walk, będzie to miła odmiana.

- Była. - Otworzyła torebkę i wyjęła kluczyki do samochodu. - Zadzwoń jutro do Malcolma i przekaż mu, że z samego rana prześle mu pan ostateczną wersję umowy opcji.

- Pojadę teraz prosto do biura i wniosę te drobne poprawki, o których dzisiaj mówiliśmy - odparł. - Gdzie pani zaparkowała? Odprowadzę panią do samochodu.

- Dokładnie po drugiej strone ulicy. - Skinęła głową w kierunku jasnoniebieskiego lincolna zaparkowanego pod latarnią. - Nie musi mnie pan odprowadzać, zwłaszcza że do biura idzie pan dokładnie w przeciwnym kierunku.

- Chciałem zachować się jak dżentelmen - obojętnie wzruszył ramionami, przyjmując jej odmowę.

- Wołałabym, żeby był pan moim adwokatem i sfinalizował tę umowę, zanim Chance wślizgnie się i wykupi mi tę ziemię sprzed nosa.

Zachichotał.

- Z każdym dniem robisz się bardziej podobna do Hattie. Dobranoc, Flame.

Pomachał jej skoroszytem i ruszył żwawo przed siebie. Przez chwilę obserwowała go z nieruchomym uśmiechem, po czym przeszła na drugą stronę ulicy do parkingu. Latarnia rzucała ostre światło na zaparkowany tuż pod nią samochód, wypierając ciemności nocy.

Kiedy zatrzymała się w pełnym świetle, żeby otworzyć drzwi od strony

kierowcy, poczuła nagły dreszcz niepokoju; nagle ogarnęło ją znowu to dziwne, nieprzyjemne - i zbyt dobrze znane - przeświadczenie, że ktoś ją obserwuje. Nie miała tego uczucia od czasu wyjazdu z San Francisco, kiedy śledził ją mężczyzna o drapieżnej twarzy. Rozejrzała się dookoła, lustrując dokładnie ulicę oraz parking, niemal spodziewając się, że za chwilę ujrzy oddalającą się sylwetkę. Ale nic nie zauważyła: chodnik był pusty, podobnie jak zaparkowane samochody, nikt - żadna niewyraźna postać - nie czał się w półmroku stojącego w pobliżu wieżowca.

Prawie ze złością zwalczyła w sobie uczucie niepokoju, kładąc je na karb telefonów z pogroźkami. To przez nie miała ostatnio nadmiernie rozbudzoną wyobraźnię. Otworzyła drzwi i szybko wślizgnęła się za kierownicę. A jednak pośpiech, z jakim wyjechała, świadczył o tym, że jakiś niepokój pozostał.

Cztery przecznice dalej zobaczyła we wstecznym lusterku ostry blask świateł jadącego za nią samochodu. Znow wróciło napięcie. Skąd się wziął ten wóz? Była pewna, że żaden samochód nie skręcał na ostatnim skrzyżowaniu. W jaki sposób pojawił się tak nagle - znikąd? Wtedy zdała sobie sprawę, jak paranoicznie się zachowuje, i zbeształa się za doszukiwanie się zagrożenia w czymś tak normalnym, jak jadący za nią samochód. Przecież, na Boga, wjazd na autostradę międzystanową był tuż przed nią, a i ruch będzie tam z pewnością większy, nawet w tak spokojnej okolicy.

Flame próbowała zignorować jadący za nią samochód, mimo to zauważyła, że skręcił na autostradę w tym samym miejscu, co ona. Ale to samo zrobił inny samochód za nim. Dwudziestokilometrowy odcinek autostrady, który dzielił ją od jej zjazdu, wydawał się dziś wieczorem znacznie dłuższy. Po drodze mijala wolniej jadące pojazdy i wielokrotnie ktoś ją wyprzedzał, lecz oślepiający blask świateł w jej wstecznym lusterku nie zmieniał położenia.



Ciągle na nowo Flame powtarzała sobie z uporem, że niekoniecznie muszą to być światła tego samego wozu.

Kiedy zjechał z autostrady w tym samym miejscu, co ona, przyszło jej do głowy, że to nie może być wyobraźnia czy mania prześladowcza. Samochód najwyraźniej jechał za nią. Do Morgan's Walk było jeszcze sześć kilometrów - sześć kilometrów wąską, dwupasmową szosą, na której, szczególnie wieczorem, panował niewielki ruch.

Z rosnącym niepokojem Flame zwolniła nieco, próbując zmusić jadący z tyłu samochód do wyprzedzenia jej. Ale on też zwolnił. Kiedy nacisnęła na gaz, też przyśpieszył, trzymając się ciągle w tej samej odległości. Spociły jej się dłonie. Mężczyzna z drapieżną twarzą, śledząc ją, nigdy przedtem nie zachowywał się tak ostentacyjnie. Skąd ta zmiana? I wtedy zrozumiała, że ten ktoś, kto jechał za nią, chciał, żeby wiedziała, że jest śledzona - chciał, żeby była zaniepokojona... przestraszona. Najgorsze było to, że mu się to udało.

Wyteżając wzrok, starała się dojrzeć w ciemnościach, poprzez ostre światło reflektorów lincolna, jakiś punkt orientacyjny, który pozwoliłby jej ustalić, jak daleko jeszcze do skrętu do Morgan's Walk. Droga przed nią gwałtownie zakręcała w prawo. Flame wiedziała, że od tego miejsca było mniej niż półtora kilometra do alejki prowadzącej na ranczo. Poruszyła palcami, starając się rozluźnić kurczowy uchwyt na kierownicy i jednocześnie nacisnęła na hamulec przed zakrętem.

Lecz jadący za nią samochód wcale nie zwolnił. Jego światła zbliżyły się raptownie, a ich odbicie w lusterku prawie oślepiło Flame.

- Zwariowałaś?! - krzyknęła. - Przecież zaraz jest zakręt!

W następnej sekundzie samochód uderzył w tył jej auta. Impet szarpnął nią gwałtownie, rzucając na kierownicę. Lincoln w pełnym pędzie wpadł w

zakręt. Jechała zbyt szybko! Nie miała szans utrzymać się na szosie!

Gdy zaczęła gwałtownie hamować, samochód wpadł w lekki poślizg i przeleciał na pas przeciwnego ruchu. Z gardłem ściśniętym strachem i napiętymi do ostateczności nerwami, desperacko starała się zapanować nad kierownicą. Ale nie była w stanie utrzymać auta na drodze. Przechyliło się i wpadło do rowu po przeciwnej stronie drogi. Przeżyła chwilę grozy, sądząc, że zacznie koziołkować. Jednak samochód zanurkował tylko na przeciwległą stronę rowu, podskakując i rzucając nią gwałtownie na boki.

Zatrzymał się na pastwisku, niecałe dwadzieścia metrów od drogi. Jakiś czas siedziała w bezruchu, z rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy. Potem zaczęła się cała trząść. Kiedy zorientowała się, jak niewiele dzieliło ją od nieszczęścia, ogarnęły ją dreszcze ulgi. Oparła się bezwładnie o siedzenie, ale natychmiast zmartwiała, przypominając sobie o samochodzie, który zepchnął ją z szosy. Z tej odległości widziała tylko blask jego tylnych świateł.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzi z włączonym silnikiem i wyrzuconym biegiem - nie pamiętała w ogóle, że cokolwiek robiła czekając, aż ochłonie. W końcu wysiadła na miękkich nogach, żeby obejrzeć szkody. Ale poza kilkoma wgnieceniami na chromowanym zderzaku i zahaczonymi gdzieśgdzie grudkami ziemi i kępkami trawy nic nie znalazła.

Wiedziała, że są małe szanse, żeby ktoś przejeżdżał tędy o tej porze. Miała więc dwa wyjścia; albo iść pieszo po pomoc, albo spróbować wjechać samochodem z powrotem na drogę. Wybrała to drugie.

Było to najdłuższe półtora kilometra, jakie przejechała w swoim życiu. Ręce, ramiona, szyja, wszystko miała obolałe od uderzeń w trakcie wypadku. Była pewna, że wyląduje z kilkoma uroczymi siniakami, ale, dzięki Bogu, w tylko tak to się skończyło. Mogło być znacznie gorzej - i to właśnie ją

przerażało.

Telefon odezwał się, kiedy przekroczyła próg domu. Zatrzymała się jak wryta i oblał ją zimny pot, gdy spoglądała na stojący w holu beżowy aparat. Powoli podeszła i podniosła słuchawkę.

- Halo - powiedziała ostrożnie, głosem pełnym napięcia.

Ten dziwny głos odpowiedział z przerażającą monotonią:

- To było ostrzeżenie. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

Flame zacisnęła dłonie na słuchawce, nie mogąc się poruszyć, ani wydobyć z siebie słowa - sparaliżowana tym, co usłyszała. Połączenie przerwano, a ona czuła każde obolałe miejsce na ciele, każdy napięty mięsień, a za gardło chwycił ją paraliżujący strach.

Starając się go zwalczyć, szybko nacisnęła widelki i usłyszała w słuchawce znajomy, ciągły sygnał. Pośpiesznie naciskała guziki, ale pomyliła dwie cyfry i musiała zacząć od nowa.

- Ben. - Trzymała słuchawkę oburącz. - Ktoś... ktoś zepchnął mnie z drogi.

- Co? Kiedy?

- Przed chwilą. W drodze powrotnej do Morgan's Walk. Zrobił to naumyślnie, Ben. Ktoś usiłuje mnie zabić.

- Flame, gdzie pani jest? Skąd wiadomo, że to było naumyślnie? Skąd ta pewność? - pytania padały szybko po sobie, a prawnik był wyraźnie zaszokowany.

- Jestem tu... w Morgan's Walk. Przed chwilą miałam telefon z informacją... - Przerwała słysząc panikę we własnym głosie. Zaczęła od nowa, próbując się opanować. - Że to było ostrzeżenie... i że następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia.

- Co takiego? - Ben był równie zaszokowany jak ona. - Kto to dzwonił?

- Nie wiem.

- Mężczyzna? Kobieta?

- Robot - odparła i zaśmiała się nerwowo, próbując odpędzić strach.

- Co? Flame, proszę niech pani będzie poważna.

- Jestem. Ktoś używa jakiegoś syntetyzatora głosu w tych telefonach z pogrózkami.

- W tych telefonach...? - zdumiał się Ben. - Czy to znaczy, że były jeszcze jakieś?

- Ten był czwarty albo piąty. Nie pamiętam dokładnie.

- Do diabła, Flame, dlaczego nie powiedziała mi pani o tym?

- Nie sądziłam, że to coś poważnego. Myślałam, że to jakieś żarty. Teraz... - wzięła głęboki oddech - teraz wydaje mi się, że powinnam zawiadomić policję.

- Ja to zrobię. Niech pani zostanie na miejscu, a ja przyjadę z inspektorem. Jak tylko skończymy rozmawiać, proszę, żeby zadzwoniła pani po Charliego. Nie chcę, żeby była pani sama w tym domu.

Zaczęła właśnie protestować, sądząc, że taka ostrożność jest zbyteczna, jednak poszła po rozum do głowy i zgodziła się zadzwonić po Charliego.

- Będę za jakieś trzydzieści... no może czterdzieści minut - obiecał.

Flame siedziała w salonie, trzymając oburącz trzecią już filiżankę mocnej czarnej kawy, którą przygotował jej Charlie. Kawa i czas pomogły jej dosyć skutecznie wypchnąć z myśli strach i odzyskać kontrolę nad emocjami. Mogła więc po raz któryś już z rzędu opowiadać inspektorowi policji z Tulsy o tym, co się wydarzyło.

- Nie. Powiedziałam już, że nie udało mi się ustalić, jaki to był samochód - powtarzała poważnemu mężczyźnie w niebieskim luźnym garniturze z serży, który nazywał się Thomas Bartholomew Bames. - Jechał zbyt blisko. Blask jego świateł...

- On? Czy kierowca był mężczyzną?

- Powiedziałam to automatycznie - podkreśliła Flame, powoli tracąc cierpliwość. To ciągle rozpatrywanie niekończących się szczegółów zaczynało działać jej na nerwy. - Nie widziałam kierowcy. Nie wiem, czy był to mężczyzna, czy kobieta.

- Na drodze nie było żadnych innych samochodów?

- Żadnych - potwierdziła, potrząsając głową. - Ani przedtem, ani po tym, jak zostałam zepchnięta z drogi.

- Wróćmy do tych telefonów z pogrózkami.

- Znowu - mruknęła, wzdychając z irytacją.

- Tak, proszę pani, znowu - inspektor uparcie kontynuował uprzejmą inwigilację, nie zmieniając głosu. - Co mówił ten ktoś?

- On... - Flame złapała się na błędzie. - To coś ostrzegało mnie, żebym dała sobie spokój, bo pożałuję, czy coś w tym sensie.

- Dała sobie spokój? Z czym?

- Nie wiem! - Po tym wybuchu wzięła szybki oddech, próbując zapanować nad nerwami.

- Musiało pani coś przyjść do głowy - upierał się inspektor.

- Przyszło mi do głowy, że te telefony są głupim żartem. - Z impetem postawiła filiżankę na stoliku do kawy i energicznie wstała z kanapy. Była zbyt wzburzona, żeby siedzieć. Poruszając się sztywno, podeszła do kominika, ignorując bolesne protesty prawego kolana. W końcu odwróciła się do inspektora. - Panie Bames, ktoś próbował mnie dzisiaj zabić i chciałabym wiedzieć, czy zamierza pan coś z tym zrobić!

Inspektor wyprostował się na krześle, opierając głowę na różowym, brokatowym obiciu.

- Kto mógłby chcieć panią zabić, pani Bennett?

Flame zawahała się przez chwilę. Gwałtownie odwróciła się do niego plecami i zaczęła się przyglądać ozdobnej osłonie kominka.

- Wprowadziłam się tu dopiero kilka tygodni temu. Nie znam zbyt wielu osób.

Znowu się zawahała i odwracając się twarzą do inspektora, powiedziała:

- Nie jestem pewna, czy to ma jakiś związek, ale zanim się tu sprowadziłam, jeszcze w San Francisco, śledził mnie pewien mężczyzna. Dwukrotnie podsunął mi kartki z pogrózkami.

Inspektor popatrzył na nią z nagłym zainteresowaniem, trzymając długopis zawieszony w pogotowiu nad małym czarnym notesikiem.

- Jak wyglądał ten mężczyzna?

- Przeciętnego wzrostu i budowy, koło pięćdziesiątki. Wydaje mi się, że miał kasztanowe włosy i piwne oczy. I mocno zakrzywiony, haczykowany nos. Zawsze w myślach nazywałam go mężczyzną o drapieżnej twarzy.

- A te wiadomości, czy były takie same, jak pogróżki telefoniczne, które otrzymuje pani teraz?

- Nie, były inne. Dlatego właśnie nie jestem pewna, czy to ma jakiś związek. Mężczyzna o drapieżnej twarzy zawsze ostrzegał mnie, cytując: „Trzymaj się od niego z daleka”.

- Od kogo miała się pani trzymać z daleka?

- Ja...

- Przepraszam - wtrącił się Ben Canon. - Wydaje mi się, że mogę tę sprawę wyjaśnić. Widzi pan, na zlecenie mojej nieżyjącej klientki, Hattie Morgan, wynajęłam w San Francisco prywatnego detektywa, niejakiego Sida Bakera, najpierw, żeby zlokalizował panią Bennett, potem... żeby się nią opiekował.

Flame odwróciła się gwałtownie do adwokata i wbiła w niego spojrzenie.

- Pan go wynajął, żeby mnie śledził! - rzuciła, zaszokowana i rozwście-

czona.

Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- W tamtym czasie była pani spadkobierczynią Morgan's Walk. I Hattie obawiała się, żeby... nic złego się pani nie przytrafiło. - Jego wahanie nie pozostawiło w niej żadnych wątpliwości, że Hattie próbowała ostrzec ją przed Chance'em.

- Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? - Ale teraz nie było się już o co złościć, zwłaszcza że Flame wiedziała, że Hattie miała rację, próbując ją ostrzec.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - odparł Ben ze smutkiem. - Przepraszam panią.

- W takim razie, kto do mnie dzwoni? Kto próbuje mnie zabić? - Nie mogła uwierzyć, że kryje się za tym Chance. Lecz, jeśli mężczyzna z drapieżną twarzą nie wchodził w rachubę, któż inny pozostawał?

- Musi być ktoś, pani Bennett - upierał się inspektor. - Były mąż, poprzedni narzeczonny, zazdrosny kochanek, rozwścieczona żona.

Diedre. Czyżby żona Malcolma poczuła się tak zagrożona ich romansem, że posunęła się do tak drastycznych kroków? Nie, to niemożliwe. Była w San Francisco, zbyt daleko stąd. To samo odnosiło się do Lucianny... chyba że ona, a może Diedre kogoś wynajęły. Ale odrzuciła i tę możliwość, bo nie mogła sobie wyobrazić, że któraś z tych kobiet wynajmuje mordercę.

Uniosła prowokująco głowę.

- Chance Stuart jest moim byłym mężem, jeśli to panu może w czymś pomóc.

Inspektor wziął głęboki oddech.

- Stuart, ach tak.

- Tak - potwierdziła ostrym i kąśliwym głosem, który zdradzał stan jej

nerwów. - Panie Bames, proszę mi powiedzieć, co właściwie zamierza pan zrobić w związku z dzisiejszym zamachem na moje życie?

Niejasno wzruszył ramionami.

- Obejrzeć pani samochód, sprawdzić, czy laboratorium mogłoby odnaleźć ślady farby tego drugiego samochodu, które pomogłyby nam w ustaleniu przynajmniej jego marki. - Przerwał na chwilę. - Lecz jeśli mam być z panią szczerzy, pani Bennett, nawet gdybyśmy mieli szczęście i udałoby się nam ustalić właściciela wozu, to nie jest dowód na to, że ten ktoś jest sprawcą zamachu. Co więcej, nawet gdyby i to udało nam się ustalić, jest więcej niż wątpliwe, czy można by go oskarżyć o coś więcej niż lekkomyślną jazdę.

- A co z telefonami? Z pogroźkami? - pytała z pretensją w głosie. - Nie może ich pan po prostu zignorować.

- Żeby wnieść oskarżenie o próbę zabójstwa, musielibyśmy udowodnić, że to kierowca samochodu dzwonił do pani. Moglibyśmy założyć u pani podsłuch i sprawdzać wszystkie rozmowy, ale z tego, co mi pani powiedziała, ten ktoś przerywa połączenie przed upływem piętnastu, dwudziestu sekund. A to za krótko, żeby ustalić, skąd dzwoni.

Flame wydawało się, że odczytała coś między wierszami i jeszcze bardziej wzrosło w niej napięcie.

- A jeśliby się wam udało, co wtedy?

Inspektor wyglądał na odrobinę zmieszanego, więc Ben Canon wyręczył go w odpowiedzi:

- Osoba, która dzwoniła, zostałaby prawdopodobnie skazana za wykroczenie.

- Wykroczenie. - Powtórzyła zaszokowana.

- Zakładając, że nie bylibyśmy w stanie udowodnić, że dzwoniący był kierowcą samochodu, który usiłował zepchnąć panią z drogi - wyjaśnił in-



spektor. - Przykro mi, pani Bennett, ale dopóki zbrodnia nie zostanie faktycznie popełniona...

- Chce pan powiedzieć, że dopóki ten ktoś mnie nie zabije, nic pan nie może zrobić - dokończyła Flame, trzęsąc się z gniewu, który miał swoje źródło w tym okropnym uczuciu bezsilności.

Inspektor nic na to nie odpowiedział. Zamknął swój notes i wsunął go do kieszeni marynarki.

- Jeśli przypomni sobie pani coś, co mogłoby zmienić obraz sprawy, proszę, to moja wizytówka. Wie pani, jak mnie złapać. Jeśli będą dalsze telefony z pogroźkami, proszę zaznaczyć godzinę, zanotować dokładną treść, i informować mnie na bieżąco.

Ben wstał.

- Odprowadzę pana do drzwi.

- Proszę się nie trudzić. - Inspektor podniósł się z fotela i na pożegnanie skinął Flame głową. - Sam znajdę drogę.

W salonie zaległa cisza, przerywana jedynie dźwiękiem jego kroków w korytarzu, a potem szczękiem zamykających się za nim frontowych drzwi. Flame czuła, że zarówno Charlie, jak i Ben baczenie się jej przyglądają.

- To chyba jasne, że policja niewiele nam tu pomoże. - Starła się, żeby zabrzmiało to obojętnie i cynicznie, ale jej głos się łamał, a słowa zabrzmiały sztywno.

- Sądzi pani, że to Chance, prawda? - zapytał Ben.

- Nie wiem, co mam sądzić - podkreśliła ostrym tonem, bardzo poruszona. Nie chciała uwierzyć, że to Chance, choć wszystko na to wskazywało. Przecież ostrzegał ją, żeby się wycofała. A jednak nie mogła sobie wyobrazić, żeby mógł posunąć się do przemocy. Czyżby aż tak bardzo myliła się co do niego?

- Flame, ja... - zaczął Ben.

Przerwała mu energicznie.

- Przepraszam, ale nie chcę już więcej o tym mówić. Jestem zmęczona i... chcę się po prostu położyć. - I zapomnieć, dokończyła w duchu, ale wychodząc z pokoju wiedziała, że to niemożliwe.

## 42

Ze zwinnością i swobodą, którą dawało wieloletnie doświadczenie, Charlie Rainwater schylił się i odciągnął zasuwę bramy pastwiska, nie zsiadając z konia. Flame czekała na grzbiecie swojego wierzchowca, aż otworzy przed nią wrota. Przejechała na drugą stronę i zatrzymała konia, żeby znowu popatrzeć, jak zamyka bramę. Sprawdziwszy, czy jest dobrze zabezpieczona, wyprostował się w siodle, po czym przyglądał się przez chwilę parze cieląt z białymi mordkami, rasy Hereford, brykających pod zadowolonym okiem matek

- To widok, którym moje stare oczy nigdy nie mogą się nasycić - oświadczył Charlie, zawracając konia i podjeżdżając do Flame. Jego wyblakłe niebieskie oczy przyglądały się jej w zamyśleniu. - Naprawdę zamierza pani przeprowadzić to przedsięwzięcie?

- Jeśli mi się uda. - Zakładając, że wcześniej nie zginę, pomyślała, wciąż mając świeżo w pamięci swoje bliskie spotkanie ze śmiercią.

Przez ostatnie pięć dni prawie o niczym innym nie myślała. Chodziła spięta i rozdrażniona... i podejrzliwa w stosunku do każdego. Zobowiązała Bena i Charliego do dyskrecji, zabraniając im wspominać komukolwiek o telefonach z pogrozkami i zamachu na jej życie - włączając w to Malcolma. Była pewna, że jeśli się dowie, będzie się upierał, żeby wróciła do San Francisco. A dla niej ucieczka przed pogrozkami równała się rezygnacji, a od

tego była daleka. Poza tym nie mogła całkowicie wykluczyć możliwości, że za tym wszystkim stoi żona Malcolma. Albo Maxine, która opiekowała się Chance'em, kiedy był dzieckiem, i uważała, że to on powinien odziedziczyć Morgan's Walk. Lucianna Colton... też mogła sobie życzyć, żeby Flame całkowicie zniknęła z życia Chance'a. Albo jakiś szalony ekolog, który był przeciwny przegrodzeniu rzeki zaporą i zamienieniu jej w jezioro. Do diabła, to mógł być każdy. Niekoniecznie Chance.

Sfrustrowana i zmieszana, zawróciła konia w kierunku okazałej posiadłości z czerwonej cegły, która wznosiła się na niewielkim pagórku, górując nad całą doliną - posiadłości, którą zaprojektował i zbudował jej pradziad. Nagle dokonała szokującego odkrycia. Morgan's Walk musiała przejść tylko w ręce kogoś z rodziny! Przez cały czas wszystko logicznie wskazywało na Chance'a, lecz teraz zrozumiała, że miał ważniejszy powód. W razie jej śmierci Morgan's Walk automatycznie przeszłoby w jego ręce. Nie można tego zignorować. Chance był jedynym człowiekiem, który zyskiwał w każdym przypadku. Jeśli zrezygnuje z walki albo jeśli zginie.

A jednak, kiedy wspominała spędzone z nim chwile, siłę i delikatność jego ramion, pieszczoty jego dłoni, nie mogła sobie wyobrazić - choć usilnie próbowała - że Chance mógłby chcieć ją skrzywdzić. Nie fizycznie. Chciał ją nastraszyć. Właśnie. Sądził, że uda mu się ją odstraszyć. Myślał, że można ją upokorzyć pogrozkami, i to ją wtedy rozzłościło. Ale, Boże kochany, czy to pierwszy raz jej nie docenił?

Zagłębiając się we własnych myślach ledwo usłyszała słowa Charliego:

- Za każdym razem, kiedy patrzę na te krówki rozrzucone po zielonym pastwisku, próbuję sobie wyobrazić bogatych facetów w elektrycznych wózkach, jak jeżdżą za piłeczką. I nic mi z tego nie wychodzi. Ciagle widzę rzekę, drzewa i bydło. - Jego koń parsknął i zastrzygł uszami. - Wygląda na to,

że ma pani gości.

- Co? - Flame zmarszczyła brwi i spojrzała na Charliego nieobecny wzrokiem.

- Powiedziałem, że ma pani gości. - Skinął głową w kierunku zaparkowanej przed domem, zakurzonej furgonetki.

- Kto to może być? - Ktoś stał we frontowych drzwiach, jakaś kobieta. Wyglądało na to, że Maxine o coś się z nią sprzecza. Flame ruszyła kłusem w poprzek trawnika i Charlie podążył za nią. W gęstej trawie końskie kopyta dudniły głucho.

Zbliżając się do domu usłyszała, jak kobieta sprzeciwia się podniesionym głosem:

- Wiem, że tam jest. Proszę w tej chwili pójść do niej i powiedzieć, że się stąd nie ruszę, dopóki się z nią nie zobaczę!

- Ale jej tu nie ma - zaprotestowała Maxine. - Pojechała... - Przerwała, dostrzegając zbliżającą się parę jeźdźców.

Kobieta odwróciła się i zaczęła bacznie przyglądać się Flame, która właśnie zatrzymała konia koło prowadzących na ganek schodów. Nieznajoma była wysoką, mocno zbudowaną kobietą, tuż po trzydziestce. Miała na sobie spodnie ze sztucznej dzianiny, z zakładkami i gumką w talii, i wzorzystą bawełnianą bluzę, która przydawała ciężkości górnej partii ciała. Jasnokasztanowe włosy były krótko obcięte i skręcone w małe loczki, które nie wymagały specjalnej pielęgnacji. Spojrzała z wściekłością na właścicielkę Morgan's Walk.

- O co chodzi, Maxine? - Flame zeskoczyła z konia i podała wodze Charliemu.

- Ta kobieta... - zaczęła Maxine, ale nie miała okazji dokończyć.

- A więc to pani jest tą panią Bennett, nową księżną na Morgan's Walk -

rzuciła z pogardą kobieta. - Dla Hattie było tu wystarczająco dużo miejsca, Dlaczego pani jest tu za ciasno?

- Wydaje mi się, że jeszcze się nie znamy.

- Nie. Za bardzo zadziera pani nosa, żeby się pofatygować osobiście, tylko przysłała pani swojego agenta, żeby wymachiwał nam przed nosem tą kupą pieniędzy. - Postąpiła krok do przodu, a na jej twarzy malowało się oburzenie. - Jak się pani jeszcze nie domyśla, to jestem Martha Crowder Mathews.

- Córka... - mruknęła trochę za głośno Flame.

- Tak, córka - warknęła kobieta. - I mówię to teraz pani prosto w oczy: Nasza ziemia nie jest na sprzedaż! Nie wiem, co pani sobie myśli, przyjeżdżając tutaj i podtykając nam pod nos cały ten szmal. Myśli pani, że polecimy na pieniądze? Cztery generacje Crowderów uprawiały tę ziemię i pewnego dnia moi synowie albo córka będą na niej pracować. Mój pradziad i mój dziad są tam pochowani i kiedy umrze mój ojciec, też tam spocnie. Wszyscy się zastanawiają, co się dzieje z farmami, a to ludzie tacy jak pani je niszczą.

- Pani Crowder... Pani Mathews... - poprawiła się szybko Flame. - Ja nie chcę zniszczyć...

Ale kobieta nie miała ochoty jej słuchać.

- Przepędziłam dziś rano pani agenta. Jeśli kiedykolwiek jeszcze spróbuje dręczyć mojego ojca, żeby sprzedał ziemię, tak że ojciec będzie się potem źle czuł, bo nie może się zająć rodziną tak, jakby tego pragnął, odpowie mi pani za to! Radzę pani po dobroci, niech pani da sobie spokój. Lepiej niech pani posłucha tej rady.

Flame zamarła. To były prawie dokładnie takie same słowa, jak te z telefonów z pogrózkami. Czy to ta kobieta do niej dzwoniła? I prawie ją rozje-

chała? Flame ogarnął gniew na wspomnienie tych okropnych chwil, kiedy najeżdżał na nią samochód.

- Niech pani mnie nie straszy, pani Mathews.

- Nikogo nie straszę, po prostu panią informuję! - wyrzuciła z siebie i jak burza ruszyła do pokrytej warstwą czerwonego kurzu furgonetki.

Koła zabuksowały w miejscu, wyrzucając fontanny żwiru, kiedy samochód wyskoczył do przodu pod jej ciężką stopą. Flame przyglądała się, jak szybko oddalała się od domu.

- Wygląda na to, że nie dostanie pani ziemi Crowderów - zauważył Charlie, opierając się swobodnie o łęk siodła.

Flame spojrzała na niego ostro. Cała sympatia dla tej kobiety zniknęła po jej pogróżkach.

- Zobaczymy.

- O czym ona mówiła?

Flame odwróciła się do wścibskiej Maxine i zdała sobie sprawę, że gospodyni wszystko słyszała.

- Nic, co by cię dotyczyło - powiedziała oschle i ruszyła po schodach, zdejmując rękawiczki do konnej jazdy. - Uprzątnęłaś na górze te wszystkie pudła? Chcę, żeby był tam porządek, kiedy pan Powell przyjedzie jutro wieczorem.

- Nie, proszę pani, ale zrobię to.

W oddali strzelił piorun, niemal zagłuszając dźwięk silnika, kiedy Charlie podjechał pod frontowe wejście domu. Flame, która właśnie szła przez hol, wyjrzała przez okno na złowieszcze ciemne chmury przesłaniające niebo. Jeszcze nie zaczęło padać, więc nie włożyła przerzuconego przez ramię przeciwdeszczowego płaszcza ani nie otworzyła parasolki.

Zatrzymała się u podnóża schodów i zawołała na górę:

- Maxine, wyjeżdżam na lotnisko po pana Powella. Rozwieś jeszcze świeże ręczniki i możesz iść do domu.

Z jednego z pokoi na górze dobiegła przytłumiona odpowiedź. Kiedy plamę ruszyła do drzwi, zadzwonił telefon. Zawahała się przez chwilę, po czym podeszła do stolika i odebrała.

- Morgan's Walk.

- To było ostrzeżenie - zaintonował mechaniczny głos. - Dlaczego nie posłuchałaś?

- Nie przestraszysz mnie - odparowała ze złością, ale jak zwykle połączenie było już przerwane. Cisnęła słuchawkę na widełki i stała dygocząc. Dlaczego ta Mathews znowu dzwoni? Czy sądzi, że nie była wczoraj wystarczająco przekonywająca? Flame znieruchomiała, bo uświadomiła sobie, że to tylko jej przypuszczenie. Nie miała na to żadnych dowodów, że to córka Crowdera kryje się za tymi telefonami. Znowu poczuła palący gniew. Kto to robi?

- Proszę pani? - Na szczycie schodów stała Maxine i marszcząc brwi, przyglądała się jej ze zdziwieniem. - Myślałam, że pani już wyszła.

- Jeszcze nie. - Spojrzała ukośnie na telefon. - Maxine... czy odebrałaś jakieś... dziwne telefony?

- Dziwne? Nie rozumiem. - Schodziła po schodach, mierząc Flame zdumionym spojrzeniem.

- Dziwnie brzmiące głosy lub ktoś, kto odkłada słuchawkę, jak tylko odbierzesz telefon.

- Nie. - Bez wahania potrząsnęła głową. - Nie było żadnych takich telefonów. - Przyjrzała się uważnie Flame. - Czy na pewno dobrze się pani czuje, proszę pani?

Zabrzmiało to tak, jakby podejrzewała, że Flame traci zmysły.

- Czuję się świetnie - skwitowała Flame i natychmiast ruszyła do drzwi.

Gdy wychodziła, na schodach ganku pojawił się Charlie Rainwater.

- Tu pani jest. Nie byłem pewny, czy słyszała pani, jak podjeżdżam. Proszę kluczyki.

- Dziękuję. - Wzięła kluczyki i skierowała się do samochodu, ale zawahała się i odwróciła się do Charliego. - Wiesz, jaki samochód mają Crowderowie?

- Nie mają samochodu, to znaczy, już nie mają. Sprzedali go na jesieni, żeby pokryć jakieś rachunki za leczenie Dana. Została im już tylko ta furgonetka, którą przyjechała wczoraj ich córka. - Nagle zasępił się. - Dlaczego pani pyta?

- Po prostu byłem ciekawa. - Obojętnie wzruszyła ramionami i poszła do auta, jeszcze bardziej zaniepokojona. Może i nie wiedziała, jaki wóz zepchnął ją z drogi, ale nie miała wątpliwości, że nie była to furgonetka. Nawet gdyby ta kobieta pożyczyła samochód od sąsiada, skąd miałyby wiedzieć, że Flame była tego wieczoru w restauracji, chyba że ją śledziła. A jednak to wszystko nie trzymało się kupy - przecież ona ma męża i dzieci w domu, i chorego ojca, którym musi się zajmować. I dlaczego nie próbuje stawić jej czoła, tak jak to zrobiła wczoraj, tylko próbuje ją rozjechać? Przecież to się nie trzyma kupy.

Wsiadając do samochodu, Flame ciężko westchnęła. Jeśli wyeliminuje Marthę Crowder Mathews jako podejrzaną, raz jeszcze zostanie jej tylko Chance.

W połowie drogi na lotnisko ciężkie chmury rozsunęły się i spuściły na dół kaskady ulewnego deszczu. Przerażający huk piorunów mieszał się z błyskami postrzępionych błyskawic, ukazując Flame straszliwą moc burzy na Środkowym Zachodzie.

Porywisty wiatr opóźnił lądowanie prywatnego odrzutowca Malcolma.



Flame skorzystała ze sposobności, żeby zadzwonić na policję do inspektora Bamesa i poinformować go, że miała następny telefon z pogrózkami. Podała mu dokładny czas i treść ostrzeżenia. Kiedy wróciła do bogato umeblowanego wnętrza poczekalni, zastanawiała się cynicznie, po co w ogóle zadała sobie trud. Poza odnotowaniem w aktach, policja nie mogła nic zrobić w tej sprawie. Usiadła na jednym ze skórzanych foteli i wsłuchiwała się w dudnienie deszczu o dach budynku i złowieszcze grzmoty.

Fale ulewnego deszczu przemoczyły Chance'a, kiedy ze srebrnego jaguara pędem przebiegł w kierunku zadaszzonego wejścia swojej willi. Zatrzymał się na moment, żeby otrząsnąć się trochę z wody i sięgnął do klamki. Lecz drzwi same otworzyły się od wewnątrz i ukazał się w nich jego lokaj, Andrews, opatulony w płaszcz przeciwdeszczowy z czarnym parasolem w rękę.

- Proszę pana, właśnie wychodziłem z parasolem. - Posępny mężczyzna popatrzył na Chance'a z lekką naganą w oczach.

- Teraz już go nie potrzebuję - odpowiedział z ożywieniem Chance.

- Widzę - mruknął Andrews cofając się, żeby go wpuścić i przyglądając się spływającym z niego strugom wody.

- Gdzie jest pani Colton? - Odruchowo wręczył teczkę lokajowi, omiatając wzrokiem marmurowy hol swojej rezydencji w Tulsie. - Nie zauważyłem jej mercedesa, kiedy podjeżdżałem.

- Wróciła z zakupów jakieś czterdzieści pięć minut temu, proszę pana. - Andrews wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł spód teczki, zanim postawił ją na marmurowej posadzce. - Też złapał ją deszcz, więc poszła na górę się przebrać. Cieszę się, że dotarł pan bezpiecznie. Przy tak gwałtownej burzy spodziewałem się, że może pan przylecieć z kilkugodzinnym opóźnieniem.

- Wylądowaliśmy jakąś godzinę przed tym, zanim zaczęło lać. - Przeczesał

palcami włosy, odgarniając z twarzy mokre kosmyki.

- Więc jesteś w Tulsie już tak długo? - Z olbrzymich zakręconych schodów dobiegł oskarżycielski głos Lucianny. Na chwilę zatrzymała się dramatycznie w połowie schodów. Miała na sobie długą tunikę i szerokie satynowe spodnie, które spływały za nią powłóczyście, kiedy znowu ruszyła w dół. - Dlaczego nie zadzwoniłeś i nie dałeś nam znać, że już jesteś? Nie masz pojęcia, jak się denerwowałam. Sądziłam, że ciągle jesteś tam w górze, w chmurach, pośród tych błysków i piorunów. Gdzie się podziewałeś cały czas?

- Musiałem omówić pewne sprawy z Samem i Molly. - Zdawkowy uśmiech, którym ją przywitał, nie przykrył wyrazu zaaferowania na jego twarzy.

Lucianna udawała, że tego nie zauważa; zarzuciła mu ręce na szyję i natychmiast się cofnęła.

- Kochanie, jesteś przemoczony do suchej nitki!

- Na dworze pada. Nie zauważyłaś?

Lucianna zwróciła się do lokaja i poinstruowała go stanowczym tonem:

- Andrews, proszę przygotować panu Stuartowi wspaniałą gorącą kąpiel.

- Nie zwracaj sobie głowy, Andrews - Chance odwołał jej polecenie. - Po prostu wyjmij mi jakieś czyste suche ubranie.

- Dobrze, proszę pana - odparł lokaj i skinął głową ni to w geście posłuszeństwa, ni to w ukłonie.

- Jesteś pewny, kochanie? - zapytała miękko i przysunęła się do niego, uważając równocześnie, by swoim satynowym kostiumem nie dotknąć przemokniętej odzieży. - Miałam zamiar zaproponować ci mycie pleców... między innymi. - Wsunęła dłonie pod marynarkę Chance'a i pod szytą na miarę koszulę. Andrews tymczasem w milczeniu udał się na górę do głównej sypialni.

Chance chwycił ją za rękę i odsunął od siebie.

- Może innym razem - powiedział, odrzucając zarówno jej awanse jak i propozycję.

Przez chwilę, urażona jego zachowaniem, usiłowała pokryć to śmiechem. Potem wzięła go za rękę i ruszyła razem z nim w kierunku schodów.

- Pewnego dnia będzie pan tego żałował, panie Stuart. Nieczęsto robię takie propozycje. - Wchodzili po jasnych dębowych schodach. Ponieważ Chance nie pośpieszył z żadną równie przekorną repliką, Lucianna zaczęła przyglądać mu się w zamyśleniu, próbując rozszyfrować jego dziwne zaabsorbowanie. Po tak długiej znajomości sądziła, że zna wszystkie jego nastroje, a jednak ten dzisiejszy był dla niej zagadką. W końcu zapytała:

- Chance, czy coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. Skąd ci to przyszło do głowy? - rzucił tak gorliwie, że zabrzmiało to fałszywie.

- Mam wrażenie, że coś cię trapi.

Znowu spojrział na nią ostrożnie, maskując to leniwym uśmiechem, co tylko pogłębiło przeczucia Lucianny.

- Kobieca intuicja!

- Kochanie, nie możesz chyba zaprzeczyć, że jestem kobietą. A mój instynkt podpowiada mi, że coś cię martwi. Spójrz tylko na te bruzdy dookoła twoich ust, które tak się pogłębiły z napięcia - odparła z przekonaniem, przyglądając się jego nienaturalnie zaciśniętym ustom.

Popatrzył na nią bez słowa. Nagle mocne uderzenie pioruna zadudniło w całym domu, aż zaczęły podzwaniać kryształowe wisiorki kinkietów.

- To burza i cała atmosfera tak na mnie działa - powiedział w końcu.

Niespodziewanie, nie wiadomo dlaczego miała pewność, że cokolwiek go trapiło, miało to związek z Flame. Poczowała przypływ niepohamowanego

gniewu i wścieklej zazdrości. Odwróciła wzrok wiedząc, że nie ma sensu zaczynać rozmowy. Flame Bennett - to był jedyny temat, na który Chance nie chciał rozmawiać nawet ogólnikowo. Czy widział się z nią? Rozmawiał? Ale to niemożliwe. Przyjechał prosto z lotniska. Nie, zdążył spotkać się z Molly i Samem. W takim razie, musieli mówić o niej na tym spotkaniu. Nigdy nikogo nie nienawidziła tak bardzo, jak tej kobiety. Ale wiedziała, co zrobić, żeby Chance o niej zapomniał. Wymagało to jedynie odpowiedniej aranżacji.

Dwadzieścia minut później Chance stał obok olbrzymiego łóżka w swojej sypialni i wkładał poły prążkowanej koszuli do spodni. Na zewnątrz trochę się uciszyło; burza zamieniła się w jednostajny deszcz. Błysk przyciągnął jego wzrok do zalanej wodą okiennej szyby.

W duchu znowu ujrzał poszarpany błysk pioruna, który rozświetlił ciemności, gdy po spotkaniu z Samem i Molly opuszczał lotnisko - błysk pioruna, który oświetlił na parkingu jasnoniebieskiego lincolna i kobietę, która właśnie się od niego oddalała. Rozpostartą przed sobą parasolką próbowała ochronić się przed smaganą wiatrem ulewą. Wysmukła sylwetka, znajome ruchy - to była Flame. Wiedział to natychmiast, mimo że nie mógł dojrzeć jej twarzy. Na lotnisku mogła być tylko z jednego powodu: Malcolm Powell przylatywał, żeby spędzić z nią weekend.

Z przyległego pokoju dobiegł wystrzał otwieranego szampana, który rozwiął jego wspomnienie deszczowej sceny. Chance odwrócił się gwałtownie od łóżka, w którym spała przy jego boku przez te kilka cudownych nocy zaraz po ślubie. Odpędził od siebie te wspomnienia, tak jak ona odepchnęła jego.

Do sąsiedniego pokoju prowadziły skrzydłowe drzwi. Podszedł i otworzył je jednym pociągnięciem. Andrews spojrział na niego przelotnie i dalej

nalewał szampana do dwóch wysmukłych kieliszków. Biała ściereczka szczelnie owinięta wokół butelki miała pochłaniać musującą pianę. Na widok Chance'a Lucianna uniosła się nieco na brokatowej kanapie i przybrała uwodzicielską pozycję - szeroko rozstawione ręce wsparte na miękkich poduszkach, wysunięte do przodu ramiona i odrzucona w tył głowa.

- Już ci lepiej, kochanie? - Popatrzyła na niego z uwielbieniem w ciemnych oczach.

- Bardziej sucho - odparł i wszedł do pokoju. Lucianna wstała, wzięła w ręce oba kieliszki i wyszła mu na spotkanie. - Szampan. Co to za okazja? - zapytał, biorąc kieliszek z jej dłoni.

- Kochanie, czy potrzebowaliśmy kiedyś okazji, żeby napić się szampana? - spytała prowokująco i trąciła się z nim kieliszkiem.

Chance spróbował musującego wina i gwałtownie odstawił kieliszek.

- Co to jest, do cholery?! - krzyknął zniecierpliwiony, ale nie dokończył zdania, tylko rzucił Luciannie rozwścieczone spojrzenie.

- Kochanie, toż to brzoskwiniowy szampan, nie trucizna - wyjaśniła rozbawiona.

Chance odwrócił się gwałtownie do lokaja, który lnianą ściereczką owijał szczelnie butelkę, spoczywającą teraz na lodzie w kubku do szampana.

- Andrews, ile jeszcze tego mamy?

- Polecił mi pan kupić dwie skrzynki, kiedy...

- Wyrzuć to. Wszystko!

Andrews zamrugał na to przerażające marnotrawstwo.

- Ależ, proszę pana...

- Powiedziałem: pozbądź się tego! - Chance odstawił kieliszek na przeswitujący blat nowoczesnego stolika z takim impetem, że złamała się kryształowa nóżka. Szampan rozlał się na jasnoszary dywan, a kawałki kryształu

rozprysły się po podłodze. Nie zwrócił na to uwagi, tylko ruszył w kierunku drzwi.

- Dokąd to, Chance? - zawołała Lucianna, wciąż jeszcze zaszokowana i zdumiona.

Zatrzymał się przy drzwiach i popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

- Do biblioteki. Nie ma mnie dla nikogo. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano - polecił na odchodnym Andrewsowi.

Lucianna drgnęła na głośne trzaśnięcie drzwi. Powoli skupiła całą swoją uwagę na kieliszku brzoskwiniowego szampana, który trzymała w dłoni.

- Kazał panu to kupić, kiedy ona się tutaj sprowadziła, czy tak, Andrews? - wycedziła.

Po krótkiej chwili lokaj odpowiedział:

- Tak proszę pani, to mogło być mniej więcej w tym czasie.

Podeszła do kubałka z szampanem i wylała na lód zawartość swojego kieliszka. Potem przesłała piorunujące spojrzenie lokajowi.

- Czemu tak stoisz? Słyszałeś, co powiedział pan Stuart. Pozbądź się tego. W tej chwili! - Odwróciła się gwałtownie i mocno zaplotła przed sobą ramiona, ciągle trzymając w dłoni kieliszek.

Przez chwilę w pokoju słychać było odgłosy krzątaniny, potem drzwi zamknęły się prawie bezszelestnie. Kiedy została sama, popatrzyła na kieliszek w swojej dłoni. W ataku wściekłości cisnęła nim o ścianę i natychmiast zatkaną uszy, żeby nie słyszeć, jak kosztowny kryształ rozpryskuje się na drobne kawałki.

Kiedy Malcolm wyszedł ze swojego odrzutowca, Flame ruszyła do schodków, żeby go przywitać. Szybko podniosła parasol, osłaniając ich oboje od ulewnego deszczu. Pocałowała go zdawkowo, a on odwzajemnił się

namiętnie.

- Bez wątplenia jesteś w jednym kawałku - uśmiechnęła się do niego. -  
Bałam się, że możesz nie dolecieć cały.

- Ja też - odparł Malcolm.

- Bardzo cię wytrzęsło tam w górze? - zapytała, przyglądając mu się z troską.

- Prawie udało nam się ominąć najgorsze.

- To świetnie. Mam tu zaparkowany samochód - powiedziała. - Wrócimy po twój bagaż.

- Wrócimy? Skąd?

- Od dziesięciu minut czeka na nas Ben Canon i Ham Fletcher - wyjaśniła, kiedy rozpryskując nogami wodę, biegli po płycie w kierunku parkingu naprzeciw budynku przylotów. - Ham Fletcher jest agentem obrotu nieruchomości, który próbował kupić dla nas ziemię Crowderów, bez powodzenia. Upierał się, że koniecznie musi z nami porozmawiać. Chciałam się z nim spotkać sama, ale pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli usłyszysz z pierwszej ręki, cokolwiek ma nam do powiedzenia, niż ja miałabym ci to powtarzać.

- Gdzie się mamy spotkać?

- W hotelu, niedaleko lotniska.

Malcolma ogarnęło przykre uczucie irytacji, kiedy zajął miejsce obok kierowcy.

- Lecę taki kawał drogi po to tylko, żeby prosto z samolotu wdepnąć na następne spotkanie. Wiesz, Flame, niezupełnie tego się spodziewałem - oświadczył prowokacyjnie. - Co się stało z tą dobrą, starą brandy i naszym przytulnym wieczorem przy kominku, tym, który obiecałaś mi przez telefon, i, który przekonał go do przyjazdu tutaj.

- Przepraszam cię, kochanie, obiecuję ci to wszystko jutro - powiedziała i natychmiast zaczęła opisywać mu sytuację z Crowderami. Malcolm udawał, że słucha, ale nie docierało do niego ani jedno słowo. Przypomnił sobie zdawkowy pocałunek, którym obdarzyła go na powitanie. Z ironią pomyślał o tym, jak zawsze wyobrażał sobie romans z Flame, to miała być wielka namiętność i ucieczka od stresów codzienności. Tymczasem przyniósł mu więcej stresów. I tak szesnaście godzin dziennie rozmawiał o interesach. A teraz przeleciał taki kawał drogi tylko po to, żeby robić to znowu. Uśmiechnął się pod nosem. Jaki z niego idiota! Żeby zamienić spokojny weekend na łódce na coś takiego!

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy przypomniał sobie reakcję Diedre na wiadomość o tym, że nie będzie na uroczystościach otwarcia sezonu. Czekał z tą wiadomością do ostatniej chwili i powiedział jej dopiero dwa dni temu. Sam nie wiedział dlaczego. Może chciał, żeby podróż wyglądała na bardziej niespodziewaną. Ale nawet przez moment nie dała się nabrać.

- W ten piątek. To znaczy, że nie będzie cię tutaj na uroczystościach. - Nie mogła ukryć rozczarowania.

- Przepraszam, ale nic na to nie mogę poradzić - powiedział z naciskiem.

- Dokąd musisz jechać?

Zawahał się przez ułamek sekundy, zanim odpowiedział:

- Do Tulsy.

Już wiedziała dokładnie, z kim musi się tam spotkać i dlaczego, choć nie powiedziała ani słowa. Wyraz cierpienia, który przez krótką chwilę pojawił się na jej twarzy, wyjaśniał wszystko. Odwróciła się i lekko się przygarbiła, jakby chciała powstrzymać ból. - Jeśli musisz pojechać, to jedź - starała się, by brzmiało to swobodnie. - W przyszłym roku też będzie inauguracja. - A potem, najciszej jak można, dodała: - Prawda?



- Jasne - odparł gburowato, próbując pokryć w ten sposób poczucie winy.  
Zastanawiał się, co teraz robi.

- Już jesteśmy na miejscu - wyrwała go z zamyślenia Flame. - Ben załatwił dla nas jeden z pokoi konferencyjnych hotelu. Powiedział, że będzie na nas czekał w holu.

Szklany dzbanek z wodą i lodem i cztery szklanki stały na tacy ustawionej pośrodku długiego stołu. Obok na osobnej tacy ustawiono termos z kawą, styropianowe kubeczki oraz porcje cukru i śmietanki w proszku. Resztę stołu zajmowały otwarte teczki, notatniki i popielniczki.

Malcolm wyprostował się na swoim krześle u szczytu długiego stołu i założył na brzuchu dłonie z zaplecionymi palcami. Po przeciwnej stronie stołu w powietrzu unosiła się spirala dymu z fajki, wetkniętej w zęby adwokata. Podobnie jak Ben Canon, Malcolm głównie patrzył i słuchał Flame, która z wielką determinacją i przejęciem prowadziła spotkanie. Przypominała mu stare korporacyjne wygi, czepiające się każdego punktu, który mógł przynieść oczekiwane przez nich rozwiązanie.

- Ależ panie Fletcher, powiedział pan przecież przed chwilą, że odniósł pan wrażenie, że pan Crowder byłby skłonny sprzedać farmę.

- Wiem, co powiedziałem - odparł agent. - Ale jego córka mu na to nie pozwoli.

- A jakie ona ma prawo, żeby mu mówić, czy ma sprzedać, czy nie? On jest właścicielem. Nie potrzebuje jej pozwolenia.

- Owszem, potrzebuje. Wszystko tam jest pod jej kontrolą.

- To idiotyczne. Przecież ona jest jego córką - zauważyła Flame, zdradzając zniecierpliwienie.

- Nie wiem, jak to dokładnie między nimi jest. Może pan Canon będzie

potrafił to lepiej wyjaśnić, ale ona jest... wydaje mi się, że można to tak nazwać, jego prawnym opiekunem. Zalegalizowali to w zeszłym roku, kiedy szedł na operację na raka. I tak już zostało. Biedny człowiek, ledwo może mówić i przeważnie jest taki słaby od tych lekarstw, które bierze, że ledwie może skreślić jedno czy dwa słowa. A pani Crowder, biedna kobieta, zamartwia się jego chorobą i rachunkami, które będą musieli zapłacić, i tym, co się z nimi stanie.

- Co się dzieje z tą kobietą? - Flame poderwała się na nogi. - Czy ona nie widzi, że gdyby przyjęła naszą ofertę, zapewniłaby rodzicom trochę spokoju i zabezpieczyłaby ich finansowo do końca życia? A tak zamartwiają się tymi rachunkami. Zamiast tak się przejmować tym, gdzie ojciec będzie pochowany, powinna pomyśleć trochę o tym, jak będzie żył.

- Ma pani rację - zgodził się agent. - Ale ona postanowiła zatrzymać tę farmę wbrew wszystkiemu.

- Ta kuratela... czy jakkolwiek się to nazywa. Czy można to unieważnić? - spytała.

- Bardzo możliwe. - Ben Canon musiał wyjąć fajkę z ust, żeby odpowiedzieć. - Prawdopodobnie trzeba by ją było postawić przed sądem i udowodnić, że się do tego nie nadaje. A czas ma tutaj podstawowe znaczenie. Pan Crowder może już nie żyć, zanim uda się to przeprowadzić.

- A co by było, gdyby podpisał z nami umowę sprzedaży? Czy moglibyśmy zmusić ich, żeby to honorowali?

- Wątpię.

- Oni nie sprzedadzą proszę pani - oświadczył agent. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli się pani z tym pogodzi. A jeżeli zamierza pani przedstawić im następną ofertę, będzie pani musiała poszukać kogoś innego, żeby im to doręczył. Ostatnim razem, kiedy tam byłem, wyleciała za mną z dubeltówką, a

była w takim stanie, że mogła jej użyć. Następnym razem może to zrobić. A żadne pieniądze nie są warte mojego życia. Przykro mi, ale tak to wygląda.

- Rozumiem - powiedziała Flame, choć w jej oczach pojawiło się oskarżenie. Był dla niej mięczakiem.

Wstał, zamknął teczkę i wziął w ręce swój kowbojski kapelusz, trzymając go z szacunkiem przed sobą.

- Życzę pani szczęścia.

- Dziękuję. - Odprowadziła go wzrokiem.

Ben Canon w zamyśleniu pogrzebał w spalonym tytoniu w główce swojej fajki i podniósł oczy na Flame.

- Jedno jest pocieszające w tym wszystkim. Jeżeli nie chce sprzedać nam, nie sprzeda także Stuartowi.

Odwróciła się do niego energicznie.

- To mnie nie pociesza. Musimy mieć tę ziemię. Jest absolutnie kluczowa dla całego przedsięwzięcia. A to oznacza, że nie mamy wyboru - oświadczyła stanowczo. - Musimy wykupić ich długi i usunąć ich.

- Dlaczego? - Malcolm przyglądał się jej krytycznie; dostrzegł jej zdumione spojrzenie, które natychmiast zapłonęło gniewem.

- A cóż to za pytanie? - obruszyła się. - Bardzo dobrze wiesz, dlaczego!

- Naprawdę? Zastanawiam się właśnie. - Od lat prowadził interesy i bardzo często słyszał podobne oświadczenia. Mimo to zabolalo go, że to ona mówi z taką bezwzględnością. - Ci ludzie chcą zatrzymać swoją ziemię. A ty zamierzasz ich stamtąd wyrzucić.

- Nie jestem aż tak bezlitosna, Malcolmie - powiedziała ze wzrastającym oburzeniem. - Chcę wykupić ich długi i zmusić ich do sprzedaży, a nie wyrzucać ich bez grosza. Zapłacimy im znacznie więcej, niż ziemia jest warta.

- Czy w ten sposób chcesz się usprawiedliwić?

- O co ci chodzi? - zapytała. - Jeśli widzisz jakieś inne rozwiązanie, powiedz mi, bo ja nie widzę innego wyjścia, chyba że zrezygnujemy. A jeśli to zrobimy, Chance...

- Zastanawiałem się, kiedy padnie nazwisko Stuarta - mruknął pod nosem.

- A jak ci się wydaje Malcolmie, z kim my walczymy? Kto usiłuje zdobyć Morgan's Walk wszelkimi możliwymi sposobami?

- A jak tobie się wydaje, kto staje się tak bezwzględny jak Stuart?

- Muszę! - krzyknęła z gniewem. - On mnie próbuje zniszczyć.

- I to jest dla ciebie wystarczający powód, żeby zniszczyć życie Crowderów?

- Ja go nie niszczę... my go nie niszczymy - poprawiła się. - Tak naprawdę, to im pomagamy.

- I zamierzasz zmusić ich do przyjęcia tej pomocy, czy tego chcą, czy nie...

- Od kiedy to stałeś się taki sprawiedliwy? - pytała. - Ile sklepów wypchnąłeś z interesu i skazałeś na bankructwo? Ile firm przejąłeś? Żelazny Malcolm nie jest przecież niepokalany.

- To był interes. W twoim przypadku chodzi wyłącznie o zemstę. Zabrało mi to trochę czasu, zanim się zorientowałem, że wszystko, co robisz, obraca się dokoła wyrównania rachunków ze Stuartem. Może wcześniej po prostu nie chciałem tego dostrzec.

- To nieprawda - zaprzeczyła niespokojnie, zniecierpliwiona jego oskarżeniami.

- Jesteś tego pewna? - odpowiedział z goryczą. - Jedyne powód, dla którego jesteś ze mną, jest taki, że przy mojej pomocy możesz się dostać do Stuarta. Posługujesz się mną... w bardzo podobny sposób do tego, w jaki on się posłużył tobą.

- Jak możesz coś takiego mówić? - Po jej twarzy przetoczyła się fala gniewu, a zielone oczy pociemniały.

- Bo to prawda. I odkryłem właśnie, że wcale mi się to nie podoba. - Podniósł się. Zdumiało go, że czuje teraz dla niej tylko litość. - Proszę bardzo, wykup długi Crowderów i zmusz ich do sprzedaży. Rób, co chcesz, Flame. Zmieniłaś się bardzo. Zrobiłaś się mściwa, przesiąknięta żądzą odwetu. A ja nie chcę już mieć z tym nic wspólnego.

Kiedy ruszył w kierunku wyjścia, zapytała:

- Dokąd idziesz?

Stanął przy drzwiach i odwrócił się do niej twarzą.

- Wracam do San Francisco, żeby spędzić weekend na swojej łodzi z żoną. I możesz wierzyć albo nie, ale bardzo się z tego cieszę.

Stężała, unosząc lekko głowę.

- Malcolmie, czy ty się wycofujesz? Zdawało mi się, że jesteśmy współnikami?

W kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

- Kiedyś mi powiedziałaś, że chciałabyś, żeby nasze stosunki ograniczały się do interesów. Masz więc to, czego chciałaś. Następnym razem, jak będziesz się chciała ze mną zobaczyć, zadzwoń do mojej sekretarki. Ona ci wyznaczy spotkanie.

Flame odwróciła się gwałtownie, nie czekając, aż Malcolm wyjdzie; mocno chwyciła oparcie krzesła, w jej uszach brzmiały jeszcze jego słowa. Poczowała na sobie wzrok Bena Canona.

- On nie rozumie - broniła się z uporem, ale było już za późno, żeby opowiedzieć Malcolmowi o telefonach z pogrózkami.

- Widzę właśnie - odparł, obojętnie pociągając ze swojej fajki.

Zgarnęła swoje rzeczy i ruszyła do drzwi.

- Słyszał pan, co on powiedział. Proszę wykupić długi Crowderów, im wcześniej, tym lepiej.

Wciąż boleśnie przeżywając niesprawiedliwe oskarżenia Malcolma, wypadła z pokoju i ruszyła na dół do hotelowego holu. Z daleka mignął jej znajomy profil, jego przyprószone srebrem włosy zaśniły w świetle, kiedy wsiadał do taksówki. Ogarnęło ją ponownie ostre i przejmujące uczucie urazy. Była w stosunku do niego uczciwa. Powiedziała mu na samym początku, że wyrównanie rachunków z Chance'em jest częścią jej planu. Czyżby przypuszczał wtedy, że nie mówi poważnie? Czy wydawało mu się, że to gra z jej strony, którą znudzi się po kilku tygodniach? I dlaczego teraz tak wszystko poprzekręcał i starał się przedstawić, jakby go oszukała? Podejrzewała, że prawdziwym powodem było to, że ich związek nie był taki, jak to sobie wyobrażał, więc z typową dla siebie arogancją obwinił za to ją. Niech mu będzie.

Pchnęła drzwi prowadzące na zewnątrz i przystanęła, naciągnęła na głowę kaptur, nie zawracając sobie głowy parasolką. Potem biegiem ruszyła do samochodu. Wycieraczki przesuwwały się z plaśnięciem, zgarniając z szyby strugi deszczu, kiedy wyjeżdżała z parkingu na ulicę. Skręciła w drugą przecznicę, w kierunku wjazdu na autostradę. Zjeżdżając w dół, dostrzegła przerwę w szeregu jarzących się czerwono tylnych świateł i gwałtownie przyspieszyła, żeby wpasować się w lukę.

Szybka jazda przyniosła jej ulgę - uwolniła od gniewu i frustracji, które nie znajdowały innego ujścia. Mocno trzymała kierownicę, od czasu do czasu otwierając i zamykając na niej palce. Z zaciśniętymi ustami wpatrywała się przez zalaną potokami deszczu szybę w jarzące się tylne światła jadącego przed nią samochodu.

Jakieś auto z włączonymi długimi światłami ustawiło się za nią. Flame

zamrugła oczami od ich bolesnego blasku we wstecznym lusterku, zwiększonego jeszcze przez deszczową czerń nocy.

Z irytacją wymamrotała pod adresem niewidocznego kierowcy: „Czy nikt cię nigdy nie nauczył zmieniać światła, kiedy się jedzie za innym samochodem?”. Mignęła długimi światłami i pomachała ręką do wstecznego lusterka, dając znaki kierowcy. Ale on najwyraźniej nie zrozumiał wiadomości. „Do diabła, zmienisz je w końcu na krótkie?”

Żeby umknąć spod oślepiającego blasku, zjechała na lewy pas. Lecz ten drugi samochód zrobił to samo i siedział jej cały czas na ogonie. Wróciła na prawy pas, zwalniając nieco z nadzieją, że tamten ją wyprzedzi. Ale oślepiający blask reflektorów znowu pojawił się w lusterku.

Tym razem Flame zorientowała się, że ktoś ją śledzi i więcej niż pewne, że była to ta sama osoba, która poprzednim razem zepchnęła ją z szosy. Ten ktoś - tak jak poprzednio - chciał, żeby o tym wiedziała. Cała jej irytacja i gniew zniknęły bez śladu.

- Kim ty jesteś, do cholery? - krzyknęła zmieszana i wystraszona.

Fale deszczu zalewały jej tylną szybę, jaskrawe światła oślepiały. Nie mogła się zorientować, co to za marka - jaguar Chance'a, czy coś innego? Dostrzegła znak informujący o zjeździe na autostradę międzystanową i następny znak, który zapowiadał stację benzynową, jedzenie i miejsca do spania... i co najważniejsze - pomoc!

Wcisnęła pedał gazu. Prześladowca trzymał się tuż za nią. Nie zwolniła i nie włączyła migacza, kiedy zbliżała się do ślimaka. Oczekała prawie do ostatniej chwili i gwałtownie skręcając, wjechała na zjazd i natychmiast zaczęła hamować.

Otoczyły ją pełne ulewnego deszczu ciemności. Oślepiające światło reflektorów zniknęło! Samochód nie skręcił za nią. Szybko odwróciła głowę w

kierunku autostrady, próbując go dojrzeć, zanim nie zniknie poniżej wiaduktu międzystanówki.

Nie widziała go. Nie było go tam. W tej samej chwili ogarnęło ją to dziwne przeświadczenie, że jest obserwowana. Jakiś dźwięk, jakieś nieznaczne poruszenie, jakiś instynkt podpowiedział jej, że jakieś auto podjechało obok niej, na szerokim poboczu ślimaka. Odruchowo nacisnęła hamulec i odwróciła się, żeby sprawdzić. Rozległ się nikły dźwięk wystrzału i jej przednia szyba zamieniła się w szklaną mozaikę z tysiąca maleńkich drobinek. Nic nie widziała!

Starając się zapanować nad paniką, zatrzymała samochód. Wtedy właśnie dostrzegła dwie maleńkie dziurki w szybie - ślady po kulach - i dwie dziurki, które zniszczyły także boczną szybę po stronie kierowcy.

Następnego dnia niebo było niebieskie i czyste, jasno świeciło słońce. Jedynie kałuże dookoła stacji obsługi samochodów Hanka przy zjeździe z autostrady międzystanowej były ostatnim namacalnym dowodem burzy, która się tędy przetoczyła. Lecz kiedy Flame przyglądała się, jak człowiek z policyjnego laboratorium mierzy średnicę otworów po kulach w przedniej szybie błękitnego lincolna, wrócił koszmar minionej nocy.

Wstrząsnął nią dreszcz i wtedy poczuła na ramieniu dłoń Charliego.

- Dobrze się pani czuje?

Uniosła nieco głowę, starannie unikając jego wzroku.

- Ktoś usiłuje mnie zabić, Charlie - oświadczyła spiętym głosem. - Hattie ostrzegła mnie, że on może posunąć się do wszystkiego, nawet morderstwa. Ale ja jej nie wierzyłam.

### 43

Strużki potu spływały po twarzy i szyi Chance'a i wsiąkały w trykotową



podkoszulkę, która oblepiała mu piersi. Zamachnął się rakieta, wkładając całą siłę w uderzenie i posłał piłkę z powrotem w kierunku ściany. Natychmiast się cofnął i przybrał wyczekującą pozycję, cały czas skupiając uwagę na piłce i nie spuszczając z oka swojego przeciwnika, jednego z trenerów ośrodka rekreacyjnego. Mężczyzna zanurkował w kierunku ukośnie lecącej piłki i nie trafił w nią. Była to piłka meczowa.

- Chance wyprostował się, opuścił rakieta i rozluźnił mięśnie. Ciężko dyszał, łąpczywie wciągając i wypuszczając powietrze z pnie. Popatrzył na przeciwnika, który leżał rozplaszczony na boisku do squasha. Powoli, z trudem podniósł się na nogi i zerknął na Chance'a, potrząsając głową.

- Wystarczy. Mam dość - powiedział, potwierdzając swoją przegraną. - Człowieku, nie wiem, na kogo jesteś wściekły, ale widać w tobie żądzę krwi.

Chance'owi stanął przed oczyma obraz Flame, dumnej i silnej, z zimnym błyskiem wyzwania w zielonych oczach. Spuścił wzrok i odwrócił się, żeby wziąć ręcznik.

- Za dużo dzisiaj pracowałem, to chyba przez to.

- Chyba - padło zgodne jak echo potwierdzenie. - Muszę pamiętać, żeby nigdy więcej nie grać z tobą pod koniec dnia.

Usta Chance'a ułożyły się w coś na kształt uśmiechu, kiedy sięgnął po leżący w rogu ręcznik i zaczął wycierać nim twarz i szyję. Kątem oka zauważył, jak drzwi na korty otwały się z impetem i mimowolnie odwrócił z ciekawością głowę. Zobaczył wchodzącego Sama i w przypiływie nagłego zaniepokojenia przerwał na moment wycieranie szyi.

- Co się dzieje? - zapytał.

Ale Sam rzucił okiem na trenera. Rozumiejąc aluzję, mężczyzna machnął na pożegnanie ręcznikiem i skierował się do drzwi.

- To na razie.

Chance skinął głową, po czym całą swoją uwagę skierował na Sama, natychmiast zauważając, że przyjaciel unika jego spojrzenia.

- Co się stało?

- Spóźniłem się o trzy godziny. - Jego chłopięca twarz zasepiła się i błakał się po niej jakiś cień winy. - Wykupiła długi hipoteczne Crowderów. W banku powiedzieli mi, że była tam dziś rano, żeby podpisać wszystkie papiery.

- Niech szlag trafi tę babę. - Przeklął zawiedziony. Odrzucił głowę do tyłu, żeby rzucić na sufit pełne wściekłości spojrzenie i oparł ręce na biodrach.

- Myślałem, że już ją mamy, jak w czasie ostatniego weekendu udało się nam wykupić te dwie parcele. Ale jej nie o te chodziło najbardziej. Jej potrzebna była ziemia Crowderów - powiedział Sam, w końcu usiłując popatrzeć Chance'owi w oczy. - Wygrała, prawda?

- Nie, jeśli będę mógł temu zaradzić. - Ściągnął ręcznik z szyi. - Połącz się z Donovanem i powiedz mu, żeby przygotował samolot. Polecę dziś wieczorem do Waszyngtonu i sam spróbuję popchnąć sprawę zatwierdzenia planów naszej zapory.

- To nic nie da. - Sam potrząsnął głową i wyjaśnił: - Przed przyjściem tutaj rozmawiałem z Molly. Stąd wiedziałem, gdzie jesteś. Fred dzwonił i przekazał, że ma informacje od Zorinsky'ego. Morgan's Walk wciągnięto na listę Narodowego Rejestru Zabytków Historycznych. Mówi, że nie ma sposobu, żebyś w tej sytuacji mógł otrzymać zgodę.

Tym razem Chance nic nie powiedział. Stał w milczeniu, gapiąc się przed siebie, a w jego głowie kłębiły się myśli. Zablockowała go.

Sam poruszył się niepewnie.

- Poczekać na ciebie?

- Nie. - Głos Chance'a zabrzmiał stanowczo i twardo. - Muszę coś prze-

myśleć.

Sam zawahał się i odszedł, zostawiając go na korce.

44

Ciemność przesłoniła czarnymi łapami okna w bibliotece. Flame trzymała słuchawkę przy uchu i czekała, aż mechaniczny głos dokończy swoją groźbę. Paraliżowała ją zimna wściekłość. Kiedy usłyszała, że połączenie zostało przerwane, odłożyła słuchawkę i wcisnęła guzik przewijania w podłączonym do aparatu magnetofonie. Dał się słyszeć szybki furkot taśmy, a potem pstryknięcie odskakującego guzika. Odegrała sobie jeszcze raz wiadomość, chcąc się upewnić, czy wszystko się nagrało. Następnie ponownie przewinęła taśmę, podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer z kalendarzyka.

- Tak, tu Stuart.

Ten twardy, zniecierpliwiony głos należał do Chance'a. Uśmiechnęła się do siebie zimno.

- Czy to nie dziwne? Musiałeś siedzieć przy samym telefonie, żeby tak szybko odebrać. Chyba że właśnie skończyłeś dzwonić.

- Flame? - W jego głosie zadźwięczało zdziwienie.

- Nie spodziewałeś się mojego telefonu, prawda? - odparowała gładko. - Pomyślałam sobie, że zadzwonię i poinformuję cię, że dokładnie wiem, co robisz. Ale i tak nic z tego nie będzie, więc możesz już zaprzestać tych telefonów z pogrózkami. Nie dostaniesz Morgan's Walk, nawet jeśli uda ci się mnie zabić. Dopilnowałam tego.

- Zabić cię? O czym ty mówisz? Jakie telefony?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Nie liczyłam na to, że się przyznasz. Ostatecznie, to przecież ty powiedziałeś mi, że powinnam była blefować i udawać, że nie wiem, o czym mówisz.

- Do diabła, nie wiem. Jakie pogrożki? Jakie telefony?

- Może to odświeży twoją pamięć. - Przyłożyła słuchawkę do magnetofonu i odtworzyła mu całe nagranie. Mrowie przebiegło jej po plecach, kiedy znowu słuchała tego dziwnego głosu, przekazującego jednostajnie swoją wiadomość:

„Już skończył się twój fart. Teraz uspokoję cię na dobre”.

- Mój Boże, ten głos, co to jest?

- Z pewnością nie twój, prawda? I jakie to bezpieczne, w ten sposób się nie zdradzisz. Ale to ci nie pomoże. Tę taśmę otrzyma policja. Wiedzą o wszystkich pozostałych zamachach na moje życie. I jeśli teraz coś mi się stanie, policja pójdzie prosto do ciebie. A ja będę miała satysfakcję, wiedząc, że nigdy nie dostaniesz Morgan's Walk. - Przerwała na chwilę, przypominając sobie pogrożkę. - Nie uda ci się powstrzymać mnie na dobre. To ja powstrzymam ciebie.

Odłożyła słuchawkę, spostrzegając ze zdziwieniem, że drży jej dłoń. Zacisnęła ją na chwilę, po czym wyjęła taśmę z magnetofonu, a z szuflady biurka kopertę i kartkę. Nie pozwalając sobie na żadne rozmyślenia, obróciła się na fotelu i włożyła kartkę do przenośnej maszyny do pisania, którą przywiozła ze sobą z San Francisco. W niesamowitym skupieniu zapisała wszystkie mające związek ze sprawą szczegóły: czas telefonu z pogrożkami, jego treść, informację o telefonie do Chance'a i wszystkich swoich czynnościach. Wyjęła kartkę z maszyny i podpisała ją, potem razem z taśmą wsunęła do koperty i zakleiła.

Z dziwnym uczuciem nieodwołalności odłożyła kopertę i oparła się w fotelu. Zapatrzyła się na wiszący nad kominkiem portret Kella Morgana.

- Obiecuję ci - mruknęła. - Nigdy żaden Stuart nie dostanie Morgan's Walk.

Czuła pustkę, była wyprana z wszelkich emocji. Tak strasznie walczyła ze

sobą, żeby nie uwierzyć, że Chance chce ją skrzywdzić, że teraz, kiedy musiała się z tym pogodzić, była wypompowana do cna. Uświadomiła sobie, że, gdzieś głęboko, cały czas wierzyła, że trochę mu na niej zależy, mimo tych wszystkich oszustw i zdrady. Ale tak nie było. Teraz już to wiedziała. Rozwiały się ostatnie złudzenia co do jego miłości.

Dalej wpatrywała się w portret.

- Z tobą było tak samo, prawda? Anna też cię nie kochała. I tak jak ja, skończyłaś samotnie w tym domu. Twój rodzice zmarli na długo przedtem, a Christophera wypędził stąd twój ból i nienawiść, zupełnie jak ja... - Ze ściśniętym gardłem, zamknęła oczy. - Tak jak mój ból i nienawiść odpędziły Malcolma.

Mój Boże, co się z nią stało? Jest teraz zimną, zgorzkniałą kobietą, opętaną żądzą zemsty. Przypomniła sobie rodzinę Crowderów i determinację córki, żeby zachować ziemię... i swoją zawziętość, żeby ją odebrać. Malcolm miał rację - stała się bezwzględna i mściwa. Nienawidziła Chance'a, ale czy była od niego lepsza?

To dziwne, ale już czuła się martwa - wyprana z uczuć. Nic już nie odczuwała, nikt i nic ją nie obchodziło. Coś miała jeszcze do zrobienia, lecz teraz, kiedy tak siedziała, wpatrując się w portret, wydawało się to mało istotne.

W końcu otrzeźwiło ją jednostajne bicie dziadkowego zegara w holu. Wyprostowała się w fotelu i potarła ręką czoło. Potem wzięła do ręki raport Karla, który czytała, zanim zadzwonił telefon. Ale nie mogła się jakoś na nim skoncentrować.

Gdzieś w domu rozległo się skrzypnięcie, jakby zaskrzypiały zawiasy drzwi. Flame przerwała czytanie i przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę. Potem uznała, że hałas był jednym z dźwięków, jakie wydają stare domy. Lecz

jej słuch automatycznie się wyostrzył i teraz już mnóstwo innych dźwięków dobiegało do jej uszu - począwszy od głośnych uderzeń własnego serca, a skończywszy na delikatnym szeleście papierów, które trzymała w ręku.

Coś zaszeleściło w krzakach przed domem i Flame spojrzała w tamtym kierunku. W oknie pojawiła się jakaś twarz! Chance. Wpatrywała się w szoku w jego groźnie spoglądające, błękitne oczy. Na mocnej, gładkiej twarzy malowały się niecierpliwość i gniew. Wtedy dostrzegła pistolet w jego dłoni. Rzuciła spłoszone spojrzenie na portret nad kominkiem i w oczach Kella Morgana zobaczyła strach. Znowu przeniosła wzrok na Chance'a. Krzyczał do niej, próbując otworzyć okno, lecz grube szkło tłumilo jego głos.

Chwyciła za telefon, żeby dodzwonić się do budynków gospodarczych i wezwać Charliego, ale telefon był głuchy. Uderzyła kilkakrotnie w widełki. Bez rezultatu. Linia była zerwana. Kiedy potykając się, usiłowała wstać z krzesła, on walił w okno usiłując dostać się do środka. Nogi miała jak ze stali, a biurko rosło jej w oczach, kiedy próbowała wydostać się zza niego, żeby pobiec do drzwi.

Tym razem krzyknął tak głośno, że usłyszała:

- Flame, nieee!!!

Zawahała się tylko na moment i spojrzała na niego, potem odwróciła się do drzwi na korytarz. Jakaś postać, przyodziana na czarno, z pistoletem w dłoni, zablokowała wyjście. Flame widziała ją tylko przez ułamek sekundy, potem poczuła mocne szarpnięcie. Jak przez mgłę usłyszała odgłos wystrzału i dźwięk tłuczonego szkła, kiedy zapadała się głębiej... i głębiej... w wirującą czarną otchłań.

## 45

Czyjeś mocne palce zacisnęły się na jej ręce, czuła ich ciepło. Poruszyła się. Powoli odzyskiwała świadomość, jakby budziła się z głębokiego snu.

Podniosła ciężkie powieki i skupiła wzrok na sylwetce stojącego przy szpitalnym łóżku mężczyzny.

- Ellery, wydawało mi się... - Wszystko zamazało się w pamięci... ta postać w czerni... pistolet... Chance próbował ją zabić. Teraz jest w szpitalu. Przypomniała sobie pochylając się nad nią z uśmiechem pielęgniarkę, która mówiła jej, że właśnie przywieziono ją z operacji i że wszystko będzie dobrze. Popatrzyła na butelkę z kroplówką, umocowaną na stojaku obok łóżka i połączoną rurką z jej ręką. Potem spojrzała zmartwiona na Ellery'ego.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Ben zadzwonił do Malcolma, a Malcolm zadzwonił do mnie. Złapałem nocny samolot i oto jestem. - Jego zwykle cyniczny uśmiech był teraz pełen ciepła. Nieźle nas wystraszyłaś, ale teraz już wiadomo, że wyjdiesz z tego. Kula uszkodziła tętnicę, ale wszystkie główne organy pozostały nietknięte. Straciłaś trochę swojej błękitnej krwi, ale lekarz twierdzi, że już za parę dni będziesz na chodzie.

- Czy oni... czy aresztowano Chance'a? - Wydusiła z siebie. Musiała wiedzieć i jednocześnie nie chciała tego usłyszeć.

- Chance'a? - Brew Ellery'ego powędrowała w górę w chwilowym zdumieniu. - Dlaczego mieliby to zrobić? - Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Czy w Oklahomie to zbrodnia, jeżeli ktoś ratuje ci życie? Bo widzisz, kochanie, gdyby nie Stuart, wykrwawiłabyś się na śmierć przed przyjazdem ambulansu.

- Ale... - Zasepiła się, próbując coś z tego zrozumieć - on tam był, Ellery. Miał pistolet. Widziałam go.

- Biedna Flame. - Czule uściśnął jej dłoń i spojrzał na nią ze współczuciem. - Myślałaś, że on jest z nią w zмовie? To nieprawda. Przyjechał tam, żeby ją powstrzymać.

- Ja? - Zdumienie Flame rosło, kiedy pełna obaw badawczo przyglądała się jego twarzy, chcąc mu wierzyć. - O kim ty mówisz?

Szybko przebiegała myślami wszelkie możliwości. Czy chodzi o tę Mathiewa, czy o Maxine? Ale jeśli to prawda, że Chance przyjechał, żeby którąś z nich powstrzymać, w takim razie skąd by wiedział o jej zamiarach... chyba że był z nią w zмовie? A może to była Lucianna? Ale dlaczego miałyby chcieć jej śmierci? Chance przecież jej nie kocha... a może jednak? Tak wiele było w tym nieśmiałej nadziei, że Flame znowu poczuła nawrót bolesnej niepewności. Jeśli to prawda, że ją uratował, to czyż nie oznaczało to, że ciągle mu zależy? O mój Boże, ona też go pragnęła.

- Mówię o sekretarce Stuarta, Molly Malone - odparł Ellery, a w jego głosie znowu zabrzmiała jakaś nutka współczucia.

- Molly? - Była zupełnie zaszokowana i chyba jeszcze bardziej zagubiona. - Ale dlaczego? Dlaczego miałyby chcieć mnie zabić? Nigdy nie zrobiłam jej nic złego.

- Nie jej, ale Stuartowi.

Wzięła głęboki oddech. W jednej chwili przed oczami stanął jej Chance, który mówił: „Molly będzie dla ciebie czymś w rodzaju teściowej”, i uwaga Sama, o tym, że Chance jest dla niej wszystkim, że całe jej życie kręci się wokół niego, że jego wrogowie stają się jej wrogami.

Ellery ciągnął dalej:

- Z tego, co wiem, wierzyła głęboko, że Morgan's Walk należy się Stuartowi i eliminując ciebie, naprawi tę sytuację. A równocześnie powstrzyma następną kobietę z rodu Morganów, która chce go skrzywdzić.

- Jak Hattie - wyszeptwała, mocniej wciskając głowę w poduszkę i popatrzyła na sufit. Oczy zapiekły ją od gorących łez.

Przypomniała sobie nienawiść Hattie do Chance'a - i to, że Ben Canon



kilkakrotnie mówił, że coraz bardziej ją przypomina. Stał jej przed oczyma ten moment, kiedy Chance mówił o swoim dzieciństwie, wtedy w dniu pogrzebu Hattie - o tym, jaka była dla niego okrutna i o tym, że nie obchodziło jej to, że matka Chance'a pochodziła z rodu Morganów; on nazywał się Stuart, więc go nienawdziła. Przypomniła sobie, jak zareagowała na tę opowieść gorzkim szyderstwem.

- Wiesz Ellery, ja tak strasznie wszystko pogmatwałam. Spójrz tylko, co się ze mną stało. - Popatrzyła na niego przez potoki łez i mocniej ścisnęła jego rękę. - Właściwie to zastanawiam się, dlaczego on ją powstrzymał. - Próbowła się roześmiać, ale tak bardzo drżał jej podbródek, że okazał się to trud daremny. - Skąd on wiedział, co Molly chce zrobić?

- Podobno zadzwoniłaś do niego i puściłaś mu jakąś taśmę, która przypominała mówiący komputer, który jego firma właśnie otrzymała dla niewidomego pracownika. Najpierw próbował skontaktować się z Molly, żeby ją o to zapytać, potem pojechał do Morgan's Walk. Kiedy zobaczył jej samochód zaparkowany niecały kilometr od domu... - Ellery przerwał z szelmowskim uśmiechem. - Właściwie cała ta historia wygląda jak jedna z powieści Dashiella Hammetta.

Jeszcze raz próbowała się uśmiechnąć.

- Chyba masz rację.

Uściskał jej dłoń.

- Powiedzieli mi, że mogę tu być tylko minutkę. Chyba kończy się mój czas.

- Przyjdiesz jeszcze?

- Wieczorem, jak już trochę odpoczniesz. - Podniósł jej dłoń i przycisnął wargi do jej palców. Potem zawahał się przez moment, patrząc jej prosto w oczy. - Stuart siedzi na zewnątrz. Prawdę mówiąc, siostry powiedziały mi, że

sterczy tam od chwili, kiedy przywieźli cięz sali operacyjnej. Chciałby się z tobą zobaczyć.

Powstrzymała szloch radości i próbowała powstrzymać nagły przypływ nadziei.

- Ja... chcę go zobaczyć.

- Zaraz go tu przyślę.

Kiedy po wyjściu Ellery'ego w drzwiach pojawił się Chance i Flame zobaczyła znajomą twarz o mocnych i gładkich rysach, pociemniałą od nocnego zarostu, zachciało jej się płakać. Ale było w niej zbyt wiele dumy, zbyt wiele samokontroli, nawet teraz, kiedy już wiedziała, jak bardzo się co do niego pomyliła. Podeszedł do jej łóżka i stanął w nogach. Zasepiony, patrzył w podłogę swoimi błękitnymi oczyma. Zauważyła, że prawą rękę ma na temblaku.

- Zraniłeś się?

Popatrzył na temblak jakby zapomniał o jego istnieniu, potem dotknął go lekko.

- Drobne powierzchowne zranienie. Zdejmę to jutro, może nawet wcześniej.

- Cieszę się. - Zawahała się czując, że atmosfera między nimi jest napięta, wymuszona i niezręczna. Czy jest jakiś sposób, żeby to odmienić? - Przykro mi z powodu Molly. Pamiętam, jak była ci bliska.

- Wiesz już? - Popatrzył na nią badawczym wzrokiem, w którym pojawił się ślad żalu i udręki.

Skinęła głową.

- Ellery mi powiedział. Powiedział, że uratowałeś mi życie. Ja...

- Po pierwsze, to była moja wina, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie. - Poczucie winy... czy to właśnie czuł w tej chwili? Nie mogła tego odgadnąć. Postąpił krok do przodu i spuścił głowę. Potem znowu podniósł ją i popatrzył

na nią, mocno zaciskając szczęki. - Flame, chciałbym, żebyś wiedziała, że... Morgan's Walk jest twoje. - Poczowała, jak rozplywa się jej nadzieja. Znowu chodzi o ziemię. - Nie będę więcej próbował ci jej odebrać. Przysięgam, że to nie było warte twojego cierpienia, a Bóg mi świadkiem, nigdy nie było dla mnie warte twojego życia. - W jego gardłowym głosie zabrzmiało głębokie przekonanie.

- Ale ja też jej nie chcę - zaprotestowała, trochę zaszokowana, że jest tego tak pewna. - Zbyt wiele było tam bólu, krwi, zbyt wiele niesprawiedliwości.

- Doszedłem do tego samego wniosku dziś w nocy - powiedział i powoli skinął głową, przyglądając się jej uważnie.

- Jutro albo pojutrze - kiedy to mówiła, nie spuszczała z niego wzroku - porozmawiam z Benem o możliwości przekazania Morgan's Walk stanowi... może na park.

- Powiedz mu... że służę mu wszelką pomocą, gdyby jej potrzebował.

- Dobrze. - Bała się, że to ostateczne rozstanie. Bez Morgan's Walk, które stało między nimi, nie miała pretekstu, żeby go widywać. A ona chciała go widywać. Dobry Boże, przecież wciąż go kocha.

Weszła pielęgniarka, szeleszcząc wykrochmalonym fartuchem. Uśmiechnęła się uprzejmie, lecz stanowczo do Chance'a.

- Przepraszam, ale musi pan już wyjść.

Popatrzył jeszcze raz na Flame, po czym odwrócił się, żeby wyjść. A ona wiedziała, że nie może na to pozwolić.

- Chance. - Końcami palców chwyciła jego dłoń. Odwrócił się i złapał ją za rękę. Ból i determinacja przemknęły po jego twarzy. - Czy... czy sądzisz, że jest już dla nas za późno?

Przez krótką chwilę jego oczy zapłonęły błękitnie, kiedy popatrzył na nią ciepło, tak jak kiedyś to robił. Potem spojrział na jej dłoń.

- Nigdy nie będzie za późno, jeśli tylko będziemy tego chcieli.

W jego słowach i głosie wyczuwała jakieś niezwykle napięcie. Z nadzieją, gwałtownie załomotało jej serce.

- Ja tego chcę.

Popatrzył na nią, jakby się chciał upewnić, że właśnie to miała zamiar powiedzieć.

- Ja zawsze tego chciałem - rzucił zachrypniętym głosem.

W milczeniu uściśnęła mocno jego dłoń, przyglądając się, jak jego wargi układają się w ten leniwy i ciepły uśmiech, który zawsze rozgrzewał jej serce. Po raz pierwszy naprawdę wierzyła, że jeszcze nie jest za późno.

Pielęgniarka znowu im przerwała:

- Przepraszam pana bardzo, ale...

- Już idę - powiedział Chance, nie spuszczać oczu z Flame. Ten ciepły blask wciąż był obecny w jego spojrzeniu.

- Ale wrócę tu.

Pochylił się i przyciskając wargi do jej czoła, wyszeptał:

- Do następnego razu.

- Do następnego razu. - Kiedy powtórzyła jego słowa, czuła w piersiach potężną, wspaniałą chęć życia. Była jeszcze nadzieja, dobry Boże, było coś więcej niż nadzieja.